

Ks. Michał Moskwa

# ODBLASKI

Wspomnienia misjonarza

模主久和

日記

ある宣教師の思い出

**Ks. Michał Moskwa**

# **ODBLASKI**

**Wspomnienia misjonarza**

模主久和

## **日記**

ある宣教師の思い出

Skład komputerowy, żywe paginy, projekt okładki

*Tomasz Kubik*

Fotografie

*1-40, 45, 47-58 – z poprzedniego wydania oraz zbiorów archiwalnych autora;  
85-88 – wykonane w ambasadzie w Japonii w 2009 r., przekazane autorowi;  
41-44, 46, 59-84 – wykonane przez Tomasza Kubika w 2001, 2002, 2011 r.*

**©Copyright 2011 by Michał Moskwa and Tomasz Kubik**

**ISBN 978-83-930823-0-8**

Wydawca

*Tomasz Kubik*

Druk i oprawa

I-BiS sc., ul. Lelewela 4, 53-505 Wrocław

Niniejsze wydanie wspomnień ks. Moskwy zostało przygotowane na bazie wydania rozszerzonego. Różni się ono od pierwowzoru zestawem załączonych fotografii (opuszczono fotografie o słabej jakości, uzupełniając ten brak nowymi fotografiami) oraz składem tekstu (wykonanym w systemie LaTeX).

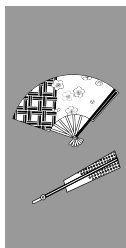
# **ODBLASKI**

## **Wspomnienia misjonarza**

*mojej Matce, Rodzinie i Matce Marcelinie*



**Fot. 1:** Ks. Moskwa, autor wspomnień, na tle domu sierocińca w Tokio. Zdjęcie wykonane z okazji jubileuszu 25-lecia kapłaństwa - 1971 r.



---

# Spis treści

<b>Wstęp</b>	<b>11</b>
<b>Wstęp do wydania poszerzonego</b>	<b>16</b>
<b>Od autora</b>	<b>17</b>
<b>1 Piękna nasza Polska cała...</b>	<b>22</b>
<b>2 Środowisko rodzinne</b>	<b>28</b>
<b>3 Cztery strony świata</b>	<b>38</b>
Pierwsze porywy ku kapłaństwu . . . . .	38
Życie i praca w zakładzie księdza Bosko . . . . .	39
W nowicjacie w Czerwińsku . . . . .	42
<b>4 Pierwsze wrażenia na okręcie</b>	<b>44</b>
Krótki pobyt w Singapur . . . . .	49
W strefie równika . . . . .	50
<b>5 Japonia - kraj egzotyki</b>	<b>54</b>
Nasz dom . . . . .	55
Mit punktem wyjścia historii . . . . .	55
Mozaika narodowościowa . . . . .	56
Pierwszy przyjaciel i nauka języka japońskiego . . . . .	56
Boże Narodzenie i Nowy Rok . . . . .	58
Každy dom to niezależne królestwo . . . . .	59
Zmiany w administracji kościelnej . . . . .	60
Nauka i praca . . . . .	61
Nishimura Shigeru i Sebastian Maki . . . . .	61
<b>6 Uroczystość Bożego Ciała</b>	<b>63</b>
Hejże na wakacje! . . . . .	63
Przeżycia wakacyjne . . . . .	65
Widmo wojny . . . . .	67
Święta ludowe . . . . .	68
Stopniowa formacja misjonarza . . . . .	70
Znowu na wakacjach . . . . .	71
Podwójny tajfun . . . . .	73

<b>7</b>	<b>Widzenie księdza Bosko</b>	<b>75</b>
	Wojenne nastroje . . . . .	75
	Udział misjonarzy salezjańskich w historycznej rocznicy kraju . . . . .	76
	Historia pewnego nawrócenia . . . . .	76
	Nasza postawa . . . . .	78
	Wakacje w górach . . . . .	78
	Symposium katechetyczne . . . . .	81
	W przeddzień wyjazdu... . . . .	81
<b>8</b>	<b>Dom japoński</b>	<b>83</b>
	Podstawy wychowania . . . . .	84
	Charakter Japończyka . . . . .	85
	Najważniejsze dane historyczne . . . . .	86
<b>9</b>	<b>Sfinks japońskiej religijności</b>	<b>88</b>
	Szyntoizm . . . . .	88
	Buddyzm . . . . .	90
	Nowoczesny buddyzm . . . . .	91
	Kult umarłych . . . . .	91
	Protestanci . . . . .	92
	Kościół grecki . . . . .	92
	Religia katolicka . . . . .	92
<b>10</b>	<b>Wiosna chrześcijaństwa w Japonii</b>	<b>94</b>
	Pojednawcy Japonii . . . . .	95
	Pierwsze ciosy . . . . .	95
	Postawa chrześcijan . . . . .	97
	Metoda św. Franciszka Ksawerego . . . . .	98
	Odnalezienie chrześcijan . . . . .	100
	Organizacja Kościoła . . . . .	102
	Na wzór ks. Bosko . . . . .	105
	W stronę starszych . . . . .	106
	Rola muzyki w dziele misyjnym . . . . .	108
	Opieka nad chorymi . . . . .	108
<b>11</b>	<b>Sam na wyspę Kyushu</b>	<b>110</b>
	Miyazaki . . . . .	113
	Pierwsze wrażenie w małym seminarium . . . . .	114
	Pochód z okazji 2600-lecia państwa . . . . .	115
	Edykt cesarza Mejdzi . . . . .	117
	Sadzenie drzewek . . . . .	118

<b>12 Inspekcja</b>	<b>120</b>
Nieustanne święta . . . . .	120
Praca na roli . . . . .	121
Niszimura . . . . .	122
Zmiana na stanowiskach hierarchii kościelnej . . . . .	123
Boże Narodzenie i Nowy Rok . . . . .	124
Codzienne sprawy . . . . .	125
Gdy się stykają dwie tradycje . . . . .	126
Na wychowawczym posterunku . . . . .	127
<b>13 Walka o byt</b>	<b>130</b>
Tajfun . . . . .	131
Stulecie dzieła ks. Bosko . . . . .	132
Zmiana miejsca pracy . . . . .	133
Trudny element, a przecież... . . . . .	136
Atmosfera wojenna . . . . .	139
Wpływ czynników religijnych na życie chłopców . . . . .	140
Pracownia koszykarska . . . . .	141
Toszio . . . . .	142
Seminarium w niebezpieczeństwie . . . . .	143
Nowy pomysł . . . . .	143
W miesiącu maju . . . . .	144
Awantura . . . . .	146
Sadzenie ryżu . . . . .	148
<b>14 Bóg z nami</b>	<b>149</b>
Budowa kapliczki . . . . .	150
Śmierć Haruki . . . . .	151
We własnej kaplicy . . . . .	152
Dzień... jak co dzień . . . . .	153
<b>15 Święto sportu</b>	<b>156</b>
Sto Yen . . . . .	156
Grudniowe wydarzenia . . . . .	157
Samodzielność chłopców . . . . .	159
Saburo . . . . .	160
Biedny Asakiczi . . . . .	160
Uroczystość św. Józefa . . . . .	161
Widmo zamknięcia seminarium . . . . .	161
<b>16 W Tokio czuć wojnę</b>	<b>164</b>
Brat Tateishi ofiarą wojny . . . . .	164
Praca w seminarium w atmosferze napięcia . . . . .	165
Ewangelia święta w języku potocznym . . . . .	166
Parafia w Mikawaszima . . . . .	167
Wakacje . . . . .	169



Dobrzy ludzie . . . . .	169
Wojna wciąż daje znać o sobie . . . . .	170
<b>17 Byle jakoś przetrwać wojnę</b>	<b>173</b>
Pamiętne prymicje . . . . .	173
Widmo wojny straszy . . . . .	174
Monsignore Cimatti . . . . .	174
Pierwszy nalot . . . . .	175
Naloty nie na żarty . . . . .	176
Święto Niepokalanej i księdza Bosko pod bombami . . . . .	177
Zaczyna się 1945 rok . . . . .	178
Pod nieustannym gradem bomb . . . . .	178
Wyprawa po marmoladę . . . . .	179
W trosce o codzienny byt i naukę . . . . .	180
Apokaliptyczny nalot . . . . .	181
Bombardowanie naszej dzielnicy . . . . .	182
Opuszczamy płonące Tokio . . . . .	184
<b>18 W drodze do nowego domu</b>	<b>189</b>
W nowych warunkach . . . . .	190
W poszukiwaniu żywności . . . . .	191
Choroba oczu . . . . .	192
Pierwsze przebłyski nadziei . . . . .	194
Z myślą o jutrze . . . . .	195
Wojna skończona . . . . .	196
<b>19 Pierwsze dni wolności</b>	<b>198</b>
Długo oczekiwane powiadomienie . . . . .	198
Powoli wszystko wraca do normy . . . . .	199
Wyprawa do Yokohamy . . . . .	201
Pierwsze kroki w zburzonym Tokio . . . . .	202
Nawiązywanie kontaktów z bliskimi i miejscową biedotą . . . . .	203
<b>20 Chrzest rodziców „cudownych dzieci”</b>	<b>206</b>
Praca podczas wakacji . . . . .	207
Na nowej placówce . . . . .	208
Wyprawa po sieroty . . . . .	209
Nareszcie wakacje . . . . .	211
Legenda o bonzie Ao . . . . .	212
Ostatnie dni wakacji . . . . .	213
Znów we własnym domu . . . . .	214

<b>21 Nareszcie... kapłaństwo</b>	<b>216</b>
Idę do pracy w sierocińcu . . . . .	217
Kame i Mitsuo . . . . .	217
Zaczyna się robota . . . . .	218
Niezwykła wizyta . . . . .	219
Przeprowadzka . . . . .	220
<b>22 Gniazdo mrówek</b>	<b>223</b>
Kokubundzi . . . . .	224
Trafiła kosa na kamień . . . . .	225
Codziennie kłopoty . . . . .	226
Orkiestra . . . . .	226
Nieustanne remonty . . . . .	227
Pierwsze miesiące nowego roku szkolnego . . . . .	228
<b>23 Powitanie Nowego Roku</b>	<b>231</b>
Troska o wychowanie młodzieży . . . . .	231
Nowy rok szkolny . . . . .	233
Krótkie ale miłe wakacje . . . . .	234
Ważniejsze wydarzenia . . . . .	235
Inauguracja zakładu i kaplicy . . . . .	236
<b>24 Niezwykłe skutki wychowawcze</b>	<b>240</b>
Wizytacje, oceny i zachwyty . . . . .	241
Przedstawienie Męki Pańskiej . . . . .	242
<b>25 Wyjście z Katakumb</b>	<b>244</b>
Błogosławione owoce . . . . .	250
Sprzyjający klimat . . . . .	252
W Nagasaki i Hiroszimie . . . . .	253
Zakład wychowawczy w Osaka . . . . .	254
<b>26 Refleksje po uroczystościach św. Fr. Ksawerego</b>	<b>257</b>
Szybki rozwój dzieła misyjnego . . . . .	258
<b>27 Stare śmieci</b>	<b>263</b>
Tajfun Rut . . . . .	264
Poświęcenie nowej misji . . . . .	264
Misja w Oita . . . . .	266
Pierwsze obrazy telewizyjne . . . . .	267
Wzrost poziomu nauczania . . . . .	267
Sygnal Opatrzności . . . . .	268
Z wizytą u niewidomych . . . . .	268
Zainteresowanie prawdą Ewangelii . . . . .	269
Sielskie wakacje . . . . .	270

<b>28 Jest taka historia</b>	<b>272</b>
Strasliwe tajfuny . . . . .	273
Publiczne procesje . . . . .	275
Św. Dominik Savio prowadzi nas pomyślnie w nowy rok . . . . .	275
W poszukiwaniu powołań kapłańskich i zakonnych . . . . .	277
Dziesięciolecie instytucji wychowawczej . . . . .	279
Osiedle biedoty . . . . .	280
Kandydaci do Zgromadzenia . . . . .	280
<b>29 Na stanowisku mistrza nowicjatu</b>	<b>282</b>
W drodze do ojczystego kraju . . . . .	283
<b>30 Śladami róż</b>	<b>289</b>
Wzrost daje Pan . . . . .	302
Kamień i błoto . . . . .	303
<b>31 Feniks odradzający się z własnych popiołów</b>	<b>306</b>
Biedny kto Ciebie nie zna od powicia . . . . .	307
Przechowanie tajemnic . . . . .	310
<b>32 Stare kąty</b>	<b>316</b>
Jak w krótkim czasie przeżyć wiele lat . . . . .	318
Szare i uroczyste . . . . .	321
<b>33 Na miarę epilogu</b>	<b>323</b>
Przez życie przebojem . . . . .	325
Serce za serce. . . szaleństwo za szaleństwo . . . . .	327
Głosimy Bogu chwałę . . . . .	329
<b>Dodatek</b>	<b>330</b>
Zarys historii i kultury w skrócie . . . . .	330
Okres przełomu . . . . .	333
Struktura społeczna po wojnie . . . . .	342
Ankieta „Młodzież japońska na przełomie” . . . . .	346
Podsumowanie . . . . .	360
<b>Epilog</b>	<b>362</b>
<b>Bibliografia</b>	<b>364</b>



---

## Wstęp

Pamiętnik ks. Michała Moskwy, jaki oddajemy do rąk czytelnika, wymaga kilku wyjaśnień.

Autor, po ukończeniu salezjańskiego nowicjatu w Czerwińsku nad Wisłą w 1937 r., wyjechał, jako młody kleryk, na misje do Japonii. Jest on członkiem Towarzystwa Salezjańskiego, które w kraju „kwitnącej wiśni” prowadzi placówki misyjne od 1926 r. Bezpośrednio po przybyciu zabrał się przede wszystkim do nauki języka japońskiego jak również do zgłębiania ducha narodu, który zaskakuje cudzoziemca swoją egzotyką na każdym kroku. Kilka lat studiów filozoficznych i teologicznych w środowisku rodowitych Japończyków pozwoliło autorowi pamiętnika zapoznawać się stopniowo i w sposób pogłębiony z bogactwem i złożonością mentalności narodu japońskiego, jak również jego obyczajów i praw rządzących życiem społecznym w całej jego rozpiętości.

Obdarzony wyjątkową wrażliwością na wszystkie zjawiska, z którymi się stykał, jak również wielkim zmysłem obserwacji, robił dokładne notatki w ciągu wszystkich lat swego pobytu na ziemi japońskiej. To mu pozwoliło nawet po 40 latach odtworzyć wiernie i w sposób tchnący autentyzmem ten długi okres czasu, wypełniony po brzegi różnorodną pracą katolickiego kapłana-misjonarza i salezjańskiego wychowawcy biednej, opuszczonej młodzieży japońskiej.

Kreśląc na bieżąco swoje notatki z przeżyć i faktów codziennego dnia, autor nie miał bynajmniej zamiaru, jak sam wyznaje, publikowania ich w formie książki. Dopiero przynaglony przez przyjaciół, zdecydował się na podjęcie tego trudnego zadania. Zrobił to jednak „przywalany ciężarem wielu poważnych wątpliwości”, gdyż nigdy nie czuł się pisarzem, nie mówiąc już o tym, że „od czterdziestu lat stracił kontakt z ojczystym językiem, ucząc się w międzyczasie kilku innych o zupełnie odmiennej składni i duchu”. Jego opory przełamała świadomość, że „Bóg w swej nieskończonej dobroci pozwolił mu przeżyć wyjątkowa epopeję, powołując go z ubogiej wioski rzeszowskiej na misjonarza do kraju przodującej techniki, egzotycznych obyczajów i fanatycznej religijności”. Dlatego uznał za swój obowiązek przekazania innym tej przedziwnej historii swojego życia, obrazującej jednocześnie historią setek i tysięcy apostołów Bożych, którzy bez reszty poświęcali samego siebie dla sprawy Królestwa Bożego w dalekich krajach.

Ks. Michał Moskwa nie pisze dzieła literackiego, w którym trudno rozpoznać, co nosi pieczęć autentyzmu, a co jest wytworem wyobraźni autora. On relacjonuje, prawie że dzień po dniu, wypadki, w których bierze bezpośredni udział, lub które obserwuje z bliska, przeżywając je na swój sposób. Jego opowiadanie jest ściśle, konkretne, pozbawione literackich upiększeń. I to tak dalece, że czasami aż chciałoby się je widzieć przy opisie realnych osób, spraw,

wydarzeń. Ale ten sposób opowiadania przekonuje w całej rozciągłości do jego słów i stwierdzeń. I to jest chyba podstawowa wartość tej książki.

Nabiera ona tym większej wyrazistości, że przedmiotem jej są ludzie z kręgu zupełnie odmiennej od naszej cywilizacji. Jak wielka jest ta różnica, niech świadczą słowa autora z jego słowa wstępnego: „Obcokrajowiec odkrywa Japonię przez całe swe życie i rozstaje się z nią w poczuciu, że jest to wciąż dla niego „ziemia nieznana”. Czterdzieści lat tu żyję, a przecież nieustannie mam wrażenie, że nie wniknąłem dotąd w tutejsze środowisko rodzime i nie jestem w stanie zasymilować się w nim”. To wyznanie ks. Michała Moskwy pozwala od razu zauważyć, że jakkolwiek świat, w którym obracał się przez 40 lat w kraju „wschodzącego słońca”, był w zasadzie wąski i, powiedzielibyśmy, prozaiczny, gdyż zacieśniał się on do życia w środowisku zakonno-kapłańskim, do pracy w zamkniętym zakładzie dla biednych dzieci japońskich, należących do marginesu społecznego, to przecież okazuje się on bardzo ciekawy, momentami wprost fascynujący.

Prawda, że sytuacja autora, jako obcokrajowca, do tego przedstawiciela religii katolickiej, którą wyznaje w Japonii tylko znikoma wprost część ludności, nie pozwalała mu ani na docieranie do bardziej złożonych i odmiennych środowisk, ani na uczestniczenie w wydarzeniach o szerszym formacie. Niemniej jest faktem, że nawet przez ten zawężony pryzmat potrafi on ukazać wypadki o ogólnym znaczeniu niesłychanie interesujące. W całym tekście pamiętnika japońskiego misjonarza przeplatają się bezustannie trzy wątki, które się jakoś wzajemnie uzupełniają, wciągając czytelnika w swój nurt bez reszty. Na pierwszym miejscu autor przedstawia sprawy sobie najbliższe, a więc własne przeżycia jako członka Zgromadzenia Salezjańskiego, które uczestniczy w całej rozciągłości w pracy ewangelizacyjnej Kościoła Po-wszechnego. Ani na moment nie zapomina on o swej podstawowej misji, do której został powołany przez Boga, a wysłany przez przełożonych z dalekiej Polski, mianowicie szerzenia prawdy ewangelicznej tym, którzy jej dotąd nie znają. Świadomość tego wezwania towarzyszy mu na każdym kroku, co uwi-dacznia się w jego opowiadaniu.

Ks. Michał Moskwa swoje powołanie misjonarza, głosiciela Jezusa Chrystusa, realizuje poprzez pełnienie posłannictwa salezjanina, który „posłuszny Duchowi Świętemu, chce przez konsekrację zakonną urzeczywistniać plan apostołski Założyciela, a mianowicie: być według stylu salezjańskiego znakiem i nosicielem miłości Bożej dla młodzieży, zwłaszcza najuboższej”. (Konstytucje Salezjańskie art. 2) . Wspomnienia zawarte w tej książce w całej pełni potwierdzają tę prawdę. Większą część tego pamiętnika stanowią opisy spraw wychowawczych, w których autor czynnie uczestniczy. Ma on bez przerwy do czynienia z dziećmi i młodzieżą japońską, najpierw z kandydatami do Zgromadzenia Salezjańskiego, a potem z najuboższymi sierotami lub młodzieżą kompletnie wykojejoną, zwłaszcza w latach wojennych i powojennych. Jego zmagania, zmierzające do wyprostowania tych młodych ludzi pod względem moralnym i społecznym, noszą na sobie pieczęć gorliwego apostoła Jezusa Chrystusa i salezjanina wg ducha ks. Bosko. Autor w swej bardzo trudnej pracy wychowawczej widzi najlepszą drogę do szerzenia znajomości Zbawi-

ciela i najdoskonalszy środek do oświecania umysłów ludzkich blaskiem Bożej Prawdy ewangelicznej.

Te fragmenty pamiętnika, choć zdawać by się mogły na pozór zwyczajne, są wprost pasjonujące. Tym bardziej, że autor potrafi patrzeć głęboko w serce swoich wychowanków i czytać krzywe linie ich życia. Posiada niewątpliwie wielki dar oddziaływania na dusze chłopców, przemieniając je ku światłu i życiu. Wgłębiając się w opisy procesów wychowawczych, zawarte w tym pamiętniku, ma się wrażenie, jakby odbijał się w nim echem „Poemat Pedagogiczny” Makarenki, tylko w chrześcijańskim wydaniu. Ten nurt wychowania najbiedniejszej młodzieży japońskiej w duchu nauki Jezusa Chrystusa poprzez stosowanie metody św. Jana Bosko stanowi drugi wspaniały wątek wspomnień ks. Michała Moskwy.

Oba powyższe strumienie opowiadania autora przewijają się na tle fascynującej egzotyki narodu i kraju japońskiego. Zaskakuje ona na każdym kroku, stanowi przedmiot zdumienia, zadumy i wzruszenia dla obcokrajowca. Wyziera ona z okien i ścian rodziny japońskiej, imponuje na ulicach miast w czasie państwowych obchodów, porusza do głębi w obrzędach religijnych. Ks. Michał Moskwa wszelkie jej objawy bardzo skrzętnie notuje i opisuje plastycznie. W podziw wprawia autora piękno przyrody jak i ukształtowanie terenu wysp japońskich. Groźne tajfuny, gnane podmuchem bezkresnych wód wywołują w nim raz po raz silne przeżycia. Na te wszystkie zjawiska jest on bardzo wrażliwy i ukazuje je w całym ich pięknie i grozie.

Osobnym wątkiem, choć i on wtapia się w całość przedstawianych tu spraw, była druga wojna światowa, którą autor w całości przeżył w Tokio i jego pobliżu. Opisy bombardowania przez Amerykanów tej wielomilionowej metropolii wywołują mocne wrażenie. Przypominają jakieś apokaliptyczne obrazy.

Wspomnienia ks. Michała Moskwy są bardzo bogate w swej treści. Niemniej jest rzeczą oczywistą, że bardzo wielu rzeczy nie dotknął, gdyż nie miał z nimi po prostu do czynienia. Stąd czytelnik może być w niektórych momentach jakby lekko zawiedziony, spodziewając się może czegoś więcej przy opisywaniu poszczególnych spraw. Trzeba jednak mieć przed oczyma te wszystkie okoliczności, o których była mowa powyżej. Ponieważ autor jest członkiem Zgromadzenia Salezjańskiego, w jego atmosferze się wychowywał i jego założeniami żył, przeto wypada podać bodaj kilka wiadomości na ten temat.

Zgromadzenie Salezjańskie założył ok. 120 lat temu św. Jan Bosko z Turynu. Jego dzieła wychowawcze szybko rozeszły się najpierw po całej Italii, a potem poza jej granicami. „Ks. Bosko czuł się posłany przede wszystkim do młodzieży biednej, opuszczonej, narażonej na niebezpieczeństwo” (Konstytucje Salezjańskie art. 10). Po tej samej linii rozwijali swą działalność jego synowie duchowi, salezjanie, zajmując się młodzieżą, która z powodu ubóstwa materialnego, społecznego i kulturalnego - nieraz skrajnego - nie ma normalnej możliwości zdobycia wykształcenia, oraz młodzieżą biedną pod względem uczuciowym, moralnym, duchowym, wskutek czego ulega zobojętnieniu, działaniu niewiary i przestępczości. Stąd młodzież jest pierwszym i głównym przedmiotem zainteresowania się i pracy salezjanów na wszystkich szerokościach geograficznych.

To samo dzieje się w Japonii. 29 grudnia 1925 r. Papież Pius XI pobłogosławił pierwszych dziewięciu misjonarzy salezjańskich, w tym 6 księży i trzech koadiutorów (salezjanów nie kapłanów), którzy zamierzali udać się do Japonii, aby tam położyć fundamenty pod misje salezjańskie. Na czele tej grupy stał ks. Wincenty Cimatti, człowiek i kapłan wielkiego formatu. Potwierdzeniem tego jest fakt, że rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny, który otwiera mu drogę na ołtarze w aureoli błogosławionych i świętych. Ci zapaleńcy Boży płynęli 40 dni okrętem na miejsce swego przeznaczenia. 8 lutego 1926 r. wylądowali w porcie Moji, powitani przez misjonarzy z Paryża i biskupa Nagasaki na czele.

W osiem dni później rozpoczęli gorliwą naukę języka japońskiego, zasiadając na ławie szkolnej z młodymi chłopcami. Wyniki w tym względzie były wyśmienite, bo już w miesiącu maju mogli niektórzy z nich publicznie czytać swoje pierwsze przemówienia ku chwale Matki Bożej w języku japońskim. Był to wyczyn bez precedensu, jeśli weźmie się pod uwagę nieprawdopodobne trudności w opanowaniu tego języka.

Swoją pracę w winnicy Pańskiej Dalekiego Wschodu rozpoczęli synowie ks. Bosko od dzieci. Nie mogło być inaczej, w krótkim czasie ta gromadka Apostołów Bożych dzieli się ma trzy grupy, aby zasięgiem swego wpływu ogarnąć jak (najszerze tereny i jak największą liczbę ludzi nieznaną Chrystusa. Po trzech udają się do Oita, Nakatsu i Miyazaki. Na wszelki dostępny sobie sposób rozwijają działalność kapłańską i salezjańską poprzez zajęcie się dziećmi i młodzieżą biedną, poprzez szerzenie prasy katolickiej. Pozostają w jak najlepszych kontaktach z innymi zgromadzeniami zakonnymi, z władzami świeckimi i z cywilami, szkolnymi, a nawet wojskowymi. Szczególną uwagę zwracają na chorych, którym służą z miłością prawdziwie Chrystusową.

Praca pełna poświęcenia i entuzjazmu, dzięki stosowaniu metody św. Jana Bosko, zaczęła wydawać w krótkim czasie błogosławione owoce. Placówki misji salezjańskich zaczęły się mnożyć, jak przysłowiowe grzyby po deszczu, zwłaszcza po trudnym okresie II wojny światowej. Na bieżąco stan ich przedstawia się następująco: 139 salezjanów grupuje się w 23 domach zakonnomisyjnych. Rozwijają następujące dzieła: w 6 budynkach szkolnych prowadzą jedną szkołę podstawową, osiem szkół średnich, w tym 5 niższego stopnia i 3 wyższego, oraz dwa ośrodki szkoleniowe na poziomie uniwersyteckim o charakterze politechniczno-przemysłowym i handlowym. Oprócz tego mają trzy internaty, dwa sierocińce i jedno centrum młodzieżowe. Salezjanie prowadzą 17 parafii, w tym 10 wyłącznie we własnym zakresie. Liczba wychowanków w szkołach wyżej wymienionych wynosi 2 264, parafian zaś objętych obsługą misjonarzy salezjanów jest 5 664 (stan z końca roku szkolnego 1977 r.). Niezależnie od wszystkiego istnieją dwa domy formacyjne, które przygotowują przyszłych salezjanów i misjonarzy. Interesujący jest skład narodowościowy misjonarzy salezjańskich w Japonii. Rekrutują się oni z następujących krajów: Japonia - 65; Włochy - 40; Polska - 7; Czechosłowacja - 5; Argentyna i Belgia - po 4; Niemcy i USA - po 3; Meksyk - 2; po jednym z narodowości angielskiej, litewskiej, peruwiańskiej i węgierskiej.

Dużą uwagę zwracają misjonarze salezjańscy na szerzenie prasy katolickiej. Uważają ją za skuteczny środek zapoznawania Japończyków z wiarą

Chrystusową. Z tego tytułu prowadzą własną drukarnię, posiadają własne wydawnictwa i wydają jeden periodyk pięknie ilustrowany. Obok salezjanów pracują także Córki Maryi Wspomożycielki Wiernych (salezjanki) (przybyły do Japonii w trzy lata po salezjanach), których jest obecnie 335 w 21 domach zakonnych.

Tak się przedstawia obecny stan misji salezjańskich. W roku ubiegłym minął złoty jubileusz ich istnienia i działalności. Warto zauważyć, że autor tych pamiętników przybył do Japonii w równe dziesięć lat od ich zaistnienia. Tym samym dzieje jego 40 lat pracy i życia, zawarte w tych wspomnieniach, stanowią w dużym stopniu także odbicie historii misji salezjańskich w kraju „wschodzącego słońca”. Z tego też tytułu posiadają szczególną wartość.

Oddajemy ten skromny, ale na pewno bardzo interesujący pamiętnik, do rąk polskiego czytelnika w głębokim przeświadczeniu, że przyczyni się on do bliższego poznania egzotyki ludzi Dalekiego Wschodu, stania się pomostem zbliżenia międzyludzkiego, a może rzuci iskrę w drzemiące dusze, zapalając je ku ofiarnej służbie wielkim ideałom głoszenia odwiecznej prawdy Chrystusowej.

ks. Stefan Pruś  
Głusków-Zielone, 15 sierpnia 1977 r.





---

## Wstęp do wydania poszerzonego

Pierwsze wydanie „Odblasków” miało miejsce w 1978 r. Zadał o to ks. dr Stefan Pruś, ówczesny dyrektor Wydawnictwa Salezjańskiego w Warszawie. Z konieczności tekst został bardzo okrojony. Przyczynił się do tego zarówno skromny przydział papieru jak i cenzura państwowa. Mimo to wszyscy odbiorcy znakomitych listów świątecznych i uczestnicy spotkań misyjnych z ks. misjonarzem Michałem Moskwa z Japonii, w czasie jego wizyt w Polsce, przyjęli tę książkę z wielką radością. Utrwaliła i poszerzyła ona rzeczy zasłyszane na spotkaniach i sygnalizowane tylko w listach, bo na więcej nie pozwalał skromny wymiar korespondencji. Książka ukazała również panoramę działalności Zgromadzenia na Dalekim Wschodzie, w „kraju kwitnącej wiśni”. W ubiegłym roku Autor wydał „domowym” sposobem suplement, wiele pięknych wspomnień i wydarzeń, które wówczas zostały pominięte. Był to początek do obecnego, pełnego wydania „Wspomnień misjonarza” z Japonii.

Wzrusza w nim saga rodzinna, zwłaszcza wspomnienie poświęconych bez reszty Bogu sióstr, historia ich życia i powołania. W swoim krótkim biogramie Autor wspomina, że człowiek wyrasta i formuje się w środowisku. Są tam piękne słowa i wspomnienia czasu przeżytego w aspirantacie w Daszawie, gdzie zrodziło się i ugruntowało powołanie salezjańskie ks. Seniora, ale też są tam piękne słowa o środowisku rodzinnym, które jest prawdziwą matką i początkiem życia duchowego i powołania. Z tekstów emanuje swego rodzaju nostalgia i za dawnymi czasami i za ludźmi, którzy te czasy tworzyli, zwłaszcza za najbliższą rodziną. Czuje się też w tych słowach wielką wdzięczność dla całej rodziny za piękny przykład życia, z którego zrodziło się powołanie i tak piękne życie nie tylko Autora, ale i sióstr, z których jedna była nawet przełożoną generalną zakonu.

Istnieje łacińskie przysłowie: *exempla trahunt* (przykłady pociągają), a piękna książka jest swego rodzaju *exemplum* dla akcji powołaniowej. Na pewno wzbudzi w sercach wielu chłopców i dziewcząt zapał misyjny i chęć poświęcenia się Bogu.

ks. Stanisław Szmidt  
Łódź, 24 lutego 2009 r.



---

## Od autora

Każdy rodzaj literatury ma swoje obowiązki i prawa a wybieranie jednego spośród wielu nakłada na autora pewne więzy oraz daje mu zielone światło na inne drogi zamknięte dla pozostałych. Wybrałem rodzaj pamiętnika, ponieważ opowiadanie zgadza się z prawdą w każdej jego części. Owszem, moc materiału z niezliczonych przeżyć w czasach szczególnie zróżnicowanych, stała się powodem konieczności wyboru i eliminacji wielu nie mniej interesujących wydarzeń i aspektów codziennego życia. Czytelnik łaskawie mi wybaczy ten wybór. W ogóle posłużyłem się kroniką skrzętnie notowaną w każdej placówce, skąd chronologia i fabuła mogą być uważane za prawdziwe, a naświetlenie faktów z własnego punktu widzenia, zdaje mi się nie tylko dozwolone, ale wprost wskazane, aby wspomnienia można było zaliczyć do własnych.

W większej części pominąłem nazwiska osób, podając raczej ich imiona. Jako powód do tego można by zaliczyć delikatność, jakiej wymaga szacunek dla tych osób i ich rodzin, ale jeszcze więcej to, że bezimienni są przedstawicielami szerokich warstw i jakoby tajemnicą, która kryje niezliczone i niezbadane aspekty wielu jednostek. Nie uzbroiłem też opowiadania przypisami, by nie obciążać zbyt mocno i nie ograniczać wolności niezwiązanej na wzór prac naukowych, do których nie roszczę sobie pretensji.

Co mnie skłoniło do przedsięwzięcia tej niełatwej imprezy? Liczne zachęty przyjaciół a zwłaszcza usilne prośby mojej siostry Julii, która od początku stanęła na straży głosu Bożego. Piszę również na świadectwo dla ofiarowanych dusz, na które liczy sprawa Chrystusowa na każdej szerokości geograficznej, że zaangażowanie się w niej chociażby jak największe, nie jest nigdy ryzykiem.

Pisząc o innych pisze się o sobie, przedstawiając innych pokazuje się siebie, własny charakter, zapatrywania, uczucia, skłonności, zwycięstwa i przegrane. Mówi się, że tworzymy historię. Tak, człowiek pisze historię, ale własną, osobistą, niepowtarzalną. Stawia się przed zwierciadłem i przyjmuje te cięcia, którymi został najgłębiej zraniony. Własne rysy, na które spogląda, on je obserwuje, bada, docieka i odtwarza w świetle i kolorze, który mu najbardziej odpowiada, bez różnicy czy sąd o nim będzie mniej lub więcej pozytywny. Historia jednego człowieka to wielka tajemnica i nie tylko dla innych, ale również dla siebie samego i to tajemnica pełna powabu i odrazy, światła i cieni, szczęścia i zawodu, zwycięstwa i klęski. Każdy z nas pisze swoją historię i rzuca ją w wieczność bezpowrotnie, bez możliwości zmiany, odwrócenia wypadków, powrócenia do startu - istnieją tylko mety. Nie jest to ślepym losem, ani tym mniej nieodwołalnym przeznaczeniem, bo sam człowiek tka z nici, które ma do wyboru, a wiemy, że płótno nie zależy od fantazji ani od zmian klimatycznych, ale od materiału, z którego się wyrabia. Mniej lub wię-

cej ozdobne wymijanie i uzupełnianie nici nie gra większej roli w osiągnięciu tego, do czego tkanina jest przeznaczona, ponieważ najważniejszą rolę odgrywa początkowy wybór tkacza.

Decyzja rzucenia na papier wspomnień, równa się podpisaniu pod sądem i wyrokiem czytelnika, który ma więcej doświadczenia, głębszą wiedzę i bogatszy zasób środków komunikacji w swoim repertuarze. Jest to jednak wzbogaceniem się chociażby tylko pośrednim, z powodu trudności uzyskania pomocy i rady tak cennej, ale niestety już nieaktualnej. Przy takiej zadumie można sobie zadać, lub wyobrazić takie pytanie - czy teraz w wielu podobnych warunkach postąpiłbym tak jak w tamtych, odległych i na wpół zapomnianych? Prawdopodobnie tak. Kto stara się prowadzić według własnego sumienia i korzysta ze wszystkich pomocy, które Bóg tak szczerze rozdziela każdemu, powinien iść naprzód jakby wszystko od niego zależało, ale równocześnie ufny w Opatrzność, która wszystkim kieruje, aby zamiary Boże doszły do skutku i wypełniły się co do joty, niezależnie od pionków, którymi się posługuje. Jeszcze jedno pytanie: gdyby można było powrócić realnie do tamtych czasów z obecnymi warunkami środowiska i własnymi, czy zdecydowałbym się na nie chętnie? Chyba nie! To co minęło i wypełniło się miało swoją rację bytu, której nie można sądzić w dzisiejszych warunkach i w terażniejszym nastawieniu ducha. Chociażbym powrócił z dzisiejszą wiedzą i doświadczeniem, nie jestem pewny czy postąpiłbym lepiej, zwłaszcza, że taki wybór oznaczałby więcej własną sztukę, niżeli pomoc i błogosławieństwo Boże, bez których nie ruszy się człowiek i nie przestąpi progę, by się nie pomylił.

Jeszcze kilka słów osobistego wyznania. Wyznaję otwarcie, że zaczynałem pisanie tego pamiętnika przywalony ciężarem wielu poważnych wątpliwości, czy moja praca ma sens i jaki będzie z niej pożytek. W tym roku (pisane w 1976 r. - przyp. red.) upływa równe czterdzieści lat od chwili, gdy jako młody kleryk znalazłem się na ziemi japońskiej. Ogromny to szmat czasu. Nic więc dziwnego, że mimo iż od samego początku robiłem sobie dokładne notatki z bieżących zdarzeń, wiele z nich w dużym stopniu zatarło się w pamięci, a przynajmniej straciło na swej świeżości i ostrości. Przedstawienie ich teraz z wszystkimi detalami natrafia na poważne kłopoty.

Nie zajmowałem się nigdy w życiu pisaniem, poza normalną korespondencją i bieżącymi potrzebami. Kiedy więc mam nagle zamknąć w kształcie literackim treść mojego życia, czuję bezradność. Cóż zresztą może odczuwać biedny misjonarz, który od czterdziestu lat tracił kontakt z ojczystym językiem, ucząc się w międzyczasie kilku innych, o zupełnie odmiennej składni i duchu?

Onieśmiela mnie jeszcze inna okoliczność. Zdałem sobie sprawę, że w moim życiu misjonarza-salezjanina nie ma żadnych wielkich wydarzeń, niezwykłych faktów, dramatycznych powikłań, czy też przygód, co mrozą krew w żyłach. Cóż więc ciekawego mogę zaofiarować mojemu czytelnikowi? Od chwili przyjazdu aż do dziś prowadziłem życie unormowane Konstytucjami zakonnymi, wciśnięte w ramy zakładu wychowawczego, w zasadzie izolowane od tak nawet wielkich wydarzeń, jak druga wojna światowa.

Te i wiele innych wątpliwości wytrącały mi pióro z ręki i zniechęcały do pisania. Ale po głębszym namyśle postanowiłem skreślić historię swego po-

bytu w Japonii. Prawda, że było to życie proste, zwyczajne, ale toczyło się ono w kraju „Wschodzącego Słońca” i „Kwitnącej Wiśni”, który Europejczyka fascynuje. I ta właśnie okoliczność była bodźcem decydującym. Wiem, że opowiadam na stronicach tej książki rzeczy proste i codzienne, a przecież w związku z nimi cisną się pod pióro opisy mieszkańców Japonii, ich sposób bycia i myślenia, ich psychika jakże diametralnie różna, która dla obcokrajowca ma charakter niecodzienny. Uprzytomniłem sobie ten fakt od pierwszego momentu, gdy postawiłem nogę na ziemi Dalekiego Wschodu. Z tego tytułu postanowiłem swoje wrażenia i przeżycia przekazać innym.

Mam pełną świadomość, że mimo bardzo pilnie utrwalanych obserwacji życia i obyczajów Japończyków, o wielu sprawach w ogóle nie wspominam, a inne naświetlam zaledwie częściowo. Stało się to przede wszystkim dlatego, że jako obcy przybysz i urzędowy przedstawiciel religii katolickiej, której wyznawcy stanowią ułamek społeczeństwa, miałem ograniczone możliwości kontaktu z całokształtem życia tego dziwnego kraju. Luki mojej relacji starałem się uzupełnić częściowo ogólnymi wiadomościami o historii i religiach Japonii. Niemniej zdaję sobie sprawę, że moja opowieść jest bardzo niepełna. Istotną przyczyną tego jest fakt, że obcokrajowiec odkrywa Japonię przez całe życie i rozstaje się z nią w poczuciu, że jest to wciąż dla niego „ziemia nieznaną”. Czterdzieści lat tu żyję (pisane w 1976 r. - przyp. red.), a przecież nieustannie mam wrażenie, że nie wniknąłem dotąd w tutejsze środowisko rodzime i nie jestem w stanie zasymilować się w nim. Wierzę jednak, że nawet i te okruchy, które zdołałem zamknąć w nieudolne słowa, przybliżą polskiemu czytelnikowi ten mało znany mu świat, z całą jego złożonością i niezwykłością.

W moim mozolnym pisaniu miałem wciąż przed oczyma zastępy ofiarowanych dusz, które urzeczone Chrystusem i Jego nauką, wyprawały się na krańce ziemi, by głosić słowo zbawienia wszystkim narodom. Nie przerażały ich warunki materialne ani społeczne, wśród których trzeba było im pracować. Ci „szaleńcy Boży” potrafili pokonywać przeszkody, o jakich zwykłym zjadaczom chleba ani się śniło. Japonia jest zroszona krwią męczeńską wielu misjonarzy katolickich, a jeszcze bardziej użyźniona potem ich codziennego trudu. Z pamięcią o tych wszystkich wspaniałych duchach kreśliłem własną historię misjonarza.

Japończycy naukę Ewangelii przyjmują z największymi oporami. Dzieje to się na skutek ich nieprawdopodobnego wkorzenia się w ojczyste religie i tradycje, kompletnie przecież odmienne. Barykadą nie do pokonania w tym względzie jest diametralnie różna mentalność ludzi Dalekiego Wschodu od tych z kręgów cywilizacji europejskiej. Nie ma po prostu odpowiedników. Praca misjonarzy w Japonii jest wyjątkowo trudna, wymaga cierpliwości i znalezienia odpowiedniego klucza do serc i umysłów tubylców. W swoich wspomnieniach staram się ukazać metodę zyskiwania sympatii Japończyków i zbliżania ich do religii katolickiej. Wypróbowane metody św. Jana Bosko, założyciela Zgromadzenia Salezjańskiego (do którego i ja należę) są, jak uważny czytelnik spostrzeże, najbardziej skuteczne. Noszą na sobie pieczęć błogosławieństwa nieba.

Bóg w swej nieskończonej dobroci pozwolił mi przeżyć wyjątkowa, epopeję, powołując mnie z ubogiej wioski rzeszowskiej na misjonarza do kraju

przodującej techniki, egzotycznych obyczajów i fanatycznej religijności „Jestem za to nieskończenie wdzięczny swemu Stwórcy, gdyż nie wyobrażam sobie, bym mógł na innych ścieżkach przeżyć piękniejszą przygodę swego życia. Słowa, które o niej opowiadają na stronicach tej książki, nieudolnie tylko starają się oddać jej głębię i bogactwo.

Pragnę wreszcie podziękować jak najserdeczniej wszystkim, dzięki którym utrwaliłem swe wspomnienia. Bóg zapłać moim przyjaciołom, pomocnikom, nauczycielom, jak również mojej siostrze Julii, bowiem ona odegrała wyjątkową rolę, inspirując mnie i zachęcając do tego przedsięwzięcia.

W pisaniu słów japońskich używam systemu fonetycznego Hepburn, czyli wymowy zbliżonej do języka angielskiego. Podaje więc ważniejsze zgłoski i ich wymowę.

shi – si, np. Shinshu /Sinsiu/

sho – sio, np. shogun /siogun/

shu – siu, np. Kyushu /Kiusiu/

sha – sia, np. Shaka /Siaka/

j – dź, np. kanja /kandzia/

ya, yo, yu – ja, jo, ju, np. yoru, yakan, yubin /joru, jakan, jubin/

chi – ci, np. machi /maci/

cho – cio, np. Chofu /Ciofu/

chu – ciu, np. chushin /ciusin/

cha – cia, np. chadai /ciadai/

Autor

Tokio – Chofu, 17 czerwca 1976 r.  
w uroczystość Bożego Ciała

## MOTTO - błogosławieni

Ktoś skarbów ziemskich się wyzbył  
uwolnił dłonie i serce.  
Mówili „nieroztropny”...  
Bóg dał mu królestwo niebieskie.

Ktoś wiele płakał na ziemi  
za swoje i cudze winy...  
... „to nienormalny człowiek”...  
Bóg sam otarł łzy z jego powiek.

Ktoś szedł cichutko po ziemi,  
nigdy nie stukał o bruk.  
Mówili o nim: „naiwny”...  
„Błogosławiony”... - rzekł Bóg.

Ktoś kładł swe życie na szalę,  
krzywd równał liczbę i szkód.  
Mówili o nim: „szalony”...  
A Bóg nasycił ów głód.

Ktoś dawał miłość bez miary  
dnem, nocą rzucał wciąż ziarno.  
Mówili o nim: „zwariował”...  
Bóg go do serca przygarnął.

Ktoś serca swego strzegł wiernie,  
by jasne było i czyste.  
Mówili o nim: „dziecinny”...  
A tyś się przejrzał w nim Chryste.

Ktoś pokój wnosił ze sobą,  
zwalczał „herezje czynu”.  
Mówili o nim: „wsteczny”...  
A Bóg przemówił doń: „Synu”...

Ktoś znosił razy niesłuszne,  
niesprawiedliwe ciosy.  
Mówili o nim: „głupiec”...  
A tron mu dały Niebiosy.

S.M. Bogdana C.R.



## Piękna nasza Polska cała...

Każdy kraj ma to do siebie, że daje się pokochać przez swoich mieszkańców. Stąd różne powiedzenia i przysłowia stały się szczerym wyrażeniem tego, co głowa myśli i serce czuje. Wszędzie dobrze, ale najlepiej w domu. Kiepski ten ptak, co własne gniazdo kała. Gdzie zamieszkaż tam stolica (przysł. japońskie). Nie trzeba jednak brać wszystkich powiedzeń tak dosłownie, by przez nie wyłączać możliwości zmiany, dostosowania albo nawet wyboru, zależnie od szerokiego wachlarza warunków czy upodobania. Człowiek zresztą, to nie tylko zwierzę co czuje, ale myśli i zdaje sobie sprawę z uczucia i myślenia.

Jesteśmy codziennymi świadkami „niespokojnych duchów”, którzy błądzą po górach, dolinach, rubieżach i miastach. Męczą się, wydają forszę, często zawiedzeni zmianami atmosferycznymi, nie rezygnują tak łatwo ze swojego cygańskiego życia. Owszem to ich zapala, podnosi, urzeka, prawie zmusza do nowych wyskoków mniej więcej na miejscu i na czasie. Niedające się zaspokoić pragnienie wyrwania się ze swojego środowiska, jest jednym z powodów równobieżnych z innym, poznania tego, czego u nas nie ma.

Dlatego człowiek urodzony w górach ciąży ku równinom, chociażby to było nie z musu „za chlebem” i odwrotnie, właściciel plaży morskiej marzy o halach. Wtedy to co nowe, różne, trudne do zdobycia, dziwne, pociąga i nęci, a to co jest w posiadaniu, robi się ciężkie i nudne, chociażby miało wielką wartość handlową. Niespokojny jest człowiek, niespokojne jest jego serce dopóki nie uda się w nieznanne, choćby musiał powracać w podartych butach.

Między wielkimi przeciwstawieniami istnieje cała gama drobnych możliwości, między górami i morzem kryje się nieobliczalna ilość i jakość krajobrazów. Który z nich najpiękniejszy, najmilszy, jedyny? Czy można w ogóle o to się zapytać i dać rzeczową, zadowalającą odpowiedź? Chyba tak. Takim jest i będzie zawsze krajobraz, okolica, miejsce urodzenia, pierwszego pobytu, bez różnicy czy to będzie w mieście czy na wsi, w pałacu czy pod strzechą. Z Warszawy z jednakową łatwością można wyjechać nad morze i w góry: do Sopotu, Kołobrzegu, Sokołowa, Istebnej, Witowa czy Gliwic. Ze Śląska na Pojezierze, lub do Ustrzyk, w Białostockie lub Koszalińskie. Tymczasem każde pośrednie miasteczko czy wioska mają swój urok, znany, podziwiany i kochany, z całą historią, przeszłością i teraźniejszością - przez swoich mieszkańców. Wysokie szczyty Beskidów, piaszczyste wydmy muskane falami Bałtyku, są równie drogie jak piaski nadbużańskie czy zagłębia ziem zachodnich... bo to jest Polska, piękna, bo nasza.

Tak piękne są Góry Świętokrzyskie, tak piękne Podole, Poznańskie, Krakowskie, Rzeszowskie. Tym ostatnim zajmijmy się osobno. Ono dla pysznej

ziemi, pokrewnej sławnej ziemi nadwiślańskiej nosi także nazwę Małego Podola z jednej i Wczesnego Pogórza z drugiej strony. Bo z głównego pnia tej urodzajnej, napływowej doliny, wbija się klinem pomiędzy uskoki dalej na południe. Wciśnięte tak wąskim pasmem w obcą formację aluwium, poszło krętymi drogami za biegiem Wisłoka, rozłożyło się wyższymi i szerszymi płacami, przeważnie po lewym jego brzegu, kędy osiadły miejscowości Babica, Czudec, Zaborów, Strzyżów, Dobrzechów, dalej ku południowi, gdzie rozlewa się w Doły Sanockie.

Obok wąskiego pasu do poziomu rozlanej doliny, która powstała niezaprzeczeniem z namuliska Wisłoka, leży lekko na wschód i południe pochylone upłazy dosyć wyniosłych pagórków. Gleba tych uplazów, jakkolwiek gorszej jakości niż w samej dolinie, mniej przepuszczalna, więcej iłowata, nie przestała mimo to być urodzajna, wszak Czudec i Strzyżów wszcz i wzdłuż to znana kraina pszenicy, chmielu i rzepaku. Wstępując upłazami rozgórza i po stopniach pagórkowatej równiny, już na pierwszych schodach podgórza znajdujemy poważniejszą rozmaitość uczłonkowania wypukłej rzeźby, a właśnie ta rozmaitość budzi zachętę do podróży w tej krainie, nadając jej więcej uroku. Pogórze Rzeszowskie przedstawia się nam, jakby wyrosło z piaszczystego niżu Puszczy Sandomierskiej, z początku upłazowo, lekko, falisto, harmonijnie, na wodzy pewnego umiarkowania, a dopiero za Czudcem rozpoczyna się na południe właściwe podgórze. Zręby budowy ziemi już tu wydatniejsze, kształty wprawdzie jeszcze umiarkowane, lecz mniej zatarte obok siebie. Krok na południe a wchodzimy w gniazdo pagórków bystrych i przykrych, ugrupowanych bez systemu, bez ładu, mniej lub więcej ułożonych samodzielnie we wszystkich kierunkach. Sploty licznych pagórków w rozmaitych rozgałęzieniach, a miazga ich porozdzierana, poszarpana głębokimi, spadzistymi parowami. Jeżeli przedstawimy sobie ogromny akt stworzenia ziemi, to mamy przed sobą produkt budowy ziemi okresu trzeciego, część ową formacji, która z wyjątkiem niewielkich eratycznych gniazd kredowych i wapieni, ułożyła cały nasz Beskid i jego podgórze. Właściwie Pogórze Rzeszowskie należy do warstw miocenicznych, stanowiących nowsze średnie ogniwo trzeciorzędnej formacji. Mówiąc słowami Humboldta, widzimy tu skutki oddziaływania wnętrza ziemi przeciw twardej skorupie swej powierzchni. Oddziaływanie to było lekkie, więcej harmonijne i bez wytrysków paroksyzmowych. Pogórze Rzeszowskie, jakkolwiek podzielone doliną aluwialną Wisłoka na dwie części, nosi na sobie te same cechy krainy pagórkowatej, chociaż nie można pominąć uwagi, że zachodnio południowa strona zdobyła się na więcej wypukłą rzeźbę, więcej nabrała podobieństwa do małych Karpat.

W parze z więcej wypukłą rzeźbą, wieje tu już bardziej górskie powietrze, odczuwa się górski klimat: głębsze tu jary, niedostępniejsze potoki. Na działach miejscami okrywa mała warstwa gliny grunt kamienisty. Jeżeli ściśle naukowo biorąc, że wzniesienia ziemi dopiero od wysokości 632 m zasługują na nazwę gór, to najwyższe wzniesienia rzeszowskiego podgórza, które w najwięcej górzystej okolicy wynoszą nad poziom morza w Godowej 465,5 m, w Czudcu 383 m, nie mogą rościć sobie innej nazwy, jak tylko zwykłych pagórków. Dworzec kolejowy w Rzeszowie ma 194 m, zwierciadło Wisłoka w Rzeszowie 185 m, nad powierzchnią Morza Bałtyckiego.



Czudec z Zaborowiem, miasteczko liczące w 1880 r. 344 domów, 1978 mieszkańców, od najdawniejszych czasów znane jako osiedle, którego początki giną w czasach prehistorycznych Państwa Polskiego. Pierwsza data historyczna o Czudcu to Zjazd Bolesława Wstydlivego z Danielem Księciem Ruskim. Od najdawniejszych czasów istniał tu warowny gród a następnie zamek, który stał na granicy Małopolski i Rusi, znany już w 1262 r. Wymieniony w dokumencie Kazimierza Wielkiego z 1354 r., był zbudowany na szczycie góry (obecnie Góry Zamkowej). Zamek strzegł biegnącej doliną Wisłoka ważnego traktu węgierskiego oraz pobliskiej granicy polsko-ruskiej. Osada zwana dawniej Czucz, otrzymała prawa miejskie od króla Władysława Jagiełły w 1427 roku, a w XVI wieku Czudec był już dość ruchliwym miasteczkiem, znanym z handlu i rzemiosła. W okresie rozbiorów utracił prawa miejskie.

Parafia dekanatu strzyżowskiego istniała już przed 1326 r., lecz czas erekcji nie jest wiadomy, gdyż kalwińscy właściciele Czudca w XVI wieku zniszczyli wszystkie dawne dokumenty kościelne. Rok powyżej podany jest wzięty z kroniki, która mówi o oddaniu święto-pietrza przez parafię Czudec. W 1435 r. wybudowano tu kościół pod wezwaniem św. Zofii. W 1600 r. został ulany dzwon średni na pamiątkę powrotu kościoła z rąk kalwińskich. Niedługo potem, bo w 1624 r., Tatarzy napadają na miasto i plądrują, ale bez zdobycia zamku obronnego. Mówi podanie, że w miejscu gdzie obecnie stoi na przedmieściu kapliczka z figurą Najśw. Panny, tam wygrzewał się co rano do słońca dowódca tatarskiej ordy, oczekując na zdobycie zamku. Jednego dnia załoga zamku nastawiła wszystkie katapulty i maszyny na namiot dowódcy i mimo znacznej odległości, wyrzuty okazały się tak celne, że zabiły dowódcę, a Tatarzy po stracie wodza opuścili pośpiesznie miasteczko i okolicę.

W kilkadziesiąt lat później w roku 1657 książe Siedmiogrodu Rakoczy plądruje i niszczy Czudec. Ponownie odbudowany pada ofiarą pożaru w roku 1674, w którym płonie także kościół św. Zofii. W roku 1700 zostaje odbudowany z kamienia kościółek św. Marcina, który przetrwał do obecnych czasów, a trzynaście lat później, dziedzic Józef Grabiński rozpoczyna budowę obecnego kościoła pod wezwaniem Trójcy Św., również z twardego materiału, trwającą do roku 1734. Już w roku 1717 zostaje ustanowiona prepozytura, a biskup przemyski sufragan Andrzej Pruski, były proboszcz czudecki, konsekruje kościół w roku 1740. Odtąd msza św. odprawia się w obu kościołach z tym, że kościółek św. Marcina staje się cmentarnym. Istnieje fundusz ubogich, złożony przez Józefa Grabińskiego w roku 1722, celem udzielania przytułku i wsparcia ubogim parafianom: majątek zakładowy tego funduszu składa się z dwóch drewnianych domków, ogrodu i obligacji na 3125 złotych reńskich. W ubiegłym stuleciu była tam szkoła ludowa dwuklasowa i stacja pocztowa przy trakcie z Rzeszowa do Krosna o 19 km od Rzeszowa. Na obszarze dworskim, który był własnością Karoliny Wasilewskiej, znajdował się piękny pałac z wielkim angielskim ogrodem, gorzelnia i browar piwny; gospodarstwo należało do najbardziej wzorowych w powiecie rzeszowskim... dziś na tym miejscu działa Liceum Ogólne.

Po wyzwoleniu kościół przechodził kilka remontów i restauracji. Po utworzeniu się nowych parafii w okolicznych wioskach, kościół pozostał jedynie

do użytku mieszczan, których liczba wzrosła po wojnie i po zagładzie Żydów, zajmujących dawniej cały rynek.

Tak przenosimy się do nowej rzeczywistości. Pierwszy oderwał się Zaborów, bo najdalej położony, a przy tym oddzielony Wisłokiem. Zresztą starania o to i przygotowania terenu datują się dość dawno. Dekanat strzyżowski wykupił w samym środku osiedla duży szmat ziemi z przyległym lasem, coś w rodzaju dawnej roli, około 60 morgów. Część ziemi została wypuszczona w dzierżawę, a tylko małe gospodarstwo obejmowało centralne grunta koło drogi, gdzie miał stanąć dom Boży. Z górą pół tysiąca lat mający wspinały dąb, znaczył miejsce i tylko małe świątko Chrystusa frasobliwego, dzieło miejscowego cieśli Oliwy (dziś Jana Flagi z Sołtysia), umieszczone pod rozłożystymi ramionami tego króla drzew, domagało się prędkiego uskutecznienia tego zbożnego zamiaru. W dwudziestych latach ubiegłego stulecia dużo się o tym mówiło i nawet wielu z mieszkańców robiło starania, zwłaszcza kobiety, dla których pięć kilometrów do kościoła czudeckiego stanowiło dużą przeszkodę do częstego tam przebywania. Niedzielę i święta, miesiące majówki i różańca cieszyły się wielką frekwencją, ale poza tym żal i rezygnacja były ich chlebem powszednim.

Przyszedł kryzys a potem druga wojna światowa, która zubożyła i przeredziła całą okolicę. Warto jednak zaznaczyć, że mimo tak ważnego przejścia traktu węgierskiego, osiedle miało zawsze szczególne szczęście w nieszczęściu i nie pamięta zatrzymania się frontu wojennego, ani też pojedynczej bitwy. Ma to do zawdzięczenia swemu położeniu, jakby wąskiej gardzieli ciągnącej się zaledwie kilkanaście kilometrów, ale odciętej po obu stronach mostami na pętli Wisłoka. Stąd strategia radzi każdej stronie unikania zamknięcia w pętli, więc jak najszybszego przeprowienia się ku południowi lub północy, a że osiedle zajmuje część wewnętrzną pięknego korytarza, zawsze wychodziło cało, bo albo omijane, albo było tylko świadkiem pospiesznego przelotu sił zbrojnych.

Po wojnie nastąpiło uwłaszczenie ziem dzierżawionych, a z braku funduszy na budowę kościoła, rozdrapano nawet księżę gospodarstwo, po spaleniu się folwarku. Na pięknym placu stanęła remiza strażacka, mizerna szopa na traktory kółka rolniczego, a na boku zaczęto budować nową szkołę, na którą zebrano podstępnie podpisy obywateli, jakoby zrzekających się praw do posiadłości kościelnych na rzecz tejże. Ludność jednak, gdy podstęp wyszedł na jaw, oparła się i zażądała zniszczenia dokumentu. Zwłaszcza kobiety, korzystając z równouprawnienia, poruszyły sprężyny na poziomie powiatu i województwa, tak że sprawa ze szkołą na placu przeznaczonym pod kościół, spaliła na panewce, a pozostały tylko ukończone już fundamenta. Potrzeba jest matką wynalazków nie tylko, ale umie sobie radzić i innym jeszcze dopomoże. Szkoła tymczasem została wybudowana na gminnym placu, opodal świeżych fundamentów. Opatrzność natomiast posługuje się nawet osłem Balaama. Uzgodniono w osiedlu wyrób pustaków na długi dystans z cementu wydzielonego na pierwsze potrzeby gospodarzy. Był kto się zainteresował wykreśleniem odpowiednich planów budowy, dostosowanych do fundamentów niedosłej szkoły, z trudniejszym jeszcze do zdobycia zatwierdzeniem kompetentnego inżyniera. Pewnego dnia praca ruszyła. Zwózka gotowych pustaków, materiału pomocniczego, a główną siłą były same kobiety. Równocze-

śnie, nie wiadomo pod czym przewodem rzucono się na mury. Prawie dniem i nocą bez wytchnienia roboty wre, a w ubocznej szopie na narzędzia odprawia się nabożeństwo: śpiewy, modlitwy dzieci i starców dodają siły i otuchy pracującym. W kilkunastu dniach, nowy budynek już pokryty dachem, a nabożeństwo przenosi się z szopy między rusztowania... dochodzenia, pociągania, kary, szykany, ale to już tylko epilog...

Tak dzieci Boże wybudowały sobie kościółek, mały, ubogi, ale bardzo, bardzo miły i drogi, bo kosztujący krwawo zapracowane i wypracowane życie... oto jego historia. Szkoda, że tyle szczegółów pozostało zakrytych i puszczo-nych w niepamięć, mimo ich wielkich wartości. A część urzędowa tak wygląda (sprawozdanie proboszcza w czasie wizytacji biskupa, 7 października 1973 r.):

„Parafia zaborowska powstała z parafii strzyżowskiej, czudeckiej i połomskiej, dnia 11 listopada 1948 roku, Depa, aktem erekcyjnym Zaborów należący do Czudca, przyłączono do parafii Strzyżów i z nim utworzono ekspozyturę parafii strzyżowskiej w Zaborowiu i do niej przyłączono Glinik i cały Zaborów. Opiekunem tej parafii został mianowany ks. Sikora, katecheta ze Strzyżowa. W roku 1958 rozpoczęto za ks. Władysława Kowalskiego budowę nowego kościółka, gdyż dotąd ksiądz dojeżdżał do prawdziwej starej budy strażackiej i tutaj odprawiała się msza św. Zaczęto budować kościół. Przy budowie tego kościółka, który dzisiaj jest odnowiony, nie obeszło się bez nerwicy władz, nie obeszło się bez aresztowań, były groźby, pogrożki, były najeźdy milicji, ciągłe śledztwa, przesłuchania, zastraszania, przede wszystkim mściwość i brak zrozumienia potrzeb tutejszego ludu, bo nie ma tutaj panów ani hrabiów, lud prosty, wieśniaczy. Ktoś się bał, że Kościół będzie walczył z demokracją i rozwaliał Polskę Ludową. Kościół stoi, proboszcz, jak przystało na zwyczajnego Polaka, ma swoje mieszkanie, ma swoją plebanię, dzwony dzwonią z nowej dzwonnicy, rozbrzmiewają na okolice, wszystko za zezwoleniem władz państwowych.

Tak i dziwne, demokracja się nie rozwaliła, Polski Ludowej nikt nie zniszczył a lud coraz lepiej rozumie jak wielkie są wymogi demokracji, jak trzeba być: bardzo szlachetnym, aby być prawdziwym demokratą, ale Chrystusowym, gdzie uznaje się równość wszystkich braci. Owszem nie stali się ateistami, nie! Ludność coraz bardziej, łatwiej, umie odróżniać dobro od zła, umie odróżniać prawdę od fałszu i zakłamania. Wrażliwy jest na wszelki objaw dyskryminacji. Oj, boli go, gdy ktoś za cenę ich wolności osobistej i za cenę religii, szuka kariery w życiu i dlatego chyba bardzo ceni każdego kapłana, który wiedzą, że przychodzi do nich nie po to, żeby zdobyć karierę, ale żeby im służyć, umywać nogi.

Jestem na tej placówce z polecenia ks. Biskupa od pierwszego lutego 1967 roku. Pokochałem ten lud, bo mi Biskup kazał bardzo ich kochać. Zaimponowali mi, bo wiedzą czego chcą. Umieją bronić Boga, dobra Ojczyzny i jej honoru. Co zrobili, nie ja, zrobili oni w ciągu mojej kadencji, nie sposób wszystkiego wyliczyć. Odnowiona i zadbana skromna świątynia, wybudowana nowa plebania. Zadbane obejście wokół kościoła. Nowa dzwonnica, już filmowana nawet przez czołówkę z Warszawy, kiedyś będzie na ekranach. Dzwony podłączone i uruchomione elektrycznie. Rozpoczęte ogrodzenie kościoła, równanie terenu i przygotowanie pod ogrodzenie cmentarza dla

zmarłych. Nowe szaty liturgiczne, nowy sprzęt liturgiczny. To wszystko mówi samo za siebie. Mówi o szczerym przywiązaniu tego ludu do Boga i Kościoła. Mówi o ich ofiarności na cele kościelne, to jest ich ofiara, to jest znak ich wiary. To wszystko co powstało za mojej pamięci, nie jest za sprzedawane morgi ani lasy. Ale jest to wszystko za krwawicę codziennej pracy i częściowej pomocy rodaków z zagranicy.

Parafia liczy blisko już dwa tysiące dusz, około 400 rodzin. Nie ma więcej w parafii niż trzy kilometry do kościoła. W ciągu roku rozdaje najmniej 28 tysięcy komunii św. w roku 1968 rozdałem 36 tysięcy.

Nie ma w parafii ludzi, którzy by oświadczyli, że są niewierzący. Nikt nie stroni od kościoła, nikt nie gardzi kapłanem katolickim. Kochają wszyscy księdza, nawet ci, którzy może są zaawansowani w jakiejś pracy społecznej. Wszystkie dzieci uczęszczają na lekcje religii, nie ma ani jednego dziecka, które by nie uczęszczało. Parafia na ogół bardzo żywotna. W ciągu mojego tutaj pobytu, było dwa święcenia kapłańskie, obecnie mam czterech kleryków. Jest trzydzieści jeden Róż żywego Różańca, jedna tylko męska. Jest pięćdziesięciu ministrantów, czternastu kandydatów. Młodzież w czterech grupach uczęszcza na lekcje religii. Najstarsza młodzież pracująca ma mieć swoją grupę. Obserwując parafian, na zakończenie, mogę śmiało stwierdzić, że Parafia Zaborowska nie jest ani socjalistyczna ani marksistowska, na pewno! Nie jest leninowska czy ateistyczna, nie jest też klerykalna, nie! Jest tylko na pewno Chrystusowa. A wystarczy stwierdzić to, gdy będą śpiewać: „O Chryste, Królu, Władco świata”... śpiewają tak żywołowo... „Niech żyje Chrystus pełny chwały”..., że oni się czują całym sercem własnością Chrystusa!”

Spodobało się to miejsce nawet najeźdźcy. Pod okupacją zaczęto budować w Zaborowiu stację kolejową, przy budce strażniczej Nr 25, w połowie drogi między Czudcem i Strzyżowem. Równocześnie zaczęto kopanie długiego tunelu pod górą Grabówką z wylotem na Wiśłok, jako miejsce zagłady dla okolicznych mieszkańców. Prochy spalonych miały być bezpośrednio wyrzucane do rzeki. W owych smutnych czasach właśnie w tym tunelu miało miejsce spotkanie się na naradę Hitlera z Mussolinim. Przy tej okazji nie obešlo się bez ofiar nawet wśród dzieci, które pomimo zakazu, z ciekawości spoglądały na pociąg, którym przejeżdżali kat i satrapa na spotkanie. Dzisiaj stacja kolejowa jest błogosławieństwem dla ludności, a tunel służy jako magazyn rybny.



## Środowisko rodzinne

W domu było nas ośmioro. Prócz rodziców cztery siostry i dwóch braci. Byłem najmłodszy. Ojciec, szanowany gospodarz, od kiedy pamiętam aż do późnej starości - wójt miejscowej gminy, oddawał się tym obowiązkom, choćby ze stratą dla siebie i rodziny. Dla rodziny był dobry, chociaż cichy i mało mówny. Dbał o wszystkich, nie robił wyjątków i starał się zrozumieć każdego. A czasy były trudne. Zabory i wojna pozostawiły głębokie ślady wyniszczenia. Trzeba było zaczynać wszystko od początku. Oprócz zubożenia materialnego (zabory i wojna), młoda niepodległość stanęła wobec stokroć trudniejszej sytuacji. Zaborcy pogłębili różnice i pewien separatyzm dzielnicowy, jątrzyli naród przeciwko sobie. Pamiętam np. napad innej wioski na naszą, zaś młodzi i starsi, którzy powrócili z wojny, nie kończyli nigdy pohulanki czy odpustu bez bójki, agresywni, zaczepni i warcholscy. Tatuś, mając wielkie poważanie we wsi, nie rezygnował z wójtostwa w nadziei załagodzenia tego stanu i unormowania spraw między ludźmi. Toteż nasłuchaliśmy się za młodu i żalów pokrzywdzonych, i prośb biednych i opuszczonych, narzekania waśniących się, podziękowań i pogroźek. Dużo spraw ojciec załatwiał po powrocie z miasta, wieczorami przy lampie naftowej, w czterech ścianach naszego mieszkania wobec wszystkich domowników. Bywało, że ktoś prosił nas dzieci o wstawiennictwo u ojca. Czuliśmy się wtedy ważni i jakby współodpowiedzialni za tę wielką rodzinę, powierzoną tatusiowi i nam.

W niedziele i święta jechaliśmy wasągiem na prymarię. Zatrzymywaliśmy się nie na rynku, jak czyniła większość furmanek, ale u ciotki na przedmieściu, siostry mamusi. Lubiliśmy tam słuchać rozmów starszych kuzynów, bo siostry miały zawsze swoje tajemnice. Mszę św. przeżywaliśmy głęboko, w skupieniu, przygotowani przez matkę, ale w czasie odpustów trudno było oderwać się od karuzeli, od kramarzy, od koła szczęścia i losów z papugą lub białymi myszkami. Siostry rzadko korzystały z wózka, pozostawały w domu, a po naszym powrocie, udawały się pieszo na sumę. Taka podróż do kościoła też należała do przyjemności. Można było nagadać się w towarzystwie za cały tydzień, bo przecież pięć kilometrów to szmat czasu. Do wielkiego mostu dobre trzy kilometry, trochę między domami, z których zawsze ktoś się dołączał do towarzystwa, a potem obok „pańskiej” ziemi, gdzie łany zbóż kołysały się, przeświecając tu i tam zagonami „panienek” (maków) i bławatów. Pamiętam dobrze wszystko: dąb, szkoła, karczma, figura, folwark, kamienny most-wiadukt, urwany gościniec, wreszcie żelazny most kolejowy, bo drogowego jeszcze nie było. Jeżeli się udało przejść przez ten most, zawsze biegiem, to zaoszczędziło się przechodzenia rzeki w bród z butami związanymi na szyi. Na moście stał strażnik kolejowy, który nikogo nie przepuszczał. A sama myśl o promie, który kursował, gdy woda przybrała, była przerażająca, tak źle się prezentował. Za mostem już szło się łąkami, nieco brzegiem rzeki, a potem

przez błonie, koło stacji kolejowej. Tam wkładaliśmy buty i już prosto do kościoła.

Suma była zawsze uroczysta. O służeńiu do mszy św. i marzyć nie mogłem, bo kto nauczyłby mnie ministrantury. Zresztą chłopcy z miasta nie dopuściliby do tego, gdyż otrzymywali kilka groszy na bułkę, a to dla nich był skarb. Musiałem więc zadowolić się wypatrywaniem i modlitwą z książeczki, albo śpiewaniem Godzinek na prymarii. Do spowiedzi i komunii św. szło się cztery razy do roku, według programu szkolnego. Nadzwyczajne było nabożeństwo dla młodzieży w dniu Trzeciego Maja. Nauczycielki przygotowały dla wszystkich dzieci biało-czerwone kokardki i po zbiórce w szkole, prowadziły nas parami szeroką drogą do kościoła. Szkoła, która przybyła wcześniej, zajmowała miejsce bliżej ołtarza.

Więcej osobistych przeżyć religijnych dawały miesiące maj i październik, poświęcone czci Matki Bożej. Nabożeństwo odbywało się w bocznej kaplicy, zaopatrzonej w małe organy. Ołtarz i obraz Matki Bożej w kwiatkach, a Jej szata ze srebra i złota lśniła się od świateł. W czasie śpiewu litanii, kazania czy błogosławieństwa, ogarniał nas jakiś podniosły nastrój. Powracając wieczorem trzymaliśmy się gromadką, bo na górze zamkowej często żerowały dziki w pańskich ziemniakach lub owsie. W czasie Adwentu zmienialiśmy chętnie prymarię na Roraty. W ciemne poranki szło się z latarkami lub świecami włożonymi do butelek po odcięciu dna. Nie mogę zapomnieć Gorzkich Żalów w niedzielę Wielkiego Postu, Długie i żałosne śpiewy, a potem kazania Pasyjne, pełne uczucia i twardych prawd, robiły wrażenie niezapomniane.

Mamusia, jak tylko pamiętam, lubiła i umiała pracować. Wyrobniicy chwaili sobie jej obiady. Mieli do niej nie tylko zaufanie, ale prawie cześć. Nie było wypadku, by nie pomogła, nie pocieszyła w cierpieniu i nieszczęściu. W drobnych i wielkich kłopotach szliśmy do niej, jednakowo z ostem w palcu, z tarką w nodze, jak i z prośbami, które miały dotyczyć tatusia. Gdy trzeba było sprzedać kawałek gruntu na posag siostry do klasztoru, ona bez wahania ofiarowała swoją część po rodzicach. Tak samo zrobiła, gdy chodziło o moją dalszą naukę. Wychowanie religijne przede wszystkim jej zawdzięczamy. Działała na nas nie tyle słowem, ile przykładem. W wieczory zimowe zbierała się u niej gromadka gospodyń, które po robocie przychodziły praść len albo skubać pierze. Jedno dziecko czytało Żywoty Świętych, albo jakiś utwór Sienkiewicza: „Quo Vadis”, „Krzyżacy”, „Trylogia”. Książki te zapierały dech słuchającym. W czasie okupacji wynosiła ukradkiem bochenki chleba dla zgłodniałych Żydów, którzy pracowali przy budowie torów kolejowych, albo w pobliskim kamieniołomie. Bóg błogosławił jej za to dobre serce. Dozrewała się trzech córek zakonnice i syna misjonarza. Przeszła przez życie wszystkim dobrze czyniąc.

Po mamusi siostry najwięcej wpływały na atmosferę domu. Najstarsza Józia, najsilniejsza i najzdrowsza w rodzinę, wykonywała główne roboty - codzienne, jak gotowanie, pranie bielizny, obrządzanie trzody chlewnej i bydła. Bez niej byłoby trudno wyobrazić sobie nasze gospodarstwo zorganizowane, schludne i wydajne. Zimą uczęszczała na kurs dokształcający dla młodzieży już dorosłej. Nie wiem co ją skłoniło do wyboru życia zakonnego. Do kościoła było daleko, okrągle pięć kilometrów, Józia chodziła zwykle z poważnymi ko-

leżankami, czasem z jakimś gospodarzem albo sama. Miała duży wpływ na otoczenie, chociaż nie szukała niczyich względów. Szła własną drogą sprawiedliwości i uczciwości. Mogę rzec z ręką na sercu, że dla mnie Józia była usposobieniem pobożności, pracy i poświęcenia się dla bliźnich.

Mając za patrona św. Józefa, żywiła do niego wprost wyjątkowe nabożeństwo. W miesiącu marcu chodziła na mszę św. nie tylko w środy, ale i w inne dni. Dla niej uroczystość św. Józefa trwała przez cały miesiąc. To samo można powiedzieć o miesiącach poświęconych Matce Bożej: maju i październiku. Ta gorliwość ściągała na nią wymówki, ale zносиła je z uśmiechem i jakby radośnie, że przecież wypada potrudzić się trochę dla Boga. Gdy nadarzyła się okazja, chętnie wzięła udział w pielgrzymce do Kalwarii Zebrzydowskiej, idąc sześć dni pieszo w kompanii po górach i dolinach. Po powrocie nie okazywała żadnego zmęczenia mimo dwustu kilometrów drogi... Żyła potem długo wspomnieniami z tej świętej podróży.

Misje w pobliskich parafiach były dla niej darem Bożym, z którego korzystała według możliwości. Na każdym kroku biła z niej silna wiara bez domieszek dewocji i dziwactw. Szła naprzód drogą zaparcia i zdania się na Wolę Bożą. Gdy młodsza siostra Julcia wstąpiła do klasztoru, Józia było jeszcze trudniej. Nie dostrzegałem jednak na jej twarzy goryczy czy zwątpienia. Ufała, że i dla niej na pewno nadejdzie godzina wyśniona przez długie lata. Wiedziała, komu ma zaufać i nie pomyliła się w rachubie. Skromna w ubiorze, do fotografa wybrała się jedynie raz z okazji złożenia podania o przyjęcie do klasztoru... los chciał, że i to zdjęcie zostało oszacowane niepomysłnie. Nie zraziła się niepowodzeniem, zapukała do innej furty. I została przyjęta. Ziściły się jej marzenia. W klasztorze starała się być również wszystkim dla wszystkich. Długi czas pracowała w kuchni i to na różnych placówkach. Jako przełożona, mimo dobroci i łaskawości, którą się odznaczała, umiała utrzymać wzorową karność zakonną. Dla sierot była zawsze bardziej kochaną matką niż przełożoną. Odeszła do Pana oplakana przez wszystkich.

Druga siostra Marysia, delikatna i wåtła, chętniej oddawała się modlitwie niżeli pracy, choć w razie potrzeby od niej się nie uchylała. W długie wieczory zimowe, przy drobnej pracy była zawsze otoczona przez młodsze rodzeństwo, słuchające jej ciekawych opowiadań. Lubiła malować. Marzyła ciągle o Akademii Sztuk Pięknych, ale te jej sny nigdy się nie spełniły. Warunki nie pozwalały na ten luksus. Miała duże wzięcie w okolicy z powodu swych umiejętności. Nawet młodzież żydowska ją odwiedzała: malowała im portrety. Z Józią należały do chóru parafialnego. Lubiła hodować kwiaty i stroić nimi kościół. Piękny ogródek wiosną, latem i jesienią lśnił się barwami wielu odmian róż, dali, bratków, georginii, mieczyków, chryzantem, nieśmiertelników i wielu innych. Za namową znajomej rodziny żydowskiej wyszła za urzędnika spod Lwowa. Ale niestety w krótkim czasie powróciła do rodzinnego domu i tak już pozostała do końca życia, oddana jeszcze więcej Bogu i pracy dla bliźnich. Wstąpiła do Trzeciego Zakonu, angażując się kompletnie w sprawy kościoła i prowadząc życie wzorowej tercjarki. Odtąd służyła pomocą i radą tym dziewczętom, które pociągnięte głosem Bożym, miały zamiar poświęcić się służbie Bożej. Przede wszystkim dopomogła trzem własnym siostrą w osiągnięciu tego zbożnego celu, a później jeszcze wielu

dziewczętom spośród krewnych i znajomych. Własną złotą obrączkę ślubną sprezentowała młodszej siostrze z okazji jej ślubów wieczystych w klasztorze.

Po śmierci tatusia, przeniosła się z mamusią do domu brata: i stąd promieniowała swą dobrocią. Opiekowała się matką i wiele pomagała w wychowaniu dzieci brata, które przywiązały się do niej całym sercem. Umiała pisać przekonujące podania i prośby w różnych sprawach. Bardzo ją ceniono z tego tytułu. Spieszyła z pierwszą pomocą w każdym nieszczęściu, opatrując rany, wstrzymując upływ krwi, obsługując chętnie ciężko chorych dniem i nocą. Podobnie jak Józia, dawała upust swej pobożności w niedziele i święta. Zajmowała się zdobieniem ołtarzy i praniem bielizny kościelnej. Sama zawiodła się na ludziach, więc starała się chronić innych od fałszywego kroku. Śniła jeszcze o klasztorze, ale widocznie pisany jej było iść inną drogą: zaparcia siebie i oddania się bliźniemu w świecie. Swą cichą pracą uprosiła świętą śmierć dla osiemnastoletniego bratanka, oraz powołanie kapłańskie jego młodszego braciszka, dzisiaj już proboszcza. Jak cicho żyła, tak cicho przeszła do wieczności.

Brat Janek od młodości był moim ideałem. W chwili, gdy go zapamiętałem, mógł mieć około piętnastu lat. Był to niezwykły chłopak. Interesował się wszystkim. Miał wielki spryt i zdolności organizacyjne. Nawet o kilka lat starsi koledzy nie gardzili jego towarzystwem. A umiał zмайstrować wszystko. Już w owym czasie marzył o motorach.

Imponował wszystkim w prowadzeniu gospodarstwa. Jego młocarnia najlepiej młóciła, siewczkarnia najlepiej pracowała, a konie były posłuszne i wytrwale ciągnęły każdy wóz. Już wtedy sam uprawiał ziemię, bo tatuś urzędował. Po ukończeniu pracy u siebie szedł chętnie na zarobek. Proszono go często do lasu na wyrąb, chociaż była to praca ciężka i bardzo niebezpieczna. Korzystniej było pracować w cegielni albo przy zwózce żwiru z rzeki na stację kolejową.

Zboże na chleb męło się w żarnach, a tylko przed świętami odwoził ojciec pszenicę do młyna na mąkę, z której mamusia piekła bułki. Później nowe urządzenia przy kieracie pozwalały na mielenie końmi. Wtedy Janek kierował przemiałem tak dla nas jak i dla ludzi. Gdy wystawiono wiatrak na pobliskiej górze, otwarło się dla niego prawdziwe królestwo. Zimą, gdy wiatry z północnego zachodu dęły bez ustanku, skrzydła wiatraka obracały się majestatycznie, a dym wychodził blaszanym kominem i słychać było stałe kucie żelaza, to wszystko oznaczało, że Janek pracuje w kuźni, którą sobie tam urządził.

Przy poborze do wojska na prośbę ojca - wójta dostał kilka razy odroczenie, tym bardziej, że wtedy Mamusia ciężko zachorowała, Julcia, młodsza siostra, złożyła wówczas Bogu przyrzeczenie; jeśli mamusia wyzdrowieje, to ona pójdzie do klasztoru. Wbrew przewidywaniu lekarzy, powoli ale stale stan zdrowia matki polepszał się, aż do zupełnego wyzdrowienia. Siedemnastoletnia Julcia, po celująco ukończonej wyższej szkole w Rzeszowie, udała się do Lwowa za kraty. W rok po niej Józia, a niedługo potem Kasia, skończyły nowicjat i związały się ślubami zakonnymi. Z braku gospodyni w domu Janek zdecydował się na małżeństwo, po krótkim pobycie w wojsku, otrzymał na stałe zwolnienie ze służby. Powrócił i zaczął gospodarzyć w całej pełni. Ta-



tuś pożegnał się z tym światem na kilka lat przed wojną, mamusia w czasie okupacji. Janek zmarł w 1974 roku. Wojnę spędził w domu.

Nie spodziewałem się, że będzie mi dane pisać wspomnienia o Kasi, jako starszej ode mnie tylko dwa lata, bo przecież kobiety żyją dłużej od mężczyzn, niestety inaczej się stało. Jako najbliżsi wiekiem, dzieliliśmy nasze losy przykre i wesołe, na każdy dzień powszedni. Kasia uczyła się pilnie, chociaż znajdowała w nauce więcej trudności od starszej Julci. Wynagradzała to uczynną gorliwością w pracy, zawsze gotowa na zawołanie mamusi i starająca się w lot zrozumieć potrzebę każdego. Stąd zasłużyła sobie u wędrujących po jałmużnie biedaków na miano „skowyrka i służącej”. Pierwszy przydomek odnosił się do jej delikatnej, ale zarazem zgrabnej i ruchliwej osoby, drugi natomiast do stałego zagonienia, ze szkodą dla zewnętrznego wyglądu gospodarskiej córki. Określenia te, tak bardzo proste, stały się trafne nie tylko na okres dziecienny, ale na całe życie. Kasia przez całe życie była uczynną sługą każdego człowieka, napotykanego na swej drodze.

Cicha i pobożna, poszła w ślady dwóch starszych sióstr i zapukała do furty klasztornej. Prędko znalazła się na usłudze tam, gdzie trzeba było zastąpić niezastąpionych w kuchni, w ogrodzie, w pralni, przy dzieciach i przy młodzieży raczej trudnej, dzisiaj rzeklibyśmy nieprzystosowanej. Dlatego zmiana placówek mnożyła się według potrzeby, bez względu na długi czy krótki pobyt w każdej z nich, jednym słowem, była na zawołanie.

Wojna zastała ją na wschodnich rubieżach kraju. Ciężka luka, stale naprężona, nie wytrzymała tej próby. Zdrowie załamało się poważnie, a dni spędzone na krzyżowym ogniu walk ciężkiej artylerii i dywizji pancernych w małej wioszczynie kresowej, dokonały reszty. Tylko z wielkim trudem udało się jej w towarzystwie siostry Julci przekroczyć „zieloną granicę” tak, że w beznadziejnym stanie dotarła do rodzinnej wioski.

W ciągu dziesiątki z górą lat, mimo pracy nad siły, nie traciła tej szczypty humoru, jakim odznaczają się dusze zdane we wszystkim na Wolę Bożą. Jej ideałem była zawsze i wszędzie Wola Boża, której się dopatrywała nawet we własnej szkodzi. Stąd ten spokój ducha i zrezygnowanie na los, który jej zamknął powrót za kraty.

Dzięki długotrwałej trosce mamusi, powrót do zdrowia i do dawnych sił stał się rzeczywistością. Trzeba było pomyśleć o ułożeniu sobie życia na miejscu. Mały skrawek pola uprawnego i część ugoru, stały się odtąd jej chlebem powszednim. Jeszcze przez krótki czas, po śmierci mamusi, zatrzyma się na stacji u brata wraz z Marysią, ale wkrótce wybuduje sobie mały domek na ugorze i pozostanie w nim do końca. Będzie „zakonnica” w świecie, jak sama mawiała, ale kiedyś potem żali się do dawnej koleżanki, już gospodyni, że trudne jest takie życie.

Oddaje się więc przede wszystkim całym sercem usłudze kościoła świeżopowstałego na wymarzonej placu w środku wioski. Przez wiele lat będzie kucharką, najpierw dojeżdżającego, a potem zamieszkałego w wynajętym domu, proboszcza. Zmieni się ich kilku. Trudno jej było pogodzić takiej pracy z gospodarstwem, ale chyba więcej na tym ucierpiało gospodarstwo, niżeli obsługa. To również poświęciła dla kościoła. Zapisła się do Trzeciego Zakonu i żyła nim całym sercem i całą duszą.

Z konieczności posługuje się odpłatną pomocą przy uprawie roli, przy zbiorach i przy pracach wymagających maszyn, inne czynności wykonuje sama. Dlatego ma okazje zapoznać się z rodzinami całej wioski, a one z nią. Staje się „siostrą Kasią” dla wszystkich, kto tylko może pomaga, bo tak trudno jest odmówić jej prośbie. Ona natomiast płaci lub odrabia osobiście przyjmując pomoc z wdzięcznością, a odmowę z wyrozumieniem. Lubi ludzi i lubi zwierzęta. Ludzie uśmiechają się do niej i odpowiadają pozdrowieniem na jej pozdrowienia, a nieliczne bydełko, które hoduje, przepada za nią. Mimo podszłego wieku, nie stała się w wiosce „ciotką”, ale do końca pozostaje siostrą Kasią.

Mój powrót z misji był zawsze oczekiwany, a podejmowanie z siostrzaną miłością i prawie z nabożeństwem. Moje pojawienie się tam na odludziu, wśród tętniącej życiem przyrody, należało do chwil błogosławionych. Czym chata bogata gościła i przyjmowała, a umiała to zrobić serdecznie i na poziomie, mimo całego ubóstwa.

Codziennie bywała na mszy św., a w niedziele i święta trafiała na drugie nabożeństwo i do innych kościołów. Tak na Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny po rannym nabożeństwie w swoim kościółku, udała się na wieczorowe do oo. bernardynów w Rzeszowie, jako na dzień odpustowy. Wychodząc z kościoła w pośpiechu na pociąg powrotny, została potrącona przez motocykl w biegu i nieprzytomną odstawiono karetką pogotowia do szpitala. Ciężkie obrażenia, z początku dawały nadzieję wyleczenia, nawet z chwilowym polepszeniem, ale przyszły powikłania i po dwóch miesiącach nieopisanych cierpień, przeniosła się do wieczności. Pogrzeb odbył się w kościółku, dla którego ofiarowała co miała najdroższego: długie lata ofiary i poświęcenia, i tam też oczekuje na zmartwychwstanie.

Już piąty z rzędu miejscowy kapłan, takie o niej daje sądy: „Mam o niej jak najlepsze i najchlubniejsze zdanie, ale to wszystko da się zrozumieć tylko w perspektywie głębokiej wiary i Krzyża Chrystusowego. Kasia była głębokiej wiary i bezgranicznej ufności w Opatrzność Bożą i na tym wygrywała przez całe życie, co dla ludzi nie będzie nigdy zrozumiałe, bo coś podobnego uchodzi u nich za dziwactwo. Chrystus za nią myślał i wszystko po swojemu załatwiał, bo Mu zaufała bez granic. Ludzie ją wyobcowali ze swego grona, a Chrystus wybrał ją ze świata dla siebie i dlatego świat jej nie rozumiał.

Zaskoczeniem dla mnie było, gdy mi mówiła, że dla niej jestem wyrocznią jak Chrystus, bo jestem kapłanem. W szpitalu nie mogła już nic jeść i nie pomagały nalegania lekarzy ani prośby najbliższych. Gdy ją poprosiłem wobec innych, przemogła wstręt do jedzenia i przełknęła coś niecoś, bo „tak ksiądz powiedzieli”. Ludziom się wydawało, że jej życie nie układało się w świecie, ale na pewno układało się dla Chrystusa i dla nieba.

W posłudze dla kościoła traktowała wszystko jako dla Pana Jezusa. Puryfikaterze, palki i korporaly były dla niej pieluchami dla Pana Jezusa. Dziękowała mi za to, że jej pozwalałem prać bieliznę kościelną i układać kwiaty. Kapłan był dla niej osobą nadzwyczajny i starała się zadbać nawet o jego zdrowie.

Zeszła z tego świata w czasie, w miejscu i w warunkach nie przewidzianych i nie zwyczajnych. Nawet pogrzeb, chociaż niezaplanowany, odbył się w odmienny sposób. Zwłoki przywiezione ze szpitala złożono przed pogrze-

bem w dzwonnicy przystosowanej na kaplicę, a to, że sam dzwon zadzwonił o północy, gdy ona leżała w trumnie, też pozostanie tajemnicą niezrozumiałą. Jej sposób myślenia i rozumowania był inny niż nasz. Bóg swoje tajemnice objawia nie mądrym tego świata, ale „prostaczkom”.

Od pierwszego wydania tych wspomnień minęło z górą ćwierć wieku i przyszła kolejka na złożenie „epitafium” najdłużej żyjącej z rodziny, siostry Julii, która pożegnała się z tym światem w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia. Mam jej wiele do zawdzięczenia, więc niech to będzie chociażby częściowym spłaceniem wielkiego długu wdzięczności. To skromne zadanie pragnę wykonać z pietyzmem i braterską miłością. Będąc najmłodszym w rodzinie, korzystam z wiadomości zasłyszanych od najbliższych, oraz z chwil przeżytych razem w czterech ścianach rodzinnego domu. Od początku zauważyłem serdeczność jej postępowania względem rodziców, odpowiadających wzajemnością. To u młodych może być powodem do zazdrości, ale ta wyjątkowa wymiana ich uczuć była dla mnie raczej wzorem do naśladowania. Nauczycielki z p. kierownikiem na czele, zresztą bardzo żyte z nasza rodziną, nie przestawały zachęcać rodziców do oddania wdzięcznej uczennicy „na nauki”, jak się wtedy wyrażało o dalszych studiach. Rodzice również liczyli na jej zdolności i ochotę do nauki, o czym już dawała świadectwo. A było to dziewczę w gorącej wodzie kąpane i to w podwójnym znaczeniu. Po pierwsze, rzeczywiście plątając się jako małe dziecko po kuchni za mamusią wpadła do odstawionego wrzątku tak, że jej życie zawisło na włosku, gotowe ulotnić się z oparami. Z drugiej strony, gdy była przekonana o dobroci swego postępowania, potrafiła postawić na swoim.

W szkole nie wodziła reju, ale miała grupkę koleżanek od serca. Dla wszystkich dobra i wyrozumiała, ale otwarta dla niewielu. Gdy jedna z nich idąc do sklepu zimową porą, pośliznęła się, a upadając stłukła jajka w koszyku, oraz przyszła do Julci zapłakana, ta cichaczem wybrała jaja z gniazd i po umyciu koszyczka oddała jej, by zakupiła za nie soli i drożdży, po które ją mamusia wysłała. Julcia natomiast, dopiero wieczorem ze łzami w oczach zgłosiła się do mamy z prośbą o przebaczenie za taki postępek, a potem tyle razy rezygnowała z podanej przy stole jajecznicy, ile jaj oddała koleżance. Umawiała się z nimi do codziennego uczęszczania na nabożeństwa majowe i październikowe oraz do spowiedzi w pierwsze piątki miesiąca. Gdy na wiosnę przyszedł czas na jagody a jesienią na inne owoce, zapraszała ich do rodzinnego sadu i po porozumieniu się z mamusią, gościła hojnie.

Tak minęły pierwsze lata nauki w dwuklasówce miejscowej i za protekcją nauczycielek, zapisała się do pełnej siedmioklasówki w pobliskim miasteczku Czudcu, oddalonym pięć kilometrów. Na dobry początek zamieszkała na przedmieściu w domu wujka, brata mamusi. Dobrze jest wiedzieć, że w owym czasie na roli, nauka była uważana raczej za przeszkodę w gospodarstwie, dla którego dzień był zawsze za krótki. Wujek był wyrozumiały, ale inni liczyli na pomoc domową w zamian za mieszkanie. Stąd od początku czas na pracę i na naukę stał się problemem trudnym do rozwiązania. Do tego przyłączyły się trudności przedostania się do szkoły zimową porą, gdy zaspasy śnieżne przykrywały polną drogę na całe dwa kilometry. Dlatego pierwsza zima zakończyła się obustronnym zapaleniem płuc. W miasteczku nie było szpitala, więc ratunkiem pozostał dom rodzinny. Czternasty dzień choroby

minął pod wrażeniem nie do opisania. Nawet ktoś z wioski przez ogólny alarm zgłosił się na pogrzeb... Życie znowu zawisło na włosku, ale szczęśliwa rekonwalescencja nie trwała długo. W szkole cały rok został zaliczony, a następne mieszkanie uproszono w samym miasteczku u ciotki, siostry mamusi.

Tatusz wzruszony wypadkami, znając stolarstwo, ustrugał krzeselko, ławeczkę, szafeczkę na książki i piórniki, zawiązał to wasażkiem w podarunku do osobnego kącika. Jednak i tym razem szczęście nie dopisało. Liczne rodzeństwo, mimo serdecznego przyjęcia, nie pozwalało na spokojne zajęcie się nauką. Jak świat światem, wycieranie obcych progów, nie było nigdy idyllą, nawet w młodym wieku.

Dopiero wynajęcie przy drodze wolnej stacji, gdzie starsza siostra Marysia podjęła się opieki i troski o to co było potrzebne, rozwiązało wszystkie problemy. Julcia, swoją dobrocią i gorliwością zdobyła sobie uznanie w gronie nauczycielskim i przy kościele. Już na wylocie z ostatniej klasy wydarzyła się miła impreza uroczystego wprowadzenia do kościoła obrazu świeżo błogosławionej Tereski od Dzieciątka Jezus, patronki młodzieży. Julcia otoczona gromem dzieci i wiernych z całej parafii, miała szczęście nieść w białych rękawiczkach obraz nowej Patronki ze szkoły do kościoła.

Dalsze studia zrobiła w Rzeszowie na ul. Grunwaldzkiej, w Wyższej Szkole Żeńskiej pod wezwaniem świętej Scholastyki. Był to okres dojrzewania duchowego pod kierownictwem stałego i światłego kapłana. Po celującym ukończeniu nauk, stało się coś nieoczekiwanego. Ona przez dłuższy czas była niemyim świadkiem starszej siostry Józki, starającej się dotąd na darmo o pozwolenie u tatusia na odejście z domu do służby Bogu w klasztorze. Chyba i ona już o tym marzyła, ale trzymała to w tajemnicy przed innymi. Na odkrycie tej tajemnicy, nadarzyła się trochę dziwna okazja rzucenia swego losu na szalę Woli Bożej. Gdy mamusia poważnie zaniemogła, ona przyrzekła, że jeżeli dobry Bóg zachowa mamusię i przywróci jej zdrowie, ona odda Mu się na służbę w klasztorze. Zaskoczenie było jeszcze większe, gdy wbrew prognozom lekarza, zdrowie mamusi w krótkim czasie powróciło do normy. W takich okolicznościach, tatusz widząc w tym palec Boży, nie odmówił ani jej, ani potem Józki, tego, o co prosiły. Niedługo w ich ślady jako trzecia poszła Kasia.

Krótko trwały przygotowania i wybór klasztoru. Kierownik duchowny przedstawił jej kilka z gromadzeń, ale poradził jedno, gdzie już jego rodzona siostra przebywała. Zakład św. Teresy na ul. Leona Sapiechy 30 we Lwowie, prowadzony przez siostry Opatrzności Bożej. Tam zgłosiła się w pierwszą sobotę października, w siedemnastym roku życia.

Częste listy do rodziny, pełne spokoju i troski o dobro duchowe swoich najbliższych, zadzierzgnęły więzy już odąd nieprzerwane w modlitwie, w radości z powołania i w zachęcie do służenia Bogu. Między innymi, specjalna troska o moje powołanie do służby Bogu, już kiedyś zaznaczone, przybrała na sile i wytrwałości. Za zgodą zainteresowanego wyjednała przez wstawiennictwo matki generalnej Marceliny przyjęcie dla mnie w zakładzie salejańskim dla kandydatów do kapłaństwa w Daszawie koło Strzyja.

Moje wizyty we Lwowie przy okazji powrotu na wakacje, wzmocniły te duchową łączność, która została niezłamana do końca. Potem wojna i okupacja

przerwały zewnętrzną łączność na dwadzieścia lat z górą do chwili, gdy już jako misjonarz mogłem odwiedzić rodzinne strony.

Na pierwsze dziesięciolecie w klasztorze, jeszcze w wolnej Polsce, złożyło się zapoznanie z duchem Zgromadzenia przez nowicjat do pierwszej profesji, kiedy to przyjmuje nowe imię siostry Sebastiany. Potem zdaje maturę i angażuje się już do pracy w domach wychowawczych dla dzieci i młodzieży opuszczonej.

Drugie dziesięciolecie otwarło się pod pręgierzem wojny, co przyniosło opuszczenie kolebki Zgromadzenia i grobu Matki Założycielki, dramaty za dramata. Okolice nadbużańskie stały się chwilową ostoją zagubionej owczarni... przecież powrócimy!

Okupacja - ta złowroga nazwa smutnej rzeczywistości, to zmora bez początku i bez końca. Prędko jednak przychodzi opamiętanie dla zaradzenia nowej sytuacji. Reorganizują się stare zakłady i otwierają się nowe, przynaglone odmiennymi potrzebami, jak napływ wysiedleńców z Poznańskiego i z Pomorza, pomoc przy parafiach obarczonych brakiem szkolnictwa. Związują się prędko pomoce naukowe dla młodzieży, tajne nauczanie, komplety dla gimnazjum i liceum. S. Sebastiana, jako przełożona domu, jest odpowiedzialna... „zawsze czujna, na straży, skora do działania, zapobiegliwa, pracowita.

Wszystko szło jak w zegarku, bez zdenerwowania i bez pośpiechu. Spokój i pogoda zawsze, w najbardziej złe dni. Stosunek do młodzieży wyrozumiały, lecz w razie potrzeby stanowczy i autorytatywny gdy zaszła potrzeba. Szła z radą i pomocą na poczekaniu. Dbała o porządek tak, że mimo prymitywnych warunków i nerwowego życia, wszędzie była czystość i ład” - tak wspomina jedna z nauczycielek.

Uczniowie byli nad wiek dojrzały. Wielu było zaangażowanych w działalność konspiracyjną, kilku zginęło, kilku zostało aresztowanych, byli świadkami łapanek, pacyfikacji wsi i grabieży, nie było ani jednej „wsypy”. Zdarzały się pojedyncze wypadki aresztowań wśród nauczycieli, niektórych wykupiła s. Sebastiana. Były momenty grozy ze strony okupanta. Wtedy dziewczęta z internatu przebierały się w stroje nowicjuszek. Pozostał z tego jednak ponury żart historii... szkoła przetrwała ciemną noc okupacji, a została zlikwidowana w „wolnej” Polsce.

Po wielu latach tak do nas napisała s. Sebastiana: „Cieszę się, że w ciągu tylu lat nie wygasła pamięć tamtych dni. To był czas szlachetnej, twórczej pracy nad kształceniem serc i umysłów młodego pokolenia w obliczu wielkich zagrożeń. Bóg był naszą mocą i siłą w pokonywaniu wszelkich trudności i niebezpieczeństw.”

Nie mniej bolesne były lata zniewolenia radzieckiego, podziału społeczeństwa i okrutnej walki o utworzenie rządów komunistycznych. W tym czasie nadarza się okazja dopełnienia studiów na kursach w Poznaniu i w zakresie filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim.

Następne dziesięciolecie będzie dla s. Sebastiany chlebem powszednim jako wychowawczyni, nauczycielki i katechetki w wielu placówkach Zgromadzenia, w szkołach publicznych i przy parafiach.

Przy dużym doświadczeniu pracy i życia zakonnego, otrzymuje zadanie sekretarki przy głównej przełożonej Zgromadzenia, a po roku zostaje wy-

brana na przełożoną generalną przez dwie kadencje. To są trudne czasy do przeżycia wraz z siostrami, wśród represji ze strony komunistów. Mieszka w Przemyślu. To jest dziesięciolecie bogate jak dotąd w krzyżyki, ale pod czujnym i miłosiernym okiem Opatrzności Bożej.

Będzie się troszczyć usilnie o nowy narybek powołań z przygotowaniem wykształcenia w jak najlepszej formie dla nowych zadań i potrzeb ludu Bożego, z nastawieniem przede wszystkim na świętość osobistą każdej kandydatki. Zakochana w Woli Bożej i usługach ducha śladami Marki Założycielki, porywa serca i rozpala do czynu, wśród walącego się świata, pożeranego przez smoka, który rozpętał otwartą nienawiść do wszystkiego co dobre i święte. Wielka Nowenna i Sobór Watykański II to pole do działania i oddania się sprawie Bożej bez reszty.

Ostatnie dziesięciolecie swej misji koncentruje na życiu wewnętrznym, jako opiekunka zastępu Junioratu, czyli młodych sióstr w okresie sześciu lat od pierwszej profesji do ślubów wieczystych. Czuje się tu jakby w swoim ulubionym żywiole. Równocześnie poświęca wolne chwile na prace nad archiwum, której owocem stał się zyciorys Matki Założycielki i historia Zgromadzenia w szczegółach, której streszczenie zostało umieszczone w Wielkim Słowniku Życia Konsekwowanego, wydanym przez księży Paulistów we Włoszech.

W tym czasie również staje się walną pośredniczką otworzenia przez Zgromadzenie zagranicznych misji w dalekiej Japonii, dla której pozostanie do końca życia blisko sercem, modlitwą i cierpieniem ostatnich dni. Dzieliła się z nami czym chata bogata, pozycjami książek religijnych w kraju, a moje odwiedziny rodzinnych stron, były uwieńczone przyjęciami w ważniejszych domach Zgromadzenia z kulminacją złotego jubileuszu kapłaństwa w rodzinnej parafii.

Mimo wielkich zajęć i odpowiedzialności, nie zapominała o domu rodzinnym. Od czasu do czasu wracała do swoich, a podczas okupacji, gdy tam odczuwali brak wszystkiego, przynosiła w torebce lekarstwa domowego wyrobu jak maści, herbaty, soki i już w wielkim mieście możliwe do zdobycia krople i pigułki. W wiosce były to rzeczy nieosiągalne. Zatrzymywała się kilka dni w domu brata Janka, a że jej dawna koleżanka, ta od koszyka ze stłuczonymi jajkami, stała się naszą bratową, radość była podwójna.

Doczekała się jeszcze za życia, rozpoczęcia diecezjalnego procesu beatyfikacyjnego Matki Założycielki, której zyciorys sama napisała. Zmarła w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia, 6 grudnia 2005 roku, przytomna do ostatniej chwili.



## Cztery strony świata

Chleba nam, Bogu dzięki, w domu rodzinnym nigdy nie zabrakło, ale też się nie przelewało. Trzeba było pracować i zabiegać od rana do nocy, by jakoś powiązać koniec z końcem. Wszyscy byli o tym święcie przekonani, a młodzi uczyli się oszczędzać w sposób naturalny. Życie rozumiane po Bożemu bez cienia fanatyzmu, dewocji lub kupczenia z Bogiem, charakteryzowało atmosferę naszego domu. Praktykowaliśmy naukę ewangeliczną. Uczęszczaliśmy więc na mszę św. w niedziele i święta i przystępowaliśmy do sakramentów pokuty i ołtarza kilka razy do roku, oraz w większe uroczystości. Braliśmy chętnie udział w uroczystościach odpustowych w pobliskich parafiach, jak również w rekolekcjach czy misjach. Do tego dochodziły: pierwsze piątki miesiąca, poświęcenie i oddanie się całego domu w opiekę Sercu Jezusowemu, pielgrzymki do miejsc świętych, ale przede wszystkim stała troska mych sióstr o głębszą łączność z Bogiem. Uczęszczały one co tydzień do komunii św., odmawiały różaniec, czytały książki pobożne, Żywoty Świętych i Pismo Św. W domu rodzinnym panowała więc atmosfera głęboko religijna.

### Pierwsze porywy ku kapłaństwu

Pamiętam, w dziewiątym roku życia, wyrwałem się z twierdzeniem, że „pójdę” na księdza, jak się potocznie mówiło. Takie publiczne wyznanie wywołało śmiech. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że sprawa jest poważniejsza niż myślałem i trzeba się nad nią bacznie zastanowić. Zacząłem się więcej modlić. Wyprosiłem też u mamy podróż do zakładu znanych księży zakonnych w Dębowcu, z nadzieją, że mnie tam przyjmą. Gdy wyjazd się odwlekał, zdobyłem się na strajk głodowy: dopóki nie zostanie ustalona ta sprawa, nie tknę pokarmu. No i na moim stanęło! Siostry ogromnie się ucieszyły i to dodało mi odwagi. Wyruszyliśmy w pierwszą podróż w moim życiu. Pierwszy raz pociągiem i to blisko godzinę, aż do Jasła... Potem jeszcze sporo kilometrów pieszo i przestąpiłem progi zakładu. Zaprowadzono nas do pokoju gościnnego, skąd przez okno można było oglądać podwórze w czasie przerwy między lekcjami. Chłopcy w różnym wieku bawili się w ganianego, grali w piłkę, gimnastykowali się na przyrządach, część zaś przechadzała się z przełożonymi. Nagle dzwonek się odezwał i cała gromada w milczeniu pobiegła do wnętrza, na pewno na lekcje. Urzekł mnie ten widok, spodobało mi się to życie.

Wszedł ks. dyrektor, człowiek niski i przysadzisty, o oczach pełnych dobroci. Rozmawiała z nim mamusia. On wziął mnie za rękę, powiedział jakieś dobre słowo, ale nie dał nadziei na przyjęcie: — Dziewięć lat to dla nas jeszcze za młody. Może na drugi rok do pierwszej klasy. Proszę napisać za rok...

i poprowadził nas do kaplicy. W głównym ołtarzu zobaczyłem piękny obraz Matki Bożej Bolesnej pod krzyżem... Poczułem radość, że tu będę przychodził się modlić.

W domu wszyscy przyjęli wiadomość z przejęciem. Do nauki zabrałem się jeszcze z większym zapałem. Pan kierownik był zadowolony. Czekałem na koniec roku szkolnego jak kania na deszcz. Ułożyłem podanie z pomocą Marysi i... nadeszła odpowiedź, którą oblałem łzami. „Przyjmujemy tylko do drugiej klasy, przeto radzimy raczej udać się do gimnazjum państwowego”... Dla mnie był to piorun z jasnego nieba i pierwszy zawód w moim życiu.

Zacząłem przygotowania do gimnazjum: korepetycje i egzamin. Jakoś dostałem się do pierwszego gimnazjum w Rzeszowie na ul. Trzeciego Maja, klasa IB. Ale z nauką tragedia. Początek łaciny szedł mi jak po grudzie, nawet z polskiego i matematyki, w której czułem się pewny, teraz krucho. Dlaczego koledzy wszystko w lot pojmują? Skąd ta ich wiedza. Jeszcze nauczyciel nie wytłumaczy a oni już rękę podnoszą. Tymczasem najcenniejsze książki gdzieś giną: czytanki historyczne i bogata w obrazki zoologia. Ponownie zakupione i znowu ich nie ma... aż odnalazłem je w sklepie książek używanych. Zawiadomiłem wychowawcę i sędownie książki odzyskałem, ktoś z kolegów został wydalony. Do tego jeszcze przyłączyła się poważna choroba mamusi. Tego już na pierwsze półrocze za dużo i orzeczenie: słaby z łaciny i języka polskiego, nie możemy darować chesnego. Więc przynębiony i zrezygnowany wracam do domu. Poczułem wielki żal do losu.

Dalsze kilka lat spędziłem w domu bez większych zmian. Tylko w sercu tliła się jednak nadzieja. Zacząłem się modlić o łaskę powołania misyjnego, a jak trudno mi było wtedy oderwać się od otwartego tabernakulum. Zdawało mi się, że z zawarciem się drzwiczek spływa na mnie noc, ciemność nieprzebita. Jakby po omacku wracałem do codziennych obowiązków z pamięcią na Józję, która przechodziła jeszcze cięższe chwile, a jednak była zawsze pogodną i pełną ufności w Bogu. Wierzyłem, że Bóg może pokieruje wszystkim tak, by się spełniła Jego Wola. Siostry również, już w zakonie modliły się za mną. Wiedziałem o tym z listów i obrazków, które mi przysyłały.

Julcia zaczęła działać przez jej generalna zgromadzenia matkę Marcelinę. Sprawa ruszyła naprzód. Na moją prośbę nadeszła odpowiedź przychylna przyjazdu do „drugiej klasy” w zakładzie księży salezjanów w Daszawie. Przed wyjazdem do zakładu, tatuś zwrócił się do mnie w tych słowach: „Widzisz, siostry poszły służyć Bogu. I tobie nie bronię, ale dobrze namyśl się, żeby to nie był słomiany ogień. Aby pokryć koszty na twoją naukę musimy sprzedawać pole. Masz wóz i przewóz: pozostaniesz tam, to wyjdiesz na człowieka. Ale gdy powrócisz w czasie nauk, to będziesz szukał sobie innej pracy, albo pójdiesz po jałmużnię. Zapisz to sobie dobrze w głowie”. Nauka nie poszła w las...

## **Życie i praca w zakładzie księdza Bosko**

Kresy Wschodnie znane nam najlepiej z Trylogii Henryka Sienkiewicza, odegrały wielką rolę w historii naszego kraju. Szczególnie Lwów (jako stolica Małopolski, zachował do dzisiaj tajemnicę kochanego miasta przez bliższych i dalekich, geograficznie położony na granicy Zapadliska Podkarpac-



kiego, centrum kultury i nauki. Cmentarz Łyczakowski i Orląt, Panorama Raclawicka, nagrania z katedry Św. Jura uroczystości Wielkiego Tygodnia, albo jeszcze z Lwowskiej Fali „Szczepcio i Tomcio”, ulubieńców Polskiego Radia, któż nie pamięta! W tamtej to okolicy, w latach trzydziestych odkryto złoża gazu ziemnego, Daszawa, Jaszczew, Roztoki, Strachocina.

Ks. prałat Jan Trzopiński proboszcz parafii w Kochawinie, sławnej w archidiecezji lwowskiej z cudownego obrazu Matki Bożej, Jasnej Góry Ziemi Lwowskiej, gorliwy kapłan i patriota, aby przynajmniej częściowo zapobiec wzrastającej emigracji z Galicji polskich ubogich rodzin do Ameryki, zakupił w 1902 roku przeznaczony do parcelacji dwór Dewiczów w uroczej Daszawie, leżącej 14 kilometrów na wschód od powiatowego miasta Stryja. Rozparcelował go pomiędzy sprowadzonych tutaj kolonistów z powiatu żywieckiego oraz innych stron Polski. Ks. prałat po zwiedzeniu zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu, za zgodą ks. arcybiskupa lwowskiego Józefa Bilczewskiego postanowił organizującą się placówką duszpasterską przekazać salezjanom, by nie tylko zajmowali się w powierzonej parafii pracą duszpasterską, ale byli tak jak w Oświęcimiu, bastionem polskości na wschodnich rubieżach, oraz animatorami i organizatorami życia religijnego, kulturalnego i społecznego.

W czerwcu 1904 doszło do wizyty przełożonego zgromadzenia salezjanów Michała Rua i w krótkim czasie wybudowano kaplicę a w 1907 zorganizowano Małe Seminarium Duchowne, przeznaczone dla tzw. Synów Maryi, tj. młodzieńców starszych wiekiem od 16 do 30 roku życia, pochodzących ze wszystkich trzech zaborów.

Salezjanie realizując wyżej wspomniany program pracy, w wolnej i niepodległej Polsce, zorganizowali bibliotekę, organizowali różne odczyty i urządzali religijne przedstawienia dla gromadzącej się licznie publiczności. Dzięki zabiegom ks. proboszcza Jana Bujara z pomocą społeczeństwa i kierownictwa szkół w 1922 roku wybudowano na terenie parafii dwie szkoły, jedną w Daszawie, a drugą w kolonii Karczunku, oraz przy znacznej pomocy finansowej, otrzymywanej z tytułu eksploatowanego na gruntach salezjańskich gazu ziemnego, ukończono w 1917 roku budowę Domu Ludowego, w którym organizowano dla wiernych różne spotkania, kursy kroju i inne zebrań; Małe Seminarium natomiast po rozbudowaniu, mogło przyjąć ponad stu osiemdziesięciu uczniów.

W kaplicy zakładowej stała piękna statua Matki Bożej w koronie na głowie, z berłem w dłoni i Dzieciątkiem na ręku. Oddałem się Jej w opiekę z wiarą i dziecinną ufnością. Ks. dyrektor od pierwszego spotkania zyskał moje pełne zaufanie, darząc sam wszystkich wielką serdecznością. Przy pomocy Bożej i dobrych profesorów, uczyłem się pilnie i otrzymywałem dobre stopnie i to nie tylko z łaciny i języka polskiego. Trzeba było na to dużej dojrzałości.

Zakład w Daszawie składał się z pięknego parterowego dworku, zwróconego ku drodze, od której dzielił go duży plac, służący nam za boisko sportowe. Obok tego szlacheckiego albo raczej wielkopańskiego dworku stał dwupiętrowy gmach z czerwonej cegły, jeszcze nieotynkowany, który zamykała w kierunku drogi wyżej wspomniana kaplica. Za gmachem sadzawka na ryby z figurą Matki Bożej na małej wysepce w środku. Zimą było to miejsce dla łóżwiarzy, pełne życia i gwaru. Dalej ciągnęły się zabudowania gospodarskie

i duży młyn, który koncertował nam bezustannie motorem na gaz ziemny. Szerokie pola oraz sad i ogród dopełniały gospodarstwa wielkiej rodziny.

A w tej rodzinie było około piętnastu przełożonych, wśród których sześciu księży - tyłuż studentów teologii na trzyletniej praktyce wychowawczej, kilku braci oraz stu osiemdziesięciu i więcej wychowanków. Chłopcy pochodzili z różnych stron Polski: z poznańskiego, kieleckiego, lubelszczyzny, białostockiego, warszawskiego, z Małopolski, ze wschodnich stron, a nawet ze Śląska, chociaż i tam znajdował się podobny zakład.

Przed wyjazdem na wakacje tworzyliśmy grupki po dziesięć osób, bowiem przysługiwała wówczas zniżka 80 procent. Jedna osoba, która pełniła przewodnika, była gratis. Chwaliliśmy wtedy Boga i PKP za takie ulgi dla biednych uczniów. W powrotnej drodze przyłączali się często nowi koledzy, którym podawano z zakładu adres do przewodnika grupy. Zamawiając bilety, otrzymywało się równocześnie miejsca zarezerwowane w separatkach według liczby uczestników.

Zakład nie był przeznaczony jedynie dla kandydatów do stanu kapłańskiego. Było w nim miejsce dla wszystkich potrzebujących opieki. Panowała w nim pełna wolność dzieci Bożych. Nauka na pierwszym miejscu, a potem sport, przysposobienie wojskowe, stowarzyszenia religijne i szkolne, LOPP, straż pożarna - skupiały zainteresowania wychowanków. Modelarstwo, łyżwiarstwo, śpiew, gra na instrumentach muzycznych, kapela, orkiestra, teatr - oto pozalekcyjne zajęcia wychowanków. Karność i porządek, przy serdecznej zażyłości z przełożonymi i kolegami, tworzyły atmosferę prawdziwej rodziny, gdzie każdy czuje się użytecznym i potrzebnym. Wzajemne zaufanie i czynność spotykało się wszędzie.

Z pracą fizyczną poza codziennymi zajęciami przy trzymaniu porządku w domu, mieliśmy do czynienia jedynie w czasie wykopków, które trwały trzy dni. Podzieleni wówczas na grupki, zbieraliśmy ziemniaki ochoczo. Pod koniec trzeciego dnia piekliśmy ziemniaki przy ognisku. W nagrodę za pracę odbywała się całodzienna pielgrzymka do sanktuarium Matki Bożej w Kochawinie, około ośmiu kilometrów drogi. Całe tamtejsze osiedle było wtedy na nasze usługi. Dzieci ze szkoły podstawowej miały dzień wolny od nauki, by mogły wziąć udział we wspólnym nabożeństwie, a potem wysłuchać koncertu i oglądnąć przedstawienie w ich szkole.

W zakładzie naukę prowadzili młodzi i starsi profesorowie, a cała organizacja życia klasztornego ułatwiała gorliwe przykładanie się do nauki.

Codziennie miała miejsce msza św. z różańcem, śpiewy religijne i krótka lektura o charakterze duchowym. Nawiedzenie Pana Jezusa w kaplicy stanowiło przyjęty zwyczaj, zwłaszcza po posiłkach lub po rekreacji. Modlitwy wieczorne odmawialiśmy poza kaplicą, w miejscu najdogodniejszym do zebrania, a więc w salce rekreacyjnej, lub na szerokim korytarzu. W niedziele i święta braliśmy udział w drugiej mszy św. z mszalikiem w rękę, tak prawie jak dzisiaj, ale po łacinie. Po południu zaś śpiewaliśmy nieszpory po polsku.

Teatr, akademie, koncerty prowadzili odpowiedzialni profesorowie klerycy lub bracia. Z wyjątkową dokładnością przygotowano „Mękę pańską”, którą wystawiano kilka razy dla osiedla, jak również i dla okolicznej ludności. Mieliśmy do dyspozycji jeden wagon towarowy na bocznicę, w którym

mieściły się rekwizyty teatralne. Wyjeżdżało się w sobotę rano i powracało w poniedziałek po odegraniu „Misterium Pasyjnego”. W sobotę wieczór i w niedzielę grano „Mękę Pańską” dla wojska, młodzieży i starszych. Jednego roku, grając na scenie Piotra, pamiętam taką podróż do Borysławia na Niedzielę Palmową w wielkim salonie miejskim. Wystawialiśmy również corocznie Jasełka, jak i inne sztuki teatralne.

## W nowicjacie w Czerwińsku

W ten sposób kilka lat pobytu w zakładzie minęło jak jedna chwila i nadszedł dzień pożegnania. Nasz rocznik jak i poprzednie rozsypał się po świecie na cztery strony. Z szesnastu rozpoczynających drugą klasę większość poszła w świat, kilku do seminarium diecezjalnego, czterech zgłosiło się do Zgromadzenia Salezjańskiego. Udając się do nowicjatu w Czerwińsku koło Warszawy. Tam spotkali się młodzieńcy z całej Polski w liczbie siedemdziesięciu. Nowicjat trzeba przeżyć. Odbywa się w nim formacja zakonna według ducha założyciela. Tam stawia się pierwsze kroki na drodze swego powołania.

Czerwińsk! - Któż o nim nie słyszał? Tu Jagiełło przeprowadził się w stronę Grunwaldu, tu obrała sobie siedzibę cudami słynąca Matka Boska Czerwińska. Przed Jej obrazem otrzymaliśmy sutanny, u Jej stóp złożyliśmy śluby zakonne. Pod Jej tchnieniem dojrzało i zrealizowało się moje powołanie misyjne. Prosiłem Ją o tę łaskę w każdej konsekracji mszalnej. Zostałem wysłuchany, a rzecz miała się bardzo prosto.

W połowie kwietnia 1937 roku zawiadomił nas ks. magister Gola, że na specjalnej audiencji u Ojca Św. nasz Przełożony Generalny przyrzekł wysłać w ciągu dziesięciu lat tysiąc ochotników na misje. Polskie prowincje otrzymały propozycję wysłania tego roku ośmiu misjonarzy. — Niech więc każdy z nowicjuszy - mówił ks. Gola - namyśli się i jeśli chciałby zaraz po nowicjacie udać się na misje, niechaj złoży podanie. Może nawet wyrazić swe życzenie, do jakiego kraju chciałby pojechać. Zaszumią jak w ulu. Wszyscy się rozentuzjasmowali. Zdwoiłem modlitwy i spokojnie napisałem prośbę:

*„Przew. Księża Inspektorze! Od młodych lat moim wielkim pragnieniem było pracować dla chwały Bożej nad własnym uświęceniem i zbawieniem dusz. Zwracam się przeto do Przew. Ks. Inspektora z gorącą prośbą o wysłanie mnie na misje. Ufam, że za łaską Maryi Wspomożycielki i św. Jana Bosko, pragnienia moje się ziszczą, a Przew. Ks. Inspektor przychyli się łaskawie do mojej pokornej prośby. Polecając się modlitwom i ojcowskiej troskliwości Przew. Ks. Inspektora, kreślę się z głębokim szacunkiem. Czerwińsk, nad Wisłą, dnia 18 kwietnia 1937 r.”*

i czekałem na pozór cierpliwie. Po kilku dniach ks. magister poinformował nas, że prośbę o wyjazd złożyło czterdziestu ośmiu nowicjuszy. W najbliższych dniach z okazji przyjazdu przełożonego dokona się wyboru. Zdałem się na wole Bożą i zacząłem się modlić za tych, którzy pojedą... Po kilku dniach ks. magister ogłosił nazwiska szczęśliwców. I oto niespodzianka: na szóstym miejscu padło moje nazwisko. Dwóch pojedzie do Palestyny, dwóch do Brazylii, dwóch do Peru i dwóch... do Japonii. Oczy wybrańców zaszyły łzami szczęścia. Poszliśmy przed cudowny obraz podziękować Matce Bożej, a wie-

czorem trudno było oczy zmrużyć... Śluby miały odbyć się trzeciego sierpnia, więc podwójne przygotowania. Do domu nie pisałem wcześniej, by nie narażać się na wstyd w razie odmowy. Teraz powiadomiłem siostry w klasztorze. Niech one uprzedzą mamusię. Wszyscy dziwili się, bo nigdy nie mówiłem o misjach.

Pojechałem do domu na wakacje. Trwały one miesiąc. Ojca straciłem kilka lat temu, pożegnałem się więc z nim na cmentarzu, a swoich bliskich uściskałem w domu i bez rozgłosu wyjechałem do Krakowa już z paszportem w rękę. Z siostrami pożegnałem się w ich klasztorach we Lwowie i Jedłowniku na Śląsku.

W Krakowie stawiło się nas czterech w Szkole Ogrodniczej, inni nie otrzymali jeszcze paszportów. Załatwiając wizy przejazdowe, chodziłem pieszo ze starszym księdzem, który w wypłowiałej sutannie i żołnierskich butach kroczył śmiało i wytrwale. Zaciekawiał mnie ten kapłan, więc zapytałem kogoś, kto to jest. Powiedziano mi, że to ekonom inspektorialny, z domu hrabia Włodzimierz Szembek. A ktoś z obecnych dodał: „Przypatrz mu się dobrze. Jeśli potrafiś go naśladować, to będzie z ciebie człowiek. On uczy ubóstwa czynem a nie słowem.”

Siódmego października 1937 r. o północy przekroczyliśmy granicę Polski w Zebrzydowicach. W Turynie, czternastego tego miesiąca, otrzymaliśmy krzyże misyjne w pokoju ks. Bosko. W dwa dni potem wyjechali koledzy do Palestyny. Nasz wyjazd do Japonii odwlekał się do końca miesiąca. Przez ten czas zwiedzaliśmy kościoły i okolice. Poza tym, chcieliśmy jak najprędzej poznać język włoski i dlatego uczyliśmy się go bardzo intensywnie.



## Pierwsze wrażenia na okręcie

Dwudziestego ósmego października, w święto narodowe Włoch, odbiliśmy od brzegu w Genui na niemieckim okręcie Gneisenau, w samo południe przy dźwiękach orkiestry i suto zastawionych stołach. Zagrała syrena na pożegnanie, odpowiedziały jej inne statki zakotwiczone w porcie. Miasto z białymi domkami stopniowo oddalało się na horyzoncie. Jakoś dziwnie ścisnęło za serce. Morze było szare i niespokojne. Wróciliśmy z pokładu do kajuty. Okręt duży, obszerny, posiadający tylko dwie klasy: pierwszą i ekonomiczną, bez większych przedziałów. Wydawał się jakiś pół-wojenny, bo na rogach i po bokach stały zakryte działa... Kajuty klasy ekonomicznej były różnej wielkości: po dwóch, czterech i sześciu ze stolikiem, krzeselkami i przyborami do picia. Pasażerów mało, za to misjonarzy i misjonek spora grupka, bo około 50. Większość weterani, powracający na misje z odwiedzin w kraju. Irlandczycy, Belgowie, Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Włosi no i Polacy. Salezjanów prawie dwudziestu. Jechali do Egiptu, Indii, Chin, na Filipiny i do Japonii. Tych ostatnich było ośmiu: nas dwóch i sześciu Włochów bardzo młodych, bo liczących zaledwie po piętnaście lat. Nowicjat mieli odprawić na miejscu. Starszy misjonarz z bujną brodą powracał do Chin i on stał się naszym przewodnikiem. Wiózł dla swej misji jednego księdza Niemca i dwóch kleryków, Irlandczyków po nowicjacie tak jak my. Szybko doszło między nami do zażyłości. Oni również mało znali język włoski, więc nie czuliśmy się osamotnieni.

Wieczorem długo błakaliśmy się po pokładzie. Kolacja nie smakowała, nogi się uginały. Odmawiamy modlitwy wieczorne grupkami po łacinie i idziemy na spoczynek. Okręt się kołysze, głowa ciąży niesamowicie. Ale nareszcie zasypiam. Po takiej nagłej rozłące, wracają lata dziecinne, obrazy żywe i nostalgiczne... zima siostry są w szkole, odwracam kartki kalendarza ściennego, przysłanego przez stryjka z Ameryki. Nudzi mi się ogromnie bez sióstr, już umiem trochę czytać, chociaż jeszcze nie chodzę do szkoły, a chciałbym iść chociażby dzisiaj przy tych zadymkach. Na kalendarzu stoi wielkimi literami: Transoceanic Lines of United States of America, z których rozumiem tylko ostatnie słowo Ameryka, a na dole już wszystko: LUTY, a potem Ignacego, M.B.Gromniczej, Błażeja, Weroniki, Agaty, Doroty, Romualda, aż do ostatniego, Romana... I wizja się zmienia: jest wiosna, zbieram jagody, które brat Janek rzuca mi z trześni. Widzę, jak pani nauczycielka powraca ze szkoły. Zostawiam jagody i biegnę do drogi: — Dzień dobry pani! — Dzień dobry dziecko, a kiedy to przyjdiesz do szkoły? — Tak, proszę pani, ale ja jeszcze nie mam kalety na książki... I jeszcze ciąg dalszy: przygotowanie do pierwszej komunii św. Ks. katecheta skończył egzaminować, idziemy do spowiedzi. Ks. proboszcz i on spowiadają w przeciwnych kaplicach. Dzieci jedno po drugim uchodzą z kaplicy ks. proboszcza do ks. katechety, tu konfesjonał pustoszeje, a tam ogonki rosną. Już miałem zwać i ja, ale ks. katecheta

przyprowadza pół ogonka ze swojej kaplicy i kolejka na mnie, więc pozostałem i nie żałuję, bo ks. proboszcz też taki dobry, ale bo to pierwszy raz tak z bliska z nim rozmawiałem.

Boże Narodzenie... zima, daleko do kościoła... nie wszyscy mogą udać się na Pasterkę... Wieczera Wigilijna z cudownie przystrojoną choinką, sianem i opłatkiem... A potem ze śpiewaniem kolęd w każdy wieczór, ale to nie koniec na tym. Grupki starszej młodzieży jako kolędnicy, nawiedzają domy z Gwiazdą, z Herodem, z Turoniem, a nawet z Pierwszymi Rodzicami, z Wężem i Aniołem z Raju, ale dla młodych nie ma miejsca. Dlatego w piątkę organizujemy obchody z Szopką. Korzystając z Jasełek wyczytanych w kanticzce, przygotowujemy przedstawienie z „szopką” zmaistrowaną do łatwego przenoszenia. Na osobnych deseczkach Marysia, artystka z Bożej woli, wymalowała Świętą Rodzinę, Aniołów i zwierzęta, wyglądające jakby prawdziwe. Przedstawienie rozpoczyna się uroczystymi życzeniami i opisem tego wielkiego wydarzenia. Pierwszą odsłonę stanowi Zwiastowanie Anioła pasterzom, ich podróż do szopki, pokłon i złożenie darów. Gdy obecni zaśpiewają kolędę, pasterze powracają pospiesznie za zasłonę, by się przebrać za Trzech Króli i podobnie jak pasterze, złożyć pokłon i dary, też wyuczone z pamięci. Nowa kolęda odśpiewana przez wszystkich obecnych kończy przedstawienie w bardzo serdecznej atmosferze, trwające pół godziny. Jednego wieczoru odwiedzamy cztery domy, gdzie zbierają się również sąsiedzi. Stąd cały okres świąteczny jest przeżywany mile i pożytecznie... A dzisiaj dzień pierwszej Komunii Św. Raniutko ubieram nowe ubranie, siostry przypinają do marynarki zielony bukiet, dają do ręki świeczkę obwiązana białą wstążeczką, ale jakoś niewygodnie i nieswojo z tą świecą. Co gorsza już w kościele świeca grzeje się od ręki i pochyla, krzywi się, poprawiana znowu się pochyla przez całą mszę św. Jak by to było dobrze bez świecy, można by więcej pomyśleć i spokojniej o Panu Jezusie, a tu znowu świeca się gniewa i tak do samego końca. Nawet w czasie wspólnej fotografii pamiątkowej: „Oj, ten chłopak z krzywą świecą” - woła fotograf - „Trochę w prawo, nie widać go!”

Budzę się zmęczony. Wstajemy i udajemy się do biblioteki. Pochmurno. Twarze białe, niewyspane. Już gotowy ołtarz do odprawiania, więc księża po kolei celebrują, a my im asystujemy. W jadalni mało gości, może zaspali, albo nie czują się dobrze. Po południu przepływamy między Scyllą i Charybdą. W oddali dymi Etna, pierwszy czynny wulkan przez nas oglądany. Fale morskie rosną i kotłują się przedziwnie we wszystkich kierunkach. Ludzie obeznani z morzem nie obciążają zbyt mocno żołądka i radzą unikać napojów. Po kolacji idziemy zaraz na spoczynek. Ja znowu zapadam w krainę wspomnień... co za niesprawiedliwość, mamy rzekę niedaleko, ale tylko obcy za opłatą mogą sobie pozwolić na łapanie ryb, a tu nawet dzieciom nie wolno się zabawić w wędkarza. Mimo zakazu idziemy z kolegą do rzeki, przekonani, że i tak nic nie ułowimy, ale to nic nie szkodzi. Wystarczy naśladować tamtych z kijem w rękę, ale co ważniejsze porozmawiać sobie o naszych wspólnych tajemnicach. Obaj pójdziemy na księdza, on jako starszy będzie proboszczem, a ja wikarym, on będzie odprawiał prymarię, a ja sumą. Nie wiemy jeszcze jak się to stanie, ale na teraz musimy nauczyć się dobrze czytać najpierw litery

pisane czarnym atramentem, a potem nawet te pisane czerwonym atramentem, ale wszystko w tajemnicy...

...Obraz zmienia się. Lubię ogromnie muzykę. Janek ma skrzypce, ale dla mnie są za duże. Kupiłem sobie fujarkę ręcznej roboty za 50 groszy, ale co mi się spodobało to klarnet, jaki widziałem u wujka na szafie. On dawniej grywał w kapeli, ale już go nie używa. Pytam głośno ciocię tak, by i on słyszał, czy dużo kosztuje taki piękny klarnet, bo ja dawno marzę o takim instrumencie, ale chyba nie stać mnie na coś tak wspaniałego. Ciocia się uśmiechnęła i spojrzała znacząco na wujka, a on poważnie zwrócił się do mnie: „Jak mi przyniesiesz dolara, to ci go dam”. Cały tydzień chodziłem za dolarami i prosiłem, zastawiając wszelką posiadłość, nawet królika, niedawno otrzymanego w podarunku za poganianie końmi w kieracie. Dopiero w sobotę znalazł się dolar. Janek mi się o niego wystarał, taki był dla mnie dobry. Ja też odwdzięczałem się mu czasem. Gdy on zabawiał się z kolegami w strzelanie z wiatrówki, brałem w dwa palce pudełko od zapalek, a on kilkanaście kroków z dala strzelał i pudełko wylatywało. Koledzy się dziwili, że nigdy nie spudłował, tacy byliśmy pewni...

Następnego dnia morze spokojniejsze. Z rana przepisowe ćwiczenia straży pożarnej z przeszkoleniem pasażerów na wypadek opuszczania okrętu. Marynarze przez pomyłkę oblali kilku pasażerów woda z pompy, chociaż na śmigusa w tym roku już za późno. W dali bieleją spadziste brzegi wyspy Krety. Św. Paweł był tam w trochę odmiennych okolicznościach i w innym czasie. Jutro niedziela, ostatni dzień października. Msza św. w salonie pierwszej klasy dla wszystkich katolików. Nie widać tu ani jednego marynarza, widocznie protestanci. Ewangelie odczytano w trzech językach: po niemiecku, angielsku i włosku. Przed południem zawijamy do pierwszego portu: Port Said. Mnóstwo wylawiaczy monet, sprzedawców pamiątek i handlarzy walutą otoczyło statek, a część nawet weszła na pokład. Postój był dość krótki, tylko na redzie i zaraz odpłynęliśmy w stronę Kanału Sueskiego. Uroczystość Wszystkich Świętych zaznaczyła się bielą. Personel włożył białe mundurki, pasażerowie lekką garderobę, bo robi się nadzwyczajnie gorąco. Przeplływamy kanał mijając górę Synaj bez zatrzymania się nigdzie. W dniu zaduszek Morze Czerwone pali bez miłosierdzia i dopiero wieczorny obiad galowy na przyjęcie pasażerów daje nieco ulgi. Rozdano wszystkim drobne pamiątki pocztówki z okrętu, kolorowe kapelusze i wachlarze, te ostatnie wyrobu japońskiego. Pierwszy raz mamy w rękę przedmioty naszej nowej ojczyzny. Pismo niemożliwe do odcyfrowania, a może to tylko kreski ozdobne?

Znowu jeden dzień za nami. Rano zatrzymujemy się u wyjścia z Morza Czerwonego koło pięknej wysepki. Z obu stron toczy się rozmowa za pomocą chorągiewek: szpital prosi o zastrzyki przeciw ukąszeniom żmii. Przyplływa biała motorówka, obniżają się schody i małe zawiniątko przechodzi z ręki do ręki.

Dzisiaj urządzamy dzień skupienia. Kilka myśli podaje nasz przewodnik po włosku. Zrozumiałem prawie wszystko. Bogu dzięki. To mnie podnosi na duchu. Wieczorem ogłaszają uroczysty bal na pokładzie klasy ekonomicznej, jako obszerniejszym. Cała grupa misjonarzy zabiera obfity poczęstunek ze słodyczami i udaje się na górny pokład pierwszej klasy, wygodny, luksusowy.

sowy. Siadamy w pięknych fotelach i przy miłym chłodzie śpiewamy Bogu na chwałę we wszystkich językach, jakie znamy. Trwa to do późnej nocy przy blasku księżyca w pełni. Okręt mknie, świecące ryby ciągną się jasną smugą za pianą śrub okrętowych - serca napełniają się otuchą... jesteśmy na Oceanie Indyjskim.

Po śniadaniu załoga okrętu zaprasza misjonarzy na zwiedzanie urządzeń statku. Oglądamy nowoczesne sposoby sygnalizacji, automatyczne dzwonki przeciwpożarowe, mostek kapitański. Część maszyn itd. Ale chętnie wróciliśmy do siebie z powodu silnego kołysania. Na obiad i na kolację tylko lekkie posiłki, a wielu przedwcześnie kładzie się do łóżka. Podłoga zapada się i podnosi z wielkim odchyleniem, aż robi się nieswojo, z trudnością zasypiam...

Mówi się, że sny zapraszają do krainy eskimosów... nieprawda, bo do swojej... Wyprosiłem nareszcie pozwolenie na pielgrzymkę ze starszym kuzynem. Rano z pośpiechem zawlokłem konikami szmat ziemi, a po obiedzie w drogę 25 km przed nami. Józio już był w Rzeszowie kilka razy pieszo, ja pierwszy raz, więc polegam na nim jak na Zawiszy. Idziemy koło cmentarza w las i polnymi drogami, rozmawiając o swoich i gdzie się zatrzymamy na nocleg, o której wstaniemy na modlitwę. Tylko raz zatrzymaliśmy się dla przekąski, pięć godzin marszu prawie po wojskowemu, on już wysłużony, więc dobrze wie o tym. oo. bernardyni udzielili nam noclegu w szopie na gołej słomie. We wrześnie z wieczora robi się chłodno, ale zmęczeni zasypiamy. Około północy czuję, że nareszcie w nogach robi się ciepło, ale nogi jakoś drętwieją, na pewno ze zmęczenia. Otwieram oczy, słucham, zegar wybija godzinę czwartą, czas wstawać, ale z nogami ani rusz. Dotykam ręką i ciarki mnie przechodzą. Na moich nogach rozłożony śpi ogromny wilczur. Wołam i budzę kuzyna, ale i pies się budzi i układa obok. Wstajemy, idziemy do kościoła odprawić modlitwy, Drogę Krzyżową i przygotować się do spowiedzi. O piątej nadchodzą spowiednicy, więc na pierwszego, a potem Msze św. bez przerwy, aż do Sumy i po skromnym posiłku w powrotną drogę...

...Noc długa, przenosi już do zakładu w Daszawie... Nasz profesor historii i niemieckiego, starszy już ksiądz, bardzo miły i szanowany, a wyrozumiały z zacięciem elity, prowadzi egzaminy: „proszę odpytać się wzajemnie i podać wyniki do zapisania w dzienniku klasowym”, a my z całą odpowiedzialnością wykonujemy polecenie. Na lekcji historii niezrównany porywacz myśli i serca. Wszystkie wojny i bitwy, do najmniejszych szczegółów rysuje kolorowymi kredkami, zmieniając pozycje według przekazu dowódcy, coś nadzwyczajnego, jakie miłe i pożyteczne były te lekcje, prawie jak w akademii wojskowej... A z lekcji języka niemieckiego, jeszcze dzisiaj mógłbym powtórzyć swoimi słowami artykuły wzięte z wiedeńskiej gazety ilustrowanej: Die Wienerstadt... A z młodych nauczycieli od matematyki był kleryk, co również bez podręcznika dyktował teorie z pamięci i w gimnazjum jeden krok naprzód podawał materiał licealny, mówiąc, że podobny do tamtego. Cześć ich pamięci, bo dzisiaj są męczennikami Oświęcimia i Kołomy...

...W niedzielę po południu idziemy grać w piłkę z młodzieżą pobliskiej kolonii niemieckiej Düsseldorf, albo na bukwę do lasu, gdzie kolega znad Zbruczca daje nam lekcje języka rosyjskiego. Dla misjonarza przecież nowy język to okno otwarte na świat; aby dobrze czynić, trzeba mieć komu...



Otwieram oczy. Mam uczucie, że głowa rozpada mi się na kawałki. Nie-samowicie rzuca okrętem. Mszę św. odprawia tylko stary misjonarz. Musi opierać się o ołtarz, a tylko jedną ręką trzyma kielich. Na śniadaniu widzę, że kelnerzy mają twarze białe jak gieźło. Obsługują, ale sami nie jedzą, nas przyszło tylko czterech, aby coś przełknąć. Sala pusta. Tak trwa do nocy, nie zbieramy się na modlitwy... smutno. Znowu tam daleko...

...Tatusz ciężko chory. Wróciłem na wakacje o miesiąc wcześniej, ale nie ma z tego dużo radości, może tylko dla niego tak, trochę pociechy, bo jestem przy nim. Nawet siostry z klasztoru wpadły na kilka dni. Smutno wszędzie. Ksiądz z Panem Bogiem, trochę nocy nie przespanych i katastrofa - pogrzeb i jeszcze większe utwierdzenie w obranej drodze, chociaż i powrót będzie smutny. Choćby człowiek cały świat zdobył, nic mu nie pomoże... Potem zwózka zboża. Podaję snopki z wozu do sąsięka w stodole, a wtem na drodze zatrzymuje się motor i zsiada dwóch panów, przychodzą. Jeden to mój przełożony z zakładu, kierownik szkoły, lubiany przez wszystkich. Drugi, jego brat profesor teologii w Krakowie. Dowiedzieli się o żałobie, więc wstąpili złożyć kondolencje. Gościmy ich kwaśnym mlekiem i chlebem razowym, bo o to prosili. Serce daje się tylko za serce...

...Znowu w zakładzie. Kończymy przysposobienie wojskowe. Ostre strzelanie na sto metrów. Karabiny wyrobu francuskiego, dłuższe i celniejsze, szesnaście naboji, udało się, oznaka drugiego stopnia – srebrna... Ale to co oczekiwane, to trzydniowe „podchody” przeciw drużynie z Liceum Państwowego w Stryju. Do dyspozycji 14 km. Trzeba przede wszystkim zorganizować wywiad. Oni ruszają pod dowództwem kapitana z 53 p.p., my mamy sierżanta. Już w drugim dniu nasze czaty łapią na drodze dwóch facetów, którzy sobie na śmiałość jadą rowerami w naszą stronę. My natomiast wysyłamy dwóch kolegów, znających wyśmienicie miejscową gwarę i okolice. Jeden w stroju chłopa idzie ze starą podkową do kowala, a drugi wiezie furę siana z przeciwnej strony. Obaj zbadali śmiało obóz przeciwnika, a ten u kowala rozmawia nawet z drużyną i z samym kapitanem, który go wypytuje o okolice i o nas. Ten płacąc za nowa podkową przysiada się na siano i wracają w południe z gotowymi wiadomościami. Jeszcze przed wieczorem bierzemy ich strażę od tyłu i bez użycia jednego naboju ślepego, jakie mamy do dyspozycji, oraz cały obóz...

...Noc jest długa... W Wielkim Poście gramy Mękę Pańską co tydzień w innym miejscu. Dzisiaj w mieście oddalonym kilka godzin pociągiem, w Borysławiu. Przede wszystkim trzeba przygotować scenę i nawet salkę. Wymyć okna z nalepek, niezbyt pociągających do cnoty i nieodpowiednich dla sztuki, którą przedstawiamy. Sala wypożyczona od Sokoła z dezaprobatą miejscowego proboszcza, zresztą dobrze nam życzącego. Pierwsze przedstawienie dajemy w sobotę wieczór. Salka wypełniona po brzegi, młodzież gwizdże zniecierpliwiona, albo raczej z przyzwyczajenia. Nareszcie wychodzi na scenę ks. dyrektor w sutannie, ale nie prosi o spokój, tylko od wstrzymanie się od oklasków aż do końca przedstawienia. Sutanna na tym miejscu prawdopodobnie pierwszy raz widziana, zrobiła wrażenie, a dobroć i prostota osoby dokonały reszty, gwizdy ustały. Rzeczywiście cisza została zachowana, ale po zakończeniu nie było końca owacji, bo sztuka jest wzruszająca. Następnego dnia w Niedzielę Palmową najpierw odbyło się piękne nabożeństwo ze śpie-

wami i orkiestrą w kościele parafialnym, co już wszystkich urzekło. Drugi raz przedstawienie odbyło się dla wojska, trzecie dla dzieci, a czwarte - dla dorosłych. Proszono jeszcze usilnie o piątą po dziesiątej wieczór, ale głosy aktorów, a zwłaszcza śpiewaków już nie odpowiadały potrzebom, więc choć z żalem musieliśmy zrezygnować. Przez cały czas napychali nas pomarańczami, tego roku obficie sprowadzonymi z Italii...

Zaspałem trochę. Na szczęście jest niedziela, więc msza św. będzie nieco później. Morze spokojne. Nic dziwnego, to Ocean Indyjski, który potrafi być i taki. Płyniemy szybko i równo, jak przez Kanał Sueski. Pokazują się białe mewy - znak, że jesteśmy blisko ziemi. Po południu zawijamy do portu, ale tylko na kilka godzin. Wieczorem zapala się w porcie na czerwono wielki napis: CEYLON GOOD TEA. Jesteśmy na Cejlonie.

Odplywamy, zbierając stąd pasażerów o wyglądzie azjatów. Mówią po hiszpańsku, to Filipińczycy. Przychodzą do nas grać w ping-pong, przyjaźni jak wszyscy katolicy. Środa i czwartek znowu na pełnym morzu, a stan wody się pogarsza. Na domiar trzeba poddać się szczepieniu przeciw cholerze. Następnego dnia budzimy się w porcie. Znowu liczni handlarze, pełno wydrwigraszów, twarze typowo azjatyckie.

## **Krótki pobyt w Singapur**

Wysiadamy, by się zaopatrzyć w wizę japońską, jesteśmy w Singapur, w połowie drogi do Japonii. Ulice w większości zastawione, robią wrażenie niezwykle: tu owoce, tam przedmioty pierwszego użytku, dalej jadłodajnie, obok wszelkiego rodzaju rzemiosła. Stoją też kuchenki podrózne z jednym kociołkiem, głębokimi talerzami i pałeczkami; na dwóch kółkach. Ciągnie to gospodarz, kelner i kuchcik w jednej osobie. Gwizdki tatarskie, dzwonki cygańskie i nawoływania podobne więcej do krzyków niemowy aniżeli do słów, nadają specyficzną atmosferę dalekowschodniej ulicy. A jak wygląda transakcja? Gość, zgłaszający się na śniadanie, wybiera osobiście z kotła długimi pałeczkami zawartość, czerpiąc najpierw płyn własnym garnuszkiem bez ucha. Zajada smacznie aż mu się uszy trzęsą, popijając z tego samego naczynia. Potem płucze resztki w jednym kociołku i wrzuca monety do swego garnuszka, oddając go gospodarzowi. Ten wysypuje na rękę monety i zwraca garnuszek klientowi. Ten proceder powtarza się ustawicznie. Jeśli w Japonii będzie podobnie - budzą się we mnie takie postanowienia - to postaram się pracować nad ulepszeniem warunków sanitarnych. Misjonarz jest powołany również do pracy społecznej na każdym szczeblu.

Ambasada japońska mieści się w pięknym parku. Miejsce zaciszne, otoczone parkanem: drzewa, krzewy i rośliny jakby naturalnie rosnące, ale urządzone w sposób zachwycający: są skały, pagóreczki, wąwozy, nawet mała rzeczka i wodospad kończący się jeziorkiem ze złotymi rybkami. Na małym skrawku ziemi widok z tysiąca i jednej nocy. Urzędnik grzeczny, ale zimny. Do Włochów tylko się uśmiechnął znacząco i wydał im wizę gratis, my zapłaciliśmy po pięć dolarów. W drodze powrotnej kupujemy kilkunastu groszowe grono dojrziałych i mocno pachnących bananów. Opuszczamy port wieczorem, płynąc obok całego stada angielskich łodzi podwodnych. Jak okiem sięgnąć przepiękna gra różnokolorowych świateł, odbijających się w czystej tafli wody.

## W strefie równika

Dotknęliśmy równika. Nisko nad oceanem podziwiamy nieznane dotąd gwiazdy Krzyża Południa. Na śniadaniu spostrzegamy nowych gości. Przy dwóch dużych stołach pełno Chińczyków i Japończyk. Widać, obserwują się wzajemnie, bo przecież wojują. Japończycy całą grupą przychodzą do nas grać w ping-ponga, rozmawiają po angielsku. Bardzo mili ludzie. Gdy się dowiedzieli, że jedziemy do Japonii, starają się w sposób widoczny okazać swoją uniżoną grzeczność. Nawiazuje się przyjaźń, jakby między rówieśnikami. W dniu 13 listopada nie zapomnieliśmy uczcić św. Stanisława Kostki, naszego patrona.

W poniedziałek piętnastego zawijamy do portu w Manili. Szerokie ulice samochodów pełne. Udajemy się do pałacu arcybiskupa, który jest salezjaninem. Niestety, nie zastajemy go, ale grzeczny monsignore stara się zastąpić go godnie. Suta kolacja i szampan, a potem wyjazd samochodami na zwiedzenie stolicy. Trafiliśmy szczęśliwie na święto narodowe. Zatrzymujemy się w parku Luneta, pełnym mieszkańców odświętnie i lekko ubranych. Bardzo przyjemny klimat, ciepło, ale nie duszno. Pozostały jeszcze świeże ślady po odbytych Kongresie Eucharystycznym: ołtarz, trybuna, kwiaty i kwiaty... bez końca. Zatrzymujemy się przed pałacem królewskim, wstępujemy do ważniejszych świątyń - kościół z żelaza oo. augustianów, bazylika, kościół oo. benedyktynów. Oglądamy też jeden z najpiękniejszych mostów na świecie. Tyle pozostało mi w pamięci z trzech godzin tej nocnej pielgrzymki. Okręt odbija o północy, więc jeszcze raz szampan na pożegnanie i jesteśmy w porcie już o jedenastej. Monsignore w rozmowie wyraził się pochlebnie o Polakach pracujących na Filipinach, o ich sumiennosci i oddaniu się sprawie ewangelizacji. Port opuszczamy jednak dopiero po śniadaniu. Powtarza się szczepienie przeciw cholerze.

Na drugi dzień spotykamy na horyzoncie wiele typowych żaglowców chińskich. To łodzie rybackie. Ku wieczorowi zbliżamy się do lądu i dłuższy czas manewrujemy między wyspami. Z przerażeniem oglądany okręt z flagą angielską, wyrzucony w oplakany stan na skałę. Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia, gdy ukazał się drugi rozbity w podobny sposób. Tym razem był to statek japoński. Tak wyglądają skutki tajfunu sprzed kilku tygodni. Było wiele ofiar w ludziach, zwłaszcza wśród rybaków. Daleki Wschód wydał mi się jakiś dziki, fatalny, a człowiek wydany tu na pastwę żywiołu, mimo wszelkich starań i przewidywań.

Łądujemy jeszcze pod wrażeniem zniszczeń, które wszędzie wycisnęły swe piętno. Wita nas przełożony misji, Hong-Kong, port wolny. Uwagę wszystkich zwraca góra oświetlona milionem drobnych światełek, ale jaśniejąca mocniej od najpiękniejszej choinki z świąt Bożego Narodzenia. Dopytuję się, co to jest. To uboga dzielnica chińska, odpowiada brat, towarzyszy ks. inspektora. Jak będzie czas, to jutro obejrzymy ją z bliska. Mamy jeden dzień do dyspozycji, więc rano wsiadamy do motorówki, aby zwiedzić kilka naszych domów. Wiemy, że są tu Polacy, więc jedziemy najpierw do studentatu, gdzie się kształca młodzież salezjaninów. Hong-Kong to wyspy połączone linią wodną, jak Wenecja we Włoszech. Na każdej z większych wysp mamy nasze salezjańskie szkoły lub misje. Zapraszali nas i do części portugalskiej w Makao, ale

brak czasu nie pozwolił na jej zwiedzenie. W studentacie bierzemy udział we mszy św. Modlitwy i śpiewy po chińsku. Znajdujemy się już wśród egzotyki dla nas tajemniczej. Podczas przechadzki z nowicjuszami rozmawiamy po włosku. Żalą się nam na Japończyków, że ich napadli i rabują bez miłosierdzia. Nie wiem jak ich pocieszyć, jadę przecież do Japonii, więc nie jestem pewny, czy by mi uwierzyli. Wysłuchuję więc skarg w milczeniu i staram się zmienić temat rozmowy. Chwalą znowu Polaków, że pracują na misjach z wielkim poświęceniem i oddaniem.

Jesteśmy świadkami przykrego wypadku. Na środku drogi leży starszy Chińczyk, obok niego rower i rozsypane wokół przedmioty, które wioził. Nikt się nie zbliża. Mówią, że zawołano pogotowie. Czekamy. Zjawia się wreszcie policja, cucą zemdlonego, wypytuja i odjeżdżają. Nasi pomagają mu powstać i pobierać rupiecie. Chińczyk dziękuje i powoli odjeżdża. Dla nas to zachowanie jest jakąś zagadką. Tłumaczą nam, że biedak sam stracił przytomność, bo gdyby został potracony przez samochód, to tu w Hong-Kongu grozi za to surowa kara.

Na drugim końcu wyspy w naszej wielkiej szkole rzemieślniczej spotykamy się z Polakami: trzech księży i jeden brat. Zwiedzamy jeszcze seminarium diecezjalne zbudowane w pięknym stylu chińskim. Wracamy piętroowymi tramwajami, dla bogatych na górze, a dla biedoty na dole. Zatrzymaliśmy się na chwilę u podnóża góry, o którą pytałem się wczoraj. Musiałem bardzo panować nad sobą, by nie okazać przykrego wrażenia, jakie sprawił na mnie widok biedoty i skrajnej nędzy. Postanowienia z Singapur pomnożyłem do kwadratu.

W nocy odpływamy, od czasu do czasu nasz okręt wydaje smutny i przeciągły głos syreny. Płyniemy wolniej, światła pogaszone, nieprzyjemnie. Wszak Japonia jest w wojnie z Chinami, a Niemcy są jej sojusznikami. Dopiero z brzaskiem przyspieszamy, a po południu prawie nagle rozpoczyna się burza, jakiej dotąd nie mieliśmy. Orientujemy się według brzegów. Formozy na horyzoncie. Japońskie morze gotuje nowe przyjęcie nie do zapomnienia. Dużo ludzi choruje w kabinach. Ja również rezygnuję z pokładu. Obsługa zamyka szczelnie drzwi i okna. Trudno zasnąć, ale zmęczenie zwycięża...

...Na wakacjach u brata. Po powrocie z kościoła, sprzedaję w sklepiku, bo on zajęty gospodarką. Klienci przychodzą porozmawiać i oglądnąć nową twarz. Staram się interesować ich sprawami i pocieszyć w potrzebie. Nadarza się dobra okazja zwiedzenia ze starszym kolegą pobliskich ruin zamku w Odrzykoniu. Przyrzekłem profesorowi języka polskiego, że mając blisko, oglądnę i opowiem mu jak dzisiaj wygląda tło Króla Zamczyska Fredry. Na szczęście brat ma rower zarejestrowany, a kolega też rejestruje swój, może to dla mnie, ale mniejsza z tym, jedziemy, ale nikt nie kontroluje, chociaż policja również jeździ rowerami. Oglądnąłem wszystko dokładnie, zapisałem kilka kartek w notesiku. Przenocowaliśmy u dziadka kolegi, mającego ponad sto lat, a babka 99. Słuchaliśmy ich opowiadania, jak to bywało „drzewiej”, o rzezi galicyjskiej, o zarazie i innych wydarzeniach, na końcu dziadek zapewniał, że dawniej dni były dłuższe, a czasy dobre, lepsze niżeli dzisiaj...

...Znowu w zakładzie. Pracuję w szpitaliku. Szkoda mi było zostawić zajęcia w biurze ks. dyrektora, ale dla dobra kolegów warto. Przenoszę swą pościel do szpitalika, by przy poważnie chorych być na podorędziu, gdy gorączka ro-

śnie, okłady zmienić, coś do picia podać, poty otrzeć, bieliznę zmienić. Przywiązali się do mnie, a ja do nich, bo prawdziwą przyjaźń poznajemy w biedzie. Przyzwyczailem się zasnąć z mocnym światłem w oczy i za najmniejszym szepcem czy jękiem, być na nogach. Jednego tylko nie uratowaliśmy. Sportowiec, dostał wylewu w biodrze. Odstawiono go do szpitala w Stryju... przyszły powikłania i koniec. Grałem w orkiestrze na pogrzebie. Luty, zimne wiatry, szaruga, palce drętwieją, marsz „w mogile ciemnej” wyciska łyżę ze smutku i z zimna...

...Nocą straszny wybuch, szum, wybiegamy na podwórze, ale głośno mówiącego nie słysząc. Opodał zakładu był czynny szyb gazu ziemnego. Z wieży wiertniczej pozostały tylko słupy. Dowiadujemy się, że strażnik pilnował ciśnienia gazu utrzymując trzydzieści atmosfer, ale zaspał i budząc się zobaczył na manometrze wskazówkę sięgającą siedemdziesiąt. Zamiast odkręcić korbę, wystraszony uciekł i w kilka chwil potem nastąpił wybuch. Trzy dni pracowano nad wstrzymaniem, ale tyle gazu się ulotniło, że wystarczyłoby go do oświetlenia Lwowa przez sto lat. Gdy zatrzymano, zdawało się nam, że cisza huczy w uszach i czegoś nam brakuje...

Budzę się, jeszcze mi szumi w uszach, ale to nie gaz. Jestem spocony, koledzy narzekają, jęczą, prawie wszyscy wymiotowali. Wstaję, zamiatam i myję podłogę. Oburącz tak trzymając się poręczy wspina się po schodach chwiejących się we wszystkie strony. Idę z trudem do jadalni, pusto, nawet służby nie ma. Jesteśmy bez księdza, więc mszy nie będzie, szkoda. Siadamy we dwóch, przychodzi kelner, ale i on schorowany, na pokład nie puszczają, można być zmytym przez fale. Obsługujemy naszych z kelnerem, donosząc herbatę, cukier, ciastka, ale na próżno, trzeba potem wszystko zamiatać albo wynosić w torebkach. Okręt stał się zabawką oceanu. Marynarz pociesza nas, że na Morzu Chińskim często tak bywa, mała pociecha. Ale to są ostatnie dni podróży i może dociągniemy do wieczora. Jeden z naszych, rozłożony na leżaku, już nawet oczu nie otwiera, obawiamy się o niego. Dopiero po północy zasypiam...

...Znowu w domu. Otrzymałem od siostry Julci z klasztoru adres do zakładu salezjańskiego w Daszawie koło Stryja. Tam napisać prośbę o przyjęcie i koniecznie zaznaczyć, że matka generalna Marcelina prosiła za mną, by ks. dyrektor wiedział o kogo to chodzi. Napisałem i czekam, ale odpowiedź nie przychodzi, tydzień, dwa, miesiąc, już połowa sierpnia minęła, przepadło, nie przyjmą mnie, ponowny zawód. A jednak napisałem jasno, że matka generalna... A Marysia ułożyła ten list, a jej listy miały zawsze pomyślny skutek.

Po pracy nie poszedłem w południe na ryby, kolega poszedł sam. Mówił mi, że jego nie stać na seminarium; rodzice biedni, bracia nie pozwolą, więc zrezygnował. Siadam na górcę w cieniu wierzby przydrożnej i wypoczywam. Jedzie listonosz. Tyle razy go wyglądałem, ale nic z tego. Gorąco, więc pod górką zsiada z roweru i prowadzi. Pozdrowiłem go, a on odpowiadając zatrzymał się i otarł pot czerwoną chustką, a potem zwraca się do mnie: słuchaj chłopcze, tu jest kilka numerów gdzie mieszkają Moskwy, ale Michała nie ma w żadnym. Mam tu kartkę i szukam więcej jak miesiąc, chyba pomyłka. Wyciąga zmiętą pocztówkę i pokazuje. Mój Boże, to do mnie! Oglądam adres zwrotny, z zakładu. Słów mi brak, ale siłą woli, by się nie rozplakać, dziękuję i dodaję: — To jest do mnie, proszę być spokojnym. A toś ty Michał? — Tak

jest, dziękuję bardzo — A to dobrze, i to mi spadło z głowy. Wsiadł na rower i pojechał. Patrzę, data dziesiątego lipca. „Mój drogi, z twoim przyjazdem do zakładu wszystko załatwione. Ks. dyrektor polecił, by cię zawiadomić, on wyjechał na rekolekcje. Czekamy na pierwszego września. Zdaje mi się, że Jaś Betleja jest z twoich stron. Poinformuj się u niego, co trzeba zabrać z sobą. Jesteś przyjęty do drugiej klasy, bo pierwszej już u nas nie ma. Nie zapomnij o zaświadczeniu od twojego ks. proboszcza, zresztą Jaś cię pouczy. Polecam cię opiece Bożej”...

...I jeszcze wracam do domu, na ostatnie wakacje. Napisałem kiedy przyjeżdżam, ale nikogo nie widać, a tu pięć kilometrów drogi i to z dużą walizką. Idę do naczelnika z prośbą, by przechował przynajmniej rzeczy. On mi radzi iść obok toru kolejowego, jako krótszą drogą, co przecież dawniej było zabronione. Tymczasem od furmanki zbliża się mały chłopak i zaprasza, by siadać razem z nim. — A ty skąd jesteś? — A z domu, ja służę u was i gospośia mnie wysłała. Przeprosiłem naczelnika i z chłopakiem przenosimy rzeczy i jedziemy. Woźnica trochę nieśmiały, ale wypytuje się o wszystko i o wszystkich. A mój kolega czego mi nie odpisuje? — Jaki kolega? — Ten od sąsiada, z którym zawsze chodziliśmy na ryby, znasz go przecież. — On nie żyje. Zimą przeziębził się i dostał galopujących suchot. Nie pisali do ciebie, by cię nie martwić, umarł w maju...

Tym razem zasnęłam. Po przebudzeniu słyszę, że śruby pracują równo, okręt się nie kołysze. Niedziela, ostatnia w całej podróży. Jutro prawdopodobnie dopłyniemy do celu. Po obiedzie sprawdzamy walizki pod pokładem, przygotowujemy papiery i bagaż ręczny. Wieczorem koncert pożegnalny. Już nie wychodzimy na pokład. Trzeba nadrobić zmęczenie z kilku dni.

Poniedziałek 22 listopada, św. Cecylii, patronki muzyki. Budząc się, słuchamy motorów, prawie nie pracują. Wyglądamy na zewnątrz i przejmujące zimno, pochmurno. Stoimy przy wejściu do portu w Yokohama, Japończycy już są na pokładzie, przeprowadzają dezynfekcję całego okrętu. Potem sprawdzanie paszportów i wjazd do portu.

Czekają na nas dwaj księża, ale nie można jeszcze zejść. Rozmawiamy na odległość. Schodzimy dopiero po obiedzie, witamy się z przełożonym narodowości francuskiej. Urzędnicy celni załatwiają odprawę grzecznie i prędko. Wkrótce wsiadamy do taksówek i jazda do celu. Oglądamy piękny zachód słońca na tle świętej góry Fudzi. Na ulicach jakieś procesje z chorągiewkami. Nic z tego nie rozumiemy. Kimona, stukot wysokich chodaczeków drewnianych, malownicze widoki domów z dużymi napisami, to wszystko. Z portu w Yokohama podróż taksówkami przez Tokio do studentatu trwa dwie godziny. Na miejscu, Włochów witają radośnie koledzy, a nas Japończycy i przełożeni. W kaplicy nabożeństwo dziękczynne za szczęśliwą podróż i nareszcie spokojny sen po miesiącu cygańskiego życia.

W Japonii brak łóżek, zastępują je maty, rozkładamy się po japońsku. Budzę się niespodziewanie w nocy i czuje jakby kołysanie okrętu. Dzieje się coś dziwnego: trzeszczą wiązania dachu - to chyba nie na morzu? Japonia przywitała nas trzęsieniem ziemi...



## Japonia - kraj egzotyki

Co kraj to obyczaj - mówi polskie przysłowie. Czerwone słońce na białym tle... Przeskok z Polski na Daleki Wschód jest tak wielki, że trudno to wyrazić. Słowo „egzotyka” próbuje to coś wyjaśnić, ale nie wystarcza. Jakie wrażenie robi Japonia z pierwszego wejrzenia? Łąduje się w kraju bardzo cywilizowanym, gdzie uderza staranne wychowanie i etykieta ściśle przestrzegana. Wiele rzeczy, które urzekają Europejczyka, pozostaje jednak tajemnicą. Takie wrażenie wywarł na nas np. ogródek japoński w Singaporze, cudowny, ale bez kwiatów. Inny obraz, widzi się dużo drzwi otwartych, przez które nie można przejść do wnętrza. A jednak każda rzecz chociażby najmniejsza ma rację bytu. Bez poznania tej racji, bez wycucia delikatnych motywów ich istnienia pozostaje się na marginesie, poza kołem, w którym jest zamknięta tajemnica. A tajemnica ta jest wielką i godną wszelkich starań i zabiegów, nawet w ciągu długich lat. Czyż więc wszystko jest zagadką? Chyba nie. Dużo jest rzeczy jasnych, oczywistych, zrozumiałych; rzadko jednak albo bardzo rzadko identycznych. Trzeba przyznać, że mimo pozornej identyczności istnieje cała gama odcieni w wyglądzie, kolorycie itp. I w tym właśnie tkwi urok egzotyki jakiegoś kraju.

W dwugodzinnej przejażdżce taksówkami podziwialiśmy krzyczące kolorami duże napisy kubiczne, a brzegami ulic wesołe procesje w czarnych kimonach z chorągiewkami w rękę; to rodzina i znajomi odprowadzają synów i mężów do pociągu na „świętą wojnę”. Tam łyż się nie leją. Czarne galowe kimona, jak do ślubu, odprowadzających świadczą o wielkiej randze uroczystości. Kandydat na wojenne jatki przepasany jest flagą narodową. Towarzyszą mu wesołe śpiewy patriotyczne.

To jest kraj, w którym mężczyźni noszą wachlarze, zajmują pierwsze miejsce przed kobietami; gdzie biały kolor jest żałobnym, gdzie ambasador jest przedstawicielem cesarza, a nie kraju; gdzie koty chodzą bez ogonów; teatr trwa sześć godzin bez przerw, a obiad spożywa się w czasie przedstawienia; gdzie do kąpieli wchodzi się po poprzednim umyciu i wytarciu ciała ręcznikiem; gdzie ulice nie mają nazwy; gdzie szablę trzyma się oburącz; gdzie na przyjęciu i w domu siedzi się na piętach; gdzie temperowanie ołówka, rżnięcie piłą, heblowanie, liczenie na palcach, zapalanie zapałki, nauka rachunków i słynnego liczydła - wszystko idzie na opak... To nie są wcale rzeczy śmieszne, a choć dla nas bardzo dziwne, to przecież są głęboko uzasadnione i prawie wcale nie podlegają zmianom. Kto spogląda na nie lekceważąco, z uśmieszkiem na ustach, ten nigdy nie pozna ducha Japończyka, jego potrzeb, smutków i radości, a tym bardziej jego wartości, siły, nadzwyczajnej żywotności i inteligencji, którą Japonia zadziwiła świat.

Jeszcze jeden dzień upłynął nam na zwiedzaniu naszej pobliskiej szkoły technicznej. W drugim byliśmy na przyjęciu u naczelnika naszej dzielnicy,

który był bardzo zadowolony z przybycia misjonarzy, choć sam protestant. Uważa nas za pokrewne dusze. W Japonii nie ma tarć między religiami, istnieje wzajemne uszanowanie. Przyjęcie składa się z japońskiej herbatki zielonej i dobrze napaprykowanych ciasteczek ryżowych. Przemówienia wygłaszano po angielsku i japońsku. Niewiele z tego rozumiemy, ale ktoś z naszych należycie dziękuje i nas wyręcza. Mój sąsiad, dostojny pan, zwierza się z przyjaźni, jaką zawarł z Polakami na Syberii. Rozmawiamy przez tłumacza jak w Genewie. W powrotnej drodze zwiedzamy pobieżnie dwie świątynie: buddyjską i szyntoistyczną. Pierwszy tydzień pobytu minął więc szybko bez możliwości zaczenia nauki. Serdeczne przyjęcie w Ambasadzie Polskiej zakończyło stronę meldunkowo-urzędową i przyjacielską.

## Nasz dom

Nasza dzielnica to przedmieście Tokio, słynna z ziemi urodzajnej i uprawy jadalnych buraków, służących za jedną z najlepszych przypraw do ryżu. Leży na północny zachód od centrum stolicy. Mieszkańców ma jeszcze niewiele, ale posiada już dobrze urządzonego system komunikacji, drogi bite, oraz szybkie kolejki elektryczne z centrum. Nasz dom mieszkalny jest ubogi, piętrowy, zbudowany z drzewa. Jest to część starego szpitala wykupiona i przeniesiona na nowe miejsce. Mimo pewnego prymitywu czujemy się w nim wyśmienicie. Mieszkańcy dzielą się na cztery kategorie: profesorowie, studenci teologii, filozofii i nowicjusze. Razem około pięćdziesiąt osób z kilkunastu narodowości: Włosi, Słowacy, Niemcy, Jugosłowianie, Węgrzy, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Hiszpanie, Irlandczycy, Litwini, Polacy i Japończycy. Wygląda to nieco na wieżę Babel, ale całość jest zgrana i każdy czuje się tu doskonale. Wspólnym językiem jest włoski i krajowy japoński dla tubylców czy misjonarzy weteranów. Oprócz obowiązkowych wykładów z zakresu teologii i filozofii prowadzona jest nauka języków nowożytnych wedle wyboru. Najwięcej ochotników mają: japoński, włoski, angielski, niemiecki i francuski. Starsi koledzy uczęszczają do seminarium między-diecezjalnego, filozofię i języki mamy na miejscu.

Warunki życiowe ostatnio pogorszyły się nieco. Konflikt japońsko-chiński (nie mówi się o wojnie), daje się powoli także odczuwać we wszystkich dziedzinach.

Język japoński rozpoczynamy od elementarza: zakwitły wiśnie, zakwitły... Profesorów mamy do wyboru: Japończycy grzeczni i serdeczni, udzielają się chętnie, pomagają nam w przyswojeniu ich tak różnego języka i tak dziwnego pisma. Jednak minimalne wyniki może osiągnąć tylko ten, kto rzeczywiście zaangażuje się w pracę na całego i obierze metodę indywidualnego samokształcenia, bo nawet najpilniejsze uczęszczanie na wykłady i ogólne objaśnienia nie wystarczą.

## Mit punktem wyjścia historii

Historia Japonii jest pełna powabu. Jak wiele europejskich zaczyna się mitem, z których jeden dziwniejszy od drugiego. Grecy mają swój Parnas, ale nigdy ni rościli sobie prawa do synostwa mieszkańców Parnasu. Tymczasem



mitologia japońska wywodzi rodzinę cesarską w prostej linii od mieszkańców nieba, czyli upersonifikowanych planet: słońca i gwiazd. Stąd „kraj wschodzącego słońca”. Według legendy, pierwszy wódz, który ruszył ku północy w celu połączenia kraju, nazywał się Jimmu Tenno, potomek bogini słońca. Siedem lat walczył zanim ogłosił się pierwszym cesarzem, dokładnie 11 lutego 680 r. przed Chr. Od tej daty bierze początek historia rodziny cesarskiej, a z nią dzieje państwa. Wygodne było dla rządzących krajem przekonanie o boskim pochodzeniu głowy kraju i państwa. Zresztą pojęcie tego bóstwa nie było nigdy identyczne z naszym pojęciem. Zachodzi tu zasadnicze nieporozumienie, ale niestety brzemienne w niepowetowane skutki. Tego, co twierdzili Japończycy nikt nie rozumiał, a co Zachód poczytywał za szaleństwo, to im nawet nie przychodziło do głowy. Chodziło o synonimy o różnym znaczeniu, takie jak np. Bóg i Bug, oba pisane dużą literą. Zachód uparł się, by jedno zidentyfikować z drugim na własną szkodę mimo tłumaczeń i zaprzeczeń bez końca. Japończycy nie posiadali, aż do czasów św. Franciszka, pojęcia Boga w naszym znaczeniu. Dlatego nawet św. Franciszek, nie znajdując odpowiedniego wyrazu ani znaku, pozostawił łacińskie *Deus*, ponieważ ich „kami” albo „hotoke” oznaczały zupełnie co innego. Pierwsze, bohatera według wierzeń szintoistycznych, a drugie, ducha pozagrobowego czy też stan oświecenia po śmierci, dotąd określa się słowem Tenno — potomek nieba.

## Mozaika narodowościowa

Chłonęliśmy te i inne wiadomości, formując sobie powoli ogólną opinię o nowym świecie, do którego zostaliśmy tak nagle włączeni. Filozofię studiowało nas czternastu: dwóch Irlandczyków, dwóch Japończyków, dwóch Polaków a reszta Włosi. Wszyscy podzieleni na trzy roczniki. Profesorem był starszy już ksiądz, Węgier, który po dyplomie z inżynierii ukończył wyższe studia w Rzymie. Uderzyło nas od samego początku, że Polaków traktuje on szczególnie. Później dowiedziałem się, że podczas pierwszej wojny światowej stracił ojca w walkach na wschód od Warszawy. Wypytywał się o szczegóły walk. Chciał odwiedzić kiedyś tamte strony, powtarzając, że Węgier i Polak to dwa bratanki. Irlandczycy również garnęli się do nas chętnie, jako że historia tych dwóch krajów katolickich jest bardzo do siebie podobna. Francuzi też życzliwi, co się wywodzi pewnie jeszcze z czasów Napoleona. Podobnie Słowacy z pobliskiej szkoły zawodowej przychodzą w dni świąteczne lub nas do siebie zapraszają. Rozmawiamy po polsku i słowacku, wzbudzając podziw innych, że rozumiemy się doskonale. Mamy jeszcze Jugosłowianina z kursów teologii i Litwina, z którymi spotykam się przy piłce nożnej lub w czasie przerwy po kolacji. Interesują się nami chętnie, okazują dużo serdeczności, gotowi w razie potrzeby nawet nam pomóc. Z Włochami także jesteśmy za pan brat, tym bardziej, że odbyliśmy razem podróż, dzieląc chwile radosne i trudne.

## Pierwszy przyjaciel i nauka języka japońskiego

Najwięcej jednak zależy mi na Japończykach. Zetknąłem się z niewiele starszym bratem kucharzem, który po pracy chętnie przechadzał się po alejach. On pierwszy zbliżył się i nawiązał ze mną rozmowę po włosku, wypy-

tując się o Polskę, o nasze życie, o pierwsze wrażenia, jakie odniosłem w Japonii itd. Od niego nauczyłem się pierwszych wyrazów i zwrotów oznaczających pozdrowienia, podziękowania, prośby itp. Zapytany, odpowiadał o sobie z całą naturalnością. Urodził się w Nagasaki na jednej z małych wysepek zwanej czarną - Kuroshima. Jego rodzina pochodziła z dawnych chrześcijan, nawróconych przez św. Franciszka Ksawerego, a wielu z przodków zginęło śmiercią męczeńską w czasie 250 lat prześladowań. Na wyspie Kuroshima przetrwało jednak prześladowania dużo wiernych, kryjąc się i zbierając w lesie na wspólne modlitwy, pokuty, chrzty i śluby. Gdy brat Grzegorz (bo takie miał imię) miał osiem lat, stracił ojca, a matka z dziećmi przeniosła się do krewnych w Miyazaki, dokąd właśnie w 1926 r. przybyli pierwsi salezjanie i objęli misję. Chodził z rodziną do kościoła, a potem spodobało mu się życie salezjańskie, więc po ukończeniu szkoły średniej został przyjęty do nowicjatu i w kwietniu tego roku złożył pierwsze śluby zakonne jako brat. Pracuje chętnie w kuchni, bo wie, że w ten sposób klerycy mogą spokojnie uczyć się, a potem pracować dla jego ziomków. Spodobała mi się bardzo ta jego bezpośrednia dobroć i szczerść. Odtąd zawiązała się między nami braterska łączność. Po kolacji codziennie oczekiwałem brata Grzegorza. Tematów do rozmowy mieliśmy bez liku. Zawsze, o dziwo, marzyłem, by poświęcić się biednym poganom, co w ciemnościach siedzą, a tymczasem od pierwszego momentu zetknąłem się z rówieśnikiem prawie, od którego ja raczej brałem i uczyłem się. To mnie zaskoczyło i zastanowiło.

Oprócz nauki języka, rozmawialiśmy wiele o rzeczach duchowych; o wierze w krajach katolickich, o rozwoju salezjanów na świecie, o księdzu Bosko i jego życiu, a potem stale i ciągle już o Japonii. Korzystałem bardzo wiele z tych rozmów, ale i braciszek miał do mnie zaufanie. Zwierzył mi się, że w wieku dziewięciu lat, pewnego razu podczas podniesienia, ujrzał Dzieciątko Jezus i z wielkiej radości zaśmiał się na głos, za co go starsi skarcili.

Obecnie uczy dzieci katechizmu i to zawsze liczną grupkę, bo rzeczywiście ma dar pięknego opowiadania. Opanował język włoski i chętnie czyta książki duchowe, których przecież brak w języku japońskim. Stara się wszystkim służyć, pocieszać, rozweselać i okazywać swoje zainteresowanie, w kuchni ma do pomocy dwóch chłopaków z ubogich rodzin. Jeszcze to wprawdzie dzieci, ale przy nim czują się jak u siebie w domu: zamiatają, myją talerze, roznoszą potrawy i chleb, palą w piecu. Oni również czekają na naukę religii. Brat Grzegorz od Bożego Narodzenia zastąpi nam nawet profesora języka japońskiego...

Tymczasem pierwsze kroki robimy z samym ks. dyrektorem, który po świętach wybiera się w odwiedziny do Francji. Uczymy się na pamięć Ojczyzna, Zdrowaś Mario, Wierzę, a poza tym przerabiamy mały katechizm po japońsku, ale pisany literami rzymskimi. Staramy się wczuwać w nową sytuację. Na razie czujemy się jeszcze nieswojo: nie rozumiemy kazań, przemówień, nawet zmian w rozkładzie dnia, stąd paradne nieporozumienia.

Pod koniec listopada mamy powitać naszego przełożonego Inspektora i zarazem Prefekta Apostolskiego na okręg misji w Oita i Miyazaki na wyspie Kyushu, Monsignora Cimatti'ego. Słyszeliśmy już o nim wiele w Turynie. Zazdroszczono nam takiego przełożonego misji. Na pierwszy rzut oka nie wiadać w nim nic nadzwyczajnego: bardzo bezpośredni i serdeczny, ale zwięzły

w obejściu. Włosi wiedzą o nim więcej. My będziemy dopiero go poznawać bliżej. Widać, że dla Japończyków jest szczególnie przychylny, a oni również odwzajemniają się mu z serca. Mój brat Grzegorz nie posiada się z radości. Zaczynają się rekolekcje dla nowicjuszy, stąd przyjazd ks. Cimatti'ego.

W niedzielę 5 grudnia jest uroczystość św. Franciszka Ksawerego, patrona misji w Japonii, a ze świętem Niepokalanej zbiegają się trzy nowe wydarzenia: chrzest młodzieńca z pobliskiej szkoły zawodowej, pierwsze śluby dwóch Japończyków i pięciu Włochów, oraz rozpoczęcie nowicjatu przez jednego Japończyka i pięciu Włochów, którzy z nami przyjechali. Program uroczystości wygląda następująco: nabożeństwo w kaplicy, przyjęcie dla gości w jadalni na obiedzie, urozmaicone poezjami, piosenkami i muzyką, oraz akademie i teatr wieczorem. W przygotowaniach biorą udział wszyscy internści ze szkoły, liczący blisko setkę studentów. Wśród teologów ks. Wincenty Cimatti czuje się wyjątkowo dobrze. Często udziela im nauk i głosi konferencje. Oni go cenią, ale i jemu mocno na nich zależy. Wśród zaproszonych gości jest zawsze spora liczba profesorów i wychowanków z seminarium, szczególnie tych, co pobierali podstawowe nauki w naszym małym seminarium w Miyazaki na południowej wyspie Kyushu.

## **Boże Narodzenie i Nowy Rok**

Boże Narodzenie w Japonii obchodzimy bardzo uroczyście. Nowennę odprawiamy po łacinie. Śpiewy, ceremonie, strojenie kaplicy i domu, piękna szopka, to prawie europejski styl. W miejsce polskiej wigilii, cały wieczór aż do pasterki spędzamy razem w dużej salce szkoły zawodowej. Wesołe śpiewy, dialogi, zagadki, dobry film, a na zakończenie mała loteria z pełnymi biletami. Przed Panterką śpiewamy matutinum z brewiarza, a potem jest msza św. jak najuroczystsza. Po niej wysłuchujemy jeszcze dwóch mszy św. i około drugiej w nocy jemy smaczne śniadanie. Potem śpimy aż do ósmej rano. Jedyny raz w roku o godzinie dziesiątej suma, a wieczorem uroczyste nieszpory i błogosławieństwo. Święta odczuwamy w całej pełni. Obiad i kolacja, dzięki staraniu prefekta i brata Grzegorza, są bez zarzutu, przygotowane pół na pół po japońsku i europejsku, do wyboru. W salce zaś wesołe rozmowy, gry, muzyka, radio nadające kolędy (oczywiście nie polskie), płyty gramofonowe, w dzień św. Szczepana obchodzimy imieniny ks. dyrektora. Jest kilka osób zaproszonych, między innymi dobrodzieje, do których należą również naczelnik naszej dzielnicy, wielki przyjaciel.

Reszta dni aż do Nowego Roku jest bardzo pracowita dla znających język miejscowy. Nasze okoliczne misje urządzają dni dobroczynności dla ubogich, więc wszyscy studenci filozofii, teologii i nowicjusze są zaangażowani w rozdzielaniu rzeczy, zgromadzanych przez komitet misyjny.

Tymczasem zbliżały się największe uroczystości narodowe: Nowy Rok. Brat Grzegorz jeśli miał pracy po uszy na Boże Narodzenie, to teraz musiał potroić swoje wysiłki. Japonia jest krajem, w którym ludność zajmuje się w wielkiej części rybołówstwem od niepamiętnych czasów. Ta okoliczność sprawiła, że ukształtował się kalendarz księżycowy, bo przecież przyplawy i odpływy morza tak ważne w tym zawodzie zależą od księżyca. Dopiero od

czasów restauracji cesarza Meiji (1868) zaczęto wprowadzać kalendarz słoneczny. Ten ostatni przyjął się oficjalnie w większych miastach, i w ogóle w urzędach, ale rybacy, rolnicy, lud prosty kierują się nadal starym kalendarzem, według którego Nowy Rok przypada na początku lutego wraz z wiosną.

W Tokio jesteścieśm postępowi, więc robimy przygotowania do pierwszego stycznia. W tym przewodzą już Japończycy. Odświeża się cały dom, robi porządki, myje korytarze, wysypuje podwórka i przejścia świeżym piaskiem. Sale i korytarze przyozdabia się wstęgami z papieru i świecidełek. Przy wejściu umieszcza się dwa drzewka sosnowe: jedno o gładkiej, a drugie o chropowatej korze, oparte o potrójne kawałki bambusa ściętego na ukos, różnej wysokości. Są i inne zwyczaje, których tu szczegółowo nie opisuję. Podaję tylko niektóre dla ciekawości.

Podczas, gdy ostatni dzień każdego miesiąca stanowi zamknięcie rachunków z tego okresu, to Sylwester jest podsumowaniem całego roku. Wszystkie długi powinny być wyrównane. Były wypadki, opowiada brat Grzegorz, że honorowy dłużnik, w razie niemożliwości zwrócenia wierzycielowi wypożyczonej kwoty, popełniał samobójstwo. Przed wszystkimi prawie domkami widnieje przeciągnięty u góry bramy gruby powróż, ukrecony ze słomy, na którym zwieszają ćwiartki papieru zgrabnie pocięte, jako podarunek na szaty dla duchów opiekuńczych szyintoizmu, a w połowie powroza pomarańcz i młody rak morski. To wszystko ma przynieść szczęście, długie zdrowie i pomyślne życie. Sosna bowiem jest symbolem zdrowia, bambus siły i wytrwałości, pomarańcz długiego życia (barwa pomarańczowa zwie się „daidai”, co określa powiedzenie „po wieczne czasy”), a rak już za młodu jest garbaty, stad garb u starszych powinien zachować młodość. Niemniej ważne są przygotowania oryginalnych pokarmów i napojów, coś w rodzaju naszej święconki, albo nakrycia wigilijnego. Każda potrawa ma swoiste znaczenie, jest symbolem. I tak ubija się prażony ryż na miękkie ciasto, z którego robi się placki często nadziewane marmoladą z czerwonego groszku, tzw. mochi (czyt. moći). Pierwszy posiłek w Nowym Roku ma ogromnie ważne znaczenie. Woda do picia powinna być zaczerpnięta ze źródła, by mogła dać młodość. Gęsta zupa roślinna z owymi plackami, surowe albo gotowane mięso z karpia, który jest również symbolem wytrwałości i siły (płyynie w górę rzeki nawet po wodospadzie), przysmaki z orzechów oznaczające wyższość, niepospolitość, łodygi lotosu jako świętej rośliny Buddy, listki chryzantemy, jako kwiatu cesarskiej rodziny, oraz wiele innych roślin morskich w Europie wcale nie używanych i nawet mało znanych, tworzą taki rodzinny galowy posiłek. Mówię rodzinny, bo w tym dniu spożywa się te dania tylko w gronie rodziny. Jako napój służy wódka z ryżu jeszcze nie fermentowana, białego koloru, słodka, z niewielką zawartością alkoholu. Mogą ją pić nawet dzieci. Ruch drogowy zamiera zupełnie na te kilka dni. Piękne japońskie ubiory, beztraska wesołość przebija ze wszystkich twarzy. Życie koncentruje się w domach.

## **Każdy dom to niezależne królestwo**

Dzieci uchodzą za największy skarb rodziny i kraju. Dlatego w te dni poświęca się im najwięcej uwagi. Rozrywki są dostosowane do okoliczności i jedyne w roku. Chłopcy puszczaają malowane latawce z twarzami ryce-

rzy, bohaterów, albo postaci mitologicznych, bawią się bąkami i młoteczkami utoczonymi z drzewa, albo też kulkami ze szkła. Kart dzieciennych jest bez liku. Dziewczęta zabawiają się balonikami ze szmat lub gumy, ale ich ulubioną rozrywkę stanowi podbijanie drewnianymi łopatkami kulek z kolorowym pióropuszem. Jest to właściwie zabawa dla starszej młodzieży i dorosłych. Trzyma się na uboczu naczynko z farbą i pędzelkiem. Kto z graczy upuści kulkę na ziemię otrzymuje jedno pociągnięcie po twarzy. Ponieważ zabawa odbywa się na ulicy lub podwórku, można zobaczyć w czasie gry twarze wymalowane na rodowitych Indian. Paletki do tej zabawy bywają zdobione mniej lub więcej artystycznie z jednej strony, którą się nie uderza. Wewnątrz domów, na matach, starsze towarzystwo zabawia się odgadywaniem słynnych poezji z jednej setki kart. Rozkłada się wszystkie karty w środku koła i jeden z uczestników odczytuje pierwsze dwa wiersze poezji. Na kartach są napisane dalsze dwa wiersze. Kto pierwszy spostrzeże ciąg dalszy, ten zabiera prędko kartę. Na końcu gry wygrywa uczestnik, który nazbiera najwięcej kart. Są znane jeszcze szachy japońskie oraz zdobywanie ziemi lub uproszczone ułożenie pięciu kamyczków.

W ostatni wieczór starego roku, kto może, udaje się do świątyni, by pożegnać stary rok, a przede wszystkim, by powitać nowy. Przed północą w świątyniach buddyjskich uderza się w dzwon co kilkadziesiąt sekund tak, by od godziny jedenastej aż do północy uderzyć sto osiem razy, co oznacza tyleż wad człowieka. Za każdym uderzeniem idzie w zapomnienie jedna wada. Po ostatnim uderzeniu rozpoczyna się Nowy Rok. Wszyscy mają świadomość, że całkowicie są wybieleni.

Drugiego i trzeciego stycznia istnieje zwyczaj odwiedzania się i składania życzeń noworocznych. Czwartego zaczyna się „praca”, ale tylko dla zaakcentowania swoich stałych czynności, jakby na próbę. Ubierają się więc odświętnie, przygotowują samochód, konia albo łódkę i zapraszają znajomych na „inaugurację” zawodu. W tych dniach, aż do siódmego, odbywają się występy i pokazy, np. straży pożarnej, parady wojskowe itd., a nawet palenie wszystkich ozdób, które straciły wartość. Wysyłanie kartek z życzeniami należy prawie do obowiązku. Na nas obcokrajowcach duże wrażenie robi prasa świąteczna drukowana w kolorach, z dużymi napisami i fotografiami zwycięstw w Chinach. Oglądamy sceny wejścia tryumfalnego do większych miast, mapki z zagarniętymi obszarami, żołnierzy rozdających żywność biednej ludności chińskiej.

## Zmiany w administracji kościelnej

Na uroczystość św. Jana Bosko przybył arcybiskup Tokio Mons. Chambon, Powiedział nam, że ostatni raz przychodzi jako pasterz diecezji, więc żegnamy go serdeczną akademią i sztuką teatralną „Wdzięczność Polifema” - farsą w języku włoskim. Ucieszył się z niej bardzo, biorąc żart teatralny za dobrą monetę, bo takie czasy nastały. Mówiono już przedtem, że dla spokoju ustąpią ze stanowiska wszyscy biskupi zagraniczni na żądanie władz cywilnych. Okazuje się, że fakty potwierdziły domysły. Wkrótce też odbyła się konsekracja nowego biskupa, Japończyka. Równocześnie i nasza misja została przekształcona w niezależną inspekcję, odłączając się od inspekcji chiń-

skiej. Ks. Wincenty Cimatti jest nominowany inspektorem ku wielkiej radości wszystkich, z wyjątkiem jego samego.

Święto narodowe 11 lutego obchodzi się prawie z fanatyzmem: nie na próżno nazywają Japonię Niemcami Wschodu: rzeczywiście oni też czują się „über alles”. W krótkich odstępach pojawiają się w Tokio oficjalne wizyty faszystów i młodzieży hitlerowskiej, o których głośno w radiu i gazetach. Nawet przylatują do stolicy czarne ptaki ze swastyką „kondory”.

## **Nauka i praca**

Rok szkolny rozpoczyna się w Japonii z początkiem kwietnia. Teraz więc zostajemy zapisani na pierwszy rok filozofii. Z japońskim idzie wciąż jeszcze trudno, ale inne języki przyswajamy sobie o wiele łatwiej, z włoskim dajemy sobie radę doskonale. Postanawiamy nawet przerobić kursa licealne tego języka wraz z Włochami. Na początku będzie to trochę trudny orzeszek do zgryzienia, ale na dłuższy dystans mamy nadzieją wyrównać zaległości. Włochów to nieco zadziwiło, bo takie współzawodnictwo zdarza im się pierwszy raz i to z Polakami.

Wiosna kalendarzowa w Japonii podobna do polskiej, praktycznie rozpoczyna się z początkiem lutego, według kalendarza księżycowego. Tokio, położone na 35 równoleżniku, powinno być pod względem klimatycznym bliższe Afryce niżeli Europie środkowej. Dzięki jednak zimnym prądom z północy zachowuje klimat raczej umiarkowany, mimo wielkich zmagających stale między prądami z południa. Praca na roli rozpoczyna się w połowie lutego. Ostatnio władzom chodzi o samowystarczalność surowcową w żywieniu zbiorowym i indywidualnym. Wszystko, co lepsze, przeznaczają się dla wojska, a rąk do pracy coraz mniej.

Z konieczności zabieramy się i my z zakasnymi rękawami do tworzenia naszego gospodarstwa. Trzeba zaczynać od karczowania ziemi. Po znajomości zdobywamy dwa stare cmentarzyska, a trzeci teren - zaniebany laszek bambusowy. Z cmentarzem nie ma tu takich kłopotów, jak w naszych krajach. Kremacja jest ogólnie przyjęta, więc pozostały tylko zniszczone urny po większej części bez prochów i kości. Gorzej jest z karczowaniem bambusu i to aż do korzeni. Dłonie zamieniały się w podeszwy. Tak więc cmentarze nazwaliśmy Haceldamą dużą i małą (w zależności od liczby skorup z rozbitych urn glinianych), a krzaki bambusowe okopami. Nieco później padło ofiarą boisko sportowe, dzielące nas od szkoły zawodowej. Odtąd naszym „ulubionym” sportem staje się praca na roli.

## **Nishimura Shigeru i Sebastian Maki**

Wśród kolegów na filozofii mamy dwóch Japończyków. Jeden już na drugim kursie Jaś Nishimura Shigeru, a drugi co dopiero po ślubach, mój rówieśnik Sebastian Maki. Obaj bardzo grzeczni i uczynni, ale tak jak bywa z liściami na tej samej gałęzi: mało podobni do siebie. Jaś, chociaż z mojego rocznika, przeżył już niemało. Syn krawca, stracił za młodu mamusię. Bardzo zdolny, szedł przez młodość przebojem. Rodzinne miasteczko Miyakonojo, położone w górskiej kotlinie na wyspie Kyushu, liczyło w on czas około 60 tys.

mieszkańców, żyjących z drobnego rzemiosła i uprawy roli: jedwabnictwo, garncarstwo, zbiór herbaty itp. Nasi misjonarze udali się w te strony jeszcze w 1933 r., rozpoczęli od odwiedzania chorych i rozrzuconych po okolicy rodzin katolickich. Mały Shigeru uczęszczał do misji w niedziele i wolne wieczory wraz z wielu kolegami, tak jak on jeszcze niechrześcijaninami. Spodobała mu się wiara prosta i głęboka, więc zaczął uczyć się katechizmu. Równocześnie miał okazję nauczyć się języków: angielskiego i francuskiego. Dzięki temu mógł już rozmawiać z misjonarzami, czytywać książki religijne. Pewnego dnia oznajmił ojcu swoje postanowienie przyjęcia katolicyzmu i nawet zamiar zostania kapłanem katolickim. Ojciec jednak, chociaż nie był przeciwny wybraniu innej religii, to przecież sprzeciwił się kapłaństwu, kierując syna do seminarium nauczycielskiego. Shigeru korzystał z dalszych nauk i zdobywa jeszcze dwa języki: włoski i hiszpański, by po celujących egzaminach objąć posadę jako nauczyciel w szkole podstawowej. Nie traci łączności z misjami. Już jako człowiek niezależny otrzymuje chrzest św. i prowadzi życie wzorowe, oddane obowiązkom nauczyciela, modlitwie, umartwianiu, rozmyślaniu i dobroczynności. Jeszcze tego samego roku rezygnuje z zawodu i udaje się do rodzinnej misji. Uczy się początków łaciny tak, że jesienią może być skierowany do małego seminarium w Miyazaki, i poznać z bliska życie salezjańskie. Już w 1935 r. odbywa nowicjat w Tokio, a teraz świecąc dobrym przykładem w nauce filozofii, jest zarazem nauczycielem języka japońskiego dla starszych kolegów. Widzimy w nim nadzieje naszych misji na przyszłość i nie trzeba być prorokiem, by wiedzieć, że z czasem obejmie stanowisko w misji, w zgromadzeniu, a może nawet w hierarchii. Czujemy w nim człowieka nad wyraz zdecydowanego, zdolnego i konsekwentnego, dojrzałego zakonnika i misjonarza, a zarazem serdecznego kolegę i przyjaciela.

Dnia 29 kwietnia obchodzi się urodziny cesarza. W gazetach kolorowe odbitki, a na pierwszej stronie para cesarska. Szkoły mają wolne od nauki z tym, że wszystkie dzieci są zobowiązane wziąć udział w uroczystości, składającej się z odśpiewania hymnu narodowego, odczytania ukazu cesarza Meiji o wychowaniu i jednodominutowego milczenia na cześć poległych. Program ten uzupełnia przemówienie dyrektora szkoły lub gościa z ministerstwa oświaty albo przedstawiciela armii.

Kwiecień jest dla nas czasem zmian i przestawień personelu. Nowo mianowany inspektor z delegatem, którym został wybrany nasz ks. dyrektor, udają się do Włoch na kapitułę generalną, odbywająca się co sześć lat. Żegnamy ich uroczystie i wesoło.

Tak samo niedługo nacieszyliśmy się kolegą Jasiem Nishimurą: został przeznaczony na wykładowcę matematyki do małego seminarium w Miyazaki. Potem ma udać się do Włoch na wyższe studia. Także kilku innych wyjechało.

W miesiącu maju, poświęconym Matce Bożej, obchodzimy majówkę, ale mniej uroczystą niżeli w kraju. Na naszą uroczystość Matki B. Wspomożycielki, przypadającą 24 maja, jest zaproszony nowy arcybiskup Tokio J.E. Piotr Tatsuo Doi, małej postaci, ale wielki duchem. Uroczystość obejmuje mszę św. pontyfikalną, akademię, obiad, procesję i błogosławieństwo z wieczorną iluminacją.



## Uroczystość Bożego Ciała

W niedzielę po Bożym Ciele całe Tokio chrześcijańskie gromadzi się przy katedrze w dużym parku, gdzie odbywa się procesja eucharystyczna. Pierwszy raz podziwiamy liczbę wiernych w stolicy; mówi się o kilkunastu tysiącach, ale obecnych jest kilka tysięcy. Wielu nie mogło przybyć ze zrozumiałych powodów. Mimo to udział w procesji rzeczywiście przeszedł nasze oczekiwania. Wyruszamy z dużego placu przed piękną grotą z Lourdes, naturalnej wielkości, świetnie wykonaną. Na czele idzie starszy pan w mundurze gwardii napoleońskiej, który z halabardą w rękę z całą powagą i nabożeństwem wyznacza trasę pochodu. Za nim postępuje młodzież, kler, zgromadzenia zakonne, dzieci w bieli i w pięknych kimonach, duża liczba ministrantów, małe dzieciątka z kwiatami, a za baldachimem wierny lud. Przedstawicielem wojska jest wychowawca cesarza stary generał Yamamoto, który swoim pobożnym zachowaniem urzeka wszystkich. On ze wszystkimi dystynkcjami generała, w mundurze obwieszonym odznakami i z szablą japońską u pasa, jest godnym przedstawicielem całej armii. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że kiedyś będę oglądał coś podobnego w sercu stolicy Japonii.

Przystanki przy czterech ołtarzach z krótkimi kazaniami i końcowym błogosławieństwem zakończyły procesję. Drogi z parku pięknie przybrane girlandami, kwiatami i chorągiewkami państw z całego świata, a między nimi pojawiła się także i polska. Mnóstwo kwiatów na klombach i w rękach dzieci i dorosłych. Z kazań prawie nic jeszcze nie zrozumiałem. Starsi koledzy przyszli i odeszli pieszo, około 10 km w jedną stronę; nas, nieobeznanych z miastem, wysłano kolejką elektryczną.

W końcu czerwca nastąpiła pora deszczowa. Uroczystość Serca Jezusowego, patrona naszego studentatu, zamknęła pierwszy kwartał. Egzaminy trochę ciężkie, jak na pierwszy rok, ale zakończyły się szczęśliwie. Jesteśmy pełni otuchy na przyszłość. Zaczynają się wakacje letnie. Co nam przyniosą, zobaczymy.

### Hejże na wakacje!

Wakacje zaczynają się 20 lipca. W tym czasie odprawiane są u nas rekolekcje dla misjonarzy. Mam okazję powitać i poznać naszych „robotników z winnicy Pańskiej” o twarzach chudych, opalonych, ale wesołych. Wyobrażałem sobie, że wakacje spędzę na pracy jeszcze bardziej intensywnej. Tymczasem ogłaszają nam, że udajemy się nad morze na cały miesiąc, około sto kilometrów na południe od Tokio. Dopytuję się jednak, jak to możliwe w naszych warunkach, przecież takie miesięczne wywczasy muszą kosztować. Odpowiedziano mi, że Opatrzność o tym pomyśli. Lepiej wydać na odpoczynek aniżeli na lekarza. Doświadczenie wykazało, że klerycy pozbawieni wakacji,



chorowali potem cały rok z wielką szkodą dla nauki. Nic dziwnego, bo wyęziona całoroczna nauka teologii i języków, a zwłaszcza japońskiego, może nawet nabawić obłędu i doprowadzić do szpitala dla umysłowo chorych (było niestety kilka wypadków i to nie tylko wśród najmłodszych). Poza tym klimat japoński wilgotny, o wielkich skokach temperatury, jest zabójczy. Najpierw więc wyjeżdżają nasi „misjonarze” w teren do pomocy. Czynią to chętnie. Z kolei wyrusza wspólnota kleryków z przełożonym i dwoma braćmi kuchcikami, wśród których jest na pewno brat Grzegorz.

Pierwszy raz jedziemy pociągiem tak daleko, godzinę z minutami, sto kilka kilometrów. Na głównej stacji przed wyjazdem zakupujemy prowiant na obiad, podobnie jak w międzynarodowym pociągu „koszyczki”. Są to paczuszki z cienkich deseczek, tzw. „bento”, których zawartość składa się z gotowanego ryżu, okraszonego wszelkimi smakołykami z ryb, korzeni i roślin morskich. Zamiast widelca są patyczki, nazwane nie wiem dlaczego pałeczkami. Herbatę kupujemy osobno na dalszych stacjach przez okno wagonu.

Nareszcie miasteczko Odawara, znane z historii i walk książąt... tyle już wiem. Z pociągu przesiadamy się na kolejkę elektryczną, jadącą w stronę zatoki, ku pagórkom i rzece. Miejsce wymarzone: góry, rzeka, morze. Osiedle składa się z małych domków drewnianych w stylu japońskim, poprzecinane wąskimi drożynami, prawie przyczepione do gór. Powyżej toru widać wielkie i piękne zabudowania z żelbetonu, które zupełnie nie harmonizują z wyglądem ubogiej wioszczyny.

Schodzimy do środka osiedla i zatrzymujemy się przed zgrabnym domkiem piętrowym. Zdejmujemy obuwie, bo to typowy domek japoński z matami. Starsi koledzy zajmują piętro, a nasza dziewiątka z kursu filozoficznego pozostaje na parterze. Obok stoi miniaturowa kuchnia. Jedyny pokój, z którego usunięto ewentualne przegrody w kształcie zasuwanych drzwi z papieru, będzie nam służył za salę rozrywkową, studium do nauki, jadalnię dla wszystkich, a nocą za sypialnię. Przysmaki zapewni nam brat Grzegorz. Stacja i osiedle nazywa się Kazamatsuri. Staramy się rozlokować jak najwygodniej, ale trzeba to rozumieć w sensie japońskim. Każdy ma do dyspozycji jedna matę 1 m 80 cm przez 90 cm oraz część przyległego schowka. Wszystko bardzo misternie wyliczone, co do centymetra. Warunki obozowe harcerzy w Polsce można śmiało nazwać luksusem.

Będziemy mieszkali, jak Japończycy przez cały miesiąc: śpiąc na twardych matach, jedząc ryż i surowe ryby, chodząc w góry, do rzeki lub do morza. Ołtarzyk do mszy św. przygotowali koledzy na piętrze, przy którym rozpoczynamy dzień z Bogiem. Potem schodzimy na dół do ludzi. Nawiązujemy pierwsze znajomości z mieszkańcami, z dziećmi i młodzieżą, która z zaciekawieniem wygląda z zakrętów uliczek i „przeźroczywych” opłotków, z rzadkich żywopłotów i uchylonych drzwi. Niech żyje grzeczność japońska! Gdziekolwiek się obrócimy, spotykamy uśmiechy i niewyszukaną życzliwość. Wszystkim imponujemy, bo przyjeżdżamy z Tokio, jesteśmy w większej części blondynami, obcokrajowcami, a dla Japończyka blond włosy to sen z tysiąca i jednej nocy. Pierwsza przechadzka w kimonach i śpiew kilku piosenek znanych dzieciom szkolnym natychmiast przełamały wszystkie lody. Dzieci zebrały się gromadą wszystkie odświętnie ubrane przez mamusie, by nie powstydzić się wobec obcokrajowców.

Zapoznaliśmy się z rzeką i z morzem. Przyływ następuje o dziesiątej, wtedy morze staje się niebezpieczne. Pociśamy się, że może przyływ będzie się spóźniał, a wtedy zostanie więcej czasu na kąpiel.

## Przeżycia wakacyjne

W niedzielę udajemy się do kościoła misyjnego w miasteczku Odawara. Poczciwy ks. misjonarz przyjął nas serdecznie i ugościł herbatką. Pierwszy raz uczestniczyłem na nabożeństwie z wiernymi. W kościółku znajdują się maty jak w naszej willi. Prawą stronę zajmują kobiety, lewą mężczyźni. Obserwując procesję eucharystyczną w Tokio, byłem przekonany, że białe welony na głowie kobiet służą im tylko w uroczystych pochodach, a tutaj widzę wszystkie niewiasty w bieli. Po lewej stronie lśnią czarne kimona mężczyzn, wśród których są chłopcy. Dziewczęta dołączają się do matek. Dzieci małe mają swobodę wyboru. Ta egzotyczna msza św. mnie urzekła. Śpiewy, modlitwy i całe zachowanie nasuwały wyobraźni grupy pierwszych chrześcijan z czasów katakumb, o których czytałem wiele za młodych lat. Do komunii św. przystępują prawie wszyscy, jak podczas komunii generalnej. Ten widok poruszył mnie aż do łez. Była to dla mnie wielka niespodzianka. Czyż oni potrzebują nas, misjonarzy?

Nowy tydzień rozpoczynamy wycieczką w nieznaną. Wychodzimy grupkami, każdy z prowiantem w tornistrze. Pijemy po drodze wodę ze źródeł, spożywając dary Boże. Wieczorem powrót. Wrażenia z wycieczki wspaniałe. Każdy z kolegów opowiada żywo swoje przeżycia. Stopniowo poznajemy coraz lepiej okolicę.

W święto Wniebowzięcia N.M.P. mamy wykonać śpiewy na uroczystym nabożeństwie. Wierni nie posiadają się z radości. Wielu z nich pierwszy raz w życiu słucha w swoim kościele śpiewu polifonicznego i gregoriańskiego. Dzieci oczekują już nas, bo niedziela po południu należy do nich. Nawiązuje się serdeczna nić przyjaźni: zwierzenia, śpiewy, opowiadania o Bogu. Medaliki i krzyżyki wędrują do rąk małych przyjaciół. Japończyk z natury okazuje wdzięczność, więc w zamian przynoszą nam co mają najdroższego: amulety, świecidełka, widoczki, malowidła, zabawki, znaczki, broszki, pierścionki... Trzeba to przyjąć koniecznie. Nie wolno odmówić, bo inaczej przyjaźń się kończy... Nawet i starsi są poruszeni. Zatrzymują się najpierw z ciekawości, wdają się z nami w rozmowę i zaczynają się interesować nowymi dla nich sprawami. Przy najbliższej okazji przesyłają przez dzieci owoce, jarzyny, smaczne ryby, albo nawet garniec ryżu, tak, że nasze zapasy rosną.

Znowu wycieczka, tym razem dobrze przemyślana przy pomocy mapy: aż do Hakone, miasteczka położonego nad pięknym jeziorem górskim, skąd św. górę Fudzi widać jak na dłoni. Odległość wynosi 18 km. Wstajemy raniutko. Po mszy św. i śniadaniu już o godzinie szóstej jesteśmy w drodze. Na młode nogi to nieduża odległość: w trzy godziny jesteśmy na miejscu. Idziemy ciągle w górę, aż do ośmiuset metrów, skąd roztacza się piękna panorama na morze, na Ocean Spokojny.

Znowu mija tydzień. Wyczuwamy coraz większą serdeczność całego otoczenia. Ktoś zaczyna interesować się wiarą katolicką, szczególnie wśród starszych, cierpiących. Zdradzili się w rozmowie z naszym bratem Grzegorzem,

że to prawie nie do pomyślenia, by tylu młodych ludzi żyło razem w ciągłej zgodzie. A brat Grzegorz korzysta z okazji, i uświadamia ich, jakim węzłem jesteśmy złączeni. U słuchaczy wzrasta podziw i uszanowanie dla naszej wiary. Chętnie słuchają o Bogu i zapewniają, że powrócą do nas w wolnych chwilach.

Teraz kolejka na nas. Przygotowujemy w niedzielę po południu „wieczerek” dla dzieci i starszych w salonie pobliskiej ochronki. Ks. misjonarz postarał się nawet o drukowany program: dwie części po osiem występów: muzyka, śpiewy, dialogi, pantomimy, chóry i solo. Wszyscy uczestnicy byli wyraźnie zaskoczeni, bo większość programu wykonali młodzi obcokrajowcy w języku japońskim i to prawie bez zarzutu. Oryginalne ubiory i umalowane twarze dokonały reszty. Musieliśmy powtarzać wiele punktów, bo publiczność była brawa bez przerwy. Ks. misjonarz był bardzo zadowolony, a my zdobyliśmy wielu serdecznych przyjaciół wśród dzieci i dorosłych.

Przy wyjściu jedna rodzina zaprasza nas wszystkich w komplecie na obiad. Rodzina bogata i jedna z najstarszych w miasteczku. Duży dom, stuletni, z modrzewia już czarnego, ale jeszcze zdrowego. Przy niskich stolikach pięknie przybranych zasiadamy na poduszkach. Wkrótce pojawiają się na nich wyborowe potrawy z najlepszej japońskiej kuchni; ryby, ryż, jarzyny i cuda wszelkiego rodzaju z pieczonymi na ogniu węgorzami. Te ostatnie przygotowuje się na poczekaniu. Robi to sam gospodarz z małym chłopakiem, który uwija się koło ognia i odnosi każdemu z radosnym uśmiechem. Nie wiem dlaczego utkwił mi on w pamięci. Nie mogłem go zapomnieć, modląc się prawie codziennie o opiekę Bożą nad nim. Tak mi się wydawał jakiś bliski. Po skończonym posiłku, uprzejmionym śpiewami, nastąpiła jeszcze druga część niemniej ważna. Przeżyliśmy japoński ceremoniał herbatki. W parku znajduje się specjalne pomieszczenie dla tej ceremonii. Usadowiliśmy się w jednej linii, poczynając od ks. misjonarza, który nas pouczył jak się zachować. Otrzymaliśmy wszyscy filiżankę herbatki ze starego naczynia, stanowiącego rodzinny zabytek z dawnych czasów. Na drogę obdarowano nas jeszcze ciastkami, co należy do ceremoniału. Powróciliśmy pełni nowych wrażeń. Cała rodzina odprowadziła nas aż do najbliższego zakrętu drogi.

Urządziliśmy jeszcze dwa koncerty o programie podobnym do tego pierwszego, przeznaczając je dla dzieci szkoły podstawowej. Mimo wakacji zebrały się one w wielkiej sali szkolnej wraz z gronem nauczycielskim. Widownia liczyła około ośmiuset ruchliwych widzów. Otrzymaliśmy też zaproszenie ze szpitala - schroniska dla inwalidów z rosyjskiej wojny. Oni to otwarli podwoje pięknej sali również dla starszych z osiedla. Inwalidzi ci, już starszuskowie, w liczbie ponad dwudziestu. Zmieniliśmy oczywiście program, dostosowując go do starszych, ale wszystko na wesoło. Bawili się znakomicie. Przy herbatce brat Grzegorz służył mi jako tłumacz, bowiem jeden z inwalidów dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, bardzo się ucieszył i opowiadał nam o swej przyjaźni z Polakami, których spotkał w czasie walk. Pensjonariusze zaprezentowali nam film w dowód wdzięczności za pamięć o najbardziej opuszczonych. Jeden z nich powiedział: mamy wszystko, czego nam potrzeba, ale brak nam dwóch najważniejszych rzeczy: bliskich z rodziny i serca ludzkiego. Mówiąc to, płakał jak dziecko.

W przeddzień odjazdu starsi koledzy, podzieleni na grupki, poszli złożyć podziękowania dobrodziejom i zanieść pozdrowienia dla przyjaciół. Powrócili obładowani znowu różnymi podarkami. Młodzież nie odstępowała nas ani na krok, podają adresy, ofiarują pamiąteczki. Nareszcie ostatniego sierpnia w strugach deszczu udajemy się na stację kolejki wśród wielkiej gromady małych i dużych. Pożegnaniom nie ma końca. Kolejka się spóźniła. Dużo dzieci wsiadło do wagonu, by nas odprowadzić aż do stacji Odawara. Ale i tam już wielu nas oczekuje. Naczelnik stacji zatrzymał pociąg na kilka minut ze względu na tylu zagranicznych gości. Powracaliśmy dziękując Bogu i ludziom za wszystkie dary. Korespondencja trwała nadal. Od ks. misjonarza dowiedzieliśmy się z radością, że liczba katechumenów tak w miasteczku, jako też i osiedlu, gdzie mieszkaliśmy, wzrosła kilkakrotnie. Ks. misjonarz stał się od-tąd stałym gościem inwalidów, a kilku z nich zdecydowało się na przyjęcie chrztu. Wszyscy zaś darzą go swoją przyjaźnią.

## Widmo wojny

W połowie września powracają koledzy z różnych placówek, ale niektórzy z nich muszą przerwać naukę i iść do pracy. Listopad niepokoi nas częstymi i dość silnymi trzęsieniami ziemi. Tak minął jeden rok – 1938. Wydawałoby się, że następne będą mu podobne. Niestety, rośnie wciąż widmo wojny. Nasi koledzy Japończycy w osiemnastym roku życia są powoływani na komisję wojskową. To nam wróży złą przyszłość. Pochody towarzyszące rekrutom, udającym się na front, stały się wydarzeniem powszednim. Rzadko kto powraca, chyba że przywiozą go w białej szkatułce. Naród cierpi i walczy z własnym cierpieniem.

Pierwszy z naszych został powołany Jaś Nishimura i to jeszcze w lipcu przed naszym wyjazdem na wczasy. Przebywał krótko w regimencie rodzinnego miasta i został od razu wysłany na front do Mandżurii. Ścisnęły się nam serca na tę wiadomość. Polecamy go nieustannie Bogu w naszych modlitwach. Pierwsze wiadomości od niego nadeszły tuż przed Bożym Narodzeniem. Zdrowy. Ponuro robi się na świecie! Nowy Rok, co nam przyniesie? Kolorowe gazety? Zwycięstwa w obcym kraju? A tu bieda zaczyna zagłębiać w oczy.

Drugim kolegą, z którym żyłem się jeszcze bardziej, jest starszy ode mnie o trzy lata Sebastian Maki. Niski, jak wszyscy Japończycy, o twarzy opalonej, ma w sobie coś z Chińczyka. Pochodzi z Nagasaki z rodziny najdawniejszych chrześcijan, których wiara prowadziła wprost na męczeństwo. Zwierzył mi się, że za młodu był w szkole u braci Marystów, ale ciężka choroba przeszkodziła mu w naukach. Stąd jego opóźnienie. Nie rezygnując z powołania, wstąpił do salezjanów. Spokojny, wytrwały, usłużny dla wszystkich bez wyjątku i bardzo wierny w przyjaźni. Pobożność i dobre serce, to jego zalety łatwo dające się zauważyć. Jako ideał swego życia obrał sobie Dominika Savio, dziś już świętego. Chętnie korzystamy z pomocy Sebastiana w nauce języka japońskiego. Udzielał się z widocznym zadowoleniem i to zbliżało wszystkich do niego. Niewiele brakowało, by nas dwóch nazwano Pawłem i Gawłem. Zawsze mamy sobie coś do powiedzenia, zakomunikowania, poinformowania.

Mówi się po cichu, że maszyny dziewiarskie poszły na złom, a z nich wyrabia się broń, części do samolotów i bomb. Ile jest w tym prawdy, nie wiem, ale pogłoski te, jak iskra, zapalały fantazję otoczenia. Przerывa się jednak dopływ misjonarzy zagranicznych, musimy więc liczyć przede wszystkim na powołania tubylcze.

Z Nowym Rokiem przyjeżdża dwóch nowo wyświęconych księży z Niemiec, ale to już może ostatki? Powraca ks. Cimatti z kapituły generalnej. Na specjalnej audiencji u Ojca Św. otrzymał błogosławieństwo i polecenie dla nas: pracować w duchu ks. Bosko zawsze, wszędzie i z kimkolwiek. Kilka dni później przylatuje jakby echo, tym razem smutna wiadomość, o śmierci Piusa XI. Nishimura pisze z Mandżurii krótko i węzłowato. Na nabożeństwie żałobnym w katedrze za poległych w wojnie japońskiej biorą udział przedstawiciele różnych państw, a państwo reprezentuje brat Cesarza, ksiązę Chichibu, o którym mówi się cichaczem, że jest pacyfistą i dlatego ma wielu wrogów. Przełożeni, zwłaszcza ks. Cimatti, starają się przygotować wszystkich i uodpornić na przewidywane trudy. Trzeba odnowić w pamięci i życiu polecenia ks. Bosko, jak np.: „Otaczajcie szczególną opieką chorych, dzieci, starców i ubogich, a pozyskacie błogosławieństwo Boże i zyczliwość ludzi”.

## Święta ludowe

Oprócz świąt państwowych i religijnych, w Japonii obchodzi się kilka dni w roku, jako tradycyjne zwyczaje ludowe. Po Nowym Roku kalendarzowym pierwsze święto takie ma miejsce czwartego lutego „Dzień Oczyszczenia”. Liczby parzyste uważa się tu za fatalne. Na przykład czwórka jest liczbą feralną i wróży nieszczęście: cztery po japońsku ma to samo brzmienie co śmierć. Dlatego w szpitalach albo hotelach nigdy pokoje nie są oznaczone tym numerem. Jedyny wyjątek dotyczy 4 lutego, który jest pierwszym dniem roku według starego kalendarza księżycowego. Nazywa się to świętem „siania grochu”. Zwyczaj zapoczątkowany lub przyjęty z wierzeń buddyjskich. Rzuca się grochem wokół, wymawiając słowa: „Złe duchy z domu, a szczęście do domu”. Ma to oznaczać oczyszczenie każdego miejsca: domu, szkoły, świątyni, fabryki itd. Obyczaj ten nie ma charakteru religijnego. Coś w rodzaju polskiego „śmigusa”.

Drugim dniem tradycyjnym jest przeurocze święto dziewcząt, które obchodzi się trzeciego marca. Dwie liczby nieparzyste powtarzające się: trzeciego dnia trzeciego miesiąca. Dzień ten nazywa się również świętem lalek lub kwiatu brzoskwini. Oznacza on delikatność, serdeczność i pokojowe usposobienie dziewcząt. Chętnie urządza się uroczystości ślubne w tym dniu. W każdym domu, w którym są dziewczęta, rodzice starają się o zakupienie kompletu lalek. Nie chodzi tutaj o zwyczajne lalki do zabawy, ale o piętnaście lalek, przedstawiających cały dwór cesarski w historycznych strojach. Dziewczęta układają je według porządku na piramidzie schodków. Na szczycie znajduje się para cesarska. Niższe stopnie zajmuje towarzystwo dworu cesarskiego i obsługa według godności z góry wyznaczonej. Jest to szkoła miłości rodzicielskiej oraz włączenie się w przyszłą służbę rodziny cesarskiej.

Ubodzy zadowolają się serią lalek malowanych, ale bogaci mają do wyboru komplety artystyczne po bajecznych cenach.

Trzecim dniem jest święto chłopców - piątego maja. I znowu wymowa cyfr: piątego dnia piątego miesiąca. Największym skarbem w rodzinie japońskiej są dzieci, zwłaszcza chłopcy, bowiem dzieci stanowią właściwie rację bytu rodziny. Nawet rozwody są usprawiedliwione, gdy brak potomstwa. Święto chłopców jest również świętem narodowym: świętują wszystkie urzędy i fabryki. Zwie się również dniem konia albo dniem kosaćca. Początek „miesiąca krowy” (sadzenia ryżu) w brzmieniu japońskim oznacza również „pięć”, a kosaciec symbolizuje odwagę. Jak dziewczętom ofiaruje się podarunki z lalek, tak chłopcom szable i konie, atrybuty przyszłego obrońcy cesarza. Chłopcy np. otrzymują cały oddział żołnierzy-samurajów, albo przynajmniej część najważniejszą zbroi - od pancerza do szyszaka i miecza. Dla chłopców urządza się gorącą kąpiel z gotowanych łądyg i kwiatów kosaćca, a koło domu wywiesza się na wysokiej tyczce z bambusu duże karpie z papieru lub płótna według liczby męskich potomków w rodzinie, bowiem karp jest symbolem wytrwałości i siły.

Siódmego dnia siódmego miesiąca (lipiec) jest „święto gwiazd” lub „tkaczki”. Wywodzi się ono z legendy o królownie tkającej szaty dla ojca i pasterza. Królowna pokochała pasterza od pierwszego wejrzenia, ale ojciec zgodził się na poślubienie go pod warunkiem, że wpierv ukończy ona pracę. Niestety królowna zaniedbała tkanie a pasterz pilnowania trzody. Wtedy król rozdzielił ich szeroką rzeką tak, że tylko jeden raz w roku mogą się spotykać. Królowna uderzyła w płacz na widok rzeki. Sroka, współczując kochankom, gdy w lipcu zbliżają się do rzeki, rozkłada skrzydła i robi z nich pomost, po którym może królowna przejść na drugą stronę. Legenda głosi dalej, że gdy siódmego lipca pada deszcz, sroka nie buduje mostu i młodzi muszą czekać na spotkanie dopiero w przyszłym roku. Rzeką jest Mleczna Droga (po japońsku: Ginga - srebrna rzeka), Królowna Wega (Alpha Lyrae) a pasterzem Orzeł (Altair). Królowna stała się patronką wyrobów płóciennych i krawców, jak również sztuk pięknych, muzyki, poezji, kaligrafii tak ważnej w piśmie japońskim itp. Pasterz uchodzi za patrona hodowli, zwierząt i zbiorów. Uroczystość ma przebieg radosny. Przed domem stawia się i obnosi w procesji mnóstwo zielonych bambusów z wplecionymi w liście wstęgami, kwiatami i paskami kolorowego papieru, na którym są wypisane poezje dostosowane do okoliczności. Najbliższym ofiaruje się owoce i słodycze. W następnym dniu zanoszą się bambusy do rzeki, rzuca na wodę, aby płynęły do morza.

Piętnastego dnia jedenastego miesiąca (listopada) obchodzi się uroczystość zwaną „siedem, pięć, trzy”. Jest to święto dorastających dzieci, które przeszły krytyczne lata: dwa, cztery i sześć. Trzyletnia dziewczynka zapuszcza włosy (do dwóch lat strzyżone), pięcioletni chłopak ubiera pierwszy raz kimono męskie, siedmioletnia dziewczynka zakłada pierwszy raz przepaskę z kokardą na plecach. Tak ubrane dzieci prowadzi się do słynnych świątyń buddyjskich czy katolickich po błogosławieństwo. Tam otrzymują słodycze i zabawki, symbolizujące długie i szczęśliwe życie dla dziewcząt a wybitne i bohaterskie czyny dla chłopców.

## Stopniowa formacja misjonarza

W studentacie oprócz nauki, modlitwy i pracy żyjemy codziennymi wydarzeniami, które przynoszą radość, niepokój i nadzieję. Sam przyjazd do obcego kraju powoduje wielkie zmiany w życiu człowieka. Jest to jednak w każdym razie zaledwie początek, jakby rzucenie ziarna w glebę. Trzeba ją uprawiać, plewić z chwastów, nawadniać, wystawiać na promienie słoneczne, chronić od nadmiernych upałów, mrozu i zawiei, i czekać z nadzieją aż ziarno zakiełkuje, wystrzeli kłosem i wyda kiedyś oczekiwane plony. Młodzi zapaleńcy, wstępujący do nowicjatu lub przyjeżdżający zza granicy, prowadzą nadal studia, poznając język, kraj, obyczaje, ducha i o ile to możliwe psychikę narodu, który trzeba pokochać i stać się mu podobnym w tym wszystkim, co jest dobre, wzniosłe i wielkie. Aby urabiać innych, trzeba przede wszystkim przetworzyć samego siebie. A to nie jest sprawa ani łatwa ani też możliwa do dokonania w krótkim czasie.

Gdy pewnego razu nasz przełożony wyraził się, że na wzór narodu, który nas gości trzeba nam myśleć o ekspansji do Chin, Korei, Mandżurii, to wszyscy odruchowo wybuchnęliśmy śmiechem... A przecież, pomijając nawet sprawy polityczne, nasza misja właśnie na tym polega, byśmy wykonywali swą pracę pod jakimkolwiek dominium będziemy żyli i pracowali. Chrystus wysłał swoich apostołów na cały świat nie po to, by go podbijali w sensie ziemskim, ale by wzbogacali go łaską wiary.

W grudniu odbywają się pierwsze śluby naszych młodszych kolegów, wiośną święcenia starszych, latem wyjazd na pierwszą praktykę misyjną. Przeżywamy to wszyscy głęboko z radością Nauczyciela, który daje władzę i wysyła swoich na siebę i na żniwo, na chwałę i na męczeństwo. Przenika nas duch zapалу i wielkich tęsknot ewangelicznych.

W ten sposób rozpoczynamy od kwietnia drugi kurs filozofii. Z językiem japońskim już trochę się poznaliśmy. Przerobiliśmy w jednym roku trzy klasy szkoły podstawowej, sześć czytanek, około półtora tysiąca znaków pisma, więc zaczynamy się interesować dziennikami. Skóra na dłoniach stwardniała, obie „haceldamy” i „okopy” zasiane, ziemniaki i jarzyny rosną aż miło. Zdrowie nam dopisuje, więc czego może nam brakować? Niestety horyzont na świecie zachodzi chmurami. Ale my zajęci pracą, nauką i modlitwą niewiele możemy wpłynąć na wielkie wydarzenia polityczne.

Profesorem języka japońskiego został bonza z dużej pagody w centrum Tokio. Zapoznaje się u nas z literaturą włoską, więc rewanżuje się wykładami japońskiego. Bardzo miły człowiek. Gdyby nie piastował wysokiego urzędu w swoim kościele, nie miałby większych oporów w przyjęciu katolicyzmu. Czasem używa zwrotu: „my księża”. Ostatecznie, też duchowny, choć to brzmi śmiesznie. Niekiedy dochodzi między nami do koleżeńskiej wymiany zapatrywań na tematy religijne lub moralne. Mimo wysokiego stanowiska i dużej wiedzy, chętnie przyjmuje nasze argumenty. Jest obiektywny, uznaje autorytet w sprawach naszej wiary. Z kolei w sprawach odnoszących się do historii, różnych religii miejscowych i ducha japońskiego, on jest naszym nauczycielem i wyrocznią. Trudne i zawile kwestie językowe tłumaczy świetnie po włosku, więc sama nauka i zrozumienie różnych problemów przynosi nam wiedzę i wiele zadowolenia. Pod kierownictwem takiego pro-

fesora można rzeczywiście dużo skorzystać. Nie ma żadnych uprzedzeń do katolicyzmu, ale też i wielkiego przywiązania do buddyzmu. Pracuje i zabiega, by żyć. Czasem myślę, czy aby wszyscy nasi kochani bonzowie nie znajdują się przypadkiem w identycznych warunkach i położeniu? Czy to nie oznacza, że nadchodzi zmierzch wierzeń, które nie mogą dać człowiekowi zadowalających rozwiązań najważniejszych problemów życia jak cierpienie, śmierć, a zwłaszcza stały i niczym niezaspokojony głód szczęścia? Buddyści nie wierzą w życie pozagrobowe, jak by tego pragnęli...

Odczuwamy coraz większy brak rzeczy pierwszej potrzeby. Ludność żyje nadzieją w lepsze jutro, a my ufnością w Opatrzność, gotowi dzielić ze wszystkimi dołą i niedolę oraz ofiarnie dla nich pracować.

## Znowu na wakacjach

Pod koniec lipca, po egzaminach, wyjeżdżamy znów do Odawara i Kazamatsuri. Te dwie nazwy brzmią nam w uszach radośnie. Tym razem będziemy mogli już rozmówić się z dziećmi. Wszak i my razem z nimi skończyliśmy trzecią klasę, jesteśmy „rówieśnikami”. Już na miejscu trzeba było najpierw uruchomić pompę od studni, zrobić porządki wokoło. Zrobiło się trochę ciasno, bo jest nas więcej. Kilku starszych kolegów udaje się na spoczynek do misji. Powróciliśmy jakby na stare śmieci. A młodzież wyrosła. Wielu z nich żali się, że brakuje tatusia, brata, wujka. Poszli na wojnę. Dzieci nie udają radości, są bezpośrednie. W niedzielę raniutko idziemy pieszo do kościoła misyjnego. Wierni czekają już na nas. Cieszą się, dziękują za śpiew, a my jesteśmy im wdzięczni za serce i za dobry przykład w praktykowaniu wiary. Po powrocie zastajemy w domu pana w krawacie, oczekującego nas: to policjant, który wypełnia osobiście formularze. Pyta, jakie okolice mamy zamiar zwiedzić, jak długo się tu zatrzymamy, kto płaci za nasze utrzymanie i tym podobne sprawy.

Uroczystość Wniebowzięcia jest tym razem o wiele lepiej przygotowana, ale łączy się z przykrą wiadomością: brat Grzegorz Tateishi otrzymuje pozwolenie do wojska. Ma się tam stawić w dwóch dniach. Przygotowujemy pożegnanie a sąsiedzi przychodzą z życzeniami. Jesteśmy przygnębieni i żal nam bardzo dobrego brata Grzegorza. Nie ma rady: malujemy na szerokiej białej chorągwi wielkimi znakami jego imię i nazwisko: TATEISHI KONOKICHI, a obok dużo innych sentencji. Dalej na pięknej fladze narodowej podpisujemy się wszyscy i składamy mu prawdziwe życzenia. Tego nikt inny nie będzie czytał, więc co w sercu to i tam: modlitwy, życzenia szczęśliwego i jak najrychlejszego powrotu, pamięci o nas, wielkie szczęście Boże zawsze i wszędzie; tak to odprowadzamy kochanego brata na stację. On przepasany flagą narodową, a chorągiew wielka na przodzie jak na pogrzebie. Rozmawiamy, ale nie śpiewamy. Dzieci nie wzięły udziału. Na pewno płaczą po kątach, bo tak go serdecznie lubiły. Dwóch starszych chłopaków przyszło na naszą prośbę do niesienia chorągwi z napisem, w chwili pożegnania brat Grzegorz jest wzruszony, ale nie płacze. Dziękuje wszystkim za serdeczność i przede wszystkim prosi o modlitwy, aby mógł wypełniać dobrze i po chrześcijańsku swój obowiązek, pozostając zawsze wiernym synem-żołnierzem księdza Bo-



sko. Ze stacyjki udaliśmy się wszyscy do kościoła, aby polecić Bogu, Matce Bożej i księdzu Bosko naszego brata w Chrystusie.

W krótkich odstępach nadchodzą listy od Nishimura, który teraz przebywa w Ryujuton w szpitalu. Czuje się dobrze, ale jest ranny w głowę, stracił dużo krwi. Niebezpieczeństwo minęło, więc wkrótce powróci na pewno na front. Żegna się z nami i prosi o modlitwy.

A naszego drogiego Grzegorza zastępuje ostatnio przybyły brat Piotr Miyahara, starszy, ale dobrocią równy jemu. W studentacie jest dla nas wszystkim: krawcem, szewcem, kucharzem, zakrystianinem, pielęgniarzem, mechanikiem, zegarmistrzem, nauczycielem, tłumaczem, dozorcą, dostawcą, no i zakonnikiem, dobrym bratem i kolegą. Zawsze uśmiechnięty, wyrozumiały, uczynny i pewny: tajemnicy nie zdradzi, przyrzeczenie spełni, w pracy zastąpi. Przyjechał z nami, aby wypocząć kilka dni i tak mu się udało, że wpadł z deszczu pod rynnę. W domu, gdzie nie ma kobiet, to taki człowiek wszystko umiejący wart tysiące.

Po wyjeździe Tateishi straciliśmy humor. Jak miecz Damoklesa zawisała nad nami niepewność jutra. Projekty robione w ciągu roku zaczęły się rozwiewać. Mimo to dajemy w salonie szkoły komedię w trzech aktach w tłumaczeniu z włoskiego: „Laska mojego wujka” z dużym powodzeniem.

Przed końcem wczasów otrzymujemy jeszcze dwa listy od Nishimura i nareszcie pierwszą wiadomość od Tateishi. Ten po dwumiesięcznych ćwiczeniach znajdzie się w Chinach. Ostatni list Nishimura był adresowany z Japonii, więc go może jeszcze zobaczymy. Przygotowujemy manatki, żegnając się ze wszystkimi. Radio donosi o zbliżaniu się tajfunu. Tokio jest rzadziej nawiedzane od południowych wysp, ale tym razem prawdopodobnie tajfun zahaczy o nas przynajmniej swoim ogonem. Idziemy pożegnać morze. Widocznie jest już pod wpływem zbliżającego się tajfunu, bo słychać je z daleka. Majestatyczne fale przewalają się bezładnie, by rzucić się ku brzegowi z zawrotną szybkością. Rybacy wyciągnęli już sieci i podziwiają piękno tego żywiołu. My tymczasem zabawiamy się w wodzie. Odważniejsi przebili fale nurkiem i jeżdżą sobie na niej jak na koniu.

Japończycy, wychowani nad morzem, przepływają nawet poza drugą falę. Spoglądamy z podziwem na brata Piotra, który przebija i trzecią, pluskając sobie swobodnie jak ryba po ruchliwym morzu. Wychodzimy na brzeg trochę zmęczeni i czekamy na powrót kucharczyka. A on, widząc nas już w gromadzie, wspina się na grzbiet trzeciej fali i szczęśliwie ześlizguje się za drugą. Manewruje zręcznie: widać, że zbiera siły na następny skok. RzUCA się naprzód, ale fala go wyraźnie zabiera. Struchleliśmy. Nie widać go jakiś czas, ale znowu wypływa w stronę trzeciej. Spoglądamy po sobie wzajemnie bez słowa. Czujemy, że dzieje się coś niedobrego. Może sobie jakoś poradzi. On znowu ponawia wysiłek, może już z mniejszą pewnością, bo bezwładnie dostaje się w wir. Robi się nam ciemno w oczach. Widzimy, że za trzecią falą formują się inne: jak okiem sięgnąć rosna białe grzywy. Oglądamy się bezradnie.

Rybacy powrócili do domów, tylko jeden starszy z rozchełstaną koszulą i ręcznikiem na kolanach obserwuje nas od niechcienia i to, co się dzieje. Biegniemy do niego i, pokazując biednego kolegę, prosimy o pomoc. Słyszymy też, jak tonący brat wzywa pomocy. Rybak ani drgnie. Siedzi spokojnie i spo-

gląda na nas, jakby nie rozumiał naszych rozpaczliwych prośb. Mijają ciężkie chwile. Każdy w duchu prosi Boga o ocalenie ginącego. Brat Piotr z trudem porusza się na fali. Milczymy przerażeni. Niemymi oczami błagamy rybaka, rozumiejąc jednocześnie, że i on naraziłby się na pewne niebezpieczeństwo. Brat Piotr stracił zupełnie panowanie nad ruchami i płynie wprost pod trzecią falę. W ostatniej chwili odwraca się, ale za późno: fala przechodzi po nim bez śladu. Łzy cisną się do oczu, ból targa sercem: ginie nasz współbrat, a nas tylu młodych i zdrowych stoi bezsilnie i bezradnie. Co za tragiczne pożegnanie z morzem. Jeszcze od czasu do czasu wypływa głowa Piotra i niknie znowu. Ręce chaotycznie uderzają w wodę.

W tej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Rybak na widok zrozpaczonych ruchów tonącego podskoczył jakby oparzony ukropem, zrzucił z siebie jednym ruchem koszulę, rękawicami obwiązał głowę i, spluwając głośno w naszą stronę, pobiegł ku morzu w mgnieniu oka przepłynął pierwszą falę. Kilka regularnych pewnych ruchów i jest pod drugą, którą forsuje nurkiem z równą łatwością. Potem jego ruchy robią się błyskawiczne: w jednej chwili znalazł się pod trzecią. Widzimy jego głowę, jak rozgląda się we wszystkie strony. I oto rzuca się ku czwartej fali, ale na chwilę, bo już zawraca spokojnie. Widzimy go na trzeciej fali: nie jest sam... holuje naszego Piotra już bezwładnego. Ginie jeszcze na chwilę w wodzie, ale za moment jest już na brzegu. Jeszcze ostatni wysiłek, by się nie dać zabrać powracającej fali. Wtedy rzuciliśmy się wszyscy w jego kierunku i, wiążąc się wzajemnie rękoma, pomagaliśmy mu wyjść na brzeg. Wszystko odbyło się w kilku sekundach.

Zmęczony rybak bierze delikatnie brata w okolicy kolan i podnosi w górę. Woda obficie wypływa z ust Piotra. Potem spokojnie kładzie go na przegubie wydmy i przykładą ucho do serca. Przysłuchuje się jakiś czas. Brat Piotr otwiera oczy. Rybak wstaje i odchodzi. Próbuje mu dziękować, ale on ani się nie odwrócił. Wziął koszulę i oddał ją w milczeniu. Pozostaliśmy jak wrośnięci w ziemię. Brat powoli zupełnie oprzytomniał, ubrał się i zataczając jak pijany, powrócił razem z nami. Wstrząsające było to pożegnanie z Oceanem Spokojnym. Dowiadaliśmy się potem o rybaku, ale daremnie.

## Podwójny tajfun

Wracamy do Tokio po wielu wrażeniach, a tymczasem szare niebo zaczęło się groźnie zasnuwać. Ponure chmury wielowarstwowe, jakieś złe, poszarpane lecą w różnych kierunkach. Wiatr raz cichnie, to znowu uderza wachlarzem dżdżu to z tej to z tamtej strony. Cisza przed burzą, albo raczej pierwsze oznaki burzy przed czymś więcej, dla nas jeszcze nieznanym. Rozładowaliśmy rzeczy, robimy porządki we wszystkich zakamarkach. Dwóch kolegów zachorowało. Jeden z nich, to brat po wczorajszej kąpieli, a drugi kolega Włoch z mojego kursu. Może opalił się za dużo i udar słoneczny wywołał wysoką gorączkę Zasuwamy szczelnie podwójne okna, na ile to można zrobić w starym domu, i kładziemy się ochotnie, aby wypocząć. Bardziej doświadczeni radzą mieć w pogotowiu świece i lampki elektryczne pod ręką, bo w czasie tajfunu wyłączają prąd. Po wielkich przeżyciach zasypiam, chociaż wiązania w dachu odpowiadają echem na każdy jęk zawieruchy...

Budzę się: ciemno; jęczy przeraźliwie i kołysze się cały dom, jak przy trzęsieniu ziemi. Słyszę brzęk szkła i jakieś szamotanie. Zrywam się z łóżka. Wśród ciemności błyskają latarki. Koledzy zastawiają okno starą tablicą z klasy szkolnej. W kącie, przy blasku chybocącej się świecy chory kolega marudzi w gorączce, woła mamy. Prąd wyłączony, wiatr od strony podwórza wyje z niebywałą siłą. Wyrywa dachówki, chociaż każda jest przybita gwoździem. Do wnętrza sypialni leje się ciurkiem. Przy oknie niemal staw. Nie spaliśmy już do rana. Na szczęście tajfun leciał morzem.

W południe dowiadujemy się z radia, że Hitler napadł na Polskę. Jest 1 września 1939 r. Wszyscy nam współczują, nawet Włosi, a Bawarczycy, Bogu ducha winni, czują się bardzo nieswojo. Nie wiedzą, jak się zachować. Francja odwołuje swoich pod broń. Po kilku dniach odprowadzamy naszego świeżo wyświęconego księdza na stację, ale bez flag i śpiewów. On na pół żartem woła już z wagonu: Napiszę wam pocztówkę z Berlina! Wojna, a więc przestaje funkcjonować łączność z Polską. Zaczyna brakować chleba. Już nie wypiekają go w potrzebnej ilości. Ograniczamy nasze wydatki, przechodzimy na ryż.

W listopadzie przybywa jeszcze do nas sześciu młodych Włochów. Ni stąd ni z owąd zgłasza się jakiś usłużny pan „specjalista” w radiotechnice i ofiaruje się dostosować nasze radio (usuwa odbiornik krótkofalowy) gratis i wypożycza dla nas piękne płyty z biblioteki narodowej, również darmo. Łatwo się domyślić, co za jeden: tajniak. Przychodzi tajna policja, pytając o moje zdanie, co do napadu Hitlera. Odpowiedziałem, że mam takie samo odczucie, jakie mieliby Japończycy, a ci mają dość swoich kłopotów.



## Widzenie księdza Bosko

„Zdało mi się, że znajduję się przed górą bardzo wysoką, na której szczycie stał Anioł w blaskach światła, obejmującego cały ten kraj aż do dalekich jego granic. U podnóża góry rozciąga się szerokie królestwo nieznanymi mi ludów. Anioł w podniesionej prawicy dzierżył wysoko miecz, który błyszczał jak potężna pochodnia, a lewą ręką wskazywał mi kraje wokół położone, mówiąc: — Anioł Arfaxad woła was na wszczęcie bojów Pańskich i na gromadzenie narodów do Pańskich gumien. Głos jego nie brzmiał jednak w formie rozkazu, ale zaproszenia. Przedziwny tłum aniołów, których imion nie znałem ani nie pamiętałem, otaczał go kołem. Naokoło góry; u podnóża i na ich fałdach mieszkało dużo ludzi. Wszyscy rozmawiali między sobą językiem, którego nie rozumiałem. Nie można opisać tego, co widziałem. Jednocześnie jawiły mi się rzeczy z różnych czasów wciąż się zmieniających. Za plecami znajdowało się ogromne morze, a miejscowość ta nazywała się Meako. Widziałem tamże wielu moich synów wśród tych ludów. Gdybym mógł zabalsamować i zachować obecnych salezjanów na pięćset lat, wiedzieliby, jakie dziwy gotuje nam Opatrzność w przyszłości, jeśli pozostaniemy wierni naszemu powołaniu...”

Tak opowiadał ks. Bosko swe widzenia o Japonii w roku 1885.

### Wojenne nastroje

Nowy rok 1940 zaczynamy w oczekiwaniu wielkich wydarzeń. Japonia liczy od założenia 2600 lat. W całym kraju już od dłuższego czasu trwają wielkie przygotowania. Nawet wojna, którą odczuwamy coraz ciężiej, nie przeszkadza w obchodzeniu tej rocznicy, owszem miłość do kraju i cześć dla Cesarza staje się okazją do pomnożenia wysiłków militarnych. Wiadomości z radia i dzienników brzmią optymistycznie, wszędzie dużo przemówień. Skracają się godziny nauki na korzyść pracy, bo ojcowie i starsi synowie w wielu rodzinach wyjechali na front. W powietrzu wisi coś wielkiego i ważnego. Wytwarza się nastrój entuzjazmu w społeczeństwie. Żywność można kupić tylko na kartki i to w małej ilości. Zwyczajne porcje są jeszcze pomniejszane. Na pewne artykuły jak tekstylia, obuwie, narzędzia pracy, kartek wcale nie można dostać. Urządza się zbiorowe ćwiczenia w gaszeniu pożarów, zaciemnianiu miast oraz zaleca się kopanie schronów. Wszystkim wydaje się dziwne, że armia japońska zdobywa inne kraje, a tymczasem robi się przygotowania obronne. Japonia przecież jeszcze nigdy wojny nie przegrała, a tym mniej noga nieprzyjaciela nie powstała na ziemi bogów. Byłoby to zbeczeszczenie kraju nie do podarowania. Historia zna próby zawojowania kraju przez Mongołów, ale „kamikaze - bóg wiatr” sam zniszczył całą flotę nieprzyjaciela (był to tajfun). W szkołach na wiecach, zwłaszcza z okazji uroczystości narodowych słyszy się w kółko o wielkości, potędze i nietykalności błogosławionej ziemi.

W naszym domu, mimo zaglądnącej w oczy biedy, nie tracimy ufności w Boga, ale też nie mamy czasu na politykę. Zdwoiliśmy pracę, naukę, oszczędność. Nawet nasze święta, chociaż zawsze bardzo uroczyste w kościele, w jadalni mają menu piątkowe, w styczniu pięciu młodych chłopaków Japończyków zgłosiło się do nowicjatu. Mojemu koledze Maki zlecono obowiązek opieki nad nimi.

## **Udział misjonarzy salezjańskich w historycznej rocznicy kraju**

Jedenastego lutego rozpoczyna się akcja o charakterze misyjnym, która będzie trwała cały rok. Przygotowujemy kongres katechetyczny, włączając weń jak najszerze koła seminariów i misji. Profesorowie, studenci teologii i filozofii głoszą konferencję o tematyce religijnej.

Nasz ks. inspektor mons. Cimatti, słynny już z tysiąca koncertów po całej Japonii, Korei i Mandżurii, opracowuje Sonatę. Wykorzystał do niej melodie ludowe japońskie i wyraził w nich trzy momenty historyczne: połączenie kraju, koronację pierwszego władcy i dzisiejszy rozkwit. Dzieło się udało i spodobało znawcom. Było trochę zgrzytu, że to obcokrajowiec, który w razie konkurencji mógłby przodować, ale rozwiązano poprzez premię extra, nie włączając utworu do konkursu, w którym zajęli miejsca sami Japończycy. Prócz tego utworu mons. Cimatti napisał muzykę do libretta operetki o słynnej heroinie chrześcijańskiej, Gracji Hosokawa, która wybrała raczej śmierć z ręki domownika, aniżeli oddanie się w ręce zwycięskiego przeciwnika w 1600 r. Premiera była wielkim sukcesem w stolicy.

Dobry kolega Sebastian niedługo nacieszył się nowym obowiązkiem. Już pod koniec lutego został wezwany pod broń jako trzeci z kolei po Nishimura i Tateishi. Pożegnaliśmy go serdecznie, a odczuli to jeszcze więcej jego młodzi podopieczni, którzy zdołali się już do niego przywiązać. Zaczynamy modlić się codziennie na wspólnych pacierzach wieczornych za naszych braci „nieobecnych”.

## **Historia pewnego nawrócenia**

Tymczasem nasz kongres katechetyczny zatacza coraz to szersze kręgi. Wśród wielu prelegentów na poziomie, księży i świeckich, wspomnę o profesorze uniwersytetu, panu H., który przyjął chętnie nasze zaproszenie i opowiedział losy pewnego studenta (charakterystyczne szczegóły pozwalają domyślić się, że chodzi tu o samego prelegenta). Otóż matka jego udawała się często do świątyni buddyjskiej lub szyntoistycznej, biorąc ze sobą małego syna. W ostatni wieczór roku poszli do świątyni szyntoistycznej wraz z wielką masą ludzi, według zwyczaju japońskiego, by tam przywitać Nowy Rok. Ze świątyni położonej na zboczach góry chłopak spoglądał na nikłe światła miasta. Nastrój uroczystego nabożeństwa, piękno krajobrazu poruszyły wrażliwego chłopca do głębi. Poczul w sobie coś tajemniczego. Odczuł to jako obecność Boga, który musi istnieć. Zainteresował się obrazkami, które posiadał w szkole jego kolega protestant. Pociągało go piękno nowej

nauki. Po ukończeniu szkoły średniej zapisał się razem z kolegą na „czytanki biblijne”, prowadzone po angielsku. Chciał pogłębić znajomość języka, jak również poznać bliżej nową religię, w nagrodę za pilność otrzymał książkę pod tytułem: „Człowieczeństwo Chrystusa”. Była to jednak dla niego lektura zbyt trudna. Przebywając latem w górach, zdobył od obcokrajowca Nowy Testament z tekstem angielsko-japońskim. Czytając go na jednej z wycieczek, przeżył ponownie wrażenia z nocy sylwestrowej. Czuł mocną potrzebę modlitwy, łączności ze Stwórcą i spontanicznie zaczął odmawiać powoli „Ojcze Nasz, który jesteś w niebie”... Od tego czasu polubił tę modlitwę i odmawiał ją codziennie nawet po kilka razy.

Po ukończeniu liceum rozpoczął w Tokio uniwersytet, ale w dniu 11 października 1923 r. o godz. 11:58 przyszło wielkie trzęsienie ziemi, w którym zginęło mnóstwo ludzi, a miasto uległo zniszczeniu (99 331 zabitych, 128 266 domów zburzonych, 447 128 domów spalonych pożarem). On się uratował, ale szkoła została mocno uszkodzona, przerwano więc wykłady. W tym czasie młody naukowiec rozczytywał się w Piśmie św. coraz dokładniej. Dzięki niezłej już znajomości języka angielskiego oddał się lekturze książek religijnych. Postanowił przyjąć chrzest u protestantów. Miał później profesora, który ukończył studia w Ameryce i na wykładach nauk przyrodniczych przedstawiał się jako ateista. Te lekcje były dla niego ciągłą męczarnią. Zaczął się tym bardziej interesować etyką, zagadnieniami społecznymi, nie zdawał sobie jednak jeszcze sprawy z wielu problemów podstawowych. Czytając wreszcie traktat świętego Augustyna „O grzechu pierworodnym”, zaczął zbliżać się do katolicyzmu. Język francuski wykładał profesor ze zgromadzenia braci marystów.

Zawsze punktualny, serdeczny w kontaktach ze studentami, nie obraził nigdy nikogo, a gdy mówił o Chrystusie, wyrażał się o Nim z wielką czcią. Studenci czasem wypytywali o sprawy religijne, on jednak omijał ten temat, gdyż wówczas regulamin zabraniał nauki religii w szkole. Zapraszał nas raczej do siebie i służył grzecznie odpowiednimi wyjaśnieniami. Chodziliśmy często do niego „Na specjalizację wybrałem teleologię, naukę o celowości w świecie. Bardzo mi się spodobała. Miałem za profesora katolika T.K. On mi wytłumaczył różnicę zachodzącą między katolicyzmem i protestantyzmem, owszem oddał mnie w ręce profesorowi księdzu I. U niego zrobiłem abitur i wstąpiłem do kościoła katolickiego. Tutaj znalazłem odpowiedź na wszystkie moje problemy i upragniony pokój duszy, łaknącej prawdy”.

Nie wiem, czy łaskawy czytelnik zauważył, że w kilku ostatnich zdaniach opowiadający zaczął referować w pierwszej osobie, poruszony własnymi przeżyciami. Wydaje mi się więc, że uwaga zrobiona na początku może być prawdziwą. Profesor H. zakończył swoją konferencję krótkimi spostrzeżeniami: „a) Szintoizm nie jest filozoficznie panteistyczny, ponieważ uznaje Stworzyciela, b) Buddyzm, chociaż jest uważany za religię, nie jest nią, będąc raczej filozofią, c) Marksizm swego czasu dość silnie wtargnął do Japonii, ale po wojnie w Mandżurii pozostał po nim tylko materializm, d) Chrześcijaństwo nie niszczy ducha japońskiego, ale owszem oczyszcza go i uszlachetnia. Ta ostatnia uwaga ma wielkie znaczenie ze względu na podnoszone przez pogan i protestantów pod adresem katolików oskarżenie o brak miłości ojczyzny...”

## Nasza postawa

Przed Niedzielą Palmową mamy święcenia sześciu kolegów: jeden Jugosłowianin i pięciu Włochów. W dniu święceń otrzymują skierowanie do różnych placówek misyjnych. Przybywa też dwóch Japończyków do nowicjatu, więc ogólna liczba pozostaje bez zmian.

Z nowym rokiem akademickim nasz dom formacyjny liczył dziesięciu profesorów stałych, jedenastu studentów teologii, dwunastu filozofii, siedmiu nowicjuszków i trzech braci. Pomimo trudności zewnętrznych liczba wzrasta. Warunki życiowe bowiem pogarszają się z każdym dniem, nasi wychowawcy powtarzają ustawicznie, iż musimy koniecznie dostosować się do sytuacji, przewidując najgorsze, nawet śmierć. Kto nie jest na to gotowy, to niechaj zawczasu usunie się i powraca do swoich. Wierzmy, że nasza wspólnota zachowa się, a miłość, modlitwa i praca pozwolą przebrnąć przez ten trudny okres, jakiego dotąd jeszcze nie przeżyliśmy. Tylko pod hasłem „wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich” - możemy mieć szansę przetrwania bez załamań. Nie jest to łatwe ze względu choćby na różnice narodowościowe. Każdy z nas musi dać z siebie wszystko, co najlepsze, bo jedność i wspólnota są jednym z naszych głównych celów.

Nasz ks. inspektor mons. Cimatti, świetny psycholog i wychowawca, umie nas i porwać i utemperować, a przede wszystkim złączyć w jedną rodzinę. Zostaniemy na posterunku lub ulegniemy zagładzie, tu nie ma pośrednich dróg. Nie ma miejsca na „jakoś tam będzie”, na brak zaangażowania lub odpowiedzialności. Tylko taka postawa, oparta na ufności w Opatrzność, przy pełnej świadomości realnego stanu rzeczy, da nam moc zarówno przetrwania, jak i pracy dla innych. Nasze powołanie zobowiązuje nas nie do myślenia o sobie, ale do oddania się innym bez zahamowań i małoduszności. Wyrozumiałość dla innych przy surowym osądzie siebie pomoże utrzymać się na właściwej drodze. Musimy pamiętać, że przyszliśmy pracować dla kraju, który nas gości - dla Japonii i Japończyków. Musimy stać się „tubylcami”, akceptując i wzbogacając wszystkie dodatnie wartości, jakie ten kraj posiada. Japończycy nie potrzebują naszych języków, naszych zwyczajów, ani naszej techniki czy nauk matematycznych. Oczekują od nas Chrystusa i Jego Ewangelii. Naszą polityką teraz i zawsze ma być polityka „Ojciec nasz” oraz apostołstwo czynu. Matka Boża to nasza Mistrzynie, Wzór i Pasterka tego licznego ludu, do którego nas przysłała...

## Wakacje w górach

Wyjątkowo szybko kończymy egzaminy, ostatni traktat z filozofii: ile to radości i zadowolenia, że z łaską Bożą pokonaliśmy tyle trudności przewidzianych i nieprzewidzianych. Jeden tylko z naszego kursu jedzie już na pracę misyjną. Do nas uśmiechają się jeszcze wczasy letnie. My Polacy kończymy trzyletni okres ślubów. Trzeciego sierpnia mamy je odnowić.

Już pod koniec lipca wszyscy koledzy wyjeżdżają na wakacje, ale tym razem w góry, cztery godziny pociągiem ma północ. My we dwóch odprawiamy rekolekcje na miejscu, a do kolegów pojedziemy na dzień profesji. Towarzyszy nam ks. dyrektor. Ze stacji kolejowej autobusem 18 km w stronę gór,

wśród których jedna, zdaje się, zapraszać pióropuszem dymu czynnego wulkanu. Całe podgórze słabo zaludnione. Zamiast pól uprawnych, tak charakterystycznych dla przedmieść stolicy, jak okiem sięgnąć ciągną się lasy, przerywane wielkimi polanami dzikich krzewów bambusowych, mocno podobnych do dżungli. Szosa wciąż wznosi się. Na skrzyżowaniu opuszczamy asfalt, prowadzący w prawo ku osiedlu bogatych willi. To rezydencja letnia rodziny cesarskiej. Na lewo gościńcem dojeżdżamy do górskiej wioski Nasu-Yumoto. Tam spotykamy kolegów lekko ubranych, powracających z wycieczki w góry. Szczyt wulkanu 1917 m jest już w chmurach. Koledzy opowiadają o dymiącym kraterze, o studniach płynnej siarki i tylu innych cudach. Kwadrans drogi górską ścieżyną i jesteśmy już na miejscu.

Trzy wille do naszej dyspozycji. Jedną zamieszkują koledzy z teologii, drugą studenci filozofii, a trzecia służy jako magazyn na rzeczy. Co za luksus mają biedni zakonnicy! Dwudziestu ubogich misjonarzy ma trzy wille do dyspozycji i to gratis. Cóż się stało? Tylko wiara w Opatrzność może wytłumaczyć ten niezwykle zbieg okoliczności. Powyżej rozciąga się pięknie wystrzyżone pole sportowe do gry w golfa, czynne całe lato. Osiedle żyje z obsługi tego bogatego sportu i gorących źródeł siarczanki. Nasze wille zostały zbudowane dla kuracjuszy o wypchanych portfelach. Pech chciał, że przewody siarczanki prowadzą przez środek pola golfowego. Nieprzyjemny zapach odstraszał bogatych sportowców i nastąpił konflikt. Sąd wstrzymał produkcję siarczanki, a wille straciły lokatorów. Bogaty właściciel po znajomości wypożyczył wille za darmo misjonarzom, stając się naszym dobrodziejem.

Jedyną niewygodą jest brak studni i pitnej wody. Trzeba iść do źródła odległego o kilometr, ale cóż to znaczy na młode nogi! Włosi mówią, że potrzeba zaostrza rozum. Koledzy wyszukali powyżej pola golfowego inne źródło. Po kilku dniach pracy skierowali z niego wodę do przewodów siarczanki. Obecnie smaczna woda dochodzi już w obfitości do naszych trzech willi. W ten sposób wilk jest syty i owca cała, bo czysta woda nie przeszkadza sportowcom.

Trzeciego sierpnia 1940 r. rano koledzy zrobili nam niespodzianką. Całą kaplicę wystroili liliami. W przeddzień udali się w góry i każdy przyniósł naręczce przepięknych, złocistych, górskich lilii. Z konieczności usunięto macki z pyłkiem ze słupków ze względu na mocny zapach, mogący przyprawić o zemdlenie. Po odbytej ceremonii trzeba było je wynieść na werandę. Dzień naszych ślubów zakonnych przeżyliśmy wśród lilii polnych.

W niedzielę przybywają na mszę św. wczasowicze. Przyszła również ambasadorka francuska ze swą świtą. W czasie gościny orkiestra grała piękne melodie. Dla dostojnej pani zagraliśmy Marsyliankę. Wzruszyła się bardzo! — Wy macie innego ducha - rzekła. Gdy ubiegłej niedzieli byłam w Tokio w kościele dla obcokrajowców i ksiądz rozpoczął kazanie po francusku, to obecni tam Włosi na znak protestu wyszli z kościoła i powrócili po kazaniu. Jak to miło czuć się wśród braci mimo ludzkiej złości na świecie.

Policja tym razem już nas nie opuszcza. Codziennie przychodzi dwóch młodych policjantów, ale zachowują się bardzo grzecznie. Wypełniają tylko rozkaz i wcale się z tym nie ukrywają. Chodzi o to, że w pobliżu jest willa cesarska. Dopóki więc jest obecny ktoś z tej boskiej rodziny, policja daje pilne baczenie na wszystkich turystów w okolicy.



Deszcze nawiedzają nas częściej niżeli nad morzem. Nie zrażamy się jednak tą niewygoda, bo w górach już po godzinie marszu chmury mamy pod stopami i zażywamy świeżego powietrza przy słonecznej pogodzie. Wieczorem wracamy znów w strugach deszczu. Krater wulkanu robi każdorazowo wrażenie wstrząsające. W różnych odstępach czasu wylatują w powietrze potoki roztopionej siarki, która spływa z powrotem do krateru. Zatrzymać się i stanąć pod wiatr oznaczałoby samobójstwo. Dym siarczany gryzie w oczy, zatyka oddech, dusi. Jakże małeńki, bezsilny jest człowiek w porównaniu z siłami przyrody! Z krateru przelewa się siarka, tworząc długie metrowe sopłe. Robotnicy rozłamują zastygłe tafle i wysyłają kolejką linową aż do podnóża, gdzie pracują młyny. Zmielona i załadowana do worków siarka transportowana jest ciężarówkami. Zabieramy piękne okazy siarki dla naszego muzeum i na podarunki dla szkół i dobrodziejów.

Młodzieży niestety jest mniej aniżeli na poprzednich wakacjach. Zaledwie kilku się zgłosiło. Znajdujemy się poza obrębem osiedla, a to w Japonii ma wielkie znaczenie. Rodzice nie pozwalają dzieciom oddalać się od domu. Zaczynamy szukać przyjaciół w osiedlu, zwłaszcza, że mamy tam kilku serdecznych dobrodziejów. Otrzymujemy wszyscy zaproszenia na „Zaduszki”. Święto umarłych w Japonii należy do największych wydarzeń roku. Cześć bowiem oddawana przodkom zajmuje poczesne miejsce w obu religiach, buddyjskiej i szintoistycznej. Uroczystości trwają całe trzy dni od 13 do 15 lipca lub sierpnia.

Trzynastego udają się wszyscy na groby i palą kadzidło. Gdy się ściemni, zapalają białe lampiony z papieru i zapraszają duchy zmarłych przodków do siebie, oświecając im drogę i ostrożnie „prowadząc” przez wyboje, wystające kamienie, zakręty i mostki. Przy przybyciu przemawiają do nich zupełnie jak do żywych, informując ich o ważniejszych wydarzeniach z całego roku oraz czule się nimi zajmując. Przed ołtarzykiem, umieszczonym w reprezentacyjnej części, kładą poduszeczkę z tabliczkami noszącymi imiona zmarłych i ze słodyczami. Na małym stoliczku umieszczają ulubione potrawy i zapraszają bonzę do odmówienia Sutry (modlitwy buddyjskiej). Na pożegnanie, piętnastego wieczorem, ofiaruje się prowiant z ryżu i zaprasza, by wrócili do Hadesu, zapalając ognisko przed domem dla oświecenia drogi powrotnej. Na zakończenie umieszczają „posiłki” na malutkiej łódeczce ze słomy. Puszczają ją na fale rzeki, zapalając na dziobie światełko, a na rufie kadzidło, by pocieszyć tych, co zginęli na morzu i nie mają własnego grobu na ziemi.

Potem wszyscy zbierają się, by wykonać „taniec pocieszenia” dla tych, co odeszli z ciemności do chwały. Jest to taniec religijny, pełen godności, wykonany w bardzo miłym nastroju. Całe osiedle na placu lub wprost na ulicy ustawia się jednym rzędem według możliwości pomieszczenia w koło, śpiewając i klaszcząc w ręce od czasu do czasu i wykonując delikatne ruchy w rytm wybijany na bębnie. Wszyscy są ze sobą pomieszani: starsi, dzieci, młodzież. Krok dość prosty, ruchy delikatne i zgrane wytwarzają nastrój odprężenia i niezwykłego uroku. Uczestnicy ubrani są w lekkie kimona wieczorowe, co wywołuje wrażenie spotkania rodzinnego. Co pewien czas zmienia się śpiew, melodia, a tym samym i ruchy. Taniec trwa aż do brzasku, potem

wszyscy zmęczeni i zadowoleni wracają do domów. „Wypominki” są skończone.

Podziwialiśmy pierwszą część, czyli taniec, pozostając aż do północy, urzeczeni serdecznością, która łączy całe osiedle przy tej okazji. Staruszkowie i małe dzieci zajęli maty, rozciągnięte na środku drogi i gościli nas, częstując herbatką i ciastkami z ryżu. Inni uśmiechali się przyjaźnie, krążyli dookoła z jakimś dziwnym spokojem i zadowoleniem, jakby naprawdę pochodzili z innego świata. Ognie podsycane paliły się jasnym płomieniem, oświetlając tajemniczo to niezwykle zgromadzenie. Od czasu do czasu wystrzelały sztuczne ognie, zawieszając nad świętującymi parasole z tysiący kolorowych iskier, mieniających się na kimonach i twarzach. Trudno było się nam odebrać od tej rytmicznej monotonii, która przecież była tak egzotyczna. Przy tym spontaniczność czuło się w każdym ruchu. Przypomniały mi się nasze święcenie ognia, Pasterka lub Roraty. Wszelka akcja przy świetle palących się ognisk ma zawsze wielki urok, niezależnie od miejsca i od kraju. W ten sposób zakończyliśmy naszą uroczystość Matki Boskiej Zielnej.

W ostatnią niedzielę pobytu w górach zaprosiliśmy na krótkie pożegnanie przyjaciół i dobrodziejów, przede wszystkim właścicieli willi i życzliwych nam pośredników w tej imprezie. Chrześcijanie żegnali się wzruszeni, zapraszając na przyszły rok. Jakaś biedna niewiasta złożyła ofiarę wynoszącą całość jej miesięcznego zarobku. Niechaj jej Bóg stokrotnie wynagrodzi.

## Sympozjum katechetyczne

Dwudziestego sierpnia pożegnaliśmy piękne góry, idąc pieszo do stacji 18 km. Bagaże pojechały ciężarówką. W studentacie zastaliśmy misjonarzy z całego kraju, zebranych na rekolekcjach na zakończenie kongresu katechetycznego. Wieczorem uczciliśmy ich koncertem. Wśród naszych misjonarzy są specjaliści od buddyzmu, szyntoizmu i konfucjanizmu. Najważniejsze było oczekiwane sympozjum, w ciągu trzech dni odbyło się siedem spotkań wspólnych, bez dzielenia na komisje, by wszyscy mogli jednakowo skorzystać. Pierwszy dzień poświęcono osobie nauczyciela-katechety: jego pozycji i formacji. Najbardziej interesowały nas problemy środowiska, dla nas tak bardzo jeszcze zagadkowego. Poznanie psychiki japońskiej: zrozumienie kultu cesarza, problemów rodziny, państwa, szkoły. Dyskusja na te tematy trwała bez końca, przeciągała się aż do następnego dnia. Chyba najwięcej z niej skorzystaliśmy. Wypowiedzi praktyków, obecność osób doświadczonych, nie pozostawiały wątpliwości. Tematyka dalszych zebrzań poświęcona była pracy wśród młodzieży chrześcijańskiej. Na zakończenie omówiono monografię wzorowych katechetów: św. Franciszka Ksawerego i św. Jana Bosko.

## W przeddzień wyjazdu...

I znowu szara, codzienna praca i nauka. Przygotowujemy się z drżeniem serca do wyjazdu na prawdziwe misje. Gdzie to będzie? Może w szkole, w sierocińcu lub na małej placówce misyjnej, gdzie trzeba robić wszystko, być *factotum* na wzór naszych dobrych braci koadiutorów? Będzie to czas zbierania doświadczeń wychowawczych. Wychowanie to sztuka, której trzeba się

nie tylko uczyć, ale i przeżywać. Z tego powodu konstytucje salezjańskie wyznaczają dla kleryka, który ukończył kurs filozoficzny i pedagogiczny, dłuższy okres (zazwyczaj 2-3 lata) praktyki wychowawczej. Idzie do jednego z domów, gdzie ma okazję zapoznać się z pracą wśród młodzieży, starając wprowadzać w czyn system wychowawczy ks. Bosko. Pełni on rolę tzw. asystenta. Musi być nienaganny w zachowaniu i gotowy do wszelkich ofiar, bowiem młodzież, podobnie jak młode latorośle, potrzebuje podpory, którą właśnie dla nich ma być kleryk. Asystenci powinni robić wszystko, aby młodzież uchronić od zła i kierować ku dobru. Stąd kleryk salezjański jest nie tylko nauczycielem w szkole, ale przede wszystkim wychowawcą. Pierwszy rok asystencji szczególnie jest trudny i wyczerpujący.

22 listopada otrzymuję list od mons. Cimatti'ego z propozycją udania się na daleką wyspę Kyushu do Małego Seminarium Duchownego dla tubylców, jako asystent i nauczyciel języka łacińskiego. Koledzy składają życzenia i urządzają mi serdeczne pożegnanie. Jadę w nieznaną. Przede mną tysiąc pięćset kilometrów ku południowi do Miyazaki.



## Dom japoński

Dom japoński jest zbudowany z drzewa, posiada jedno lub dwa piętra, ruchome ściany na zewnątrz (amado) i od wewnątrz (fusuma). Wewnętrzne są wykonane z żeberek, pokrytych papierem i w razie potrzeby mogą być usunięte zupełnie lub dowolnie zmieniane dla powiększenia lub pomniejszenia objętości izb. Dom stoi na słupach z drzewa lub kamienia około pół metra nad ziemią. Dach kryty słomą (raczej sitowiem), dachówką lub blachą. Na ogół weranda z desek otacza cały dom dookoła (engawa), dzieląc zewnętrzne ściany zasuwane od wewnętrznych, zaopatrzonych w małe szyby, często matowe. Podłoga składa się z mat słomianych grubo szytych z piękną powłoką plecioną z sitowia. Umebrowanie bywa bardzo skromne: stoły niziutkie około 25 cm, podpórki, flakony na kwiaty, paleniska, (hibachi), ustępy, wanna i skromna kuchenka. Szafy są wmurowane. Przy ścianach małe szafki, a w miejscu najbardziej eksponowanym (tokonoma) domowy ołtarzyk. Należyty porządek i czystość to najpiękniejsza ozdoba. A tutaj tak łatwo o pył, robaki, liczne myszy. Na ścianach wiszą obrazki i napisy podklejone na płótnie (kakemono): pozdrawiają gościa pięknym widokiem z natury albo podniosłą poezją. Japończycy cenią i przeżywają piękno w każdej postaci. Szafy (todana) mieszczą wszystko, co potrzebne do życia domowego: pościel, bieliznę, nakrycia na stół itp.

Na zewnątrz jest ogródek, który ma przedstawiać naturę w całej swojej krasie: z górami, lasami, jeziorami pełnymi różnych roślin. Ponieważ Japończycy wierzą, że one mają duszę, więc kwiaty i rośliny pierwsze pozdrawiają gościa już w progu. Nawet wokół ubogich domków znajdują się gustomnie urządzone wirydarzyki: trochę zieleni, kwiatki bodaj doniczkowe witają wchodzących. Na skutek wtargnięcia cywilizacji europejskiej wiele domów „nowocześnie”urzadzonych posiada zamiast ruchomych stałe ściany i oddzielne salony. Również ubiory narodowe często dla wygody, szczególnie przy pracy, zastępuje się ubiorami europejskimi.

Małżeństwo japońskie opiera się na monogamii. Pokrewieństwo zobowiązuje do wzajemnego poszanowania i posłuszeństwa. Miłość rodzicielska dla dzieci i dążenie do liczego potomstwa stanowią o sile i stałości rodziny. Japończycy uważają się za dzieci jednej rodziny, rodziny cesarskiej, dla której mają się rozwijać. Cała organizacja kraju opiera się na systemie rodzinnym: praca, armia, szkoła itp. W okresie Odnowy (Meiji) i więcej jeszcze w czasie powojennym (1945) system wielkiej rodziny uległ urzędowo wielkim zmianom, jednak tradycja i zwyczaje trwają nadal w przejawach codziennego życia, jak np. w ślubach. Imię nadawane nowonarodzonemu wiąże się swą treścią z przyrodą i oznacza np. kwiaty i pory roku.

Małżeństwo zawiera się zazwyczaj w 25-26 roku życia. Decydują o nim rodzice przy pomocy pośrednika, i to często bez porozumienia z młodymi.

Przestrzega się specjalnych ceremonii przy zaręczynach i ślubie. Ojciec jest głową rodziny i wszyscy powinni mieć dla niego szacunek i stosunek poddańczy. Jeśli on abdykuje lub umiera, władza nad rodziną przechodzi na pierworodnego syna. Moralność Konfucjusza, głęboko zakorzeniona w rodzinie japońskiej, dopuszczała możliwość adopcji, aby przekazać potomności swe imię lub sławę w sztuce. Tak np. słynny artysta uznaje za członka swego wybitnego ucznia, aby go związać ze sztuką.

Pożywienie w większości składa się z roślin. Za podstawę służy ryż, który zastępuje chleb (gotowany w wodzie bez soli i okrasy, albo przyprawiony groszkiem) oraz jarzyny (świeże lub solone). Mało używa się mięsa, raczej z ptaków i to dzikich. Wielkie jest bogactwo ryb, spożywanych nawet na surowo. Nieodłączną część menu stanowią ulubione owoce i słodczyce. Napojem zwyczajnym jest zielona herbatka a z alkoholowych wódka (sake), przygotowana z ryżu. Dienne odżywianie składa się z trzech posiłków, z których jeden spożywa się w miejscu zatrudnienia: w szkole, w urzędzie lub fabryce, dzięki jednakowemu rozkładowi pracy w całym kraju.

Zwalczanie chorób zasadza się na starannie przestrzeganej higienie i racjonalnym wychowaniu fizycznym. Daje to dobre rezultaty w walce z grasującymi tu niedomaganiem płuc, chorobą beri-beri, infekcjami oczu, gardła, nosa oraz chorobami skóry tak bardzo rozpowszechnionymi na Wschodzie.

## Podstawy wychowania

Główne linie systemu wychowawczego w Japonii rozwinęły się, podobnie jak wszystkie inne, na bazie rodziny. Krewni tworzą poszczególne rody, które składają się na naród, ten zaś wraz z rodziną cesarską stanowi wielką rodzinę narodową. W dawnych czasach Japonia pozostawała przez wiele wieków pod wpływem kultury chińskiej. Z Chin dotarło tu pismo przez Koreę. Buddyzm jako wiara wywarł wielki wpływ na wychowanie duchowe.

Już w roku 600 powstaje Generalna Dyrekcja Wychowania, a w 700 znane są prawa szkolne: założenie uniwersytetów w stolicy (które w następnym wieku rozgałęziają się na Kyoto i na Kyushu) wraz z organizacją szkół dla ludu. Rozwój ten zahamuje się w 1200 (okres samurajów), gdy cały wysiłek rządzących skierowany jest ku rozwojowi armii. Szkoły rozkwitają znowu w 1700, aż wreszcie w okresie restauracji cesarza Meiji tworzy się Ministerstwo Wychowania. Wtedy to, czternastego marca 1868, ogłoszono konstytucję, opartą na zasadzie: „mądrość i wartości pochodzące z każdej strony świata powinny być przyjęte w zależności, w jakim stopniu przynoszą utrwalenie cesarstwa”, tzn., że trzeba sięgnąć po oświatę z całej kuli ziemskiej i dostosować ją do wymagań japońskiego nacjonalizmu, czyniąc z niej środek postępu. W 1872 r. ogłoszono system wychowania według wzoru francuskiego: szkoła ma służyć życiu, pomagając zdobyciu w nim należytego miejsca i pracy. W 1886 r. przeprowadzono reformę według wzoru niemieckiego: szkoła ludowa, technikum, gimnazjum, uniwersytet, wyższe szkoły żeńskie i doksztalcające. Edykt cesarski o wychowaniu pochodzi z dnia 30 października 1890 r. i dotąd stale go się odczytuje i zachowuje na wszystkich uczelniach.

Przeprowadzona po II wojnie światowej reforma szkolna bazuje na wzorcu amerykańskim. Edukacja odbywa się w systemie „6-3-3-4”. Pierwsze

dziewięć lat są obowiązkowe dla wszystkich i wolne od opłat. Nowy porządek opierający się na wolności i koedukacji przyniósł duże zmiany w stosunku do poprzednich założeń. Celem reformy jest: a) zmniejszyć ilość lat i programów szkoły średniej, b) zlikwidować znaki alfabetu japońskiego aby ułatwić naukę pisma, c) wychować kobietę, d) nadać treści nauczania szkolnego wartość praktyczną, e) ograniczyć liczbę urzędników i ich zastępców.

Wychowanie podstawowe, średnie i wyższe próbuje wykorzystać formy, metody i środki stosowane w innych krajach cywilizowanych, dopasowując je do własnych potrzeby, odmienności psychiki Japończyków i zróżnicowanego środowiska. Przygotowanie nauczycieli jest bardzo dokładne i staranne. Wychowanie młodzieży do życia społecznego dokonuje się poprzez skauting, szkoły wieczorne, biblioteki, muzea, koncerty, teatry, kina, radio i telewizję, pozostające w służbie nauki i wiedzy. Celem obecnej reformy jest wychować naród w duchu demokratycznym, likwidując wygórowany nacjonalizm i ksenofobię, stworzoną swego czasu przez partię wojskową i państwowy szintoizm. W praktyce wychowanie i szkolnictwo stanowi monopol rządzących krajem. Rząd toleruje szkoły prywatne, ale narzuca im swoje wytyczne. Wolność myśli i religii (która przyniosła większą swobodę w szerzeniu wiary), to fakty zupełnie świeże, niejako wynik nowego ustroju. Tradycja jednak ze wszystkimi następstwami pozostaje nadal bodźcem wytyczającym drogę postępowania.

Wychowanie fizyczne jest dobrze postawione nie tylko w szkole, ale i w urzędach, w fabrykach dzięki stosowaniu sportowych ćwiczeń różnego rodzaju. Podobnie jak w Europie, szkoły uprawiają sport na wszystkich szczeblach. Usunięto ze szkół przysposobienie wojskowe. Japończycy jednak kochają ponad wszystko sport narodowy i uprawiają go z wielkim entuzjazmem. Są to zapasy (sumo), znane na całym świecie judo albo karate: pierwsze bardziej sympatyczne, bo o charakterze obronnym, drugie brutalne, a przez młodych uprawiane; szermierka (kendo) zupełnie odmienna od europejskiej, a ćwiczą odwagę, refleks i wspaniałomyślność; wreszcie strzelanie z łuku, połączone, jak zresztą inne, z ceremonią rycerską.

Znana jest moc innych sportów związanych z morzem, górami i zawodami publicznymi. Prócz tego istnieją charakterystyczne zwyczaje rodzinne lub środowiskowe, które sprzyjają rozwojowi umysłu i samodoskonaleniu. Do nich należą: śpiew, taniec figurowy, gry stołowe, zgadywanie zapachów, wymiana kart poetyckich czy z kwiatami, historycznych, geograficznych, dalej ćwiczenia w deklamacji poezji, opowiadaniu legend, czytaniu i pisaniu. Zwyczaje te łączą się z porą deszczową, w której trudno poruszać się na zewnątrz i życie koncentruje się w domu na matach. Liczne święta urzędowe i zwyczajowe dają okazje do przeżyć regionalnych religijnych i narodowych. Nowy rok, uroczystość lalek, kosaćca, gwiazd, latarni, chryzantem itd. Oprócz tego są okresy gier dla dzieci: latawca, bąka, kamyczków, kulek ze szkła itd.

## **Charakter Japończyka**

Jest bardzo trudno zarysować profil charakteru narodu, zwłaszcza takiego jak japoński, który jest tajemniczy, mało znany, który stara się ukryć swe wnę-

trze przed okiem obcokrajowca oceniającego cnoty i wady według własnych kryteriów. Życie Japończyka zmierza do naśladowania natury, odzwierciedlając z dziecinną naturalnością jej czystość, delikatność i prostotę. Stanowi mieszaninę rezerwy, chępliwości i ceremonialnej delikatności, które biorą swój początek w przekazywanej legendzie o boskim początku władzy i narodu, przeznaczonego do panowania nad światem. Cześć dla rodziców, wierność, posłuszeństwo, posunięte aż do ofiary ze siebie samego, to cnoty uprawiane powszechnie i bardzo wytrwale.

Japończyk rozumuje dość swoiście, często wyprowadza wnioski graniczące z absurdem. Wszystko to wskutek ubóstwa filozofii i wychowania buddystycznego. Pismo chińskie ogranicza myślenie do form ciasnych. Moralność Japończyka jest podobna do ich domu: pełno szczegółów, a w sumie prymityw życia, wielkie ambicje w oparciu o dryl wojskowy. Naród zdyscyplinowany strachem. Fantazja, wyobraźnia i uczucie odgrywają wielką rolę we wszystkich przejawach życia. Zjawiska psychologiczne charakteryzują się straszliwymi kontrastami dla nas zupełnie niezrozumiałymi. W momencie, gdy spada z nich maska zewnętrznego ceremoniału lub przestaje działać rozkaz, wtedy wychodzi przerażająca podłość ich ducha. Widzieliśmy i przeżyliśmy moc faktów tego rodzaju w okresie ostatniej wojny. I to nie tylko wśród prostego ludu. Wstrząsające są objawy nienawiści i zemsty. U podłoża leży brak solidnych podstaw moralno-religijnych.

Według zdania wielu Japończyków, cywilizacja z wygodnymi podróżami, wynalazkami i odkryciami przyczyniła się w dużej mierze do zubożenia piękna przyrody ich kraju. I w tym trzeba przyznać im rację. Są przecież i tacy fanatycy, którzy nazywają nową cywilizację „omamieniem człowieka”. Wnętrze człowieka jest podobne do głębin ziemi. Jedno i drugie trzeba uprawiać, aby uczynić je wartościowym. Dla pełni obrazu trzeba jeszcze dodać, że Japończyk ma bystrą myśl, odważne serce, zimną krew. Skryty uczuciowo jest grzeczny i skromny w jedzeniu i piciu. Niektórzy mówią, że Japończyk posiada trzy serca: jedno dla wszystkich, jedno dla przyjaciół i jedno dla nikogo. Urzeczony pięknem przyrody zwłaszcza teatru, muzyki, kwiatów, posiada specyficzne wyczucie piękna. Jego życie odznacza się ładem estetycznym. A ten tworzy jego psychiczną harmonię i napawa miłym wdziękiem całe jego postępowanie. Umie przemyślnie naśladować wszystko, co uważa za pożyteczne. Żyje dla kraju i dla rozwoju narodowego. Potrafi harmonizować sprawy prywatne i publiczne. Wychowany przez rodzinę, szkołę i zwyczaje, uprawia kult przeszłości i patriotyzmu.

## Najważniejsze dane historyczne

Aby zrozumieć nieco głębiej ducha japońskiego, zwyczaje i obyczaje, wypada zapoznać się przynajmniej powierzchownie z dziejami tego kraju. Podobnie, jak w historii innych narodów, również i początki Japonii giną w mitach i legendach.

**Okres pierwszy** - wg mitologii początek cesarstwa zaczyna się do cesarza Jimmu (czyt. Dzimmu). Jest to czas podbojów terytorialnych.

**Okres drugi (VII-XII w. po Chrystusie)** - to epoka rządu arystokratycznego, charakteryzująca się rozwojem prawodawstwa, kultury, nauki, sztuki. Buddyzm kształtuje się jako religia.

**Okres trzeci (1192-1600)** - to epoka rządu wojskowego. Początkową dominację armii (shogun, wódz) wypiera swoista odmiana feudalizmu. Skłócenie wewnętrzne i walki między rodami o prymat powodują dezorganizację życia, pod koniec tego okresu dopiero uporządkowanego. W tej epoce (1549) pierwszym misjonarzem Ewangelii Chrystusowej na ziemi japońskiej jest św. Franciszek Ksawery.

**Okres czwarty (1600-1868)** - to epoka rodu Tokugawa, rządzącego autokratycznie przez niemal 250 lat. Udoskonalony feudalizm oraz długi okres pokoju powoduje rozwój cywilizacyjny kraju. Dopiero schyłek życia Yeasu Tokugawa, pierwszego suwerena, przynosi nagłą zmianę orientacji polityki: konserwatyzm, nietolerancję, szowinizm narodowy. Tendencje te utrzymują się aż do 1868 r., gdy na arenę wchodzi cesarz Meiji, otwierając nową erę w historii Japonii.

**Okres piąty (1868-1940)** - to era nowoczesna, z restauracją władzy cesarskiej, zniesieniem systemu feudalnego i różnic klasowych oraz wprowadzeniem wszystkich zdobyczy cywilizacji zachodniej wraz z obowiązkiem nauki w szkole. Nowa Konstytucja (1889) przywraca cesarzowi pełną władzę: cywilną, wojskową, religijną. Potwierdza stosunki z innymi krajami, otwiera porty i przekształca cesarstwo, wprowadzając je na drogę szczytu cywilizacji i postępu, tak, że staje się ono rywalem nowoczesnych narodów. Japoński ideał „jedność narodu, ziemi i cywilizacji” zaczyna nabierać realnych kształtów. Tymczasem nadzwyczaj szybki wzrost ludności, przechodzący w mniej niż jednym stuleciu z trzydziestu do osiemdziesięciu milionów mieszkańców, stwarza potrzebę ekspansji. Stąd Japonia angażuje się w wojnę najpierw z Mandżurią a potem z Chinami.

Nowa Japonia jest świadoma swej siły i przekonana, że w swojej historii posiada tyle wartości duchowych i moralnych, iż nie potrzebuje ich brać od obcych. Rząd wojskowy podtrzymuje i wzmacnia ten ruch wybitnie nacjonalistyczny i ksenofobiczny, żywiąc pragnienie zdobycia panowania nad całym Dalekim Wschodem. Wojna z Ameryką, zakończona 15 sierpnia 1945 roku przegraną Japonii, wywołała rozstrzygający zwrot w historii kraju. Trudno przewidzieć, jakie będą ostateczne skutki materialne i duchowe odnowy rozpoczętej po wojnie w duchu wolności demokratycznej. Jest faktem, że Japonia w kilku zaledwie latach potrafiła okrzepnąć i powstać ze strasznej katastrofy wojennej. Można śmiało twierdzić, że zajmie ona wkrótce miejsce wśród wielkich narodów świata, okazując tym jeszcze raz, jak wielką energię i łatwość dostosowania posiada ten prężny i wielki naród.





## Sfinks japońskiej religijności

Czy Japonia jest religijna? Wydaje się, że tak. W każdej części kraju i w najpiękniejszych miejscach stoją świątynie, obeliski, różne oznaki religijności; widzi się mnóstwo pielgrzymek, fundacje obiektów sakralnych. W każdym domu istnieje ołtarzyk ku czci przodków. Nowonarodzeni są ofiarowani bogom w świątyni po 31 lub 33 dniach od urodzenia. Pod aspektem oddawania czci umarłym, można by ułożyć bardzo interesujący kalendarz z uroczystości tygodniowych, miesięcznych i rocznych. Oprócz religii narodowej (zniesionej po wojnie) mają prawo rozwijać się inne wierzenia, w tym chrześcijaństwo. W co oni naprawdę wierzą? A może są obojętni? Czy ich obrzędy religijne są tylko czystą ceremonią zewnętrzną? Jest to postawa ateizmu czy tylko niepewności i powątpiewania? Czy są szyntoistami czy buddystami? A może dla nich nieistotne są różnice?

Japończyk z największą trudnością pojmuje ideę absolutu. Jego akt wiary nie jest aktem całkowitego oddania swego jestestwa Wyższej Istocie przyjmowanej w sensie przez nas rozumianym. W Japonii kwestia przekonań religijnych jest bardzo skomplikowana. Najważniejszą prawdą jest tradycja, która nie ma bynajmniej charakteru dogmatycznego, można ją przyjąć albo odrzucić. Łatwo podlega ona zmianom. Japończyk w sprawach wiary opiera się bardziej na wyobraźni i uczuciu niż na rozumie. Urzeka go więcej czynnik irracjonalny, niżeli refleksja. Posiada w wysokim stopniu wycucie niewidzialnego: jest raczej instynktownym panteistą. Wierzeń nie ujmuje w pojęciach, a niewiary swej nie wypowiada w przeczeniach. Od czasów prehistorycznych Japonia uprawia rodzimy kult, znany pod nazwą szyntoizmu, który w swoich założeniach podobny jest do wierzeń greckich. Konfucjanizm to bardziej kodeks przykazań moralności (teoria rodziny i cześć dla rodziców) aniżeli religia. Nie mniej miał zawsze wielki wpływ na światopogląd. Łatwo się o tym przekonać, czytając edykt cesarza Meij. Scharakteryzujemy w kilku słowach poszczególne typy wierzeń.

### Szyntoizm

Szyntoizm istniał, jako religia narodowa, aż do końca drugiej wojny światowej. Jako religia państwowa został zniesiony w sierpniu 1945 r. Religią tubylczą Japonii jest w rzeczywistości kult natury, antropolatrya, idolatria i fetyszym, ubóstwienie rzeczy i osób. Głównym bóstwem jest Słońce (Amaterasu), głowa dynastii cesarskiej i narodu japońskiego. Skoro przyjmie się takie założenie, to nie trudno nagiąć doń hipotezy mniej więcej krzykliwe, odnoszące się do życia cesarzy, bohaterów i poddanych oraz honorów, które im się oddaje. Nauczanie przebiega drogą przypominania krótkich przykazań religijno-moralnych i społecznych.

Kult publiczny polega na oczyszczeniu się przez choroby i śmierć itd. oraz na składaniu ofiar z ryżu, ryb lub innych potraw, odmawianiu modlitw, składaniu przyrzeczeń, rytualnych śpiewach i tańcach. Kult prywatny w domu sprowadza się do składania na ołtarzyku ofiar i palenia kadzidła, zapalania świec i strojenia kwiatami. Kult prosty, naturalny rozwija się raczej na łonie przyrody, w lasach, w grotach, na urwistych brzegach, wysepkach itd. Nowoczesny szyntoizm jest różnorodny, w zależności od sekty, głosi albo jedyne bóstwo, dające początek wszechrzeczy, albo bóstwo główne przedstawiane wraz z dwoma pobocznymi bóstwami, wyobrażającymi jego cnoty. Dusza jest nieśmiertelna i ma do czynienia z dwoma siłami: dobrem i złem. Cnota to przewaga dobra. Po śmierci istnieje nagroda w świecie bogów albo kara w piekle.

## **Charakterystyka z podziałem na grupy**

Szyntoizm obecnie można by podzielić na trzy wielkie odłamy: szyntoizm państwowy, sekciarski i ludowy. Szyntoizm państwowy, to kult oficjalny zniesiony w 1945 roku. Manifestacje religijne były sprawowane w świątyniach utrzymywanych i zarządzanych przez władzę państwową. Główną jego sprężyną był tennoizm (Tenno: nazwa urzędowa cesarza - syn nieba). Wg tennoizmu cesarz jest boską inkarnacją słońca i objawieniem absolutu. On wywodzi się w prostej linii od bogów, którzy utworzyli Japonię i cały świat, a jego siła boska rozciąga się teokratycznie nad całym narodem. Japończycy powinni ofiarować życie i wszystko, co mają, za cesarza. Z tego wynika przekonanie ludowe, że naród japoński z boskiej władzy powinien rządzić światem. Przed urzędowym zniesieniem tego kultu liczone 110 tysięcy świątyń różnego rodzaju i stopnia, należących do domu cesarskiego, do państwa, do województw itd. Wszystkie świątynie były obsługiwane przez urzędowo kontrolowanych kanushi (bonzów). Po zniesieniu, z siedemnastu milionów zapisanych wyznawców pozostało dziesięć milionów.

Szyntoizm sekciarski, składa się z trzynastu działów czy sekt uznanych, które dzielą się jeszcze na liczne podsekty. Po wojnie powstało tu dużo zamieszania. Najważniejsze odgałęzienia są następujące:

- a) Sekty purytańskie, posługujące się tradycją.
- b) Sekty konfucjańskie, najbardziej nacjonalistyczne, o nastawieniu komercyjnym i konsumpcyjnym.
- c) Sekty „górskie”. Więcej niżeli za pomocą nauk i ceremonii, trzeba okazać „drogę bogów” swoim zachowaniem. Należy się więc obmywać i podróżować na wysokie góry, zwłaszcza na świętą górę Fudzi, uważaną za ducha stworzenia świata.
- d) Sekty oczyszczające. Rytualne oczyszczenia uwalniają od zła duszy i ciała: zimne i gorące kąpiele, egzorcyzmy, wróżbiarstwo aż do odurzenia, ćwiczenia oddechowe itp.
- e) Sekty „wiejskie”. Słońce jest źródłem dobra dla wszystkich. Leczenie hipnotyzmem, obmywaniem i modlitwami. Postępować według rozumu, panować nad pożądlivościami.

Szyntoizm sekciarski rozwija się pod koniec szogunatu Tokugawa. Drobne odchylenia nie hamują jego rozwoju, przebiega zawsze zgodnie z ak-

tualną polityką państwa. Inaczej na pewno nie otrzymałby zatwierdzenia. Wyznawca jest zobowiązany oddawać cześć cesarzowi, wykonywać jego dekry i ożywiać w sobie ducha patriotycznego. W epoce Tokugawa aż do restauracji Meiji (1600-1868) w szyntoizmie umacniała się stale władza rządu nad życiem religijnym. Pod panowaniem Tokugawa buddyzm jest religią dominującą, w którym niektóre sekty jak np. Jodo, Amida prężniej się rozwijają. Szogunowie kontrolują za pomocą religii urodziny, małżeństwa, podróże, zapisy do świątyni itd. W wierze wyznaje się zasady buddystyczne, ale moralność w praktyce, jak i założenia filozoficzne mają swoje źródło w konfucjaniźmie, który nigdy nie był w Japonii religią.

Z powstaniem szkoły Mito dla historyków, dawne księgi nabierają rumieńców życia a z nimi odradza się mit cesarza i szyntoizmu. Świadczy o tym najlepiej tennoizm, stworzenie i rozwój rady świątyni szynto, która miała za zadanie zachować autentyczność, tradycje, wiarę i ceremonie rasy, rozwijające się w życiu narodowym. Potwierdzają to niezaprzeczenie dalsze pociągnięcia: kontrola nad religiami (1939), wydział religijny w ministerstwie oświaty, a więc i administracji kraju; odpowiedniki mieściły się w każdym województwie. Wydział ten kierował wyznaniem pod kątem współpracy politycznej. Ingerencja kół wojskowych w sprawy religijne (1931-1941), propagandowa funkcja świątyni podtrzymujących ultranacjonalizm cesarski. Mobilizowanie ducha narodowego przez podniesienie do rangi ideału ducha militarystyki, apoteoza śmierci na polu chwały. Bardzo szczegółowa cenzura książek naukowych i innych publikacji kulturalnych, jak również piosenek ludowych w latach 1941-1945. Bezwzględne zwalczanie opozycji. Wszystko to są objawy fanatyzmu narodowego, który opiera się na wierze w „przeznaczenie” Japonii pod najwyższą władzą cesarza o boskim pochodzeniu.

Szyntoizm ludowy jest kompilacją przesądów różnego rodzaju (wróżb, magii, spirytyzmu, czarnoksięstwa, czarów). Według zasad tego szyntoizmu jakakolwiek rzecz czy pojęcie może stanowić przedmiot kultu religijnego (droga, ogień, wiatr, szczęście itp.). Szyntoizm ludowy ma raczej podłoża panteistyczne, dopuszcza mimo to politeizm, pozbawiony jest przy tym doktryny i ortodoksyjnej reguły. Trudno jest wymienić wszystkie metody i formy kultu oraz przejawy zewnętrzne i wewnętrzne tej zabobonnej religijności.

## **Buddyzm**

Buddyzm dotarł do Japonii przez Koreę w połowie VI wieku i dostosował się łatwo do szyntoizmu, asymilując bóstwa japońskie. Elastyczny panteon buddyjski przyjmie nieskończoną ilość bóstw Dalekiego Wschodu. Buddyzm ze swej strony, nie naruszając wszechpotęgi państwa, nie wywołał opozycji ze strony rządu. Uznana przez buddyzm subordynacja religii państwu pozwoliła mu na całkowite unarodowienie się w Japonii. Życie duchowe, literatura, sztuka, zwyczaje japońskie są tak przesiąknięte buddyzmem, że nie można ich zrozumieć bez niego. Biorąc pod uwagę zdolność asymilacji tego ludu, stwierdzić należy, że potrafił on sformułować buddyzm według swego pojęcia i potrzeb ducha. To są powody, dlaczego buddyzm japoński, chociaż

odziedziczony po buddyźmie chińskim, posiada swój profil specjalny: to nie tyle religia, co filozofia czysto ludzka, stworzona dla człowieka, oparta ma człowieku, zebrana przez człowieka. To jest religia naturalna: nie ma Buddy transcendentnego poza myślą. Statystyki z roku 1947 podają 43 miliony wyznawców buddyzmu, podzielanego na stale rosnące sekty (w 1971 - 83 miliony)

## Nowoczesny buddyzm

Wiadomo z historii, że buddyzm posiadał okresy prawdziwej potęgi nie tylko duchowej, ale również materialnej. W okresie restauracji okazał się przestarzały, i nieprzygotowany jednak do włączenia się w nurt życia intelektualnego kraju. Obecnie jest to mieszanina i zlepek różnych sekt przy równoczesnym odwirowywaniu chrześcijaństwa, zwłaszcza na polu opieki społecznej i dobroczynnej (konwikty, sierocińce, oratoria świąteczne itd.). Istnieje nawet Towarzystwo Młodzieży Buddyjskiej Y.M.B.A., stworzone na wzór chrześcijańskiej Y.M.C.A. W zakresie form kultu można zauważyć wiele ceremonii, strojów, śpiewów i przemówień wziętych wprost z obrzędów chrześcijańskich. Posługuje się również najnowszymi środkami przekazu: pismo, kino, teatr, radio, telewizja. Niektóre z głównych sekt wysyłają propagatorów za granicę.

## Kult umarłych

Jeśli ceremonie szyn-to-buddyjskie w ogóle są godne uwagi dla ich egotyki, to uwydatnia się to najbardziej przy okazji pogrzebów. Według obrządku szyn-to, duchowni (kannuzi) ubrani białą, otwierają kondukt pogrzebowy. Przed trumną postępują mężczyźni z gałązkami w ręku. Trumna jest zrobiona z białych desek albo oblepiona białym papierem (kolor biały oznacza żałobę). Za trumną postępuje rodzina, krewni i zaproszeni, niosąc wodę, sól, ryż i ryby (dary gór i morza). Przy świątyni (do wnętrza świątyni w żadnym wypadku nikt nie jest dopuszczony, prócz duchownych) wśród kwiatów, kadzideł, często przy akompaniamencie swoistych instrumentów wyśpiewuje się pochwały na cześć zmarłego i ofiaruje mu się dary (kult boski ' dla zmarłego, przez co zalicza się go w poczet bogów). Na cmentarzu odbywa się grzebanie wśród modlitw, okadzeń i pokropienia (źródlaną) wodą. Pewne ceremonie pożegnalne mogą mieć przebieg tylko w domu i wtedy w odpowiedniej chwili stawia się dobry obiad. Punktem kulminacyjnym jest akt zaproszenia ducha zmarłego do zajęcia miejsca na tabliczce (tamashiro, ihai). Odtąd podniesiony do rangi bóstwa, tam będzie miał stałą siedzibę. Tabliczkę przechowuje się na ołtarzyku domowym i składa się przed nią ofiary z ryżu, owoców itd. Palenie zwłok wzięło swój początek z buddyzmu od siódmego wieku. Zabroniono go w 1873 r., ale nie długo (1875) zakaz zniesiono. Obecnie stosuje się, zgodnie z życzeniem domowników, albo na rozkaz w razie przypadku np. choroby zakaźnej czy epidemii. Żałoba trwa zależnie od pokrewieństwa i wyraża się w specjalnym stylu zachowania: odwiedzanie grobu, wstrzymanie się od spożywania mięsa, ofiarowanie specjalnych modlitw, 14-go, 21-go, 35-go i setnego dnia po zgonie. Pierwsza i trzecia rocz-

nica są obchodzone uroczystości. Odwiedzając groby, opowiada się zmarłym ważniejsze wypadki z życia domu (zmarli uważani są za duchy opiekuńcze rodziny).

## **Protestanci**

Po otwarciu portów zaczęli ściągać do Japonii także prezbiterianie, baptyści z Ameryki i Holandii, zatrzymując się w Nagasaki (1859—60) i w Kobe (1869). Za nimi przybyli episkopalianie i metodyści itd. Dobrze zorganizowani rozwinęli propagandę w 1872 (Yokohama, Kobe, Osaka, Kyoto itd.). W Yokohamie powstaje Yaso Kyokai (Kościół Jezusa), Nihon Kristo Kyokai (Japoński Kościół Chrześcijański), Osaka Kristokyo (Stowarzyszenie Chrześcijańskie), Nihon Kristokyo Kumiai (Japońskie Towarzystwo Chrześcijańskie) itp. W 1873 r. otwarto w Kobe szkoły niedzielne (pastor Berry). W latach 1879-1886 wychodzi tłumaczenie Biblii. W tym roku pojawia się w Tokio Y.M.C.A. (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej), a w Yokohamie i Kobe powstają szkoły dla dziewcząt. W 1883 r. przybywają nowe grupy z Ameryki, Niemiec, Szwajcarii, Anglii, należące do różnych sekt. W 1895 r. osiada tu armia Zbawienia i Bracia Złączeni w Chrystusie.

Możliwość posiadania terenu i zabudowań ułatwia rozwój instytucji, które wkrótce zostają owładnięte przez Japończyków, starających się uniezależnić od obcych krajów. Tu i tam odbywają się zloty z całego kraju z udziałem pastorów zagranicznych. Podjęto nawet starania w kierunku złączenia sekt, ale to nie doszło do skutku. Protestanci propagują swoje wyznania za pomocą dzieł o charakterze społecznym w miastach i na wsi (szkoły, szpitale itp.) przez szerzenie książek itd. W roku 1947 liczyli 229 874 wiernych, 3 540 pastorów i 2 182 zborów.

## **Kościół grecki**

Kościół grecki pojawia się po raz pierwszy w Tokio za czasów ojca Mikołaja, który w 1891 r. poświęca wielką cerkiew ruską, w owych czasach jedną z najlepszych budowli tego rodzaju. Wypadki polityczne między Rosją i Japonią ułatwiają utworzenie niezależnego Prawosławnego Kościoła Chrystusowego w Japonii (1919 r.). Warto zaznaczyć, że jednym z Japońskich przymiotów jest umiejętność przyswajania, naśladowania, przekształcania według własnych zapatrywań i korzyści, tego wszystkiego, z czym zetknie się Japończyk na polu handlu, nauki, sztuki, a tym bardziej na polu religijnym.

## **Religia katolicka**

Dla pełnego obrazu wyznań religijnych w Japonii, wypada powiedzieć bodaj kilka słów o religii katolickiej. Początki ewangelizacji datują się od czasów św. Franciszka Ksawerego (15 sierpnia 1549 r.). A jaki jest stan obecny? Według statystyki z 1950 r. - sytuacja przedstawia się następująco: kościoły i kaplice misyjne - 405; kaplice zakonne - 250; księży - 740; wiernych - 142 460. W dwa lata później wiernych jest 171 785.

Biorąc pod uwagę, że liczba mieszkańców Japonii wynosi obecnie ponad 108 milionów, trzeba stwierdzić, że procent katolików przedstawia się więcej niż skromnie. Jakie są tego przyczyny? Oprócz ogólnych trudności w pracy misyjnej, katolicyzm napotyka tu przeszkody specjalne. Oto najważniejsze z nich: buddyzm i szintoizm jest bardzo klasyczny, gdy chodzi o wymagania w zakresie obowiązków religijnych. Głosi on: dzieci nie powinny uczęszczać do świątyni, gdyż nie mają po co. Młodzież ze względu na brak czasu jest zwolniona z udziału w nabożeństwach. Starsi mogą iść do świątyni, o ile im dopisuje zdrowie i odczuwają potrzebę w tym względzie.

Protestanci twierdzą: wierz i rób, co chcesz. Na tle takiej atmosfery religijnej pojawia się katolicyzm ze swoimi dogmatami, przykazaniami surowo obowiązującymi, a jednocześnie pragnący zachować całkowitą niezależność w stosunku do państwa. Taka postawa musi stwarzać konflikty i hamować rozwój religii katolickiej.

Dopiero po ostatniej wojnie sytuacja zmieniła się w sposób zasadniczy na lepsze. Znikło prześladowanie, przyznano prawa własności związkom religijnym, zagwarantowano wolność słowa i wyznania, zlikwidowano sieć szpiegowską. To wszystko pozwala żywić nadzieję, że Ewangelia Chrystusowa zacznie ogarniać coraz szersze kręgi mieszkańców Japonii.



## Wiosna chrześcijaństwa w Japonii

Św. Franciszek Ksawery wraz z ojcem Kosmą de Torres i bratem Fernandesem oraz z trzema japońskimi neofitami ląduje na Kyushu w porcie Kagoszima dnia 15 sierpnia 1549 r. w samą uroczystość Wniebowzięcia. Metoda pracy to umartwianie i pokora, modlitwa i całkowita ufność w Bogu, głoszenie nauki oraz dyskusje prywatne i publiczne, święty Apostoł został urzeczony cechami charakteru tego mocnego, aktywnego, mądrego i wspaniałomyślnego ludu. Nazwał go „moją rozkoszą”. Bóg wzmacnia swego sługę i błogosławi jego pracy. Zatrzymuje się w Japonii dwa lata i dwa miesiące. Jego podróże nie są zbyt długie a rezultaty z głoszenia nauki na pozór niewielkie. Przenosi się z Kagoszima do Hirado na Kyushu, z Hirado do Yamaguchi i Kyoto na wielkiej wyspie Honshu. Znowu powraca do Yamaguchi i kończy swoje podróże apostołskie w Funai (dzisiaj Oita), stąd odpływa do Indii w połowie listopada 1551 r.

Św. Franciszek w swojej szybkiej podróży przez ziemie cesarstwa formuje w Kagoszima grupkę złożoną z około setki wiernych, chrzci piętnastu w pobliskim zamku Icziku i kilka osób w Hirado. W krótkim czasie ogląda rezultaty swej apostołskiej pracy w Yamaguchi i przenosi się z działalnością do Funai w prowincji Bungo, gdzie daimyo okazuje się bardzo przychylny dla chrześcijaństwa. Opuszczając Japonię, pozostawia cztery czy pięć wspólnot chrześcijańskich, liczących razem najwyżej dwa tysiące wiernych, co stanowi małą oazę wśród pustyni dusz.

W Indiach św. Franciszek łowił dusze siecią, w Japonii musi się zadowolić łapaniem na wędkę. Mimo to siał pełnymi garściami, a żniwo dojrzewało bogate dzięki niezmordowanej pracy oo. jezuitów i innych misjonarzy tu przybyłych. W trzydzieści lat później już w roku 1582 liczba chrześcijan wynosi około 130 tysięcy, a w pięćdziesiąt lat (1603) 300 tysięcy. Od roku 1549 do 1640 w bez mała jednym stuleciu około dwa miliony Japończyków przyjęło wiarę, wśród których było wielu władców feudalnych (Omura, Arima, Otomo, Koniszi, Kuroda, Gamo itd.), duża liczba rycerzy (samurajów), sławnych bonzów, a wszyscy pełni zapału w głoszeniu i zachowaniu wiary. Gdy Japończyk entuzjazmuje się z przekonania jakąś ideą, dołoży wszelkich starań w jej wypełnianiu i rozszerzaniu.

Św. Franciszek pragnął zaprosić do pomocy „pobożnych i zasłużonych oo. dominikanów i franciszkanów, którzy żyją wielką nadzieją uwielbienia Jezusa Chrystusa w duszach dotąd Go nie znających”. Jego pragnienia zrealizują się nieco później. Franciszkanie przybędą dzielić pracę z jezuitami w 1593 r. Dominikanie i hiszpańscy augustynianie w roku 1601. Towarzystwo Jezusowe liczyło w 1597 r. stu trzynastu zakonników, wśród których 66 Europejczyków i 47 braci Japończyków. Natomiast już na progu prześladowania w roku 1613

liczono 165 pracowników ewangelicznych (130 jezuitów, 5 księży świeckich, 30 zakonników z trzech wyżej wspomnianych franciszkanów, dominikanów i augustynianów).

Wszyscy odznaczali się wielkim zapałem i cnotami. Nawrócenie na wiarę Chrystusową wielu dostojników i władców zadało cios potędze i panoszeniu się bonzów. Chorągiew Chrystusowa załopotiała nad licznym ludem, pełnym ducha, umartwienie i czystości z czasów pierwszych chrześcijan.

## Pojednawcy Japonii

Z trzema imionami wiąże się historia Kościoła w Japonii: szczęśliwy początek, jego rozwój, niezwykle rozkwit i wybuch wielkiego prześladowania, którego skutki wydawały się pozorną zagładą chrześcijaństwa. W czasie, gdy św. Franciszek ląduje w Japonii, kraj znajduje się w rozbiściu. Zamiar więc świętego, by udać się do cesarza, staje się wprost niemożliwy. Panowie feudalni (daimyo) zrzucili najpierw jarzmo szoguna z rodziny Aszikaga, a potem spierali się między sobą, nękając nawzajem nieustannymi najazdami. Nobunaga, Hideyoszi, Ieyasu, to trzy wielkie imiona, które zapisały się w historii wysiłków pojednania cesarstwa. Dzięki nim nastąpiła absolutna centralizacja władzy.

Oda Nobunaga, podniecony nienawiścią zwalczających się bonzów przez przeszło dziesięć lat walczy z nimi, niszcząc ich klasztory (prawdziwe zamki obronne), ich potęgę duchową i materialną. Z tej też racji wspiera i opiekuje się misjonarzami aż do swej śmierci (1582). Sytuacja ta sprzyja budowie kościołów w centrum cesarstwa: Kyoto i Sakai. Mnożą się nawrócenia także wśród szlachty i samurajów. Główną przyczyną wielkiego rozwoju i rozkwitu chrześcijaństwa są znane nam już japońskie skłonności do tego, co nowe. Pociąga ich zresztą czysta moralność chrześcijańska tak bardzo kontrastująca z głoszonym zewsząd materializmem, a szczególnie buduje zgodność życia misjonarzy z ich nauką. Poza tym przychylność niektórych daimyo dla nowej wiary, a także nienawiść pierwszego władcy Nobunaga do buddyzmu, stanowią mimowolnych sprzymierzeńców nowej wiary.

## Pierwsze ciosy

Po śmierci Nobunaga bierze w swoje ręce władzę jeden z jego generałów Toyotomi Hideyoszi, nazwany także Cezarem albo japońskim Napoleonem. Z początku jest przychylny dla chrześcijan, ale potem podjudzony przez bonzów, wydaje dekret banicji dla misjonarzy i tych daimyo, którzy ochrzcili się. Takim neofitą jest Justyn Takayama Ukon. Dzięki jego gorliwości chrzest przyjęło około 20 tysięcy wiernych z posiadłości i zamku w Takatsuki.

Jakie były powody tej nagłej zmiany kursu wobec misji? Kronikarze japońscy budują historię owych czasów na tezie, że misjonarze to obcokrajowcy, wprowadzający obcą religię, przeciwną szintoizmowi i buddyzmowi. Z tego rodzi się obawa przed opanowaniem kraju przez obce potęgi, oraz strach przed wzrostem sił daimyo chrześcijańskich, którzy mieliby współpracować na niekorzyść kraju... To przytacza się jako główne powody polityczno-religijne.



Tymczasem na wyspie Kyushu następuje rozkwit chrześcijaństwa. Dzięki owocnej pracy wielkiego przyjaciela św. Franciszka, daimyo Otomo Yosziszige Sorin, miasta Funai (Oita) i Usuki, wzbogacają się o nowe kościoły, domy misyjne, szpitale, uniwersytet i nowicjat. To samo powtarza się w Arima, Omura, Amagusa, Nakatsu, jak również w centrum cesarstwa w Kyoto, Osaka i Takatsuki.

W tych okolicach chrześcijanie liczą się na tysiące. W roku 1582 daimyo z Arima, Omura i Bungo (okolice Oita), wysyłają do Stolicy św. poselstwo złożone z czterech młodych książąt (na czele których jedzie Ito Mansho), co z jednej strony napełniało radością misjonarzy, a z drugiej strony wywołało jeszcze większe rozsierdzenie się bonzów. W każdym razie edykt Hideyoszi, wydany w chwili nieopanowanego gniewu, jeszcze prawie przez dziesięć lat pozostawał martwą literą na papierze. W tym czasie odbyły się jeszcze wielkie uroczystości w Kyoto z okazji objęcia władzy przez Hideyoszi, potem powrót poselstwa z Rzymu wraz z wizytatorem oo. jezuitów, Aleksandrem Valignano, który przedstawił się jako ambasador wicekróla Indii.

Tylko tu i tam gorliwsi urzędnicy na prowincji, szczególnie w okolicy Nagasaki, nie omieszkiwali przy okazji wzbudzać zamieszek, gróźb i napadów, tak że jezuiti dla ostrożności przenieśli swe dzieła na pobliskie wyspy, które odtąd staną się ośrodkiem życia chrześcijańskiego w Japonii. Wschód posiada sekret powolnego działania i roztropnego odkładania spraw na stosowniejszą porę. Mimo przecucia prześladowań daimyo chrześcijańscy nie upadają na duchu, ale dalej z całym zapałem pracują dla swoich poddanych i dla Kościoła. Odwaga i gorliwość jezuitów też się udziela wszystkim. Na zaproszenie generała Koniszi udają się oni nawet do Korei i tam prowadzą misję. Dopiero na skutek fałszywych informacji hiszpańskich handlarzy gniew Hideyoszi wybucha na nowo i edykt staje się na nowo aktualny. Dla przykładu aresztowano sześciu hiszpańskich franciszkanów, trzech jezuitów Japończyków i siedemnastu wiernych, którzy przywiezieni do Nagasaki, zostali tam ukrzyżowani 5 lutego 1597 roku. Tak rozpoczęło się martyrologium japońskie. Po śmierci Hideyoszi w 1598 roku przejmuje po nim władzę Ieyasu Tokugawa, który zajęty na początku umocnieniem swej pozycji w nadziei pomocy od misjonarzy w dziedzinie handlu zagranicznego, odnosi się do nich bardzo łaskawie i pozwala na pracę misyjną. Nabożeństwa odbywają się publicznie i nawrócenia rosą, tak że chrześcijaństwo umacnia się coraz więcej. Ale w roku 1614 Ieyasu zrzuca maskę z twarzy i postanawia zlikwidować chrześcijan, wygnać misjonarzy, zburzyć kościoły i wszystko, co odnosi się do wiary chrześcijańskiej. Ochrczeni Japończycy stają wobec dylematu: apostazja albo śmierć. Dekret zaczyna być znów aktualny i stosuje się go według inwencji i gorliwości urzędników. Po śmierci Ieyasu jego syn Hidetada, gorliwy buddysta, popiera buddyzm i prześladowuje chrześcijan. Trzeci szogun Iemitsu Tokugawa wzmacnia prześladowanie i rozciąga je na cały kraj (1624). Do tego dzieła burzenia dokładają ręki nie tylko urzędnicy i gubernatorzy, ale gromady podburzone pospolitych prześladowców chciwych zysku. Najgorsi jednak byli odstępcy. Wielu z nich zrobiło majątek na donosicielstwie. Za wydanie księdza płacono 500 kawałków srebra, za brata 300, a za zwyczajnego chrześcijanina 100. Żadne prześladowanie w historii Kościoła nie było przeprowadzane tak systematycznie i przez tak długi okres (od 1614

do 1873 roku). Stosowano najbardziej wyszukane męczarnie, konfiskowano własność, więziono, ścinano głowy, krzyżowano, palono oraz grzebano żywcem, biczowano, zanurzano w gotujących się siarczankach, albo w lodowatej wodzie, rzucano w przepaści skalne itp. Japoński historyk Takegoszi podaje liczbę zamęczonych i straconych ponad 250 tysięcy. Edykt mówi jasno: „Dopóki słońce będzie ogrzewać ziemię, niech żaden chrześcijanin nie odważy się stapać po ziemi japońskiej. Niechaj wiedzą o tym wszyscy, choćby to był sam król hiszpański we własnej osobie, albo Bóg chrześcijan czy wielki Szaka (Budda). Każdy, kto naruszy to prawo, zapłaci własną głową”. Japonia została zupełnie odcięta od świata. Prześladowanie prowadzone systematycznie, z włączeniem perfidnego szpiegostwa.

- 1) Ludność podzielono po pięć rodzin ze wspólną odpowiedzialnością.
- 2) W 1687 r. ogłoszono prawo oczyszczenia rodzin, według którego rodzinę, która miała jakiś związek w przeszłości z chrześcijanami, wpisywano do czarnej księgi i poddawano surowej kontroli: mężczyzn przez siedem pokoleń, a kobiety przez cztery.
- 3) Odpisy dekretów o prześladowaniu widniały we wszystkich zakątkach kraju.
- 4) Obowiązkowo każda rodzina musiała zapisać się w świątyni i tylko bonza mógł wydawać zaświadczenia na śluby, podróże, zmiany miejsc zamieszkania i pracy oraz pogrzeby i przepisane uczestnictwo w świątyni.
- 5) Odstępcy mieli obowiązek podpisać przysięgę wierności.
- 6) Na urzędowych zebraniach kładziono przed odstępcami i chrześcijanami krzyż albo obraz do podeptania, aby w ten sposób potwierdzili swe odstępstwo od wiary. To samo stosowano względem przybywających handlarzy holenderskich, którzy mogli wylądować tylko za cenę apostazji.

## Postawa chrześcijan

Jaką postawę zajmowali chrześcijanie, narażeni na śmierć w obliczu niezwykłych cierpień? Wielu zachowało wierność aż do męczeństwa. Niewielu zdecydowało się na odstępstwo chociażby tylko pozorowane. W latach 1642-1643 po raz ostatni wylądowali jezuita. Jeszcze w 1707 roku przybył o Sidotti, ale zmarł po sześciu latach więzienia w Tokio. Wydawało się, że skończyła się era chrześcijaństwa w Japonii. Pod panowaniem Tokugawa nie istniała wolność słowa mówionego i pisanego i dlatego ówczesni pisarze niewiele pozostawili nam relacji ani udokumentowanych faktów. Pan Jezus pozostaje zawsze Tym wiecznie Niezrozumianym i Nieznanym. Taktyka Jego nieprzyjaciół również się nie zmienia. Walczy się z Chrystusem w imię starych wierzeń, interesów tronu, władzy i ojczyzny.

Gdy chodzi o obcokrajowców i misjonarzy, to podnoszono bez końca te same zarzuty: po co przybyliście do Japonii? Niewierzący nie potrafi zrozumieć samozaparca księdza czy misjonarza, albo przywiązania wiernych do „ojców duchownych”. Gdy nasz przełożony mons. Cimatti został przyjęty na audiencji u Ojca Św. Piusa XI w 1938 roku, przedstawił Papieżowi stan rzeczy, zrelacjonował jak wyglądają nasze pierwsze kroki, opisał powstanie ma-

łego seminarium w Miyazaki, wtedy Pius XI szczerze zainteresował się tymi „najmniejszymi” i przesłał im specjalne błogosławieństwo ze słowami: „Powiedzcie, że im błogosławie - bo są seminarzystami, a przez to samo nadzieją Kościoła. Błogosławie im, bo są młodzi, a zatem są nadzieją na przyszłość. Powiedzcie im, że ich błogosławie dlatego, że są Japończykami”. Papież ufał bardzo w przyszłość i nawrócenie tego narodu, ponieważ jest niemożliwe, by Bóg się nie wzruszył i nie dał specjalnych łask temu ludowi, który potrafił tak mocno zachować swą wiarę w czasie prześladowań. Uparte okrucieństwo prześladowców w Japonii zostało zwyciężone jeszcze większą wytrwałością męczenników.

## Metoda św. Franciszka Ksawerego

Wypada się zapytać, jak wyglądała ta prosta i mocna organizacja wiernych, zapoczątkowana przez misjonarzy? W jaki sposób św. Franciszek Ksawery prowadził katechizację? Rozpoczynał od znaku krzyża św., Ojciec nasz, Zdrowaś, aby neofici starali się od początku wyprosić pomnożenie wiary i łaskę zachowania przykazań. Wykładał potem Skład Apostolski i Przykazania, ograniczając się do dość krótkiego objaśnienia. Wielką wagę przypisywał odmawianiu Confiteor - Spowiedzi powszechnej, którą objaśniał bardzo szczegółowo, podkreślając zwłaszcza rolę doskonałego żalu za grzechy. Takie przygotowanie w sytuacji braku spowiednika może zastąpić spowiedź sakramentalną. Odmawianie różańca z rozważaniem życia Chrystusa użyźnia dusze pierwszych chrześcijan japońskich życiem łaski.

Aby zapewnić wytrwanie w wierze, nawet mimo braku księży, św. Franciszek organizuje całą gminę chrześcijańską: „... pozostawiam wszędzie świeckiego katechetę, który poprowadzi dalej rozpoczęte dzieło... zostawiam również w każdej gminie książeczkę z modlitwami. Polecam tym, którzy umieją pisać, by przepisywali, powielając egzemplarze, by modlitwy te odmawiali codziennie i nauczyli się ich na pamięć. Rozporządzam, aby w niedzielę wszyscy się zbierali razem i wspólnie odmawiali je pod opieką katechety...” W pierwszej małej gminie w Kagoszima sam katecheta nauczył się chrzczyć, otrzymał książeczkę z modlitwami, kalendarz liturgiczny i siedem psalmów pokutnych do użytku; na zebraniach w piątki, oraz tekst Pasji do czytania w niedziele. Na miejsce amuletów i znaków pogańskich, z braku relikwii i agnuszów, św. Franciszek rozdawał małe puzderka z napisanymi własnoręcznie imionami: Jezus, Maria, Józef, albo: „Wierzę w Boga” z obrazkiem Matki Bożej, lub nawet dyscyplinę (do biczowania)... „gdy pragniecie odpuszczenia waszych grzechów i nie możecie się wyspowiadać, uklękniecie przed obrazem Matki Bożej i proście Ją, by wam wyjednała u Swego Syna odpuszczenie grzechów...” Dyscyplina miała też służyć do uzyskania zdrowia... „jeśli jakiś chrześcijanin, albo poganin zachoruje na gorączkę, wtedy wymierzcie mu, albo on sam niech sobie sprawi trzy uderzenia bardzo lekkie tą dyscypliną, używając Najśw. Imiona Jezusa i Maryi, a chory wyzdrowieje...”

Potomkowie męczenników nawet wśród największych prześladowań, trwających ponad dwa wieki, zachowali wiarę dzięki tym naukom św. Franciszka i jego misjonarzy. Organizacja chrześcijan w czasie prześladowania była prawie wszędzie jednakowa. Każda gmina miała swego gospodarza -

głową, wiernego stróża kalendarza ułożonego jeszcze w 1634 r. przez katechetę Sebastiana. W kalendarzu były wyznaczone niedziele i święta całego roku kościelnego. Przewodniczący gminy był wspomagany przez „chrzcicieli” (tych, którzy udzielani chrztu) i „głosicieli słowa”, którzy przekazywali wszystko poszczególnym rodzinom. Głowa gminy prowadził wszystkie zebrania prywatne w górach w dzień czy w nocy. Chrzciciel nie wykonywał nigdy swego zadania dłużej niż dziesięć lat, mając zawsze ze sobą zastępcę, który już był dobrze obeznany z udzielaniem chrztu św. po pięciu latach ćwiczeń. Ze sposobu takiego postępowania można wnosić, jak wielką uwagę przywiązywano do chrztu św. zarówno co do treści jak i formy sakramentu. Chrześcijanie mieli do dyspozycji następujące duchowe pomoce: książkę z żalem za grzechy, ułożoną w 1603 roku, wyjątek z katechizmu w dziewięciu rozdziałach, tajemnice różańca, Przykazania Boże, akt żalu, Ojciec nasz, Zdrowaś, Wierzę, spowiedź powszechną, Witaj Królowo, znak krzyża. Zachowywano zazdrośnie (a potomkowie strzegą dotąd) różańce, medaliki, obrazy, „Ecce Homo” itd. Boże Narodzenie było uważane za jedno ze świąt największych. Kto miał stajnię, uprzętał ją w tym czasie z wielką starannością, dawano lepszą paszę zwierzętom, a na progu stawiano wiadro z wodą do kąpieli Nowonarodzonego. Wewnątrz umieszczano palenisko, podtrzymując ogień całą noc, a każdy odmawiał 150 razy Zdrowaś Maryjo. W czasie Wielkiego Postu nie spożywano mięsa i uczono się na pamięć wszystkich modlitw. Często odmawiano akt żalu i spowiedź powszechną. W pierwszą niedzielę każdego miesiąca zbierano się po kryjomu we wszystkich gminach, odmawiając wiele razy Zdrowaś Maryjo (może wspomnienie różańca), modlitwy, przekazywano sobie szeptem różne wiadomości i polecenia. Na Nowy Rok wszyscy musieli udać się do urzędu i tam deptać obrazy. Zrezygnowani wobec brutalnego gwałtu, poddawali się zewnętrznie, a po powrocie do domów odprawiali liczne pokuty za popełniony grzech. Wszyscy żyli stale jedyną nadzieją, że powrócą kiedyś misjonarze na czarnych okrętach.

„Patrzcie na dalekie morze! Powrócą znowu misjonarze na okrętach czarno malowanych, a wysoko na żaglach będą miały Imię Maryi. Kto ich posłucha, będzie zbawiony. Wtedy będziemy, mogli śpiewać publicznie pieśni i odprawiać nabożeństwa”. Oto prorocze słowa katechety Sebastiana, umęczonego w Nagasaki w 1634 roku. Więc chrześcijanie zwykli śpiewać piosenkę nieznanego autora, powstałą wśród wiernych z Uragami i w tajemnicy przekazywaną potomkom:

Okni ni kuru no wa Papa no fune yo  
 Maru ni ya no ji no howa mieru.  
 Okni ni mieru no wa Papa no fune yo  
 Maru ni ya no ji ga kaite aru...

Z dali nadpływa okręt Papieża,  
 Na żaglach widać Imię Maryja.  
 W dali widać okręt Papieża,  
 Na żaglach jest wypisane  
 imię Maryja.

Oczekiwania skryte w sercach chrześcijan tętniły siłą. Po otwarciu portów dla obcych okrętów, a było to 11 października 1859 r., mons. Girard, wyznaczony na przełożonego misji w Japonii, opuścił okręt i z kapelanem przejechał się po wiosce Szimoda. Przybliżył się wtedy do nich jeden z Japończyków

i, patrząc na krzyż biskupi, sam pokazał krzyżyk ukryty pod ubraniem, dając do zrozumienia, że pomimo długich i ciężkich prześladowań, żyje w okolicy wielu takich jak on, którzy zachowali zwyczaje i wierzenia chrześcijańskie. „Wszyscy myślą często o Jezusie i Maryi. Krzyż jest dla nich znakiem tej wiary, którą uważają za droższą nad życie”... to powiedziawszy zniknął... To zdarzenie pozwalało domyśleć się, że dawni chrześcijanie przetrwali. Tak myśleli misjonarze i starali się odnaleźć ich ślady.

## Odnalezienie chrześcijan

Ze śmiercią Iemitsu, można było powiedzieć, że Kościół praktycznie przestał istnieć. Misjonarze nie mogli w żadnym wypadku przybywać, a wyjazd Japończyków również był surowo zabroniony. Kościół jednak nie rezygnuje nigdy i nie traci nadziei, w latach 1640—1844 były różne próby (nawet przebieranie misjonarzy za handlarzy) w celu przedostania się do kraju hermetycznie zamkniętego, ale na próżno. Kto się odważył wylądować, zostawał szybko wysłędzony i ginął wśród nieopisanych cierpień. Tak kilku najodważniejszych przypieczerowało krwią swą miłość do Chrystusa i Jego owczarni.

W 1844 r. ponownie krzyż stanął na tej ziemi tak drogiej kościołowi, przywrócono do życia zmartwychwstałą wspólnotę chrześcijańską. Ojciec Forcade, wybrany czasowo jako Prefekt Apostolski na Japonię, ląduje w Okinawa na wyspach Ryukyu 28 kwietnia 1844 r. i po odprawieniu mszy św. poświęca Japonię Najczystszemu Sercu Maryi, które odąd wraz z Michałem Archaniołem (czczonym w szczególny sposób przez św. Franciszka Ksawerego) są patronami Japonii. On również, jakby natchniony duchem proroczym, głosi, że spodziewa się prędko zobaczyć otwarte drzwi do kraju, bo miłosierdzie Boże jest blisko tego wielkiego i nieszczęśliwego cesarstwa. Pochodnia wiary tak jak dawniej zabłyśnie i będzie płonęła jasnym światłem... Tymczasem płyną lata, misjonarze się zmieniają, ale nie mogą postąpić krokiem naprzód. Dopiero w roku 1858 Japonia urzędowo otwiera swoje podwoje. Wolno przybywać obcokrajowcom, zatrzymywać się, budować kościoły i zakłady. „Bądź pozdrowiona ziemi, uświęcona stopami św. Franciszka, ziemi, zroszona trudem i potem wielu apostołów i krwią niezliczonych męczenników”.

Dnia 19 lutego 1865 roku uroczyste poświęcono nowy kościół w Nagasaki pod wezwaniem 26 męczenników japońskich. Miejsce wybrano bardzo rozmyślnie i szczęśliwie, jeśli zapamiętaliśmy wypadki historyczne: na wysokim wzniesieniu u podstawy wielkiej zatoki na wprost pagórka uświęconego krwią męczenników. To, co najwięcej przyciąga ciekawych, to złożone krzyże na trzech szczytach kościoła (dzisiaj katedra i pomnik narodowy). Dnia 17 marca około wpół do pierwszej po południu przychodzi przed kościół grupka złożona z około piętnastu osób, a ich pokorne zachowanie zwraca na siebie uwagę. Misjonarz, ojciec Petijeau, wprowadza ich do kościoła, a sam kłeka i modli się o światło dobrej rozmowy z przybyszami. Nie skończył jeszcze całego „Ojczy nasz”, gdy zbliżyły się do niego trzy kobiety w wieku około 50-60 lat i, pochylając się w jego kierunku, jedna z ręką na piersiach mówi prawie szeptem, jakby obawiając się, by nawet ściany tego nie dosłyszały: — My wszyscy, którzy tu jesteśmy, mamy takie same serca jak twoje. Naprawdę, skąd przychodzicie? — Jesteśmy z Urakami. (część miasta Nagasaki u stóp

góry męczenników, dzisiaj miejsce znane jako centrum bomby atomowej). W Urakami prawie wszyscy mają takie same serca jak my. I jeszcze pytanie: — a gdzie jest statua Matki Bożej? Misjonarz już nie, ma wątpliwości: to na pewno są potomkowie dawnych chrześcijan w Japonii. Wstaje więc i prowadzi ich do bocznego ołtarza Matki Bożej. Cała grupka stara się modlić, ale jakoś im się to nie udaje. Są zbyt wzruszeni, więc wykrzykują tylko: Ah, tak, to naprawdę Santa Maria Sama! (Pani). Patrzcie, trzyma nawet na rękę swego Syna Jezus Sama!... Wtedy już z całą dziecięcą ufnością wypytyują się bez końca i opowiadają sami to wszystko, co wiedzą o Jezusie, o Matce Jego. — My obchodzimy święto Naszego Pana 25 dnia białych śniegów, mówi jedna. Pouczono nas, że owego dnia o północy narodził się Jezus Sama w stajni, a potem wyrósł w ubóstwie i cierpieniu, a gdy miał 33 lata umarł na krzyżu, aby zbawić nasze dusze, mówi druga. Dzisiaj mamy siedemnasty dzień umartwienia (Wielkiego Postu). Jezus Sama miał na ziemi przybranego ojca, który nazywał się Józef...

Któż może opisać obopólną radość. Tymczasem przed kościołem stali urzędnicy miejscowi i obserwowali bacznie wchodzących i wychodzących, czy nie ma między nimi podejrzanych o przynależność do zabronionej religii. Pierwszego maja tego samego roku między turystami znalazł się młodzieniec z wysp Goto, Gaspar Yosaku. Zaskoczony widokiem krzyża i statuą Matki Bożej, jest przekonany, że to kościół katolicki. Stara się porozmawiać z misjonarzem i na jego polecenie staje się posłańcem do kilku tysięcy wiernych, ukrytych w Sotome koło morza, sześć mil japońskich od Nagasaki (24 km), w Szitsu, Kurosaki, na wyspach Goto i Hirado, położonych, na wprost portu Nagasaki. Potomkowie pierwszych chrześcijan, zanim nabrali pełnego zaufania i przyznali się do swej wiary, pragnęli się przekonać naocznie jeszcze o innych ważnych przymiotach misjonarza. Przyszła delegacja z Szitsu, złożona z wybranych przedstawicieli, i zapytali się ojca Petijean'a: — Kto cię przysłał, czy to jest wielki Ojciec z Rzymu? Czy między tobą i Rzymem jest to samo serce? Inna grupa prowadzona przez Piotra, chrzciciela z Kamino-szima, zapytała misjonarza również o Ojca z Rzymu i jego imię. Na wiadomość, że Namiestnikiem Chrystusa jest Papież Pius IX, który na pewno bardzo się uraduje, gdy otrzyma wiadomość o nich i ich wierności, wybuchnęli okrzykami szczęścia. Przed samym pożegnaniem pragnęli jednak rozwiązać jeszcze wątpliwość, czy naprawdę obecny misjonarz jest następcą dawnych misjonarzy. Z całą prostotą i pokorą zapytali: — Czy ty masz dzieci? — Moimi dziećmi jesteście wy i wszyscy także jeszcze niewierni, których mi Bóg daje w opiekę. Innych dzieci nie wolno mi mieć. Ksiądz katolicki, tak jak wasi pierwsi misjonarze, zachowuje celibat przez całe życie.

Na początku XVII wieku, kiedy pierwszy raz zawitał do Japonii protestantyzm, wprowadzony przez handlarzy angielskich i holenderskich, misjonarze musieli pouczyć i ostrzec wiernych o tym, podając im do wiadomości ważniejsze różnice tych odłamów; brak kultu Matki Bożej, łączności z Rzymem i celibatu. To ostrzeżenie misjonarzy zostało także przechowane wśród potomków chrześcijan. Gdy bowiem otworzono porty dla zagranicy, również protestanci wybudowali swój zbór w Nagasaki. Zgłosiła się wtedy grupka wiernych z Urakami, pociągnięta krzyżem na wieży. Zostali przyjęci bardzo grzecznie przez pastora, który im wiele opowiadał o Chrystusie i Jego nauce.

Zaprosił ich na końcu, by przyprowadzili swoje rodziny, to ich przedstawi swojej żonie. Zrozumieli wtedy, że ten misjonarz nie jest taki, jakimi byli ich pierwsi misjonarze i, pożegnawszy się grzecznie, już się więcej nie pokazali.

Tymczasem pojawienie się misjonarza „według ich serca” zbudziło we wszystkich wiernych pragnienie i potrzebę dokładniejszej nauki. Głowa chrześcijan z Kaminoszima, Michał, nie rozumiał słowa „kontrisan” (spowiedź), znajdującego się w jego książce. Misjonarz opowiada mu o grzechu i pokucie, więc on prosi o różaniec i dyscyplinę, aby się mógł biczować przy aktach żalu za grzechy. W zamian daje do dyspozycji misjonarzowi własną łożdź. Jedna mamusia przynosi białą mąkę pszeniczną do wyrabiania opłatków, zwłaszcza na komunikanty do mszy św. „Sama zmęłam w żarnach nową pszenicę i byłabym tak bardzo szczęśliwą, gdyby ona posłużyła na hostie do mszy św.” - skromnie się tłumaczy (chrześcijanie zachowali ten zwyczaj do dzisiejszych czasów). Jeden chłopak zmierza się z trudnościami regularnego uczęszczania do kościoła: „Jeśli nas odkryją, to nas czeka więzienie albo męczeństwo”.

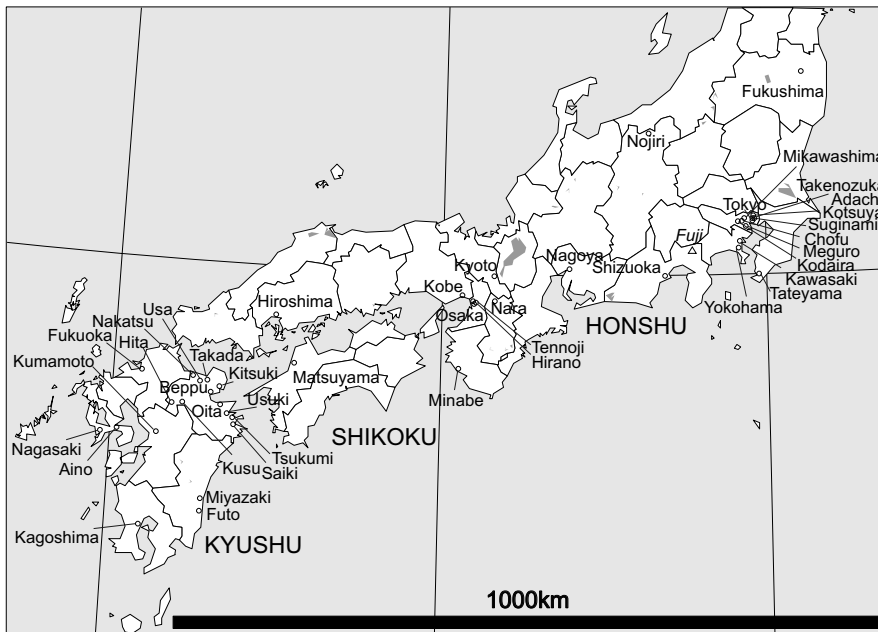
Ten cały ruch tak bardzo urzekający zwrócił uwagę, wątpliwości i obawy ze strony władz. Rząd wysłał do burmistrza miasta Nagasaki rozkaz i w lipcu 1865 roku władze zabroniły zwiedzania kościoła katolickiego. Chrześcijanie mogli porozumiewać się z misjonarzem tylko nocą. Mimo wszystko do końca roku już prawie wszystkie wspólnoty rozsiane po okolicy Nagasaki były znane misjonarzom.

Tymczasem tu i tam znowu wybuchały prześladowania. Bardziej wpływowi chrześcijanie bywali denuncjowani, stawiani przed sąd i poddawani wszelakim torturom z wyjątkiem kary śmierci. W roku 1868 edykt przeciw zakazanej religii realizowano w całej pełni. Tysiące wiernych skazano na wygnanie i konfiskatę mienia. Kraje europejskie złożyły jednak ostre protesty na ręce ambasadora księcia Iwakura. Ten wysłał telegram pod datą 14 marca 1873 r. z żądaniem wypuszczenia wszystkich chrześcijan z więzienia i pozostawienia ich w spokoju. Tak się też stało. To ostatnie prześladowanie spowodowało także wypadki apostazji. Odstępcy, powracając do swoich domów, pokutowali wśród łez, postów, biczowań i modlitwy. Wytrwałość i cierpienia większości pozwoliły doczekać dni prawdziwej tolerancji (w 1889 r.), która zapewniała wolność religijną prawną i faktyczną dla wszystkich obywateli.

W czasie pierwszych traktatów pokojowych z potęgami zagranicznymi, Japonia uprzytomniła sobie wielkość cywilizacji europejskiej. Zebrała więc swoje siły, by naśladować wszystkie zdobycze techniki z ukrytą nadzieją, że wkrótce zdobędzie wysokie osiągnięcia w najważniejszych dziedzinach: militarnej, przemysłowej i handlowej oraz na polu nauki, polityki wewnętrznej i zagranicznej. I trzeba przyznać, że kraj ten konsekwentnie dąży do tego celu.

## **Organizacja Kościoła**

Kościół, równoległe do rozwoju materialnego i politycznego kraju, formuje powoli hierarchię kościelną, ustalając, że na początku (1846 r.) obejmą rządy księży z Towarzystwa Misji Zagranicznych z Paryża, potem w duchu katolickim i braterskim władze podzieli się (od 1904 r.) między zakony i zgromadzenia. Kiedy w dniu 3 kwietnia 1941 r. rząd wydaje urzędowe zatwierdzenie



**Rys. 1:** Mapa misji salezjańskich w Japonii.

nie Kościoła katolickiego, hierarchia, dostosowując się do wymagań nowego reżimu, pozostawia dawne granice diecezjalne, zaś władzę nad nimi oddaje w ręce tubylcom. Tak rodzi się japońska hierarchia kościoła.

Dekret zatwierdził 268 miejsc kultu, 1720 katechetów - nauczycieli (księży), posiadających prawo nauczania, 111750 chrześcijan zarządzonych przez głównego hierarchę religii katolickiej, arcybiskupa Tokio, Piotra Doi Tatsuo. Z dniem 15 sierpnia 1945 r. zostało zniesione powyższe prawo, ale diecezje zachowały się bez zmian. Przedstawiają się następująco:

- Delegacja Apostolska z przedstawicielem Ojca Św.,
- Archidiecezja Tokio, administrowana całkowicie przez kler tubylczy,
- Diecezja Nagasaki, wyłącznie kler tubylczy,
- Diecezja Fukuoka, kler tubylczy, oo. Misji Zagr. z Paryża, oraz z Mediolanu, kolumbianie,
- Diecezja Osaka, kler tubylczy, oo. Scheut, kolumbianie itd.,
- Diecezja Yokohama, kler tubylczy, Misje Zagraniczne z Paryża i Mediolanu,
- Diecezja Sendai, kler tubylczy, dominikanie, betlejemiści.

#### Wikariaty Apostolskie:

- Hiroszima, jezuita niemieccy i Scheut,
- Sapporo, franciszkanie niemieccy,
- Nagoya, Misjonarze Słowa Bożego,
- Kagoszima, kler tubylczy,
- Kyoto, Misjonarze Maryknoll ze Stanów Zjednoczonych,
- Urawa, franciszkanie Kanadyjczycy,



- Miyazaki, salezjanie ks. Bosko i ksawerianie z Parmy.

Każdego roku przybywają nowe Zgromadzenia do pomocy w różnych strefach, podejmując zadania pracy misyjnej, w stosunku do hierarchii tubylczej misjonarze pełnią rolę pomocników. To, co obecnie najwięcej uderza w Japonii, to wielka jedność i braterstwo wszystkich zakonów i zgromadzeń obu płci, pracujących w różnych sektorach apostołatu. W Japonii wszyscy się uczą. Slogan ten ma szczególne znaczenie dla tych, którzy mogą w szkole formować umysły i sumienia według ducha chrześcijańskiego. Drugi zasadniczy dział apostołatu misyjnego, to dzieła miłosierdzia. Ogarnia lud potrzebujący opieki i pomocy w imię Tego, który oddał swe życie dla naszego zbawienia. W 1950 r. pracowało w Japonii 30 zgromadzeń męskich i 48 żeńskich, licząc także zgromadzenia tubylcze (w 1975 r. 41 męskich i 89 żeńskich). Powiedzenie św. Tertuliana: „Krew męczenników jest posiewem chrześcijaństwa”, każe ufać w prędki rozwój Kościoła na ziemiach obficie nią zroszonych. Działają także cztery wielkie organizacje laikatu, zwłaszcza w większych środowiskach, gdzie można zbliżyć się do mas: stowarzyszenie mężczyzn, kobiet i młodzieży obu płci. Przyłączyły się do nich stowarzyszenia religijne, bardzo cenione przez dawnych chrześcijan. Na szeroką skalę organizowane są stowarzyszenia młodzieży akademickiej i studentów. Działają tu zwłaszcza jezuici, prowadzący w Tokio znany już i ceniony uniwersytet „Sofia”.

Ogólnie można by podzielić te stowarzyszenia na trzy odłamy: religijno-parafialne, świeckie o charakterze charytatywnym, właściwa Akcja Katolicka.

Do pierwszych należą bardzo rozpowszechnione, zwłaszcza wśród wiernych pochodzących z Nagasaki, stowarzyszenia różańcowe z góry Karmelu i apostołat modlitwy. Każde zgromadzenie w swoim zakresie posługuje się tradycyjnymi kółkami, klubami i ogniskami, powstałymi według ducha założycieli.

Do stowarzyszeń laickich zaliczają się konferencje św. Wincentego w dwóch rodzajach: męskie i żeńskie z centrum dla pierwszych w Tokio, a dla drugich w Bolonii. Pięknie pracuje sekretariat dla chorych z centrum w Holandii oraz pobożne kółka Serca Jezusowego, rozwijające apostołat wśród chorych.

Do trzeciej kategorii należą: Papieskie Dzieło Propagandy Wiary i Akcja Katolicka, Trwa nadal zwyczaj obchodzenia corocznej uroczystości papieskiej złączanej ze Świętopietrzem. Obok domów i misji salezjańskich tworzy się Związek Pomocników Salezjańskich, którego nie należy jednak utożsamiać z dobrodziejami oraz Dzieło Serca Jezusowego.

Należy powiedzieć jeszcze kilka słów o prasie katolickiej. Doniosłość tej formy działalności misyjnej doceniono od samego początku, zwłaszcza w Japonii, tak bardzo wyspecjalizowanej w przemyśle poligraficznym. Praca wychowawczo-społeczna korzysta w ogromnej części ze środków masowego przekazu, które pod względem technicznym i merytorycznym są bezkonkurencyjne. W 1950 r. istniało już 6 899 czasopism, w tym 826 dzienników, wśród których kilka może iść w zawody z najlepszymi zachodnimi. Jeśli chodzi o zakres wiadomości, ilustracje, nakłady (dwa największe dzienniki: Asahi i Mainichi miały po cztery miliony nakładu), 3 581 bibliotek obsługiwało osiemnaście milionów stałych czytelników. Te kilka danych statystycznych mówi

o wadze i możliwościach tego środka w pracy misjonarskiej. Misjonarze wydają wiele ulotek, tygodników, miesięczników i książek. Oficjalnym tygodnikiem jest Gazeta Katolicka drukowana w Tokio. Pod opieką Delegatury Apostolskiej istniał generalny urząd prasy katolickiej, mający łączność ze wszystkimi diecezjami, który publikował najważniejsze wiadomości interesujące każde wydawnictwo. W roku 1946 przejął go Centralny Komitet Katolicki, obejmujący różne sekcje: religijną, prasową, oświatową, akcję katolicką, dzieł dobroczynności itd. Celem komitetu był instruktaż i pomoc w rozwoju poszczególnych dzieł i współpracy w apostołacie. Funkcjonuje również Urząd Statystyczny. Zarząd prasy prowadzi Zgromadzenie św. Pawła, które zajmuje się również audycjami radiowymi (posiada też własną stację nadawczą w Tokio tzw. stację kultury) i kinematografią. W tej dziedzinie współpracują niezależne wydawnictwa salezjańskie (Tokio), franciszkańskie (Sapporo i Nagasaki - Rycerz Niepokalanej).

## **Na wzór ks. Bosko**

Ks. Bosko rozpoczął swoją pracę od boiska sportowego na podwórzu i od kaplicy. Dziwnie nazwał to podwórze: oratorium, tzn. miejsce modlitwy, dołączając do niego kaplicę. Zbierając młodzież, prowadził ją poza miasto, na pastwiska, i tam odprawiał dla niej mszę św., spowiadał, nauczał, a potem uprawiał sport i różne zabawy w atmosferze rodzinnej jak z własnymi dziećmi. Wiemy, że rozpoczął tę pracę od jednego chłopca Bartłomieja Garelli, a zakończył na tysiącach.

Również w Japonii wypadało naszym pierwszym misjonarzom w 1926 r., tu w Miyazaki, nie zapominać o tym wzorze. Przy misji odziedziczonej po misjonarzach z Paryża, pierwszą troską synów ks. Bosko było stworzenia podwórza, na które zamieniono piękny ogródek japoński ku zgorszeniu wielu miłośników sztuki. W krótkim czasie dzieło rozwinęło się. Imiona pierwszych trzech chłopców poszły w zapomnienie, ale liczba wychowanków wzrastała prędko dzięki położeniu zakładu w centrum miasta. Wolno było przychodzić nie tylko w niedzielę, wolną od nauki, ale nawet w soboty i codziennie, aby bawić się dowoli, przygotowywać się do lekcji, ale nawet nauczyć się czegoś nowego z języków obcych lub posłuchać o Bogu chrześcijan.

Ruchliwe podwórze z całym otoczeniem nazwano oratorium świątecznym, chociaż wstęp był wolny codziennie. Znamy oratoria salezjańskie w krajach katolickich. Czy w Japonii takowe mogą również istnieć i spełniać swoje zadanie? Zadowolająca odpowiedź nie jest łatwa. Dziecko wychowujące się w środowisku chrześcijańskim łatwo przystosowuje się do oratorium, jakie miał na myśli ks. Bosko. Tymczasem dziecko pogańskie jest pozbawione atmosfery religijnej i bodźców z niej wypływających. Mimo to i w Japonii oratorium okazało się bardzo żywotnym magnesem, przyciągającym całe zastępy młodzieży, mimo, że warunki zewnętrzne „boiska” nie stanowią dla nich żadnej nowości.

Dzieci japońskie mają do własnej dyspozycji nieskończoną ilość rozrywek tak w domu jak i na zewnątrz, począwszy od muzyki, deklamacji i teatru, do kina, radia, bazarów, ostatnio telewizji, wreszcie sportów różnego rodzaju. Rozrywki zmieniające się według pór roku, wieku, płci i stanu nie mają końca.

Japończyk lubi wolność w wyborze gry, dostosowując się z grzeczności do zaproszenia, ale na przyszłość będzie go unikał z daleka, skoro mu nie odpowiada. W szkole dziecko znajduje zawsze odpowiednie pomieszczenie i mnóstwo ulubionych zabawek. Więc jaka tajemnica może tu pociągać młodzież do oratorium, znacznie uboższego pod względem warunków? Jest to niezastąpiona siła dobroci, szczerości, a zwłaszcza uczynnej i bezinteresownej miłości. Tylko tyle możemy ofiarować młodzieży w naszych oratoriach. Okazuje się, że jest to więcej niż bogactwo materialne innych środowisk. Sprawdza się piękne i mocne powiedzenie: serce za serce, miłość za miłość, szaleństwo za szaleństwo... inne namiastki nie mają wzięcia. Zresztą i ta strona medalu nie zawsze jest ze szczerego złota, ale nie trzeba się zrażać.

Jasne, że nie wszystkie wiatry dmą w nasze żagle. Pierwsza trudność to brak zażyłości między poganami i chrześcijanami. Ten antagonizm zrodził się na pewno w okresie historii, gdy istnieli prześladowcy i prześladowani. Sama młodzież już na początku stawia pytanie: kogo misjonarz lubi więcej poganina czy chrześcijanina? Ci ostatni roszczą sobie większe prawo. Później udało się w stosunku do pogan usunąć i tę przykrą sytuację. Kochane dzieci, misjonarz jest tutaj dla wszystkich! — Zdajecie sobie sprawę z różnic warunków, w jakich znajdują się wasi koledzy, nieznający Chrystusa. Dziecko chrześcijańskie rozumie dzięki nauce w domu i w kościele ogromną wartość wiary, której trzeba bronić za wszelką cenę w środowisku pogańskim, pełnym przeciwności. Druga trudność to niestałość dziecięca, typowa dla dziecka japońskiego, które więcej żyje uczuciem i fantazją niż rozumem. Nie czuje się związane z misją żadnym interesem a tym mniej obowiązkiem. Ażeby utworzyć grupkę wytrwałych bywalców oratorium, ile trzeba na to wysiłku!... Po trzecie to specjalne warunki w organizacji wychowawczej, tak w rodzinie jak szkole. Łatwo zdarzało się, że nadchodziły dni, w których mimo wolnego czasu, nie pokazał się ani jeden chłopiec. Może stanęła na przeszkodzie jakaś uroczystość, albo zebrania, wycieczki, pożegnania, może nawet jedno słowo kierownika lub nauczyciela: „od jutra żaden z was nie pójdzie do misji” - i można było być pewnym, że młodzież wykona polecenie. Jeszcze jedna trudność, to obrzucanie kamieniami misji, wybijanie szyb, malowanie ogrodzeń, straszenie uczęszczających, pogroźki, bicie, przeszkody, dręczenie, oczernianie w gazetach i zebraniach, zwłaszcza buddyjskich. A wtedy nasze serca wypełniały się spokojem i pały radością, wiedząc, że to są ostatnie strzały przed kapitulacją, bo dzieła powstałe wśród cierpienia mają zapewniony rozkwit i błogosławieństwo Boże.

## **W stronę starszych**

Zajmując się młodzieżą, nie chcemy zaniedbywać dorosłych i odwrotnie. Pierwsze kroki misjonarza kierują się do wiernych, którzy sami szukają kontaktu z misją. Objąć istniejącą już placówkę misyjną, to znaczy ponownie zdobyć wiernych, bo dla nich sama idea pracy misyjnej jest niewymierną; kształtuje ją dopiero osobowość misjonarza. Trzeba więc wzajemnie się poznać, a to umożliwi wizyta w domu. Stanowi ona opatrnościową okoliczność dla misjonarza - ma okazję poznać warunki, potrzeby, upodobania, zwyczaje swego ludu. Ileż przy tym niespodzianek, ale i cierpień. Można usłyszeć naj-

rozmaitsze, a nawet takie wyznania: — „Pamiętam, jak 25 lat temu taki jak wy obcokrajowiec wylał mi wodę na głowę... ale więcej nie pamiętam! — Proszę ojca, w domu mamy obraz Matki Bożej a ja nawet czasem odmawiam różaniec, ale do kościoła nie chodzimy, bo nie znamy misjonarza! — Ojczy, nasze dzieci, takie dawniej pobożne, jak wyrosły, żadne nie chce słyszeć o misji...”. Inni, po śmierci rodziców, zostali oddani w ręce pogan i nie wiedzą nawet, że są ochrzczeni. „Ojczy dziękujemy za wizytę, nasze ubóstwo nie pozwala nam zjawić się w kościele w wielkiej uroczystości Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Prosimy nas odwiedzać często, mamy nawet zawsze gotowy ołtarzyk do mszy św.”. Wśród wiernych są i dusze naprawdę wybrane, są chrześcijanie sercem i duszą; można spotkać Nikodema, ale niestety i Judasza... wielu nie posiada nawet podstawowych wiadomości z katechizmu. Takie wizyty, pełne tradycyjnych grzeczności, nie są bezowocne. Misjonarz pełen nadziei, gotowy na nowe wysiłki i pracę, modli się za te dusze, dziękuje Bogu za okazję zrobienia czegoś dla Niego, wsłuchuje się w odpowiedź z kartek brewiarza: „Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje... Proście Pana żniwa, aby wysłał robotników”...

Wizyty takie dają jeszcze misjonarzowi okazję robienia prawdziwych wycieczek w nieznaną. Wyobrażam sobie, że młodzi, czytając te wspomnienia, pragnęliby zapoznać się bliżej z tymi właśnie przygodami wśród lasów z dzikimi zwierzętami i węzami, nawet jadłowitymi... Ale takich sensacyjnych zdarzeń nie trzeba szukać aż w Japonii. Istota życia misjonarskiego nie na tym polega, chociaż misjonarzowi nie brakuje trudów i wyjątkowych przygód. Jego zadaniem jest zdobywać dusze dla Chrystusa. W Japonii nie trzeba jeździć daleko w poszukiwaniu dusz, bo gdzie się ruszysz, znajdziesz ich mnóstwo.

A jednak Japonia rani serce niejednemu misjonarzowi. Jest to boleść, której przyczynę stanowi obojętność, oziębłość, szyderstwo, pogarda, zatwardziałość duchowa aż do zniechęcenia tego, co Boże. To są ciosy gorsze od uderzenia żelazną rękawicą. Ale dobry Bóg wynagradza pracę w zależności od poniesionych trudów i cierpień, zaś wygodę materialną rodzą prawie zawsze niewielkie osiągnięcia duchowe.

Jeśli chodzi o wiernych, to ci, co mieszkają w miastach, chętnie i punktualnie spełniają swoje obowiązki religijne. Trudniej jest z rodzinami rozproszonymi po wsiach. Aby ich ratować, misjonarz sam musi ich na miejscu odszukać. Są to zwykle rodziny, które przeniosły się z wysp, więc obce dla otoczenia. Trudno się asymilują pozostawieni dłuży czas bez opieki, są mało wrażliwi na sprawy duchowe. Z trudem można nawiązać z nimi kontakt, gdyż nie podtrzymywane praktyki religijne, a głównie zaniedbanie sakramentów (chrzty, śluby) znieczulają ich zupełnie. Cenne jest to, że pomni na swe pochodzenie chrześcijańskie, chętnie słuchają nauki, pragnąc rzeczywistości powrotu do wiary swych przodków. Okazują serdeczną wdzięczność misjonarzowi i wiążą się mocno z misją nawet kosztem wielkich poświęceń.

Misja zdobywa sobie również coraz więcej uznania u władz, dzięki pracy nad opuszczonymi, a trudy i poświęcenia misjonarza owocują stokrotnie przyjęciem katechumenów do wspólnoty wierzących. Widzimy więc, że praca wśród rozrzuconych rodzin chrześcijańskich staje się posiewem misji wśród pogan. Poprzez kontakt z dziećmi w oratorium oraz wizyty misjonarza, we wsiach zbliża on się najpierw do rodzin i ich sąsiadów, później do władz

szkolnych i miejscowych, a to rodzi przyjaźń, zainteresowanie, wreszcie łączność myśli i serc. Wtedy można już szerzyć ulotki o Piśmie św. i wiadomości o Bogu, z dołączeniem krótkich pouczeń. Japończycy chętnie się do nich stosują, jeśli widzą w nich mądrość i pożytek. Dalszym krokiem mogą być zebrania, koncerty, wyświetlania pouczających i rozrywkowych filmów oraz przeżroczy przedstawiających w zrozumiały dla tubylców sposób prawdy religijne. Wierni przychodzą na te imprezy gromadnie, ale i sympatycy misji oglądają je z przyjemnością. Chętnie rozpowszechniają książki i pisma o treści religijnej. Młodzież tu staje się prawą ręką misjonarza, a zarazem stwarza okazję do zacieśnienia związku z rodzinami. Wierni swym dobrym przykładem i serdecznością względem braci nie chrześcijan wywierają na nich wielki wpływ bez kazań i przekonywań.

## **Rola muzyki w dziele misyjnym**

Misjonarz obdarzony odpowiednimi zdolnościami, rozwiniętymi przez naukę i osobistą pracę, ma wielkie szanse szerzenia owocnego apostołatu w Japonii. Kto ma piękny głos, ukształtowany artystycznie, albo potrafi grać na jakimś instrumencie, ten posiada w ręku klucz do serc. Muzyka w Japonii jest sztuką powszechnie uprawianą i bardzo lubianą. Przenika ona do każdego domu i serca. Koncerty można dać w kościele, w sali, w teatrze, w szkole, w fabryce, w hotelu, w domach prywatnych, a nawet w więzieniach i na placach. Słucha ich zarówno prosty lud jak i wysocy urzędnicy. Poprzez muzykę trafia się do każdego środowiska i zyskuje sympatię. Koncerty mogą mieć charakter wychowawczy, dobroczynny, patriotyczny, rozrywkowy, spełniają wówczas rolę propagandową wobec religii katolickiej.

Nasi pierwsi misjonarze salezjańscy z mons. Cimatti'm na czele posiadali właśnie ten niezwykły dar Boży. Mimo trudności, jakie w owym czasie (1926 r.) przeżywały misje katolickie w Japonii, cały Wschód stał przed nimi otworem. Zbierali owacje w Mandżurii, w Korei, na wyspach Ryukyu. Dali ponad trzy tysiące wielkich koncertów. Trafili do przeróżnych środowisk, od izb szkolnych aż do sal koncertowych o pierwszorzędnej renomie. Program takich koncertów był jednaki: na początku ekipa przedstawiała się publiczności. W połowie koncertu występował prelegent, który wygłaszał ciekawą konferencję o treści moralnej. Zainteresowanym rozdawano książki i ulotki. Niektóre misje posługiwały się muzyką klasyczną z płyt. Wówczas aparatura i przygotowanie techniczne musiały być bez zarzutu. Obydwie formy koncertów przynosiły pozytywne skutki. Porozumienie i wzajemna pomoc misjonarzy odgrywały tu wielką rolę.

## **Opieka nad chorymi**

Dobre wyniki daje praca w szpitalach. Ma ona w ogromnej większości charakter prywatny, więc dyrektorzy chętnie przyjmują misjonarza, który swą obecnością i słowami krzepi pacjenta, dodaje mu otuchy i dobrze usposabia do lekarza. Te czynniki z punktu widzenia psychologii mają wartość wspólnego lekarstwa. Zjednany tam personel szpitala z dyrektorem na czele zaczyna się interesować sprawami owej religii, która wywarła na chorych tak

zbawcze dla zdrowia skutki. Wśród nowo nawróconych pacjentów tworzą się prawdziwe zespoły o charakterze apostołskim, pomocne współcierpiącym. Praca misjonarza jest wówczas ogromnie ułatwiona, bo dusze sublimują się w cierpieniu, aż do wyżyn mistycyzmu. Nierzadko cała rodzina na prośbę umierającego przyjmuje chrześcijaństwo.

Gdy sto lat temu ks. Bosko wysyłał w świat swoich pierwszych misjonarzy, wypisał im „dziesięć przykazań misjonarza”, między którymi znajdujemy i to: „Otaczajcie szczególną opieką chorych, dzieci, starców i ubogich, a pozyskacie błogosławieństwo Boże i życzliwość ludzi”. Przed pięćdziesięciu laty trzeci następca ks. Bosko polecił misjonarzom w Japonii: „Zanieście do Japonii to, czego oni jeszcze nie mają - miłość Chrystusową”. Obecny arcybiskup Tokio wyraził się swego czasu, że do Japończyków przemówi tylko miłość, którą Chrystus głosi.

Powyższe uwagi i spostrzeżenia skreśliłem jako tło do lepszego zrozumienia środowiska, w którym wypadło mi borykać się w pracy misjonarskiej na co dzień.



## Sam na wyspę Kyushu

Ranitko jedziemy z księdzem prefektem kolejką elektryczną aż do głównej stacji w Tokio. Wszystko odbywa się składnie: bilet zapłacony, bagaż nadany. Punktualnie o szóstej gwizdek i odjazd. Na peronie pozostał między innymi ks. prefekt, a ja ruszam w świat samotny. Rejestruję na razie wrażenia zewnętrzne i informacje. Konduktor przechodzi od wagonu do wagonu i ogłasza kierunek pociągu i godzinę przejazdu przez ważniejsze stacje aż do końcowej, znajdującej się na naszej wielkiej wyspie Honshu o nazwie Szimonoseki. Tam trzeba będzie przepłynąć się statkiem do wyspy Kyushu, a potem jechać dalej aż do Miyazaki. To mi zabierze 36 godzin, więc będę na miejscu jutro o szóstej wieczór. Prawie na każdej stacji wsiadają żołnierze, udający się na wojnę. Od czasu do czasu przechodzi obsługa sprzedająca pożywienie, napoje, papierosy, gazety a nawet książki. Na stacjach gra muzyka z płyt przez cały czas postoju pociągu. Podróżni nawet odgadują stację z melodii, która ich wita. Dla mnie wszystkie są nowe, oryginalne, japońskie, opiewające krajobraz; miasteczko, morze, góry, rzeki, bohaterów, uczonych, wydarzenia, nastroje... Współpodróżni są chyba z daleka: kimona bowiem mają w kratkę, a nie w deseń jak w Tokio.

Po kilku godzinach podróży prawie wszyscy ścielą na fotelach ręczniki i boso siadają po japońsku na piętach. Mnie po godzinie takiego siedzenia nogi cierpną zupełnie. Tymczasem Japończycy nie wytrzymują długo z nogami zwieszonymi, a na piętach przesiedzą całe dni. Tory kolejowe są tutaj o kilka centymetrów węższe od naszych w kraju, ale mimo to nie rzuca wcale wagonami. Nie słychać też hałaśliwego stukania. Jedynie lekkie kołysanie przypomina, że jesteśmy w ruchu. Widocznie dobre resory wagonów dają w wyniku taką przyjemną podróż, nawet przy szybkości 120 km na godzinę, z jaką pędzimy na prostych odcinkach.

Trzej mężczyźni z mojego przedziału to mieszkańcy południowej Japonii. Wracają z Tokio od krewnych. Japończycy przenoszą się bez trudu do innych miejscowości, zwłaszcza do większych miast w poszukiwaniu zarobku lub łatwiejszego życia. Zdarza się więc, że jedna rodzina ma krewnych prawie na każdej wyspie. W rozmowie dowiaduję się, że o chrześcijaństwie słyszeli w szkole, ale w ich wiosce nie widzieli jeszcze misjonarza. Serdecznie zapraszają mnie do siebie, jeśli możliwe to nawet teraz w czasie podróży, albo przynajmniej wkrótce po przybyciu do Miyazaki. Wypytują się grzecznie o kraj i rodzinę, chwalą Niemców i Włochów, gdyż mają tę samą orientację polityczną, co oni. Częstośćuję mnie ciastkami z ryżu, suszoną rybą i mandarynkami. Odwzajemniam się, kupując na następnej stacji zieloną herbatkę dla całej grupy.

Na każdej stacji można coś nabyć. W godzinach posiłków można tanio kupić specjalny japońskiej kuchni w pudełeczkach z drzewa wraz z pałecz-

kami do jedzenia. Składa się na to: ryż, ryba, miniaturowe dodatki z sosu, ziela morskiego i jarzyn. Inne stacje ofiarują paczuszki z herbatą, mocne przyprawy do ryżu, ciastka i różne słodczyce, wachlarze, napitki, zabawki, widoczki malowane na drzewie lub jedwabiu, cygarniczki, sakiewki na tytoń, fajki, komplety pędzelków do pisania, chustki do zawijania i noszenia małego bagażu zamiast torby lub teczki, amulety, muszelki na sznureczkach i tyle innych wschodnich oryginalności,

Przy pięknej pogodzie, mimo zmęczenia, trudno oderwać oczu od okna. Krajobraz zmienia się nieustannie: zatoki, tunele, osiedla, pola ryżowe, podzielone drobno zielonymi miedzami, podnoszące się i opadające poziomo, podobne do szachownicy ze złożonymi kwadracikami, bo już żniwa są blisko. Czasem przelatujemy jakby lotem ptaka po nasypie wśród wysepek o przeróżnych kształtach i budowlach. Charakterystyczne wieże i dachy każą domyślić się świątyń, a bramy szintoistyczne świadczą o rodzaju bóstw, jakim są poświęcone. Zachód słońca powtarza się w coraz to nowej oprawie. Wreszcie czerwone i złote promienie uciekają z wierzchołków górskich i zawieszają się u stropu jesiennych chmur.

Z nastaniem nocy pociąg przyspiesza jeszcze więcej, przystanki są rzadkie, co kilka godzin jeden. Każdy sadowi się, jak może najwygodniej, by się choć trochę zdrzemnąć. Kryję się pod palto przy oknie aż budzi mnie brzask wśród mgły. Uśpione okolice zaczynają ożywać. Na drogach widać roweryzistów rozwożących gazety, mleko, świeże jarzyny, owoce. Ostatni odcinek wyspy górzysty pełen zakrętów, skał obdartych z roślinności jakby pobity maczugą wielkoluda. Moi przyjaciele tłumaczą mi, że to są ślady tajfunów, które w ubiegłym miesiącu szalały straszliwie w całej okolicy. Kilkaset ludzi straciło życie, a szkody w budynkach i zbiorach są nieobliczalne. Pierwszy raz oglądam skutki żywiołu, o którym tyle nasłuchiwałem się z radia i naczytałem w dziennikach.

Jedziemy stale brzegiem morza i nareszcie ogłaszają ostatnią stację kolejową na naszej wyspie. Nazywa się Shimonoseki (Szimonoseki). Klimat ciepły jak we wrześniu. Słone powietrze przypomina mi podróż okrętem z Hong-Kongu. Ostatnie dziesięć minut jedziemy bardzo powoli, chociaż nie ma mostów i nasypów. Pociąg wytraca nadrobiony czas. Wreszcie urywa się przed nami pasmo gór. Jak okiem sięgnąć przesuwają się okręty duże i małe powoli, jak widma spowite we mgle. Port widocznie budzi się później od osiedla.

Tam w głębi mający inny kraj, to wyspa Kyushu. Wsiadanie odbywa się spokojnie. Oznajmiamy, że pociągi w wyznaczonych dwu kierunkach na wyspie Kyushu już są podstawione. Wsiadamy na okręt. Nie wyobrażałem sobie, by tyle ludzi mogło pomieścić się wygodnie w jednym pociągu. Ogonek ciągnie się bez końca. Schodzimy powoli na pokład i odbijamy. Okręt średniej wielkości, bez kabin, przysadzisty, służy tylko do przewożenia pasażerów na krótki dystans, więc przyjmuje ludzi na trzy pokłady, pstrokate teraz od ubrań i twarzy. Mgła opadła. Nowa wyspa wydaje się być blisko, ale mimo ruchu w jej stronę, nie wyczuwa się jej zbliżenia.

Dobijamy do brzegu. W porcie widnieje duży napis MOJI (Modzi). Za bramą stacja kolejowa z podstawionymi pociągami. Falanga ludzi dzieli się na dwa węże. Wsiadamy do pociągu po lewej. Pierwsze wrażenie to inne twarze, bardziej brązowe, o wydatniejszych kościach policzkowych. Przypomi-



nają mi twarz kolegi Sebastiana Maki. Gdzie on teraz się znajduje? Pożegnałem się z moimi towarzyszami podróży. Wsiadli do innego pociągu w stronę Nagasaki. Już na najbliższych stacjach spostrzegłem wielką różnicę w wyglądzie mieszkańców. Są nieco niżsi, mówią językiem niemal literackim. Może to dawny język japoński, który zachował się w książkach i na wyspie Kyushu? Nowi towarzysze podróży są jeszcze bardziej bezpośredni, ale rozumiem ich z trudem. Muszę bardzo uważać na artykulację, by złapać słowa, bo są garłowe i krótsze.

Nie wiem, jak duże jest to miasteczko Moji, bo nie widać końca. Pociąg jakby wypoczęty rwie z pośpiechem między osiedlami. Liczne kominy fabryk widoczne z obu stron pociągu tłumaczą owo gęste zaludnienie. Podobnie jak w Tokio można by domyślić się, że to kilka miast razem łączy się w jedno. Do Miyazaki jeszcze dziesięć godzin. Dobrniemy tam na szóstą wieczorem. Pojedziemy przez miasto Nakatsu i Oita, gdzie mamy nasze misje. Da Bóg, że może będę miał sposobność zwiedzić i te strony. Tymczasem konduktor poleca trzymać okna zamknięte, ponieważ wjeżdżamy w pas tuneli. Pytam moich nowych znajomych, dlaczego. Mówią, że w drodze do Miyazaki będzie ponad sto tuneli. Aż się wierzyć nie chce. Mimo zamknięcia okien dym lokomotywy wdziera się do środka wagonu i nie łatwo go opuszcza. Dziwi mnie to bardzo, bo na wyspie Honshu kursują pociągi elektryczne, a tutaj, gdzie są potrzebniejsze, nie zbudowano ich. Znowu tłumaczą mi, że przeprowadzenie linii kolejowej na Kyushu napotkało na największe trudności i pochłonęło wiele kosztów. Wykuto właśnie tunele dla parowozów, a teraz nie ma odpowiedniego miejsca na założenie przewodów elektrycznych. Stąd zacofanie w stosunku do innych linii bez tuneli. Drugi nie mniejszy kłopot leży w tym, że linia posiada pojedynczy tor, trzeba więc na zmianę przepuszczać pociągi w obu kierunkach.

W dłuższych tunelach robi się niesamowicie gorąco i duszno. Pasażerowie jednak zachowują się spokojnie z jakąś dziwną rezygnacją. Mam uczucie, że naprawdę nie wytrzymam i uduszę się. Ale widok Japończyków dodaje mi siły i odwagi. Wreszcie Nakatsu, mała stacja, a miasteczko, złożone z niskich domków drewnianych, jest podobne raczej do dużej wioski. W stronę Beppu i Oita nie ma już tylu tuneli. Mija południe. Przejeżdżamy jeszcze ich kilka i pędzimy nizinami.

Tu i tam ryż już zżęty, związany w małe snopki, wisi kłosami w dół na poręczach o różnej wysokości. Nie można go ustawiać w mędle ani półkopki, bo się szybko zaparza i rośnie. Jesienią pogoda dopisuje, więc to najlepszy sposób suszenia na słońcu i wietrze. Oprócz paszy dla bydła słoma z ryżu służy do wyrobu mat tak potrzebnych w każdym domu. Robotnicy produkują z niej jeszcze worki do przechowania już oczyszczonego ryżu, powrozy do ogólnego użytku i sandały do pracy lub podróży. Takie sandały są lekkie, miłe a chronią zarazem stopy od nierówności drogi. W Japonii nikt nie chodzi boso. Nawet małe dzieci na wioskach biegają w sandałkach, pozostawiając je przy wejściu do domu na równi z innym obuwem. Gdy się pochwaliłem, że znam miotły i szczotki ryżowe, to moi znajomi roześmiali się w głos. Wytłumaczyli mi, że słoma ryżowa jest zbyt miękka. Można z niej najwyżej zrobić wiechcie, ale przedmioty, o których mówię, są wyrabiane z gałązek innej rośliny, której łądyga jest o wiele twardsza.

Słońce już dobrze pochyliło się ku zachodowi, gdy konduktor oznajmił, że zbliżamy się do Miyazaki. Pożegnałem się grzecznie z miłymi towarzyszami podróży i wysiadłem. Bagaż wysłałem osobno. Niosłem tylko małą walizkę. Po wyjściu ze stacji skręcam w prawo, jak mnie pouczono i pierwszą uliczką jeszcze raz w prawo. Nasze seminarium ma być przy końcu tej dróżki. Ale oto na lewo za cmentarzem widać z daleka duży krzyż nad zabudowaniami. Może to tam? Zatrzymuję się na skrzyżowaniu. Nie ma żywej duszy, by się zapytać o drogę. Idę dalej wśród pól uprawnych aż do końca tej ścieżki, gdzie na słupie jakby przy bramie zauważam napis: Szoszingakko - Małe Seminarium. A więc nie zbłądziłem. Wchodzę do wnętrza domu.

## Miyazaki

Wyspa Kyushu, jedna z czterech dużych wysp Archipelagu Japońskiego, na pewno posiada te wszystkie przymioty, dzięki którym można ją zaliczyć do pierwszorzędných punktów strategicznych. Na północy styka się z Morzem Japońskim, na południu z Oceanem Spokojnym. Z północnego zachodu jest związana z Koreą przez wyspę Tsusima i Cieśninę Koreańską. Morze Chińskie oblewa jej brzegi zachodnie i południowo-zachodnie, gdzie setki wysepek wiążą je z Okinawą i Formozą. Wszystkie otaczające ją morza są pełne ryb. Bogate opady roczne utrzymują jej bujny drzewostan, rozłożony na zboczach wysokich gór, napełniając zarazem liczne zbiorniki, z których wodę czerpie się do nawadniania pól ryżowych i do wytwarzania siły elektrycznej. Około tuzina wulkanów, dziś już po większej części wygasłych, było kiedyś powodem licznych trzęsień na ziemi i na morzu. Obecnie stanowią źródło obfitych kąpieli mineralnych (Beppu, Aso, Unzen), znane ma całym Dalekim Wschodzie. W środkowej i południowej części wyspy znajdują się szerokie równiny, będące spichlerzem bogatych zasobów produktów rolnych.

Kyushu zajmuje bardzo ważne miejsce w skali bogactw ogólnonarodowych, a to dzięki licznym kopalniom węgla, 60 procent produkcji w woj. Fukuoka, Nagasaki i Saga. Nie wolno zapominać i o innych źródłach wielkich dochodów w ramach całego kraju: porcelana z Arita i Satsuma, cement z Oita, guma, nawozy, zakłady dziewiarskie, wyroby z bambusu, wosk, maty, suszona ryba, słodkie ziemniaki itd.

Prócz tego Kyushu to drzwi, przez które weszły do Japonii kultury: chińska, koreańska i zachodnia. Można więc je uważać jako punkt oparcia się dla ras malajskich czy mongolskich w drodze do kraju, gdy św. Franciszek Ksawery wylądował w Kagoszima 15 sierpnia 1549 roku.

Dawniej wyspa dzieliła się na dziewięć krain czy prowincji, stąd nazwa Kyushu (kyu - dziewięć, shu - dzielnica). Dzisiejsza administracja podzieliła wyspę na siedem województw o obszarze 42 072 km<sup>2</sup>, z ludnością około dziesięciu milionów mieszkańców. Miasta wojewódzkie to: Fukuoka, Saga, Nagasaki, Kumamoto, Kagoshima, Miyazaki i Oita.

Dwa ostatnie województwa położone w południowo-wschodniej części, zwrócone ku Oceanowi Spokojnemu, Miyazaki i Oita, zostały powierzone nam jako misja salezjańska, którą stanowi Prefektura Apostolska, ofiarowana nam przez Kongregację Rozkrzewienia Wiary w roku 1928. Oba te województwa mają 13 728 km<sup>2</sup> powierzchni i półtora miliona mieszkańców. Dzisiej-

sze województwo Miyazaki, dawniej znana kraina Hyuga, było kiedyś, według mitologii japońskiej, kołyską dynastii cesarskiej.

Klimat jest łagodny, ziemia urodzajna zawiera liczne bogactwo jak produkty leśne, rolne, wodne, mineralne, nawozy. Kwitnie hodowla bydła. Sześćdziesiąt procent ludności to rolnicy. Ziemia wulkaniczna, zmieszana z namulem, nadaje się do uprawy: ryżu, (ryż z Hyuga jeden z najlepszych), pszenicy, jęczmienia, herbaty, słodkich ziemniaków, tytoniu, buraków, dyni, arbuźów, mandarynek (słynne mandarynki z Hyuga). Hoduje się tu moc koni. Stare przysłowie mówi: Jedź do Korei po rzadkie szpady, ale po konie do Hyuga! Połowa koni w całym kraju pochodzi z tej prowincji. Z bogactw leśnych są słynne: sosna japońska (modrzew), cedry, dęby i bambusy. Innym źródłem dochodu jest węgiel drzewny i grzyby. Te ostatnie hoduje się sztucznie na drzewie dębowym, 150 000 kg rocznie. Morze jest bogate w tuńczyka i inne ryby, niesione prądami z południa. W rzekach przebywają pstrągi i węgorze. Kopalnie zasobne w miedź i cynk dostarczają materiału na wywóz.

W pobliżu znajduje się „wysepka zielona” Aoszima, mająca zaledwie półtora kilometra obwodu, ale słynna na cały kraj z roślinności kompletnie tropikalnej, w większości palmy indyjskie, opiewane w poezji i odwiedzane licznie przez turystów i wycieczki. Wokoło niej rozłożyła się wspaniała plaża, w letnich miesiącach stale przepełniona. Łańcuch górski rozpoczynający się wielkim wulkanem Aso w środku wyspy, aż do wulkanu Kiriszima na południu, oddziela Hyuga od prowincji Oita i od wiatrów z północy. Mnóstwo wąwozów kończących się dolinami, to charakterystyczne cechy tych okolic.

## **Pierwsze wrażenie w małym seminarium**

Miyazaki rozłożyło się w pięknej dolinie rzeki Oyodo, która dzieli miasto na dwie połowy. Miasteczko jest nie tak dawno zbudowane, a więc nowoczesne w wyglądzie. Posiada wszystkie szkoły od podstawowych aż do uniwersytetu. Słynna jest Szkoła Rolnicza, specjalizująca się w hodowli i leśnictwie. Tu przygotowuje się przede wszystkim nowych specjalistów, którzy udają się do Ameryki Łacińskiej, południowej Azji i Afryki. W głębi dużego parku mieści się świątynia poświęcona pierwszemu cesarzowi Dżimmu, przyciągająca turystów swą architekturą i historią. Pałac województwa z żelbetonu, pierwszy budynek tego rodzaju w mieście, szeroki most na rzece i piękne ulice dodają uroku miastu. Liczba jego mieszkańców przekroczyła nieco sto tysięcy, ale stale wzrasta.

Kościół katolicki znajduje się w centrum miasta. Wybudowany w 1915 r. przez misjonarzy z Paryża, od 1926 r. przeszedł w ręce misjonarzy salezjańskich. Liczba wiernych jeszcze nie dochodzi tysiąca, ale wspólnota jest bardzo gorliwa i dobrze zgrana. Małe seminarium diecezjalno-salezjańskie zostało tu przeniesione z Nakatsu w 1934 r. Liczy przeciętnie 50 seminarzystów, podzielonych na cztery klasy szkoły średniej i jeden rok przygotowujący ściśle do nauk filozoficznych. Oprócz programu państwowego, udziela się tu lekcji języka łacińskiego, francuskiego i włoskiego. Władze miejskie i wojewódzkie od początku są bardzo przychylne, że można mówić o stałej współpracy między seminarium i wszystkimi szkołami. Prawa państwowe dla seminarium przyznano prawie automatycznie bez specjalnych zabiegów. Owszem

posypały się zaproszenia dla naszych profesorów, by wykładali na wyższych uczelniach. Z Konferencji św. Wincentego a Paulo, istniejącej przy misji, wyłoniła się grupka dziewcząt pragnących poświęcić się Bogu w zgromadzeniu zakonnym, aby z większą łatwością sprostać wszystkim potrzebom charytatywnym. Właśnie w tym roku zawiązało się nowe zgromadzenie sióstr zakonnych nazwane Caritas. Zabudowania z dużym krzyżem nad kaplicą, który zauważyłem, to właśnie jest ich nowa siedziba.

## Pochód z okazji 2600-lecia państwa

Po wejściu do seminarium przedstawiłem się najpierw mons. Cimatti, który jest przełożonym domu, ale zarazem naszym inspektorem i delegatem apostołskim na misje prowincji Miyazaki i Oita. Na kolacji przywitałem innych przełożonych. Ku wielkiej radości serca ujrzałem drogiego kolegę Nishimura, który po wyleczeniu z ran został zwolniony z wojska i to chyba na stałe. Przedstawił mi chłopaków w jadalni, coś ponad pięćdziesiątkę. Od teraz będziemy już wciąż razem, bo są to kandydaci do zgromadzenia. Zwiedzam na przędce dom, kaplicę, rozmawiam trochę ze wszystkimi i spokojnie udaję się po wspólnych modlitwach na spoczynek w ubogiej celce, oddzielonej od reszty chłopców tylko zasłoną z szarego płótna. Zwyczajnie te same, co we wszystkich domach salezjańskich. Chłopcy po umyciu nóg i zębów słuchają przez kilka minut czytania jednego z kolegów w milczeniu i ciszy. Przed spoczynkiem każdy kłeka przy swoim łóżku i zwrócony do obrazka lub krzyżyka, odmawia pobożnie trzy Zdrowaś Maryjo... jak polecał ks. Bosko przed stu laty. Kolega czyta żywot Ojca Damiana na wyspie Molokai wśród trędowatych. Historia powtarza się w dziwny sposób. Ja również, jako chłopak, słuchałem z wielkim zainteresowaniem w sypialni przed spoczynkiem tego samego czytania w języku polskim... Świat zrobił się taki malutki, języki to sprawa zupełnie drugorzędna. Liczy się jedynie praca nad sobą i nad innymi, by zdobyć to, najdroższe, jedyne, niezastąpione... Boga i życie wieczne.

Ostatnia niedziela października jest dla wierzących uroczystością Chrystusa Króla, a w mieście trwa doroczne święto odpustowe ciągnące się trzy dni: procesja cesarza Dżimmu. W tym roku przypada właśnie 2600 rocznica jego wyruszenia z Miyazaki na podbój cesarstwa, więc naturalnie obchody tym okazalsze. W pochodzie mogą wziąć udział tylko zaproszeni. Inni zajmują brzegi ulic od świątyni przez całe miasto, most na rzece i dalej za miastem do innej świątyni, w sumie kilka kilometrów trasy. Ludność zbiera się i skupia gęsto wzdłuż całego traktu.

Seminarzyści raniutko udają się do kościoła misyjnego na uroczyste nabożeństwo Chrystusa Króla. Kościółek przepiękny jeszcze bardziej niżeli w Odawara, ściany pięknie przybrane w girlandy i szerokie wstęgi, ołtarz tonie w kwiatach zakrywających piękne drzeworyty, a na ołtarzu świeczniki ze świecami niezwykle wysokie. Kościelny musi mieć wielką znajomość trygonometrii, aby je zapalić dość zręcznie. Postawa wiernych skupiona. Wszyscy modlą się, śpiewają z przejęciem i garną się do komunii św. jak w katakumbach dawni chrześcijanie. Po nabożeństwie wychodzimy na wysokie schody przed kościół. Wierni są bardzo zżyci z seminarzystami, a przyjaźń ta zawiązuje się nie tylko w kościele, ale również w codziennym życiu, bo chłopcy

idą pomagać rodzinom w pracy, zwłaszcza przy sadzeniu ryżu. Łączy ich wspólna modlitwa i praca. Dzieci nie potrafią się oderwać od „starszych braciszków”, jak ich nazywają.

Udajemy się razem na trasę pochodu, by zająć miejsce wcześniej, zanim zrobi się tłok. Tylko ośmiu z naszych idzie z chorągwią zakładu aż na plac przed wielką świątynią, gdzie formuje się pochód. Wielki to honor brać udział w cesarskim pochodzie. Daleki odgłos bębnow i piszczałek słychać było jeszcze przed naszym nabożeństwem, a wybuchy petard obwieszczają zbliżanie się pochodu.

Otwiera go sam burmistrz, przebrany za daimyo (wasala). Jedzie na koniu, a za nim posuwa się wierna drużyna. Pachotkowie prowadzą czarnego cielaka na ofiarę i obiad dla cesarza ze świtą. Dalej widać cztery szpalery malutkich paziów, ubranych w przepiękne kolorowe kimona ze złożonymi ozdobami na głowie. Powaga bije z twarzy dzieci i starszych. Tylko dziwne głosy zbliżającej się orkiestry nadają tej ciszy swoisty koloryt. Za paziami idzie ósemkami służba dworska, potem wozy o grubych kołach zaprzężone w krowy. Na platformach tych zasiadają po japońsku grupki śpiewaczek z bębenkami w ręku, słynne gejsze. Za nimi konno po damsku jadą „panie młode” w czarnych ślubnych strojach, a ich partnerzy idą obok, prowadząc konie za uzdę. Wreszcie ukazuje się orkiestra, złożona z bębenków, fletów i przeraźliwych piszczałek. Uczestnicy pochodu kroczą w strojach historycznych, które różnią się ogromnie między sobą formą, kolorami i jakością. Czegoś podobnego nie oglądałem nawet w Tokio.

Za muzyką jadą czwórkami na koniach dostojnicy a między nimi pojedynczo ich panowie, sam kwiat cesarskiego pałacu. Bokami ulicy posuwają się egzotyczne lwy tańczące, zbliżając się raz do środka drogi, to znowu do falującej linii ludzkich głów. Rodzice z dziećmi na ręku podnoszą malców jakby w geście ofiarnym, a lwy otwierają swe paszcze i chwytają za główki; ma to oznaczać błogosławieństwo dla malców, by wyrosli na poskramiaczy wroga. Od czasu do czasu zatrzymuje się pochód i przy grze bębenków odbywa się taniec lwów. Taki lew składa się z dużej głowy rzeźbionej z drzewa, wymalowanej czerwienią i złotem, oraz z zielono-żółtego tułowia. Dwaj mężczyźni, dobrze wyćwiczeni, wywiązują się świetnie ze swego zadania: jeden podtrzymuje i manewruje głową i szczęką, a drugi zastępuje tułów z ogonem. Jedwabna płachta zwisająca po bokach porywa oczy i pozwala na wyobrażenie sobie tego, co przedstawia.

W końcu za lwami posuwa się lektyka cesarska cała lakowana i złożona, kryta również złotym dachem, nad którym kołysze się złoty kur. W lektyce nie ma żywego przedstawiciela cesarza, ale tylko jego emblematy: miecz, perła i lusterko. Natomiast lektyka spoczywa na ogromnej kracie, zrobionej z ciężkich bierwion, na pewno przewyższających wagę samej lektyki. Cały ten ciężar dźwiga osiemdziesięciu poborowych, ubranych w białe spodniki i także rozchełstane koszule. Ich twarze czerwone i spocone świadczą o nie małym wysiłku. Falanga ludzi jest w ciągłym ruchu, stąd lektyka kołuje od brzegu do brzegu, a czasem opiera się dopiero o tłum zapatrzony i upojony widowiskiem. Jeśli już samo uczestniczenie ma przynieść szczęście, to zbliżenie się lektyki aż pod dom zapewnia wielkie błogosławieństwo na cały rok.

Za lekturą, zwaną „mikoszi”, otwiera się nowe widowisko niemniej interesujące. Dość liczne grupki kobiet w przeróżnych kimonach i ozdobach, nakryciach głowy i japońskich sandałach „geta”, tańczą chodzonego w coraz to nowych figurach: idą, kołyszą się, kołują do taktu wybijanego klaskaniem i ruchem wachlarzy. Ubiory i kimona oryginalne, przechowywane w rodzinie i dziedziczone z matki na córkę przez wiele pokoleń, a używane tylko w tej procesji, pozostają jako skarb całej wioski. Każda okolica ma odmienne stroje.

Obok idą mężczyźni, niosący na wysokich tykach bambusowych różne chorągwie z napisami, zdobne w kwiaty i symbole. Za tym długim węzłem jedzie oddział rycerzy łuczników na wyborowych koniach. Godziny płyną prędzej od pochodu. Za oddziałami rycerzy kroczą ósemkami starsi mężczyźni już we współczesnych odświętnych czarnych kimonach. Posuwają się uroczyście, aż zanadto poważnie, wprost smutno. Dla nas czarny kolor oznacza zawsze żałobę i trudno się do niego przyzwyczaić. Mężczyźni w czerni to głowy rodzin, które mają synów na wojnie. Idą regularnym krokiem, wyprostowani, wyraźnie zmęczeni, ale zdecydowani. Widzowie przyglądają się im, wypatrując swoich ojców, ale bez uśmiechów. Całość robi naprawdę wrażenie konduktu pogrzebowego. Trudno wmawiać w siebie, że to ma być defilada ludzi szczęśliwych.

Nareszcie z dala nad głowami kołysze się las chorągwi, to przedstawiciele szkół, towarzystw, dzielnic, wiosek. Wypatruję naszej ósemki ze sztandarem seminaryjnym, zielonym ze złotym krzyżem. Ulica ożywia się barwami płócien. Wreszcie idą i nasi, poważni, ale do nas się uśmiechają. Poznałem już „swoich” chłopców w czasie pochodu; każdy chce być moim przewodnikiem i opowiada wszystko, co wie o ubiorach, zwyczajach, instrumentach muzycznych itd. Czuję się już jak u siebie i stwierdzam, że chłopcy odnoszą się do mnie jeszcze z większą poufałością, niż tego oczekiwałem: uważają mnie już za swego przełożonego, podczas gdy ja jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tej roli. Tak to jest zawsze z młodzieżą; najwięcej kompleksów mają starsi.

Na Wszystkich Świętych przybędzie do nas z wizytą sam wojewoda, który zapragnął poznać wychowywaną przez misjonarzy grupkę i okazać swą przychyłność. Dlatego przygotowujemy się dokładnie: mycie okien, ozdabianie korytarzy, umieszczanie napisów itd. Przy przenoszeniu różnych przedmiotów okazałem się wnet Guliwerem wśród liliputów. Zaimponowałem im siłą.

## Edykt cesarza Mejdzi

W środę znowu święto: złoty jubileusz słynnego edyktu cesarza Mejdzi o wychowaniu - pięćdziesięcioletnia rocznica. To pismo jest dokładnie znane ludności, gdyż bywa odczytywane na każdym apelu szkolnym przed nauką. Młodzież oczekuje na sali z pochylonymi głowami, gdy jeden z profesorów przynosi zwój na specjalnej tacy od tylnych drzwi przez całą salę, aż do podium czy sceny, gdzie widnieje flaga państwowa. Dyrektor odbiera pismo wśród pokłonów i, po uroczystym rozwinięciu i ponownym głębokim pokłonie, odczytuje dekret odpowiednią modulacją głosu, jak przy śpiewaniu Psalmów w kościele. Po ukończeniu czytania ceremonia powtarza się w odwrotnym porządku i dopiero wtedy wszyscy podnoszą głowy i stają na spoczynku.

Wiemy już, że cesarz Mejdzi przez ten dekret otworzył świat dla Japonii i Japonię dla świata, zmieniając o 180 stopni kierunek polityki i wychowania. Sam dekret, podobnie jak i inne prawa tego rodzaju, jest napisany językiem bardzo trudnym, nawet trudniejszym od literackiego i tak zwanego „kambun”, starojapońskiego. Bez osobnej nauki nawet sami Japończycy go nie rozumieją, mimo że należy do ich kultury. Dla ciekawości załączam dosłowne tłumaczenie, nad którym sam się napociłem z pomocą profesora:

*„O, nasi podwładni, przyjmijcie do wiadomości, że cesarze, nasi poprzednicy, założyli nasze cesarstwo na szerokich i wiecznie trwałych fundamentach oraz utrwalili w nim cnoty mocno i głęboko. Nasi poddani, bądźcie złączeni zawsze w uczciwości i synowskiej czci, okazując swą zacność z pokolenia na pokolenie. To jest głównym rysem i chwałą naszego cesarstwa, w nim bowiem kryje się przede wszystkim źródło naszego wychowania. Wy, nasi podwładni, szanujcie rodziców i kochajcie braci i siostry, a jako mężowie i żony żyjcie w zgodzie, będąc względem siebie szczerymi przyjaciółmi. Bądźcie skromni i umiarkowani, okazujcie wszystkim waszą dobroć, zdobywajcie naukę, uprawiajcie sztukę i rzemiosło, aby rozwinąć wasze umysły i doskonalić wasze cnoty. Prócz tego starajcie się o dobro kraju i rozwijajcie wspólne interesy, poważajcie zawsze konstytucję i zachowujcie prawa. W razie potrzeby złożcie siebie wspaniałomyślnie w ofierze dla kraju, a tak obronicie i zachowacie powodzenie cesarskiego tronu, który jest współczesny niebu i ziemi. Postępując w ten sposób stanięcie się nie tylko naszymi dobrymi i wiernymi poddanymi, ale rozstawicie najlepsze tradycje naszych poprzedników. Oto jest wytknięta droga, którą trzeba kroczyć według wiarogodnych nauk pozostawionych nam przez naszych cesarskich przodków. To wszystko musi być zachowane tak przez następców cesarskich, jako też i ich poddanych bez różnicy, oraz w każdym miejscu i czasie. Razem z wami naszymi poddanymi, pragniemy to zachować w naszej pamięci z wielkim szacunkiem i pewnością przekonania, że wszyscy razem zdobędziemy te wszystkie cnoty.*

*Dnia 30 października, dwudziestego trzeciego roku Ery Mejdzi (1890)  
Gyomei (imię cesarza) Gyodzi - pieczętka”.*

Po przeczytaniu dekretu dyrektor tłumaczy jakiś jeden punkt dostosowany do potrzeb chwili i słuchaczy. Dekret ten ma dla Japończyków tę samą wartość, co dla nas Ewangelia.

## Sadzenie drzewek

Innym zwyczajem japońskim jest upamiętnianie większych wydarzeń sadzeniem drzewek. Jeśli wokół świątyń lub sławnych traktów możemy podziwiać dzisiaj wspaniałe drzewa olbrzymy, to właśnie dzięki temu zwyczajowi. Przy naszej kaplicy, gdzie mieści się piękna grotta z Lourdes, stoją dwa wielkie drzewa kamforowe. Z całą powagą głosimy, że zasadzono je w roku ogłoszenia dekretu. Wszyscy wpadają w podziw, że seminarium ma takie zabytki. Młodzież szkolna i profesorowie podziwiają drzewa wraz z grotą przy każdej okazji. Znaczący drzew zgadają się z tym naszym przypuszczeniem, bo tak stare drzewo kamforowe jest tu rzadkością z powodu częstych tajfunów. Wielkie jubileusze państwowe dają okazję do zalesienia zwłaszcza parków.

W świątyni cesarza Dżimmu już zasadzono 2 600 nowych drzewek, a na pobliskim pagórku zbudowano piękny pomnik, obelisk, który i w stolicy nie zrobiłby wstydu inżynierom. Nazywa się Hakkodai, to znaczy osiem stron świata pod jednym dachem. Na czterech rogach (hakko-iczcziu) stoją statuy przedstawiające najważniejsze zawody: wojownik, rybak, rolnik i pani ogniska domowego. W fundamentach są widoczne kamienie nadesłane z różnych krajów.

W seminarium też pomyślano jakby odpowiednio upamiętnić tę rocznicę. Po przeciwnej stronie podwórza i boiska sportowego stoi nowa kapliczka, zbudowana z kamienia i czerwonej cegły. Gustownie wymalowana w gwiazdy nisza, wokoło niej szeroki trawnik, a na zapleczu las z wysokich modrzewi podszyty bogato karłowatymi drzewkami ozdobnymi. Całość w godny sposób upamiętnia wielki jubileusz. Nisza zostanie wkrótce wypełniona. Z okazji wizyty wojewody, stanie w niej okazała statua Serca Jezusowego.

W uroczystość Wszystkich Świętych, po odprawieniu sumy, oczekujemy z orkiestrą przy bramie na pana wojewodę. Punktualnie o jedenastej ma przybyć zacny gość... Niestety zawiódł, bez uprzedniego powiadomienia. Po japońsku oznacza to dotkliwy policzek! Grzeczność japońską łamię się tylko względem wroga, albo prześladowanego. Coraz wyraźniej spostrzegamy, że jako obcokrajowcy, w obecnych czasach więcej niż kiedykolwiek, jesteśmy solą w oku mimo wszelkich starań lojalności. Im więcej czynimy zabiegów, tym gorzej jesteśmy oceniani. Władzom nie zależy na religii, tylko na polityce. Misjonarz nie powinien politykować. W następną niedzielę urządzamy wewnętrzną uroczystość Chrystusa Króla z poświęceniem statuy i intronizacją Najśw. Serca Jezusowego. Gremialnie stawili się wierni z misji i siostry ze swoimi podopiecznymi z sierocińca i domu starców. Uroczystość zakończyła się akademią przy kapliczce.





## Inspekcja

Jak piorun z jasnego nieba spada na nas bez uprzedniego zawiadomienia urzędowa inspekcja z Ministerstwa Oświaty z Tokio. Zwyczajnie w takich wypadkach pytania są stereotypowe: liczba uczniów, program nauki, rozkład godzin, dyscyplina, źródło utrzymania, obchodzenie świąt narodowych itp. Cel inspekcji jest jasny: popierać czy też skasować misję.

Wyniki można było z góry przewidzieć: słowa używane w religii katolickiej są dwuznaczne, albo zupełnie obce językowi japońskiemu. Tak np. zamiast japońskiego „kami” na oznaczenie Boga, chrześcijaństwo używa słowa Pan Nieba (kami oznacza bohater). Podobnie Posłaniec Boży (anioł) w naszym języku nie ma odpowiednika w języku japońskim. W rezultacie wierzenia obce mogą pozostać i rozwijać się jedynie pod warunkiem dostosowania się do ducha japońskiego.

Inne uwagi odnosiły się do sposobu czczenia rodziny cesarskiej. Fotografie przedstawiającą parę cesarską trzeba usunąć do odpowiedniego miejsca i pokazywać ją tylko przy wyjątkowych okazjach. Niezależnie od tego inspektor, jako człowiek wykształcony, odnosił się z całym uznaniem do naszego dzieła, tak seminarium jako też i domu dla starców wraz z sierocińcem. Na stacji przy pożegnaniu wyraził prywatnie swój podziw, dając jednak wyraźnie do zrozumienia, że jako urzędnik musi postąpić według poleceń z góry, niezbyt dla nas przychylnych.

## Nieustanne święta

Dziesiątego listopada cały kraj rozpoczyna trzy dni uroczystości jubileuszowych z okazji założenia cesarstwa. Przygotowywano je od dłuższego czasu. Miyazaki jako kolebka państwa czuje się zobowiązane zrobić to jak najokazalej. Całe województwo i miasto współzawodniczy. Delegaci z całego kraju (50 tysięcy) udadzą się do Tokio na centralne uroczystości, a z naszego województwa jako uprzywilejowanego pojedzie dwa tysiące osób.

Pierwszego dnia należy obchodzić rocznicę we własnym środowisku. Chociaż wypada niedziela, młodzież zbiera się w szkole, by wspólnie z nauczycielami przeżyć ten dzień. U nas, jak w każdą niedzielę, najpierw nabożeństwo w kaplicy, a potem zbiórka w salonie szkolnym. Program jest bogaty i dobrze przygotowany: podniesienie flagi narodowej przy śpiewie hymnu państwowego z akompaniamentem orkiestry. Krótkie wprowadzenie i odśpiewanie drugiego hymnu, opiewającego 2600 lat cesarstwa. Dalej uroczyste odczytanie dekretu cesarskiego i przemówienie profesorów, a na zakończenie potrójne: „niech żyje” oraz galowy obiad dla wszystkich studentów i profesorów. Po południu idziemy do miasta wystrojonego jak w bajce. Wszędzie rozbrzmiewa muzyka z płyt. Słychać piosenki narodowe, ludowe,

wojskowe. Gęsto wybuchają petardy, a w parkach i świątyniach tłumy ludzi starannie ubranych.

Drugi dzień trzeba poświęcić na uroczystości społeczne: sadzenie drzewek, inauguracje czytelni, otwarcie mostów, odsłonięcie pomników itd. W mieście otwarto nowy park. W seminarium urządzamy doroczne zawody sportowe, zapraszając na nie chłopców ze szkoły rolniczej księdza Antoniego. Dla młodych sport to najmiłsza impreza.

Trzeci dzień uroczystości odłożono na 25 listopada. Będzie to punkt kulminacyjny dla Miyazaki w obecności księcia Takamatsu, brata Cesarza.

Nam nie brakuje innych urozmaiceń. Od czasu do czasu wychodzą na jaw nowe posunięcia wrogie naszym dziełom, np. niedosyłanie okólników przeznaczonych dla wszystkich zatwierdzonych szkół, do których przecież należymy. Nie wiadomo, co jest tego powodem: zazdrość czy wrogość. Województwo sugeruje, że to wina zarządu miejskiego. Miasto wini o to województwo.

## Praca na roli

Coraz to nowe roczniki powołuje się pod broń. Zaczyna brakować rąk do pracy zwłaszcza na roli. Szkoły otrzymują polecenie wprowadzenia obowiązkowych godzin i dni pracy, określonej jako pomoc przy sadzeniu ryżu i podczas zbiorów. Mimo to dużo pól ryżowych leży odłogiem. Nasza szkoła jest prywatna, reguluje tę pracę w inny sposób. Oprócz doraźnej pomocy dla rodzin wielodzietnych bez ojca w domu, wydzierżawiamy pole w różnych miejscach, aby zapewnić wyżywienie naszym chłopcom. Nawet miasto odstąpiło nam niewielkie tereny w centrum, z których trzeba usuwać gruzy. Aby nie rozbijać rozkładu dnia i nauki, każda klasa pracuje trzy razy w tygodniu po dwie godziny po południu. Praktycznie dwie klasy codziennie zgłaszają się do pracy. Wszystko odbywa się uroczyście. Jest chorągiew-sztandar, jest piosenka pracy, no i odpowiedni mundur. Ten właśnie jest bardzo oryginalny: drelichowa koszula, drelichowe portki, a na nie owijacze, ale bez butów, na bosaka dla oszczędności. Wszystkie godziny pracy liczy się jako naukę. Nasze seminarium góruje więc nauką nad wszystkimi, bo pracuje wiele.

Uroczyście wychodzimy do kopania ziemniaków w centrum miasta. Na przedzie kroczy chorągiew ze sztandarem pracy, a za nim dwójkami cały oddział na bosaka, śpiewając zamasyście. Wszyscy budzą podziw sprężystym krokiem mimo, że nie wybijają taktu butami. Nasi chłopcy są weseli i usłużni, toteż w całym mieście są lubiani. W tym roku, Bogu dzięki, mamy wielki urodzaj na ziemniaki. Z niewielkiego terenu zebraliśmy 48 worków, dwie i pół tony ziemniaków. Biedne dzieci z miasta, widząc te dary Boże, garną się do nas z niemą prośbą w oczach. Nie doznają zawodu, bo seminarzyści lubią wszystkich. Każdemu z nich dostaje się trzy ziemniaki. Naszym profesorom odsyłamy po worku, a pięknych dwanaście ziemniaków spod jednego krzaka, dobrze wymytych i zapakowanych, odsyłamy do województwa: murowana nagroda za najlepszą uprawę. Nawet wyższa szkoła rolnicza nie może się pochwalić taką wydajnością z ara.

W tym roku nie będziemy potrzebowali kupować ziemniaków. Województwo przyznało pierwszą nagrodę i zaprasza całą szkołę w komplecie na przy-

jęcie księcia Takamatsu, które odbędzie się na wielkim boisku sportowym. To oznacza również, że władze puściły w niepamięć dawne zastrzeżenia, przywracając nas do łaski. Na tym nie koniec. Na oficjalną ceremonię otrzymuje zaproszenie dyrektor i dziesięciu studentów, idzie więc czwarta klasa. Na odsłonięcie pomnika i następny dzień przyjęcia - cała szkoła. Jest to wielki zaszczyt, bo niektóre szkoły otrzymały miejsce tylko obok drogi, jak w czasie procesji Dżimmu. W przeddzień uroczystości na stację wyległy ogromne tłumy, aby przywitać księcia. Na drugi dzień rozpoczyna się uroczystość o dziewiątej w parku przed świątynią. Przemówienia trwają aż do południa. Najpierw występuje nasz wojewoda, po nim wojewodowie z Kyushu, kilku ministrów z Tokio i wreszcie sam książę odczytuje pismo Cesarza. Wszystko zostało naprzód precyzyjnie przewidziane. Wszystkim zaproszonym obiad funduje województwo. Otrzymują oni japońskim zwyczajem pudełka z drzewa, a w nich danie luksusowe jak na czas wojny.

Po sutym obiedzie udają się wszyscy na plac przed pomnikiem: dostojni goście autobusami, a pospólstwo pieszo, około pół godziny. Przy zejściu z pagórka zaproszeni otrzymują pięknie wykonane kolorowe latarnie i, zapalivszy je, idą w pochodzie aż nad rzekę, gdzie znajduje się najlepszy hotel miasta Miyazaki, chwilowa siedziba księcia. Tam każda szkoła wiwatuje na cześć dostojnego gościa i powraca z pamiątkowymi lampionami. Nasza orkiestra popisała się kilkoma marszami i piosenkami. Świetnie to wypadło. Sam książę się tym zainteresował. To okryło chwałą naszych chłopaków i napełniło radością. Na drugi dzień na boisku sportowym sam wojewoda przedstawia księciu naszych seminarzystów, chwając ich publicznie, że są najlepszą szkołą pod względem wyników nauczania i pracy dla kraju, chociaż wychowani przez obcokrajowców. Książę uprzejmie interesował się jacy to misjonarze, katolicy czy protestanci. Wielu nam potem gratulowało tej łaskawości księcia. Pod koniec miesiąca otrzymujemy zawiadomienie z województwa, że od Nowego Roku przyznano nam specjalną zapomogę na utrzymanie seminarzystów w postaci kartek na żywność dla każdego chłopca. Przydają się bardzo, bo chłopcy młodzi, uczą się i pracują intensywnie, więc muszą się dobrze odżywiać.

## Niszimura

Wszyscy czują się zdrowi, tylko kolega Niszimura wciąż niedomaga. Wojna zniszczyła jego dawną żywotność. On, który z łatwością znosił wielogodzinne wykłady, teraz po dwóch lekcjach pluje krwią i musi wypoczywać. A matematyk z niego zawołany, uczniowie korzystają bardzo dużo. Ostatnio dla niższych klas przychodzi nawet profesor z miasta, ale z wykładów dla klas wyższych, Niszimura nie rezygnuje, pragnąc mimo wszystko przygotować swoich studentów do egzaminów na uniwersytet jak najlepiej. Na froncie nie był długo, ale przeszedł ciężkie chwile. Służył w lekkiej artylerii. Trzeba było podczas śniegu i mrozu wynosić armaty częściami na pagórki i stamtąd pilnować pozycji. Jako katolik, był nie lubiany przez oficerów.

Nie ukrywał swego wyznania, mimo że zarzucano mu słabość, ba katolicy uczą kochać wroga i przebaczać, a to przecież jest przeciwne duchowi japońskiemu: nieprzyjaciela trzeba zawsze nienawidzić. W przyjaznych dys-

kusjach z oficerem, jako dobry filozof, dawał sobie doskonale radę, ale rozmówca im bardziej czuł się pokonany, tym więcej nastawał. Koledzy natomiast bardzo lubili Niszimurę za szczerość i rzetelność. Ale wojna jest wojną. Wszyscy mniej wykształceni i nawet mniej gorliwi zdobywali po każdej bitwie nowe stopnie i ordery, a on, profesor znający świetnie kilka obcych języków, pozostawał „wiecznym szeregowym”. Pewnego razu oficer, zapalony dyskusją, wyraził się zdenerwowany: — Jeśli nam pokażesz twoją miłość do nieprzyjaciela, to ci uwierzmy i damy spokój... Nie trzeba było czekać długo. Regiment topniał na oczach i potrzebował stałych zasiłków, bo natarcia nieprzyjaciela się potęgowały. Przy jednym z morderczych natarć udało im się zapalić wielki czołg nieprzyjacielski. Żołnierze spoglądali z zimną krwią na wyskakujących z wewnątrz poparzonych czołgistów. Jeden z nich, bardzo cierpiący, rzucił się na ziemię z bolesnym krzykiem: piiii-ć! Japończycy stali bez ruchu. Wtedy Niszimura podskoczył, usadowił wygodniej żołnierza i, wyjmując swoją manierkę, przystawił ją do jego ust. Ranny pił zachłannie. Koledzy oniemieli, a najbardziej oficer. Od tego czasu ani oficer, ani też nikt inny nie uczynił Jasiowi najmniejszej przykrości. Szanowali go, choć z widocznym chłodem, a on został nadal „wiecznym szeregowym”. Niedługo potem w zażartym starciu Niszimura został ciężko ranny, utracił cały prawy policzek. Na szczęście wycofano linię obrony i odesłano go samolotem do szpitala polowego. Tam przebywał dwa tygodnie, a potem został odesłany w głąb kraju na leczenie. Teraz dowiedział się, że z całego regimentu pozostało przy życiu tylko dwóch. Wszyscy inni wyginęli.

## **Zmiana na stanowiskach hierarchii kościelnej**

Na żądanie władz zachodzi poważna zmiana w hierarchii: wszyscy biskupi zagraniczni ustępują ze swoich stanowisk, a ich miejsce zajmują Japończycy. Dobrze, że Kościół w Japonii był dobrze przygotowany do tej zmiany warty. Mons. Cimatti jako Delegat Apostolski na dwa województwa Oita i Miyazaki również ustępuje, składając ochotnie ten ciężar na młodsze ramiona. W domu jesteśmy bardzo zadowoleni, bo jest nadal dyrektorem domu i szkoły, więc będzie mógł więcej z nami przebywać. Jest to człowiek wyjątkowy. Mówią, że był już słynny i kochany, jako dyrektor liceum turyńskiego w swojej ojczyźnie Italii. Ale tu dla całej misji, a w szczególności dla seminarium jest wszystkim. Każdemu ufa, każdego szanuje, dla każdego ma dobre słowo, wszystko rozumie, pociesza, pomaga. Jako mały chłopiec poznał księdza Bosko i od tego czasu stara się go naśladować we wszystkim. Studenci mają do niego pełne zaufanie niczym do ojca lub matki, bo tę rolę pełni rzeczywiście.

Misjonarze z Tokio i na Kyushu zazdroszczą nam wspólnego z nim przebywania. Pierwszy na modlitwie, w szkole, przy pracy, na boisku. Umie każdego zadowolić, szepnąć kilka dobrych słów do ucha, poklepać po ramieniu, zachęcić do gorliwości, zwłaszcza w wypełnieniu swoich codziennych obowiązków. To więcej niż przełożony, on ma w sobie coś z Ojca, który jest w niebie. Nie potrzebuje rozkazywać. Wystarczy, gdy wyrazi swoje życzenie. Przemawia w imię Boga, rozumu i serca. Gdy ks. Bosko chciał mieć dziesięciu zapaleńców Bożych, oddanych mu całym sercem, na pewno o takich myślał,

by z nimi nawracać cały świat. Istnieje przekonanie, że mons. Cimatti nigdy nikomu nie rozkazał, nawet jako przełożony misji i inspektor salezjański. „Mój drogi, czy nie mógłbyś zrobić mi tej przyjemności... jak uważasz... dużo dobrego mógłbyś zrobić, udając się do Miyazaki... czy nie czujesz się tam powołany? - pomyśl nad tym, pomódl się i daj mi odpowiedź”. Nie wyobrażam sobie, że można by mu odmówić. Ale nawet i w takim przypadku, on szukałby razem woli Bożej z pozycji tego, kto mu odmówił. Zamiast rozwodzić się dużo nad nim, lepiej jest po prostu powiedzieć słowami Zagłoby: „oby się tacy na kamieniu rodzili”, z takimi ludźmi-mistrzami, praca, modlitwa, nauka, posłuszeństwo i praktykowanie ubóstwa sprawiają przyjemność niczym zjedzenie kromki chleba z masłem. Nie dziwię się, że spotkałem takie indywidualności, jak brat Grzegorz, Maki, Niszimura i inni. To on ich wszystkich urzekł i ukształtował.

## **Boże Narodzenie i Nowy Rok**

Nasze uroczystości kościelne przeżywamy z równą gorliwością jak w Tokio. Najpierw święto Niepokalanej z nowenną, nabożeństwem, akademią i teatrem. Podobnie Boże Narodzenie. Pogoda piękna, ciepło. 22 grudnia uroczystość dnia pracy, więc nasi jako zwycięzcy konkursu mają specjalne zaproszenie. Wykopki słodkich ziemniaków zadowolili ambicje hodowców, jedna tona z małego kawałka. Pojedyncze okazy dochodziły do kilograma wagi. Z kapelą na czele, sztandarem i śpiewem na ustach wyrusza drużyna w swoich roboczych uniformach na miejsce zbiórki dla wszystkich szkół. Po zwyczajnych już przemówieniach, zachęcających do gorliwej działalności dla kraju, nasi chłopcy dają dwugodzinny pokaz wzorowej pracy na roli wobec całego zgromadzenia: uprawa gruntu i sianie pszenicy, wszystko ręcznie przy pomocy japońskich motyk. Chłopcy zwijają się aż miło. Są opanowani mimo tak wielkiej widowni.

W wigilię Bożego Narodzenia wszystkie orkiestry szkolne z województwa zbierają się w sali miejskiej na popisy. Ze znanych już powodów ludność czeka na seminarzystów. Mimo wielkiej sympatii widzów, klasyfikacja zawiodła. Nie uzyskaliśmy nawet trzeciej nagrody. Niektórzy mówią, że to jawna niesprawiedliwość, ale dla nas to dobra nauka.

W dzień Bożego Narodzenia udajemy się z orkiestrą do misji, grając marsze po drodze. Na Szczepana mamy gości: trzydziestu profesorów, przedstawicieli szkół państwowych. Interesują się wszystkim podobnie jak inspektor z ministerstwa, ale nie wyrażają żadnych uwag.

Nowy Rok na równi z Bożym Narodzeniem obchodzimy bardzo uroczysto. Który z chłopców ma krewnych w okolicy, udaje się do nich w odwiedziny na kilka dni. Ciepło. Idziemy na dłuższe wycieczki z prowiantem w zwiniaćkach. Zwiedzamy zwłaszcza świątynie, bo pięknie ustrojone a i ludzi w nich sporo. Z dala od wielkich miast, większość mieszkańców obchodzi raczej początek roku według starego kalendarza, więc w pierwszych dniach lutego.

W sam Nowy Rok wybieramy się pociągiem do katolickiej wioski Tano, odległej od Miyazaki około 15 km. Jak można łatwo się domyśleć, jest to wioska przesiedleńców z Nagasaki podczas ostatnich prześladowań chrześcijan.

Zabieramy ze sobą nawet instrumenty muzyczne i kostiumy teatralne. Od stacji do Tano jest jeszcze dobre cztery kilometry, które przebywamy pieszo. Wierni, wcześniej uprzedzeni, oczekują zebrani wokół kościoła. Wioska liczy dwieście dusz. Kościółek niewielki, ale dobrze utrzymany, wypełnia się teraz po brzegi. W prezbiterium gromadzą się dzieci. Śpiewamy i modlimy się razem. Wszyscy też przystępują do Stołu Pańskiego. Po nabożeństwie zaможniejsze rodziny zabierają ze sobą po dwóch seminarzystów na śniadanie i obiad. Po południu rozpoczynamy w zatłoczonej salce koncert przeplatany recytacjami i teatrem.

Jasełka są tutaj oczywiście nieznanne. Jeśli Bóg pozwoli zatrzymać mi się dłużej w Japonii, to zabiorę się do odtworzenia jasełek z pamięci. Widziałem je przecież i grałem na scenie tyle razy! W seminarium można by nawet urządzić Misterium Męki Pańskiej, zapewne z wielkim pożytkiem, a artystów i muzyków nam nie brak! Najważniejsze jednak libretto i nuty, a to już trudna sprawa.

Obdarowani obficie ciastkami z ryżu powracamy. Kilku słabszych wsiada do pociągu z prowiantem, a większość z instrumentami w ręku rusza piechotą. Zatrzymujemy się przy napotykanym wioskach, by zagrać coś wesołego, ale rolnicy są w pracy i tylko dzieci nam towarzyszą. Wioski trzymają się starego kalendarza jak i rybacy. Dowiadując się, kim jesteśmy, podziwiają chłopaków, o których naczytali się w gazetach w sprawozdaniu z ostatnich uroczystości w Miyazaki. Przechodzimy polnymi drogami, mocno skracając odległość. Na przejazd pociągiem trzeba mieć zaświadczenie z policji na wykupienie biletu. Wolni od tego są robotnicy fabryk, dzieci szkolne i profesoria. Naszą wyprawę do Tano zgłosiliśmy jako szkolną wycieczkę krajoznawczą.

## Codienne sprawy

Po Trzech Królach zaczynamy ostatni kwartał nauki. Obecnie mam tylko kilku chłopców do powtórki, słabych z łaciny i naszego pisma rzymskiego. Od kwietnia przewiduje się regularną naukę łaciny w niższych klasach. Tymczasem pełnię asystencję przy pracy, zabawie, na przechadzkach, w studium, w jadalni oraz przy różnych zajęciach związanych z porządkiem domowym. Sam korzystam z dalszej nauki języka japońskiego na poziomie pierwszej gimnazjalnej. Chłopcy po każdej lekcji garną się chętnie, aby mi wytłumaczyć i dopomóc, gdy czegoś jeszcze nie rozumiem. W połowie miesiąca witamy uroczyście nowego Administratora naszej diecezji, monsignora I.

Dopiero pod koniec stycznia oziębia się mocno. Północne silne wiatry z gór są mroźne i przenikają do szpiku kości. Ogrzewania nie ma w ogóle, więc tylko ruch i praca chronią od skostnienia. Rolnicy korzystają z tego wiatru, susząc na nim drobno posiekane buraki jadalne. Rozkładają w tym celu maty bambusowe w taki sposób, by wszędzie dochodził przewiew i rozsiewają na nich buraczaną krajankę. Palą przy tym ogień dla rozgrzania rąk, bo wiatry są naprawdę dokuczliwe. Nigdy jeszcze nie odczuwałem tak mocno zimna jak obecnie.

Piątego lutego obchodzimy szczególnie uroczyście święto 26 męczenników japońskich, jako patronów seminarium i kaplicy. Udział biorą również

nasi profesorowie katolicy. Wieczorek muzyczno-teatralny uświetnia imprezę. W połowie lutego już sadzimy ziemniaki, śliwki kwitną, pękają pączki wisien. Idzie wiosna.

## Gdy się stykają dwie tradycje

Otrzymujemy z kolegą zaproszenie do Miyakonojo ma pogrzeb katolicki. Trzeba śpiewać w domu i w kościele. Kolega Włoch już kończy swą praktykę pedagogiczną, zwaną asystencją, i od kwietnia uda się na teologię, a ja mam zająć jego miejsce. Odkrywa mi wszystkie tajemnice domu, udzielając szczegółowych informacji o chłopcach. Przyjechał po nas jeden z wiernych, prawa ręka misjonarza. Trzeba przebyć około 50 km autobusem.

Autobus jest przepełniony i rzadko kto rozmawia. Nasz gorliwy przewodnik korzystając z ciszy, zaczyna mi głosić kazanie podniesionym głosem mniej więcej w ten sposób: My Japończycy jesteśmy jeszcze bardzo zacofani. Wierzymy w stare bajki i opowiadania dla dzieci, gdy tymczasem misjonarze przyjeżdżają z daleka, by nas pouczyć o prawdziwym Bogu. To już nie bajki ani amulety, ale Pismo Święte dane ludziom przez Boga. Takie to wszystko proste i łatwe do zrozumienia, bo przeznaczone dla ludzi, ale zarazem wzniosłe i porywające, gdyż mówi o celu człowieka na ziemi, o drodze do tego celu, o tym, czego Bóg oczekuje od człowieka, aby go zrobić naprawdę szczęśliwym teraz i po śmierci. Szkoda, że tak wielu o tym nie wie. Ale my Japończycy mamy też głowę na karku, i potrafimy przyjąć tę wiarę i dotrzymać jej wierności jak to już zrobili nasi przodkowie w czasie prześladowań, kiedy to wybrali raczej śmierć niżeli odstępstwo. To naprawdę byli bohaterzy nie tak jak ci, co dzisiaj myślą o tym, by się tylko najeść i użyć sobie nawet wbrew wszystkim prawom Bożym.

Więcej niżeli godzinę tak głośno monologował, a pasażerowie słuchali z wielkim zainteresowaniem. Kilku nawet włączyło się do rozmowy, okazując swoje zainteresowanie problemami wiary chrześcijańskiej. Przekonałem się, że lud prosty ma zawsze serce wolne i otwarte na sprawy Boże i czeka na światło, które może przyjść tylko przez Chrystusa. Podróż była przyjemna i pożyteczna. Bardziej zainteresowanym daliśmy adresy najbliższych misji.

Miasteczko Miyakonojo (Mijakonodzio), jedno z największych po Miyazaki, jest położone w dolinie u stóp wulkanu Kiriszima (1574 m) w kierunku południowym. Całe podgórze to gaj słynnych klonów, które w okresie jesieni zabarwiają całą wyżynę na czerwono. Gorące źródła i bagniska stale wrzące tryskają siarką i parą - wulkan jeszcze nie śpi. Ludność około 60 tys. to po większej części rolnicy i rzemieślnicy. Idziemy do domu nauczycielki, która osobiście ochrzciła ojca na łożu śmierci. Wchodzimy witani przez krewnych, zostawiając obuwie przy wejściu. Szeroki pokój, z którego usunięto przegrody, tonie w bieli, a przy ołtarzyku domowym leżą zwłoki ubrane w białe kimono z pantoflami ze słomy na nogach.

W obecności zmarłego zaczyna się najpierw gościna, po naszymu chyba „stypa” w całym tego słowa znaczeniu. Oprócz nauczycielki cała rodzina to jeszcze poganie, więc robią pogrzeb według ich zwyczaju. Goszczą herbatką, potem nadziewanymi pączkami, jakich jeszcze nie jadłem. Siedzę odwrócony plecami do nieboszczyka, który leży tuż... tuż za mną. Twarz ma za-

krytą chusteczką. Leży nie w trumnie, ale na poduszkach, jakby jeszcze spał. Zmuszam się, by coś przełknąć. Pączki są nawet niezłe, ale w takim towarzystwie... dziękuję... Inni tymczasem jakby nigdy nic opowiadają sobie o życiu i o cudach zmarłego, o ostatniej chorobie, jedząc i popijając podgrzaną wódkę z ryżu z całym spokojem.

Nareszcie i to się skończyło, więc teraz kolejka na nas. Misjonarz wdziewa szaty liturgiczne, my komże i zaczynamy: „Liberate me” w tonie gregoriańskim. „Wybaw nas, o Panie, od śmierci wiecznej”. Dobraliśmy się trochę z głosami, dwa tenory i bas, złane w jedno, tworzą potężny baryton, a gdy krzyknęliśmy: Dum veneris... gdy przyjedziesz sędzić świat przez ogień... zdało się, że wszyscy zrozumieli łacinę, bo zaczęli się oglądać po ścianach z papieru, które drżały. Po pokropieniu i okadzeniu odmówiliśmy końcowe modlitwy i ostatnie: In paradysum, „Niech cię aniołowie odprowadzą do nieba”...

Normalnie przy zmarłym trwają zawołania krewnych. Tutaj wszyscy więcej zainteresowali się śpiewem i szatami niżeli zmarłym. Stoją cichutko i podziwiają ceremonie, pierwszy raz w życiu oglądane. Ponieważ zamówionej trumny jeszcze nie widać, odśpiewujemy „Wilie” i odmawiamy różaniec po japońsku. Na dźwięk japońskiego rodzina się rozchodzi, bo tajemnicze modlitwy już się skończyły. My również wychodzimy przed dom. Nareszcie oczekiwany stolarz przynosi beczkę, świeżo wystruganą, taką jakiej w moim domu rodzinnym używało się do kiszenia kapusty. Mówią, że to trumna. Krewni weszli do domu i niedługo wynieśli beczkę zabita denkiem. Przywiązali ją do dwóch żerdzi bambusowych i, wzięwszy we czwórkę na ramiona, ruszyli za nami w stronę cmentarza. Kilku wiernych przyłączyło się do nas w czasie drogi, więc śpiewaliśmy razem żałobne pieśni na przemian z odmawianiem różańca. Przodem szedł chłopak z białą płachtą na tyczce z wypisanym nowym imieniem zmarłego. Obok niego dwoje dzieci z tyczkami zielonego bambusu razem z gałązkami i liśćmi. Wreszcie kroczyłem ja z krzyżem procesjonalnym, potem kler, trumna i lud.

Po przybyciu na miejsce, ks. misjonarz poświęcił grób, okrągły dół, a resztę obrzędów zostawiliśmy - znowu miejscowym zwyczajom. Najpierw wysłano dół zielonymi gałązkami z bambusu i spuszczano beczkę w pozycji pionowej. Zaśpiewaliśmy: „Witaj Królowo”, a oni zaczęli przysypywać grób rękami ze wszystkich stron. Trzy tyczki bambusu liściastego wsunięto obok trumny tak, że po zasypaniu grobu wystawały z niego niczym żywe rośliny, kołysząc się na wietrze. Na środku postawiono krzyż z napisem. To nowość dla wszystkich, ale dobrze przyjęta. Poprosiłem mojego przewodnika o pewne wyjaśnienia. Otóż kto przychodzi na grób i dotyka się bambusów, to przez nie dotyka się zmarłego. Byłem też ciekaw w jaki sposób złożono zmarłego do beczki? Otóż chociaż ciało sztywnieje, zgina się przemocą nogi w kolanach i w biodrze tak, że wkłada się zmarłego w pozycji siedzącej, jaką często zajmował za życia. W przypadku większych trudności pomaga lancet chirurgiczny. Do domu wróciliśmy już sami.

## Na wychowawczym posterunku

W marcu kończy się rok szkolny. Często odwiedzają nas goście z innych szkół. Dyrekcje te starają się zapoznać swoich uczniów ze sposobem bycia,



nauki i pracy naszych seminarzystów. Tak głośno było o nich w gazetach. Mamy okazję apostołować czynem i przykładem w duchu ks. Bosko. Na zakończenie roku szkolnego gościmy jednego z ojców franciszkanów z Nagasaki. Dwaj starsi koledzy wyjeżdżają do Tokio na studia teologiczne i pozostają sam jako asystent chłopców, więc muszę wziąć się do roboty. Tymczasem serdecznie żegnamy wyjeżdżających. Niszimura był bardzo wymagający, a mimo to seminarzyści ogromnie się do niego przywiązali. Nie pozostają jednak samotny. Ostatniego marca przybył z Tokio do pomocy kolega Japończyk, dużo starszy ode mnie. We dwójkę będzie nam różniej i łatwiej, jest miły i uprzejmy, jak wszyscy.

Pięciu seminarzystów z ostatniej klasy jedzie do nowicjatu. Wielu im zazdrości. Poczujęm brzemień odpowiedzialności. Rozglądam się po domu i szkole innymi oczami. Przerwałem nawet tak bardzo pożyteczne lekcje japońskiego. Przyszedł czas, by dawać innym. Na początek mam wykładać łacinę w dwóch klasach dla początkujących. Mam też funkcję opiekuna grup pracujących codziennie na roli. Po lekcjach asystuję w studium najmłodszych chłopaków - największych urwisów. Jest to pierwsza, gimnazjalna plus trójka z powszechnej, razem 24. W studium uważają mnie wszyscy niemal za doktora wszech nauk w dziedzinie medycyny, historii, języka i Bóg wie jeszcze jakich dyscyplin. Trzeba poprawiać, pouczać, oświecać, tłumaczyć. W trudniejszych sprawach odsyłam moich podopiecznych do starszych kolegów, ale i najlepsi są często bezradni. Na szczęście otrzymuję duży słownik znaków japońskich i to mnie ratuje w tarapatkach. Daję im do ręki tego „cudownego profesora”, który wie wszystko i on pogłębia ich wiedzę i ratuje mój honor.

W pierwszych tygodniach miałem więc trochę kłopotu z malcami, ale potem jakoś się ułożyło. Okolicznościowe imprezy wnoszą odprężenie w codziennym toku zajęć. Akademia ku czci Maryi Wspomożycielki wypadła zadowalająco. Przełożony nawet pochwalił nasze występy.

Z łaciną idzie na początku jak z kamienia, w Europie przecież mamy dwadzieścia kilka liter i na tym koniec. A tu trzeba operować 49 zgłoskami z dodaniem twardych i miękkich. To wielki problem. Na samo poprawianie zadań z łaciny z dwóch klas nie starcza wieczorem czasu. Przygotowanie inscenizacji, dialogów i przedstawień odbywa się również późnym wieczorem. W ten sposób noce robią się za krótkie.

Mamy też moc pracy na roli: do uprawy jest osiem „tan” ziemi (tan = 992 m<sup>2</sup>). Wszystko robi się motykami jak w ogrodzie. Wilgoć i ciepło sprzyjają vegetacji jarzyn i zboża, ale trawska też rosną w oczach. Przynajmniej raz w tygodniu trzeba wyplewić chwasty, bo inaczej zaduszą wszystko. W razie potrzeby pracujemy i trzy dni bez przerwy od rana do wieczora, bo warunki pogarszają się coraz bardziej, w mieście bez kartek nie kupi się niczego chociażby były pieniądze. Zmniejszono porcję ryżu na osobę, o ziemniakach już nawet mowy nie ma.

Piątego i szóstego czerwca obchodzimy stulecie święceń ks. Bosko (5 czerwca 1841 r.). Zjechali się na uroczystość najbliżsi misjonarze. Słuchamy chętnie opowiadań o pracy misyjnej. Wymiana doświadczeń wykazuje, że spotykają się z trudnościami, np. ze strony policji, która na każdej stacji, gdzie misjonarz wsiada lub wysiada, przeprowadza wywiad: skąd, dokąd, w jakim celu, do kogo, po co, narodowość, czas powrotu itd. Nie można

podawać imion i adresów wiernych, bo później są szykanowani za kontakty z obcokrajowcami itd. Ogranicza się także swobodę w oddalaniu się z placówek. Misjonarze mogą ją opuszczać w najważniejszych potrzebach np. pogrzebów.

W dniu rocznicy asystujemy przy poświęceniu kamienia węgielnego w dwóch miejscach, gdzie powstają dzieła księdza Antoniego, nowy klasztor sióstr i szkoła rolnicza. Jego sny zaczynają się spełniać.

Od piętnastu lat musimy obowiązkowo stawać przed komisją poborową. Nasi wracają w komplecie uznani za zdolnych do służby wojskowej. W perspektywie więc front chiński, a to nam nie bardzo się uśmiecha. Dwudziestego kończymy egzaminy i w trzy dni później odjazd chłopaków na wakacje. Mimo wielkich trudności z wyżywieniem, część pozostaje w seminarium, a dotyczy to głównie starszych. Malcy potrzebują jeszcze ciepła matczynego. Pod koniec lipca odbywają się rekolekcje dla misjonarzy, którzy zjeżdżają się z całego Kyushu, więc z Oita, Nakatsu, Beppu, Nobeoka, Tano, Miyakonojo itd. Przygotowania i obsługa należą do mnie, bo domownicy również są rekolektantami. Chłopcy pomagają chętnie. Po zakończeniu rekolekcji jesteśmy zaskoczeni przedziwną decyzją władz; policja odmawia zezwolenia na powrót misjonarzy do ich placówek, nakazując im zatrzymać się na stałe w seminarium. Co się stało? Dopiero po kilkudniowych staraniach przyjezdni otrzymują zezwolenie opuszczenia Miyazaki, ale pojedynczo. Są to jakby pierwsze znaki przed burzą.

W czasie wakacji mamy sposobność poznać bliżej starszych seminarzystów: budzą naprawdę wielkie nadzieje na przyszłość. Pracowici, weseli, serdeczni, pobożni. Jest sześciu Koreańczyków i jeden z dalekiego południa, aż z wyspy Saipan na Mariannach. Ma na imię Wicek i bardzo różni się od innych. Otwarty i szczery, jak dziecko, chociaż ma już swoich czternaście lat. Pracowity i pobożny, ale niestety mimo wielkich wysiłków, w nauce nie robi zupełnie postępów zwłaszcza z łaciny i matematyki. Profesorowie starają się wszelkimi sposobami ratować go, ale na próżno. W czasie wakacji to chłopak niezastąpiony. Można mu śmiało powierzyć jakiegokolwiek zadanie, a on je wypełni dokładnie. Lubiany przez kolegów, towarzyski, każdego by ozłocił i wyręczył. W wolnych chwilach spędza czas w kaplicy, gdzie tkwi zapatrzony w tabernakulum albo w statuę Najśw. Panny. Ma wielką ochotę zostać salezjaninem, ale został on tu wysłany przez kapucynów z obowiązkiem powrotu na rodzinną wyspę jako ksiądz kapucyn.

Nasze seminarium tym się charakteryzuje, że wychowują się tu do kapłaństwa wszyscy, tak dla diecezji, jak dla salezjanów i innych. Wszyscy są bardzo zżyci ze sobą. Dlaczego tak jest? Mons. Cimatti jest tak samo przełożonym diecezjalnym jak i zakonnym, więc wszystkich wychowuje dla siebie. Chłopcy są zupełnie wolni i mogą wybierać swobodnie. Ważne jest, by żyli od początku swoim powołaniem.



## Walka o byt

Nie wychodzimy już więcej na przechadzki dalej poza miasto, nawet na najbliższą plażę. Na urwistym brzegu morza jest mnóstwo rybaków, którzy wybierają z piasku żelazo. Oni to nazywają „mąką żelazną”, którą zbierają w wielkiej ilości. Dawniej z takiego żelaza kuto najlepsze miecze japońskie. Biedni ludzie nieźle zarabiają przy tej pracy. W Japonii nie wyrzuca się odpadków, wszystko jest wykorzystane.

Na zakończenie wakacji wybieramy się autobusem, (za pozwoleniem policji) wzdłuż słynnego brzegu morza. Droga wije się na skalnym brzegu, z którego roztacza się przepiękny widok na błękitną taflę morza, przybraną białymi grzywami fal. Roślinność prawie podzwrotnikowa obejmuje zbocza zwrócone ku słońcu. Powiew od morza rozpiera płuca słonym powietrzem. Przejeżdżamy obok wysepki, królestwa małp. Przy szosie stoi ich kilka na czatach, są łase na owoce i słodycze, podawane przez pasażerów. W mgnieniu oka rzucają się na łup. Biada słabszym, bo mocne odpychają je bez miłosierdzia. To się nazywa walka o byt spotykana jakże często między ludźmi!

Z kraju korespondencja się urwała. Listów też nie można wysłać. Ostatnie wiadomości od rodziny pochodzą z listopada ubiegłego roku.

W połowie sierpnia chłopcy zaczynają powracać z wakacji, przede wszystkim moi malcy. Na ostatnich egzaminach z łaciny nie bardzo się spisali, więc ją teraz przygotowują codziennie pod moją opieką. Nie mam wprawdzie na to wielkiej ochoty ani sił, bo zajęcia w czasie wakacji „dały mi w kość”. Przełożeni są zadowoleni, ale ja gonię resztkami sił. Straciłem apetyt, kręci mi się w oczach. Z misji tymczasem przychodzi nam do pomocy inny kolega. On zajmie się powtórką łaciny z chłopcami, a ja kilka dni wypocznę. Już od dzisiaj idę przed wieczorem na spoczynek. Kolega przyniósł mi kolację i poczęstował dojrzałą figą z czerwonym miąższem widocznym na skutek pęknięcia. W nocy przyszła wysoka gorączka, czterdzieści z kreskami. Rano lekarz orzekł grypę znaną w tej okolicy, przychodzącą w letniej porze w czasie największych upałów. Taka grypa to nic dobrego, bo upały nie pozwalają na prędkie powrót do sił; najmniej dwa tygodnie w łóżku. Przewidział dobrze. Razem z gorączką opanowała mnie słabość nie do opisania. Nie mogę podnieść ręki o własnej sile i widzę podwójnie. Noce spędzam bezsenne, pocąc się niemiłosiernie.

Chłopcy przygotowują się do rozpoczęcia roku szkolnego trzydniowymi rekolekcjami. Czasem któryś z malców zajrzy, ale nie zatrzymuje się długo. Tylko dwaj okazują mi więcej przywiązania. W połowie września stawiam pierwsze kroki. Wiatr mógłby mnie przewrócić. Podwójne obrazy zaczynają się powoli zlewać w jedno. Po dwudziestym września wracam do studium. Do pomocy mam jednego chłopca z ostatniego rocznika. Jest to Koreańczyk.

Dobrze mi z nim, bo w razie potrzeby mogę odejść, pozostawiając grupę pod jego opieką. A powodów ku temu jest wiele.

## Tajfun

Październik przynosi nam straszną niespodziankę: tajfun! Już ich kilka przeleciało bokiem, ale tym razem widać, że ma zamiar złożyć nam solidną wizytę. Już od ostatniego września morze huczało przez całą noc, a dzisiaj wiatr hula przeraźliwie wśród drzew i osiedli. Wzmacniamy okna, zasuwamy deski ochronne na piętrze. Na parterze drzwi i okna podpieramy kołkami. Okna w Japonii z powodu częstych zmian klimatycznych (wilgoć i susza) nie otwierają się na zawiasach, ale są zasuwane.

Mimo naszych zabiegów niektóre okna wyginają się, a szyby nie wytrzymują. Zasłaniamy więc je czym można: odwróconą tablicą, stołami, a w najgorszym razie łózkami. Nie ma czasu na zastanawianie się, bo deszcz siecze niemiłosiernie. Gdy wichur dostanie się do wewnątrz, z łatwością wybije przesuwaną ścianę domu, a podnosząc dach zwali cały budynek. Najmłodszy siedzą jak trusie w miejscach bezpieczniejszych, a starsi czuwają w pełnym pogotowiu z deskami, młotkami i gwoździami, czujni na każde skinienie. Jest to walka człowieka z żywiołem.

Siostra drży ze strachu, ale rozkłada talerze na stołach w jadalni. Prawie już kończyła tę robotę, gdy silny podmuch uderzył z furją. Okno nie wytrzymało. Zakotłowało się na stołach i talerze, szklanki i inne naczynia poczęły fruwać na wszystkie strony, powodując piekielny hałas. Błyskawicznie zastawiamy okno stołami. Dachówki dobrze przymocowane nie wytrzymują siły wichru, zwłaszcza te na narożnikach. Rozbite w kawałki lecą jak wystrzelone z procy. Dom się kołysze i przeraźliwie trzeszczy. Wiązania są mocne, ale huragan gwizdże i wyje, ulewa bije w ściany z całą wściekłością. Po jakimś czasie zmienia się kierunek wichrów. Jedna strona dachu jako tako uratowana. Teraz niebezpieczeństwo zagraża drugiej. Las również z głuchym hukiem pochyła się w naszą stronę, miotając gałęzmi i liśćmi. Wije się w powietrzu, to znów prostuje, by za moment pochylić się jeszcze głębiej. Kilka pięknych wysokich sosen, stojących osobno, zwaliło się z trzaskiem, ukazując nagość korzeni. A te, które się opierały, wichur złamał w połowie jak zapalki.

Wieczorem już cisza. Huragan pognął dalej, zostawiając po sobie przynębiające pobojuwisko. Otwieramy wszystkie pomieszczenia zalane wodą. Po tajfunie pozostaje ciepłe, mdłe powietrze. Podczas snu ciężko oczy mruczyć, ale tej nocy można spoczywać bez siatki nad łóżkiem, bo komary ukryły się na pół dnia. Dzień następny po tajfunie jest wolny od nauki i pracy. Taki tu już jest zwyczaj, trzeba bowiem wysuszyć maty, naprawić dach, okna i wszystkie szkody wyrządzone w otoczeniu.

Październik niezwykle sprzyja nauce i robocie. Po tajfunie klimat zmienił się prawie nagle. Nastąpiła jesień. Wieczorami czuje się miły chłód, mimo że w czasie dnia słońce jeszcze nieźle przygrzewa. W połowie miesiąca zjeżdża nagle komisja wojskowa, aby zbadać stan naszego przysposobienia w tym względzie. Hufiec szkolny powinien mieć prawdziwe karabiny, ale to rzecz nie na naszą kieszeń. Wypożyczamy więc je tylko na ten dzień od poblis-

skiej szkoły, podczas gdy ćwiczenia odbywają się normalnie na modelach z drzewa. Oficerowie po dobrym obiedzie wracają zadowoleni.

## Stulecie dzieła ks. Bosko

Cały park jest odnowiony. Znajduje się w nim nawet „miniatura” świętej góry Fudzi o pięciu metrach wysokości. Mapy wykończone. Domowi artyści stworzyli kilka obrazów nawet bardzo udanych. Na głównej ścianie widnieje wymalowana wizja księdza Bosko, który unosi się nad górą Fudzi, a u jego stóp rozciąga się cały Archipelag Japoński. Inny obraz przedstawia spotkanie ks. Bosko z pierwszym chłopcem w zakrystii. Tak się rozpoczęło jego dzieło. Na innej ścianie widać górę Tateyama w Nagasaki z krzyżami 26 męczenników. Nad chmurami unosi się Bazylika św. Piotra z Rzymu i kościół z Oura w Nagasaki, gdzie odnaleziono chrześcijan, zachowujących wiarę w ukryciu przez blisko trzysta lat prześladowań. Jeszcze dwa inne przedstawiają bitwę morską pod Lepanto z wizją ks. Bosko „wycieczka z chłopcami do nieba”.

Mapy wiszą na ścianach wzdłuż korytarzy. Przy każdej znajdują się moi mali chłopcy. Z pamięci objaśniają treść planszy. W przeddzień uroczystości zjeżdżają się zaproszeni goście. Odbędzie się jeden chrzest starszego chłopca. Przybył więc jego misjonarz z Kokura. Wieczorem oglądaliśmy akademię w salce teatralnej, na program której składają się dobrze przygotowana muzyka, deklamacje, śpiewy, żywe obrazy z życia ks. Bosko, przemówienia naszych świeckich profesorów gorliwych katolików. Chrzest św. miał miejsce przed prymarią. Na sumie chłopcy pierwszy raz śpiewali mszę św. na głosy, napisaną na tę okazję przez mons. Cimatti’ego. Przed sumą udzielał bierzmowania Administrator. Tuż przed południem rozchodzi się elektryzująca wiadomość o rozpoczęciu wojny ze Stanami Zjednoczonymi i Anglią.

Wszyscy patrzą na siebie przerażeni, w jadalni po kilku przemówieniach mówi Administrator. Prawie żartem składa życzenia, a potem wypowiada kilka mocnych oskarżeń przeciw obcokrajowcom, że nie znają ducha japońskiego, że są intruzami, że wprowadzili odmienne wychowanie, zwyczaje itd. Słowa te, jak piorun z jasnego nieba spadły na nas i na wszystkich zaproszonych. Ten policzek od człowieka Kościoła odczuliśmy bardzo boleśnie. Na tym zakończył się galowy obiad. Administrator pożegnał się w pośpiechu i odjechał. Na szczęście chłopcy nie słyszeli ostatniego przemówienia.

Tymczasem przychodzi zawiadomienie o nowych ograniczeniach w zakupach na święta. Obcokrajowcy mają absolutny zakaz oddalania się z miejsca pobytu bez urzędowego zawiadomienia policji. To są pierwsze echa nowej burzy. Boże Narodzenie przygotowujemy więc w napięciu, ale uczuciowo zespoleń. Wychowankowie wyczuwają niezwykle czasy i garną się do nas z całą ufnością i oddaniem dobrych dzieci. Noworoczne gazety publikują wśród czerwonych szpalt wielkie fotografie przedstawiające zatopienie floty amerykańskiej na Hawajach wraz z dokładnym opisem napadu i rozpoczęcia wojny. Określają tę wojnę już nie jako konflikt, ale „świętą wojnę”.

Specjalni agenci policji przychodzą na osobiste pogadanki z obcokrajowcami. Wypytyują każdego, co sądzi o sytuacji. Ja wypytuję mojego rozmówcę o wiadomości z Polski: co tam słyhać, jakie są warunki życia itp. Ale on nie ma o tym zielonego pojęcia. Odpowiedziałem mu więc, że ja interesuję się

tyle jego sprawami, co on moimi. Wywiad szybko się skończył. Nie jesteśmy niestety w łaskach u nowego Administratora. Nie wiadomo z powodu czego zraził się do nas.

W ósmym dniu każdego miesiąca, z polecenia władz państwowych, obchodzi się uroczystość dzień rozpętania „świętej wojny”. Zamiast dekretu o wychowaniu odczytuje się dekret o „zniszczeniu Anglii i Ameryki”.

Mons. Cimatti przeniósł się na stałe do Tokio. Przeżyliśmy to boleśnie. Utrata takiego przełożonego to wielki cios dla naszej placówki. Mamy nadzieję, że będzie nas od czasu do czasu odwiedzał.

## Zmiana miejsca pracy

Po dwudziestym stycznia przyjeżdża nasz ks. inspektor mons. Cimatti. W pewnej chwili odwołuje mnie na bok i proponuje niespodziewanie zmianę miejsca pracy. Miałbym się przenieść do pobliskiej szkoły rolniczej, którą niedawno stworzył ks. Antoni. Pod koniec rozmowy mówi mi: „Pomyśl nad tym, pomódl się i daj mi odpowiedź”. W pierwszej chwili poczułem się zaniepokojony. Rozumiem zaufanie przełożonych, jakie mi okazują w formie tej propozycji, ale też boję się nowych warunków pracy, odpowiedzialności za nią. Uśmiecha mi się jednak większa niezależność. Chciałbym też poczuć się bezpośrednim wychowawcą tej biednej młodzieży, która potrzebuje opieki i serca.

Wkrótce spotykam się po raz drugi z moim przełożonym. Nie stawiam mu żadnych przeszkód. Niech dysponuje mną swobodnie. Przy rozstaniu powiedział mi: „Staraj się kochać te sieroty. Pracuj dla nich tak, jak robiłby to ks. Bosko. Pamiętaj, że jako kleryk możesz mieć większy wpływ na ich wychowanie niż nawet jako ksiądz. Nie zmarnuj tej okazji”. W uroczystość św. Franciszka Salezego nastąpiło moje pożegnanie. Śpiewy, deklamacje, wesołe okrzyki. Zapraszam wszystkich na biały ryż (ryż w sprzedaży jest już mieszany z pęczakiem), na figi i na sadzenie ryżu.

Dzieło ks. Antoniego rozpoczęło się od małej chatki w stylu japońskim z kilku chłopcami. Wkrótce jednak stanął dość obszerny piętrowy budynek z drzewa, mogący pomieścić około pięćdziesiąt osób. Własnej ziemi jest najwyższej dwa hektary. Obecnie można brać bez trudu ziemię w dzierżawę. Obok domu zabudowania - dwie sale, małe podwórko, dalej dwie obory, z których tylko jedna jest zapełniona, i to wszystko! Droga prowadząca przez pola do seminarium urywa się za cmentarzem. Okolica jest jeszcze mało zamieszkała, może dlatego, że obok cmentarza.

Dyrektorem szkoły jak i całego dzieła jest ks. Antoni. Zastępuje go ks. Leon, nasz ekonom inspektorialny i zarazem proboszcz misji. Nie mieszka więc tu, a tylko przychodzi do nas na nocleg. Jest jeszcze dwóch braci: jeden odpowiedzialny za inwentarz żywy: dziesięć sztuk bydła, pięćdziesiąt sztuk trzody chlewnej, dwieście kur i królików. Drugi odpowiada za uprawę roli. Ziemi jest około trzy hektary. Połowę zajmują pola ryżowe. Internistów mamy trzydziestu. W pobliskim sierocińcu u siostr chłopcy przebywają do ukończenia szóstej klasy podstawowej, a potem zgłaszają się do nas. Zdolniejsi uczęszczają jeszcze do szkoły dokształcającej przez dwa lata, a reszta zaczyna wdrażać się do pracy. Chłopcy ci w większości nie mają rodziców, a to ujem-

nie rzutuje na ich psychikę. W japońskiej szkole doksztalcającej słuchają na wszystkich lekcjach oskarżeń przeciw obcokrajowcom, szpiegom i wrogom Japonii. Okres wojny tak ciężki dla normalnych rodzin nawet zasobnych, cóż może przynieść dobrego ptakom bez gniazda?

Tego wieczoru całe grono przełożonych i chłopcy przywitali mnie z radością. Wszystkich wychowanków jest trzydziestu. Prawie połowę z nich znam z poprzednich spotkań z seminarzystami. Wcale nie czują do mnie dystansu, a to dobry znak. Na wprost wejścia jest pokoik służący za salę przyjęć, jadalnię dla przełożonych i sypialnię dla ks. dyrektora. Po wieczornych modlitwach chłopcy usuwają stolik i rozkładają żelazne łóżko. Rano po wstaniu czynią to samo tylko w odwrotnej kolejności. Na krzeselku stawiają miednicę z wodą i ręcznik, oto cała toaleta. Na lewo jest drugi pokój nieco większy z ławkami szkolnymi, służący jako studium do odrabiania lekcji, albo za klasę do, nauki, do czytania książek, do rozrywki i miejsce do modlitwy przed domem pod gołym niebem. Kaplicy nie ma. Na mszę św. udajemy się do domu starców, gdzie jest wspólna kaplica. Za kuchenką jest stary domek parterowy z szerokim korytarzem i sypialnią na dziesięć łóżek. Na korytarzu znajduje się jadalnia dla wychowanków.

Z kuchni schody prowadzą na piętro do wielkiej sypialni całej oszklonej, skąd roztacza się urzekająco piękny widok na okolicę. Sala ta służy jako sypialnia dla większości wychowanków, a we dnie jako miejsce ćwiczeń dla orkiestry. Nad kuchnią jest pokoik dla ks. ekonomy, a od strony północnej urządzenia sanitarne. Dla asystenta tzn. dla mnie zarezerwowano ostatnie łóżko, oddzielone od innych białą płachtą, zasuwaną tylko w czasie spoczynku. Łóżka zrobiono z drzewa, ale bardzo niezgrabnie. Dla Japończyków to nowość, bo zwyczajnie śpią na matach, ale jeszcze większym dziwowiskiem były dla stolarza, który je miał robić. Dla nas to jedyny luksus, którym możemy się pochwalić.

Na parterze jest jeszcze mały pokoik. Sam nie wiem, w jakim celu go zbudowano. Obecnie służy jako klasa do nauki, gdy profesorowie przychodzą we dwójkę do nauki języka japońskiego i rachunków wraz ze słynną nauką liczydła japońskiego.

Pobudka o piątej rano a na spoczynek idziemy o dziewiątej wieczór. Za wychowanie odpowiada głównie asystent i tylko w ważniejszych sprawach decydują przełożeni. Nauki raczej mało, ale pracy dużo. Po kolacji wracamy do chłopaków. Pierwsza uroczystość ks. Bosko minęła bardzo skromnie, bo chłopakom wystarczył wolny czas od pracy i lepszy obiad, a wieczorem rozrywkowy film. Wyświetlano przy pomocy starej maszyny na ręczną korbę program z Chaplinem. Dwaj bracia z wielką chęcią poinformowali mnie o „cudach” każdego z ich kolegów. Nie spieszę się. Poznam ich wszystkich z własnego doświadczenia. Ośmiu obsługuje gospodarstwo. Początkowo trudno ich rozpoznać, przebranych w jednakowe ubrania robocze. Praca pali im się w rękach, a to dobry znak, bo gdzie się pracuje, tam bieda nie dokuży. Każdy z chłopaków ma swoje przezwisko. Wołamy na nich po imieniu, co wytwarza rodzinną atmosferę. Wszyscy są już ochrzczeni.

Pierwszego lutego jest niedziela, więc obowiązuje rozkład specjalny: pobudka o szóstej. Nabożeństwo wspólne w kaplicy. Dla nas też nieco miejsca wolnego pozostało. Chłopców trudno utrzymać, bo się rozglądają i broją,

a publicznie poprawiać trochę i wstyd i nie wypada. Staram się więc zapamiętać tych, co najwięcej rozrabiają, by im palnąć „kazanko” na osobności. Jednego napada śpiączka, jakiej jeszcze nie widziałem. Wystarczy, że usiądzie na piętach, i już się kołysze we wszystkie strony jak żyd podczas szabasu.

Po nabożeństwie chłopcy bawią się na podwórzu a ja mam pierwszą pogadankę z dyrektorem ks. Antonim. Uderza mnie jego wielka troska o wychowanie i przyszłość tych dzieci. Poleca mi, by ich kochać mimo wszystko. Sam jest ogromnie zajęty całym dziełem, a przecież czasy są trudne.

Cała nadzieja pozostaje tylko w Bogu. Trzeba przeszło trzysta osób wyżywić i okryć. Sióstr jest niespełna trzydzieści Miasto niewiele pomaga. Wszystko musi się zdobywać własnymi siłami, wyprosić, zarobić. Ostatnio siostry otworzyły własną fabryczkę narzędzi domowego użytku z bambusu. Wyrabiają więc pałeczki do jedzenia, łyżki, warzachwie, talerze i podstawki. Ostatnio otrzymały wielkie zamówienia na krzeselka do samolotów „kami-kaze”, tj. samobójczych, które już więcej nie powracają z pola bitwy, bo rzucają się z ładunkiem bomb na nieprzyjaciela. Siostry wstają o czwartej rano, a o szóstej już są w fabryce po nabożeństwie i skromnym posiłku. Same mało jedzą, by jak najwięcej zostawić dla chorych i sierot. Niektóre są bardzo wycieńczone przy takiej pracy i niedożywieniu. Tutejsza szkoła rolnicza ratuje trochę sytuację, ale nie wystarcza mleka, królików czy kóz. Świnie wymienia się na ryż. Dawniej mieliśmy więcej bydła, teraz jedna obora stoi próżna. Trzeba było sprzedać, bo głód zagląda w oczy.

Ks. Antoni mówi: „Sam się dobrze odżywiają i chłopcom też nie żałuj, ale staraj się, by się nic nie marnowało, a dobry Bóg dopomoże nam przetrwać i te czasy. Mamy tu trzy hektary ziemi, z których połowę stanowią pola ryżowe, więc dla was wystarczy i jeszcze trochę zostanie dla tamtych. Jedno stajanie kazałem zasadzić figami. Już w tym roku spodziewam się małego zbioru. Przypilnuj tej sprawy z chłopakami, to nam dużo pomoże. W ubiegłym roku poratowaliśmy się trochę pomidorami, ale nie wiadomo, co nam ten rok przyniesie: w kwietniu przyjdzie tu jeszcze kilku chłopców tak z Caritas jak też i z Nagasaki, więc trzeba będzie pomyśleć o nich. Weźmiemy w dzierżawę jeszcze trochę pola ryżowego. Chłopi chętnie je odstępują, bo młodzi są na wojnie, a starzy nie dają rady. Prawie połowa chłopaków mogłaby już rozpocząć naukę wyrabiania koszyków z bambusu. Poszukam majstra, ale urządzenie całości będzie na twojej głowie. Zajmij się już teraz starą stajnią. Jest szeroka i przewiewna. Wystarczy przenieść słomę do stogów, wymyć cement, usunąć przepierzenia i gotowa hala, gdzie i koncert można by urządzić.

Nasze województwo ofiaruje nam w górach za małą opłatą cały wąwóz nad rzeką i górę z lasem bambusowym. Można by tam z czasem założyć nowe osiedle z kilkunastu czy kilkudziesięciu domów. Nasi chłopcy, dorastając, mogliby tam stworzyć wioskę trudniącą się wyrobami z bambusa. Myślę, że mieli by w ten sposób zapewnioną przyszłość. Ale teraz jest wojna, więc trzeba jeszcze poczekać, bo zdolnych do wojska na pewno nam zabiorą. Dowiedziałem się więc wszystkiego. Polubiłem naprawdę tych urwisów, widząc warunki w jakich się znajdują i jaka ciężka czeka ich przyszłość.



## Trudny element, a przecież...

Wróciłem do chłopaków, bawiących się kulkami ze szkła, kartami do przewracania, bąkami z drzewa lub żelaza. Wszystko to gry hazardowe, tzn. kto przegrywa traci kulkę, kartę, punkty itd. Spryciarze noszą ze sobą woreczki lub pudełka pełne kulek, kart i fantów wygranych, by je stracić potem z silniejszymi. Kto przegrał wszystko, przygląda się i zazdrości innym. O wszelkich zabawach, wymagających ruchu, nie chcą nawet słyszeć, bo oni cały Boży tydzień są w ciągłym ruchu, a część z nich nawet w niedziele i święta nie ma wypoczynku, zajęta w gospodarstwie. W seminarium była dwugodzinną przechadzka w niedzielę po południu. Tutaj chłopcy żądają, jeden raz w miesiącu, całodziennej wycieczki i to w dzień roboczy z dobrym zaprowiantowaniem.

W czasie obiadu i kolacji jest zawsze trochę nieporozumień: komuś dzieje się krzywda, jakiś drab wymusza na słabszym lepsze kęski. Często nie wiem o co chodzi. Zapytani tłumaczą się celowo w narzeczu, którego jeszcze nie znam. Szczepan wyjaśnia mi, że to wszystko wymaga doświadczenia i cierpliwości. Po kolacji chłopcy przychodzą całą gromadą, by ćwiczyć grę na instrumentach. Czekają na nie przed szafą w kolejce. Do tego czasu prowadził orkiestrę mój poprzednik, chociaż umiał grać tylko na harmonii. Pomagał mu nasz ksiądz ekonom inspektorialny, jeden z pierwszych misjonarzy, którzy przybyli z mons. Cimatti'm. W jego rodzinie wszyscy byli muzykalni. On też ma doskonały słuch, a przy tym cichy i dobrotliwy. Dzisiaj wraca z misji późnym wieczorem. On właśnie ma klucz od szafy z instrumentami.

Trochę mnie to zdziwiło, że widzę drzwi zamknięte na klucz. Widać tu taki zwyczaj. Szafy również się zamyka. Na wstępie spotkało mnie na przykład takie zdarzenie: po przebraniu się w nocne kimona, najstarszy z trzech braci, wyszczotkował elegancko swoje czarne ubranie i położył je ostentacyjnie na moje łóżko. To samo zrobili jego dwaj bracia, a za nimi inni. Nie wiedziałem o tym, że ubrania świąteczne otrzymuje się rano, a wieczorem trzeba je zwrócić do szafy. To naprawdę przykre, ale prawdziwe, wszędzie klucze i kłódki, zawory i szafy, kufarki i rygle...

A wzajemne zaufanie i szczerść gdzie się podziały? Z bólem serca skonstatowałem, że wśród pogan nie ma miłości. A przecież ci ludzie są na ogół bardzo porządni, sprawiedliwi, nawet dobrzy, grzeczni i wychowani, ale na swój sposób: bez miłości. W moich chłopcach, chociaż wszyscy ochrzczeni, uwidacznia się to samo. Zrozumiałem to i przeżyłem bardzo boleśnie. Okazuje się, że miłość chrześcijańska, to coś bardzo trudnego.

Dlaczego tak się dzieje? Siostry z całą ich świadomością i dobrą wolą nie dawały sobie rady z chłopcami. Chłopak to z natury psotnik, w szkole urwis, na drodze zabijaka, na ulicy batiar, w robocie leń. Nasi chłopcy wychowali się więcej w zakładzie niż w domu rodzinnym. Imiona mają chrześcijańskie, ale zwyczaje, sposób myślenia i odczuwania daleki od ducha chrześcijańskiego. Nasz zakład nazywa się Kosei Gakuen. Oznacza to: szkoła mądrości nowonarodzonych. Jest to po prostu zakład wychowawczy. Nazwano go tak wzniosie, bo w Japonii domy wychowawcze mają wszędzie niezbyt dobrą opinię. Już przy pożegnaniu seminarium postanowiłem sobie w sercu ratować tych chłopaków za wszelką cenę. Przed Bogiem zdaje mi się, że czyniłem to za-

wsze, ale teraz trzeba zakasać rękawy i starać się tego dowieść także przed ludźmi. Mój dyrektor ks. Antoni uchodzi za marzyciela. Ja też zacząłem śnić: pytałem wszystkich o zdanie, próbowałem wszystkich środków, oddając się bez reszty pracy.

Chłopcy mimo wojny nie cierpią biedy, owszem mają lepsze jedzenie od samych seminarzystów. Gotują sami, więc nie najlepiej, ale wszystko jest świeże i zdrowe. W sypialni stoi druga szafa z ubraniami na lato, nawet lepszymi od tych, jakie mają seminarzyści. Wszystko ładnie ułożone, zabezpieczone naftaliną.

Instrumenty muzyczne są nowiuteńkie i dobrze utrzymane: trąbki, klarnety, altówki, barytony, tenory, bas i bębny lepsze od starych gratów z seminarium. Chłopcy dzięki pracy fizycznej mają szeroką klatkę piersiową, muskuły jak wrzeczona pod śniadą błyszczącą skórą, włosy krótko strzyżone. Zamiast czapki zawiązują sobie na skroni typowe ręczniki, zwracając uwagę różnymi kolorami. Do tego noszą koszulkę, spodenki i słomiane pantofle. To ich codzienny strój domowy, zawsze schludny. Do pracy wkładają latem inną koszulkę, a zimą drelichy.

Nie myliłem się: chłopcy odnoszą się do mnie z grzeczną rezerwą: co polecę, wykonają możliwie w sposób jak najprostszy i najłatwiejszy, tylko moich rad i pouczeń nie biorą pod uwagę. Wloką się więc dni ciężkie i mroczne, nie wyłączając niedziel i świąt.

Aż pewnego dnia stało się coś zaskakującego. W każdy wieczór ćwiczymy muzykę pojedynczo, a w niedzielę łączymy w całość. Po wielu męczących próbach udało się nareszcie wydobyć z nich piano i forte i poprawne zagranie nut. Wówczas pochwaliłem ich, że grają dość dobrze, prawie jak seminarzyści. Zareagowali na to bardzo żywo. Wywiązała się ciekawa dyskusja. Nie chcieli wierzyć, że to możliwe. Oni przecież nie chodzą do szkół, a tamci przerabiają gimnazjum. Nie dadzą się okłamać takimi gadkami.

Dyskusja przeniosła się z sypialni, gdzie ćwiczymy, do jadalni w czasie obiadu i kolacji. Dowiedzieli się o tym inni koledzy i zahuczało jak w ulu. Wszyscy na gwałt zapragnęli uczyć się na instrumentach, aby się zrównać z seminarzystami. Tego dnia zapisałem wielu kandydatów do orkiestry i rozpoczęliśmy bez zwłoki lekcje teorii i praktyki, czytania nut i wybijania taktu. Poczułem nagle, że stałem się im potrzebny, prawie nieodzowny. Tego wieczoru mój różaniec odmawiałem ze łzami radości i wdzięczności wobec Boga, że nareszcie otwarła się jakaś droga do serc moich chłopców.

Od tej słynnej drugiej niedzieli lutego zacząłem się zaliczać do ich grona. Kuję więc żelazo póki gorące. Porozumiałem się z dwoma braćmi salezjanami. Obaj nieco młodszy ode mnie, ale mają już większe doświadczenie w życiu zakładowym. Brat Józef, o smagłej twarzy i czarnych kruczonych włosach, jest naszym gospodarzem, a blondyn, brat Szczepan, zajmuje się uprawą roli. Na pierwszej naradzie podjęliśmy dwie ważne decyzje: trzeba budzić w nocy tych chłopaków, którzy moczą pościel, oraz otworzyć wszystkie pomieszczenia z wyjątkiem spiżarki, bo okazja robi złodzieja. Co do drugiego punktu postanowiłem współpracować z całą trójką. Do pomieszczeń dotąd zamkniętych może wejść każdy, ale po opowiedzeniu się jednemu z nas trzech.

Mamy nadzieję przyzwyczaić chłopców do odpowiedzialności i wyleczyć z nawyków kradzieży. Nie stosujemy żadnych kar. Małego przestępcę pozostawiamy w rękach Boga.

stawia się na osobności, najlepiej w wolnej klasie, aby miał czas do namysłu nad swoim postępkami, potem zdał sobie sprawę z wyników swych rozważań. To zwyczajnie skutkuje na tyle, że winny przeprasza, przyrzeka poprawę... znowu rozpoczyna od początku. Z czasem jednak przychodzi opamiętanie. W ważniejszych sprawach interweniuje dyrektor.

Brat Szczepan gra świetnie na trąbce, wciągnąłem go więc do orkiestry i powierzyłem mu wszystkie blachy (instrumenty miedziane), a klarnety musztruje sam. Zaczyna nam wyraźnie wychodzić. Chłopcy robią się bardziej przystępni, a uwagi i polecenia przyjmują z większym przekonaniem.

W drugiej połowie miesiąca gruchnęła wiadomość, że armia japońska zdobyła 18 lutego Singapur. W szkołach nie ma nauki, a tylko praca. W naszym zakładzie bez zmian. Singapur daleki, a w kraju bieda. Postanowienia zamieniliśmy w czyn. Wszyscy otrzymali czyściutką pościel, stare łachy się spaliło, bo na ogół się ich nie używa. Ta zmiana postępowania powoduje gruntowną zmianę atmosfery. Życie rodzinne, chociaż jeszcze wąskim strumieniem, przedziera się w nasze kąty.

Pozostaje jeszcze do załatwienia całodzienna wycieczka. Porozumiewam się z przełożonymi, którzy płacą nam podróż wąskotorówką do wyspy Aoszima (Zielonej), oddalonej zaledwie kilkanaście kilometrów od Miyazaki. Chłopcy są bardzo zadowoleni i to z dwóch powodów: po pierwsze będzie to wycieczka pociągiem, a nie pieszo, a po drugie zaprowiantowanie zapowiada się bogate a im na tym bardzo zależy.

Obładowani więc Bożymi darami ruszamy na stację. Kolejka w sobotę jest prawie pusta. Gwizdek i mały pociąg zaczyna sapać tak, że niedługo pędzimy już z „zawrotną” szybkością 20 km na godzinę. Mijamy dwie stacyjki po drodze i po godzinie jazdy jesteśmy na miejscu. Widoki oglądane przez szybę są interesujące. Po lewej w stronę morza ciągną się równiny. Widać pola ryżowe już pokryte mchem po zeszłorocznych zbiorach.

Po prawej droga i wioski, typowe domki japońskie, już na pół kryte zieloną dachówką, bo strzechy widoczne są jeszcze w wąwozach górskich. Drogą idą piesi z wózkami lub rowerami, wioząc do miasta ryby, jarzyny, mleko. W większości widać kobiety i dzieci albo staruszków. Wsiadamy przed wyspą. Chłopcy znają drogę. Przechodzi się obok „królestwa dzieci - wesołego miasteczka” uczęszczanego jednak bardziej przez dorosłych. Pełno tu karuzeli, huśtawek, zabawek, ptaków i zwierząt. Nasi wychowankowie już wyrosli z tych atrakcji, zanim ich zakosztowali.

Przez most drewniany kierujemy się na wyspę. Morze jest w odpływie, więc można by przejść suchą nogą i pod mostem. Wyspa jest rzeczywiście zielona, cała zarośnięta drzewami podzwrotnikowymi, po większej części palmami indyjskimi. Wyspa zdaje się być wyciosana z kamienia, ma brzegi poorane w charakterystyczne zagony. Na pobliskim cyplu stałego lądu rozciąga się najpiękniejsza plaża naturalna, jaką kiedykolwiek widziałem. Obecnie jest pełna suszących się sieci rybackich. O tej wyspie pisze wielu poetów. Tutaj kręcono liczne filmy. Chłopcy zabawiają się rzucaniem kamieni w morze, pluskaniem w wodzie, szukaniem rzadkich muszelek i wodorostów. Czas mija jak w bajce. Podobiadek spożyjemy po obejściu wyspy dookoła. Po obiedzie ruszyliśmy wesoło, zabawiając się nowymi znaleziskami. O trzeciej z minutami nasz „ekspres” ruszył w stronę Miyazaki.

Wieczór przed spoczynkiem ogłosiłem, by chłopcy zatrzymali odświętne ubrania u siebie, bo jutro jest niedziela. Nazajutrz idziemy na drugą mszę św., więc można wstać nieco później. Mszę św. odprawia ks. Antoni z kazaniem skierowanym stopniowo: do staruszków, sióstr, dziewcząt i chłopców.

Zastanawiałem się nieraz nad urządzeniem własnej kaplicy, w której bylibyśmy sami, bo to i wpływ religijny na chłopców byłby większy. Na razie to są tylko sny nie do urzeczywistnienia.

## Atmosfera wojenna

W kraju panuje ogólna bieda. Trwa morderczy wyścig w pracy. Bez przerwy pisze się o tym w gazetach i mówi w radio. Życie codzienne staje się prawie okrutne. Trzech z moich chłopców uczęszcza do „wyższej szkoły podstawowej”. Są to dwa lata doksztalające, chociaż nieobowiązkowe, ale polecane dla młodzieży wiejskiej, która nie ma zamiaru kształcić się dalej. Pobiera się tam wiadomości praktyczne o zajęciach domowych oraz formuje ducha społecznego i narodowego. Pewnego razu jeden z tej trójki zaczął głośić ostentacyjnie, że wszyscy obcokrajowcy i to, bez wyjątku są nieprzyjaciółmi Japonii i uprawiają szpiegostwo. Przyniósł nową mapę całej kuli ziemskiej w różnych kolorach, z malutką Japonią wymalowaną na czerwono. „Nauczyciel powiedział - opowiadał - że gdy wygonimy z kraju obcokrajowców, wtedy zaczniemy zdobywać wszystkie kraje od najbliższych poczynając tak, że za sto lat cały świat będzie należał do Japonii. Ameryka jest silna. Aby ją zwyciężyć, będziemy walczyć chociażby i sto lat”. Z kolegów nikt się tym nie wzruszył. Ale my odwołaliśmy całą tę trójkę ze szkoły.

Bieda uczy sprytu. Nasi „studenci” z wyższej szkoły umieją jako tako upleść pantofle ze słomy, choć idzie im to dość powoli i nie bardzo artystycznie. Tymczasem ktoś wpadł na pomysł i dostarcza kolegom pierwszorzędnych pantofli. Według wierzeń buddyjskich, dusza, albo raczej sam zmarły (oni nie wierzą w nieśmiertelność duszy tylko w życie pozagrobowe) musi wykonać po śmierci długą podróż. Z tego powodu do trumny kładzie mu się mocne pantofle ze słomy. Zwłoki się pali, ale pantofle odstawia na bok. Któryś z chłopaków, zdaje się, że Mitsuo, porozumiał się z dyżurnym krematorium, który mu pozwala zabierać te pantofle. I cała sprawa się wyjaśniła. Nikt z pogan nie zechce używać takich pantofli za żadne skarby świata, bo są nieprawdopodobnie zabobonni. Ale nasi chłopcy katolicycy wcale się tym nie przejmują, nawet nie czernią białych pasków, które oznaczają zaziemskie podróże, co stanowi wielkie zgorszenie dla dzieci spotykanych na drodze. Omiągają one takiego jako „przybysza zza świata”, w białych pantoflach. Co dwa tygodnie chłopcy dostają nowe pantofle, czasem nawet po dwie pary.

Chłopcy ciężko pracują, więc dajemy im również podwieczorek, nieznanym zupełnie w rodzinie japońskiej. W obecnej ciężkiej sytuacji wiele rodzin z konieczności ogranicza się do dwóch posiłków dziennie: przed i po południu w przygodnym czasie, kiedy mają po prostu coś do zjedzenia. Nasi jedzą trzy posiłki z ryżu i podwieczorek, składający się latem z owoców, a w innych porach roku z pieczonych słodkich ziemniaków, okraszonych kiszonymi burakami. Słodkie ziemniaki rosną w całej Japonii, ale południowe części Kyushu najlepiej się nadają do ich uprawy. Te z Miyazaki należą do smakoły-

ków. Upieczone w piecu lub w żarze są sypkie jakby z mąki, smaczne i pożywne. Kiszone buraki natomiast to nieodzowna przyprawa do ryżu. Brat Szczepan wyuczył się sztuki kiszenia na słodko w pszenicznych otrębach od rolników miejscowych. Takie buraki pozostają soczyste, pachnące, kwaskowate jak jabłka w kapuście kiszonej, a ze słodkimi ziemniakami przy dobrym apetycie to rarytas.

Chłopcy jednak mają i inne źródła zaopatrzenia się w smaczne kęski. Mianowicie na pobliskim cmentarzu, gdzie powiewa biała chorągiew z napisem, że znajduje się świeży grób, rodzina umarłego pozostawia na grobie ofiary z ciastek nadziewanych, których nawet trudno dostać w sklepach. Od ptaków zabierających się do uczty szybsi są chłopcy: umieją wypatrzeć chwilę i sprzątnąć na czas doskonałe pożywienie. Jest to sprawa mniej honorowa jak z pantoflami, ale w czasie wojny i biedy, kto się może brzydzić pulchnymi ciastkami? Czyż nasze biedne dzieci nie są jak ptaki Boże?

Praca na roli daje dobre wyniki. Rzepak rośnie jak ciasto na drożdżach. Brat Szczepan zatrudnia prawie dwudziestu chłopaków, chociaż mówi, że i połowa by mu wystarczyła. Wobec tego próbujemy zorganizować chętnych „koszykarzy”. Zgłasza się nawet majster, prowadzący własną koszykarnię: młody i przyzwoicie ubrany. Pracuje dla wojska, ale w razie potrzeby mógłby pomagać, za odpowiednim wynagrodzeniem, i poświęcić kilka godzin dziennie przez jakiś czas. Tylko o to nam chodzi. Na początek zamawiamy u niego komplet narzędzi dla piętnastu uczniów. Wydatek wielki, ale konieczny. Ks. Antoni ogłasza, że narzędzia będą własnością każdego. W jakim więc stanie je zachowa, takie ze sobą zabierze przy opuszczeniu zakładu. Instruktor kupuje dwie furmanki bambusu wprost z gór, więc po cenie hurtowej. Zaczyna się wyplatanie koszyków.

Już zakwitły drzewa. Najpierw śliwki japońskie na czerwono, potem wiśnie. Mam dużo pracy z egzaminami dla muzykantów, ale czynię to chętnie i dokładnie, bowiem wtedy mogę ich poznać z bliska. Gorliwym pomagam, ale od leniów wymagam dużo. Nakazuję powtórki i poprawki z egzaminu. Na jedenastu zdało ośmiu. Tymczasem wiadomość o tworzeniu się zespołu muzycznego dotarła do malców mieszkających jeszcze u sióstr. Czwarta i piąta klasa wysłały swoich przedstawicieli, a szóstacy zadowoleni wyciągają szyje, by jak najprędzej przenieść się do nas.

Słodkie ziemniaki wypiekamy w ogniu ogrzewającym wodę do łaźienki. Japończycy kąpią się codziennie. To jest znak, że są schludni, ale też, że tego potrzebują. Nasi chłopcy potrzebują tego koniecznie, bo brudzą się w czasie pracy jak kominiarze. Zresztą u nas jest to sprawa bardzo prosta, gdyż korzystamy z małej przybudówki urządzonej przez mojego poprzednika.

## **Wpływ czynników religijnych na życie chłopców**

W czasie nowenny do św. Józefa wychowankowie idą w zawody w wypełnianiu poleceń, które się daje wieczorem po modlitwach według starego zwyczaju salezjańskiego. Atmosfera sprzyja, by wprowadzić trochę porządku wokół domu, zmian w rozkładzie, a przede wszystkim przyzwycząić do punktualności, wzajemnej pomocy, grzeczności wobec kolegów, przełożonych itd.

Powstała myśl zawiązania Towarzystwa św. Józefa wśród chętnych. Wybiorą sobie prezesa i cały zarząd. Zauważa się podniecenie. Rzecz niesłychana, by oni tworzyli samorząd tak jak seminarzyści! Pomyślano nawet o pięknych oznakach zagranicznej roboty: metalowa tarcza z kowadłem w środku, a nad nim zębate koło i dwa symbole: płomień i lilijka. Obok dwie duże litery SJ - Święty Józef. Chłopakom aż się oczy śmieją z radości. Regulamin jest już gotowy. Krótki i łatwy do wykonania: czcić i naśladować św. Józefa w pracy i na modlitwie, a w domu dać dobry przykład kolegom! Na tygodniowych zebraniach zarząd pomyśli nad szczegółowym programem. Praca wre na wszystkich odcinkach. Jakiś nowy duch wionął po tych duszach spragnionych czegoś wyższego i lepszego. Razem majstrujemy małą kapliczkę pół metra wysoką, w której umieścimy figurkę św. Józefa, ofiarowaną nam przez ks. Leona z jego sklepiku przy misji. Umieści się ją na zewnątrz ganku i wieczorami będziemy się tam modlić przed spoczynkiem. Zdolniejsi uczą się na pamięć wierszyków i dialogów, ale pod warunkiem, że nie będą ich recytować wobec całego zakładu sióstr. Na to nie dają się namówić w żaden sposób. Orkiestra ma w repertuarze oprócz dwóch marszów jeszcze dwie nowoczesne piosenki pięknie zharmonizowane. Będzie to niespodzianka dla wszystkich, a z naszej strony hołd wdzięczności dla św. Józefa.

Uroczystość udała się nadspodziewanie. Już w czasie nowenny większość chłopaków wypowiadała się, reszta zrobiła to w wigilię święta. Mszę św. odśpiewał pięknie ks. Leon. Komunia generalna wzruszyła starsuszków, którzy byli urzeczeni malcami przystępującymi do Stołu Pańskiego. Obiad przygotowały nam siostry, nakrywając stoły po europejsku. Po niesporach odbyła się akademія. Chłopcy z orkiestry spisali się wspaniale. Oklaskom nie było końca. Deklamacje i dialogi a nawet przedstawienie odegrały dziewczęta, niektóre poprzebierane za chłopców.

Następnego dnia nawiedziłem kapliczkę seminaryjną i zauważyłem nie zwyczajną rzecz. Przed ołtarzem św. Józefa klęczy dwóch seminarzystów, zatopionych w modlitwie, chociaż to czas lekcji, czas egzaminów. Po chwili ich miejsce zajmują inni dwaj. Na ołtarzu palą się dwie świece. Przecież uroczystość św. Józefa była wczoraj. Coś mnie ukłuło koło serca. Zwracam się do mojego następcy z zapytaniem, co to znaczy? „Wyrzucają nas stąd. Od kwietnia mają zamiar zamknąć seminarium, a wszystkich misjonarzy umieścić gdzieś w jednym domu poza Miyazaki, najlepiej w Oita”.

Kto to robi? Przede wszystkim nasz nowy Administrator misyjny. Pragnie przypodobać się swoim ziomkom i zdecydowanie wypędza misjonarzy. Dzisiaj przyjechał z Kagoshima i radzą teraz w misji. On ma zamiar nawet sprzedać seminarium i szuka na nie kupców. Nasi wierni, radni przy misji, zebrali się i mówią, że będą ratować ile tylko od nich zależy, a my modlimy się o pomoc do św. Józefa. A zatem prześladowanie i to od tych, którzy mają obowiązek stać na straży sprawy Bożej. Świat się chyba zaczyna walić, czy co!

## **Pracownia koszykarska**

W ostatnich dniach marca przygotowujemy miejsce na pracownię koszykarską. Po przeniesieniu słomy myje się i porządkuje cementową podłogę.

Cieśle i stolarze usuwają przegrody, poprawiają okna. Zgłosiło się siedemnastu chłopaków. Miejsca wolne zużytkuje się na skład bambusu, a potem koszyków. Stajnia jest duża, bo mieściła trzydzieści sztuk bydła.

Narzędzia już od początku stają się własnością chłopców. Będzie to ich posag przy opuszczaniu zakładu. Stąd nadzieja, że będą się o nie troszczyć należycie. Przyjechały też dwie furmanki pełne bambusów różnej grubości i jakości. Na widok tego wszystkiego serce rośnie, toć przecież rodzi się prawdziwa szkoła rzemieślnicza!

Nauczyciel zjawia się codziennie. Prowadzi wykłady teoretyczne i praktyczne: objaśnia rodzaje bambusu, narzędzia i ich użyteczność, wreszcie sposób łupania bambusu i przydatność poszczególnych części materiału w zależności od rodzaju wyrobów, z Caritas zawitała czwórka nowych wychowanków, z których dwaj to Hiroszi i Yoszio. Druga dwójka też oryginalna, bo bliźniacy - grubaski, podobne do siebie jak krople wody i tylko oni wiedzą, który z nich jest Szigenobu a który Masanobu. Tymczasem podpatrzyłem u jednego malutką bliźnię nad lewym okiem. Przekonawszy się raz jeszcze, że to jest Masanobu, z podziwem dla wszystkich, dają sobie radę w odróżnieniu ich w oka mgnieniu. Nasza rodzina zakładowa wzrosła więc do 36 wychowanków, nie licząc pięciu wychowawców.

Koszykarze dostali się pod moją opiekę. Każda nowość pociąga i dlatego cały kwiecień mija bardzo pracowicie. Chłopcy idą w zawody, czują się jak we własnym domu, nie ma powodów do narzekania. Drobne niesnaski i nieporozumienia nie mącą wcale rodzinnego nastroju, owszem może go nawet wzmacniają, bo i w rodzinie tak bywa.

## Toszio

Na prezesa Towarzystwa św. Józefa wybrano absolutną większością głosów spokojnego, dobrego i miłego Toszjo. Szczerze się z tego ucieszyłem, bo wzorowy jako katolik, tylko trochę nieszczęśliwy: chory na epilepsję. Nadłamanej trzciny by nie zniszczył, dymiącego kaganka by nie zgasił. Szanowany przez wszystkich i mający wielki wpływ na kolegów, bo jest uczynny dla każdego. Do tego zahartowany w cierpieniu, które go uszlachetniło. No i artysta malarz z Bożej łaski. W jednej chwili umie rzucić na papier sylwetkę kolegi w przeróżnych pozycjach, zaznaczając charakterystyczne rysy każdego. Zapiisał się do koszykarni, ale nie zaniedbuje swej ulubionej sztuki. W pierwszych dniach po moim przybyciu do zakładu przychodzi osowiały do mnie i prosi o klucz do sypialni, bo pragnie się położyć. Co to za nowość. Nie wiedziałem, że można przewidzieć konwulsje naprzd. Toszjo po pięciu minutach już toczył pianę... A po godzinie powrócił do pracy z podkrążonymi oczami, wymęczony, ale spokojny. Zapytałem go dyskretnie, w jaki sposób poznaje zbliżanie się ataku. — Odczuwam jakby powiew na twarzy, którego na początku nie rozumiałem, ale teraz już wiem na pewno, oraz chwyta mnie jakiś dziwny strach. - Sztuka lekarska jest jeszcze bezradna wobec tych zjawisk, ale mówi się, że Japończycy już są na dobrej drodze.

## Seminarium w niebezpieczeństwie

Pewnej nocy już po dwunastej ktoś nagle zaczyna nawoływać ze wszystkich sił: Ratujcie! Pali się, pożar! Zrywam się. Sypialnia pełna dymu. Chłopcy śpią snem sprawiedliwego. Budzę ich błyskawicznie i daję nura schodami do kuchni, skąd bije żar. Kuchnia w płomieniach. Szkło od gorąca pęka i sypie się z brzękiem na cement. Chłopców wysyłam z wiadrami po wodę do studni. Na szczęście ogień zatrzymał się na oknie. Wprawdzie płomień lizały już górną ścianę i sufit, ale ks. Antoni pierwszy słysząc trzaskanie ognia, obudził się i mając pod ręką dużą miednicę z wodą, chlusnął nią jak najwyżej. To nas uratowało, bo dopalającą się część pod oknem prędko zgasiliśmy. Nie ma skutku bez przyczyny. Kucharczyk Haruki zwyczajnie wybierał popiół rano z paleniska, ale w swej gorliwości wybrał wieczorem, i jak zwyczajnie, pozostawił w drewnianej paczce pod oknem. Reszty łatwo się domyślić. Nie-wygasły ogień odżył w popiele i zapalił paczkę, potem ścianę. Tylko okno wstrzymało przerzucenie się płomieni na piętro.

Tymczasem seminarium wciąż w niebezpieczeństwie. Wprawdzie nie zostało jeszcze zamknięte, ale decyzja taka wisi na włosku. Im właściciele gorliwiej bronią, tym opozycja wzmaga atak. Jako właściciel widnieje mons. Cimatti. Zgłasza się masa ochotników gotowych wykupić teren i zabudowania. Nie znając podstępu, przysyłają zamówienia do seminarium. Najpierw zainteresowało się samo województwo, ludzie znajomi z wojewodą na czele, potem fabryka broni, skład materiałów wybuchowych (wojsko), wyższa szkoła rolnicza, nawet jakiś regiment specjalny itd.

Wszyscy na odpowiedź odmowną powołują się na ogłoszenie o sprzedaży. Wielu zgłasza się osobiście, zastrzegając sobie pierwszeństwo, bardzo dla nas korzystne, jak im się wydaje. Liczba seminarzystów zmniejszyła się, bo czasy są trudne. Kto nie dawał wielkich nadziei wytrwania, odpadał, ale czterdziestka została.

Ucieszyłem się, bo powrócił z wojny kolega Maki Sebastian. W Indochinach nabawił się malarii i został odesłany w ciężkim stanie do szpitala w kraju. Tu się wyleczył, więc będzie prowadził przysposobienie wojskowe dla seminarzystów. Po naradzie z ks. dyrektorem, poprosiłem go o przyjęcie ćwiczeń moich starszych chłopaków. Trochę się wyrobiją i wyleczą się może ze straszliwego kompleksu niższości. Ćwiczenia rozpoczną się ósmego maja. Każdego ósmego dnia miesiąca wspomina się rozpoczęcie wojny z Ameryką.

## Nowy pomysł

Maj u nas to już lato, ale miesiąc Maryi jest na pierwszym miejscu. Noszę w sercu pewien pomysł. Po radę i pozwolenie idę do ks. Antoniego. Ten mnie odesłał do księdza Leona. Tym lepiej. We czwórkę zadecydowaliśmy: budujemy scenę i robimy teatr. Jeśli asystent i chłopcy tego pragną, to niech sobie wybudują. Gdzie i jak, to ich sprawa. Tymczasem to, gdzie i jak, już pierwszej obmyślano.

Koszykarnia jest wielka i może posłużyć doskonale za salkę teatralną. Trzeba tylko zrobić podwyższenie na scenę. Niestety brak nam materiału i majstrów ciesielskich, ale są za to silne ramiona chłopców. A na nich mogę



liczyć. Są tylko jedne taczki nadające się do wożenia ziemi. Koszykarze na zmianę po dwóch pracują przez godzinę szybko i wytrwale. Przy tej okazji kopie się na uboczu duży dół, potrzebny do palenia odpadków. Ks. Leon, widząc nasz zapał, przyrzeka wykonać kulisy u stolarza według zamówienia. Płótno na tylną ścianę i na kurtynę wyprosiłem u sióstr Koreanek. Właśnie jest wolna stara kurtyna, ponieważ w Caritas założono nową. Siostra Agata postara się zeszyć kilka prześcieradeł razem. Cieszą się siostrzyczki i naszą radością, ale na własną szkodę, nie domyślając się wcale, że to oznacza koniec funkcjonowania ich teatru. Kupujemy większą ilość farb odpowiednich i pędzli. Toszio podejmuje się malowania kulisów i sceny. Chłopak nie posiada się z radości i wdzięczności, że to on właśnie będzie naszym malarzem. Podlepiamy płótno papierem, zdobytym z worków, od cementu i to na stolarskim kleju, aby scena przy malowaniu nie ulegała skurczeniu i aby można było wykorzystać obie strony: na jednej ogólna panorama, a na odwrotnej pokój mieszkalny. To samo na kulisach obitych dyktą dla wzmocnienia.

W tym czasie ks. Leon pomaga rozpisać na orkiestrę pieśni maryjne przez niego instrumentowane. Wiersze dostaję z seminarium, przemówienia przygotowują sami chłopcy. Gorzej ze sztuką do teatru. Na pierwszą uroczystość Maryi Wspomożycielki w „nowym” teatrze trzeba wystąpić w całej gali. Przydałby się jakiś utwór oryginalny, w miarę długi, ale skąd go wziąć. Wracam myślą do młodych lat w Polsce, gdzie podziwiałem i przeżywałem niejedno przedstawienie. Zdecydowałem się ni mniej ni więcej, tylko na odtworzenie „Syna marnotrawnego”. Gdy już jest cicho i chłopaki śpią, próbuję poskładać z pamięci tę rzecz, dostosowując ją do naszego środowiska i aktorów. Będą trzy odstępny: pierwsza i ostatnia w domu ojca, a druga przy pasieniu trzody. Scena to klepisko, więc i drzewek się posadzi i zrobi ogródek, a może wybierze się dla urozmaicenia coś z natury. Jeszcze jedna nowość: tekst piszę w miejscowej gwarze, a to na pewno chwyci. Przepracowuję go dwa razy z chłopcami, którzy doskonale znają tutejszy dialekt. Nareszcie przepisujemy, powielamy na woskowanym papierze. Odbicie i rozdanie roli, to już fraszka.

## **W miesiącu maju**

Pierwszego maja statua św. Józefa wędruje do studium, a w kapliczce zajmuje miejsce statua Najśw. Panny. Zaczynamy od kilku pieśni maryjnych, małego czytanka, modlitw wieczornych i dobrego słówka zachęty jednego z przełożonych. Nastroj się jednak potęguje i wytwarza się coraz większa gorliwość. Przy sklepieniu z dewocjonaliami spotkała mnie niespodzianka. Nowy młody ksiądz Japończyk z Kagoszimy, który tu mieszkał od kwietnia, zaprosił mnie na obiad. Nie wypadało odmówić. A słyszałem, że on wkrótce ma tu być proboszczem. Jego grzeczność wydała mi się naprawdę serdeczna. Prosił mnie nawet, bym go czasem odwiedził, bo jest sam. Po kilku dniach byłem znowu jego gościem, z kolei on sam ofiarował się mnie odwiedzić i obejrzeć naszą pracę. Zapewniał, że w razie jakiejś potrzeby można liczyć na niego. Inaczej obrażę się - dodał serdecznie. Dowiedziałem się przypadkowo, że on wcale nie nastawał na usunięcie misjonarzy. Trzymał się na uboczu i tylko z konieczności brał udział w zebraniach. Tak zawiązała się między nami przy-

jaźń. Opowiadał mi, że ma starszego brata księdza w Kagoshima, który studiował w Rzymie.

Na dziesiątego maja podsyp na scenę jest już gotowy, a kulisy również można malować. Dobry Toszio, zapominając o chorobie, maluje cały dzień. Pracuje powoli, ale dokładnie. Nie przyzwyczajony wykonywać to na podłodze, robi na ścianie przy pomocy stoików i drabinek. Łączy razem kilka wzorów i daje dobrą perspektywę.

Koszykarzom aż serce rośnie na ten widok. Oni też rozpoczęli już drobną produkcję. Tutejszy bambus jest piękny, zielony i łatwy do obróbki. Na skutek umiejętnych ruchów rąk łupie się na kilka warstw z wielką łatwością. Chłopcy nie dorównują instruktorowi w tempie, ale co do formy już się zbliżają do wzoru. Wykonują dwa rodzaje koszyków na owoce, łatwe w pleceniu i oszczędne w zużyciu surowca. Każdy ma zrobić dziennie dziesięć sztuk (instruktor 50). Drugi rodzaj to koszyki na sól. Materiał też drugiej jakości plecie się w kształcie stożka około 30 cm wysokiego. Praca jest bardzo żmudna i wykończenie musi być dokładniejsze. Chłopiec robi dziennie jeden lub półtora (instruktor 6). Instruktor przychodzi dwa razy w tygodniu, by uczyć nowych metod pracy. Na co dzień ja pilnuję tych zajęć. Piętnastego maja rozpoczynamy nowennę do Maryi Wspomożycielki. Członkowie Towarzystwa postanowili przystępować do komunii św. jak najczęściej, możliwie codziennie. Ćwiczenia w teatrze trwają do jedenastej wieczór. Program powielamy w dwóch kolorach, a dla dostojnych gości Toszio ozdabia kredkami. W niedzielę chłopcy roznoszą zaproszenia: do Caritas, do seminarium, dobrodziejów i znajomych, a ja do księdza z misji z prośbą o kilka słów i przecięcie wstęgi. Wszyscy zareagowali przyjaźnie, a tylko siostry Koreanki pogniewały się, zwłaszcza siostra Klara, która liczyła na naszą orkiestrę w tym samym dniu. Trudno. Ostatnie trzy dni bierzemy udział w wieczorowym nabożeństwie w kaplicy Caritas. Tam razem z wszystkimi łączymy nasze śpiewy i serca w oddaniu chwały Bogu i czci Matce Bożej i naszej. Sieroty, które nie zaznały rodzicielskiej miłości, garną się całą duszą pod opiekę Matki nad matkami. Ona jest ich ucieczką, pociechą i miłością prawdziwą.

W sobotę nabożeństwo o czwartej, kolacja o piątej, a początek akademii o szóstej. Dla gości pozbieraliśmy krzeselka z całego domu, dla młodych ławki. Po wejściowym marszu i zagajeniu, młody ksiądz przeciął taśmę i wygłosił piękne przemówienie do obecnych a zwłaszcza do naszych chłopców. Salka wypełniona, seminarium stawiło się w komplecie, z Caritas przybyło tylko kilku starsuszków, jako że tam również jest akademie. Piękna duża statua Matki Bożej jaśnieje na środku sceny wśród zieleni i kwiatów. Nasi chłopcy przewyższyli samych siebie. Nawet seminarzyści wzruszyli się i zachwycili szczerością tych, co utracili wszystko prócz Boga i Jego Matki. Toszio, prezes Towarzystwa, na zakończenie odczytał donośnym głosem akt poświęcenia się sierot Najświętszej Pannie. W wystąpieniach chłopców czuć szczerość, naturalność, odwagę. Mówią z serca do serca.

Po wierszach, śpiewach i przemówieniach zagrała orkiestra przygotowaną wiązanekę pieśni i piosenek. Inni w tym czasie zabrali się do przygotowania sceny. Uczynili to w mig, każdy miał wyznaczoną rolę w tym względzie na przód już wypróbowaną. Kilka minut przerwy i daje się słyszeć dzwonek na

otwarcie kurtyny... Teatr trwa nieco ponad godzinę. Akt drugi zapisał się na długo w pamięci wszystkich. Od kilku dni główny aktor ćwiczył swą scenę z trzódka warchlaków, wybranych z chlewa, w części naturalnie pstrokatych a w części podmalowanych. W dniu występu nie dostały stawy w południe, więc wyszły głodne na scenę. Przyzwyczajone brać z ręki, wszystkie garną się do małego gospodarza po kąski, które on rozdaje, odejmując sobie od ust. Wśród kwików i mamrotań poważnie i żałośnie biada nad własną dolą, w doskonałym narzeczu i z prawdziwym przejęciem. Oklaskom nie było końca. Niektórzy widzowie pękali od śmiechu i ronili łzy, widząc, jak biedne prosięta gryzły po bosych piętach i łydkach gospodarza, a on się od nich oganiał, rozwodząc się nad dobrocią ojca, którego tak lekkomyślnie opuścił. Wreszcie klęka na środku sceny wśród gromady pchającej się na niego trzody. Postanawia powrócić i rzeczywiście rusza, a zgraja za nim z kwikiem i mruzeniem. To był już szczyt wszystkiego. Akt trzeci, mimo całej powagi nastroju i aktorów, nie uspokoił widzów. Okazało się, że syn marnotrawny bardziej się podobał niżeli dobry ojciec.

Cel, zdaje się, został osiągnięty, lody stajały. Wszyscy chłopcy są święcie przekonani, że impreza udała się wyśmienicie właśnie dzięki ich współpracy, a więc nie są już tylko dla nas zawadą. Samą uroczystość kościelną następnego dnia przeżyli bardzo głęboko. Patrzą teraz śmiało w oczy każdemu i także siostrze, które przygadują im, że pogardzili lepszym i piękniejszym salonem. Staruszkowie zaś zrobili nam najlepszą propagandę: rozgłosili, że w teatrze występowali prawdziwi aktorzy z miasta, przebierani za chłopaków i mówiący miejscowym językiem. To nas najwięcej ubawiło. Chłopcy zażądali ode mnie oceny. Po dłuższym namyśle powiedziałem im uroczyście, że najlepiej, wprost bezkonkurencyjnie, odegrały swą rolę świnki, bo robiły to bardzo naturalnie, a chłopcy paplali słowa wyuczone na pamięć jak papugi i to słowa bardzo kiepsko przeze mnie napisane. Żaden nie odważył się wyrazić własnego zapatrywania, i myślę, że nie był przekonany o tym co mówi. Jestem więc zdania, że to był prawdziwy teatr! Chłopcy przyjęli tę ocenę wielką owacją.

Te sielskie chwile stały się również nagrodą za wspólny wysiłek. One nas złączyły tak, że czuję w zachowaniu chłopaków jakby słowa wyrzeczone przez grupkę chrześcijan odkrytych po przeszło dwóch wiekach prześladowań - „nasze serca są takie samo jak twoje”. Czy nie nadejdzie jednak czas, w którym znowu spadnie szron i zwarzy te młode latorośle otwierające się tak ochotnie na promienie łaski i życia? Albo nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje...

## Awantura

Przekonałem się prędko, że życie jest utkane z odmiennych od siebie wydarzeń i reakcji. Kilku chłopaków okazuje niezadowolenie. Starali się nawet ośmieszyć tę całą imprezę. Udawałem, że tego nie widzę, traktując ich na równi z innymi, ale szybko musiało wyjść szydło z worka. W poniedziałek „rolnicy” w skromnej liczbie udają się do ciężkiej pracy przygotowania pól ryżowych. Brat Szczepan prosi mnie na jutro o pomoc nadzwyczajną, więc przyrzekam mu wysłać ochotników. Tymczasem koszykarz nie przyszedł. Porządkujemy na razie wszystko po uroczystości, a po południu wracamy do ro-

bienia koszyków. Tamotsu, Tomio i Eiczi, trójka, co najwięcej bruździła przez cały miesiąc, są jacyś osowiali, niespokojni. Znamy się na tym. Znosi się na pewno na większą awanturę. Wiem już z doświadczenia, że w takich chwilach trzeba się zamienić w oczy i uszy. Biedni chłopcy, oprócz nieszczęścia rodzinnego, noszą w sobie inne mole podgryzające ich równowagę psychiczną.

Nie ruszam się z posterunku: obchodzę spokojnie każdego, przeglądam tak prawie od niechcenia robotę, uśmiechając się z zadowoleniem. Nawet To-sziszio struże i wypłata ze spokojem a w tym miesiącu, o ile pamiętam, nie miał jeszcze ataku. Zanim zbliżyłem się do Tamotsu, on wychodzi. Po kilku chwilach słysząc wrzaski, to głos Yoszifusa, młodszego brata kuchcika Huruki, grzejącego wodę na kąpiel w jednej chwili jestem w drzwiach, dając chłopakom znak ręką, by pozostali na miejscu. Domyślam się wszystkiego: Yoszifusa trochę umyślowo niedorozwinięty umie dokuczyć, chociaż wbrew woli, bo naśladowując innych, powtarza usłyszane żarty. Widocznie i teraz coś musiał powiedzieć Tamotsu, bo ten, rzucając nim o ziemię, depce po nim drewniakami, a to wielkie chłopisko w porównaniu z tamtym dzieckiem. W mgnieniu oka odpycham draba i prowadzę ku stajni z bydłem, skąd na krzyki wybiegł brat Józef i jego pomocnicy. Ochłonawszy trochę, oddaję go spokojnie do pomocy przy bydle aż do wieczora. Wtedy wszystko wyjaśnimy. Tymczasem malec, dobrze potarmoszony i podrapany, pali w piecu z całą gorliwością. Tamotsu poszedł na jakiś czas do pomocy rolnikom. „Kto nie potrafi opanować nerwów, niechaj nie przyjeżdża do Japonii. Tu tylko zimna krew panuje nad sytuacją.” - pamiętam święte słowa mons. Cimatti’ego.

Na drugi dzień zaczyna padać. Zbliża się pora deszczowa od południa. Powietrze wilgotne i ciężkie, powodujące w gardle wrażenie torsji. Koszykarka znowu nie ma już trzeci dzień. Chłopcy pracują bez słowa, chociaż nie ma nakazu milczenia. W powietrzu pachnie burzą. Mam nadzieję, że po wczorajszym zajściu dzisiaj będzie spokojnie. Biegnę do domu po parasol i wracam, ale niestety za późno. Znowu wrzask. Z trudem wybiega kulawy Dziutaro, wołając na cały głos: „zamordowali mnie, zamordowali!” Pytam: co, jak, kto? — „Niedźwiedź mnie przebił nożem na wylot, ratunku”. Prowadzę go do domu. Mocno kuleje. Patrzę, rzeczywiście koszula na plecach skrwawiona. W tej chwili wraca z pola brat Szczepan. Proszą go, by zajrzał do koszykarni, a ja ciągnę biedaka do pokoju ks. Leona, gdzie jest apteczka. Pomagam mu zdjąć koszulę i podkoszulkę. Na łopatce rana krwawi dość obficie. Obmywam na prędcie krew: cięcia na trzy cm. Wycieram lekko i stosuję watowany bandaż, zawiązując wszystko szeroką szarfą od kimona na krzyż przez piersi. Na to kładę zapinaną koszulkę, płaszcz nieprzemakalny i prowadzę na dół. W tym czasie brat Szczepan przygotował już rower, wsadził chłopca na bagażnik i pojechali pod deszcz do lekarza.

Wracam do koszykami. Wszyscy pracują dalej bez słowa, tylko „niedźwiedź” stoi na swym miejscu czerwony, zapłakany i trzęsie się, jak osika na wietrze. Na mój widok pada na kolana i przeprosza z głową pochyloną do samej ziemi. Znam go już: to Eiczi, chłopak prawie siedemnastoletni o wielkiej budowie ciała, ale słabej głowie. Samo przyzwiśko mówi już wiele o nim. Jest bardzo wrażliwy na zmiany klimatyczne. Sam nawet niezły, ale wybucha nagle bez głębszego rozumowania. Bardzo zazdrosny i podejrzliwy. O co im

poszło? O sztukę koszykarską. Dziutaro jest kaleką. Ma jedną nogę krótszą, ale odznacza się inteligencją i pojętnością.

Od samego początku zdecydował i wybrał sobie zawód koszykarza. Jest najlepszy ze wszystkich, robotę wykonuje doskonale, a w szybkości dwukrotnie przewyższa wszystkich innych. Eiczi chciał by mu dorównać. To mu się nie udało, więc w obliczu własnej przegranej bez namysłu pchnął go nożem w plecy. Lekarz założył trzy szwy i dał kulawemu dwa dni wypoczynku, a Eiczi poszedł do pomocy w pracy na roli na czas nieokreślony.

## Sadzenie ryżu

W Japonii wydarzeniem wielkiej miary jest sadzenie ryżu. Sieje się go pod koniec marca na dobrze uprawionych i nawodnionych zagonach. Gdy wyrosnie około 30 cm, właśnie w okresie deszczów, przesadza się po kilka ździebełek razem, równiutko według rozciągniętych na sznurku znaków. Dzięki temu we wszystkich kierunkach stoi jak w rzędzie, ułatwiając późniejsze plewienie trawy i poruszanie ziemi tak ręcznie jak maszynkami. Nasi rolnicy przygotowują właśnie pola wypełnione wodą. Zwyczajnie używa się do tej pracy krów, bo konie zapadają się w miękkim mule i szybko się męczą, w porze deszczowej zdarzają się dni pogodne. Wtedy i szkoły na wsi dają wolne od nauki, by dzieci, wedle swej możliwości, dopomagały w tym doniosłym przedsięwzięciu. Z początkiem czerwca robi się nagle pogoda, więc do dzieła, w domu pozostają tylko chłopcy zajęci dobytkiem i kucharze, a my jak jeden, zaopatrzeni w kapelusze przeciwsłoneczne ze słomy, idziemy na bosaka w błoto po kolana. Słońce z góry przygrzewa bez miłosierdzia, a w nogi chłodno aż się mdło robi. Od czasu do czasu trzeba spojrzeć na łydki, bo w błocie jest pijawek bez liku.

Zagrożeni na zdrowiu nie powinni wchodzić do błota, dlatego Toszio i Dziutaro, trzymają na przeciwnych brzegach stajania sznurek ze znakami, posuwając się naprzód. My jednym rzędem rozkładamy się regularnie od końca do końca. Na każdego przypada około pięć metrów sznurka, piętnaście sadzonek za każdym razem. Po ukończeniu jednego stajania trzeba wypocząć, a kto nie czuje się wystarczająco dobrze, przerywa pracę, bo to niebezpieczne nawet dla życia. Łatwo jest o udar słoneczny albo zawał serca. Codziennie słyszy się o wypadkach nagłej śmierci nawet wśród dzieci, więc wielka ostrożność jest tu konieczna. Mówi się, że głowa jest w ogniu, a nogi w lodzie. Pogoda wytrzymała cały tydzień. W radosnym nastroju ukończyliśmy sadzenie na obszarze półtora hektara, podzielonego na małe półka jak na szachownicy, a to dla łatwiejszej pracy w sadzeniu, nawadnianiu, plewieniu i wykonywaniu innych czynności.

Na św. Antoniego wieczorem urządziliśmy trochę hałasu z muzyką, śpiewami, a ks. dyrektor okazał się bardzo wdzięczny i zadowolony. Powiedział: przyjmuję to jako pożegnanie, ponieważ kończę swój urząd i udaję się na mieszkanie do seminarium. Moje miejsce zajmie jako dyrektor ks. Leon. W tej chwili wszedł niespodziewany nasz ks. inspektor mons. Cimatti, witany owacyjnie przez wszystkich śpiewem i muzyką. Dziękując nam, potwierdził to, co już oznajmił ks. Antoni, a czego nikt z nas się nie spodziewał ani też domyślał.



## Bóg z nami

Wojna trwa nieubłaganie. Jesteśmy od niej bardzo daleko, ale skutki odczuwamy. Dla obcokrajowców istnieje specjalna tajna policja. Zwyczajni śmiertelnicy japońscy również nie mogą narzekać na brak jej opieki. Oprócz misjonarzy nie ma w Miyazaki innych obcokrajowców, więc opiekuna mamy jednego. Mieszka na posterunku policji, ale jest niezależny od „granatowych”, bo to strój trochę międzynarodowy. Odwiedza nas od czasu do czasu i wypytuje o zdrowie, pogodę... Zawsze pojedynczo, sam na sam.

W seminarium było już kilka „poważnych” wypadków z wychowankami Koreańczykami. Takim nie dowierza się jak węzom jadowitym: mały czy duży, zawsze niebezpieczni. Od kwietnia zostali odesłani do domów, a pozostał tylko nasz Dziro jako sierota.

Na Jana kończą się deszcze. Dla naszych chłopców pracujących na roli zbliżają się najtrudniejsze chwile. Podzieleni są na robotników dziennych i nocnych. Dzienni mają pół hektara jarzyn do uratowania i zebrania. Nocni po kolacji udają się na pola ryżowe, by przez całą noc je nawadniać, wspinając się na zmianę po misternie wykonanym „kole młyńskim”. Praca to bardzo męcząca i wyczerpująca. O świcie wracają jak struci, by po mszy św. i śniadaniu udać się na spoczynek aż do podwieczorku, który jest dla nich jednocześnie obiadem. I tak bez przerwy. W ostatnią niedzielę czerwca łączymy trzy uroczystości, obchodzone razem przez trzy wspólnoty: seminarium, Caritas i naszą szkołę. Są to: uroczystość Serca Jezusowego, Piotra i Pawła oraz procesja Bożego Ciała. Dwa ołtarze przygotowuje seminarium, a Caritas i my po jednym. Odległość między seminarium i nami wynosi około trzysta metrów. Wierni z misji biorą na siebie przystrojenie drogi. Pierwszy raz połączymy razem nasze dwie orkiestry, w sumie czterdzieści osób, to już potęga, jak na nasze warunki. Tylko wojsko posiada liczniejszą. Takiej uroczystości Miyazaki jeszcze nie widziało. Procesja trwała od czwartej do szóstej po południu. Wprawdzie upał dał się we znaki, ale wiatr od morza łagodził ten skwar.

Figi już dojrzewają. Obrodziły dość bogato, a nas to wesprze niemało. Koszykarze wysyłają już koszyki na jarmark. Do tego czasu brał je sam instruktor, ale za pół ceny. Zrezygnował jednak z pracy u nas. Trzeba więc będzie szukać następcy. Chłopcy potrzebują dalszej instrukcji zwłaszcza, że nowe wzory są coraz to trudniejsze do wykonania, ale też bez porównania dają większy zarobek i zadowolenie.

Tymczasem deszczu jak nie ma tak nie ma. Posucha zaczyna dawać się we znaki i nam. Przerywamy zajęcia w koszykarni. Chłopcy angażują się do pracy przy jarzynach, podczas gdy rolnicy spędzają noc przy nawadnianiu pól ryżowych. Rezygnujemy nawet z ciepłej wody do kąpieli, korzystając z rzeki. Na Zielną jest już dawno po żniwach pszenicznych, zakończonych

w czerwcu. A tymczasem ryż będzie gotowy dopiero za dwa miesiące, więc ani wieńców ani dożynek. Inny kraj, inne życie i obyczaje. Nawet w dni świąteczne trzeba ratować dary Boże. Ludność pogańska urządza specjalne modlitwy o deszcz. Słychać bębnienia. I zawodzenia jak za czasów Eliasza. Od dwóch miesięcy nie ma kropli deszczu: ziemia popękana nawet na drogach, rzeki wysychają, a w studniach nawet głębokich też niewiele już wody zostało. Pola ryżowe tu i tam zaczynają bieleć. Jeszcze kilka dni i kłeska gotowa: wszystek ryż wyginie. Jak trwoga to do Boga. Odprawiamy trzy dni modlitw. W nabożeństwie biorą udział trzy wspólnoty i chrześcijanie z misji. Rozpoczynamy procesje od 24 do 26 sierpnia, śpiewając litanie i suplikacje wśród polnych dróg. W ostatni dzień pokazują się chmury a następnego spadają wielkie deszcze. Przeszedł tajfun. Na szczęście zahaczył o nas tylko ogonem i bez wielkich wiatrów obdarzył kraj obfitością wody. Pola ryżowe wypełniły się po brzegi, w zaporach nagromadziło się sporo wody i tak dary Boże zostały uratowane.

## Budowa kapliczki

Na miesiąc wrzesień mamy kilka nowych projektów, ale najważniejszy to urządzenie własnej kaplicy. Już dawno zwróciłem uwagę na małą klasę szkolną, znajdującą się na prawo od pokoju gościnnego. Zwierzyłem się księdzu Leonowi, który jest tego samego zdania, ale trzeba tę rzecz jeszcze przedyskutować. Tymczasem rozpoczynamy rekolekcje zamknięte dla chłopców. Kazania głosi ksiądz misjonarz z Miyakonodzio, ten co mnie zaprosił na pogrzeb z seminarium. Pola ryżowe nawodnione. Pilnych prac nie ma. Trzy dni wypoczynku zrobią dobrze sierotom i nam wszystkim. Jako miejsce zebrania wybieramy pokój gościnny, w pierwszym dniu nasz misjonarz rozpoczął od rzeczy ostatecznych: o śmierci i sądzie. Widać, że na chłopcach zrobiło to kolosalne wrażenie.

Na drugi dzień rano spostrzegam, że dwa łóżka są próżne: Tamotsu i Tomio zniknęli. Daliśmy znać policji. Przychodzi zawiadomienie, że wczoraj o dwunastej w nocy dwóch młodzieńców wsiadło do pociągu z powołaniem do pracy w Yawata. Nazwiska się zgadzają. Tak więc podrobili ze starego pozwu Tomio na dwóch i pojechali gratis. Mówiąc prawdę, to nawet ulżyło mi na sercu, bo już nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić dla nich. Brat Szczepan, filut jak zawsze, powiedział, że wszystkiemu są winne zbyt mocne kazania o śmierci i sądzie: chłopcy miękkiego serca wystraszyli się i uciekli. Biedny misjonarz bardzo się tym przejął. Nastrój rekolekcyjny, a jednak wyraźnie czujemy wszyscy, że czegoś nam brak. „Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje, daremnie nad nim rzemieślnik pracuje”. Zdaje mi się, że wybiła godzina, by wyjawic moje zamiary: brakuje nam Jezusa eucharystycznego i dopóki Go nie będziemy mieli pod jednym dachem, niewiele dokonamy sami. Dni skupienia mijają spokojnie i kończą się owocnie.

Ks. misjonarz, jako pierwszy dobrodziej, ofiaruje nam stary ołtarz z zakrytą, ale bez tabernakulum i tronu na wystawienie. O tym już my pomyśleliśmy. Liczymy, że za miesiąc na M.B. Różańcową poświęcimy nową kaplicę. W wolnych chwilach chłopcy przenoszą ławki szkolne, myją podłogę, którą się trochę pohebluje i wymaluje. Trzeba będzie na nowo odmalować sufit

i ściany. Trudno dojść do ostatecznego porozumienia: każdy ma własny projekt, a wszyscy pragnęliby jak najokazalej, mimo ubóstwa środków, którymi rozporządzamy. Wreszcie ks. Leon rozwiązał trudności: zakupił specjalną tapetę na ściany, a na okna imitację witraży. Tylko sufit będzie do pomalowania. Zaczynamy od sufitu i podłogi, po nich klei się ściany. Na papier witrażowy trzeba jeszcze zaczekać kilkanaście dni. Nadszedł również ołtarz. Moję tabernakulum ofiaruje niezastąpiony ks. Leon. Ja zabieram się do robienia tronu. Robimy rysunek na spółkę z Toszio i puszcza my dłutka w ruch. Nadeszło też pozwolenie od biskupa na przechowanie Eucharystii w kaplicy. Otrzymaliśmy również piękny deseniowy papier na szyby-witraże. Tylko dopasować i przykleić. Rozpoczęliśmy też nabożeństwo różańcowe.

## Śmierć Haruki

W nocy budzę się, bo jakiś chłopiec marudzi. Wstaję odsuwam siatkę na komary: to Haruki, nasz kuchcik. Mówi, że mu noga drętwieje. Nocami robi się już chłodno. Przykrywam mu nogi kocem i idę spać. Za jakiś czas znowu ktoś charczy. To ten sam: noga znowu wystaje mu z łóżka. Powiada, że gardło i szyja drętwieją, ciągnie go za plecy. Budzę księdza Leona, ale on bezradny. Jest trzecia rano. Chłopak rzezi i rzuca się. Biorę krzeselko i siadam obok Haruki, tymczasem w oknach już świta. Dzisiaj niedziela więc w Caritas lekarza nie będzie. Mimo wszystko biegnę tam i proszę, by zatelefonowali do szpitala: polecają przywieźć chorego. Z chłopcem udaje się ks. Leon.

Po śniadaniu wracają. Haruki spokojny, tylko ks. Leon jakiś wzruszony. Na osobności mówi mi szeptem, że chłopak otrzymał zastrzyk uspokajający, ale go już nie uratujemy, bo to jest tęzec. Przyznał się u lekarza, że na początku września przebił sobie nogę przy pracy koło bydła i natychmiast posmarował ranę jodyną i zapomniał o tym, nie mówiąc już nikomu. Lekarz powiedział, że zastrzyk uśmierający będzie skuteczny około dwanaście godzin, a potem nastąpią ataki. Poleciał przygotować chłopca na wszystko najgorsze. Haruki poszedł z ks. Leonem na ostatnią Mszę Św. i Komunię Św., nie zdając sobie sprawy z grozy sytuacji. Patrę uparcie na chłopca i spuszczam oczy, gdy on się do mnie zwraca. Tyle pytań garnie się do głowy bez odpowiedzi. Caritas już wie o wszystkim. Siostry Koreanki przyszły pierwsze za sprawunkiem i przypadkowo rozmawiają z Haruki, słyszały bowiem, że trochę niedomaga. Polecily mu na pożegnanie, by zaufał we wszystkim Matce Bożej. Na obiedzie Haruki niewiele jadł, ale pił uparcie. Potem zabrał go ze sobą ks. Leon do nowej kaplicy i tam jakby dla zabawy przeglądają nowe witraże. W międzyczasie mówi chłopcu, że choroba nie została wyleczona, ale tylko uśmierzona, więc może prędko powrócić. Wypadałoby nawet odprawić spowiedź z całego życia, dopóki wszystko jest dobrze. Haruki z wielką naturalnością zaufał słowom przełożonego. Wkrótce wypowiedział się serdecznie u ks. Leona. Nadchodzimy do kaplicy z chłopcami i cieszymy się jej widokiem. Haruki zapytuje, czy ze Mszą Św. poczeka my do środy. Z kuchni do kaplicy tylko dwa kroki: będzie często odwiedzał Pana Jezusa.

Okolo czwartej trochę osłabł. Powiada, że myśli się płaczą. Odprowadzam go do sypialni, kładzie się i zaczyna ciężko oddychać. Pozostawiam ks. Leona



przy nim, a sam schodzę i posyłam chłopca po ks. Antoniego do seminarium. Ks. Antoni przychodzi z Olejami, by udzielić chłopcu Sakramentu Chorych. Śledzi z wielką uwagą i skupieniem całą ceremonię otoczony kolegami, którzy też pierwszy raz asystują choremu, niczego nie przeczuwając. Udaję się z ks. Antonim do Caritas, by jeszcze raz zawołać lekarza. Siostra sekretarka mówi, że lekarz już dzwonił z zapytaniem o chorego. Prosił, by go nie wołać, bo i tak już nic nie pomoże. Zastrzyku przeciw tężcowi nie zastosował, gdyż go wcale nie ma, a chociażby go nawet miał, to szkoda go dla dziecka, podczas gdy tylu zasłużonych żołnierzy umiera z braku surowicy... Tego ostatniego wyrażenia nie mogę mu jakoś darować. Wróciłem jeszcze bardziej przygnębiony.

Tymczasem ks. Leon delikatnie powiadomił chłopców, jak się naprawdę przedstawia sytuacja. Zrobiło się cicho. Na kolacji siedzą bez słowa i mało który bierze coś do ust. Haruki jest lubiany, a teraz jego godziny są policzone. Sam nie mogę nic przełknąć. Zbieram chłopców grupkami i idziemy się modlić obok łóżka chorego, który robi bardzo silne wrażenie na wszystkich, zwłaszcza na psotnikach. Haruki powtarza za mną krótkie akty strzeliste. Godzi się z wolą Bożą, ofiaruje swoje cierpienie także za kolegów mniej dobrych, prosi ich o opamiętanie i powrót do życia chrześcijańskiego. Przeprasza Boga za własne winy i za winy nas wszystkich. Ataki przychodzą coraz to mocniejsze i dłuższe. Kurcz mięśni nie pozwala nabrać powietrza, więc twarz ciemnieje. Trwamy przy chorym z zapartym oddechem. Robi się ciemno. Bracia z grupką najmniejszych idą do góry, a my sprzątamy jadalnię, kuchnię. Każdy samorzutnie szuka dla siebie jakiegoś zajęcia. Wkrótce przychodzi ks. Leon i oznajmia, że Haruki wyzionął ducha. Słychać cichy szloch. Idziemy razem odmówić pierwszy różaniec o spokój duszy Pawełka. On prawie uśmiechnięty: ciężkie konwulsje zamieniły się już w spokojny wieczny sen. Stoimy niemi... przerażeni... Nikomu się nie spieszy, nikt się nie wierci. Schodzimy na dół, już nikt nie płacze, wszystkich trawi suchy ból.

Po śniadaniu rozsypali się wszyscy do pracy, a ja z jednym pomocnikiem Toraharu zabraliśmy się do zrobienia trumny. Przed południem złożyliśmy do niej zwłoki i postawiliśmy w kaplicy na urządzonej z ławek katafalku. Chłopcy, powracający na obiad z pracy, modlili się w kaplicy przy trumnie kolegi... Lekarz polecił pochować jak najprędzej, więc o piątej po południu urządzamy pogrzeb. Prowadzi ks. Leon w asyście ks. Antoniego i młodego proboszcza. Po egzekwiach w kaplicy, koledzy niosą trumnę na cmentarz, odległy zaledwie o dwieście metrów. Przybyło całe seminarium, mali chłopcy z Caritas, siostry Koreanki i kilku innych; cały kondukt liczył około setki osób.

Na cmentarzu grób kopie się wspólnie. Położyliśmy więc zwłoki na ławeczkach, a koledzy na zmianę kopią grób, obecni zaś odmawiają różaniec, przeplatany pieśniami żałobnymi. Słowa pożegnania czyta młodszy braciśzek Yoszifusa i prezes Towarzystwa św. Józefa, bo Haruki też do niego należał i pracował bardzo owocnie. Zaspujemy grób i wracamy bez słowa.

## We własnej kaplicy

Następnego dnia ostatni raz udaliśmy się do kaplicy w Caritas. Powracając, zabraliśmy ze sobą bieliznę kościelną, przygotowaną przez siostrę Agatę: trzy kolory szat liturgicznych, jeszcze dwa ofiaruje seminarium wraz z ma-

łym harmonium do kaplicy. Piękną statwę Serca Jezusowego i obrazy Drogi Krzyżowej ofiaruje ks. Leon ze sklepika. Przy tej okazji dziękuję księdzu proboszczowi za wczorajszą przysługę w czasie pogrzebu. On natomiast wręcza ciastka pogrzebowe dla wszystkich, bo my nawet o tym nie pomyśleliśmy. W Japonii przyjął się taki zwyczaj nawet wśród chrześcijan, tylko że nie składa się ich na grobach.

Ławek w kaplicy nie mamy, mat japońskich też nam brak. Rozciągamy więc wielki dywan i na nim jak na matach rozłożą się chłopcy; może kiedyś wystaramy się o poduszkę do siedzenia dla każdego. Mimo serdecznej żałoby czujemy się jednak podniesieni na duchu dzięki posiadaniu własnej kaplicy. Rozkład dnia również uległ zmianie: wstajemy o szóstej, zamiast o piątej trzydzieści jak dotąd. Zakrystianinem i kościelnym zarazem będzie każdorazowy prezes „Towarzystwa” wybierany co sześć miesięcy.

Nadszedł nareszcie oczekiwany dzień Matki Bożej Różańcowej. Najpierw odbyło się poświęcenie kaplicy, a potem nasza pierwsza msza św. odprawiona przez naszego dyrektora ks. Leona. W krótkim kazaniu podał kilka myśli zachęty. Od dzisiaj zamieszka razem z nami nasz Gospodarz, prawdziwy Przełożony tego domu. Jeden raz w tygodniu przyjdzie spowiednik z seminarium i będzie do naszej dyspozycji. Po Przemienieniu zaświecimy wieczną lampkę, która nas będzie zachęcać, aby całe nasze życie płonęło bez przerwy w obecności Boga. Gremialna komunie św. złączy nas w jedną rodzinę przy Stole Pańskim, małych i dużych, przełożonych i podopiecznych jako synów tego samego Ojca, który jest w niebie. Wszyscy czujemy, że na takie chwile trzeba sobie zarobić i przy łasce Bożej pracowaliśmy na to.

W niedzielę na zebraniu zostaje wybrany prezesem Toraharu, największy dryblas i najspokojniejszy człowiek na świecie. Pracowity do upadłego a posłuszny jak dziecko. Wiemy w tajemnicy przed kolegami, że na wiosnę uda się do seminarium, ale teraz pragnie się nauczyć sztuki koszykarskiej i rzeczywiście w niej celuje. On będzie również kościelnym. Wszyscy są zadowoleni z wyboru, nawet nie należący do Towarzystwa. Jego dobry wpływ na kolegów staje się coraz bardziej widoczny.

## **Dzień... jak co dzień**

Od początku września spora grupka naszych chłopaków ucześnie na ćwiczenia przysposobienia wojskowego. W połowie listopada mają wykazać się ze sprawności przed pułkownikiem, który w asyście przeprowadzi kontrolę hufca w seminarium. Przygotowania są naprawdę alarmujące. Złe wyniki mogą zadecydować definitywnie o zamknięciu seminarium, ponieważ dzisiaj na pierwszym planie stoi wojsko. Uroczystość Wszystkich Świętych i Zaduszki odświeżyły u nas wspomnienie śp. Haruki. Grób pięknie przybrany i oświetlony lampkami z papieru. Trzeciego listopada święto narodowe.

Ponieważ po wakacjach nauczyciel koszyków nie pokazał się więcej, na jego miejsce przyjeżdża z Tano już starszy rzemieślnik, który nie ogląda się wiele na uczniów, ale sam pracuje z wielką sztuką i zwinnością. Działa to dodatkowo na wszystkich i robota wre. Wydajność miesięczna jest podwójna, bo majster uczy więcej przykładem niż słowem. Teraz wykonujemy już ko-

szyki pierwszej potrzeby i jakości z twardych części bambusu, więc: kobiałki, durszlaki, nosze, koszyki na ryby i do gospodarstwa najczęściej poszukiwane i opłacalne. Dwa razy w miesiącu sami chłopcy wywożą wózkami na jarmark, sprzedając po cenie nieco niższej od koszykarzy zawodowych, stąd wyprzedają idzie błyskawicznie.

We wtorek zjawia się tajniak na rozmowę ze mną. Robię rachunek sumienia, czy przypadkowo w czymś nie podpadłem. Mój gość zaczyna wesoło od zbiorów, zdrowia i pogody. Potem, jakby od niechcienia, pyta: co ja myślę o wylądowaniu wojsk amerykańskich w Afryce. Czuję się wyraźnie zaskoczony i pytaniem i wiadomością. Nic o tym dotychczas nie mówiono, ani w radiu, ani w gazetach. Przyznaję się więc do zupełnej niewiedomości. Mógł to być nawet podstęp, czy nie mamy tajnego radia.

Na sobotę i niedzielę są wyznaczone ostateczne ćwiczenia, a w poniedziałek szesnastego zbiorowy pokaz przed władzami. Kolega Maki stara się wykrzesać z naszych wychowanków jak najwięcej.

Postanawiam zbudować szopkę w jednej z sal. W poniedziałek udaję się rowerem do lasu po mech. Po jakimś czasie znajduję stary mech, żółty jak złoto, lekki i pulchny. Wypełniłem nim szczelnie dwa worki. Przeprawa przez most ułożony z okrągłaków bez poręczy i podsypiania na równo ziemią natrafia na kłopoty. Ręce drżą przy kierownicy. Nabieram rozpędu i przelatuję prawie cudem na drugą stronę nad rzeczką. Po powrocie dowiaduję się, że inspekcji nie było. Nastąpiła pomyłka: wizyta ma się odbyć szesnastego grudnia, a więc o cały miesiąc później. Podają mi jednak i inną wiadomość, że policja przyprowadziła dwóch uciekinierów: Tamotsu i Tomio. Policja była zdecydowana odesłać ich do domu poprawczego, ale ks. Leon ujął się za nimi i przyjął ich aż do ukończenia osiemnastu lat. Tamotsu będzie u nas do lipca przyszłego roku, a Tomio jeszcze dwa lata.

W Japonii oblicza się wiek w podwójny sposób. Jeden urzędowy, nie różni się od europejskiego, tzn. w dniu urodzin automatycznie przybywa jeden rok. W Japonii nazywa się ten sposób „pełnoletnim”. Istnieje inny i bardziej rozpowszechniony, według którego dolicza się rok w chwili urodzin. Mogą wyjść z tego prawdziwe niespodzianki, np. ktoś urodzony w ostatnim dniu roku ma już jeden rok, na drugi dzień liczą mu się dwa latka, podczas gdy nie ma ani dwu dni. Jest to system lat „zaliczonych”. Tamotsu ma więc osiemnaście lat od pierwszego stycznia, ale pełne będzie miał dopiero w lipcu przyszłego roku. Nie sprzeciwiam się przyjęciu tych drabów, choć przysporzą oni nie mało kłopotów.

Tymczasem na dwudziestego trzeciego zapowiadają się zawody sportowe w seminarium i przychodzi zaproszenie. Postanowiono złączyć oba domy i orkiestry. Będą grać na rozpoczęcie i zamknięcie święta sportowego, oraz popiszą się wspólnym koncertem w czasie obiadu. Nasi chłopcy nie posiadają się z radości: nareszcie uznano ich za równych ze studentami. Z ogromnym zapałem przygotowują się do występu. W międzyczasie obchodzą święto św. Cecylii, patronki muzyki.

Nie wszystko mogłem przewidzieć, chociaż wolno było się domyśleć: nowe kłopoty w koszykarni z Tamotsu. Pracuje dobrze, ale mruczy pod nosem i wygaduje na księdza Leona, że się nad nim zlitował i przyjął go, a on ma już osiemnaście lat i jest Japończykiem. Nie potrzebuje więc litości od

obcokrajowca i to od tego „kudłatego” (przymówka do brody ks. Leona). Surowo go upominałem publicznie. Teraz przynajmniej w mojej obecności nie próbuje, ale zaocznie na pewno sobie pozwala. Gorzej jest z Tomio, bo tego trudno uspokoić. Wiem, że jest chory i to nieuleczalnie, więc ma dni policzone. Szkoda mi chłopaka i chciałbym przy łasce Bożej ratować go, ale sam nie wiem jak do niego podejść. Jest trudniejszy od brata, bo nie rozumuje. Kieruje się przede wszystkim uczuciem. Ukrywa banknot stu Yen, który zarobili w piekarni i przechwala się, że nikt mu nie odbierze. Trzeba to jakoś załatwić, ale jak?



## Święto sportu

Dzień św. Cecyli wypadł w niedzielę, więc koncert towarzyski udał się znakomicie. Salka wzbogaciła się o nowy obraz Świętej, wymalowany przez naszego artystę Toszio, w poniedziałek święto sportowe. O dziesiątej rano zbiórka na boisku: siedemdziesięciu wychowanków w zielonych mundurkach. W połączonej orkiestrze gra blisko czterdziestu. Na podium, miejscu honorowym, stoją profesorowie, dostojni goście, przedstawiciel wszystkich szkół miasta, Caritas, a nawet delegaci z zakładu poprawczego, z którym żyjemy w zgodzie. Na dany znak, Masao, najlepszy nasz kornecista, gra pobudkę. Dokonuje się podniesienia flagi narodowej przy śpiewie hymnu. Teraz odbywa się wspólna gimnastyka. Prowadzi ją Sebastian, ubrany w szlify podoficerskie. Z kolei następują biegi, skoki, sztafeta, pokazy i zabawy gimnastyczne. Zwycięzcy przypinają do koszulki kolorowe wstążeczki według zdobytego stopnia. Oprócz Tomio, Toszio i Dziutaro wszyscy moi chłopcy biorą udział. Ta trójka jednak jest stale w ruchu przy zapisywaniu punktów, regulowaniu programu i łączności, w nieustannej współpracy z seminarzystami. Pierwsza część zakończyła się punktualnie w samo południe. Piętnaście po dwunastej będzie wspólny obiad spożywany na murawie w cieniu drzew obok kapliczki Serca Jezusowego. A danie dzisiaj specjalne: ryż, mięso, jarzyny, owoce. Wszystko to plon pracy naszego domu. Orkiestra sierocińca zaczyna grać wesołego marsza-polkę, bo oto od strony drogi rusza pochód. Najmniejsi chłopcy z Caritas, przebrani za krasnoludków, otaczają mały wózek, ciągniony przez kozę. Na ich czele kroczy ubrany za kuchcika Yoszifusa, braciszek zmarłego Haruki. Na wózku znajduje się obiad: wielki kocioł ryżu, dymiący i pociągający swoim zapachem, paczka z jarzynami, owoce, nawet ciastka swojej roboty. Pochód objeżdża całe boisko dookoła wśród oklasków i krzyków całego zgromadzenia. Najwięcej radości wywołała koza; zachowywała się bardzo poważnie i doskonale grała swoją rolę, idąc wiernie za kucharczykiem. Wyuczył ją tego zmarły Haruki.

Druga część trwa aż do wpół do szóstej. Jest jeszcze mała przerwa na podwieczorek z ciastek i owoców, a potem ciąg dalszy i uroczyste zakończenie. Wracamy do domu zmęczeni, ale szczęśliwi. Los uśmiechnął się pierwszy raz tak pomyślnie, sieroty zebrały uznanie i dobrze zasłużone pochwały. Rano o trzeciej przechodzę sypialnię, chłopcy śpią jak susły.

## Sto Yen

Nawet Tomio zmęczony wczorajszą bieganiną gwiżdże przez nos z rozłożonymi rękami. Podchodzę zdecydowanie do niego, delikatnie odpinani guzik kieszonki na piersiach, wyciągam sakiewkę i idę do umywalni. Tu wyjmuję banknot stu Yen i zawracam. Wstrzymuję się jednak i podchodzę do

stosiku ciętych na ćwiartki gazet: zdejmuję jedną z gwoźdźcia, łamię ją w kilkoro, wkładam do sakiewki i spokojnie powracam na spoczynek. Na dźwięk budzika wstaję prawie automatycznie, jak zawsze, chcąc zapomnieć o nocnej przygodzie, lecz wszystko staje mi przed oczyma. O szóstej budzę bractwo klaskaniem w ręce. Tomio ociąga się ze wstaniem. Siedzi na łóżku z sakiewką w rękę i mruczy jak niedźwiedź. Na moje nalegania wstaje i idzie wprost wściekły do umywalni. Inni natychmiast zauważyli jego dziwne zachowanie. W czasie śniadania wyszło na jaw, że Tomio zgubił sto Yen. Wszyscy myśleli, że w czasie wczorajszych zawodów, ale on przeczy temu. Wypadek ten stał się przedmiotem rozmów i dowcipów w całym domu. Wkrótce oddałem banknot ks. Leonowi. Tymczasem ks. Leon zawołał Tamotsu, który powraca po dłuższej chwili, i ogłasza, że pieniądze ma ks. Leon, wręczone mu przez jednego z chłopców. Ja mam je wpisać na książeczki Tamotsu i Tomio. Sprawa wkrótce ucichła.

## Grudniowe wydarzenia

Grudzień niesie zawsze wiele urozmaiceń w domach salezjańskich: św. Mikołaj, Niepokalana, Boże Narodzenie. W uroczystość Niepokalanej przypada pierwsza rocznica wojny z Ameryką (wybuch 8 XII 1941), więc szkoła ma wyznaczoną urzędową część śpiewów i przemówień, w czasie obiadu słuchamy z radia przemówień i przebiegu uroczystości państwowych. Przybyło też kilku najbliższych misjonarzy i garstka miłych zawsze dobrodziejów. Po uroczystych nieszpórach i błogosławieństwie udajemy się do salonu na bogatą akademię z występami. Na zakończenie powtarzamy „Syna marnotrawnego”. Owacjom nie było końca, choć świnki tym razem nie występowały.

Piętnastego odbywają się ostateczne ćwiczenia hufca, a szesnastego inspekcja wojskowa. Punktualnie o wpół do dziewiątej przyjeżdżają samochody wojskowe z pułkownikiem na czele. Od dziewiątej do dwunastej trzydzieści trwają ćwiczenia. Kolega Maki czuje się w swoim żywiole, a chłopcy wykonują składnie każde polecenie, pewni siebie i swego dowódcy. W końcowej rozmowie pułkownik wyraził swoje zadowolenie a dowódca hufca na całe województwo podziękował, oświadczając, że to jest najlepszy oddział w województwie, chociaż liczbowo mniejszy od innych. Dowódca Maki otrzymał specjalną pochwałę, gdy zaś opowiedział o swych przygodach na froncie, pułkownik podał mu rękę, co jest rzeczą niespotykaną.

Wieczorem rozpoczynamy nowennę do Bożego Narodzenia śpiewaną po łacinie. Przeżywamy to głęboko i radośnie. Do „szopki” angażują się prawie wszyscy. Toszio maluje krajobraz betlejemski, inni przygotowują skały, potoki, wodospady, fale morskie (jesteśmy w Japonii) a spece maszynierę do uruchomienia postaci aniołów, pasterzy, trzody, a nawet gwiazd. Wśród pasterzy będą figurki podobne do chłopaków z sierocińca. Myśli o tym Toszio, który przekształca się w rzeźbiarza z Bożej łaski. Na wieczór wigilijny jesteśmy znowu zaproszeni do seminarium. Spędzamy tam czas na śpiewaniu kolęd i przyjemnych rozrywkach z bogatą loterią. Tym razem cała nasza rodzina, nawet Tamotsu i Tomio, po spowiedzi przystąpiła do komunii św. Dawne sprawy poszły w zapomnienie.

Dni świąteczne szybko minęły. Oprócz naszych chłopców, którzy bez końca wysiadają przy szopce, śpiewając kolędy, zawsze ktoś przychodzi z Caritas lub z miasta i prosi o jej uruchomienie: seminarzyści siostry, dzieci, staruszkowie, a nawet koledzy szkolni niechrześcijanie. Tym ostatnim sami chłopcy tłumaczą znaczenie obrazów i prowadzą nawet do kaplicy. Prezes jest główną sprężyną tych spotkań, a Toraharu umie się zachować i pociągnąć. Część urzędowa odbywa się w salonie, a potem msza św. w kaplicy, śniadanie i obiad ze słynnymi ciastkami z ryżu, wspólne zabawy i rozrywki noworoczne, podwieczorek, piękny film z krainy Eskimosów, kolacja i powrót. Obsługa gospodarstwa została tak zorganizowana, by wszyscy mogli uczestniczyć w rozrywkach. Zresztą bracia Józef i Szczepan pozostali w zastępstwie, a każdy z nich pracuje za dziesięciu.

Do Trzech Króli mamy przerwę w nauce. Staruszek koszykarz choruje, więc już trzeci młody i gorliwy instruktor zajmuje się tą sztuką, odślaniając z kolei tajemnice robienia koszyków ozdobnych. Sam niewiele pracuje, ale prowadzi i stale śledzi postęp każdego ucznia. Chłopcy są bardzo z niego zadowoleni, bo rzeczywiście uczy ich po mistrzowsku. Sam wyrabia precyzyjne wzory. Nie do wiary, by z tak prostego materiału można było skomponować coś tak pięknego.

Toraharu tymczasem, według postanowienia, udaje się do seminarium, żegnany z nieukrywaniem żalem przez kolegów. Pomógł jeszcze przy rozbieraniu szopki i odszedł zadowolony i wdzięczny za otrzymane wychowanie. Wybory wyłoniły prezesa Hiroszi, jednego z rolników i wielkiego przyjaciela brata Szczepana. Chłopak wątpy, ale bardzo sumienny i pobożny. Miał zamiar iść na dalsze studia, ale świadectwo lekarskie stanęło mu na przeszkodzie. Hiroszi ma matkę w Caritas: jest siostrą zakonną. Po śmierci męża przybyła do Caritas z dwoma synkami i tutaj poświęciła się pracy dla sierot, a potem poprosiła o przyjęcie do zakonu. Teraz jest nawet przełożoną chorych, obsługując ich z niesłychanym poświęceniem.

W niedzielę po śniadaniu znika Saburo. Był nawet na mszy i u komunii św. Pobożny, ale trochę dziwak. Miałem go zawsze na oku, aby mu nie wyrządzono krzywdy, bo bojaźliwy i cichy, ale tym razem gdzieś zniknął bez śladu. Szukamy go wszędzie, bez skutku. Wieczorem zawiadamiamy policję i prosimy o pomoc w odszukaniu. Zimą rzadko kto ucieka, bo chociaż tutaj śnieg nigdy nie pada, to jednak w tych miesiącach dmie przenikający do szpiku kości wiatr z dalekich gór.

Rolnicy mają w tym czasie trudne zadanie do wykonania. Buraki jadalne mogą być marynowane lub kiszzone albo też suszone na lodowatym wietrze. Ten ostatni sposób jest słynny szczególnie w tej okolicy. Na wolnych polach rozstawia się pochyło bambusowe wielkie maty (także u nas wyrabiane). Poszatowane na cienkie paski buraki rozrzuca się równomiernie po matach, uzupełniając od czasu do czasu nowymi porcjami. Z tego tworzy się gruba warstwa suszonych i zarazem zwarzonych zimnym wiatrem buraków, które zwinięte jak skorupa w rulony, ładuje się do worków. Nasi rolnicy palą obok mat małe ognie w blaszanych naczyniach, podziurawionych gwoździem, i ogrzewają nad nimi ręce. Mimo to wraz z bratem Szczepanem marzną jednakowo całymi dniami. Od czasu do czasu litościwy kuchcik zanoszą im do popicia zieloną gorącą herbatę, ale to niewiele pomaga. Chociaż po-

chodzę z kraju, gdzie zima jest dokuczliwa, to jednak najboleśniej odczuwam zimę tutaj, bez ogrzewania w domu. Tylko ruch i praca fizyczna ratują od zamrznięcia na kość. Przychodzi policjant i wypytuje o chłopca, który zniknął. Opowiadam mu, że miał okaleczone ucho jakby od odmrożenia. Okazuje się, że on wie więcej niż ja. W papierach stoi, że to nie od odmrożenia, ale że mu je ugryzła własna matka, która potem zmarła w szpitalu dla obłąkanych. Chyba i chłopak nie będzie normalny. Pocieszył nas, że będzie go jeszcze szukał.

Zestaw nie kończy się na nim. Mamy kleptomana, który kradnie dla sportu jedynie dla własnego zadowolenia. Jest zdrowy jak ryba, ale ręce ma długie i nie oprze mu się nawet zamek albo kłódka, chyba z tych specjalnych, bo do tego jeszcze nie dorósł. Chłopcy żalą się często, że giną im rzeczy. Indagowany oddaje mi tylko to, co wykryjemy, innych rzeczy nie widział. Przyrzeka poprawę ze łzami w oczach, przeprasza, ale tylko do proga. Po wyjściu staje się znowu sobą. Tym razem zniknęły koledze gumowe buty, dane mu w podarunku na Boże Narodzenie, innemu nowy sweter, a trzeciemu cała paczka pięknych kulek ze szkła, które wygrał, kupił, wymienił, w każdym razie skrzętnie uskładał. Jeden z chłopców wyśledził, że wszystkie te rzeczy znajdują się u Taro.

Ponieważ Taro należy do grupy brata Szczepana, zdecydowałem się wreszcie i zawiadomiłem go delikatnie. Po kolacji woła on Taro i mówi mu: — Słuchaj, tym razem wzięłeś kolegom cenne przedmioty, przynieś mi to wszystko po modlitwach. Chłopak struchlał, zamienił się w słup soli. Przychodzi potem do sypialni brat Szczepan i oddaje mi wymienione rzeczy i jeszcze inne, o których nie wiedziałem. Rozdaję właścicielom w milczeniu. Chłopak wraca do sypialni jak struty, z czerwonymi oczami od płaczu i zmienioną twarzą, jakiej dotąd nie widziałem nigdy. Przykrywam go kocem i udaję się na spoczynek. Rano przy drzwiach wyjściowych do kaplicy czeka na mnie Taro i prosi o wywołanie brata Szczepana. Brat wyszedł, ale niedługo powrócił bez chłopca. Na pewno odesłał go do studium, albo do pracy, chociaż mnie nie zawiadomił. Po mszy św. pytam o chłopaka: nigdzie go nie ma, co się stało? Zwracam się do brata Szczepana, ale on też nie wie, tylko powtarza mi ich rozmowę: „Zapytałem go, czego sobie życzy. On na to: — Wybij mnie, bo na to zasłużyłem. A ja mu na to: — Nie chcę sobie brudzić rąk... tylko tyle!” Chłopak już nie wrócił. Udał się na służbę do pobliskiej wioski.

## Samodzielność chłopców

Chłopcy z koszykarni zarabiają już dobrze. Mogliby otworzyć nawet własną pracownię i przyjąć czeladników, bo sztukę przyswoili sobie wystarczająco. Szybkość w wykonywaniu przyjdzie z czasem sama. Sam instruktor wyraził się, że on umiał mniej od nich, gdy rozpoczął niezależną pracę, a potem się doksztacił. Nadszedł więc czas, by najstarszych umieścić gdzieś w pracowniach, albo u zamożniejszych gospodarzy, którzy bardzo chętnie przyjmują, gdyż ich synowie są na wojnie.

Pierwszy zgłosił się Mitsuo, który cały rok od powrotu przepracował na roli ku zadowoleniu brata Szczepana. Przyjął go gospodarz i rybak razem. Cała rodzina uradowana, a on również zadowolony. Drugim z rzędu był Tomotsu. Od Bożego Narodzenia zmienił się zupełnie, stając się nawet usług-



nym dla młodszych kolegów i opiekując się nimi jakby starszy brat. Otrzymał od ks. Leona książkę pouczającą, jak można własnym wysiłkiem wyleczyć się z jąkania. Dowiedział się z niej, że największą przeszkodą jest złość i nieopanowanie charakteru. Wówczas starał się bardzo opanować. Tomio od czasu wiatrów z gór zaczął pokaszliwać, jakby mu coś zawadzało w gardle. Wysłałem go natychmiast do lekarza, który stwierdził otwartą gruźlicę. Polecił mu więcej ruchu na świeżym powietrzu i izolację od życia wspólnego. Został też zwolniony z pracy. Oprócz tego otrzymał mały pokój w starym domu, gdzie spożywał osobno posiłki a przychodził do kaplicy na wspólne modlitwy. Chodził smutny i zrezygnowany.

## Saburo

Pewnego dnia „granatowy” przyprowadził Saburo. Wywołano mnie z kozycami. Zobaczyłem chłopca w strasznym stanie. Ubranie odświętne w strzępach... Cuchnął jak zwierzę... Twarz nie do rozpoznania: skóra i kości o nieokreślonej barwie. Struchlałem na taki widok i bez słowa spoglądałem to na księdza Leona, to na policjanta. Cóż mogło spowodować taki stan? Pamiętam dobrze, że zniknął w drugą niedzielę stycznia, dziesiątego, a dzisiaj jest sobota trzynastego lutego, więc miesiąc z okładem. On siedzi na ławce i trzęsie się przerażająco. Nawet podanego mleka nie może przełknąć. Z trudnością może wyksztusić jakieś słowo. — Gdzie byłeś? — W lesie. — Coś tam robił? — Naśladowałem pustelnika, o jakim wyczytałem w książce. — Co jadłeś. — Pozostałe na krzakach owoce, korę drzew, a nawet suchą trawę. — Gdzie mieszkałeś? — W znalezionej pieczarze, tam naniosłem suchych liści i było mi ciepło. — Kiedy opuściłeś góry?! — Wczoraj, bo już myślałem, że zemrę, więc powoli zszedłem do wioski i tam zawołałi policję...

Policjant spisał wszystko i odszedł. Poleciłem dwóm chłopcom, by go zaprowadzili do łazienki i umyli ciepłą wodą. Kucharczyk zabrał się do zagotowania na mleku garstki ryżu. Ja pobiegłem na piętro po świeżą bieliznę i ubranie, a za chwilę do Caritas, gdzie dzisiaj urzęduje lekarz. Opowiadam mu o wypadku i proszę o przybycie. On przerywa wizyty innych i wracamy. Chłopak już w sypialni na swoim łóżku, dokąd zanieśli go koledzy, bo po kąpieli stracił resztę sił. Wygląda niemożliwie chudy. Lekarz zbadał go dokładnie i podał odpowiednie wskazówki: lekkie pożywienie, rozgotowany ryż podawać mu łyżką dość często, od jutra lekko słodzony, spoczynek i przechadzka według możliwości, ale niezbyt długo. Nie stwierdził specjalnych zachorzeń poza ogromnym wycieńczeniem. Wszyscy koledzy otaczali go jak największymi względami i opieką. Pierwszy raz widzę taką jedność uczucia i raduję się w duchu więcej niżeli wszystkimi sukcesami muzyki i sportu, bo gdzie zakwitnie miłość chrześcijańska, tam chętnie zamieszkuje sam Bóg. To nie jest hazard, ani „moje” i „twoje”, ale braterstwo wspólnego noszenia brzemion.

## Biedny Asakiczi

Luty był krótki, ale bogaty w wydarzenia miłe i przykre. Zaczyna się rok księżycowy. Wiosna idzie; pierwsze zakwitają śliwki, a za nimi pokazują się już skowronki, trzepocące się nad szarymi połaciami ziemi. Pola ryżowe po-

zostawia się odłogiem aż do pory deszczowej. Eici niedługo nacieszył się gospodarstwem, a nim koledzy. Przy sprzeczce pobił kułakiem po twarzy dobrego i wiernego Asakiczi tak, że o mało nie wysłał go na tamten świat.

Asakiczi, to jeden z weteranów Caritas i Kosei Gakuen, odróżniający się od innych wyglądem, japoński albinos, biały jak śnieżny gołąb. Chłopak nadzwyczaj dobry tak, że ze świecą szukać podobnego. Chętnie podejmuje się każdej pracy. Jest prawą ręką przełożonych i bardzo lubiany przez kolegów, bo „dobry jak chleb z masłem”. Teraz „niedźwiedź” pobił go dotkliwie. Nocą puściła mu się obficie krew z nosa. Przyszedł do mnie cały skrwacony. Chciałem mu dać okłady z zimnej wody, ale to nic mu nie pomogło. Zbudziłem więc księdza Leona, a sam pobiegłem do Caritas, by zatelefonować po taksówkę i zawiadomić lekarza. Wreszcie są przed ósmą. Asakiczi ledwie trzyma się na nogach; co jakiś czas trzeba mu zmienić okład z lodu. Opowiada ks. Leon, że nasz lekarz nie dał rady wstrzymać krwotoku, więc po godzinie próżnych zabiegów przewieźli chłopca do szpitala i tam nareszcie udało się zatamować krew. Lekarz dał zastrzyki i polecił mu pić chłodne mleko w obfitości. Na szczęście krwotok się nie powtórzył.

## **Uroczystość św. Józefa**

Marzec to ostatni miesiąc mego pobytu w sierocińcu. Nikt o tym nie mówi, a chłopcy się wcale nie domyślają. Nowennę do świętego Józefa obchodzimy w serdecznej łączności myśli i ducha. Hiroszi prowadzi dobrze całą imprezę. Przygotowuje akademię i teatr. Najwięcej leżą mu na sercu przeżycia duchowe. Czcić i naśladować świętego Józefa w pracy i modlitwie, a w domu dać dobry przykład kolegom.

W ciągu roku został dość szczegółowo rozwinięty regulamin o tej treści: posłuszeństwo i uległość przełożonym, wzajemna pomoc kolegom, do której należy też upominanie, unikanie sprzeczek a zwłaszcza bójek, zachowanie skromności w myślach, słowach i uczynkach, gorliwość w pracy, przewyciężanie względów ludzkich, odwaga w wyznawaniu wiary, apostołstwo przystępowania do sakramentów, nauka religii, czytanie dobrych książek itd. Na tygodniowych zebraniach żywo dyskutowano te problemy, podejmując praktyczne rezolucje na najbliższe dni. W ten sposób sami chłopcy i to z entuzjazmem kształtowali własną formację ducha i charakter. Udział w imprezach religijnych i towarzyskich otworzył przed nimi nowy świat, wyrównując poziom inteligencji, wykształcenie i kontrasty wynikłe z pochodzenia.

W samą uroczystość zaprosiliśmy księdza Antoniego z kazaniem, pierwszy raz do naszej kaplicy. Ja przy harmonium, a chłopcy śpiewają bez zarzutu. Przeżywam mocno i głęboko tę uroczystość, widząc spontaniczną pobożność tych kochanych dzieci po macoszemu przyjętych przez świat, ale po ojcowski od Boga... Uparcie powraca mi myśl tyle razy słyszana: kto sieje we łzach, ten zbiera w radości.

## **Widmo zamknięcia seminarium**

Dramat seminarium maluje się w coraz to bardziej ciemnych barwach. Postanowienie władz jest nieodwołalne: zamknięcie i sprzedanie instytucji

oraz wygnanie misjonarzy. Wierni z parafii, zrozumiałwszy prawdziwy stan rzeczy, przyjmują na siebie utrzymanie seminarzystów, zobowiązując się płacić miesięcznie datki według swych możliwości. Liczba seminarzystów maleje do trzydziestki. Sprzedajemy instrumenty muzyczne na zakup żywności. Część zabudowań już wypuszczono w najem dla uczniów wyższej szkoły rolniczej... Ostatnie posunięcie to zamiana seminarium na Kosei Gakuen. Do gmachu seminarium przeniosą się chłopcy, koszykarnia, kaplica, słowem wszystko, w ten sposób mamy nadzieję przeżyć i uratować własność jako dzieło dobroczynne. Wspólnota będzie jedna: sieroty i seminarzyści... ale dopiero od kwietnia. Poruszanie się misjonarzy zostało ograniczone drakońskimi prawami: bez policjanta nie wolno się oddalić z miejsca pobytu.

Decydujemy się jednak na ostatnią wycieczkę do „zielonej wyspy” na pożegnanie. Odbędzie się ona w towarzystwie policjanta. Prośba jednak napotyka na trudności: policja nie decyduje się na wydanie pozwolenia. Ostatecznie komendant ustępuje ze względu na mnie i brata Szczepana. Wybieramy się ostatniego marca we środę. Z policjantem spotkamy się na stacji o siódmej rano i pojedziemy razem. Prosimy go tylko, by był łaskaw przebrać się na cywila. On czyni zadość naszej prośbie, ale ponieważ jedzie ze względu na nasze „bezpieczeństwo”, przeto trzeba mu zafundować obiad. We wtorek, wieczór kocioł na ryż zawiera podwójną rację. Przygotowuje się ręcznie po trzy porcje ryżu gotowanego, owiniętego w czarne liście morskiej rośliny z czerwoną śliwką w środku na jedną osobę. Dla „anioła stróża” muszą być cztery porcje. Zawijając w nieprzemakalny papier chłopcy patrzą ze zdziwieniem na wyjątkową porcję, a jeszcze więcej na duży napis wykaligrafowany japońskim pismem przez Toszio „Anioł stróż”. Do ostatniej chwili nie wiedzą, o kogo chodzi i spodziewają się, że dla żartu otrzyma to jeden z kolegów.

Wczesna pobudka, nabożeństwo, śniadanie i w drogę. Na stacji jesteście kilkanaście minut przed siódmą, ale policjanta ani słychu ani widu. Wsiadamy na naszą dryndulę, co mocno gwiżdże i porusza się z maksymalną szybkością 20 km na godzinę.

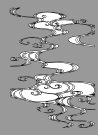
O ósmej jesteście już nad brzegiem, mocząc nogi w słonej wodzie Oceanu Spokojnego. Tuż koło nas największa głębia: dziesięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt cztery metry... chłopaki kręcą głowami. Na wesołej rozmowie czas prędko upływa, a chłopcy starają się odkryć tajemnicę „anioła stróża”, ale darmo. Wtem jakiś pan zbliża się pospiesznie do nas. — Patrzcie, mówię, to anioł stróż. Rzeczywiście zbliża się ten pan i grzecznie wypytuje się o podróż. Chłopcy opowiadają, że byli zachwyceni mnóstwem rowerów na drodze, kwitnącymi wiśniami, świeżo wycementowaną drogą. — A z drugiej strony? — Z tamtej strony to nikt nie oglądał, bo od wschodu razi słońce oczy i dlatego wszystkie deseczki na oknach były pospuszczane. W drodze powrotnej chętnie obejrzymy drugą stronę, zwłaszcza że słońce przesunie się na zachód. — To dobrze, a o której powracacie? — O trzeciej — Dziękuję, miłej zabawy i szczęśliwego powrotu. Zrobił nam jeszcze razem zdjęcie, co w tych czasach było wielkim luksusem i oddalił się. — Policjant nie zgłosił się po obiad, więc jego porcję otrzymał kaleka bez nogi. Chłopcom to bardzo przypadło do gustu.

Wracamy. Na stacji zauważyłem, że nasz znajomy czeka i wsiada razem z nami do pociągu. Wszedł do naszego wagon a bezpośrednio za nim kon-

duktor, który prosi, by nie otwierać drewnianych zasłon od strony morza. Nie daje żadnych objaśnień nikt się nie sprzeciwia. Chłopcy podziwiają jeszcze raz szpaler wiśni prześwietlonych słońcem, nadającym niezwykle urok całej przyrodzie. Droga przepelniona ciężarówkami, to znak, że się coś buduje. Dopiero po powrocie ks. Leon wytłumaczył nam całą zagadkę: na dawnych polach ryżowych budują nowe lotnisko wojskowe. Wszyscy o tym wiedzą, ale udają, że nikt nie wie i stąd zasłanianie okien oraz surowy zakaz podróży dla obcokrajowców.

Tymczasem moi rówieśnicy już odjechali do Tokio na teologię: z Miyakonojo, z seminarium dwóch wraz z kolegą Maki. Mojego następcy nie widać, więc oczekuję go w pogotowiu. No i w poniedziałek piątego kwietnia nadjechał. Gdy w południe ks. Leon to ogłosił, chłopcy wprost oniemieli.

Rano na odjezdnem zgłosiło się kilku malców i powiedziało mi w tajemnicy, że przyjadą mnie odwiedzić w Tokio: między nimi są Hiroszi, Szizuo, Kazuki. Na stację przyszło dwóch a inni zatrzymali się na przejściu przez tory tuż za stacją, by nie płacić peronówki. Gdy pociąg ruszył, zrobili mi głośną owację ku zdziwieniu pasażerów. W przedziale przedstawił mi się mój „towarzysz-opiekun”, który ma polecenie odprowadzić mnie do następnego województwa. W Oita na stacji daje znak z okna chusteczką i zgłasza się inny dla zmiany posterunku. Opuszczając Kyushu, zagłębiamy się w podmorski tunel, który co dopiero został oddany do użytku. Odtąd zmiana stróża policyjnego odbywa się regularnie w każdym województwie aż do Shinagawa, jednej z kluczowych stacji Tokio.



## W Tokio czuć wojnę

Tokio zmieniło się nie do poznania. Tu i tam w miejsce alei drzew widać świeże nasypy ziemi. To ślad schronów. Twarze ludzi mniej brązowe niżeli na Kyushu, ale jakoś bardziej zmęczone, ruchy delikatne i prędkie. Wszędzie tłum niebywały. Wszyscy jadą do pracy poza miasto, do fabryk otoczonych dotąd tajemnicą. Obecnie młodzież ze starcami razem wchodzi, razem wychodzą, zmęczeni i milczący. Mężczyzn w sile wieku nie widać, tylko kobiety i kobiety w szarawarach wschodnich, w kimonach z zarzutkami na głowie i bez zarzutek; każda coś niesie, coś szyje, haftuje. Na obcokrajowca nie zwracają uwagi. Udają, że go nie widzą. Na stacjach obsługa zachowuje się grzecznie, ale zimno, sucho. Wszędzie światła okryte kirem, zaciemnienie trwa. Na ulicach wcale nie ma samochodów, autobusy, tramwaje, rowery z przyczepami lub wózkami. Tu i tam ćwiczenia w związku z nalotami: wiaderka wody, worki z piaskiem, szmaty na tykach bambusowych do gaszenia ognia. Znowu wokoło kobiety, czasem pod dowództwem starego strażaka. Tokio się postarzało, domy zaniedbane, ubrania wytarte, odpadki nie uprzątnięte, twarze bez różu... przed domami wiaderka z wodą, piasek, tyki bambusowe...

Wielkich nalotów jeszcze nie było, ale pewnego dnia w samo południe równocześnie kilka większych miast miało niespodziankę: nadleciały pojedyncze samoloty nieprzyjacielskie, które płynęły niziutko. Zrzuciły drobne bomby na centrum miasta i „spokojnie” odleciały. Było to zaskoczenie dla wszystkich, ale największe dla obrony. W Tokio taki śmiałek przeleciał nawet nad pałacem cesarskim. Była to niespodzianka, która przyniosła więcej wstydu, niżeli szkody. Nie można uważać tego za odwet za Hawaje, ale tylko jakby za przypomnienie.

### Brat Tateishi ofiarą wojny

W studentacie również wielkie zmiany. Coroczne święcenia powiększyły liczbę kapłanów gotowych do pracy misjonarskiej. Połowa z nich to rodowici Japończycy, moi znajomi z małego seminarium: studenci filozofii i nowicjusze. Serce rośnie na ich widok. Te radości przyćmiewa świadomość wojny. Jak długo jeszcze potrwa? Może jednak krócej, niż sto lat? I my odczuwamy boleśnie jej działanie. Dobry brat Tateishi dogorywa na gruźlicę w szpitalu w Kumamoto. To mój pierwszy kolega, przyjaciel i nauczyciel języka japońskiego. Nabawił się choroby na skutek bardzo ciężkich warunków na froncie chińskim. Wypytyuję się o niego. Podają mi jego listy, które czytam z zapartym oddechem.

Zatrzymał się cztery miesiące w kraju na ćwiczeniach. Żali się, że nie może uczęszczać na mszę św., stara się jednak wypełnić dobrze swoje obowiązki i stwierdza, że system wychowawczy księdza Bosko tak zdecydowa-

nie się różni od wychowania wojskowego. Powraca po długich i uciążliwych ćwiczeniach w pobliżu wulkanu do miasta. Koledzy udają się do kina, a on ukradkiem idzie do misji. Po trzech miesiącach nareszcie może namodlić się przez trzy godziny wśród łez radości, których nie umie powstrzymać. Dziękuje za paczki z żywnością, którymi dzieli się z kolegami. Odnalazł kilku chrześcijan, z którymi wspomagają się nawzajem dobrym przykładem. Potem listy z Szanghaju i wreszcie z frontu.

Pierwszą bitwę toczył wśród śniegu dniem i nocą. Trwała dwa miesiące. Potem w maju i w czerwcu pisze dwa listy o podobnej treści. Prosi, by rozpocząć odprawianie trzydziestu mszy św., przepisanych za zmarłego, bo on chyba wkrótce... może gdy ten list otrzymacie... będzie już na drugim świecie. Znowu Boże Narodzenie Wielkanoc... wciąż i codziennie na froncie w śniegu albo w błocie. Mimo to śpiewa kolędy i Alleluja! Dostaje się do kuchni, jako kuchcik dla oficerów: może więcej napisać. Prosi o nożyk do obierania ziemniaków, o proszek do pieczenia, o bandażę, jodynę, pisma katolickie... Powraca na front.

Ostatni list pisany z Hankao, gdzie udał się z oficerem po zakupy. Na jego prośbę wojsko oddaje dom zabrany misjonarzom, przynajmniej tyle dobrego mógł zdziałać. Przeszedł już malarię i otrzymał stopień kaprała, w miesiącu różańcowym modli się codziennie za wszystkich i prosi o wzajemność, dodając: módlcie się do miłosierdzia Bożego za żołnierzyka księdza Bosko, Tateishi, salezjanina. Wiadomości urywają się. Piątego marca tego roku, odnaleziono go w szpitalu w bardzo ciężkim stanie. Kilku z naszych odwiedzało go, przygotowując do ostatniej podróży. Pożegnał się z tym światem dnia trzynastego maja.

Kolega Niszimura też niedługo nacieszył się teologią... Odwołany pod broń, chociaż chory na płuca, pisze z Filipin. Leczy się tam. Znając języki obce: angielski, francuski, hiszpański i włoski, pracuje jako tłumacz w dziale propagandy. Często gości u arcybiskupa, salezjanina, delegata apostolskiego na Filipiny. Ma nadzieję dokończyć studia teologiczne i otrzymać święcenia na Filipinach. Może się nam uratuje ten najzdolniejszy spośród nas. W czasie krótkiego pobytu w Tokio przetłumaczył kilka książek i sztuk teatralnych z włoskiego i francuskiego. Wszyscy zachowali tyle wdzięczności dla niego.

## **Praca w seminarium w atmosferze napięcia**

Praca na roli stała się powszednią jak ryż. Przed południem studiujemy, po południu pracujemy na roli i w małym gospodarstwie. Brat Miyahara jest znowu niezastąpiony do wszystkiego i dla wszystkich. Przygotował do chrztu św. całą rodzinę, składającą się z siedmiu osób. Są to biedni ludzie, zajmujący się praniem bielizny. Inna zdobycz to nasz znajomy młodzieniec, dostawca jarzyn. Powołany na wojnę, powrócił podobnie jak brat Tateishi, z chorobą płuc w stanie beznadziejnym.

Prosił o chrzest św. i w kilka miesięcy potem pożegnał się z tym Światem. Zmarł również admirał Yamamoto, wychowawca obecnego cesarza, gorliwy katolik. Byliśmy wszyscy na pogrzebie w katedrze w wielkiej asyście dostojników cywilnych i wojskowych. Sam cesarz przysłał kwiaty.

Od kilku miesięcy sytuacja misjonarzy staje się krytyczna. W jednym z dużych miast na Kyushu zawiązała się ekstremistyczna partia, żądająca od władz usunięcia wszystkich misjonarzy. Tam też rozpoczęło się otwarte prześladowanie: zamykanie misji, więzienie misjonarzy, maltretowanie wiernych i wysyłanie zdolnych do wojska na pierwszy ogień. Przełożeni przygotowują i nas na najgorsze: na wygnanie, więzienia, obozy.

Mimo wszystko nie tracimy głowy ani też nie zaniedbujemy obowiązków. Sześciu świeżo wyświęconych księży już się udało na różne placówki. Młodych Japończyków wysyłamy na studia uniwersyteckie, a my uczęszczamy do seminarium diecezjalnego. Profesorami są księża Francuzi z Paryża. Zżyliśmy się z nimi od początku, tym bardziej, że to oni przekazali nam całą swą misję na Kyushu w Miyazaki i Oita. Kolega Maki jest z nami. Codziennie rano udajemy się po skromnym śniadaniu na stację kolejki elektrycznej oddalonej o piętnaście minut drogi pieszo. Jedziemy piętnaście minut w przeciwnym kierunku od centrum miasta i znowu piętnaście minut na piechotę do pięknego seminarium. Jest nas piętnastu, Japończyków diecezjalnych z całego kraju, czterdziestka razem, więc dość liczna i miła grupka. Poznajemy się szybko i już ręka w rękę pocimy się nad podręcznikami. W ubiegłym roku spaliła się część mieszkalna seminarium. Klerykom ciasno w skromnych pomieszczeniach, ale na szczęście nowa część z kaplicą i aulami jest obszerna, więc wykorzystali boczne aule na mieszkanie.

Pierwsze miesiące studiów stanowią wprowadzenie do właściwych problemów, więc mamy nieco czasu na prace nadobowiązkowe, a liczba tych rośnie z każdym dniem. Wyjeżdża się rowerami lub pieszo z wózkiem w różne strony, w Tokio jest jeszcze trochę wolności i można poruszać się pieszo z wózkiem tam, gdzie trzeba. Policja nie zaczepia na ulicy jak na Kyushu. Tylko dzieci nauczone w szkole, że wszyscy obcokrajowcy to szpiegzy i nieprzyjaciele, wołają niekiedy za nami: szpieg, szpieg. Wtedy już taka zgraja wtóruje na całe gardło. Wcale nas to nie peszy, przecież to nasza „częstka wybrana”. Różnie reagujemy. Można przyhamować rower i zatrzymać się: momentalnie wszyscy rozpraszają się jak stado wróbli. Lepiej jest uśmiechać się i pozdrawiać po japońsku. Biorą nas za Ruskich, bo o Amerykanach nie mają jeszcze pojęcia.

W tych dniach powracają niektórzy świeżo wysłani misjonarze bo policja nowych nie przyjmuje. Powody są jasne: Beppu i Oita to miejsca strategiczne. Tokio dało pozwolenie na wyjazd, ale tamci nie przyjmują. Pięciu moich chłopaków z Miyazaki ma obłóczyny. Wszyscy trzymają się zdrowo i wesoło. Ze starszych poszło kilku do wojska. Szkoda ich, bo nie wiadomo naprawdę, czy który z nich jeszcze powróci.

## **Ewangelia święta w języku potocznym**

W stolicy, oprócz studentatu, mamy jeszcze dwa domy. Jeden, to znana tu szkoła zawodowa z internatem, mieszczącym niewiele ponad pięćdziesięciu ubogich chłopców, którzy bez dachu nad głową nie mogliby się kształcić. Główny dział stanowi drukarnia. Prócz tego działa stolarnia, tokarnia, krawiectwo i mała introligatornia. Szkoła drukarska w Japonii ma zawsze powodzenie, ale też wymaga wiele nauki z powodu mnóstwa znaków w al-

fabecie japońskim. Nasze litery w porównaniu z tutejszymi to fraszka. Dobry zecer powinien znać sześć tysięcy znaków, by mógł pracować wydajnie i poprawnie. Drukujemy nasze książki, oddając wielkie usługi pracy misyjnej: katechizm, książki religijne, a przede wszystkim Pismo Święte Nowego Testamentu w języku potocznym.

Jest to pierwsza odważna próba, którą wielu krytykuje, ale i popiera. Trzeba wiedzieć, że język literacki albo pisany różni się bardzo od mówionego. Językiem potocznym, czyli mówionym, pisze się tylko bajki dla dzieci albo gazetki dla szkół podstawowych. Gazety i książki dla dorosłych a zwłaszcza dzieła naukowe i literackie są pisane tylko i wyłącznie w języku pisanim, literackim. W krajach zachodnich, gdy się mówi o języku ewangelicznym, to rozumie się przez to język najprostszy, nawet dla dzieci łatwo zrozumiały. W Japonii stało się inaczej od początku. Wszystkie tłumaczenia Ewangelii wykonano w wzniosłym i trudnym języku literackim ze względu na wielką cześć oddawaną temu dziełu nad dziełami. Dotąd nikt się nie odważył nawet pomyśleć w inny sposób. Tymczasem dla wielu śmiertelników, którzy zaledwie ukończyli nauki podstawowe, teksty Ewangelii tłumaczone językiem literackim stały się barierą nie do przekroczenia. Chodziło tu zwłaszcza o osobistą, własną lekturę Pisma świętego, w kościele tłumaczy je misjonarz na język mówiony. Salezjanie zabrali się na serio do tej pionierskiej pracy, która spotkała się z wielką krytyką i niezadowolaniem wśród wyższej klasy. Rozpoczęło się od tłumaczeń pojedynczych synoptyków. Wreszcie wydano całość Ewangelii. Ludność przyjęła to bardzo mile i oceniła pochlebnie. W ciągu dziesięciu lat wyszło osiem nakładów, łącznie czterdzieści tysięcy egzemplarzy. Obecnie przygotowuje się wydanie dziewiąte.

Oprócz Ewangelii drukuje się wiele broszurek, czytanki katolickie, wydano już ich 144, miesięczniki, katechizm w różnych ujęciach, podręczniki do łaciny, nawet słowniki. Wydaje się też wiele rysunków i ulotek do użytku misjonarzy z okazji uroczystości liturgicznych, rocznic itd. Liczba studentów uczęszczających na naukę przekroczyła już siedmiuset, a szkoła otrzymała zatwierdzenie państwowe ze wszystkimi prawami w roku 1940. Jako sąsiedzi bierzemy czynny udział w imprezach szkolnych.

## **Parafia w Mikawaszima**

Inne dzieło, to misja-parafia w jednej z najuboższych dzielnic Tokio, Mikawaszima. Rozpoczęliśmy tu od zera, owszem od dziesiątek, setek a potem tysięcy biednych dzieci, nie obdartych ani brudnych, ale naprawdę biednych, takich co udają się na naukę do szkoły po bardzo skromnym śniadaniu, a drugim ich posiłkiem jest dopiero głodowa kolacja. Pozostają więc bez obiadu... Wysyłaliśmy tam najlepsze siły. Aby móc czynić dobrze dla duszy, trzeba przede wszystkim zająć się ciałem. Stąd organizacja różnych towarzystw dobroczynnych dla biednej ludności.

W Japonii nie ma i nie było nigdy żebraków. Japończyk umrze z głodu, ale nie wyciągnie ręki po jałmużnę. Nie z pychy ani z pogardy, ale ze zwyczaju: takie wychowanie. Synowie księdza Bosko czynią się żebrakami i jałmużnikami w imieniu pięciu tysięcy biednych i dwu tysięcy dzieci. Rodzice i starsi pracują od rana do nocy, ale niskie zarobki nie pozwalają na dosta-



teczne wyżywienie i utrzymanie licznej rodziny. Tylko zaangażowani bezpośrednio w wojnę mogą chwilowo pożywić się do syta.

W okresie Bożego Narodzenia lub Wielkanocy następuje rozdawanie darów. To, co ubierano w ciągu kilku miesięcy w bogatszych dzielnicach miasta, składa się w trzech salach załadowanych: ubrania, żywność, przedmioty codziennego użytku. Aby ustrzec się niesprawiedliwości, sporządza się listę rodzin żyjących w specjalnie trudnych warunkach. Robi to władza miejscowa zarządu dzielnicy. Według spisu wywołuje się nazwiska. Wezwani zgłaszają się z tłumy wypełniającego całe podwórze. Klerycy rozdają dary według spisu w rodzinie, składając życzenia, okraszone uśmiechem. Tymczasem płyty grają kolędy: Mizerna cicha... W żłobie leży... Przybieżeli pastuszkowie.

Prowadzimy też gratisową obsługę lekarską, kursy języków obcych, a na prośbę władz naukę szycia dla dziewcząt. Siostry salezjanki wykupiły w pobliżu misji stary dom, który służy jako szwalnia. Codziennie po południu zaludnia się plac, boisko i wszystkie salki. Niczym mrówki zajmują tam miejsce na podłodze w kucki dzieci z zabawkami, młodzież z książkami, starsi z robotą w ręku. Chętnie się modlą. Najpierw panuje jednogminutowe skupienie. Potem każdy mówi słowa dostosowane do swych wierzeń. Chrześcijanie: Ojciec Nasz... Nie ma tu wyznaczonych modlitw ani przymusowego nawracania. Spontaniczność wobec sił wyższych jest najlepszą rękojmą wzajemnego uszanowania i braterskiej pomocy. Japończycy to naród religijny, oddający głęboki szacunek zmarłym i czczącym rodziców w sposób mało spotykany na świecie.

Obecne warunki wojenne musiały wpłynąć ujemnie na stosunek władz do nas. Solą w oku staje się dla nich osoba misjonarza. Jest to nastawienie ogólne wobec obcokrajowców, czyli białych. Jeszcze z Chinami był „tylko konflikt”, ale teraz to jest już prawdziwa, „święta wojna” z siłą dla ogółu niewyobrażalną, ale coraz bardziej zniechęconą. Nie możemy tego nie widzieć, a jeszcze bardziej nie odczuwać. Półśłówka, pomijanie, a wreszcie otwarte niezadowolenie, stwierdzamy na każdym kroku. Katolicy miejscowi cierpią razem z nami i sami mają duże trudności z powodu wiary, uważanej za obcą, nieprzyjazną, nawet wrogą przez władze i pogan. Usuwają się od nas profesorowie języka japońskiego. Domyślamy się powodów.

Nawet ojcowie franciszkanie z Nagasaki, tak bardzo lubiani, tracą grunt pod nogami. Jeden z nich zatrzymuje się u nas, bo znajduje azyl w naszych domach. Mamy również niespodziewanych gości z włoskiego okrętu towarowego, który został storpedowany u brzegów Japonii. Uratowali się wszyscy. Poczciwi marynarze stale myślą i tęsknią za rodzinami.

Wielką natomiast naszą pociechą jest pobyt z nami naszego mons. Ci-matt'iego, który umie zawsze znaleźć odpowiednie słowo i radę w stale pogarszającej się sytuacji. Zachęca nas do wykorzystania czasu na studia i zbieranie materiału do tłumaczeń na japoński. Odcięcie od świata staje się kompletne. Poczta zagraniczna przestała zupełnie kursować. Nie piszemy już więcej żadnych listów. Przykro i smutno. Żyjemy przeszłością. Za to uczymy się intensywnie, w nadziei lepszych czasów, języka i historii Japonii.

Ale Bóg potrafi pocieszyć: zbieramy z naszych cmentarzysk nadspodziewaną ilość ziemniaków. „Haceldamy” obrodziły na miarę potrzeb wojny.

## Wakacje

Rok szkolny skończony. Wybieramy się na wakacje w góry. Tymczasem niespodzianka. Nie możemy otrzymać biletów dla wszystkich w jednym dniu. Każda stacja ma ograniczoną liczbę biletów do wyprzedania. Wyjeżdża tylko dziesięciu, a druga dziesiątka pozostaje do drugiego dnia. Dla nas Polaków powtarzają się chwile sprzed kilku lat: przygotowujemy się dziesięciodniowymi rekolekcjami do ślubów, tym razem wieczystych. Pogoda piękna, podziwiamy z daleka buzujący wulkan. Rozmyślamy w miłym cieniu przy koncercie ptaków. Koledzy korzystają z tych błogosławionych dni, by codziennie przemierzać góry i doliny wzdłuż i wszerz. Z gór przynoszą kłocki grubego drzewa brzoźowego, nie na opał, ale do wyrobu sandałów. Już od dłuższego czasu nie można kupić butów. Te, które mamy, zachowujemy na podróż pociągiem lub na wyjście do miasta. Poza tym, tak tutaj na wakacjach, jak też i w Tokio używamy drewniaków własnego wyrobu. Mamy z sobą odpowiednie narzędzia i w słotne dni zamieniamy willę na fabrykę obuwia artystycznego dla siebie i dla kolegów na zapas. Trzeciego sierpnia 1943 r. wiążemy się na zawsze z Bogiem i z Towarzystwem Salezjańskim. Koledzy, oprócz lilii w kaplicy i starannej dekoracji samego obrzędu, przygotowali suty, jak na owe czasy, obiad uświetniony śpiewami, poezją i muzyką. Po uroczystościach kończy się też pogoda. Dopiero w niedzielę na Wniebowzięcie słońce wyjrzało. Na niedzielnej mszy św. mamy wielkie wydarzenie: chrzest św. siostry nauczycielki, która pierwsza zajęła się przed laty zdobyciem dla nas tego zacisznego kącika i urzędzenia tak wygodnych wakacji. Naszą wdzięczność wyrażamy modlitwą, życzeniami i specjalnym koncertem. Ostatni tydzień wakacji upływa przy zmiennej pogodzie. Składamy podziękowanie żonie właściciela willi, który zmarł ubiegłego roku.

## Dobrzy ludzie

Po powrocie do Tokio odbywają się rekolekcje dla misjonarzy, w których uczestniczą i nasi koledzy. Ponieważ odprawiliśmy rekolekcje już przed ślubami, przeto teraz cała obsługa spoczywa na naszych barkach. Dotyczy to szczególnie zakupu chleba, ryżu i ryb, jarzyny bowiem mamy z własnego ogrodu. Na zakupy wyjeżdża się rowerem z wielkim koszem z bambusu do starych znajomych. Na ryby trzeba czekać wraz z wielu hurtownikami aż przywiozą je do punktu ciężarówką. Dzięki zadawnionym kontaktom dostajemy ich dosyć dużo. Wszystko jest na kartki, ale pracownicy wrzucają nam ryby do kosza widłami tak na oko na pewno więcej, niżeli się nam należy. Prości ludzie mają więcej serca i wyczucia potrzeby od tak zwanych przedstawicieli władzy. Wiedzą, że cierpimy podobny jak oni niedostatek bez naszej winy, więc nam nie żałują, bo to dla „księdza Bosko”. To samo powtarza się przy odbiorze chleba. Miło jest iść między ten lud prosty, porozmawiać sobie z nimi o wszystkim z wyjątkiem polityki, bo ten temat stanowi dla nich tabu.

## Wojna wciąż daje znać o sobie

Następnego dnia po uroczystości Narodzenia N.M.P. W chwili powrotu do domu z seminarium zostajemy otoczeni przez oddział policji. Obstawiają wszystkie drzwi i robią zbiórkę wszystkich mieszkańców domu. Dowiadujemy się, że chodzi tu szczególnie o Włochów, ponieważ ich kraj się poddał i tym samym zdradził „oś”, przechodząc do nieprzyjaciela. Włosi zostają internowani we własnym domu. Nie wolno im mieć jakichkolwiek kontaktów z młodzieżą czy ludnością. Japończycy są wolni jak też i inni obcokrajowcy. Jednak nikt się nie oddała. Pozostajemy razem z internowanymi, oczekując dalszych wypadków. Z pobliskiej szkoły przybywają jako Włosi dyrektor, kleryk i brat. My Polacy mamy jakieś większe względy, możemy się oddalić do pracy, nawet w towarzystwie Włochów, ale na naszą odpowiedzialność. Korzystamy z tego i wyprowadzamy wszystkich do ogrodu z wielką powagą. Następnego dnia nie wolno iść do seminarium, więc angażujemy znowu wszystkich do „przymusowej pracy”, około siana na naszą odpowiedzialność. Podczas obiadu otrzymujemy pochwałę od policji za przypilnowanie „wrogów”.

Komedia wnet się jednak kończy, bo komendant ogłasza, że Mussolini pozostał z Hitlerem, więc Włosi są wolni, ale dopiero po rewizji w całym domu. Rozpoczyna się drugi akt: każdy udaje się do studium i rozpoczyna się przeglądanie książek, fotografii, listów itd. trwające kilka godzin. Policja robi to z rozkazu, gdyż sami funkcjonariusze są mili i ludzcy. Podziwiają piękne obrazki, zwłaszcza znaczki zagraniczne i proszą o nie dla dzieci. Sam komendant prosi o Pismo św., o którym słyszał, ale go jeszcze nie czytał. On też zainteresował się postanowieniami brata Miyahara z ostatnich rekolekcji i przeczytawszy je, przerwał dalszą rewizję, mówiąc: — Przy takich postanowieniach na pewno nic tu przeciw nam nie znajdziemy. Ugościliśmy ich kolacją, a oni zarekwirowali stary aparat fotograficzny na klisze, wystawiając kwit na odbiór po wojnie. Jeszcze jeden dzień niepewności i Włosi również mogą już poruszać się swobodnie, byle nie na rowerze, dlaczego nie wiemy. Dwóch policjantów jednak pozostaje przy wejściu dniem i nocą i tak przyzwyczajamy się do nowych warunków. Mamy z tego i tę korzyść, że nie okradną nas złodzieje. Nie tracimy czasu, bo nauka i praca nie czekają. Dowiadujemy się od Japończyków, że nasi misjonarze w Miyazaki, Włosi czy nie Włosi, wszyscy bez wyjątku zostali zamknięci na tych kilka dni do prawdziwego więzienia.

Z Polski otrzymuję pierwszą wiadomość, zwyczajną pocztówkę ze znaczkiem „Generalgouvernement”. „Wszyscy jesteście zdrowi i dobrze się nam powodzi. Z Bogiem Matka”. Do tego czasu ani z gazet japońskich ani też z innych źródeł nie miałem najmniejszych wiadomości o tym, co się dzieje w kraju. Domyślałem się na podstawie historii zaborów i powstań, że nastąpiły tam ciężkie chwile. Nie wiem nawet, co to jest Generalgouvernement, tym bardziej, że nikt nie umie mi tego wytłumaczyć. Niemiecki orzeł ze swastyką mówi dużo, ale też mało. Ważne, że wszyscy z rodziny żyją, a w dobre powołanie to już trudno uwierzyć. Nie umiem czytać między wierszami, nigdy się tego nie uczyłem.

Nasze umiejętności gospodarskie stają się znane także i w innych klasztorach. Siostry Hiszpanki z miasta, gdzie prowadzą szkołę, proszą o pomoc w przeniesieniu ławek z kaplicy do schronu i „uprawienie” boiska teniso-

wego pod jarzyny. Czterech młodzieńców pracuje pięć dni za szklanek zimnej wody. Biedne siostry nie mają już czym żyć. Podobnie misjonarz z Paryża, który założył dwa szpitale w okolicy Tokio, prosi o pomoc dla rodzin dotkniętych chorobą. Udaje się tam czterech kleryków z księdzem, by zająć się dziećmi osób przebywających w szpitalu i zarazem uprawić ogród warzywny dla szpitala.

Dla Włochów tymczasem nie skończyły się trudności. Przechodzą różne przesłuchania i w połowie października zabiera ich policja w nieznanym kierunku. Potem dowiadujemy się, że przeprowadzono z nimi głosowania za Mussolinim i przeciw. Kto się nie podpisał, idzie do obozu, z naszych zabrali dwóch do obozu bez przesłuchania i podpisu: dyrektora szkoły zawodowej i jednego z braci. Odwieźli ich do obozu koncentracyjnego w Nagoya. Wszystko spadło nagle jak piorun z jasnego nieba, chociaż byliśmy przecież przygotowani na najgorsze. Inaczej jednak wygląda w tym wypadku teoria, a inaczej rzeczywistość. Policja usuwa się nareszcie z domu, a komendant grzecznie dziękuje za dwumiesięczną gościnę. Nasz mons. Cimatii przeniósł się do misji Mikawaszima, skąd przybywa kilka razy w tygodniu, urządzając nam wykłady z teologii. Jego spokój i wiara udzielają się wszystkim. Policja, mieszkając z nami, przekonała się naocznie, że jesteśmy biedni i pracujemy dla ludu.

Na podziękowanie Bogu za opiekę przygotowujemy z całym zapalem i oddaniem uroczystość Chrystusa Króla i procesję eucharystyczną. Nasza siła, moc i wytrwanie są tylko w Bogu. Cierpienia i wiara łączą wszystkie dusze w jedno. Jednak i ten miesiąc nie mija bez cierni. Przybywa dyrektor seminarium w Miyazaki z wiadomością, że władze tamtejsze uparcie dążą do zamknięcia placówki za wszelką cenę. Rozpoczynamy nowennę do św. Józefa. Nasza szkoła wydaje życiorys księcia Bosko, tłumaczony z francuskiego przez naszych starszych kolegów. Mamy nareszcie okazję pochwalić się przed Japończykami, do jakiej należymy rodziny.

Przed Bożym Narodzeniem otrzymuję zaproszenie, by wspólnie z kolegą przygotować „szopkę”, ale na dobrym poziomie. Przez dwa tygodnie ćwiczymy, ale impreza wychodzi zadowolająco. W okresie świąt pamiętamy jak zwyczajnie o chorych w szpitalach, ale tym razem w nowy sposób: urządzamy koncerty. Rekonwalescenci zajmują miejsca w salonie, a pozostający w łóżku mogą uczestniczyć przez słuchawki, w które wszyscy są zaopatrzeni.

Od kilku miesięcy mamy również inną pracę, o której nie wie nawet policja. Otrzymaliśmy w tajemnicy od Czerwonego Krzyża spis żołnierzy, którzy dostali się do niewoli japońskiej. Celem tej pracy jest wykonanie kartoteki ułożonej alfabetycznie, by zainteresowane rodziny mogły łatwo odnaleźć poszukiwanych. Japończykom trudno przychodzi przepisywanie nazwisk europejskich, więc zwrócono się do nas. Przy tej okazji poznajemy tyle dusz potrzebujących pomocy i rodzin pogrążonych w żałobie po zaginionych. Na każdej kartce umieszcza się oprócz imienia i nazwiska, rodzaj broni, miejsce dostania się do niewoli, obóz pobytu i w razie zgonu, powód śmierci, albo dzień, w którym zginął śmiercią żołnierza.

Delegatura Apostolska jest głównym ośrodkiem tej delikatnej i charytatywnej operacji. My otrzymujemy małe wynagrodzenie, a więc spełniając dzieło miłosierdzia, mamy zarobek tak bardzo cenny na te czasy. Stąd nasze

godziny są policzone, często z niemałym uszczerbkiem dla snu. Wstajemy o czwartej rano i odrabiamy lekcje, potem nabożeństwo, skromne śniadanie i podróż do seminarium. Po powrocie obiad i praca na roli lub inne zajęcia, wyjazdy itd. aż do kolacji. Znowu po skromnym posiłku krótkie nabożeństwo w kaplicy i przepisywanie kartek aż do zupełnego zmęczenia. Tylko niedziele i święta są wolne od tego młynka i dlatego oczekujemy je niecierpliwie. Na zakończenie roku modlimy się i wzdychamy do zakończenia tej bratobójczej, tragicznej dla wszystkich wojny. Wierzimy, że jeśli nie w tym, to w przyszłym roku miłosierny Bóg powstrzyma od ludzkości ten śmiercionośny miecz.



## Byle jakoś przetrwać wojnę

Nadchodzi nowy rok 1944. Miotają nami jakieś dziwne przeczucia i nadzieje. Nikt o tym nie mówi, ale wszyscy domyślają się, że Japonia staje przed Termopilami, nieprzyjaciel jest u wrót. Drastyczne pociągnięcia i zarządzenia każą się tego spodziewać. Młodzież nie związana ze szkołą oraz dorośli niezaangażowani dotąd w fabrykach zobowiązani są zgłosić się do urzędu gminnego lub w miastach, do dzielnicowego. W Tokio, oprócz powiększania schronów, niszczy się bezwzględnie zabudowania wzdłuż kolei, około 50 m po każdej stronie. Stolicę przecinają liczne linie komunikacyjne, więc miasto zostaje poorane we wszystkich kierunkach ponurymi wąwozami. Z Europy zaczynają przeciekać jakieś niezwykle wiadomości mało pomyślne dla Japończyków.

My siedzimy cicho jak mysz pod miotłą. Aby ocalić od przymusowej pracy naszych studentów filozofii i nowicjuszy, zapisujemy ich do wyższych klas szkoły rzemieślniczej. Nie daje się uratować brata Miyahara, którego zabierają na roboty. Klerycy po lekcjach w szkole powracają na popołudniowe wykłady z filozofii i do pracy w nowicjacie. Kilku starszych kleryków otrzymuje pozwy do wojska: to moi wychowankowie z Miyazaki. Żegnamy się serdecznie jak bracia. Pragnąc uratować, co jeszcze możliwe, otwieramy podwoje dla najmłodszych kandydatów, którzy mają zamiar iść kiedyś w ślady księdza Bosko. Oni również uczęszczają do szkoły rzemieślniczej, nie budząc najmniejszych podejrzeń.

### Pamiętne prymicje

Nasze podróże do seminarium stają się prawie niemożliwe. Kolejki elektryczne są niesamowicie przepelnione, a nasze europejskie twarze nie budzą zbyt dużego zaufania. Mamy własnych profesorów, odpowiednio przygotowanych w wystarczającej liczbie. Na prośbę arcybiskupa Tokio dojeżdżamy do seminarium, by utrzymać wśród Japończyków poziom nauki. Nasi koledzy diecezjalni, by okazać wierność krajowi, udają się na dwa miesiące do pracy w fabrykach. Ich szeregi stale topnieją. W takich okolicznościach przeżywamy radość nie zwyczajną: święcenia trzech starszych kolegów, w których gronie jest pierwszy Japończyk - salezjanin. Nie został wezwany do wojska z powodu słabego wzroku. Urządzamy ściśle wewnętrzną uroczystość, ale za to bardzo serdeczną. Wszystko jak dawniej, ale bez zaproszeń. Na akademii koncertuje dwoje dzieci. Starszy braciszek uczeń naszej szkoły, już wirtuoz na skrzypcach, a młodsza siostrzyczka gra wspaniale na pianinie. Wszyscy jesteście urzeczonymi tymi cudownymi dziećmi. W rodzinie tylko ci dwoje są katolikami. Zdolności artystyczne poszły w parze z rozwojem umysłu i serca. Ojciec, nauczyciel szkoły podstawowej, sprzeciwiał się, by syn pierworodny

przeszedł na chrześcijaństwo, ale wreszcie uległ. Córeczce nie czynił żadnych trudności. Wiele razy występował już w radiu i na koncertach szkolnych.

## Widmo wojny straszy

Studia w domu mają jeszcze tą dobrą stronę, że wstawanie opóźniło się o całą godzinę: o piątej rano. Zamiast tracić czas na dojazd kolejką (przynajmniej półtorej godziny), teraz możemy wypocząć w nocy okrągłe sześć godzin.

O wczasach już nie ma mowy i nawet nie życzymy ich sobie wcale. Zdarzają się od czasu do czasu próbné ćwiczenia przed nalotami, ale z Japończyków niewielu wierzy w możliwość bombardowania Tokio. My się wstrzymujemy od wyrażania własnych zapatrywań. Różne slogany stają się hasłem codziennych wyrzeczeń. Jeden z ostatnich to: „wytrwajmy bez marynarek”. Od dłuższego czasu nie można kupić materiału na ubranie, więc wszyscy chodzą w koszulach do pracy i do urzędów. Inne rzeczy są na kartki i to w bardzo ograniczonych porcjach.

Ponieważ nie palimy, a otrzymujemy przydział papierosów, korzystamy z niego skrzętnie i mamy czym obdarowywać naszych dobrodziejów i urzędników w różnych resortach od gminy począwszy do posterunku policji. Takich podarunków nikt nie odmówi. Robimy sobie w ten sposób wielu „przyjaciół z mamony”. Nie kupowaliśmy dotąd czekolady, cukierków lub ciastek, ale teraz wybieramy te rzadkości z wyżej wspomnianych powodów. Żyjemy nadal ryżem, rybami, ziemniakami i własnymi jarzynami, a inne drogocenne luksusy idą na zamianę. Brak już igieł do maszyn do szycia, cukru, kawy, nawet zapalek. Kto miał samochód na benzynę, to się go pozbył. Ciężarówki i autobusy poruszają się napędzane węglem drzewnym. Wyjeżdżamy często rowerami. Drogi są puste i wygodne nie tylko bez korków, ale nawet bez świateł i na skrzyżowaniach. Samochody wojskowe ograniczają się do nocnej jazdy. Pociągi dalekobieżne kursują półpuste z powodu ograniczenia sprzedaży biletów. Natomiast podmiejskie w rannych i wieczornych godzinach są przepełnione robotnikami i młodzieżą. W ciągu jednego roku poznaliśmy miasto dokładnie od gór po morze. Opony rowerowe jeszcze można dostać, z dętkami trudniej, ale przy pomocy papierosów i słodczy zaopatrzyliśmy się na „czarną godzinę”.

Mamy nawet mechanika, który wyrabia „tandem” z dwóch rowerów połączonych, posługujemy się tym przy przewożeniu większych ładunków, ciągnąc przyczepę lub wózek z sianem itd.

## Monsignore Cimatti

Trzy razy w tygodniu przybywa mons. Cimatti. Ma już 67 lat, ale jeździ niestrudzenie. Przepełniona kolejka z przesiadką, półtorej godziny w jedną stronę, a potem dwa kilometry ze stacji to dla wiekowego człowieka ciężko. Dla swoich kleryków - jak mówi - zrobiłby i trzy razy tyle. Lubimy go wszyscy, bo wyrozumiały dla każdego, a dla siebie skąpy. On, który widział na własne oczy księdza Bosko, jest dla nas nie tylko przełożonym, ale ojcem. Fakt,

że był Włochem nie izolował go ani od Japończyków ani innych. Takich ludzi nie można określić według narodowości. Poznałem go dopiero w Miyazaki, przedtem nie zrobił na mnie większego wrażenia. Był moim dyrektorem tylko rok, ale to wystarczyło, by go nawet zacząć czcić nie tylko jako przełożonego, ale prawie jak świętego. To samo potwierdzali Japończycy. Nishimura skoczyłby dla niego w ogień. Tak dla niego, jak i dla nas wszystkich mons. Cimatti jest drugim księdzem Bosko. A jest bardzo uczony. Ma doktoraty nie tylko z filozofii i teologii, ale też z nauk przyrodniczych i fizyki, dyplomy z nauk rolniczych i muzyki. Dużo można by o nim powiedzieć. Teraz pragnę stwierdzić tylko jedno: jest to człowiek, który rzeczywiście wszystkich jednakowo wysoko ceni. Stąd wspominałem o narodowości. On tak samo lubi Włochów jak Niemców, Polaków, Japończyków, Amerykanów, czarnych i białych, chrześcijan i pogan, przyjaciół i wrogów (jeśli w ogóle mógłby ich mieć, co jest niemożliwe), ponieważ wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca. Wykłady mons. Cimatti'ego, przepełnione realnym spojrzeniem na Boga i na człowieka, mają coś bliskiego, urzekającego. Nawet problemy zawile umie podać w sposób bardzo prosty, ukazać ich walor naturalny, mocno oparty na przedwiecznych prawdach transcendentnych. Każda jego wizyta jest dla nas uśmiechem słońca wśród nocy.

## Pierwszy nalot

Tymczasem jesień przynosi nam niespodziankę. Syreny zagrały na alarm w samo południe, a w radiu ogłoszono równocześnie prawdziwy nalot nieprzyjacielski. Udajemy się gromadnie w stronę schronu, do lasu, ale próbujemy coś zobaczyć przez drzewa. Od centrum miasta słychać głos armat. Zauważamy jak wykwitają małe chmurki na pięknym niebie. Wysoko nad tymi chmurkami posuwają się w naszą stronę trzy białe ptaki, lśniące w promieniach słońca jakby zjawy z innego świata. Wydaje się, że płyną bardzo wolno. Cała okolica zachowuje się spokojnie, chociaż niektórzy nawołują do schronów. Wieczorem w wiadomościach radio ogłasza przelot trzech samolotów amerykańskich, które zrzuciły kilka bomb bez spowodowania żadnej szkody. Zostały odparte przez nasze pościgowce. Samoloty przyleciały z dalekiej wyspy Saipan, rodzinnych stron mojego Wicka, na co on się uśmiecha z zadowoleniem. Pułap lotu wynosił dziesięć kilometrów. Więc jednak się zaczęło.

Prawie wszyscy Japończycy już nas opuścili, jedni pojechali na wojnę, drudzy do przymusowej pracy w fabrykach. Pozostali tylko najmłodsi kandydaci. Tyle lat pracy, trosk, nadziei, i oto w jednej chwili wszystko rozwiało się jak mgła. Czy naprawdę wrócą się kiedyś tamte szczęśliwe czasy? W połowie września mons. Cimatti przyjeżdża znowu i zatrzymuje się z nami. Przydzielono nam nowego dyrektora, dawnego magistra nowicjuszy, którzy poszli na wojnę. Dawny dyrektor otrzymuje urząd wice-prowincjała ze szczególnym zadaniem opieki i wyżywienia kleryków, a to sprawa niełatwa. W wielkim seminarium są święcenia dwóch nowych lewitów, ale już nie Japończyków. Jeden to Koreańczyk, a drugi z wyspy Formozy. Zapraszamy ich na prymicje do nas, próbując zastąpić im kraj i rodzinę.



## Naloty nie na żarty

24 listopada w samo południe syreny zwiastują nalot, a radio wzywa laconicznie do schronów. Zaledwie zdążyliśmy opuścić jadalnię, a nad nami jest już pierwsza eskadra B 29 (ciężkie bombowce) na niewielkiej wysokości. Płyną piątkami jedną ławą. Przy potężnym warkocie motorów dają się słyszeć charakterystyczne wyładowania ciężkich bomb, jakby równocześnie wysypywano żwir z ogromnych zbiorników. Z duszą na ramieniu polecamy się Bogu. Ziemia kołysze się jak podczas trzęsienia i przy głuchych wybuchach podnoszą się słupy piasku po całej okolicy. Tak przeleciało nad nami kilka eskadr z tym, że zrzuty następują raczej w centrum miasta. Tego wieczora na nabożeństwie śpiewamy z jeszcze większym skupieniem i pobożnością: Da pacem, Domine, in diebus nostris... Panie, udziel nam pokoju w dniach naszych.

Po trzech dniach powtarza się identyczny nalot, a ostatniego listopada już przed północą nalot trwający trzy godziny. Drżymy na widok morza ognia, gdyż większość zrzutów to bomby zapalające. Mimo szarugi Tokio jak długie i szerokie to jedna ława ognia i dymu. U nas na podwórzu jasno jak w dzień, można śmiało czytać książki przy świetle tej apokaliptycznej pochodni. Nad ranem powtórzyły się naloty jeszcze dwa razy.

Przed kilku dniami specjalny oddział policji bezpieczeństwa, ustanowiony przede wszystkim dla obcokrajowców, zawiadomił nas o surowym zakazie udawania się na zachód, dokąd dojeżdżaliśmy do seminarium. Zapewniliśmy ich, że przerwaliśmy uczęszczanie od kwietnia. Wiemy o co im chodzi. Jest to strefa fabryk ciągnąca się bez przerwy na przestrzeni dwudziestu kilometrów. Po usunięciu maszyn dziewiarskich, fabryki wyrabiają części do samolotów, zwłaszcza wszelkiego rodzaju silniki. Chociaż się tym specjalnie nie interesujemy, wszyscy o tym wiedzą i mówią. Dlatego nasza kolejka jest niemożliwie przepełniona robotnikami tych fabryk. Przewidywaliśmy takie posunięcie policji względem nas, więc pierwsi przerwaliśmy dalszą naukę w seminarium. Ale jeszcze nie o to chodziło.

Otóż samoloty wywiadowcze, chociaż penetrowały - jak się zdawało - centrum miasta, jednak śledziły dokładnie te pasy zabudowań. Trzeciego grudnia w niedzielę zaczął się sądny dzień. Ostatnia fabryka kończy się koło stacyjki o jakiś jeden kilometr odległości od nas. Nowy nalot wziął za cel opisany pas fabryk. Widzimy na własne oczy bomby lecące na nas. Co się tam działo, to trudno sobie wyobrazić. Najbliższa bomba padła na buraczysku odległym zaledwie o kilkadziesiąt metrów od naszego schronu. Inna obok szkoły, gdzie są schrony podobne do naszych. W jednym z nich znajdował się dyrektor szkoły świecki katolik, który objął zarząd po wyjeździe kłeryka Maki. Siłą woli udało mu się odgrzebać głowę z zasypanego schronu, a na jego wołanie odkopano jego i rodzinę, w tym jedną córeczkę zemdloną, która po ocuceniu straciła mowę na kilka godzin. Z drugiego schronu i ukrytych w nim osób nie pozostało nawet śladu, z wyjątkiem leja w ziemi, w którym można by ukryć dwa domy.

W następnych dniach kopujemy tunele i wyjścia ze schronu w różnych kierunkach. Naloty mnożą się w dzień i w nocy, a większość z nich kieruje się na centrum miasta.

## Święto Niepokalanej i księdza Bosko pod bombami

Studia prowadzimy o tyle regularnie, o ile pozwalają to naloty: z wykładów do schronu, ze schronu na wykłady. Po pierwszym chrzcie ognia przyzwyczajamy się, na ile tylko można się przyzwyczaić do nowego rozkładu dnia i nocy. Uroczystość Niepokalanej postanowiliśmy uczcić z gorliwością jak nigdy dotąd. Alarmy są sprawą drugorzędną w tym wypadku. W czasie pierwszych niesporów jest alarm, udajemy się zatem do schronu, potem na kolację. Po północy budzą nas znów syreny, więc jeszcze przed brzaskiem rozpoczynamy święto Matki Bożej. Pobudka regularna jak w dni świąteczne. Po mszy koncert w salce w wyborowym składzie: Mons. Cimatti, cudowne dzieci, organ, fortepian, skrzypce. Chór śpiewa po japońsku. Tematem jest słynna już kompozycja mons. Cimatti'ego stworzona na jubileusz 2600 lat Cesarstwa, ale dostosowana w trzech częściach do naszej uroczystości. Pierwsza część opiewa aniołów schodzących z wysokości, by wychwalać Królowę Nieba. Część druga przedstawia chór żeglarzy, którzy, śpiewając pieśń do Gwiazdy Morza, dobiegają szczęśliwie do portu. Wreszcie trzecia część to wspólne ofiarowanie kwiatów i kadzidła wśród płasów radosnej wdzięczności.

Syreny zagrały nam w czasie obiadu. Po południu nasi młodzi kandydaci odegrali dla internistów operetkę mons. Cimatti'ego w trzech aktach: Marek rybak. Wszystko zakończyliśmy nabożeństwem w kaplicy. Dzisiaj jest rocznica zniszczenia floty w Hawaich, ale czciliśmy kogoś innego. Alarmy i naloty ciągną się bez przerwy po kilka razy dniem i nocą aż do Bożego Narodzenia. Syreny nie ogłaszają już samolotów wywiadowczych, chociaż i te mają ładunek bomb, czyni to tylko radio.

Na św. Jana Bosko w samo południe powtórzyła się gehenna po raz trzeci. Przerywamy obiad, bo jest do tego wystarczający powód. Eskadry bojowe po siedem fortec są nad nami bardzo nisko. Pierwszy raz spoglądamy na te olbrzymy, ziejące ogniem ze wszystkich stron. Wprost nad nami zrzucają bomby. Odetchnęliśmy wiedząc, że już niebezpieczeństwo minęło. Fabryki zrównano z ziemią. Samoloty zataczają wielkie koło i powracają od strony zachodniej, a nam serce ucieka do gardła ze strachu z powodu innych eskadr widocznych na widnokręgu. Jest ich siedem. Pierwszy raz oglądamy walkę powietrzną, ale jakże nierówną. Japońskie myśliwce rzucają się na te olbrzymy jak podrażnione osy na konia. Karabiny maszynowe grają przeraźliwie i prawie bez przerwy, goniąc z zawrotną szybkością, jakby szukając zderzenia, ale na próżno, bo pod uderzeniem kul amerykańskich myśliwce rozlatują się w kawałki lub jak zabawki spadają obok nas. Stoimy jak wryci, nie zdając sobie sprawy z tego, że na skrzyżowaniu ognia i nas może spotkać śmierć. Mons. Cimatti udziela na odległość rozgrzeszenia... Szkoda miasta, żal tych cudów sztuki, żal życia ludzkiego, co w tak niemiłosierny sposób gasnie nagle, żal nam młodych, dzieci i starców. Fortece przeleciały nad nami, niosąc zagładę miastu. Straszliwe, ciągłe wybuchy świadczą o bombardowaniu dywanowym. Znikają kompletnie całe partie miasta. Około północy usłyszeliśmy ciężkie detonacje, a po nich ujrzeliśmy kolumny ognia i dymu. To odezwały się bomby zegarowe zrzucone między zbiornikami materiałów zapalnych. Już od końca roku trwają naloty dniem i nocą po kilka razy.

## Zaczyna się 1945 rok

Co nam przyniesie Nowy Rok 1945? Zwykłych uroczystości, noworocznych prawie nikt już nie obchodzi. Naloty są regularne: południe, druga, ósma, dziesiąta wieczór, oraz druga i czwarta po północy, rzadziej w porannych godzinach. Spustoszenie trwa nadal. Aż dziw, że jeszcze coś zostało. Może jeszcze tylko nasza dzielnica dotąd jakoś oszczędzana? Dziewiątego stycznia znowu wielki nalot o drugiej po południu i to we wszystkich kierunkach. To samo w nocy 26 stycznia: eskadry fortec liczą po siedemnaście sztuk każda. Wydaje się, że to już koniec świata. Mimo wszystko ostatni dzień miesiąca święcimy nabożeństwem i akademią ku czci naszego założyciela księdza Bosko. Na początku lutego nieco zelżało. Mówią, że naloty przeniosły się na inne miasta. Nie mamy żadnych wiadomości, bo radia można słuchać na długich falach tylko z najbliższej radiostacji, a ta nigdy nie podaje wiadomości pozamiejskowych. Przestały przychodzić biuletyny włoskie i niemieckie. Krążą jednak pogłoski, że z Niemcami krucho, ale szczegółów brak.

W połowie lutego sytuacja zmienia się na gorsze. Szesnastego jest alarm już o siódmej rano. Myśliwce japońskie wylatują z pobliskich lotnisk w dużej liczbie we wszystkie strony pojedynczo i grupami. To każe się domyślać, że lotniska opustoszały. W krótkim czasie pojawiają się myśliwce amerykańskie P51 i to ogromnie dużo na niskim pułapie. Zdają się czegoś szukać, wreszcie atakują lotniska. Od czasu do czasu nadlatują nowe eskadry. Płyną bardzo nisko, przelatują wprost nad dachami domów. Zamilkły baterie przeciwlotnicze. Oglądamy znowu walki powietrzne. Japońskie myśliwce po dotkliwych stratach wycofują się z pola walki. O czwartej powrócił spokój. W czasie kolacji radio ogłosiło, że flota amerykańska zbliżyła się do wysp Ogasawara (Iwoto) i myśliwce z lotniskowców w liczbie około tysiąca zaatakowały Tokio. Zmęczeni już o siódmej idziemy na spoczynek.

## Pod nieustannym gradem bomb

Jeśli to potrwa dłużej, nie wytrzymamy. Trzeba będzie chyba opuścić Tokio. O tej możliwości zaczynamy rozmawiać, coraz więcej, ale gdzie znaleźć odpowiednie schronienie dla tylu osób. Nawet władze radzą obcokrajowcom opuścić stolicę. Na drugi dzień historia się powtarza. Japońskich samolotów wcale nie widać. Eskadry amerykańskie zawracają od miasta ku nam i rzucają się jak jastrzębie na strefę fabryczną. Prawie cały dzień spędzamy w lasku obok schronów, wchodząc i wychodząc doń. Na obiad spożywamy tylko suchary. Radio poleca nie gotować stawy. Zaczyna padać gęsty śnieg, ale mimo to naloty trwają nadal aż do wieczora. Dziewiętnastego po południu znowu grubo ponad 50 fortec nad Tokio. W ostatnią niedzielę lutego spadło pół metra śniegu. Ciężki alarm ogłoszono już rano, ale Tokio zostało ominięte. Domyślamy się wielkich bombardowań w pobliskich miastach. Dopiero o drugiej po południu przelatują nad nami ukryte za grubymi chmurami ciężkie eskadry w stronę miasta. Za chwilę słychać głuche wybuchy. Do tego czasu naloty rozwijały się na wschód i na zachód od nas: po jednej stronie jest centrum miasta i dalej Yokohama, a po drugiej strefa fabryczna. Nas

dotąd jakoś oszczędzają. Ale co będzie po zrównaniu z ziemią tamtych? Na pewno przyjdzie na nas kolej i to niedługo, a wtedy?

Porcje ryżu coraz to mniejsze, chleb prawie nie do jedzenia, bo do mąki mieszają mielony groch, który prędko fermentuje. Trzeba przypiekać kromki drugi raz, inaczej przy rozłamaniu ciągną się długie, śliskie nitki. Mamy nieco zapasów na czarną godzinę, ale nie wiadomo, kto je będzie spożywał... Gdyby nie mons. Cimatti, wszystko poszłoby w rozsypkę. On jeden, spokojny i ufny w Bogu, podtrzymuje naszą wiarę. Japończyków już nie ma między nami, nawet chłopców zabrano do pracy. Wszelkie sprawy związane z zaopatrzeniem załatwiamy kolejno. W dniach wielkich nalotów czekamy z drżeniem na powrót kolegów. Zatarły się między nami wszelkie różnice narodowościowe, wszyscy są równi: Polak, Niemiec, Włoch, Hiszpan, Węgier, Litwin, Jugosłowianin, Słowak, Koreańczyk, Japończyk, Saipańczyk...

A z centrum miasta dochodzą potworne wiadomości: ludność pali się żywcem, woda gotuje się w sadzawkach i nawet w rzekach, całe dzielnice to jeden cmentarz. Dzieci szkolne wywieziono na prowincję, ale wiele ich jeszcze pozostało, zwłaszcza biednych.

## Wyprawa po marmoladę

Na początku marca otrzymujemy kwitki na marmoladę, pierwszy raz od dwu lat. Trzeba ją wybrać, bo za grosze, a nigdzie już jej się nie dostanie. Nie ma innej rady jak pojechać rowerem: dwie godziny z okładem w jedną stronę. Przełożeni nie mają odwagi prosić ani rozkazywać nikomu, bo trzeba przejechać przez centrum miasta, a tam przecież ciągle naloty. Ochotników jakoś nie widać. Przychodzi ze szkoły ksiądz Litwin i mówi, że oni mają kwitek na 15 kg marmolady. Nam przydzielono trzydzieści kilogramów, bo wspólnota jest większa.

Porozumiewamy się w lot i zgłaszam się na drugiego. Koledzy przygotowują nam najlepsze rowery i bogatszą garstkę sucharów, a nawet kilka kostek cukru, to co mają najlepszego, sutanny na kołek i puszczamy się w Imię Boże. Nikt nie zwraca na nas uwagi, chociaż widzą obcokrajowców. Pozdrawiamy po drodze, odpowiadają nam głębokim ukłonem, ale to, co się roztacza przed nami, jest nie do opisania. Miasto dosłownie zaorane: spaleniźna i gruzy, gruzy i spaleniźna. Okropny jest ogień, ale nierównie straszne są bombardowania tzw. „dywanami”. Tu i tam wprost wycinane kwadraty bez jednego słupka czy kolumny, plac z gruzów na dwa metry wyższy od drogi. Wśród pogorzeliśk stoją tu i tam ogniotrwałe kasy, albo małe magazyny również zabezpieczone od ognia. Postanowiliśmy jechać dzielnicami kompletnie zniszczonymi, co zmniejsza ryzyko nowego nalotu, nie będą przecież chyba bombardować gruzów. Drogi są oczyszczone, ale reszta pożał się Boże. Dzielnice są nie do poznania. Jedziemy jak najszybciej, by możliwie wrócić jak najprędzej.

Przed dziesiątą jesteśmy na miejscu. Ta dzielnica jeszcze niewiele ucierpiała, podobnie jak nasza. Wysoko widać schrony, nasypy wśród rzadkich kamienic, piętrowe domki i domeczki z drzewa, biedota jak w Mikawaszyma, gdzie mamy naszą misję. Zdziwili się magazynierzy, że jesteśmy tylko we

dwóch i to rowerami, ale wydali: mnie dwie blaszanki zapieczętowane, a koledze jedną.

Obok magazynu zabawia się grupka dzieci. Zbliżyliśmy się i jak starzy znajomi rozpoczynamy rozmowę. Nie mogą wyjechać z miasta, bo są biedni. Szkoła się spaliła, zresztą nie ma już innych dzieci, nauczycieli też nie ma. W razie nalotów może im się uda uratować na łodziach z dala od brzegu. Rodzice mają łodzie przewozowe i rybackie, albo też należące do miasta. Gdy się dowiedzieli skąd jesteśmy, popatrzyli na nas z zazdrością i smutkiem. „Waższe strony nie będą bombardowane, bo tam nic nie ma; nie ma fabryk, a tu jest port, jest pełno maszyn w ciągłym ruchu, to nas nie ominie... Wzruszyła nas ta ich bezpośredniość. Gdybyśmy mogli zabrać ich z sobą, nie mamy już nikogo z Japończyków, a chociaż i nam się nie przelewa, byłoby miejsce, tylko czy u nas jest bezpieczniej? Pochrupując suchary, rozdajemy im cukier. Dzieci przynoszą nam wodę do picia i odprowadzają aż do zakrętu, żegnając serdecznie.

Zagadaliśmy się z dziećmi trochę za długo, bo już wpół do jedenastej. Z cennym ciężarem na bagażniku wracamy nieco okrężną drogą ku północy. Tokio zdawało się dawniej równiną, ale okazuje się, że jest terenem bardzo nierównym, miejscami pagórkowatym. Doliny i pagórki, jak okiem sięgniesz, ciągną się aż tam po dzielnice mniej zrujnowane. Pocimy się, chociaż wieje silny wiatr od północy. Po jakimś czasie zmieniamy rowery. Niektóre drogi są zatarasowane gruzem, więc zawracamy. Wiemy już, że do południa nie powrócimy. O dwunastej syreny dają sygnał ostrzegawczy i niestety po kilku minutach ogłaszają nalot. Nie wiemy, na co się zanosi. Wybieramy dwa małe magazyny, pozostałe na gołej przestrzeni i kryjemy się od przeciwnej strony. Eskadry ciężkich bombowców, widoczne jak na dłoni, lecą nisko, ale ku stronie południowej między Tokio a Yokohamą. Dobrze, że wybraliśmy północną stronę tej dziwnej pustyni. Eskadry się mnożą w nieskończoność. Niektóre przelatują nad nami, ale prawdopodobnie już po wylądowaniu bomb. Ruszyliśmy dopiero po czwartej, a na szóstą dotarliśmy do domu, witani owacjami.

## **W trosce o codzienny byt i naukę**

Z naszą misją w Mikawaszima jesteśmy w stałej łączności. Tam mają swój dom siostry salezjanki, więc pomagamy im według możliwości w dostawie ziemniaków, jarzyn, naprawie naczyń itp. Misja jest czynna, jak nigdy dotąd, chociaż władze wojskowe na to krzywo patrzą. Biedne dzieci, podobnie jak tamte w Fukagawa nad morzem, prawie wszystkie pozostały w domu i bez nauki, ale tu nie wążają się po drogach, w misji znajdują opiekę. Maja tu nieco nauki i drobne zajęcia, a co najważniejsze garstkę ryżu i podwórze do zabawy. Włosi udają się często do swojej ambasady i zawsze powracają dobrze obładowani. Ich dom kultury poszedł z dymem, ale w schronie zostało dużo im niepotrzebnych przedmiotów, od mioteł do worków węgla, czystego papieru i używanych krzesłek, co dla nas wszystko ma posmak luksusu.

W pierwszą niedzielę marca już od dziesiątej rano rozpoczęły się naloty na miasto i dalej w kierunku południowym. Przeleciało nad nami kilkanaście eskadr, ponad setka B 29. Bardzo blisko nas szczekają działa przeciwlotnicze. Mimo gęstych chmur jedna forteca odrywa się od swojej formacji i zatacza

koło od północy wprost na nas. Widzimy wynurzającą się z chmur nad naszym dachem jednotonówkę, która ze strasznym świstem mknie prostopadle. Wszyscy padamy na ziemię, a bomba prawie nad laskiem godzi z ukosa w gniazdo armat. Cała bateria wraz z pobliską stacją wylatuje w powietrze, pozostawiając głęboką czeluść. U nas część okien z ramami wpada do domu od podmuchu. Nowy kłopot, bo szyb nie ma, a tu oziębilo się i pada śnieg. Przełożeni dokładają wszystkich sił i starań, by znaleźć dla nas miejsce najlepiej gdzieś w górach. Jest nawet kilka projektów, ale żaden nie dochodzi do skutku. Mimo wielkich trudności kończymy w marcu rok akademicki, ale w obecnych warunkach już nie ma mowy o możliwości rozpoczęcia nowego roku od kwietnia. Wierzmy i ufamy, że przecież Bóg pamięta o swojej czeladzi.

Komunikacja kolejowa jeszcze funkcjonuje prawie regularnie, naloty nie biorą za cel dworców i mostów kolejowych. Z Europy brak wszelkich wiadomości. Radio i gazety nie podają w ogóle żadnych nowin poza krajowymi. Po uroczystości św. Tomasza rozpoczynamy egzaminy. Każdy z nas starał się jak mógł wykorzystać wykłady, ale na powtórkę nie było wiele czasu. Idziemy z książkami i zapiskami do schronu i tam się przerabia często, wspólnie wyznaczone traktaty. Ewentualne dyskusje zaostrzają pamięć.

## Apokaliptyczny nalot

W pierwszym dniu egzaminów po dziesiątej wieczór syreny wywołują z łóżka. Radio ogłasza wielki nalot, więc prócz książek zabieramy ze sobą koce, którymi zakrywamy plecy z głową, jak to robią u nas w Polsce kobiety zimowymi chustkami. Bardzo mocne wiatry prawie huraganowe z Syberii przynoszą przenikliwe zimno, chociaż to już dziewiąty marca. Wychodząc, oglądamy już całe Tokio w ogniu. Wkrótce całe niebo zaciąga się grubą warstwą dymu czerwonego. Ciężkie bombowce latają bardzo nisko i pojedynczo, oświecone ogniem pożaru. Rzadko dają się słyszeć wybuchy, a samoloty wiążą się z ziemią złotymi i czerwonymi koralami. Wiemy już, co to znaczy. To bomby zapalające najnowszego typu. Nie ma przed nimi ratunku, a wiatr jakby się sprzysiągł razem z żywiołem ognia.

Wyleciały liczne myśliwce japońskie, ale działają tylko w naszym pasie, nie zbliżając się do miasta, bo tam artyleria przeciwlotnicza robi nadludzkie wysiłki i tym razem nie na darmo. Jedna z latających fortec wrywa się z ognia i pędzi w naszą stronę całą mocą maszyn, widocznie trafiona. Wybuchu niedaleko, rozlatuje się na pięć wielkich pochodni, które łukiem, jakby apokaliptyczne komety, rzucają się na naszą dzielnicę, by ją pożreć. Nasze domy i tak już dobrze oświetlone, zajaśniały od krwawego warkocza. Nowy pożar wybuchł przed nami tuż za rzeką. Liczne samoloty nadlatują bez końca, jakby uwzięły się tej nocy zniszczyć kompletnie miasto. Zatapiają się w czerwonym dymie, z którego wyłaniają się nowe koralce czerwone i złote. Widziałem swego czasu w kinie palący się Rzym i Troję, ale to był pożar malowany w porównaniu z tym, który oglądamy. Patrząc w kierunku ognia, dostrzegam w pamięci ubogie domki tam nad morzem, gdzie przed kilku zaledwie dniami byliśmy z kolegą po marmoladę. Grupka dzieci stanęła mi tak żywo w oczach,

które nagle... zaszły łzami. Dalej ku północy szaleją pożary w okolicy naszej ubogiej misji.

Zbliżam się do modlącego się mons. Cimatti'ego i dzielę się z nim moim spostrzeżeniem. On żegna krzyżem te słupy ognia i zaprasza do modlitwy za wszystkich cierpiących i umierających. Wygląda jak prorok na zgłiszczach świętego miasta. Drżymy na myśl, że każdej chwili może się przenieść to piekło do naszej dzielnicy, dotąd prawie nietkniętej. Jest ona dosłownie utkana domami, bo dachy dotykają się nawzajem tak, że pod nimi jak portykami, można błędzić godzinami w czasie ulewy bez parasola. A tam w oddali, jak okiem sięgniesz na wschodzie, od północy ku południowi jeden żywioł ognia coraz to większy i większy. Znowu inny samolot forteca leci ku nam. Silniki grają w najwyższym napięciu, cztery potężne reflektory oświetlają naszą dzielnicę strugą rażącego w oczy światła. Daje się słyszeć jakieś larum pełne rozpacz. Nie strzelają już do niego, a on coraz bliżej i niżej. Światło kompletnie nas oślepia. Z zawrotną szybkością mknie wprost na nasz dom. Jeszcze kilka sekund i oto błyska przed nami przerażająca jasność. Towarzyszy jej grzmot, od którego zatrzęsła się ziemia w posadach. Samolot uderzył całą siłą o ziemię i zapalił nową pochodnię w naszej dzielnicy. Około czwartej nad ranem samoloty się cofają, ale potężny wiatr z północy prowadzi nadal spustoszenie, miotając ogniem bez ulgi i nadziei ratunku. Wiatry wieją z północnego zachodu, więc tym razem nie zagraża nam niebezpieczeństwo, ale tam wciąż rozgrywa się tragedia.

Mimo zmęczenia długo nie mogę zasnąć. Pobudkę zrobiliśmy o siódmej rano i czekamy na wiadomości. Radio ogłasza nalot nocny właśnie na dzielnicę, które przewidywaliśmy. Miasto pali się dalej, gdyż wiatr podsyca ogień. Wieczorem przyjeżdża rowerem osmolony, poparzony, w powypalanym ubraniu nasz młody ksiądz z Mikawaszima i najpierw prosi o szklanek wody. Od wczoraj nie miał nic w ustach. Okolice dalej się pali, misja uratowana. Ogień nie przerzucił się przez szeroką drogę, ale na dom sióstr spadły bomby zapalające, więc zabudowania oblane płonąca gumą poszły z dymem. Siostry zaledwie uszły z życiem i schroniły się w kaplicy, gdzie ratują ludność poparzoną. Jeśli się wiatr odwróci, nic nie uratujemy. Prosi jeszcze o strawę, zmienia ubranie i mimo nocy powraca. Trzy dni i trzy noce pali się cała południowa część stolicy.

## **Bombardowanie naszej dzielnicy**

Niektórzy z naszych starają się o pozwolenie wyjazdu do Miyazaki. Tam przecież są misje za miastem i pożywienie łatwiej zdobyć od znajomych gospodarzy. A chociażby i do Tano położonego w górach. Policja zwleka z odpowiedzią i nareszcie odmawia absolutnie. Pod koniec marca nasza szkoła zawodowa wystawia dyplomy celującego zakończenia nauk dla wszystkich naszych kochanych Japończyków, ale już żadnego z nich nie ma, wszyscy na wojnie. Dyplomy odbiera w ich imieniu nasz ks. dyrektor, obcokrajowiec. To też bardzo boleśnie przeżywamy: wszystkie nadzieje prysnęły jak bańka mydlana...

Wielki tydzień mija spokojnie. Dopiero w poniedziałek wielkanocny wieczorem zaczyna się taniec od nowa. Jak przewidywaliśmy, Tokio się skoń-

czyło. Pozostają przedmieścia, a więc kolejka i na nas. Znajomi Japończycy uspokajają nas tym, że przeciwnik ogłasza dokładnie, która dzielnica ma być bombardowana, zapraszając ludność do jej opuszczenia. My nie posiadamy krótkofalówki, więc nie słuchamy tych ogłoszeń po japońsku. Zrzucają także ulotki na kilka dni przed nalotem, skłaniające do poddania się i oznaczające dzielnice do następnej zagłady. Mała to pociecha dla nas, gdy nas zawiadamiają o naszej kolejce, ale w ostateczności można by rzeczywiście opuścić wszystko i udać się na pola uprawne. Jakże „dobre serce” mają Amerykanie!

Zdejmujemy okna z całego domu i wnosimy do schronu. Domy mają okna zasuwane i stąd łatwe do usunięcia. Przejrzeliśmy dokładnie przyrządy do gaszenia pożaru, a pompy ręczne z założonymi węzami czekają gotowe. Zaczęło się daleko na zachodzie, jeszcze poza seminarium, więc na początek oddychamy z ulgą.

Miejsce nalotu odczytaliśmy sami. Pierwszy samolot zawiesił na spadochronach kilka oślepiająco żarzących się rakiet... Aha, znowu fabryki! Pułap lotu niziutki a samoloty nadlatują pojedynczo i każdy, po zrzuconiu w oświetlonym miejscu ciężkich bomb burzących, zawiesza dalej jedną lub dwie takie pochodnie. W ten sposób powoli, ale stale miejsce masakry zbliża się w naszą stronę wzdłuż toru kolejki elektrycznej. Po jakiejś godzinie, najbliższe wybuchy wytlukły nam szyby pozostałe w oknach stajni i kurniku. Wiatr przynosi ciepły zaduch spalenizny i materiału wybuchowego.

Nagle samolot zawiesił wprost nad nami żarzący reflektor. Jeszcze jedna minuta i nadleci następny. Lasek, podwórze, nasze zabudowania i nowa stacja kolejki z dalekim obejściem są oświetlone jak w kościele na pasterce. Stoimy przed schronem i czekamy z biciem serca i z modlitwą na ustach. Samolotu jeszcze nie widać, a po kilkunastu sekundach nagle pochodnia gaśnie, podczas gdy inne tam w dali chociaż wcześniej zawieszono płoną żywym światłem już bardzo nisko. Otoczyła nas na chwilę przyjemna ciemność, błogosławiona i pełna nowej nadziei. Powtarza się tymczasem głuchy daleki grzmot i oglądamy dwie nowe pochodnie tam daleko i wysoko na zachodzie. A Słowo stało się Ciałem. Poczucie ulgi ogarnęło każdego. Historia się powtarza od początku z tym jednak, że sygnały niebezpieczeństwa są dalej. Widocznie jeszcze nie jest nam pisane pożegnanie z tym światem. Składamy dzięki Bogu, i bez zakładania okien udajemy się na spoczynek zmęczeni jak nigdy.

Dowiadujemy się, że seminarium duchowne stało się również celem bombardowania. Wiemy, że mieściła się w nim wojskowa stacja nadawcza, umieszczona w salce pod kaplicą, a po obu stronach gmachu znajdowały się mocne gniazda baterii przeciwlotniczych. Spadło na podwórze sześć bomb średniej wielkości, 500 kg każda. Okna zniknęły wraz z framugami, dachówka w strzępach, ale dom jeszcze stoi. Okolica zniszczona i wiele ofiar w ludności, tylko obie baterie pozostały nietknięte, a przecież przede wszystkim o nie chodziło. Po dwóch dniach powtarza się o północy aż do czwartej rano nalot na północną część peryferii. Dochodzą nas ciężkie wybuchy burzące i oglądamy wielką łunę na grubych chmurach.

Siódmego rano piękna pogoda i już przed dziesiątą z zachodniej strony wielki nalot. Rozpoczęło się w odmienny sposób. Najpierw nadlatuje kilka eskadr nieznanych nam samolotów, średniej wielkości o dwóch kadłu-



bach i dwóch silnikach połączonych sterem poziomym. Są bardzo szybkie i zwrotne. Te uporają się najpierw z myśliwcami japońskimi, słynnymi „Zero”. Potem nadlatują eskadry bombowców Boeing’ów, ale różnej wielkości od B 29 do B 24, B 19 i B 17. W tej strefie, podobnie jak w centrum miasta, jest mocna obrona baterii przeciwlotniczych, więc oglądamy znowu dwie twierdze B 29 zniszczone szrapnelami. Taki samolot zabiera kilka ton bomb i posiada dwunastu ludzi obrony uzbrojonej „po zęby” w najnowsze maszyny dużego kalibru, dwururkowe. Dla myśliwców są one niedostępne, ale nie dla armat. Obserwowaliśmy, jak na jeden taki aparat napadło pięć myśliwców japońskich „Zero”, by na oczach stolicy pokazać swe bohaterstwo; żaden jednak nie śmiał zbliżyć się, bo prawie równocześnie cała piątka została strącona w brutalny sposób, niosąc swoim ładunkiem zniszczenie na ziemi.

Radio ogłasza, że nieprzyjaciele zdobyli Iwoto (Ogasawara) położone już niedaleko od Tokio. Z tego tytułu wzrasta częstotliwość nalotów. Nawiedzają nas nowe rodzaje Lockheed’ów i Boenig’ów mniejszego kalibru, które nie mogłyby przylecieć i powrócić aż do Saipanu.

Dwunastego rano powtarza się nalot specjalnie wymierzony przeciw obronie i reszcie najbliższych nam fabryk. Obok seminarium znikają baterie pod uderzeniami jednotonówek, a zabudowania stają się już bezużyteczne. Dwóch seminarzystów ukrytych w schronie, którzy przypadkowo wrócili z armii, ginie bez śladu. W sobotę powtarza się historia z dziesiątego marca. Nalot trwa od dziesiątej wieczór do czwartej rano. Na południe i na północ do centrum miasta jedno morze ognia. Tym razem samoloty zbliżają się do naszej dzielnicy. Wychodzimy z ukrycia, by strzec domu. Ciężki, gryzący w oczy dym zakrywa najbliższą okolicę. Kilka bomb zapalających wpadło do naszego ogrodu, ale udało się je unieszkodliwić piaskiem. Z trudem wstajemy o ósmej rano.

## Opuszczamy płonące Tokio

Piętnastego dowiadujemy się o zezwoleniu na ewakuację z tego morza ognia. Musimy najpierw ukończyć pracę na roli. Na szczęście wszystko już zasiane i zasadzone. Trzeba też przygotować wszystko, co niezbędne dla życia w nowych warunkach. To co można, trzeba zabezpieczyć w schronach aż do naszego powrotu. Odżyliśmy na nowo, widząc możliwość wybawienia z tego piekła. W nocy nowy nalot na południową część w kierunku Yokohamy. W każdej chwili może się wszystko przerzucić w nasze okolice.

Rano w uroczystość św. Józefa mamy nowych gości: myśliwce P 51 zaczynają od nas. W czasie śniadania słyszymy kąśliwe świsty i grzechot kul po dachu. Nie przebijają jednak one piętra. Każdy biegnie najkrótszą drogą do schronu. Syreny grają dopiero po kilku minutach. Nalot posuwa się ku południowi. W następnych dniach staramy się podjąć pożywienie przynajmniej na tydzień naprzód na podstawie zaświadczenia wyjazdu do miejscowości lotniskowej 260 km na północ od Tokio. Zabiegamy o zdobycie dwóch wagonów towarowych lub chociażby tylko jednego, ale nadaremnie. Wszędzie spotykamy grzeczną, ale też stanowczą odmowę. Wobec tego każdy z nas zabierze z sobą tyle, ile da radę unieść wraz z pościelą. Ile trudu i zabiegów w przygotowaniu walizek! Nie liczymy się już z nalotami. Rzadko udajemy się

do schronu; tylko w ostateczności. Jeszcze jedna wielka pociecha, to udzielenie chrztu dwu dorosłym osobom, prawie na pożegnanie. Wielu z sąsiadów zazdrości nam wyjazdu.

Z biletami jest trudność, więc dzielimy się na trzy grupy. Pierwszą żegnamy nocą 23 kwietnia. Odjeżdża siedem osób, większość bracia, którzy przygotowują mieszkanie. Mają szczęście, ponieważ na drugi dzień po raz pierwszy są bombardowane stacje kolejowe. Druga ekspedycja, do której należą, liczy dziesięciu. Oczekujemy na naprawę torów. Wyznaczono nam czwartek, ale znowu po południu zaczęły się naloty, które z małymi przerwami trwają całą noc. Biją teraz bombowce w naszą okolicę. Najbliższa nam dzielnica poszła z dymem i tylko rzeka zatrzymała ogień. Na szczęście dla nas wiatr dął z północnego zachodu. Nareszcie w piątek 27 kwietnia, zaraz po obiedzie, żegnamy się, a koledzy odwożą nasze rzeczy wózkami do stacji kolejki. Po trzydziestu minutach będzie przesiadka na kolejkę okrężną, aż do węzłowej stacji Ueno, skąd wyruszamy dalej. W godzinach południowych kolejka jest pół-pusta. Nikt się nie dziwi naszym tobołom na plecach i ciężkim, wyładowanym walizkom.

Pierwsza część podróży odbywa się jakby korytarzem szerokim na sto metrów. Im bliżej centrum korytarz ten przechodzi w puste place coraz to obszerniejsze. Po przesiadce po obu stronach nasypu jest pusto jak okiem sięgnąć. Tam, gdzie stała nasza katedra, pozostał pusty plac ze spalonymi kikutami drzew. Dalej już nie rozpoznajemy dawnych dzielnic. Domy stoją rzadko, rozbite, okaleczone, a reszta to rumowisko i zgliszcza. Od czasu do czasu ukazuje się ciemna i wysoka kępa: to są mury i park cesarski. Przejeżdżamy obok pałacu. Japończycy zwracają się twarzą do niego i pozostają pochyleni ze złożonymi rękami, jak do modlitwy w wielkim skupieniu. My również odwracamy się, ale bez ukłonów, pełni współczucia dla tych tragicznych obywateli stolicy. Oni oddali już wszystko, co mieli najdroższego: dzieci i mienie, a teraz, mimo totalnego zniszczenia, stoją bohatercko w obliczu wysokiego okopu, jak Żydzi pod murem płaczu, tylko że ci tutaj nie płaczą, tylko kłaniają się z najwyższą czcią. Jesteśmy przyzwyczajeni do tej ceremonii, która kiedyś odbywała się w innych okolicznościach, w wesołym nastroju rodziców i dzieci w pięknych kimonach... A dzisiaj kobiety i starcy bez dzieci, bez młodzieży i mężczyzn w sile wieku, ubrani, jak kto może, kobiety w szarawarach, starcy w kapotach z grubo watowanymi kapturami na rękę, stoją w głuchym milczeniu... W razie nalotu te kaptury są przepisowym nakryciem głowy dla wszystkich, którzy nie mają ochronnego hełmu. Z naszych używa kapturka tylko mons. Cimatti, bo on się dostosowuje do wszystkiego, ale inni rezygnują.

Kolejka pędzi szybko i często zatrzymuje się na stacjach. Wielu pasażerów z tłumokami podobnymi do naszych wsiada i wysiada. Twarze przygnębione, wystraszone, zagonione, milczące. Nikt się nie interesuje otoczeniem, nawet kontroler nie przychodzi i nie ogłasza stacji jak to dawniej bywało. Uważa, że każdy pasażer zna wystarczająco swoją trasę, a my się tylko niecierpliwimy, wyczekując stacji Ueno, skąd odchodzą pociągi na wschód i ku północy. Tymczasem przybywa pasażerów coraz to więcej i bardzo obładowanych. Wreszcie jesteśmy u celu. Wysiadamy na stacji niesłychanie przepełnionej. Policja stoi na przejściach. Składamy bagaże na wyznaczonym peronie i, pozosta-

wiając przy nich dwóch kolegów, ustawiamy się w rząd do pociągu. W naszym kierunku odchodzą dzisiaj dwa pociągi: o dziewiątej i jedenastej w nocy. Bilety mamy ważne na oba, ale pierwszeństwo mają ci, którzy zajęli miejsce w kolejce. Wychodzimy na zewnątrz: cały wielki plac zajęty, a nasz ogonek kończy się hen w parku u góry, jakieś dwieście metrów od stacji. Stajemy na końcu czwórkami. Japończycy siedzą na tobołkach albo po wschodniemu w kucki. Prawie nikt nie rozmawia. Wszyscy czekają cierpliwie w nastroju głuchej rezygnacji.

Godzina czwarta: nalotu w południe i o drugiej nie było. Podmiejskie kolejki są ciągle w ruchu, a dalekobieżne pociągi wyruszają od czasu do czasu. Rozmyślałam jak mogą zachować ludzie tutaj w czasie nalotów. Przy tak wielkim zbiorowisku gdzie skryją się pasażerowie? Może w wielkich korytarzach kolejki podziemnej, ale przecież wszyscy się tam nie pomieszczą. W takim razie muszą pozostawać w wielkim parku, gdzie my teraz czekamy. A to miejsce kojarzy mi się z wieloma różnymi wspomnieniami. Nie tak dawno wyjeżdżaliśmy stąd na wczasy w góry: było to dwa lata temu, no i dawniej jeszcze. Zaraz po przybyciu do Japonii zwiedziliśmy tutejszy ogród zoologiczny. Widzieliśmy wówczas wszelkiego rodzaju zwierzęta drapieżne, ptaki, ryby, ale najgroźniejsze to lwy, tygrysy, pantery, słonie... Dzisiaj już nic z tego nie pozostało... Owszem są, ale wypchane. Przed nalotami zabito je i teraz stoją. Pod nimi widnieją ich imiona... Żywe pozostały tylko ryby i ptaki, a także zwierzęta oswojone, jak osły... Nawet małpy wywieziono gdzieś w bezpieczne miejsce. A była tu jedna małpka-maszynistka, co świetnie prowadziła mały pociąg elektryczny. Na gwizdek zawiadowcy kręciła korbą i pociąg ruszał naprzód. Naturalnie wsiadało najwięcej dzieci, ale i starsi też nie gardzili taką przyjemnością. Jeśli jakiś mały pasażer niebezpiecznie się wychylał, to hałaśliwie dzwoniła, potem wrzeszczała, a w razie nieposłuszeństwa zatrzymywała pociąg... Było z nią tyle uciechy...

Tutaj moi koledzy Włosi przygotowywali wystawę Leonarda da Vinci, właśnie w czasie pierwszego nalotu jednego myśliwca na miasto: pamiętają to dobrze, ponieważ właśnie koło nich, spadły pierwsze „malutkie” bomby... co „nikomu krzywdy nie wyrządziły”. Tu w parku znajdują się najstarsze muzea historyczne japońskiej sztuki. W jednym z nich corocznie odbywa się wystawa wzorowego pisma japońskiego od sztubaków do artystów. Gdyśmy rozpoczęli naukę pisania pędzelkami, tu wywieszono i nasze pracowite bazarzanki z wielkimi podpisami bohaterów... Japończycy starali się podziwiać te kulfony i składali nam gratulacje, na pewno z bólem serca... Jak to się świat zmienia i my z nim! Na pagórku, tu właśnie koło nas, stoi ogromna statua człowieka grubego i łysiego w kimonie z nieodstępnym pieskiem; to prawdziwy bohater dziewiętnastego wieku, znany przez każde dziecko japońskie: Saigo Takamori. Jemu to właśnie Japonia zawdzięcza to, czym jest. On, rycerz nieulekniomy i polityk nadzwyczajny, swoją dyplomacją doprowadził do upadku rządów feudalnych jednej rodziny Tokugawa, rządzącej przez 250 lat ze szkodą dla cesarza i kraju.

Tymczasem za nami kolejka rośnie w głąb parku. Ściemnia się, światła koło dworca osłonięte, jakby parasolami, rzucają blask tylko na tory i chodniki. Około ósmej zbliża się do nas obsługa kolejowa, wyrównuje czwórki

i prowadzi naprzód. Posuwamy się powoli, ale stale. Za pół godziny stajemy około pięćdziesiąt metrów od stacji. Tutaj znajdują się już na placu pasażerowie do innych pociągów. Chrupiemy suchary i rozmawiamy półgłosem. Robi się jakoś dziwnie uroczyście. Pierwszy załadowany pociąg daje krótki znak i oświetlany odjeżdża. Jest dość długi, ale nas dziwi ogromnie, że pomieścił aż tylu pasażerów. Oglądam się i w półmroku dostrzegam czwórki hen pod górkę parku. Czy cały ten tłum zmieści się w naszym pociągu? Od czasu do czasu robi się ruch na placu i czwórkami odchodzi część oczekujących. Właśnie koło nas szykują odjazd w stronę Szizuoka, Nagoya i Osaka. Dziwi to nas, bo w tamtą stronę odjeżdżało się z innych stacji z Tokio albo Szinagawa. Widocznie są tam jakieś przeszkody... więc tu jest przyczyna takiego tłoku.

Teraz połowa placu się opróżnia. Ueno to jeden z wielkich węzłów kolejowych na obwodzie kolejki elektrycznej Yama no Te, którą tu przybyliśmy. Oprócz tych stacji ważna jest jeszcze Szindziuku, gdzie przesiedliśmy się. Stamtąd jedzie się na zachód w stronę góry Fudzi i okrężną drogą przez Matsumoto. Znowu ruch na placu i pozostajemy tylko w dwie grupy. W razie nalotu już łatwiej byłoby schronić się.

Tymczasem nagle przerywa ciszę jeden przeciągły głos syreny: to znak ostrzegawczy. Światła gasną, radio głośno oznajmia obecność jednego samolotu. Błyski reflektorów i już go mają. Tam daleko na zachodzie, może nad naszym domem, płynie wysoko w przestworzach wśród mrugających gwiazd małe ptaki, tworzący wierzchołek wypełnionej światłem piramidy. Reflektory zmieniają się i prowadzą go ku nam, lekko ku południowi. Obrona nie strzela wcale, dziesięć kilometrów dla niej za wysoko. Gdyby to nie wojna, taki widok byłby wart podziwu i szczególnego opisu, podobnie jak i eskadry bombowców, malujące lazurowe niebo śnieżnymi warkoczami swoich silników. Dochodzą krótko po sobie następujące wybuchy. Samolot zmienia kierunek ku północy i przelatuje nad nami jak zmora. Wiemy, co to znaczy: to straż przednia, która zawiadamia swoich o stanie pogody nad stolicą.

Światła się zapalają, brakuje kilka minut do dziesiątej. Już nas wołają, idziemy powoli. Przed nami postępuje wielu, za nami jeszcze więcej. Zabieramy nasze toboły i walizy i ustawiamy się rzędami przed białymi znakami na peronie, gdzie jest wejście do wagonu. Równocześnie powoli wtacza się pociąg bez świateł. Cały peron wypełniony. Zapalają się światła, zbliżamy się, ale ludzie nie wchodzą przez drzwi tylko oknami. Dziwi nas to, ale naśladujemy innych. Kilku z naszych wchodzi i odbiera od nas bagaż, spieszymy się. Za nami masa ludzi. Dopiero teraz rozumiemy przyczynę zawartych drzwi: z powodu wielkiej ilości i to ogromnych tobołów, najpierw ustępy i przejścia wypełniły się nimi aż pod sufit. Walizki i pakunki idą na półki, a resztę wsuwa się pod siedzenia.

Pomagamy ludziom dostać się do środka. Staruszkowie i kobiety dziękują. Dzieci jest niewiele, jadą z dziadkami na wieś do krewnych albo znajomych. Jeszcze tylko kwadrans do jedenastej, a ludzie wciąż wchodzi. Mimo otwartych okien, w pociągu zaczyna się robić gorąco, prawie duszno. Strona przeciwna od peronu już pełna, nabita. Niemilosierny tłok, tu gdzie zwyczajnie mieściło się czworo, teraz jest dwunastu. Nikt nie narzeka. Owszem, wszyscy

są zadowoleni, tylko wspomnienie samolotu wywiadowczego nie daje nam spokoju.

Widzimy jak inny peron zaczyna się wypełniać, wtem syrena powtarza niemiłosiernie sześć krótkich sygnałów. Robi się cicho. Radio ogłasza, że na półwysp Idzu wlatuje kilkanaście eskadr, ciężkich bombowców, pułap od pięciu do sześciu tysięcy metrów. Kierują się w stronę Fudzi. Serce nam się ściska, trzy minuty do jedenastej. U nas światła gasną, a na pobliskim peronie słyszymy rozkaz powrotu do schronów. Radio dalej ogłasza, że pierwsze eskadry, minawszy górę Fudzi, obniżają pułap do trzech tysięcy. Jest to potrzebne bateriom obrony w doborze odpowiednich pocisków.

Maszyny podają sobie nawzajem sygnał i nasz pociąg powolutku rusza. Jedenasta w nocy. Inne perony są już puste, ciemne, prawie tajemnicze. Robimy na siebie znak krzyża i żegnamy się z Tokio, w sercu zaczyna gościć jakiś dziwny spokój nie doznawany od długiego czasu. Oddajemy się w ręce Boga na dół i niedolę. Nęka nas niepokój o kolegów i przełożonych, którzy tam pozostali... Niechaj ich Bóg ma w Swojej opiece! Pociąg, ciągnięty i popychany przez dwie maszyny, nabiera szybkości. Jak ciemne widmo mija również ciemne dzielnice. Po dwudziestu minutach zatrzymujemy się na ostatniej stacji przed rzeką, która oddziela Tokio od następnego województwa. Wyglądamy przez okno: za nami wielka krwawa luna, ale wybuchów już nie słychać.



## W drodze do nowego domu

Czujemy wysiłek elektrowozów. Teren stale się podnosi. Po godzinie jazdy zatrzymujemy się na dłuższy czas. Następuje zmiana lokomotyw. Pociąg teraz posuwa się gładko, ale bardzo powoli, wciskając się w coraz to nowe tunele. Pochyłość utrzymuje się niezmienna. Po godzinie drogi wydobywamy się na równinę. Szczyt o nazwie Karuizawa leży na wysokości przeszło tysiąca metrów nad poziomem morza. Tutaj znowu dłuższy postój i zmiana zębatek na zwyczajne parowozy. Gdy pociąg rusza, zamykamy okna, bo zimno, światła jednak nie zapalają, aby jakiś zabłąkany samolot nie pokusił się o zrobienie nam chrztu z ognia.

Po czwartej jesteśmy w Nagano, miasteczku wojewódzkim, uśpionym w mgle. Wielu pasażerów wysiada i robi się luźniej. Siadamy na ławeczkach, które wydają się nam luksusowymi sofami. Tyle już było nieprzespanych nocy, jeszcze ta jedna i będzie koniec. Na stacji jest światło, więc przeglądamy bagaże. Zdaje się, że są wszystkie. Postój trwa długo. Dołączają jeszcze dwa parowozy, widocznie czeka nas wspinaczka po szynach. Ruszamy w drogę i wkrótce długie tunele wystawiają nas na próbę oddychania dymem. Nareszcie docieramy do naszej stacji Furuma. Pociąg zatrzymuje się, by odsapnąć, a my wyładujemy bagaż oknami i drzwiami, zwalniając ustęp i korytarze. Pociąg odjeżdża dalej ku Morzu Japońskiemu, oblewającemu kraj od strony północnej.

Siadamy na ławeczkach małej stacji górskiej, nie ruszamy się z miejsca. Wreszcie nadchodzi grupa z księdzem Renato, naszym dyrektorem. Nie ruszamy już bagażu. Nadjeżdża wóz, długa telega na dwóch kołach umieszczonych w połowie, ciągniona przez czarną górską krówkę. Właściciel pojazdu ładuje sam bagaże. Ruszamy naprzód. Rozwidniło się zupełnie, powietrze miłe i ostre jak w rodzinnych stronach. Oddycham pełną piersią. Kości bolą jakby poprzetręcane. Odprężenie nerwów daje znać o sobie. Spoglądam na kolegów, oni również zaledwie wloką nogami. Słońce tymczasem oświeca wierzchołki gór i promienieje z tamtej strony, walcząc z mgłą, która kryje się po dolinach. Wreszcie wypływa nad szczytami, bielejącymi tu i tam od śniegu i oświeca naszą stronę.

Mijamy ludzi idących do stacji. Wszyscy pozdrawiają i odpowiadają grzecznie na pozdrowienia. Idą do pracy, tak jak i w Tokio. Przechodzimy przez wioskę i zamiast skręcić za drogą, idziemy prosto małą polną dróżką, wznosząca się stromo. Nareszcie na szczycie serpentyna się kończy. Krowa przyszła za nami, sapiąc i stękając, ale nie zawiodła swego gospodarza. Składamy tu bagaże, które trzeba będzie stąd przenieść osobiście, ale to już po południu. Schodzimy wśród gęstego podszycia nad brzeg jeziora, pogrążonego jeszcze w mgle rzednącej już pod ciepłymi promieniami słońca. Posu-

wamy się brzegiem z zakrętu w zakręt, z zatoki w zatokę. Od stacji idziemy już ponad godzinę i jakoś nie widać końca tej naszej wędrówki.

Nareszcie większa zatoka, a nad nią u góry dość duży domek, kryty miniaturowymi gontami. Jesteśmy u celu. Przyspieszamy kroku i, składając obuwie przy wejściu, wchodzimy do środka. Cienkie deski podłogi wyginają się pod nogami. Dookoła salonu prymitywna ława. Myjemy się i udajemy się na piętro - poddasze, wyścielone matami. Tu już wszystko gotowe do mszy św. Śpiewają zbudzone słońcem ptaki, by oddać chwałę Stwórcy. Po skromnym śniadaniu z ryżu rozglądamy się po domu i otoczeniu. Są tu dwa większe pokoje na poddaszu i na parterze, mogące pomieścić każdy dwanaście osób pokotem. W środku duży przestrzenny salon. Pod schodami znajdują się dwie spiżarnie i jeden pokój dla dyrektora szkoły. Kuchenka dość obszerna. Obok domu stoi wysoki na dwa metry basen z cementu na wodę, którą stale uzupełnia wyżej położone źródło. Woda do kuchni i umywalk jest doprowadzona rurami z basenu. Dowiadujemy się, że to jest dawna willa letnia protestanckiej żeńskiej szkoły z Tokio. Szkołę zamknięto, a zarząd odsprzedał nam willę po dość przystępnej cenie, nie mając widoków na przyszłość. Obok domu jest kilka poletek, rodzących ryż i jarzyny. W sumie miejsce jakby wymarzone dla nas. Będzie można prowadzić wykłady bez obawy wstawania nocą z powodu nalotów.

Jakby dla przypomnienia słyszymy charakterystyczny warkot fortocy B 29. Samolot płynie nad jeziorem i leci na północny zachód w stronę Morza Japońskiego. Po chwili słyszymy znane nam wybuchy. Więc i tutaj trwa wojna. Zrzucają bomby na miasto Naoetsu nad morzem około 20 km za nami. Po południu udajemy się po nasze bagaże i do wieczora znosimy wszystko. Okolica jest wspaniała. Górskie jezioro ma około osiem km<sup>2</sup> powierzchni. Wokół lasy i roślinność bardzo bujna. Po drugiej stronie dwa piękne szczyty: 2623 i 2767 metrów. Po naszej stronie są nieco niższe, a po przeciwnym brzegu jeziora rozłożyło się miasteczko Nodziri, biorące nazwę od jeziora. Trudno byłoby wynaleźć dogodniejsze miejsce do nauki, zwłaszcza w takich czasach jak obecne.

## **W nowych warunkach**

Niestety od początku powstał problem zaopatrzenia w żywność. Tokio jest daleko, a ludność miejscowa, mocno ogołocona przez obowiązkowe dostawy, źle się odnosi do przesiedleńców swoich czy obcych. Gospodarz i zarazem stróż naszego domu, który korzystał z przyległego naszego gruntu, wymówił sobie uprawę i zbiory aż do jesieni. Jest to zresztą znany w okolicy gbur, bardzo nie lubiany przez sąsiadów. Nam więc nie wolno używać własnej ziemi. Nie ma innej rady jak zabierać się do kopania pięknego trawnika obok domu. Po jednym dniu wypoczynku rozpoczynamy pracę łopatami w twardej i niewdzięcznej ziemi. Ilość pożywienia i jego jakość spadła gwałtownie do minimum. Pracując tylko cztery godziny dziennie, tracimy ostatki sił, które nam jeszcze pozostały z Tokio. Plac został uprawiony i zasiany jarzynami, ale czujemy się wyczerpani do ostateczności.

Szóstego maja przybywa ostatnia grupka, jesteśmy więc w komplecie: pięciu profesorów, szesnastu studentów, dwóch braci i jeden kleryk Koreańczyk,

razem 24 osoby. Niewiele możemy liczyć na dostawy z Tokio. W sklepie można wykupić małą szklankę ryżu na głowę z tym, że połowę stanowi groch. Po pracy rozbiegamy się po górach. Kto zna rośliny jadalne rosnące w lesie, ten dzisiaj jest uczonym. Mam trochę szczęścia w tym względzie, stąd omija mnie niekiedy ciężka praca na roli. Specjalna policja bezpieczeństwa zainteresowała się nami od samego początku pobytu. Szesnastego maja zjawia się nagle policjant T. i w ordynarny sposób ogłasza, że od dzisiaj od siódmej rano jesteśmy wszyscy internowani jakby w regularnym obozie, chociaż pozostajemy na miejscu. Nie wolno utrzymywać żadnego kontaktu ani z wioską, a tym bardziej z Tokio. Dozwolony prowiant może wybierać tylko Koreańczyk.

## W poszukiwaniu żywności

My tymczasem wysyłamy go do Tokio, by zawiadomił mons. Cimatti'ego, który pozostał tam z dwu innymi; powraca już następnego dnia, przywożąc ze sobą tyle prowiantu, ile mógł unieść. Przywozi również złe wiadomości: nasza dzielnica już ucierpiała od nalotów, chociaż nie jest jeszcze bezpośrednio bombardowana. Doczekaliśmy się wreszcie kapitalnej wieści Niemcy skapitulowały. „Oś” została złamana i rozwiązana. Mieszkańcy ambasady włoskiej i niemieckiej stają się wolnymi obywatelami na równi z innymi obcokrajowcami w Japonii. W Tokio nikt nie został internowany, ale polecono, by unikać podróży. Zakomunikowaliśmy to naszym władzom miejscowym i wojewódzkim w Nagano. Tutaj jednak inaczej tłumaczą rozkazy otrzymane z centrum. Tyle, że naszego obozu nie pilnuje policja. Okoliczna ludność otrzymała surowe zarządzenia odnośnie do nas. Jesteśmy więc w złej sytuacji.

Trzeba się jednak ratować. Jedyń wśród nas Koreańczyk jest codziennie w ruchu. Zdobywa, co może, ale to wszystko za mało na tak liczną grupę. Zwracamy uwagę na mleczce i soczyste rośliny. Dowiadujemy się, że duże liście pewnych chwastów są trujące, ale odpowiednio gotowane dwa razy stają się jadalne. Przywozimy tego zielska wielkie ilości. Po jednorazowym przygotowaniu obłupuje się grubą łodygę ze skórki i suszy na słońcu przez dwa dni. Po tym zabiegu można piec, gotować albo smażyć i spożywać. Wykłady już od początku trwają trzy godziny przed południem. Nauka daje dobre rezultaty nawet przy pustym żołądku.

Mnie się nadarzyła niezwykła okazja zdobycia żywności. Z naszego jeziora budują kanał wody pitnej dla miasta Nagano. Pracę wykonują Koreańczycy jako „niezdolni” do wojska. Przychodzą czasem odwiedzić naszego Koreańczyka, choć czynią to po kryjomu. Okazuje się, że mają zegarki do naprawy. Zgłaszam chęć naprawy za wynagrodzeniem w postaci ryżu. Warunek ten przyjęli bardzo chętnie, otrzymują pięć szklanek czystego ryżu dziennie na osobę, więc część z tego mogą spokojnie odłożyć jako zapłatę za naprawę zegarków. Ustalamy ogólnie pięć szklanek ryżu od zegarka.

Przystąpiłem do dzieła. Przynoszą pełne kieszenie zegarków od ich rodzin i znajomych. Na szczęście zabrałem z sobą nie tylko drobne narzędzia, ale i części wymienne. Już w Tokio naprawiałem zegarki różnym osobom, nawet wysoko postawionym, którzy mając zegarki „amerykańskie”, nie mogli



ich powierzyć zegarmistrzom Japończykom. Skrajny szowinizm. Zabrałem się ochoczo do pracy. W większości chodzi tylko o dokładne oczyszczenie i naoliwienie, więc sprawa dosyć prosta i można kilka zegarków doprowadzić do ładu.

Inni koledzy specjalizują się w łapaniu rybek w jeziorze, ale i to zostaje nam wkrótce zabronione. Władze chcą nas zamorzyć głodem. Wielu wśród rolników zwłaszcza starszych, którzy widzieli trochę świata, dobrze nam życzy i po kryjomu obdarowuje nas czym może. Nie obawiają się nawet policji. Młodzi jednak trzymają się z daleka, by nie podpaść władzy. Tak mijają Zielone Świątki. Od czasu do czasu pokazuje się ukradkiem ktoś z Tokio i jak anioł zbawczy przywozi chleb, ser, masło, trochę mięsa lub kiełbasy. Po jednym plasterku na garść ryżu z grochem lub na kromeczce chleba, to już wielkie święto. Rozmowy obracają się w wolnych chwilach około ulubionych potraw, podawanych przez mamusię, siostrę, ciotkę, w jadłodajni lub na wycieczce. Jest okazja odpokutować za wszelkie grymasy i niezadowolenia w tym względzie. Tak to bieda uczy rozumu.

Uzbierało się trochę ryżu za zegarki, więc w niedzielę lub święta, w uroczystość Wspomożycielki Wiernych będzie „risotto” po włosku dla wszystkich prawie do syta. Przed rokiem, gdy rozpoczęły się naloty na Tokio, zrobiliśmy wspólny ślub wybudowania w Tokio świątyni pod wezwaniem Maryi Wspomożycielki, jeśli wyjdziemy cało z tej wojny. Tu w górach, mimo ciężkich chwil, wypadałoby podkreślić jakoś pamięć o tym ślubie. Przygotowujemy piękną akademię ku czci Matki Bożej przy kapliczce przed domem.

## Choroba oczu

Oczy zaczynają boleć, więc przerywam pracę nad zegarkami i zabieram się do ramek rzeźbionych z drzewa brzoźowego tak po góralsku. Przepracowałem nad tym trzy dni, no i coś z tego wyszło dla wspólnego zadowolenia. Pozostał mi do napisania jeszcze referat na akademii: „Madonna i ks. Bosko” po włosku. To również, chociaż już z większą trudnością, przygotowałem na czas. Przy pisaniu litery wydają mi się raz czerwone raz czarne, czasem zupełnie zanikają, a klucie i pieczenie w oczach powiększa się coraz więcej. W wigilię uroczystości już nie mogę otworzyć oczu na światło dzienne. Zawijam szczelnie oczy i czuję ogromną ulgę. Uroczystość Wspomożycielki przeżywam na ślepo.

Dom okazał się dla nas wystarczająco obszerny, więc na poddaszu rozlokowaliśmy się po ośmiu w jednym pokoju na matach, zupełnie po japońsku. Profesorowie zajęli jedno skrzydło na parterze. W drugim, po wyłączeniu przegródek, urządziliśmy kaplicę. Mieszkanie z Bogiem pod jednym dachem, nawet w tak trudnych czasach, daje wielką radość i ufność. Wreszcie na wspólnej naradzie postanowiono uregulować wykłady, dla których przecież przybyliśmy tutaj. Sprawy materialne wezmą na siebie bracia i przełożeni.

Pozostaje problem do rozwiązania: co będzie ze mną. Dla mojej wygody przenoszą mnie ze wspólnej sypialni do magazynu pod schodami, niezbyt pięknego, ale cóż to ma za znaczenie dla mnie ślepego. Małe okienko do brzo uszczelnione pozwala przerobić schowek na ciemnicę o tyle wygodną,

że mogę zdjąć z głowy chusty i szale. Przekonałem się także, że podczas wykładów mogę tu w schowku słyszeć każde słówko nawet mówione półgłosem, bo ściany zrobione z cienkiej sklejki raczej wzmacniają głos zamiast go tłumić. Ucieszyło mnie bardzo to odkrycie. Przykro mi tylko, że zaczynam życie pasożyta, ale koledzy są innego zdania. Ile tylko mogę, staram się udzielać w codziennym wspólnym życiu. Po kilku dniach takiej egzystencji bóle w oczach ustają, wystarczy jednak najmniejszy promyk światła, nawet od małej świeczki, czy nocą od gwiazd, by ból wracał nieznośny. Spozrzegłem się jeszcze, że słuchając wykładów z uwagą, mogę zapamiętać bardzo wiele materiału. Wieczorem przychodzi zawsze kolega i robimy razem powtórkę. Nie mogąc studiować z powodu choroby oczu, zacząłem w wolnym czasie kreślić po ciemku na papierze sceny z jasełek Bożego Narodzenia. Może to się kiedyś przyda.

Koledzy nie bardzo wierzą w moje wyleczenie. Zrozumiałem to z niedomówionych półgłosem słów, które obily się o moje uszy. Nasi z Tokio pamiętają o nas i często wysyłają znajomego Japończyka, obładowanego wszelkimi darami Bożymi, chociaż w małych ilościach. Koledzy zauważyli, że przebywa tutaj znana nam rodzina naszych sąsiadów z Tokio. Zaprosiliśmy ich, a ci opowiadali o coraz częstszych i cięższych nalotach. Stracili już dom, zaledwie uszli z życiem. Przed nalotami nieprzyjaciel wzywa ludność do opuszczenia wyznaczonych do bombardowania, dzielnic. Wiadomości te najpierw nadawano na krótkich falach po japońsku, a teraz już nadają na średnich z pobliskich wysp. Oprócz tego zrzucają ulotki z dokładnym określeniem tych dzielnic. W ten sposób zawiadomiono ich dzielnicę, która poszła z dymem. Rodzina ta zostawiła nam w podarunku małe, ale dość ciężkie zawiniątko. Jest w nim 24 ciastek z ryżu „moci”, jakich się używa szczególnie na Nowy Rok. Jest to najpiękniejszy podarunek, jaki nam było można zrobić.

Na ciągle prośby księdza Renato daje się zmiękczyć nasz policjant T., albo „czarny” jak go nazywają koledzy (człowiek to nieużyty i ordynarny jak na Japończyka) i wystawia pozwolenie na wyjazd dla mnie z księdzem Renato do lekarza w Nagano na dzień ósmego czerwca. Kierują nas jako obcokrajowców do szpitala Czerwonego Krzyża. Inny tu świat. Obsługa i lekarze grzeczni i przyjemni do przesady. Oprócz badania oczu poddano mnie oględzinom lekarskim szczegółowym. Stan zdrowia bardzo lichy: wyczerpanie ogólne chociaż bez objawów chorobowych, z wyjątkiem oczu. Tu lekarz okulista orzekł zapalenie tęczówki i paraliż nerwu obrotowego. Niestety, szpital w czasie wojny nie posiada odpowiedniego lekarstwa, bo roślina, z której się je produkuje, nie rośnie w Japonii, a o sprowadzeniu jej z zagranicy nie ma mowy. Jak się dowiaduję, nazywa się „wilcza jagoda”. Mój Boże, ile tego trawiska rośnie u nas przy drogach!

Lekarz przedstawia się jako dyrektor okulistyki wielkiego szpitala w Tokio. On również opuścił Tokio z powodu nalotów. Pyta o narodowość, o miejsce pobytu i warunki. Odpowiadam szczerze. Na recepcie wypisuje: Dobre odżywienie, trochę ruchu... przyjeżdżać codziennie, albo przynajmniej co drugi dzień. Za każdym razem dziesięćminutowa kuracja oka prądem elektrycznym. Nosić ciemne okulary, leczenie gratis! Wzruszyła nas jego postawa. Na końcu dodał, że żał mu, iż sam nie może więcej dla nas uczynić poza szpi-

talem, ale tutaj będzie zawsze do dyspozycji dla wszystkich, kto by jeszcze potrzebował. Otrzymałem ciemne okulary bez grosza zapłaty.

Idziemy jeszcze do województwa. Ks. Renato stara się wyprosić pozwolenie na wyjazd dla kilku kolegów do Tokio po zapasy. Urzędnik grzecznie uznaje potrzebę i daje pozwolenie, ale tylko jednorazowo. W razie potrzeby zgłosić się ponownie. Tymczasem policja bezpieczeństwa sprzeciwia się temu bezwzględnie. Wreszcie po długim targowaniu i prośbach pozwalają na wyjazd księdzu Renato, ale natychmiast bez wracania do domu. Idziemy jeszcze do misji w Nagano. Zjawia się Polak z niemieckim paszportem z Dolnego Śląska, o. franciszkanin. Mówi bardzo dobrze po polsku. Zaprasza do siebie każdego ktokolwiek z nas będzie w Nagano. Na stacji żegnamy się z dyrektorem, on do Tokio, a ja nad jezioro.

## Pierwsze przebląski nadziei

Po kilku dniach wraca ks. Renato z ładunkiem i wiadomościami. Przede wszystkim mons. Cimatti błogosławi, pozdrawia wszystkich i przypomina o dwóch ważnych rzeczach: o modlitwie - chleba naszego powszechnego daj nam dzisiaj; oraz - bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

Druga wiadomość, to coraz cięższe warunki w Tokio z powodu nalotów. Wszyscy z dnia na dzień spodziewają się zagłady, tylko mons. Cimatti karci ich jako ludzi małej wiary. Ks. Renato przywozi też wyjaśnienie co do ośmioosobowej żagłówki. Przy zakupie posiadłości była mowa o łodzi, znajdującej się w szopie nad jeziorem, ale na piśmie sprawę tę pominięto. Ks. Renato, będąc w Tokio, udał się do dyrektora szkoły i otrzymał zaświadczenie własności łodzi żaglowej, przystosowanej także do wiosel. Mamy więc nasz piękny powóz, który połączy nas ze światem, z miasteczkiem Nodziri i wszystkimi brzegami i zatokami jeziora. Bóg naprawdę jest dla nas dobry. Dźwigamy krzyż, ale i odczuwamy Jego błogosławieństwo.

Jeszcze jedna dobra wiadomość dotycząca możliwości kupna krowy na miejscu. Przyjechała do pobliskiej wioski ochrzczona przez naszych misjonarzy nauczycielka O., która była prawą ręką w tłumaczeniu Pisma św. na japoński. W Tokio spalił się jej dom, więc zjechała do brata. I tutaj kupiła na przydział dla siebie dobrą krowę, którą już jutro trzeba będzie do nas przyprzewadzić. Po południu koledzy zaczynają robić przepierzenie w osobnej szopie na kąpiel i wybierają dwóch najzdolniejszych gospodarzy do hodowania nowej lokatorki.

Od pracujących przy budowie nowej drogi Koreańczyków wykupiliśmy kilka kłoców ściętego przez nich drzewa. Pocięto je na deski w tartaku i przywieziono „naszą” łodzią. Już najzdolniejsi robią stoły i ławki franciszkańskie do salonu. Raz w tygodniu przybywa zawsze ktoś z Tokio, wypoczywa i na drugi dzień powraca. Tam ogromnie gorąco, a u nas deszcze. Jeden z kolegów, słaby na płuca, otrzymuje osobny pokój i łóżko zrobione z desek przez domorosłych stolarzy. Inni, tak przełożeni jak podopieczni, spoczywają na twardych japońskich matach. Niektórzy z kolegów, udając się łodzią na słoneczny brzeg jeziora przywożą w dużej ilości nieznanne rośliny soczyste. Teraz już mamy niezawodnego znachora od rozeznania roślin jadalnych. Jest nim

krowa. Niektóre zioła łąpczywie porywa - ten rodzaj rezerwujemy dla nas. Inne omija z daleka i kreci łbem. Tę trawę wyrzucamy.

Policjant na ponowne prośby księdza dyrektora jest niewzruszony: nie mogę się udać do lekarza. Pewnego dnia przybija niespodziewanie łódką do naszej przystani i wchodzi do domu bez pozdrowienia. Pyta się o mnie i bez pukania wchodzi do mojej ciemnej kryjówki. Poczuję straszny ból. Krzyknąłem więc przeraźliwie i rzuciłem się na przybysza całym ciałem. Wyleciał jak z procy, a ja instynktownie zatrzaskałem drzwi. Wszyscy oniemieli. Policjant trząś się jak osika na wietrze, zbladł i pytał się, czy czasem nie zwariowałem. Dopiero ks. Renato wytłumaczył mu co i jak, pokazując receptę lekarza. Inni zwymyślali go solidnie. Jakoś ochłonął i powiedział: — Muszę z nim pomówić. Grzecznie zapukał, a ja go poprosiłem do wnętrza. Po wejściu zrobił się dziwnie delikatny. Może dlatego, że zobaczył mnie pod schodami na macie jak na barłogu z głową owiniętą, białą twarzą. Speszył się jakoś. Kazał podać sobie papier i napisał pozwolenie na dwie wizyty do szpitala. Podziękowałem mu i przeprosiłem za niegrzeczne zachowanie się. Udobruchał się zupełnie.

Nareszcie po dziesięciu dniach znalazłem się w szpitalu. Wytłumaczyłem, że policjant nie pozwalał mi przychodzić. Oczy się goją, orzekł lekarz, ale w tych warunkach przeciągnie się jeszcze jakiś czas. Tymczasem w sobotę odwiedza nas mons. Cimatti we własnej osobie. Przybywa z Koreańczykiem i dwoma Japończykami, którzy ze względu na słaby organizm nie poszli do wojska i przenieśli się do Tokio. Cierpiący, ale zawsze zrównoważony. Wypytuje się o wszystkich, każdemu błogosławi. Zatykam jedno oko i w ciemnych okularach wychodzę z mojej kryjówki. Jak dobry ojciec interesuje się rekonwalescencją, dodaje odwagi. Trzeba zaufać Bogu. Praca nad zbawieniem dusz jest owocniejsza wśród umartwień i cierpień, niżeli wśród roztargnień i szukania własnego ja. Miejscowa ludność zmienia swe dotychczasowe nastawienie do nas. Nasz Koreańczyk swą dobrocią serca zdobył uznanie dla wszystkich, co ich zbliża do nas. Już łatwiej przychodzi coś kupić lub wymienić, chociaż „czarny” pilnuje. Trafiają się nawet drobne podarunki z owoców, jarzyn, a nawet z ryżu. Żyjemy bardzo ubogo, ale widoki przeżycia stają się coraz pewniejsze niż na początku.

W połowie lipca nasz dobry Koreańczyk przyjeżdża z Tokio z pięcioma znajomymi Koreańczykami, by nam dostarczyć świeżo wykopanych ziemniaków z Haceldamy. Ziemniaki są piękne, duże, okrągłe i smaczne. Błogosławiona praca, która rodzi takie owoce. Wiadomości natomiast coraz gorsze. Wszyscy misjonarze na Kyushu zostali internowani gdzieś w górach. Krążą pogłoski o rychłym lądowaniu wojsk amerykańskich, ale to nic pewnego. Często przelatują nad nami dniem i nocą małe eskadry i pojedyncze samoloty, ale zawsze wysoko.

## Z myślą o jutrze

Nauczyliśmy się większej ufności w Opatrzność, tak jak poucza mons. Cimatti. Zasoby codziennie się wyczerpują, ale również codziennie się uzupełniają, w równej ilości - jak manna na pustyni. Pora deszczowa ma się ku końcowi, a nasze poletko jest wypełnione zieleniną: ogórki, dynie, groch, fa-

sola. Wszystko kwitnie bogato, zbieramy nawet nieco sałaty, chociaż jeszcze młoda. Wychodzę już do pracy w kuchni: doglądam ognia, przynoszę opał, mielę maszynką ugotowany groch, myję talerze itd. Jedno oko jeszcze stale zasłonięte, ale drugim, byle nie na słońcu, już mogę się posługiwać, nawet bez ciemnych okularów. Siły też powracają, przy lekkiej pracy i lepszym odżywieniu. Lekarz pociesza, że najgorsze już minęło. Nie mamy elektryczności, a że oddaliśmy lekarzowi wypożyczone lampy naftowe, żyjemy z dobrodziejstwa słońca jak kury. Latem można wytrzymać.

Kończymy trzeci miesiąc pobytu na „wywczasach” i pierwszy kwartał nauki. Dwa dni specjalnej pracy nad zbieraniem kory z kłoców na naprawę dachu, a przy tym „przygotowania do egzaminów”. Koledzy mają egzaminy pisemne i ustne. Profesorowie są gotowi zwolnić mnie od egzaminów. Ja jednak czuję się na siłach, sam proszę przynajmniej o ustne. Spoglądają na mnie z politowaniem. Wszystko na szczęście przeszło ku zadowoleniu obu stron.

Nie mamy zamiaru spędzać wakacji z założonymi rękami. Trzeba myśleć o przyszłości jeszcze niejasnej, ale o wiele trudniejszej. Dom jest dostosowany tylko do mieszkania w lecie, tu spadają wielkie śniegi, tak że według opowiadania, można dostać do środka jedynie przez okna poddasza. Mróz dochodzi dwudziestu stopni. Z własnego pola nie zbierzemy wiele, więc czas pomyśleć o zaprowiantowaniu na zimę w drodze kupna od gospodarki. W tym celu udaje się do policjanta ks. Renato. Ten nie pozwala nawet poruszać tego tematu. Ode mnie żąda lekarskiego zaświadczenia wyleczenia oczu.

Koledzy wykopali część naszych ziemniaków. Są mniejsze od tamtych z Tokio, ale smaczniejsze, bo klimat bardziej odpowiedni. Zachowamy je na uroczystość Wniebowzięcia. Znalazła się też szczęśliwie zakupiona koza. Będzie kawałek mięsa dla każdego. Drzewo na opał zimowy już zakupiono i zwieziono, czeka tylko praca piłowania i rąbania. Dotąd nie mamy jeszcze sposobu na zabezpieczenie dachu i ścian od śniegu i mrozu. Tymczasem przygotowanie opału angażuje prawie wszystkich.

## Wojna skończona

Dziewiątego kończą się ostatnie egzaminy a zarazem dowiadujemy się, że wojsko sowieckie zajmuje kolonie japońskie w Azji. W całej Japonii powtarzają się naloty bez przerwy. Trzynastego sierpnia słyszymy nieustanne grzmoty od strony Nagano. Od tego dnia przestały przychodzić już pociągi. Czternastego jesteśmy cały dzień w ruchu, by przygotować uroczystość M.B. Zielnej. Kaplica jest odnowiona, ściany pokryte płótnem kolorowym, nowy duży krzyż, figury niedawno przywiezione z Tokio, najlepsze szaty liturgiczne. Wieczorem odprawiamy uroczyste nieszpory. Po nieszporach Koreańczycy przywożą wykopane ziemniaki, nawet kilka worków.

Kucharz otrzymał na jutro specjalne instrukcje. Od rana nastrój świąteczny pozwala wspominać dawne uroczystości w Tokio. Pierwsza msza św. dialogowana. Po śniadaniu uroczysta msza św. z kazaniem, a po niej obiad z porcjami przynajmniej wystarczającymi dla każdego. Smaczna zupa zamiast trawy na wodzie, kawałek mięsa, jarzyna, pierogi i na końcu owoce. Zadowoleni wychodzimy nad jezioro, a kilku udaje się do wioski po dozwolone

małe zakupy. Przed czwartą powracają tamci, wołając już z daleka, że wojna skończona. Sam Cesarz przemówił pierwszy raz przez radio w samo południe. Co za radość, co za szczęście! Rzecz nie do uwierzenia, w samo święto Matki Bożej. Wojna tutaj zaczęła się w święto Niepokalanej, a zakończyła na Wniebowziętą! Po pierwszym okrzyku radości ksiądz dyrektor zaleca zachowanie przez jakiś czas rozsądku, by nikogo nie irytować. Nam misjonarzom wypada zapominać urazy, cieszyć się z cieszącymi i płakać z płaczącymi.



## Pierwsze dni wolności

Po tajfunie jest zawsze dzień wolny od nauki i od pracy. Powietrze się zmieniło, serca tętnią nadzieją. Pozostają jednak nie zabliźnione rany, spustoszenie i konieczność natychmiastowego działania, powrotu do normalnego życia. Wojna się skończyła, ale jej skutki są przerażające i wprost niemożliwe do usunięcia. Trzeba przystąpić do tego dzieła z odwagą, odpowiedzialnością i ufnością. Aby powrócić do równowagi, trzeba z większym jeszcze wysiłkiem zakasać rękawy i oddać się sprawie z pracowitością mrówki i cierpliwością Hioba. Tymczasem brakuje sił, prawdziwego spokoju jeszcze nie ma. Pierwsza rzecz to racjonalne odzyskanie siły, likwidacja skutków głodu.

Rozsypujemy się po okolicy za prowiantem. W dwóch dniach mamy go już tyle, że można pomyśleć o programie na przyszłość. Przede wszystkim poprawia się jadłospis. W przyszłą niedzielę święcimy koniec wojny. Dziękujemy Bogu, składamy sobie życzenia. Śpiewamy uroczyste „Te Deum” z odzuciem dotąd nie przeżywanym. W tym momencie cisną się na pamięć wszystkie minione zdarzenia. Procesje z chorągiewkami, hosanna, wiwaty zwycięstw, eskadry fortec malujące na firmamencie smugi białych warkoczy, gehenna ognia i sądne dni bombardowanej ziemi, śmierć, krew, głód, mrok, prześladowania... pokój! Wydaje się niemożliwością, by człowiek mógł tyle przejść w tak krótkim czasie.

Wciąż potrzebuję lekarza i udaję się w poniedziałek do policjanta z prośbą o pozwolenie. On po raz pierwszy przyjmuje mnie jak równego. Zamiast pozwolenia wypisuje rozkaz dla naczelnika stacji, aby każdorazowo wydawał mi obustronny bilet za okazaniem niniejszego zaświadczenia. Żegna mnie uprzejmie, odprowadzając do drzwi. Zaznacza, że wkrótce zakomunikuje nam ważne wiadomości. Ma nas odwiedzić jeszcze dziś.

## Długo oczekiwane powiadomienie

Wreszcie zjawia się dwóch panów i proszą grzecznie o kilka słów na osobności z księdzem dyrektorem. Zawiadomienie ma charakter prośby. Naród prosi misjonarzy o współpracę w ciężkich chwilach odbudowy, wdzięczny za dotychczasową bezinteresowną pomoc. Od siebie przepraszają za niezbyt grzeczny sposób w wykonywaniu przez nich rozkazów, dziękując za uległość i posłuszeństwo. Ogłaszają zupełną wolność poruszania się i pracy misjonarskiej, do której nas zachęcają. W razie jakiegokolwiek potrzeby przyrzekają nie tylko pomoc, ale współpracę i usługi, ponieważ otrzymali takie rozporządzenie. Ani razu nie posłużyli się jak dotąd słowami „cudzoziemiec”, ale zawsze

i tylko „misjonarz”. A więc mamy urzędową swobodę działania. W praktyce od nas zależy jak ją wykorzystamy.

Pozostawili nam kilka gazet z najnowszymi wiadomościami dla nas. Przede wszystkim słowa Cesarza o przerwaniu wojny, o podpisaniu kapitulacji i lądowaniu sił amerykańskich (opóźnione z powodu tajfunu), o bombardowaniu nowoczesną bronią miast Hiroszima i Nagasaki. Są i serdeczne słowa uznania dla misjonarzy, którzy wiernie pozostali na posterunku, dzieląc z narodem wszystkie trudy i cierpienia. Należy im się za to nie tylko pochwała, ale i wdzięczność. Wierzmy - powiedziano w końcu - że pozostaną nadal godnymi tych prawd, które głoszą.

Nasz cel na najbliższą metę to przygotowanie kłoców na deski i drzewa na opał dla naszego domu w Tokio. Mamy nadzieję, że tym razem za poparciem policjanta T. będziemy w stanie otrzymać wagon na przewiezienie drzewa, które w Tokio kosztuje pięciokrotnie.

Koreańczycy obchodzą pokój bardziej „wystawnie” od nas. Korzystamy chętnie z ich rozrzutnego szafowania mięsem i bydlętem, którego sporo z tej okazji ubito.

Jeszcze jedno spostrzeżenie: do tego czasu nasz policjant nie miał zielonego pojęcia o misjonarzach, ich pracy, rodzajach zakonów, życiu wspólnym itd. Teraz natomiast okazuje dużą znajomość rzeczy, wykraczającą ponad stopień jego wykształcenia, z czego domyślić się można, że nadsyłają im szczegółowe pouczenia z centrali. Ma więc nasz opiekun dużo do przestudiowania oprócz alfabetu rzymskiego. Ten fakt nie jest bez podstaw. Opinia, jaką wydadzą misjonarze lądującym siłom, może wpłynąć w dużym stopniu i zaważyć na ułożeniu się obopólnych stosunków. Dlatego to subtelne przygotowanie terenu i to tak dokładne na całej linii.

## **Powoli wszystko wraca do normy**

W tych dniach gościmy również nieoczekiwanie księdza dyrektora naszej szkoły zawodowej, który powraca z obozu koncentracyjnego w Nagoya. Jest przerażająco zmizerowany, aż się wystraszyliśmy: dosłownie skóra i kości. Kiedyś był dużej tuszy, a teraz dawne ubranie wisi na nim jak na strachu na wróble. W kołnierzyku zbyt szerokim zmieściłyby się teraz dwie jego obecne szyje. Przeżył chwile o wiele cięższe od naszych. Dziękuje Bogu za przetrwanie bez mała dwóch lat w okropnych warunkach. Jest bardzo wyczerpany nerwowo. Prosimy go by się zatrzymał kilka dni dla wypoczynku, ale udaje się natychmiast do Tokio.

Zaczynamy roczne rekolekcje. Czwartego września przybywa mons. Ci-matii, przynosząc nam wiadomości z Tokio i misji. Nasza drukarnia należy do niewielu uratowanych, więc ma masę zamówień. W Miyazaki małe seminarium zostało kompletnie zburzone, najpierw przy wybuchu na stacji kilku wagonów dynamitu, a reszty dokonał niesamowity tajfun. Spalone misje w Oita i Miyakonodzio, a sierociniec w Nakatsu zburzony przez władze miejskie. Wśród personelu poza powołanymi do wojska nie ma ofiar w ludziach.

Wszyscy na gwałt potrzebujemy ubrań, więc Opatrzność nam je zesłała. Po zakończeniu wojny przylatywały jeszcze bombowce, ale przywożąc po-



moc dla obozów w postaci zrzutów i ubrań i pożywienia. Siostry katolickiego szpitala, które zostały internowane, otrzymały też wielki zrzut, ale przez pomyłkę były to ubrania dla mężczyzn. One to z wdzięczności za opieką w czasie wojny ofiarowały je dla nas. Każdy otrzymał przynajmniej trzy komplety.

Nasz powrót do Tokio trzeba jeszcze chwilowo odłożyć z powodu nieregularnych dostaw żywności i wypożyczenia domu na skład książek dla jednego z wielkich wydawnictw. Nasze pola obrodziły nadzwyczajnie. Na zakończenie rekolekcji zapraszamy misjonarza z Nagano, by mu wyrazić naszą wdzięczność za ojcowską opiekę nad chorymi.

Pogoda jest zmienna, ale mimo to pracy mamy wiele. Udaje się nam otrzymać materiał na pokrycie dachu, chociaż nie jest on najlepszy. Na razie w czasie deszczu rozstawiamy miednice i wiaderka po poddaszu. W okolicy jest czas dojrzewania owoców. Robimy zakupy, ile się da, bo ceny są niskie. Zwozimy je wprost od gospodarzy. Mons. Cimatti powraca, by się udać na zwiedzenie misji. Poleca nam, by rozpocząć naukę i poczekać z wyjazdem do Tokio aż pod koniec października.

Policjant przynosi kartki na specjalne zakupy, tym razem dla wszystkich misjonarzy. Z Tokio natomiast przywożą część bielizny i ubrań. Wszystko nowiutkie wprost spod igły: piękne mundury oficerskie, po dwie wiatrówki, „pierogi” na głowę, spodnie i buty. Resztę otrzymamy w Tokio, Na niedzielę po nabożeństwie przebieramy się na „oficerów księdza Bosko”, jak pisał Kochany Tateishi z frontu.

Do Nagano wybieram się po staremu w czarnym ubraniu. Na ulicach nowość: patrole wojska amerykańskiego. Ludek zachowuje się spokojnie. Żołnierze, widząc misjonarza, zapraszają mnie do koszar na herbatkę, ale wkrótce mam pociąg, więc dziękuję. Wagony są przepełnione wojskiem japońskim, powracającym po demobilizacji do domów. Noszą mundury, ale są bez broni. Na stacjach utrzymuje porządek japońska policja wojskowa - żandarmi z bronią. Dla mnie są uprzejmi i rezerwują w pociągu miejsce.

Tak zaczyna się październik, a z nim nasze wykłady. Biorę w nich udział, choć mogę patrzeć tylko ma jedno oko. W ciemne i gwiazdziste noce bez księżycy odsłaniam i drugie oko. Jakie cudowne jest niebo oglądane w ten sposób. Przy poruszaniu oczyma gwiazdy przekształcają się w długie komety.

W okolicy grasuje tyfus, nieodłączny towarzysz nędzy i wojny. Koledzy przerywają wycieczki w teren. Trzydniowa ulewa powoduje powódź. Rolnicy się żalą, że połowa zbiorów już dojrzewającego ryżu została zniszczona. Nastaje czas zbioru kasztanów jadalnych. Przy pogodzie wybieramy się po nie w lasy. Dzikie kasztany są mniejsze, ale równie smaczne jak uprawiane. Urozmaicamy sobie nimi podwieczorki.

Policjant T. staje się naszym prawdziwym przyjacielem. Wiemy, że Amerykanie zaczynają przeprowadzać procesy nie tylko odpowiedzialnym za wojnę, ale również policji, która znęcała się nad obcokrajowcami. Przyszedł więc z prośbą o przebaczenie, uznając swoją winę. Ks. dyrektor w imieniu wszystkich uspokoił go pod tym względem. Od tego czasu staje się mile widzianym gościem, a on rzeczywiście stara się odwdziżyć czym tylko może bez fałszywej uniżoności, jak człowiek dla człowieka. Powiedział nam, że z naszym wyjazdem on też zakończy ten niewdzięczny swój obowiązek. Specjalna policja została rozwiązana, ale gdzie zachodzi potrzeba, mają rozkaz

ułatwienia misjonarzom wszystkiego aż do końca. Często przynosi mi bilet na pociąg, nawet bez daty i zachęca do udania się do lekarza.

Ostatecznie wyjazd wyznaczono na poniedziałek 29 października. Rozpoczęliśmy nasz pobyt w miesiącu Maryi - maju i kończymy go również w miesiącu Jej poświęconym - październiku. Za staraniem przyjaciela T. otrzymujemy dwa wagony towarowe do dyspozycji: jeden odkryty na drzewo i inne przedmioty, a drugi kryty na rzeczy osobiste, prowianty i lokatorkę krowę, która daje wspaniałe mleko i jest niewybredna w jedzeniu.

W niedzielę w uroczystość Chrystusa Króla pożegnanie. Rano przybywa z Tokio mons. Cimatti z pozdrowieniami od wszystkich misjonarzy z południa. Trzy wielkie tajfuny nawiedziły tamte strony, podczas gdy my mieliśmy ulewne deszcze. Misjonarze zaczynają pracę z entuzjazmem, bo nadeszła godzina, na którą czekaliśmy tyle lat. Kraj i ludność z gazet i radia wie, jaki jest nasz cel, że pracujemy tylko i wyłącznie dla dobra narodu japońskiego, więc ten naród przyjmuje nas z otwartymi rękami. Na obiad są zaproszeni jawni i utajeni przyjaciele z okresu wojny a więc: sołtys, lekarz, kilku rolników, o których pomocy dla nas nawet policjant nie wiedział, no i on we własnej osobie. Jak zwyczajnie skończyło się na podziękowaniach, śpiewach, przemówieniach i życzeniach „do miłego zobaczenia” w czasie wczasów wakacyjnych już we własnej willi. Wieczorem odchodzą wagony towarowe. Rano pobudka o czwartej: modlitwy i msza św. ze słowami mons. Cimatti'ego.

W pociągu drobny bagaż przekazujemy do wagonu bagażowego, a sami wsiadamy drzwiami. Przyjaciel odprowadza nas aż do Nagano, i tam serdecznie żegna. Po przybyciu do Tokio przed domem zastajemy wyładowaną zawartość z obu wagonów, a krowka pasie się spokojnie koło płotu. Po kolacji uroczyste błogosławieństwo w kaplicy i niezapomniane Te Deum. I tak kończy się „Wyprawa Argonautów”.

Pierwsze dni trzeba poświęcić na urządzenie domu, uporządkowanie schronu i rozmieszczenie na swoim miejscu pochowanych rzeczy. W ten sposób cała biblioteka powróciła znowu na półki.

## Wyprawa do Yokohamy

Tymczasem z wiceinspektorem udaję się aż do Yokohamy do szpitala wojskowego, świeżo otwartego dla armii amerykańskiej. Przyjęto nas serdecznie. Lekarz okulista pocieszył prędkim wyleczeniem. Otrzymałem lekarstwo atropiny na chore oko i zwyczajne krople na drugie z poleceniem stawienia się za tydzień. Leczenie gratis przez Czerwony Krzyż. Na pożegnanie adiutant przyniósł kilkunastokilogramowy pakunek do zabrania ze sobą.

Cała ta podróż zrobiła na mnie duże wrażenie. W Tokio wszystkie większe skupiska domów zmieniły się w ruiny. Tutaj zaś to już nie zniszczenia, ale głucha pustynia. Do pociągu wsiadamy bez biletów. Pierwszy raz w moim życiu jadę „na gapę”. W Tokio nie sprzedaje się biletów misjonarzom, bo tak rozkazał generał MacArthur. Wsiada się również tylko do wagonów rezerwowanych dla sił zbrojnych. Wagony dla ludu są wypełnione po brzegi, a te dla armii prawie puste. W wagonach rezerwowanych jest konduktor Japończyk, który zapisuje liczbę pasażerów wsiadających i wysiadających, a kosztą przejazdu tychże, według słów MacArthur'a, zostaną uwzględnione przy spłaca-

niu długów wojennych. Naród o tym wie, więc nie patrzy na nas krzywym okiem.

Prawie wszystkie stacje zachowały się nietknięte. Na niektórych tylko widać nowe dachy. Centrum miasta posiada jeszcze mnóstwo pałaców. Oszczędzono je, bo nie miały bezpośredniej styczności z fabryką broni. Obecnie służą jako mieszkanie dla sił okupacyjnych, zwłaszcza oficerów sztabu. W czasie bombardowania nie mogłem zrozumieć jednej rzeczy: dlaczego samoloty stale i bez miłosierdzia przelatują nad nami i bombardują jakby wciąż te same zgłiszcza. Jadąc z Tokio do Yokohamy znalazłem na to odpowiedź. Jedzie się tu szybką kolejką z przystankami około godziny. Jak okiem sięgniesz po obu stronach widać tylko „abominatio desolationis” - straszne zniszczenie: nie ocalał ani jeden dom. Widać tylko kikuty maszyn wszelkiego rodzaju i wielkości jakby na jakimś strasznym pobojuwisku. Przypominają mi się pogroźki z tamtych czasów: niszczymy Tokio, bo to jest jedna fabryka broni... Te wstrząsające ruiny są świadectwem bohaterstwa ludności, która przetrwała dni grozy na słowa Cesarza.

## Pierwsze kroki w zburzonym Tokio

Uroczystości Wszystkich Świętych i Zaduszki obchodzimy w domu. Tylko po południu udajemy się na cmentarz na modlitwy wśród deszczu. Otrzymujemy list od Delegata Apostolskiego z Manilii. Opisuje zniszczenie swego pałacu przez Japończyków i przykładną śmierć w sanatorium naszego Niszi-mury w sam dzień Wniebowzięcia. Dla mnie to drugie ciężkie przeżycie po śmierci Tateiszi. Pozostało po nim dużo wspomnień i kilka pamiątek: jedna z nich to znaki chińskie, dostosowane po mistrzowsku do mojego nazwiska.

W niedzielę po nabożeństwie udajemy się na przechadzkę do miasta: wszędzie pełno bezdomnych. Gromadzą się, gdziekolwiek znajduje się gzyms albo wkłęsłość chroniąca od deszczu. Korytarze stacji kolejki podziemnej, to jedno mrowisko ludzi naprawdę obdartych chorych, umierających. Uderza jedno: nikt nie narzeka, nie prosi o pomoc lub jałmużnę. Dzieci w towarzystwie rodziców lub same idą w poszukiwaniu odpadków, resztek papierosów, puszek, ogryzków... Widać siostry zakonne w bieli z koszykami, pożywieniem i lekarstwami, przechodzące z trudem wśród tego mrowiska nędzy i opuszczenia. A nam zaczyna się już dobrze powodzić. Mamy co jeść, w co się ubrać, jedziemy sobie darmo pierwszą klasą, gdzie się człowiekowi żywnie spodoba. Ot, misjonarze miłosiernego Boga...

Prędko przychodzi opamiętanie. Wracamy do domu świadomi, co trzeba robić. W przyszłą niedzielę pojedziemy każdy w swoją stronę, ale nie z próżnymi rękami. Przez cały tydzień zbiera się to wszystko, z czego możemy zrezygnować. Wypełniają się kosze drobiazgami wszelkiego rodzaju: od bielizny i obuwia do słodyczy, puszek, chleba a nawet zabawek dla dzieci. Kto raz zakosztował głodu, będzie przeżywał nawet mimo woli dołą nieszczerliwego. Wiemy dobrze, że to wszystko to kropla wody na pustyni. Z naszej wyprawy wracamy zadowoleni. Koledzy, którzy się udali do podziemi kolejki w Ueno, wracają niepewni, co się stało? Nie znaleźli nikogo. Miasto zaczyna działać. Może siostry były tego powodem i przypomniały komu należy, że to przecież

ludzie, którzy najwięcej ofiarowali dla kraju i miasta. Podziemia pięknie wymyte i dezynfekowane, gdyż zagnieździły się już tam tyfus i czerwonka.

Mimo to koledzy bez trudności znaleźli odbiorców. Najwięcej uwagi zwracamy na młodzież, szczególnie dzieci, których jest dużo. One równie, tak jak my, mają prawo do wolnych przejazdów, ale wagonami dla ludu. Niektórzy z nich, jak nam opowiadają, „mieszkają” w pociągu, śpiąc pod ławkami. O nich pamiętamy w szczególny sposób.

## **Nawiązywanie kontaktów z bliskimi i miejscową biedotą**

Po dziesiątym listopada mamy już regularne wykłady i to w pełnym programie pięciu godzin dziennie. Kilku biskupów gości u nas z okazji ich zjazdu. Wszyscy proszą usilnie o misjonarzy dla ich misji, jeśli nie zaraz to może później. Mamy sześciu diakonów. Widocznie mons. Cimatti, który bierze udział w zebraniach jako przełożony zakonu, pochwalił się przed nimi. Świecenia odbędą się przed Bożym Narodzeniem, więc jest na kogo liczyć.

Dowiadujemy się o pokoju w Europie. Brakuje jednak wiadomości o warunkach w Polsce. Otrzymuję list ze Stanów od krewnych, ale przez znajomego im kapelana wojskowego. Oni już mogą pisać do Europy i otrzymywać listy. Piszę więc do domu rodzinnego okrężną drogą. Oby tylko list doszedł na święta. Do ogólnych wiadomości łączę jeszcze pozdrowienia dla sióstr w klasztorze.

Trzeci raz udaję się do lekarza sam. Poleca zdjąć bandaż z oka i używać ciemnych okularów oraz wpuszczać do oczu lekko rozcieńczone lekarstwo na noc przed spoczynkiem. Po kilku dniach mamy miłą niespodziankę: odwiedza nas kapelan z wysp Iwodzima, salezjanin. Kończy służbę i przed powrotem pragnie pozdrowić swoich i obejrzeć na własne oczy ten kraj i nasze w nim warunki. Zatrzymuje się kilka dni. Opowiada nam o zdobywaniu wysp Iwodzima. Przed opuszczeniem tych wysp wybudował tam kościół, a teraz zadowolony udaje się na święta do swoich. Na Niepokalaną przygotowujemy uroczystość dziękczynną.

Egzaminy i święcenia sześciu lewitów, Boże Narodzenie przeżywamy w duchu pokoju, ubóstwa i dobroci. Mnóstwo podarunków otrzymanych ze wszech stron staje się dla nas bogatym materiałem do czynienia dobrze tym, którzy przeżywają obecnie ciężkie czasy. Nadchodzą życzenia z kraju: Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku! Pomni na miłosierdzie, którego sami dostąpiliśmy, rozdaliśmy w czasie świąt więcej niż pół tysiąca bochenków chleba, słodyczy, ubrań i innych przedmiotów pierwszej potrzeby, wszystko z własnej inicjatywy.

Zima w Tokio daje się mocno we znaki, szczególnie ludziom biednym. Czujemy się odpowiedzialni za to, aby nakarmić głodnych, okryć nagich, przyjąć bezdomnych. Chcielibyśmy pomóc biednej i zupełnie opuszczonej młodzieży, wszak to nasza salezjańska częśćka. Rozmawiamy często o tym z przełożonymi i dyskutujemy w naszym kółku, ale jak na razie wszystkie projekty jakoś nie dochodzą do skutku. Korzystamy nadal z niedzielnych wycieczek, by prowadzić dzieło dobroczynne. Dzienniki tymczasem ogłaszają re-

zultat spisu nieszczęśliwych w samym Tokio: w wieku dorosłym 70 500 bezdomnych, a dzieci przeszło dziesięć tysięcy!

Bez wahania przystępujemy do akcji. Nasze znajomości z młodzieżą na stacjach i na ulicach zacieśniają się coraz to więcej: znamy już gazeciarzy, sprzedających „ciuki” papierosów amerykańskich, odpadki z mydła, gumę do żucia, nawet czekoladę niepewnego pochodzenia. Znamy szczególnie dobrze czyścibutów. Na każdej stacji i stacyjce jest ich pełno: na peronie, na schodach i pod schodami, bo mają dach nad głową. Od tubylców zarobek jest nikły, bo Japończycy są bez butów, ale praca dla armii opłaca się nieźle. Inni misjonarze czyszczą sobie sami, ale nam zależy więcej na pracownikach aniżeli na szczotkach. Nigdy dotąd nie korzystałem z takiej obsługi. Tutaj jest to najlepszy sposób nawiązania dialogu, bo przy takiej czynności każdy chłopak chętnie opowiada bez zająknięcia o swoich prawdziwych i zmyślnych nieszczęściach. Buty oficerskie, które nosimy, są przedmiotem pilnego zainteresowania się młodego czyścibuta.

Ksiądz dyrektor we środę 20 lutego 1946 r. odprowadzając jednego z nowych księży na stację Ueno, w drodze powrotnej zabiera ze sobą już znanego mu sierotę piętnastoletniego Nobuhiro. Ojciec jego zginął na wojnie, a rodzina podczas owego strasznego nalotu dziesiątego marca, który w historii stolicy uznano za jeden z największych. On prawie cudem uratował się, uchodząc w inną stronę. Pracuje wieczorami na stacji Ueno, czyszcząc buty żołnierzom amerykańskim. Za uciulane grosze kupił sobie nowy garnitur, mało elegancki, ale dobrze utrzymany. Stare ubranie podarował koledze po fachu. Ma ukończoną szkołę podstawową i jeden rok doksztalczącej. Pragnie uczyć się dalej, ale nie ma możliwości. U nas zabiera się ochoczo do wszelkiej pracy i powtarza wiadomości. W międzyczasie myślimy o czymś większym. Pobliskie lotnisko jest zajęte przez nowe siły zbrojne. Część zabudowań jest w ich użytkowaniu. Większość budynków stoi wolna. Ale zniknęły z nich okna, maty, umeblowanie, a nawet części ścian zużyto na opał. Jest tam dużo drzewa budowlanego i stopy nowych dachówek. W porozumieniu z władzami otrzymujemy drzewo i dachówki. Pierwsze, przy pomocy stojących w spoczynku wielkich samochodów ciężarowych, zwozimy do naszego lasku, a dachówki ładujemy do wagonów dla seminarium w jednym tygodniu przygotowaliśmy w ten sposób cztery wagony dachówek, które zostały natychmiast odesłane w kierunku przeznaczenia.

Z początkiem marca, siódmego, Nabuhiro jedzie do Ueno i sprowadza dawnego kolegę Misao, starszego o rok. On również stracił rodzinę w czasie nalotów, ale bliższych szczegółów nie opowiada... W piątek, piętnastego ks. Renato w samo południe przyprawia już trzeciego sierotkę Michiharu, młodszego od tamtych. Ma tylko dziesięć lat, ale jest bardzo żywy i otwarty, rodem z Osaka.

W szkole - opowiada - podczas nauki ogłoszono nalot, więc dzieci rozpierchły się do domów. On, mając daleko, zatrzymał się w drodze w jednym ze schronów. Po bombardowaniu nie znalazł już domu i swoich. Zabrakło też i szkoły. Po kilku dniach wałęsania się po Osaka, przyjechał do Tokio w nadziei łatwiejszego życia. Dotąd żył z ofiar uproszonych u przechodniów. Wiedząc, że misjonarze są dobrzy, gdy spotkał naszego księdza dyrektora, już się od niego nie odczepił i przyjechał do nas.

Z ust naszych sierot poznajemy jeszcze lepiej życie i warunki młodzieży opuszczonej i to nie daje nam spokoju. Tu blisko na lotnisku tyle domów idzie w rozsypkę, a dla sierot nie mamy miejsca. Upatrzyliśmy ma samym brzegu lotniska, z dala od pasów startowych, pięć domów już wewnątrz zdewastowanych, ale w ogóle prawie nowych. Przybijamy na drzwiach domów napis: absolutnie wstęp wzbroniony, grozi śmiercią! - po japońsku i angielsku. Wejście otoczyliśmy kolczastym drutem. Poskutkowało, bo ustały akty wandalizmu. Powiadomiliśmy o tym przełożonych. Proponujemy domy i tereny zamienić na sierocińce. Odważnym szczęście sprzyja. Przełożeni zainteresowali się tą sprawą. Wystosowano prośby do władz japońskich i amerykańskich, a my rozpoczęliśmy nowennę do świętego Józefa przed jego uroczystością.

Władze japońskie nie tylko dają pozwolenie, ale proszą usilnie misjonarzy o pomoc, przyrzekając jak największą współpracę i opiekę. Szóstego kwietnia nadeszła najpierw odpowiedź ustna, i jedenastego otrzymaliśmy na piśmie wraz z mapką zgodę na zajęcie pięciu domów z szerokim terenem do celów przedstawionych w prośbie. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zatwierdziło urzędowo darowiznę, wyrażając wdzięczność za współpracę i gotowość pomocy.

Z papierami w ręku nasz ksiądz dyrektor Renato wybiera się do mons. Ci-matti'ego do Miyazaki. Teraz trzeba wybrać i ustalić pracowników do nowego dzieła. Wielkanoc obchodzimy w jednym z największych salonów Tokio, Hibiya, wypełnionym po brzegi przez wiernych i wojsko. Uroczystą mszę św. odprawia prezes kapelanów w obecności Delegata Apostolskiego i Arcybiskupa Tokio. Akolitami są generał i pułkownik, teryferariuszem pierwszy sierżant. Przy tronach biskupich stoi oficerska straż honorowa. Zwycięzcy i zwyciężeni jednoczą się przy jednym Stole Eucharystycznym. Dla niechrześcijan są to rzeczy niezrozumiałe tak, jak całowanie pierścienia biskupa Japończyka przez dostojników armii amerykańskiej. Nam zostały powierzone śpiewy w czasie mszy św. Po świętach dowiadujemy się, że ksiądz Renato otrzymał nominację na dyrektora nowego działu dla sierot, współpracownikami zaś będą przełożeni z sierocińca z Miyazaki Kosei Gakuen, którzy przeniosą się do Tokio razem z resztą sierot tam pozostałych.



## Chrzest rodziców „cudownych dzieci”

Jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi zabieramy się do przygotowania domów. Usuwamy zasieki, zmieniamy napis: „wstęp wzbroniony dla niezatrudnionych - rekonstrukcja”. Z innych domów już na wpół zniszczonych bierzemy deski na ściany, ratujemy ostatki mebli. Japońska obsługa lotniska jest zobowiązana nam pomóc. Kolega mechanik, ten, co konstruował tandem, poprawia wodociągi oraz wielką kuchnię wojskową, należącą również do pięciu domów, na szczęście nie bardzo zniszczoną. Znajdujemy w składzie zapas okien zasuwanych, które nie zostały jeszcze rozkradzione z powodu innych rozmiarów. Wojsko japońskie budowało koszary według metra, podczas gdy reszta kraju posiada własne miary i wagi podobnie jak Anglia i Ameryka. Stąd nasze domy różnią się nieco.

24 kwietnia, w rok po naszym wyjeździe do Nodziri, przybywają z Miyazaki nowi lokatorzy, by rozpocząć w Imię Boże nowe dzieło. Nasi trzej chłopcy stają się wychowankami nowego sierocińca. Urzędowa nazwa zakładu brzmi: Tokio Salesio Gakuen - salezański dom nauki, a podrzędna: Sensai szōnen kyoiku dzigyō - dom wychowawczy dla sierot wojny. W niedzielę białą dnia 27 kwietnia obchodzimy wspólnie inaugurację nowego dzieła.

Rozpoczyna się regularny rok akademicki, dla mnie ostatni. Wracają dawni profesorowie, nawet bonza do nauki języka japońskiego. Pracujemy nadal na roli, ale tylko dwa dni w tygodniu, w czwartek wolny od wykładów i w soboty po południu. Dowiadujemy się z radością, że odbudowa naszych zniszczonych misji postępuje w szybkim tempie dzięki pomocy otrzymanej od władz miejscowych i wojskowych. Ludność jest zbyt wyniszczona, by mogła nas wspierać.

W naszej kaplicy odbywa się wzruszająca ceremonia, chrzest rodziców „cudownych dzieci” artystów, wirtuoza skrzypiec i pianistki. Ponieważ dzieci były już wcześniej u nas ochrzczone, matka przychodziła z nimi prawie w każdą niedzielę, przynosząc kwiaty dla ozdobienia ołtarza. Za namową dzieci zapragnęła poznać naszą wiarę, ale w domu. Nasz ks. katecheta, uproszony przez dzieci, dwa razy w tygodniu bywał w ich domu i tam wobec całej rodziny tłumaczył katechizm.

Ojciec, uważając siebie za zbyt starego do przyjmowania nowej nauki, słuchał tylko z grzeczności, ale on właśnie mimo woli wypytywał się najwięcej, nie rozumiejąc dobrze niektórych prawd. Gdy już matka była przygotowana do przyjęcia chrztu, spotkała się nagle ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony męża. Dzieci prosiły ojca daremnie. Zawiadomiły o tym dyskretnie ks. katechetę, dobrego przyjaciela ojca, by się wstawił za ich matką. Idzie więc i w czasie małej pogawędki zapytuje grzecznie o powód odmownej postawy.

Ojciec z głębokim przekonaniem powiada: „Pobraliśmy się młodo i nigdy jedno drugiemu nie ubliżyło. Wychowaliśmy dzieci i dobrze nam się powodzi. Wierzę mocno, że jeśli cała rodzina została przy życiu mimo ciężkich nalotów na naszą dzielnicę, gdy moi najbliżsi sąsiedzi wszyscy zginęli, to zawdzięczam tylko modlitwom moich dzieci i ich gorliwości w wierze katolickiej. Cenię waszą wiarę i myślę, że tylko ona uczy o prawdziwym Bogu. A zatem albo oboje otrzymamy chrzest albo żadne. Jesteśmy związani na całe życie, więc wiara powinna nas łączyć a nie dzielić”.

Chrzest wyznaczono na drugą sobotę po Wielkanocy. Chrztu udziela ks. katecheta, potem chłopak służy do mszy św. Prawie w ciągu całej ceremonii chrztu dzieci mają w oczach łzy radości. Cała rodzina wspólnie przystępuje do komunii św., rodzice do Pierwszej Komunii.

## Praca podczas wakacji

Japończycy szybko przyzwyczajają się do nowej sytuacji. Rządy MacArthur'a bardzo roztropnie sprawowane przekonują poddanych. Niektóre pościągnięcia są tak wspaniałomyślne, że zadziwiają ludzi. Dla wszystkich zaczyna się życie spokojne, pełne wolnej inicjatywy. Misjonarze na każdym kroku spotykają się z ogólnym uznaniem władz i narodu. Różne instytucje zapraszają nas na koncerty, występy do teatru itp. Korzystamy chętnie, o ile tylko obowiązki pozwalają.

Tak np. udajemy się na historyczną sztukę w teatrze „no”. Seans zaczyna się o jedenastej przed południem, ale na bilecie wstępu zaznaczono po japońsku i angielsku, by zabrać z sobą obiad, bo sztuka skończy się o trzeciej. Wśród wielu egzotycznych spraw w tym kraju jest także ten teatr sprzed kilku wieków. Ma dużo podobieństwa do teatru klasycznego Grecji, gdzie rolę prowadzącą ma chór i muzyka, a później aktorzy. Muzyka składa się z trzech bębnow i fletu, ale jest zupełnie niepodobna do naszej. Chór nie śpiewa, ale recytuje. Aktor czy aktorki, jeśli występuje dialog, używają maski. Ruchy aktora wyrażają jego nastrój wewnętrzny.

Aby zrozumieć znaczenie sztuki, trzeba znać nie tylko język, który jest prawie niedostępny dla niewtajemniczonych, bo składa się z dawnego chińskiego i klasycznego japońskiego, ale wiele innych rzeczy, jak znaczenie ruchów, modulację głosu, sens muzyki i recytacji chóru. Sama sztuka rozwija sześć głównych tematów, dotyczących życia: objawienie, walka, kobieta, duch, cnota i życzenie.

Przedstawienie nie ma przerwy, więc obiad spożywa się, obserwując scenę, ta zaś jest urządzona zawsze z oryginalnym korytarzem wejściowym, na którym rozpoczyna się i kończy przedstawienie. Samo słowo „no” oznacza jedność aktorów i widzów wraz z chórem i muzyką.

Po skończonym dramacie wystawia się krótką jednoaktową komedię w dawnym stylu. Dzisiejszy widz może ją już łatwiej zrozumieć. Na sali nie ma wcale krzeseł, ale wyłącznie maty ułożone amfiteatralnie, jak pola ryżowe na wznoszącym się terenie. Będziemy mieli okazję być Jeszcze w teatrze „no”, bowiem zaprzyjaźniliśmy się z dziećmi dyrektora jak i głównego aktora.



## Na nowej placówce

W połowie lipca wraz z młodszym kolegą z trzeciego kursu jedziemy na Kyushu do Nakatsu, by pracować w czasie wakacji przy tamtejszym już odbudowanym sierocińcu. Żegnamy się z kolegami, wyjeżdżającymi również aż do Miyazaki, lecz innym pociągiem. Udajemy się po bilety na główną stację Tokio do urzędu dla obcokrajowców RTO, ponieważ dalekobieżne pociągi są pod regularną kontrolą. Wypisują nam bilet gratisowy pierwszej klasy na wagon sypialny i restaurację. Dla mnie jest to nowość bez precedensu.

Mój kolega zna dobrze cel podróży, bo tam pracował na asystencji, więc we wszystkim zdaje się na niego. Po drodze widać wszędzie pozostałości wojny. W wagonie restauracyjnym wystarczyło za każdym razem złożyć swój podpis i napiwek dla kelnera, bo tego już nie płaci MacArthur, chyba tylko za siebie. W Kokura na Kyushu mamy przesiadkę, ponieważ nasz pociąg biegnie dalej północnym brzegiem wyspy w stronę Nagasaki, a my mamy jechać stroną południową w stronę Miyazaki.

Wysiadamy już po dwóch godzinach. W dziesięć minut docieramy do zakładu i misji. Miasta nie bombardowano, ale mimo to cierpiało. Nasz zakład wygląda pięknie. Wymalowany na jasno z zielonymi obwódkami. Wyposażenie wnętrza robi wrażenie salek przedszkolnych: wąskie korytarzyki, małe pokoiki, niskie stoły i małe krzeselka w jadalni, drobne schody, a na piętrze naprawdę miniaturowe łóżeczka, oddzielone poręczą ze sztachtkami, w oknach siatki na komary. Wszystko nowiutkie, pachnące słońcem i farbą.

Przełożonych jest dwóch, ale spełniają oni bardzo wiele funkcji. Pierwszy to stolarz, kamieniarz, tragarz, majster, murarz, zakonnik, ksiądz i dyrektor. Drugi to kucharz, krawiec, posługacz, lekarz, elektrotechnik i także zakonnik, ksiądz i osoba wszystko umiejąca w zakładzie. Domyślamy się, że wypadnie nam często wyręczyć raz jednego, raz drugiego, a może i obydwóch naraz.

Wszyscy zaś mamy zadanie zastąpić sierotom ojca i matkę, chociaż wiemy, że matki nawet anioł nie zastąpi. Dzieci jest około czterdziestki, a miniaturowy domek może pomieścić wygodnie czterdziestu ośmiu, bo tyle przewidziano miejsc w jadalni i sypialni. Podwórko natomiast mogłoby przyjąć i setkę.

Chłopcy od pięciu do szesnastu lat. Twarzyczki dobrze przybrązowione. Zaczyna się zwyczajnie, od pozdrowienia i przedstawienia przez przełożonych.

Przygotowujemy całodzienną przechadzkę nad morze. Zamiast ryżu dzielimy kromki chleba na porcje dla każdego, coś w rodzaju kanapek z marmoladą, lub masłem z orzeszków ziemnych. Przysmak nie do pomyślenia dla zwyczajnych śmiertelników z miasteczka. Są to dary dla sierot od stacjonujących niedaleko sił zbrojnych. Ponadto przyrządzamy pączki japońskie, ulubione przysmaki naszych malców. Pączki te nie są ani smażone, ani pieczone, ani gotowane, ale duszone nad parą. Można je robić tylko z mąki pytlowanej pierwszej jakości, a tę mamy również ze wspomnianego źródła. Dodajemy nieco proszkowanego, mleka i drożdży, a w wyniku tych „ulepszeń” moglibyśmy iść w zawody z francuskimi kucharzami. Po tych „marcepanach” dzieciaki liżą palce.

Morze jest wspaniałe, jeszcze takiego nie widziałem: na kilometrze w głąb obniża się po kilkanaście centymetrów, to prawie jedna mielizna. W czasie odpływu wchodzimy przynajmniej dwa kilometry. Woda sięga dzieciakom do kolan. Przy odpływie zabłąkane ryby rzucają się w zagłębieniach, więc i na obiad gotowe przysmaki. Dzieci naprawdę nie zdają sobie sprawy ze swojego sieroctwa, tworzymy bowiem jedną wielką rodzinę. W odkrytych połączach piasku kopujemy małże i ostrygi wszelkich rozmiarów: to na niedzielę do domu. Na szczęście jesteśmy zaopatrzeni w wiaderka, bo te „owoce morza” potrzebują słonej wody jak ryby.

Na drugi dzień sobota. Oddajemy chłopców w ręce naszej pary nauczycielskiej, a my zabieramy się do ważniejszych zajęć. Pierwsza praca to problem wody w studni. Na szczęście nie jest ona zbyt głęboka, pięć do sześciu metrów. Po godzinie pracy dotykamy wiaderkami dna, więc spuszcza drabinę do środka, by porządnie wyszorować ściany i pogłębić otwór. Źródło bije teraz z większą siłą. Poprawienie przykrycia i pompy nie zabrało już wiele czasu. Po obiedzie odbywa się nad rzeką w cieniu mostu strzyżenie włosów, manicure u rąk i nóg, a potem pranie bielizny. Mamy już mydło, ale ludność cierpi na wielki jego brak. Niedziela nastraja na ton uroczysty. Idziemy do misji na msze razem z wiernymi. Chłopcy służą doskonale księdzu przy ołtarzu i śpiewają na całe gardło. Wieczorem są dla wszystkich lody z własnego surowca - proszku. Mamy znajomego lodziarza, który wyrabia dla nas smaczne lody w dowolnej ilości.

## Wyprawa po sieroty

Tymczasem szykuje mi się nowa podróż. Nadchodzi wiadomość od sióstr z Osaka, by się zgłosić po grupkę chłopców, którzy mają być w naszym sierocińcu w czwartej klasie. Bilet wystawiony w Tokio jest ważny na kilkudziesięciu przejazd. Wystarczy tylko podbić go u naczelnika stacji. Mijamy męczące tunele i jesteśmy przed wylotem ostatniego, prowadzącego pod morzem na drugą wyspę. Idę do poczekalni i przysiadam się do stolika. Nawijam z pewną rodziną rozmowę, dzięki czemu jeden z trzech chłopców godzi się pojechać do naszego sierocińca w Nakatsu. Gdy wysiadłem w Osaka, nieco błędziłem, ale wreszcie dotarłem do misji.

Ksiądz Japończyk przyjmuje serdecznie i prowadzi do sióstr. Wychodzi przełożona. Inne siostry na wiadomość, że przyjechałem po dzieci jakoś nie wytrzymują psychicznie i usuwają się, i widocznie żal im dzieci. Przełożona prosi, by poczekać do jutra. Zwiedzam ich szpital i dom dla starców. Siostry należą do zgromadzenia Świętej Rodziny od Świętego Wincentego a Paolo. Przybyły z Francji i pracują dla ludu i ubogich w kilku miejscowościach. Na obiad wracam do proboszcza. Pochwaliłem rzeczywiście piękny kościół. Przy wejściu jest figura św. Teresy, a za ołtarzem uroczą statuą serca Jezusowego.

Chłopcy są oswojeni przez żołnierzy, którzy pomagali siostrom w nakarmieniu tylu zawsze głodnych „dziobów”, więc są śmiali wobec misjonarza i chętnie ze mną pojedą chociażby na daleką wyspę Kyushu i do szkoły. Wiadać, że zaimponowała im daleka podróż. Rano po wysłuchaniu mszy św. i śniadaniu ruszamy w drogę. Siostry uszyły dla wszystkich czarne spodniki

na szelkach i białe koszulki. Rzecz niezwykła na obecne czasy. Każdy otrzymał do ręki szmacianą sakiewkę ze starym ubrankiem już dobrze wypranym, drugą parę nowych skarpetek, obiad i kolację z ryżu, zawiniętego w pergaminowy papier i trochę ciastek własnej roboty. Siostrzyczki dały więcej, niżeli ich stać na to...

Pożegnały się serdecznie z dziećmi. Na stację odprowadził nas ks. proboszcz z kościelnym. W urzędzie RTO dopisali mi piętnaście sierot, a że nie wypada już wsiadać do wagonu rezerwowanego, więc stajemy trochę dalej z pasażerami drugiej klasy. Wagony przepełnione. Dzieci są już wkrótce wewnątrz, a ja w momencie wsiadania słyszę wołanie po angielsku. To jest M.P. żandarm amerykański. Pociąg daje znak do odjazdu, ale M.P. zatrzymuje maszynistę, by zaczekał. Zbliży się do mnie i zaprasza do pierwszej klasy. Tłumaczę, że nie jestem sam, ale mam ze sobą kilkunastu chłopaków, sieroty. Nic nie szkodzi, odpowiada, proszę zabierać dzieci i udać się do wagonu zarezerwowanego. Wchodzę więc do wagonu i wywołuję dzieci. W tym czasie na zaproszenie żandarma nadeszło kilku żołnierzy, odbierają przez okna dzieci, które trzeba policzyć przed odjazdem. Wszystko to dzieje się nagle. Ochłonąłem dopiero po policzeniu sierot w drodze do wagonów i ruszeniu pociągu. Podałem jeszcze rękę żandarmowi z podziękowaniem i ekspres poleciał.

Dwa wagony są tylko w połowie zajęte. Lokujemy się w jednym z nich. Przychodzą żołnierze, sadzają chłopaków obok siebie, a malcy jakby im się to należało, z całą naturalnością wyciągają ręce po ciastka, czekoladę, lody, oranżadę, Coca-Colę. Wszyscy wypytują się, dokąd jadę z tyloma dziećmi tak pięknie ubranymi. Ucieszyli się, że pojedziemy razem kilkanaście godzin. Ci Amerykanie należą do drużyny palanta amerykańskiego Base Ball i wracają z meczu, jaki mieli w Tokio. Ich baza mieści się w Beppu więc jeszcze za Nakatsu. Cieszę się, bo nie trzeba się przesiadać w Kokura, gdyż te dwa wagony zostaną po prostu przetoczone do tamtego pociągu, jadącego w stronę Kago-shima i Miyazaki.

Rozmawiamy o czasach wojny. Obiad i kolację, a dla dzieci i śniadanie, jemy bez wychodzenia, z paczek i konserw podarowanych przez sportowców - żołnierzy. Wszystkie woreczki szmaciane wypełniły się słodyczami, a moje kieszenie pieniędzmi japońskimi. Każdy zaofiarował mi wszystkie pieniądze japońskie, jakie miał, więc ja również nie powracam z gołymi rękami. Dzieciaki śpią na miękkich ławkach, poprzykrywane żołnierskimi marynarkami, a my rozmawiamy całą noc.

Na stacji w Nakatsu wyszli wszyscy żołnierze z wagonu, wynosząc dzieci na rękę i ustawiając do wyjścia. Dziękujemy im, jak możemy i pozdrawiamy aż do odjazdu. Przy wejściu na podwórze pierwszy wybiega nam na przeciw mój chłopak z Modzi, już ostrzyżony na zero, wesoły i zadowolony, bo został przyjęty i przyrzeka, że będzie się uczył z całych sił. Rodzina zakładowa powiększyła się tak, że starsi usunęli się do sypialni dla gości, a dzieci dostały misterne łóżeczka, z których jeszcze tylko dwa pozostały wolne. Nasza para nauczycieli też się ucieszyła tym narybkiem. Prawie wszyscy chłopcy są opóźnieni w nauce, więc chociaż wakacje, to codziennie odbywają się powtórki.

## Nareszcie wakacje

We wtorek zakończenie nauki i popisy szkolne z pisma, robót ręcznych, dialogów, śpiewu, muzyki na fujarkach itp. Ks. dyrektor ogłasza wyjazd w góry na wakacje. Nakatsu jest położone nad rzeką spływającą z gór. Jej kręte koryto utworzyło malowniczy krajobraz, który jest uznawany za najpiękniejszy na całej wyspie.

Progi wąskotorówki zostały umieszczone ryzykownie, nierzadko z zuchowałością, na krawędzi skał, podmytych wodą - z licznymi mostami bez poręczy. Otóż godzinę drogi w górę rzeki położona jest słynna miejscowość Domon i tam właśnie biedne sieroty zatrzymują się dwa tygodnie w budynku szkoły podstawowej, wypożyczonym za darmo.

Ostatniego lipca czynimy końcowe przygotowania. Podróż odbywa się kolejką, złożoną z trzech wagoników, które ciągnie malutki parowóz, najpierw wśród pól ryżowych, a potem „wspinamy” się po pochyłości. Parowóz sapie, ale ciągnie naprzód. Za dużym zakrętem dostajemy się nad rzekę. Krajobraz naprawdę niezwykły, nie spostrzega się tu prawie żadnego śladu rąk ludzkich. Natura tętni życiem jak przed tysiącami lat. Drzewa stare i młode, kamienie i skały, przełomy rzeki. Coraz to nowe widoki wyłaniają się z zakrętów. Rzeką raz gwałtownie spływa w dół wąskim strumieniem, to znowu roztacza się spokojnie szerokim korytem, tworząc jakby jezioro dla wypoczynku, by za chwilę kaskadą stoczyć się w jary.

Po przeciwnym brzegu wije się wąska droga, miejscami wykuta w kamieniu. Na zboczach skał pojawiają się małe domeczki. Krajobraz nie powtarza się. Jest zawsze inny, jakiś nowy i pełen niespodzianek. Mosty bez łuków przepuszczają pociągi czasem ukośnie przez rzekę. Stacje są rzadkie, a przystanki pod gołym niebem. Pociąg często gwizdże, chociaż nie ma przejść przez tory, jakby dla dodania sobie odwagi, lub powiadomienia mieszkańców o swym zbliżaniu się.

Po niezliczonych wirażach i serpentynach, zatrzymujemy się na malutkiej stacji z dużym napisem Domon, co w tłumaczeniu na nasze brzmi: „przejdzie w skałę”. Wsiadamy. „Podest” jest obszerniejszy od innych. Po obu stronach rzeki zaledwie można dostrzec domki ukryte w zieleni. Na wyższym brzegu obok kilku domków olbrzymie drzewo, a za nim kryje się świątynia. Na niższym i większym wioska, z charakterystyczną sylwetką szkoły. Tam się mamy zatrzymać, więc schodzimy ku niej po pochyłości. Wita nas rodzina dyrektora szkoły. Kląniamy się i pozdrawiamy, a wszyscy odpowiadają grzecznie. Pan dyrektor milczy. Witam się z nim. On chwytając mnie za rękę i na mojej dłoni pisze po japońsku: witajcie. Jest niemową. Na wojnie po wybuchu bomby stracił słuch i mowę. Rozumie z warg i z pisma na ręce. Bardzo uprzejmy.

Pogoda piękna, powietrze górskie, ludzie dobrzy, chce się żyć. Szkoła posprzątana, ale pierwszy dzień poświęcamy na mycie czterech klas i korytarzy, a dalszych kilka na usuwanie trawy z podwórza też malutkiego, ale wysypanego wyborowym żwirem i piaskiem. Chłopcom nie trzeba mówić dwa razy. W sierocińcu przecież sami utrzymują wszystko czyściutko i schludnie, idąc prawie w zawody, u kogo lepiej błyszczą się podłoga. Nawet schody i korytarzyki świecą się jak politurowane. Pod tym względem jesteśmy mistrzami. Dopiero w sobotę idziemy do rzeki, ale jak różnej od jej dolnego biegu. Wi-

dać jak rybki nikną między kamieniami; woda czyściutka, jak w naszej studni. Zaprasza niejako, by się jej napić, ale broń Boże ją zmacić lub zanieczyścić. Tysiące kamyczków błyszczą jak marmur: białe, zielone, w paski, czarne, brązowe, złote. Chłopcy zbierają co najładniejsze, by zawieźć do domu, bo wspólnie nadają się do zabawy na wodzie i na podwórzu. W drodze powrotnej zbierają kwiatki nadbrzeżne, by przybrać ołtarz na niedzielę i statuetkę Matki Bożej.

Ołtarz jest nimi pięknie ozdobiony. Obiad przygotowują nauczycielki. Po nabożeństwie w niedzielę po południu udajemy się na zwiedzenie osiedla i jego zabytków. Jego nazwa „drzwi w skale” ma swoją historię i znaczenie. Rzeczywiście, idąc wąską drożyną w górę rzeki, przechodzimy potrójny tunel, zawieszony nad wodą, a wykuty w autentycznej skale na prawie dwa metry wysokości i tyleż szerokości. Ściany tunelu są okrągłe.

## Legenda o bonzie Ao

Podanie mówi, że w Edo (Tokio) pewien samuraj (rycerz) w zatargu ze swym sługą padł ofiarą nienawiści w roku 1724. Sługa uciekł z domu pana i uprawiał rozbój po drogach w różnych stronach kraju. Przechodząc przez miasto Nagoya, wzruszony pobożnością pielgrzymów przy świątyni, przyszedł do bonzy i opowiedział mu swoje życie, prosząc o radę. Ten mu wyjaśnił, że tak wielki i ciężki grzech, jakim jest zabójstwo jego pana, nie może być tak łatwo zmazany. Powinien stać się bonzą i sługą Buddy, pełniąc do końca życia uczynki dobroci względem ludzi.

Sługa skorzystał z rady i, goląc głowę, przyjął imię Ao. Został bonzą-pielgrzymem, wędrując od świątyni do świątyni po całym kraju. Pewnego razu, idąc z Nakatsu do słynnej świątyni z pieczary, spotkał pod skałą poranionego człowieka, którego w tej chwili mieszkańcy wyciągnęli z wody. Rzeka w tym miejscu na około trzysta metrów długości podmyła skałę do tego stopnia, że przejście, zwłaszcza po rosie lub deszczu, stało się bardzo niebezpieczne. Miejscowi ludzie mówili, że corocznie ginie tu około dziesięciu pielgrzymów nie znających drogi. Ta wiadomość zastanowiła bonzę-pielgrzyma Ao. Rocznie dziesięciu, w dziesięciu latach setka, w stu latach tysiąc ludzi można by uratować, gdyby tu było bezpieczne przejście.

Po namyśle podjął postanowienie. Zatrzymał się więc w tym miejscu, prosząc ludzi z wioski o pomoc w wykuciu drogi w skale. Ale został wyśmiany. Sam więc zabrał się do pracy. W ciągu dziesięciu lat wykuli 33 metry tunelu, w trzynastu latach już sto metrów. Od tego czasu znalazł nie tylko uznanie u miejscowej ludności, ale i pomoc, uważany za świętego dobroczyńcę ludu. Po osiemnastu latach wykuli już sto pięćdziesiąt metrów i pracował nadal. Nogi zaczęły mu już wypowiedzieć posłuszeństwo. Nie zrażał się tym i pracował nadal bez wytchnienia. Oczywiście słabły niszczone odpryskami skał, ale on wciąż kuł.

W Edo, syn zamordowanego rycerza, miał zaledwie trzynaście lat w chwili śmierci ojca. W dziesiętnastym roku życia zaczął się uczyć obchodzić z bronią z myślą o dokonaniu zemsty na mordercy. W dwudziestym siódmym roku życia puścił się w świat w poszukiwaniu zabójcy. Po długiej wędrówce w różnych stronach kraju, udał się do słynnej świątyni boga wojny w okolicach

Nakatsu. Po drodze zasłyszał o bonzie, który jako sługa zamordował w Edo swego pana, a teraz odprawia pokutę, w opinii świętości, ratując pielgrzymów od śmierci i budując dla nich bezpieczne przejście. Młody rycerz zbliżył się do tunelu i wywołał po imieniu dawnego sługę. Bonza wyszedł na kolanach i z zawiązanymi oczyma, przyznał się do winy, gotowy oddać swoje życie, gdyż mieszkańcy już sami wykończą tunel. Ludność jednak stanęła w obronie winowajcy w przekonaniu, że on już dostatecznie odpokutował swą zbrodnię. Przekonano samuraja, by się wstrzymał od zemsty. Zgodził się zaczekać tylko do ukończenia tunelu. Aby prędzej mógł dokonać zemsty, sam zaczął kuć skałę, ale od przeciwnej strony. Praca trwała jeszcze całe trzy lata. Pewnej nocy runął ostatni blok skały. I oto stanęli przed sobą przy świetle księżycy. Wzruszeni wielkim wydarzeniem, padli sobie w ramiona i nastąpiło pojednanie. Chory na nogi i ślepy bonza Ao pozostał w wielkiej czci w całej okolicy, a jego dzieło stało się najlepszym wynagrodzeniem za morderstwo i rozbój. Wykuty tunel chroni od wieków pobożnych pielgrzymów przed śmiercią.

Przechodząc z dziećmi te długie trzy tunele, słuchamy opowiadania o dobrym bonzie, który strawił całe życie na pokucie i czynieniu dobra, a ludność nazwała go Ao-Dômon, zmieniając nazwę osiedla na Dômon, ku jego wiecznej pamięci.

## Ostatnie dni wakacji

Pozostaje nam jeszcze tylko jeden pełny tydzień wywczasów, a trzeba by zwiedzić tyle interesujących miejsc. Wyruszamy na wycieczkę do słynnej świątyni boga wojny, położonej wśród skał. Idziemy dobrą godzinę, a może i więcej. Okazuje się, że małe dzieci chodzą świetnie po górach. Po godzinie marszu zjadamy małą przekąskę i dalej. W niespełna dwie godziny jesteśmy w świątyni. Nie widzimy jednak żadnego zabudowania, tylko pieczary. I to one właśnie tworzą tę świątynię. Chłopcy obawiają się wejść sami do ciemnego lochu, więc ich prowadzimy. Jakieś dziwne głosy dochodzą z wewnątrz. Piski płyną jakby z sufitu, więc po oswojeniu się z mrokiem spoglądamy ku górze. Sufity pieczary i korytarzy są obwieszane chmarami nietoperzy różnej wielkości i gatunku. Nasza obecność zbudziła te miłe zwierzątka, więc z piskiem i hałasem zaczęły przelatywać stadami, zmieniając miejsca. Gdzie się ruszymy, tam pułap ucieka przed nami w inną stronę. Przez dłuższy czas zabawiały się dzieci podrzucaniem czapeczek, co jeszcze mocniej zaniepokoiło stałych mieszkańców pieczary.

W niedzielę po dziękczynnym nabożeństwie urządzamy akademię dla nauczycieli, dyrekcji oraz dla mieszkańców osiedla. Ludność wypełniła salkę utworzoną z dwóch klas po usunięciu ruchomej ściany. Dialogi, śpiewy i tańce rycerskie zachwyciły ten prosty lud. Goście bawili się doskonale szczerbiotaniem naszych „mysikrólików”. Dostojni dobrodziejcy i goście otrzymali bukiety z polnych kwiatów, zbieranych w czasie wycieczki do świątyni.

Przed Wniebowzięciem mamy być z powrotem w Nakatsu, więc porządki i mycie podłogi wykonujemy bardzo starannie.

Tymczasem radio ogłasza zbliżający się tajfun. W obcym domu i w górach przeżyć tajfun, to okropna sprawa. Zobaczymy. Zapasy żywnościowe mamy

do czternastego sierpnia. Niestety woda w rzece wezbrała, mosty są zagrożone, więc pociągi nie idą. Mija czternasty. Od wczoraj w osiedlu jest święto umarłych, sklepy zamknięte, a gospodarze świętują. Zostaliśmy jak ptaszki na łasce Opatrzności. Modlimy się o opiekę Bożą nad nami.

Po nabożeństwie idziemy we dwójkę do osiedla. Może znajdziemy jakieś wyjście z tej trudnej sytuacji. Spotykamy po drodze naszego dyrektora szkoły w towarzystwie nauczyciela. Niosą wielkie toboły na plecach. Zatrzymujemy ich i tłumaczymy nauczycielowi nasze trudne położenie. On na to: — Już wczoraj pan dyrektor o tym pomyślał, oto niesiemy coś dla was, zawracajcie z nami. Obaj niosą w płachtach duże kosze bambusowe i składają je zmęczeni przy wejściu na korytarz. Dzieci po spożyciu ostatnich zapasów na śniadanie porządkują klasy i myją naczynia. Goście pokazują wszystkim dwa kosze pełne ciastek z ryżu, jakie się robi z okazji dnia umarłych, jarzyn i owoców. Nie wiemy jak mamy dziękować. Nauczyciel tłumaczy, że to dar od całego osiedla za piękną akademię i pożegnanie. Darów Bożych wystarczy nam i na dwa dni.

## Znów we własnym domu

Następnego dnia woda w rzece opadła. Wieczorem przejeżdża kolejka na próbę bez pasażerów, przewożąc tylko towary. Nareszcie w sobotę siedemnastego powracamy pełni wrażeń z krótkich, ale miłych wakacji.

Z dziećmi znamy się już doskonale. Niektórzy są nawet szczerze przywiązani. Wśród nich jest jeden najmłodszy, imieniem Yuki, wesoły, zabawny i lubiany przez wszystkich. Gdy on wychodzi na scenę z wierszykiem, wszyscy się rozjaśniają. Ma przy tym dobre serce.

Przed samym południem w niedzielę wielka niespodzianka. Policja z Oita, naszego miasteczka wojewódzkiego, zrobiła raniutko łapankę na stacji kolejowej i zatrzymała osiemnastu chłopaków w wieku od dziesięciu do osiemnastu lat. Bez uprzedniego powiadomienia przywiozła ich do nas z prośbą o przyjęcie. Zaskoczyło nas to z wielu powodów: są tylko dwa wolne miejsca, no i wiek naszych wychowanków sięga najwyżej trzynastu lat. Najtrudniejsze zaś, że „nowi” tworzą zgraną bandę ze swoimi hersztami. Nie wypada odmawiać, więc po naradzie przyjmujemy. Czterech policjantów dziękuje i powraca do siebie.

Chłopców jest rzeczywiście tylko czternastu, bo czterech zwało policji w drodze na trasie kilku zaledwie stacji i jednej godziny jazdy. Malców pozostawiam zaufanym kolegom, a sam przejmuję opiekę nad starszymi. Kilku z nich już pali papierosy. Mają pierścionki na palcach, podśpiewują sobie piosenki i porozumiewają się wzajemnie tylko sobie znanymi znakami. Zaczynam od rozdania czystych ubrań i kąpielii; potem daję im do wyboru: mogą jeść albo nie jeść. Nasi zajądają z apetytem, ale ci kręcą nosami. Jakby nic się nie stało idziemy na przechadzkę. Rzeczy pozostają w domu, a cała grupa udaje się nad morze. Nowo przybyli nie chcą łączyć się z innymi, szukają swojej paczki.

Pierwszą noc położyliśmy ich na matach, rozciągniętych w szpitaliku i na korytarzach, starszych jak najdalej od drzwi wyjściowych. W nocy zniknęło trzech. Idziemy do rzeki na cały dzień. W cieniu pod mostem kolejowym

układa się ubrania i tylko w kąpielówkach całe bractwo wchodzi do rzeki, zabawia się na brzegu wśród kamieni, gra w karty, warcaby, szachy. Obiad jest dość suty dla wszystkich, chociaż niewybredny. Starsi kręcą się tu i tam, starają się oddalić. Dwóch ulotniło się w samych kąpielówkach. Już więc sześciu znikło, pozostało jeszcze ośmiu. Dwaj najmłodszy włączyli się prędko we wspólne życie, okazując nawet zadowolenie, bo do szajki należeli tylko z konieczności, szantażowani przez starszych. Tutaj są zupełnie wolni na równi z innymi i to im daje pełne zadowolenie. Pozostałą szóstkę angażujemy do prac odpowiedzialnych, okazując im dużo zaufania. To zobowiązuje, więc jest nadzieja uratowania ich bez drastycznych pociągnięć. Wkrótce policja zawiadamia nas, że złapano wszystkich uciekinierów i umieszczono w domu poprawczym na małej wysepce wśród morza. Przekazujemy tę wiadomość zainteresowanym, a oni poruszeni, podjęli stanowczą decyzję pozostania u nas.

Trzeba się żegnać z malcami i wracać do Tokio. Nie spodziewaliśmy się nawet tylu objawów przyjaźni i wdzięczności. Następnego dnia rozpoczynamy tygodniowe rekolekcje, jako przygotowanie do subdiakonatu, który otrzymamy w uroczystość Narodzenia Matki Bożej. Dla mnie to święto jest pełne najmielszych wspomnień z pielgrzymek do oo. bernardynów w Rzeszowie.





## Nareszcie... kapłaństwo

Już odmawiam brewiarz. Ogarniają mnie jakieś niezwykle myśli. Więcej czasu poświęcam na rozmowę z Bogiem. Budzi się we mnie poczucie odpowiedzialności za siebie i innych. Do diakonatu tylko jeden krok, bo otrzymamy go na Wszystkich Świętych. Cała nasza piątka przenosi się ze wspólnego studium do osobnego pokoiku. W jadalni jemy przy jednym stole z przełożonymi. Do wolności trzeba się przygotować zawnazu.

Z Nakatsu lotem ptaka przylatuje straszna wiadomość: sierociniec padł ofiarą pożaru... spaliło się trzech chłopców... Na moim biurku leży stos listów. Nie na wszystkie jeszcze odpisałem moim małym przyjaciołom, a tu taki cios. Przeglądam niezgrabne litery z biciem serca: może to ten albo tamten przysłał mi ostatnie pozdrowienie: malcy czy starsi? Wieczorem otrzymuję telefon od młodego nauczyciela: pożar wybuchł około jedenastej w nocy, więc w pierwszym śnie... Piękny domek prawie świeżo pomalowany olejną farbą stanął w płomieniach w jednej chwili. Powód dotąd nieznanym...

Zginęli: Yuki i dwaj inni, których przywozłem z Osaka - Iesato i Yoszida. Yuki i Iesato byli już na podwórzu, ale powrócili prawdopodobnie do środka, by coś ratować ze swoich rzeczy. Nikt ich nie widział wchodzących, może tylnymi drzwiami... Trudno mi się pogodzić z tą rzeczywistością... Leży przede mną liścik Yuki... „Ukłony i pozdrowienia. Jesień ozłociła już naszą Yabakei (wąwóz, gdzie byliśmy na wakacjach), wszyscy już chodzimy do szkoły, a tak nam było dobrze i wesoło z tobą. Po święceniach na drugi rok przyjeżdż znowu do nas na zawsze. Przyślij mi obrazek... pozdrowienia od braci Nanri (bliźniaki) i od Fukutani... Yuki”. Iesato jąkał się, był prędko, ale niezły. Yoszida cichy i spokojny, bardzo przywiązany do zakładu i przełożonych. On i Yuki uczyli się już katechizmu w nadziei na przyjęcie wiary. Niech odpoczywają w pokoju.

Egzaminy zostały przyspieszone na początek grudnia. Potem rekolekcje przed święceniami i nowenna do Bożego Narodzenia połączone razem. Dzień 21 grudnia.... otrzymuję święcenie kapłańskie z rąk arcybiskupa Tokio, Piotra Tatsuo Doi w kaplicy szkoły zawodowej. Ponieważ pracowałem najdłuższy czas jako kościelny, przeto mszę główną odprawiłem na sumie. Przybyło wielu gości i przyjaciół, oraz chór sierot z lotniska, który pierwszy raz wystąpił publicznie u nas w kościele. Takich chwil nie można opisać, trzeba je przeżyć. Próbować je wyrazić, to znaczy je zubożyć. Mogę powtórzyć za misjonarzem narodów: „Ani oko nie widzało, ani ucho nie słyszało, co Bóg zgotował tym, którzy się Mu poświęcają”.

Piękna akademia i dramat misyjny o Chinach Burlandi'ego, pt. „Nad błękitną rzeką” dopełniły zewnętrznych uroczystości. Długie sny i oczekiwania, skropione gęsto potem i łzami, nareszcie się ziściły. Mała liczba obrazków prymicyjnych zaledwie wystarcza dla najbliższych i rodziny. Poczta jeszcze

nie kursuje, ale okreśną drogą można już coś otrzymać i wysłać bodaj kilka słów.

W połowie stycznia przyjeżdża do nowicjatu czterech seminarzystów z Miyazaki. Do nich dołączy się trzech z Kosei Gakuen: Hiroszi, prezes Towarzystwa, Szizuo i Kazuki. Pierwszy nowicjat po wojnie liczy siedmiu nowicjuszków: czterech kleryków i trzech braci. My tymczasem, mimo święceń, uczęszczamy jeszcze na wykłady do końca marca, kiedy to zakończymy ostatni rok akademicki. Koledzy zabawiają się w proroków, losując dla każdego miejsce wyznaczenia. Kilku przepowiada mi to Miyazaki, to Nakatsu, bo sierociniec przeniósł się z miasta do zabudowań fabrycznych u wylotu wąwozu Yabakei, niedaleko rzeki i małej kolejki.

Nasi starsi koledzy księży dużo pracują po szpitalach. Chorzy, wspominając nasze wizyty powojenne, garną się chętnie do wiary. Wielu otrzymało chrzest na łożu śmierci, kilkunastu rekonwalescentów już u nas, u kaplicy.

## **Idę do pracy w sierocińcu**

Na Wielkanoc zaproszono mnie do pomocy w sierocińcu. Przed samymi świętami odbywało się uroczyste zakończenie studiów, więc poczułem się wolny. Wielki Tydzień przeżyłem z sierotami w ścisłym ubóstwie, ale w bardzo podniosłym nastroju. Po świętach udałem się na kilka dni do studentatu, gdzie mons. Cimatti zakomunikował mi, iż mam objąć urząd radcy szkolnego w sierocińcu.

Na nowej placówce czuję się w swoim żywiole, o którym zawsze marzyłem. Przełożeni to starzy znajomi. Dyrektor ks. Renato jest mi bliski ze studentatu i obozu. Prefekt i katecheta to starsi koledzy z teologii, brat Szczepan z Kosei Gakuen, a przy nim kilku małych wychowanków. Na pierwszym miejscu dwaj przyjaciele „najlepsi z klasy”, potem bliźniaki Szigenobu i Masanobu, ten z bliźną nad okiem. Szizuo, który przy pożegnaniu powiedział mi w tajemnicy, że przyjedzie do Tokio, i kilku innych wzorowych młodzieńców. Także wśród tutejszych sierot mam już szerokie znajomości. W Wielką Sobotę siedmiu z nich otrzymało chrzest św. Nasza praca zaczyna wydawać owoce nie tylko dla ludzi, ale też i dla Boga.

## **Kame i Mitsuo**

Niektórzy z naszych wychowanków mają już za sobą długą historię. Kame np. ma zaledwie dwanaście lat, ale w mieście był już przywódcą szajki złożonej z rówieśników i młodszych. Zmienił swoje życie na skutek krwawego wypadku. Cała szajka korzystała często z magazynów sił zbrojnych. Zakradali się w czasie kolacji do składu, kryjąc się w pustych pudełkach kartonowych. Po zamknięciu magazynów wychodzili z kryjówek i zaopatrywali się w chleb i konserwy, wyrzucając je przez zakratowane okna, by rano wyjść i pozbiierać swoje „skarby”. Pewnego ranka zrobiono obławę. Szajka wpadła w ręce żołnierzy a tylko on z kolegą rzucili się do ucieczki w stronę tylnego otworu w ogrodzeniu znajdującego się obok składu amunicji. On pozbywszy się konserw, zdołał uciec wyrwą, ale kolega z chlebem pozostał nieco w tyle. Wówczas padły strzały. Po śniadaniu udał się do znajomego sierżanta po odpadki

z kuchni i tam zobaczył zabitego kolegę. Kame wyprosił jeszcze skrwawiony chleb kolegi i wstrząśnięty oddalił się. Wkrótce zgłosił się osobiście do nas i opowiedział swoją historię...

Mitsuo, nieco młodszy, uciekł z przymusowego internatu jeszcze ubiegłego roku. Ojciec zginął na wojnie w Mandżurii, gdzie mieszkali. Chorowitą matkę wywieziono z trzema synkami do Japonii. Zamieszkali w okolicy Tokio. Mamusia dostała się do szpitala, a on z dwoma braciszkami żyli z czyszczenia butów na stacjach kolejowych. Łapano ich kilka razy. Ostatnio jemu udało się jeszcze uciec, ale bracia gdzieś się zawieruszyli. Zabranzy ze stacji przez księdza Renato, chętnie garnie się do nauki i pracy. W międzyczasie dowiedział się o miejscu pobytu braci. Najmłodszy, Kazuo jest w pobliskim sierocińcu w Siakudzi a średni Toszio aż w Szizuoka. Mitsuo kilka razy uciekł, by odwiedzić braciszka, ale zawsze powracał i teraz otrzymuje regularne pozwolenie udania się do niego.

Mamusia jego była gorliwą buddystką, więc wszczepiła w dzieci ducha pobożności, stąd i Mitsuo polubił nasze nabożeństwa. Wkrótce zabrał się do nauki katechizmu. Odwiedzając mamusię w szpitalu, opowiadał jej o naszej wierze. Ona go pochwaliła, ponieważ w Mandżurii słyszała o chrześcijaństwie, i pozwoliła mu przyjąć tę wiarę. W ten sposób w niedziele na zmianę chodzi raz do mamusi, drugi raz do braciszka. W grudniu stan zdrowia matki pogorszył się do tego stopnia, że lekarz powiadomił dziecko, że matka zbliża się do końca swej ziemskiej pielgrzymki. Chłopak zapytał ją w obliczu śmierci, czy nie zechciałaby przyjąć wiary katolickiej. Przytaknęła mu, więc on z gorliwością dobrego dziecka zaczął jej opowiadać o Bogu to wszystko, czego się sam dotąd nauczył.

W ciągu tygodnia odwiedził mamę, jeszcze dwa razy, a w niedzielę ochrzcił w obecności małego Kazuo, który na odpowiedzialność księdza Renato został zwolniony z miejskiego sierocińca. W tygodniu mamusia umarła, a chłopca, gdy przyszedł ją odwiedzić, zaprowadzono już na jej grób. Ksiądz dyrektor postarał się, by i młodszy braciszek Kazuo został przeniesiony do naszego sierocińca.

## Zaczyna się robota

Od ósmego kwietnia pracuję już urzędowo w sierocińcu. Od samego początku mam trudną sprawę do załatwienia. Siły zbrojne zażądały kategorycznie opuszczenia zajmowanego terenu i to w jak najkrótszym czasie. Mają tu wybudować wielkie osiedle dla rodzin amerykańskich: dwa tysiące domów. Władze, tak sprzymierzone jak i miejscowe, uznają wszystkie nasze racje, potrzeby, poświęcenia, ale rozkazy przychodzą z góry, więc nie ma apelacji. Przyrzekają nam wszelką pomoc i wynagrodzenie, ale proszą zarazem o jak najszybsze usunięcie się z lotniska. Ostatecznie to już nie moja sprawa.

Układam program nauki od czwartej do szóstej podstawowej, bo najmniejsze trzy roczniki oddałem pod opiekę sióstr. Niechaj one sobie jakoś radzą. Do małej orkiestry zgłasza się wielu ochotników. Ćwiczenia są zawsze dla nich za krótkie. Przekonuję się jeszcze raz, że muzyka to środek w wychowaniu niezawodny. Chłopcy w większości są zdolni, rozwinięci fizycznie i psychicznie, wypróbowani i zahartowani w cierpieniu, nieszczęściu

i biedzie. Pochodzą z dobrych rodzin, nierzadko nawet zamożnych. Dzieci szczerze i otwarte na dobro i zło, pozbawione w okrutny sposób rodzimy, dachu nad głową, wychowania i prawa do ciepła rodzinnego, miłości ojca, matki i rodzeństwa. Jakaś bezdenna przepaść wytworzyła się między nimi a społeczeństwem. Świat stał się dla nich nieuczciwy, okrutny, prawie wrogi.

Wykłady w szkole odbywają się wśród wielu trudności. Mimo poszukiwań, nie ma wcale książek do nauki, bo stare zostały usunięte jako niewłaściwe, przesiąknięte fanatycznym duchem „miłości ojczyzny”, a nowych jeszcze nie wydano. Nauczyciele przygotowują wykłady jak na uniwersytecie.

Ks. Renato wychodzi codziennie w poszukiwaniu odpowiednich zabudowań, bo wciąż wisi nad nami nakaz opuszczenia obecnych pomieszczeń. Po długich pertraktacjach znaleziono budynek zarezerwowany dla wojska, ale po większej części zajęty przez wysiedleńców z Korei, Mandżurii i Chin. Są to niewykończone zabudowania z żelbetonu, w których się mieściły magazyny z dużą kuchnią, należące do działu inżynierii japońskiej. Ludność dotąd nie zajęła tych pomieszczeń, więc jawią się nam one jako podarunek Opatrzności. Starania o przekazanie ich do użytku sierocińca są jeszcze w toku, ale władze okupacyjne już ogólnie wszystko zatwierdziły.

## Niezwykła wizyta

W połowie kwietnia mam niespodziewaną wizytę. Jeszcze jeden młodzieniec z Kosei Gakuen przyjeżdża do Tokio w nadziei pozostania z nami według przyrzeczenia danego mi w chwili odjazdu z Miyazaki. Jest to Hiroszi, ostatni prezes Towarzystwa św. Józefa. Razem z nim przyjechał też Tomio, ale jakże zmieniony. Wygląda straszliwie, bo choroba płuc osiągnęła już ostatnie stadium. Cztery lata minęło, jak się pożegnałem z nimi po wielu przeżyciach smutnych i wesołych. Obecnie liczy on sobie już dni i godziny. Przybył do Tokio, aby dokończyć swą ziemską pielgrzymkę w katolickim szpitalu. Przyjmuję go jak mogę uprzejmie. W kuchni proszę o mleko, jajecznicę i smażone słodkie ziemniaki, za którymi przepadał, a on patrzy we mnie jak w tęczę, i tylko wyciera łzy z rozrzewnienia i radości. Wypoczął trochę na pryczy, ale nie może sam dojść nawet do stołu. Biorę go jak dziecko na ręce i przenoszę na krzeselko: nie waży więcej nad dwadzieścia kilogramów.

Kosztuje ziemniaków i jajecznicy, ale przede wszystkim popija mleko, które mu dobrze robi. Przeprasza za dawne zachowanie, niewdzięczność i zły przykład. A ja mu na to: — Wiesz, co Tomio, twoje sto Yen, to ja ci zabrałem, bo nie mogłem już znieść więcej twego zachowania, zwłaszcza względem księdza Leona. Wybałuszył oczy, jakby mnie pierwszy raz widział. — A ja myślałem, że sam je zapomniałem w ustępie, jak ksiądz mówił. Uderzyły mnie wtedy słowa księdza, że mnie opętały pieniądze. Rzeczywiście tak było. Dobrze ksiądz zrobił, że mi je zabrał.

Trzeba było mnie wtedy wybić i to porządnie, to może bym się jeszcze opanował. Uczyli nas w szkole i na ćwiczeniach przysposobienia wojskowego, że ten, co nie bije, nie jest dobrym wychowawcą, a kto nie jest wychowany biciem, ten nic nie wart ani dla rodziny ani dla kraju. Teraz dopiero zrozumiałem, że to było fałszywe.

Chciałem się wypowiadać u księdza Leona, ale jego nie ma, bo pojechał na misje do Mandzurii i dotąd jest w Dairen. Dobrze, że ksiądz już jest wyświęcony, to bardzo proszę o spowiedź. Ufam, że mi Bóg wszystko przebaczy. Ja już niedługo umrę, więc swoje życie ofiaruję jako wynagrodzenie za moje występki... Wzruszyła mnie szczerość tego chłopca. — Widzisz, Tomio, my wychowawcy robiliśmy wszystko dla Boga i dla was, więc nie czujemy żadnej urazy ani też krzywdy w sercu. Grunt, że zrozumiałeś dobroć Bożą, a ja cieszę się, że chcesz pojednać się z Bogiem i liczysz na Niego. Wszystko inne to drobiazgi. W szpitalu znajdziesz księdza, który cię zrozumie i wypowiada. Ja niestety, chociaż jestem wyświęcony, nie mam jeszcze prawa spowiadania według tutejszych rozporządzeń. Przykro mi bardzo, ale muszę ci odmówić tej przysługi... Rozpląkał się biedaczyna na dobre. Pocieszyłem go jak mogłem i odesłałem do szpitala, przyrzekając go odwiedzić w krótkim czasie.

## Przeprowadzka

Miasto przystało kilkunastu robotników, a wojsko cztery wielkie ciężarówki. Rozbiórka domów i przewóz rzeczy postępują prędko i dokładnie. Wspólne wysiłki, wspólna robota i modlitwa łączą wszystkich coraz to mocniej w jedną rodzinę, pracującą bez wytchnienia dla dobra własnego domu. Nawet młodszy koledzy ze studentatu i nowicjusze zaglądają często do nas i pomagają ochotnie. Niedługo już pożegnamy się i nie będziemy mogli odwiedzać się tak często jak dotąd w każdą niedzielę. Wśród ciągłej pracy szybko upływa nam kwiecień. Liczba sierot stale rośnie, a nowi łatwiej aklimatyzują się przy pracy, niż przy nauce.

Pierwszego maja gościmy księżną z rodziny cesarskiej ze świtą. Wśród innych podarunków otrzymujemy duże ryby z płótna. Jako ozdobę na uroczystość chłopców, piątego maja.

Nowe miejsce naszego zamieszkania nazywa się Kokubundzi a oznacza „świątynia buddystyczna na utrzymaniu państwowym”. Pomieszczenia są obszerniejsze od dotychczas zajmowanych, stwarzają więc możliwość rozwoju. Do stacji kolejowej jest tylko piętnaście minut drogi. Obok są dwie duże instytucje: stacja badań radiofonicznych i seminarium nauczycielskie.

Kaplica od początku stanowi centrum naszego życia. Mimo prostoty i ubóstwa, jest to kącik schludnie i przyjemnie utrzymany tak, że malcy, nawet niechrześcijanie, chętnie tu przychodzą i z nieklamana powagą i pobożnością składają Bogu swoje prośby i podziękowania. Straciwszy rodzinę, a z nią miłość rodzicielską, szukają prawie instynktownie nie tylko samej rekompensaty, ale czegoś więcej, oddania swych serduszek w oczekiwaniu wzajemności, która przecież jest zawsze zapewniona. Nabożeństwa są krótkie, dobrze przygotowane i głęboko przeżywane, dostosowane do wieku i nastroju młodzieży.

Chwilowo dla nawału pracy przerwaliśmy lekcje, ale wieczorem wykłady katechizmu, na prośbę chłopców, prowadzi się bez zmian. Wyczuwa się u nich jakiś nadzwyczajny zapał i nieprzewycięzoną potrzebę ducha. Patrząc na ich życie, nachodzą mnie czasem takie myśli: dlaczego to człowiek dorosły wyszukuje wszelkie sposoby, by sobie i innym utrudnić drogę do wiary, do Boga. Niewierzący zaś, nawet i dzieci z taką naturalnością, bez najmniejs-

szego uprzedzenia, garną się do prawdy Bożej. Ich dusza jest spragniona, jak przysłowiowa pustynia deszczu.

W piątek dziewiątego maja odbywa się przeprowadzka najmłodszych chłopców z siostrami. Dopóki nie wybuduje się nowego domu, zamieszkają w szopie obok kuchni, a trzydziestka dzieci ma rozległy teren do biegania i ślepą drogę cementową do zabawy. Wielkim wydarzeniem jest wizyta grupy akademików, którzy zabawiali chłopców wesoło i pożytecznie przez cały wieczór. Oni również wynieśli pozytywne wrażenia, zwłaszcza urzekł ich rodzinny duch zakładu i otwartość wychowanków.

W niedzielę 18 maja, w salonie Czerwonego Krzyża, odbywa się przyjęcie urzędowe księdza Flanagan'a wobec samej Cesarzowej i dostojnych osobistości. Od nas udał się ks. Renato, jako dyrektor i przyszły przewodnik dostojnego gościa, któremu będzie towarzyszyć w zwiedzaniu dzieł dobroczynności w Tokio. Do nas przybędą we środę. Wieczory poświęcamy na przygotowanie przemówień, śpiewów i muzyki. Ks. Flanagan we wszystkich przemówieniach akcentuje potrzebę chrześcijańskiej miłości dla młodzieży opuszczanej. Równocześnie wyraża swoje głębokie przekonanie, że młodzież zła nie istnieje. Jest taka, jaka ją wychowamy.

Nareszcie 21 maja przerywamy pracę i czekamy na miłych gości, którzy zajeżdżają wojskowymi samochodami. Przybywa kilkanaście wozów z władzami miejskimi, państwowymi i sprzymierzonymi. Ks. Flanagan jest uśmiechnięty i bardzo serdeczny. Po marszu powitalnym orkiestry Seidzi czyta po angielsku a malutki Masao po japońsku nasze powitanie. Zacni goście udają się na zwiedzenie domów już do połowy rozebranych. Tymczasem muzyka i śpiewy rozlegają się pod gołym niebem.

Ks. Flanagan był bardzo zadowolony z ducha serdeczności i wolności, w której on sam, jak się wyraził, prowadzi swoje dzieło. Złożył nam życzenia i prosił władze i naszych przyjaciół, aby tworzyli, budowali i popierali podobne instytucje. Na pożegnanie rozdał dzieciom pamiątkowe medaliki, żegnany serdecznie, pojechał do innych zakładów.

Zielone Świątki są dniem pożegnania naszej dotychczasowej siedziby. Przewidziane chrzty św. odkładamy już na nową placówkę, gdzie przyrzekł nas odwiedzić ks. Flanagan.

Poniedziałek wyznaczono na przeprowadzkę. Deszcz stanął temu na przeszkodzie. Dopiero we wtorek 27 maja zajeżdża przed dom cała karawana wojskowych ciężarówek, niektóre z ogromnymi przyczepami, na nie ładujemy łóżka i pościel. Sami wsiadamy do otwartych ciężarówek i ruszamy na czele konwoju przy blasku reflektorów, śpiewając wesołe piosenki na całe gardło. Główne drogi są w naprawie, więc udajemy się okrężnymi gościńcami, gdzie pełno przygód i niespodzianek. Dopiero wpół do dwunastej w nocy wjeżdżamy w bramy naszych posiadłości.

Nasz dom to ogromna fabryka z żelbetonu z pustymi otworami na okna. Na piętro można się dostać tylko po drabinie, bo schody są dopiero w programie. Tam będzie sypialnia. Przyjmują nas radośnie malcy, którzy zbadali już wszystkie tajemnice kryjące się w szopach, składach amunicji i jakichś zepsutych maszyn, domków na słupach bez dachu, hałd potłuczonego szkła. Wszystko to jest jakby omotane pajęczyną sieci radiotechnicznych, rozwie-

szonych na niebosiężnych żelaznych iglicach wież. Za domami gęsto podszyty las liściasty z porzuconymi w nim dziwnymi przedmiotami. Są to jakieś części maszyn, na wpół przysypane ziemią, a na ślepej drodze ogromne silniki samolotowe usmarowane gliną. Są to motory zestrzelonych samolotów słynnych B 29. Tutaj znajdowało się laboratorium badawcze tak sił atomowych, jak i innych przedmiotów zdobytych siłą lub podstępem. Tutaj również miało zginąć tajemniczą śmiercią wielu śmiałków, ludzi nauki i wynalazców.

Po kolacji wśród ciszy zwiedzamy niezbyt odległy tajemniczy schron podziemny, stanowiący serce badań nuklearnych, dalej wielką pływalnię, pełną rupieci. Po udaniu się na spoczynek, zaledwie uspokoiły się w nas wrażenia przeżytego dnia, gdy nagle strzelił w górę czerwony słup światła. Pożar. Jeden z najbliższych i najlepszych domów stanął w płomieniach i po dwóch godzinach pozostał po nim tylko popiół. Jak do tego doszło, trudno się domyśleć. Jest widocznie ktoś, komu zależy na zniszczeniu czegoś i zatarciu jakiegoś śladu...

Po porannym nabożeństwie oddział starszych chłopców przeznaczony do pracy na roli odchodzi z bratem Szczepanem w stronę lasu. Pozostają „studentci”, z którymi nie wiadomo od czego zaczynać. Stale nadchodzą jeszcze ładunki drzewa i innego materiału z Narimasu. W pustych salach ustawiamy ławki szkolne, bo czas ucieka a nauka nagli. Odwiedzają nas nasi niezawodni przyjaciele klerycy ze studentatu. Dziękujemy im za dobre serce.



## Gniazdo mrówek

Dom stoi w lesie, który został wycięty, ale pnie pozostały, więc jesteśmy nimi otoczeni ze wszystkich stron. Daje się odczuwać boleśnie brak podwórza czy boiska sportowego. Chwilowo wychodzimy na ślepą drogę, ta jest jednak zbyt wąska i zrobiona z cementu, nie nadaje się więc do uprawiania sportu. Jeszcze kilka dni ciężkiej pracy i pierwszego czerwca przeżywamy trzy otwarcia i poświęcenia: domu, kaplicy i pływalni. Od poniedziałku, drugiego czerwca, powracamy do systemu trzech lekcji nauki dziennie i popołudniowej wyczerzonej pracy wokół domu. Piątego odbywa się ostatnia podróż ciężarówkami na lotnisko Narimasu, a w powrotnej drodze brat Szczepan przyjeżdża na koniu, naszym ostatnim mieszkańcu starego siedliska.

Dobrodzieje z różnych koszar informują się o naszym nowym adresie. Znajdujemy się prawie w centrum ważniejszych baz. Sieroty liczą najwięcej na niedziele i święta, gdyż dobrodzieje mają tu łatwiejszy dojazd niż do dawnego miejsca. Oprócz słodyczy i zabawek dla malców, bogacimy się o zapasy narzędzi rolniczych i rzemieślniczych a nawet pościel i ubrania. Nikt nie przychodzi z próżnymi rękami. Z nauką idzie ciężko, ponieważ brak nauczycieli. Zamiast podręczników ukazują się gazety, „naukowe tygodniki” dla każdej klasy szkoły podstawowej. To nas ratuje, gdyż jest już materiał do przerobienia. Bliskość stacji kolejowej prowokuje urwisów do ucieczki. Nie zmieniamy systemu postępowania, jesteśmy wobec chłopców serdeczni, zostawiając im wolność wyboru oraz możliwość powrotu.

Okoliczni mieszkańcy również zmieniają nastawienie do nas. Początkowo wiedząc, że zakładem będą się opiekowali misjonarze, byli przekonani, że placówka ta będzie utrzymywać wyłącznie dzieci rodzin zagranicznych, a więc stworzy dla nich okazję do dobrych zarobków. Kiedy się natomiast przekonali, że jest sierociniec dla dzieci bezdomnych tubylców, uderzyli na alarm bojąc się złodziejstwa i wyrzutek społeczeństwa.

Brat Szczepan z pomocnikami rozpoczął karczowanie pniaków w dolinie. Na wycinanie i karczowanie krzaków trzeba mieć pozwolenie od ministerstwa leśnictwa. Ze studentami karczujemy pnie przed domem od drogi i za domem na wielkim pagórku, przeznaczonym na boisko sportowe. Ale kiedy to skończymy - tylko Bóg wie. Dopóki trzeba było wyrwać i prostować gwoździe, praca uśmiechała się wszystkim. Karczowanie to praca ponad siły i nie dla dzieci... Ale jakie jest inne wyjście? Próbuje wyrwać z ziemi przynajmniej pnie. Po dwóch tygodniach wyczerzonej pracy oczyściliśmy jeden ar. Liczymy: sto arów wymaga dwustu tygodni... Tak jest: za cztery lata pagórek będzie wykarczowany. A wyrównanie ile zajmie czasu? Trzeba odliczyć zimę, święta, porę deszczową. Niechaj dzieje się co chce, przecież ktoś będzie świecił i otwierał to boisko!



W tej sytuacji odwiedza nas kapitan jednostki budowlanej i daje natychmiast rozkaz wstrzymania tej niewdzięcznej pracy. Bierze na siebie to zadanie. Następnego dnia przybywają dwa nowiutki buldożery pneumatyczne do próbnej pracy i czterech szoferów na zmianę. Co za błogosławieństwo Opatrzności! Oglądamy te kolosy zachwyceni, z zapartym oddechem. Tu nikt nie bawi się w karczowanie, ale wprost niwelują teren. Pnie razem z ziemią wędrują na dół, wypełniają kotlinę. Tyle naszych wysiłków szło prawie na marne, gdy teraz buldożery wykonują tę pracę w jednej chwili i skutki są nieporównywalne. Kapitan zobowiązał się skończyć w dwa tygodnie. Staramy się, by szoferom nie zabrakło nawet ptasiego mleka. Maszyny nie wypoczywają nawet w południe. Niwelacja terenu trwa od ósmej rano do ósmej wieczór. Po dwóch tygodniach huku i trzasku buldożerów mamy piękne boisko sportowe, wprawdzie niecały hektar, ale dobra morga polska, około 60 arów.

Otwarcie i poświęcenie boiska urządzamy w ostatnią niedzielę czerwca, w samą uroczystość Piotra i Pawła, w nabożeństwie wziął udział kapitan z rodziną, szoferzy i liczna grupka przyjaciół z różnych koszar i urzędów. Serdeczna akademія ku czci Świętych Apostołów i koncert dla gości uwieńczyły ten radosny dla wszystkich, ale szczególnie dla chłopców, dzień.

W przeciągu dwóch minionych tygodni przybyło znowu kilkunastu nowych. Godna specjalnego wspomnienia jest jedna trójka, nazwana na oczekaniu przez kolegów „trzy koszule”: długa, czerwona i zielona, bo wszyscy przybyli w samych koszulinach bez spodni. Nie bracia to ani krewni, ale szajka, złączona „przysięgą na krew”. Na lewej ręce mają wypalony jednokowy znak jeszcze świeżego pochodzenia, zaledwie podgojony. Według złożonej przysięgi każdy jest obowiązany ratować kolegów i bronić do ostatka. Mieszkają razem. Oprócz imion własnych mają pseudonimy. Porozumiewają się w tajemniczy sposób. Co tydzień rozkazuje inny, a pozostali dwaj słuchają. To są jeszcze małe dzieci: zielona koszula może mieć dziewięć lat. W każdym razie „zielona koszula” okazał się najsprytniejszy z całej trójki, bo po wspólnej ucieczce on tylko powrócił do zakładu, by się uwolnić od przysięgi i od towarzyszy. W porozumieniu z księdzem Renato nowo przybyłych chłopców nie dopuszczamy do kaplicy na wspólne nabożeństwa. W czasie mszy św. pozostają w studium dla odrabiania lekcji. Zajmują się nimi osobiście. Do kaplicy na wspólne modlitwy może się udać tylko ten, który ceni religię i zapozna się wpięrcz z ważniejszymi prawdami wiary, przyjmując dobrowolnie warunki dobrego zachowania, potwierdzone pisemną prośbą i egzaminem z najważniejszych modlitw wyuczonych na pamięć. Zainteresowanie się nabożeństwem u nowo przybyłych jest większe niż się można było spodziewać.

## Kokubundzi

Ostatnio zgłosił się chłopiec czysto ubrany, miły i otwarty. Interesuje się wszystkim. Nosi dobrze utrzymaną długą fryzurę. Wygląda raczej na mamusinego synka niżeli na sierotę, za jakiego się podał w pociągu. Nowy chłopak, którego koledzy nazwali od stacji, skąd przyszedł, Kokubundzi, prosi mnie usilnie o ścięcie mu włosów na zero. Jako powód podaje chęć dostosowania się do naszego zwyczaju, bo nie chce między kolegami uchodzić za wyjątek. Uderzyło mnie coś nie zwyczajnego w jego głosie, jakim się domagał tej przy-

sługi. Odmawiam mu, ale on tak nastaje, że na trzeci dzień znikła z jego głowy pięknie i czysto utrzymana czupryna.

W zachowaniu, w nauce i pracy jest wzorowy. Prosi usilnie o pozwolenie udania się na wspólne modlitwy do kaplicy. Tłumaczę mu, że niestety tego wyjątku nie mogę zrobić. Musi najpierw poznać pewne prawdy wiary. Uczy się tak, że w dziesięciu dniach zdaje wszystkie egzaminy i udaje się szczęśliwy do kaplicy. W czasie rozmowy zauważyłem, że wzrusza się przy wzmiankach o rodzicach i rodzinie.

Po kilku dniach prosi mnie o rozmowę na osobności. Zwierza się więc, że mnie oszukał, ale pragnie wszystko naprawić, uczyć się religii i przyjąć chrzest. Mówi dalej, że dlatego chciał obciąć włosy, gdyż uciekł z domu, ponieważ ojczym nim poniewierał. On wie, że my podajemy fotografie nowo przybyłych do gazety, aby rodzina mogła odnaleźć swoich zaginionych. Sądzi, że na skutek obcięcia włosów nie rozpozna go jego ojczym. Teraz jednak podaje adres do domu, ale pragnie już z nami pozostać. Ks. Renato porozumiał się z rodziną, która podpisała prośbę chłopca i zostawiła go w spokoju.

## Trafiła kosa na kamień

Pomimo szczęśliwych przenosin, mamy jeszcze wiele trudności i to nie tylko z dziećmi. Brak nam dotąd urzędowego zezwolenia na zamieszkanie i użytkowanie terenu tak od władz okupacyjnych jak i miejscowych. Załatwiamy wszystko przez pośrednictwo zdolnego adwokata amerykańskiego. Okazuje się, że ktoś został urażony, ponieważ pominięto jego urząd i zwrócono się do wyższej instancji. Ten to pełen ambicji kapitan grozi nam wyrzuceniem z domu. Z drżeniem oczekujemy powrotu księdza dyrektora każdego wieczora. Ale ks. Renato w obronie sierot jest również zdecydowany na wszystko... Jeśli dojdzie do ostateczności i wyrzucą nas z domu, to zbierzemy cały zakład w komplecie i urządzimy wielki protest przed pałacem gubernatora MacArthur'a. Będzie to pierwszy publiczny występ przeciw władzom okupacyjnym w Tokio, a następstwa tego poniesie ten, który przygotowuje nam szubienicę.

Otrzymujemy zawiadomienie, abyśmy byli gotowi do opuszczenia domu. Ks. dyrektor z adwokatem udają się do urzędu z gotowym ultimatum. Ale tu trafiła kosa na kamień. Szef upiera się w swoim postanowieniu. Wobec tego nasi podają mu do wiadomości naszą decyzję w tym względzie. Na „kacyka” padł strach. Zaklina nas na wszystkie świętości, aby tego nie robić i przeprosza za niegrzeczność. Uznaje swój błąd, przekazuje wszystkie papiery nadesłane z góry do ostatecznego załatwienia. Odtąd staje się gorliwym opiekunem sierocińca: nie wiadomo tylko czy z serca czy ze strachu.

Inne sprawy do załatwienia, to wykupienie ziemi i budynków wprost po astronomicznej cenie oraz ułożenie się z Towarzystwem Ziemi o ostateczne zatwierdzenie własności. Prócz tego pozostaje problem pozwolenia na karczowanie lasu i budowę potrzebnych pawilonów. Ale to już kwestia Opatrzności i czasu.

## Codziennie kłopoty

Już pewni swego poświęcamy wszystkie siły i zabiegi dla dobra sierot. Większość naszego terenu, dzięki wyteżonej pracy i uczynnej pomocy przyjaciół z koszar, jest już wykarczowana, uprawiona i zasiana. Smaczne i świeże jarzyny pojawiają się obficie w jadalni u chłopców i nauczycieli. Stajnie, chlewy i kurniki działają sprawnie. Jest bardzo trudno o zakup pożywienia, stąd nasza rodzima produkcja jest dla nas zbawieniem. Można kupić na kartki konserwy, ale innych artykułów brak. Otrzymane słodczyce, tytoń a nawet część darowanej nam bielizny i puszek oddajemy na wymianę, byle tylko dzieci nie cierpiały niedostatku. Nawet szczoteczki i pasta do zębów znajdują chętnych nabywców.

Odczuwamy wielką potrzebę pomocy nauczycielskiej, bo liczba uczniów stale wzrasta, a nas jest mało. Dowiadujemy się, że młode małżeństwo z Nakatsu przeniosło się po pożarze naszego zakładu do Tokio. Łączę się z nimi telefonicznie, proponując obojgu dobrą pensję i zapewnienie opieki przy zakładzie na przyszłość. Niestety młodzi mają lepsze widoki w innej szkole, więc radzą nam wziąć dyrektora szkoły, odchodzącego na emeryturę. Jest to dla nas opatrnościowe. Przyjemny i znany z dobroci nauczyciel przyjmuje zaproszenie i zacznie naukę od... jutra, dojeżdżając kolejką dwie godziny w jedną stronę. Nazywa się Itonaga i jest pierwszym nauczycielem dojeżdżającym z zewnątrz. Wykłada język japoński dla wyższych klas.

Władze wojskowe wciąż sprawują kontrolę przy bramie. Chłopcy, wybierający „wolność”, są zmuszeni przeskakiwać wysokie mury, jeśli nie mają w rękę przepustki. Całe bowiem ogrodzenie jest jeszcze pod władzą sił okupacyjnych, chociaż odpowiedzialność za bezpieczeństwo jest w rękach japońskich. Uważamy jednak, że nadszedł czas wychowywania do wolności. Urządzamy wycieczkę raz na dwa tygodnie. Na pierwszej wycieczce ulatnia się jeden, a z drugiej nawet mniej strzeżonej, powracają wszyscy zadowoleni. Są natomiast duże trudności z nowo przybyłymi, chociaż sami proszą o przyjęcie. Zdarzają się charaktery niebezpieczne. Taki Keniczi, już duży chłopak, podrażniany traci panowanie nad sobą i uderza czym popadnie: młotkiem, siekierą, piłą. Blednie cały i staje się prawie dzikim zwierzęciem, ze złości traci nawet mowę. Inny, Sadaaki, ma przydomek „generała bitki”, a zapala się od jednego słowa, żartu czy uwagi. Koledzy dla rozrywki korzystają z tej jego słabości. Chłopiec jest zdolny i zdecydowany opanować się za wszelką cenę. Zawiera z ks. Renato pakt o nieagresji: jeśli zmniejszy liczbę dziennych bitek poniżej pięciu, to otrzyma czekoladę. Niestety każdego dnia zdarza się mu siedem, sześć, a w najlepszym razie pięć zaczepiek. Zresztą koledzy świadomie go zaczepiają, byle tylko nie wygrał. Oprócz Japończyków mamy też Koreańczyków, chłopców z Okinawy, Formozy i Filipin.

## Orkiestra

Cały lipiec według programu trwają lekcje. Dziesiątego sierpnia kończą się egzaminy, na Wniebowziętą będzie rozdawanie nagród. Orkiestra ćwiczy codziennie prawie godzinę. Stara orkiestra liczy czterdziestu muzykantów, a dwudziestka nowych zaczyna od początku. Na Wniebowziętą czterech

chłopców otrzymuje chrzest św. Ks. Flanagan już nie powrócił do nas, niedomaga ze zdrowiem. On właśnie miał udzielić chrztu św. tej czwórce.

Przy wizytach dostojnych gości coraz częściej orkiestra gra z wielkim powodzeniem. Wybijają się szczególnie dwaj dobosze, niewiele więksi od pałeczek swoich instrumentów perkusyjnych. Wesołe i ładne dzieci, przy rezolutnym wywijaniu pałeczkami aż rwą oczy widzów, bo także ich mistrzostwo ma już swoją historię. Jeszcze w Narimasu odwiedzał nas czasem Meksykańczyk grający na bębenkach w centralnej orkiestrze sił sprzymierzonych GHQ. On właśnie upodobał sobie naszych doboszy a oni jego. Oprócz podarunków, które im przynosił, postanowił przekazać im tajniki swojej sztuki, więc całymi niedzielami wybijali pod ścianą turecką czy afrykańską muzykę. Rzeczywiście był on prawdziwym artystą w swoim zawodzie, ćwiczył bowiem już kilkanaście lat od małego chłopca i to bezustannie. W jego rękach pałeczki miały czarowne ruchy, a głos bębena prawie ludzką mowę.

Chłopcy starali się cierpliwie naśladować go, a on odkrywał im wszystkie arkana tak, że dobrze poprowadzeni, uzyskali sami doskonałe wyniki. Opanowali brawurową grę, mającą w sobie coś z żonglerki. To właśnie najwięcej się podoba u malców, gdy podzrucają i chwytają pałeczki bez tracenia rytmu. Żołnierze stawiają chłopców na stołach i robią fotografie ze wszystkich stron i we wszystkich pozycjach. A ci, jakby nigdy nic, wykonują nadal zawadiacko swoją partię muzyki. Inni również, porwani brawurą doboszy, starają się maksymalnie udoskonalić swoją sztukę. W ten sposób całość wykonania zyskuje.

Przykład ten oddziałuje również na inne dziedziny życia, na umiejętność zachowania się w kulturalnym towarzystwie. Zyskuje na tym także zewnętrzna szata zakładu i jego opinia jako placówki na poziomie. Chłopcy umieją dobrze grać w ping-pong, w bilard, w brydża i to elegancko, a te rzeczy chwytają zwłaszcza w towarzystwie dorosłych. Nierzadko zdarza się, że stale przegrywający oficer oddaje swoje karty w ręce takiego „zastępcy” w krótkich spodenkach i niespodziewanie wygrywa. Również nasz chór już kilka razy występował na uroczystościach w kaplicy różnych baz wojskowych i to zawsze z sukcesem.

## Nieustanne remonty

Cały dom jest w nieustannym remoncie. Na parterze zastaliśmy tylko jedną czwartą sali otynkowaną. Obecnie przystąpiliśmy do robót według naszych planów: pierwsza część, ta otynkowana, będzie mieścić klasy szkolne, w środkowej znajdzie się kaplica i salka teatralna, w trzeciej zaś nieco węższej kuchnia i jadalnia. Ramy okien już założone, tylko szyb brakuje, bo szkła nie dostanie się nawet za cenę złota. Oczekujemy na szkło, zamówione przez Katolicki Komitet aż z Belgii. Oby tylko okręt zdążył przed zimą, bo inaczej musimy stać się Eskimosami.

Zabudowując ogromną środkową część aż po dach, znajdujący się nad salką, urządzimy jedną wielką sypialnię, w której zmieści się blisko setka łóżek. Obok zbuduje się i ustępy, których dawniej fabryka nie potrzebowała. Wygodne schody są już czynne. W pierwszych tygodniach musieliśmy pięć się po drabinie. Nie należało to do przyjemności zwłaszcza w nocy.

## Pierwsze miesiące nowego roku szkolnego

Do nauki powracamy przed połową września i to z wielką ochotą. Chłopców wciąż przybywa a miejsc brak. Zależy nam bardzo na wykończeniu domu, ale to idzie ślimaczym krokiem: jaka płaca taka praca... nieporozumienia między pracownikami odbijają się na nas. W trzeci poniedziałek września szaleje tajfun. Ponieważ brak okien, a dach kiepski, więc wszystko tonie w wodzie. Kryjemy się za ścianami. Spędziliśmy noc, chowając się przed deszczem i wicherą. Dopiero słoneczne rano pozwala nam ocenić szkody wyrządzone przez burzę. Na naszej uprawnej ziemi jedno jezioro. Wszystkie jarzyny zniszczone. Radio ogłasza w Tokio kilku zabitych, wielu rannych, wiele domów naprędce skleconych zniknęło bez śladu.

W tej sytuacji przybywa do nas wiceburmistrz, który jako wielki przyjaciel, przyrzeka specjalną zapomogę, by naprawić szkody wyrządzone przez tajfun i przyspieszyć prace odbudowy zakładu. Oglądając rozpoczęte prace, okazuje swoje zadowolenie i równocześnie oznajmia cel swojej wizyty. O naszym zakładzie chodzą po urzędach pogłoski, że wykorzystujemy „szyld” sierocińca dla własnego wzbogacenia się kosztem dzieła dobroczynności. Aby zlikwidować to oszczerstwo przyprowadził ze sobą kilku swoich sekretarzy. Mają się oni naocznie przekonać, jak się sprawy przedstawiają.

Po burzy przychodzi pogoda, wajeżdża ciężarówka Komitetu Pomocy LARA z ofiarą dla nas. Moc rzeczy wszelkiego rodzaju. Dzieciakom aż oczy wyłażą na wierzch, bo wiedzą dobrze, że to dla nich. Chwilowo odnoszą to wszystko do składu. Darów Bożych jest wiele: konserwy, słodczyce, ubrania, a zwłaszcza kolorowe koszulki, jakich w Japonii nie ma, to szczyt radości. Będą w nich paradować już w najbliższą niedzielę.

Nareszcie będzie można rozpocząć budowę domu dla najmniejszych. Najpierw jednak trzeba ściąć drzewo i wyrównać teren. Z jakim trudem posuwa się to wszystko naprzód. Nie wolno wycinać drzew, mających grubość ponad cztery cale, nie wolno uprawiać ziemi, ale tylko karczować; nie wolno budować itd. W piątek siedemnastego ścina się drzewa, w sobotę buldożer wyrównuje pagórek pod budowę domu najmłodszych dzieci, duszących się dotąd w ciasnej szopie obok kuchni. Materiału budowlanego jest sporo. Przywieziono go z lotniska. Krokwie zdjęto w całości i przetransportowano na wielkich ciężarówkach. Równocześnie pokrywamy dach na nowo dachówkami przywiezionymi również z lotniska, gdzie pieczołowicie je zdejmowano z zabudowań, poprzednio naszych.

Piękną uroczystość Wszystkich Świętych uświetniła wizyta arcybiskupa, który udziela darów Ducha Św. dla naszych małych żołnierzy Chrystusowych.

Trzeciego mamy zaproszenie na dzień sportu, braterską imprezę dla sierot wojny z całej stolicy. Przybywa trzydzieści zakładów wraz z tysiącem dzieci obu płci. Bardzo to interesujące spotkanie. Dzieci znają się wzajemnie z czasów wspólnego buszowania po stacjach. Spotykamy prawie wszystkich chłopców, którzy będąc u nas, ulotnili się, a teraz przymusowo przebywają w innym zakładzie. Spoglądają na naszych wychowanków z nieukrywaną zazdrością. W zakładach żeńskich nasi chłopcy mają siostrzyczki, więc spotykając je przyprowadzają, by je nam przedstawić. Miło jest patrzeć jak rodzeń-

stwa kibicują sobie nawzajem. Oprócz naszej orkiestry jest inna, mniej liczna, ale równie dobrze wyćwiczona. Przygrywamy na zmianę sportowcom, a podczas przerwy południowej dajemy koncerty. Ostatecznie pierwsze nagrody zyskał zakład Hagiyama, ten co posiada kapelę. Jest to stary przedwojenny zakład, na wespół poprawczy, utrzymywany przez urzędników miejskich. Jednym z jego głównych celów, oprócz pracy zawodowej, są wyczyny sportowe, więc nic dziwnego, że w klasyfikacji wyszedł pierwszy. Nagrody wyczytano do dziesiątego miejsca, ale nas nie wymieniono...

W tym samym czasie nadchodzi zatwierdzenie szkoły wewnętrznej na prawach państwowych. Jest to pierwsze zezwolenie po wojnie jak zaznacza Ministerstwo Oświaty. Wszyscy stajemy się nauczycielami zatwierdzonymi przez państwo, podczas gdy dotąd byliśmy tylko zastępcami. Osobiście otrzymałem zatwierdzenie jako wykładowca wychowania, religii, muzyki, śpiewu i języków obcych. W rzeczywistości jednak prowadzę w razie nieobecności nauczycieli każdy przedmiot, a nawet język japoński, czy matematykę, historię a nierzadko i gimnastykę.

Dzień sportu w Japonii należy do wielkich wydarzeń. Nie jesteśmy wystarczająco przygotowani, ale wysłaliśmy zaproszenie dla kleryków ze studentatu i dla internistów z zawodówki. Przy podobnej okazji zbierają się rodzice i krewni dzieci, a u nas jakaś dziwna pustka przygniatająca. Jednak prędko wytwarza się nastrój nieklamanej radości. Pogoda dopisała, więc zadowolenie dochodzi szczytu. Od dziesiątej rano do piątej po południu, czterdzieści punktów programu wyczerpało siły naszych zupełnie, chociaż obiad był obfity. Naszym zakładem zaczynają się interesować. Chętnie zwiedzają go studenci seminarium nauczycielskiego i miejscowe władze. Dla wszystkich ten typ wychowania jest wielką nowością: szkoła wewnętrzna, wolność, religia centrum wychowania, duch rodzinny, wzajemne zaufanie i szacunek... nic z policyjnego systemu przymusu. Przybywają nawet pracownicy z zakładów poprawczych dla młodzieży, proszą o radę i wskazówki.

Grudzień za pasem a otwory w oknach puste. Dzieci marzną. Atakujemy władze i natychmiast pojawiają się kartki na szkło, na budulec, na cement. Niechby zaszklić chociaż okna zewnętrzne, bo te wewnętrzne mogą poczekać do lata. Św. Mikołaj przysła szkło. Po dwóch dniach już się nie boimy wiatrów z północy, hulających dotąd po garnkach i talerzach, zrzucających książki z ławek i koce z pościeli.

W dzień uroczystości Niepokalanej pod koniec kolacji wywołuje mnie kleryk z jadalni, że z chłopcami dzieje się coś niezwykłego. Wychodzę i spotykam tu i tam siedzących, albo wprost upadających na korytarzu lub na schodach bez jęku: generalne zatrucie. Ale czym? Rybami, jarzynami, owocami, słodyczami? Noc mija w wielkim napięciu i niepokoju. Obeznanymi nieco z podobnymi wypadkami, staram się wywołać przede wszystkim wymioty. Przecież od kolacji minęło zaledwie kilkanaście minut. Udaje się to u większości chłopców, niektórzy tracą przytomność, mającą. Koniec świata. O lekarzu nie ma mowy, bo do szpitala daleko. Zresztą o tej godzinie nikt nie przyjdzie. Na szczęście pierwsze zabiegi ze słoną wodą skutkują. O północy nawet już ostatni zwracają - dotąd nieprzytomni - truciznę. Wszystko się uspokaja. Idziemy na spoczynek z sercem w gardle i dziękczynną modlitwą na ustach.

Zbliża się Boże Narodzenie. Przybywają dary ze wszystkich, stron, że aż wierzyć się nie chce: kilka ciężarówek wojskowych z cementem tak długo oczekiwany. Arcybiskup przekazuje dar Ojca Świętego dla biednych dzieci.

Sieroty wiedzą dobrze o wszystkim i same dzielą wszystko między potrzebujących. Oni decydują i sami od siebie wymagają nauki, pracy, dobrego zachowania, wzajemnej pomocy, oszczędności. Cóż za niezwykle zaangażowanie! Umieją doskonale pozdrawiać i przyjmować gości, obsłużyć, oprowadzić, dziękować. W tym wszystkim współzawodniczą ze sobą.

Nowennę do Bożego Narodzenia przeżywamy jeszcze w wielkim ubóstwie, bez stałej kaplicy, zaledwie zabezpieczeni od zimowych wiatrów, ale z sercem przepelnionym ufnością do Dzieciątka, oraz do całej Świętej Rodziny. W przeddzień wigilii chłopcy oglądają próbę „jasełek” w stylu amerykańskim, w wielkiej sali w centrum miasta. Przedstawienie trwa dwie godziny, wykonane przez zawołanych artystów w trzech odsłonach: ulice miasta z kolędnikami, wizyta Mikołaja w domu i kraj snów z pingwinami. Wspaniałe wykonanie, ale bez Świętej Rodziny. Teatr dla teatru. Wreszcie „wigilia”. Od rana porządk. Robotnicy pracują dniem i nocą, by ukończyć pracę na święta, ale dla nich święta to Nowy Rok. W każdym razie Pasterkę odprawi się w salonie jeszcze nieukończonym, bo prowizoryczna kapliczka nie pomieści całej rodziny. Wielu z chłopców pierwszy raz przeżywa takie święta. Wieczorem ostatnie nabożeństwo nowenny, a po kolacji chrzest pięciu kolegów i wesołe rozrywki aż do Pasterki. Polskiej wigilii nie obchodzimy, bo tutaj są inne zwyczaje.

W dzień Bożego Narodzenia msza uroczysta o dziewiątej rano, a po nabożeństwie nadjeżdżają różne grupy przyjaciół z baz wojskowych, zaopatrzone w podarunki, którymi chłopcy wypełniają swoje schowki po brzegi. Po południu sieroty zmieniają się w dobrodziejów. Urządzają wieczorek dla okolicznych dzieci rówieśników, darząc ich ochoczo podarkami, wesołą muzyką, śpiewami i swoimi „jasełkami”. Trzy godziny miłej rozrywki. Na św. Jana ustalamy dzień dziękczynienia, więc podzieleni na liczne grupki, udajemy się do różnych dobrodziejów i przyjaciół z życzeniami przed Nowym Rokiem i wyrazami wdzięczności za okazaną dobroć.



## Powitanie Nowego Roku

Nowy Rok w Japonii to uroczystość wielkich nadziei. Wszystko się odmawia i odradza zewnętrznie. Pali się stare przedmioty, nowe natomiast, chociaż może nie lepszej jakości, nadają jakiś inny sens całemu życiu. Przed drzwiami domu stoją dwie bujne sosny, przymocowane do ściętego na ukos bambusu jako niezastąpiona ozdoba domu na pierwszy dzień roku tzw. „kadomatsu”. Jest on symbolem zdrowia i siły rodziców i rodziny. Sosna oznacza moc, a bambus lekkość i piękno razem, życie długie, zdrowie i szczęście.

Potrawy z tłuczonego w stępie parzonego ryżu w zupie z jarzyn lub przypiekane na ogniu z cukrem albo sosem z grochu, to również noworoczne smakołyki. Do stołu podaje się zaprawioną pieprzem słodką wódkę z ryżu, nieodzowny nektar szczęścia, którym częstuje się z racji minimalnego procentu alkoholu.

Z typowych zabawek noworocznych niewiele można sprezentować naszym chłopcom, ale otrzymali kilka bąków, młoteczków szczęścia i kart z twardego papieru do podrzucania. Wieczór jest pełen imprez własnego pomysłu, wykonanych przez poszczególne klasy i zawody. Studenci wystawili „Syna marnotrawnego”. W ostatniej chwili rozchorował się na grypę jeden z głównych aktorów, grających rolę gospodarza trzody z drugiego aktu. Z kolegów żaden nie czuje się na siłach zastąpić tego gwiazdora z pomocą przychodzi nadspodziewane sam ks. Renato, przebierając się naprędce z sutanny w gospodarską siermięgę. Zakłada na głowę kudłatą perukę, przypina brodę i wąsiska i występuje ze wszystkimi akcesoriami gospodarza trzody (której zresztą na scenie nie widać). Ks. Renato jest zawołanym artystą i autorem kilku sztuk teatralnych z życia dawnych chrześcijan. Drugi akt z pięciu minut przedłużył się do dwudziestu. „Rolnicy” występują z fantastycznym tańcem - pantomimą dość dobrze wykonanym. Piosenki solo lub w zespole uprzyjemniły resztę czasu aż do modlitw wieczornych.

W uroczystość Trzech Króli wystawiamy jasełka. Cały prawie grudzień wieczorami po kolacji i modlitwach najlepsi nasi aktorzy ćwiczyli swoje role recytowane i śpiewane. Stroje są pierwszej jakości, godne wielkiego teatru, bo wypożyczone w pierwszym teatrze Tokio: oryginalne stroje żydowskie i arabskie w urzekających kolorach. Między odsłonami w czasie zmiany sceny bawi gości orkiestra świeżo przygotowaną wiązką kołęd. Na wzór naszego pana Twardowskiego wychodzą dwaj japońscy włóczędzy Yadzi i Kita. Goście licznie zebrani bawili się świetnie przez całe trzy godziny.

## Troska o wychowanie młodzieży

Naukę rozpoczynamy ósmego stycznia już w pełnym rozkładzie. Od dłuższego czasu żyjemy otwarciem nowego działu rzemiosła: stolarni. Od świąt



jest z nami brat Karol, który prowadzi warsztaty. Z wielkiej kuchni wojskowej usunięto żelazne kotły. Zgłosiło się czternastu ochotników. Po ukończeniu nowego domu dla najmłodszych, szopę używaną przez nich zmieni się na pracownię krawiecką, ale dopiero od kwietnia.

Czujemy wielką odpowiedzialność za przyszłość wychowanków i staramy się przygotować ich do życia spokojnie i gruntownie. Nasi chłopcy pochodzą z rodzin moralnie i fizycznie zdrowych i wróżą dobrą przyszłość. Trzeba dołożyć tylko starań, by ich pokierować na właściwe tory. Nie jesteśmy w stanie dać im wyższego wykształcenia, poza nielicznymi wyjątkami. Miasto bowiem przyrzeka zapomogi tylko do osiemnastego roku życia, a wkrótce obniżą tę granicę wieku. Naszym wychowankom możemy zapewnić jedynie ukończenie szkoły obowiązkowej oraz wyuczenie jednego z rzemiosł dla nas dostępnych: rolnictwo, stolarstwo, krawiectwo, szewstwo i drukarstwo.

Obecnie obok nauki kładziemy nacisk na pełne wychowanie człowieka, obywatela, rzemieślnika. Prawdopodobnie młodzież, opuszczająca zakład, w większości nie będzie uprawiała zawodowo rzemiosła, którego nauczyła się u nas, ale przejdzie do innej pracy, może zupełnie odmiennej. Niemniej wyniesie od nas umiejętność i nawyk pracy i odpowiedzialności, a to ma ogromne znaczenie. Chłopcy, zwłaszcza starsi, zdają sobie sprawę z doniosłości tego zagadnienia i przykładają się do pracy z przekonaniem.

W zimowe niedziele wieczorem jest zawsze jakaś nowa rozrywka. Do ulubionych należą przeżocza o japońskich bohaterach, których jest w historii mnóstwo. Przeżocza te mają zawsze wydźwięk dydaktyczny. W gronie pedagogicznym jest dawny wychowanek z seminarium z Miyazaki jako nauczyciel. Wykazuje on niezwykle zdolności jako aktor i mówca. Gdy zasiada przy fortepianie i zaczyna komentować wyświetlane na ekranie obrazki, to przemienia się w jakiegoś czarodzieja: w najodpowiedniejszym miejscu podnosi głos lub go obniża, naśladuje wszystkie zwierzęta i ptaki, wie kiedy uderzyć w melodię smutną lub wesołą, kiedy zanucić lub krzyknąć, by porwać za sobą całą zasłuchaną gromadę w świat fantazji. Obrazki ewangeliczne Staro- i Nowego Testamentu nabierają w jego interpretacji barw i autentyzmu. Stąd na niedzielnie wieczory chłopcy czekają z niecierpliwością przez wszystkie dni tygodnia.

Pod koniec stycznia mamy pierwszy śnieg. W zimie biedni chłopcy często pukają nieśmiało do otwartych na oścież drzwi naszego zakładu. Wprawdzie miasto wydało polecenie, by nie przyjmować nikogo jak tylko na zlecenie ich urzędu, ale dla nas zrobili wyjątek: wystarczy podać im liczbę przyjętych. Wierzą nam na słowo. I oto zaczynają owocować nasze poczynania, bo zostawiając wychowankom pełną wolność zdobywamy ich zaufanie. Już nie uciekają. Inne zakłady trzymają swoich pod kluczem. Gdyby zostawili swobodę, pozostałyby pustki. Nasi zazwyczaj powracają skruszeni, a tamtych sprowadza policja. Czasem u nas „lądują” uciekinierzy z innych zakładów. Niestety nie zawsze możemy ich przyjąć.

Jeszcze przed rokiem nasza wewnętrzna szkoła podstawowa otrzymała zatwierdzenie państwowe jako pierwsza po wojnie na cały kraj. Teraz chodzi o kontynuowanie dalszych trzech roczników szkoły średniej obowiązkowej. Dla dobra wychowanków wydaje się prawie konieczne zatrzymanie ich na dalszą naukę mimo nowych trudności, piętujących się ze wszystkich stron.

Miasto zachęca nas do tego i przyrzeka pomoc. Urząd finansowy daje do zrozumienia, że tylko pod tym warunkiem jest gotów przyznać nam specjalne zniżki i ulgi przy spłacie posiadłości, a chodzi tu o ulgi kilkumilionowe, osiem bowiem hektarów ziemi w Tokio, to nie żart.

Decydujemy się więc na to nowe przedsięwzięcie, ale w związku z tym trzeba rozbudować zakład. Pod tym warunkiem ogłaszamy przyjęcia do szkoły średniej już od kwietnia, w lutym odbywają się święcenia naszych kolegów ze studentatu. Udajemy się w komplecie, by złożyć życzenia i obejrzyć piękne przedstawienie misyjne: „Nad błękitną rzeką” o Chinach.

Jeden z nowo wyświęconych ks. Daniel otrzymuje skierowanie do nas na miejsce kłeryka Sadao, który udaje się do studentatu na teologię, żegnany przez chłopców z wielkim żalem. Przeżył z nimi pierwsze dwa najtrudniejsze lata, zachowując raczej postawę starszego brata niżeli przełożonego.

Wielki Tydzień przeżywamy w skupieniu. W Wielką Sobotę odbywa się poświęcenie domu. W dzień Wielkanocy w czasie rezurekcji czterech chłopców otrzymało chrzest św., a siedmiu przystąpiło do pierwszej komunii św. O jedenastej zbiera się cała wspólnota szkolna na rozdanie świadectw ukończenia szkoły podstawowej dla kilkunastu kolegów. Wielkie to wydarzenie w zakładzie, bo równocześnie przechodzą do pierwszej gimnazjum, w Japonii ukończenie nauk albo kursów, chociażby to były tylko przedszkolne, ma ogromne znaczenie. Stąd i do nas przybywa zaproszony burmistrz naszej dzielnicy, dyrektor pobliskiego gimnazjum i przedstawiciel rady miejskiej. Zadni goście życzą szkole i uczniom dalszych sukcesów w nauce.

Ks. Daniel sprowadza przyjaciół na buldożerach, które znowu przez dwa tygodnie zmierzą się z pozostawionym pasem ziemi, szerokim dziesięć metrów, a długim na pięćdziesiąt. W ten sposób boisko sportowe ostatecznie mierzy pełny hektar ziemi.

## **Nowy rok szkolny**

Dziewiętnastego kwietnia rozpoczynamy nowy rok szkolny. Zatwierdzenie gimnazjum nadeszło jeszcze w dniu naszej wycieczki nad jezioro. Miasto pospieszyło się z tą formalnością, gdyż istnienie gimnazjum leży w interesie władz. Myślimy już o ostatecznej inauguracji sierocińca, ale wykończenie domów posuwa się naprzód bardzo powoli. Przeszkodę stanowi brak materiału i wielkie trudności w jego zdobyciu.

Od nowego roku szkolnego angażujemy trzech nowych nauczycieli: jeden emeryt matematyk i dwaj młodzi absolwenci pobliskiego seminarium nauczycielskiego, które od tego miesiąca przekształciło się w pełny uniwersytet. Nareszcie można powiedzieć, że zaczynamy regularne życie zakładowe i szkolne. Chłopcy naprawdę doceniają naukę i oddają się jej z zapałem, co w takich środowiskach młodzieży wydałoby się dziwne albo wprost nieprawdziwe. Wszystko wyjaśnia system, bo pamiętamy, że podstawowa metodą salezjanów jest: sport, muzyka, rozrywki, czyli zainteresowanie się potrzebami chłopców. Uczniowie dzięki temu nabierają zaufania i akceptują naukę i pracę współzawodnicząc w wynikach, w takiej dopiero sytuacji - można śmiało powiedzieć - następuje proces wychowania. Nabożeństwa w kaplicy

i na zewnątrz są lubiane, cenione, szczerze przeżywane, a liczba katechumców rośnie we wszystkich klasach.

Uroczystość Wspomożycielki święcimy w specjalnym nastroju wdzięczności. Nareszcie ukończono dom dla chłopców od sześciu do dziewięciu lat na wzór tamtego, jaki mieli na lotniku: dwa skrzydła parterowe i środek piętrowy. Może pomieścić około sześćdziesięciu malców i siostry z aspirantkami do pomocy, bo pracy coraz więcej w kuchni, w pralni, przy małych łobuziakach. Procesjonalnie drogami wokół pól uprawnych, wśród muzyki i pieśni dochodzimy przed domek jeszcze pachnący żywicą od świeżo struganych desek. Odbywa się poświęcenie. Wreszcie nasi mali tułacze, którzy tak długo w chłodzie i niewygodach śnili o prawdziwym domu, trwali cierpliwie wraz z siostrami w szopie, byle tylko nie rozstawać się z nami - mają swój własny dom. A dom ten okrywa płaszczem Swej opieki Matka Boża Wspomożycielka. Więc dzieci, nasze maluchy, to Jej świta.

W samą uroczystość Zielonych Świątek otrzymujemy wiadomość o śmierci księdza Flanagan'a, który zaledwie przed rokiem odwiedził nas na starych śmieciach w Narimasu. Wszystkim ścisnęło się serce, bo chociaż nie jest Japończykiem, okazał nam tyle dobroci. W kilka dni później bierzemy udział w uroczystym nabożeństwie żałobnym w centrum miasta z udziałem przedstawicieli obu narodów.

Trzy ostatnie przedsięwzięcia postępują naprzód w równym tempie: budowa kaplicy, łaźni i gospodarstwa. Kaplica będzie centralnym punktem domu i z tego powodu wymaga bardzo starannego wykończenia. Stąd łaska Boża promieniować będzie na cały zakład.

## Krótkie ale miłe wakacje

W tym roku na okres wakacji, oprócz wycieczek i pływalni, wypada pomyśleć o czymś więcej, zwłaszcza dla młodszych. Przychodzi nam z pomocą towarzystwo dobroczynności, które płaci trzydniowe wakacje nad morzem, albo w górach dla setki dzieci tylko bez utrzymania. Wybieramy góry. Chłopcy udadzą się dwoma grupami: pierwsza to najmniejsi, około pięćdziesiątki, drugą stanowią średnie roczniki. Starsi pozostają w domu. Nasi dobrodzieje z koszar ofiarowali nam do przewozu kryte ciężarówki: dla dzieci i na prowiant. Zabieramy się z księdzem Renato z drugą grupą średnich.

Po przybyciu na miejsce oddaję dzieci w ręce młodego nauczyciela i trzech nauczycielek. Cała czwórka wykazała duże zdolności organizacyjne. Rozpoczęli przede wszystkim od zbiórki w salonie w stylu japońskim na matkach, siadając wokoło na piętach. Potem nastąpiła prezentacja, której wzór podał nauczyciel: klęka, kłania się głęboko i ogłasza imię, nazwisko, zawód, wiek, upodobanie i przydomek (przezwyśko). Po nauczycielach każdy chłopak podnosi się na kolana i z całą powagą przedstawia się zgromadzeniu. Bardzo oryginalna i miła ceremonia. Pierwszy raz dowiaduję się o upodobaniu każdego i staram się je zapamiętać.

Najwięcej zaskoczyły mnie przydomki. Mają je wszyscy i przyznają się do nich bez żenady. Traktują je jako pseudonimy przynoszące chwałę. Tymczasem są one przezwiskami, przyczepionymi przez kolegów bardziej spostrzegawczych i to tak celnie i złośliwie, że psycholog lepszych by nie wymyślił.

Jeden np. mianuje się „trzy z tysiąca”, inny „monkey”, jeszcze inny „borsuk” itd. „Trzy z tysiąca”, to gaduła i blagier, który na tysiąc słów powie tylko trzy prawdy. „Monkey”, z angielskiego małpa, oznacza chłopaka, który zapamiętuje się w złości, rzuca i łamie, co ma pod ręką. „Borsuk” - grubasek, który toczy się jak na kółkach.

Całe trzy dni mijają pod stałą opieką nauczycieli z programem podobnym do obozu harcerskiego, bardzo dobrze wychowawczo ułożonym. Jest przy tym czas na upodobania każdego dziecka. Malowanie, zbieranie okazów, roślin, kamyczków, owadów, wędkarstwo, wycieczki w góry, praca w kuchni, śpiew, muzyka, zabawy przy ognisku itd. Chłopcy skorzystali, my również mieliśmy okazję podpatrzeć wychowanie rodzinne w stylu japońskim. Z drugiej strony nauczyciele zachwycili się zachowaniem i szczerością naszych dzieci tak, że nawiązała się między nimi serdeczna przyjaźń. Nauczycielki popłakały się przy pożegnaniu.

## Ważniejsze wydarzenia

Tymczasem nauka i praca nabierają nowego tempa, bo każda chwila jest droga. Cięży nad nami dług za otrzymaną ziemię. Robimy wszystko, aby zdobyć trochę grosza. W stolicy oprócz zawodowych drużyn palanta zaczynają się tworzyć amatorskie przy ważniejszych przedsiębiorstwach i fabrykach. Tenże związek jest gotów przeprowadzić jesienne zawody towarzyskie, ofiarując cały dochód na cele dobroczynne. Trzeba jednak postarać się o stadion.

W Tokio są dwa stadiony do palanta. Każdy liczy około pięćdziesięciu tysięcy miejsc. Jeden jest miejski, a drugi należał przed wojną do uniwersytetów, a obecnie zaś służy siłom okupacyjnym. Liczymy więc, że od nich otrzymamy na trzy dni ten stadion. Jeśli nas zwolnią z podatków, to może być niezły dochód. Starania przynoszą pozytywne wyniki. Co prawda nie przewidujemy wielkiego napływu, bo przecież drużyny są amatorskie. W każdym razie przygotowuje się dziesięć tysięcy biletów wstępnych po niższej cenie. W ciągu trzech dni meczów, nasza orkiestra bierze czynny udział, uprzyjemniając chwile kibicom zawodów.

Dochód nie był zbyt wielki, ale za to dzieło nasze stało się znane szerokim kręgom społeczeństwa. Dzienniki sił okupacyjnych rozpięły się obszernie o historii naszej działalności od samego początku. Wiele osób zainteresowało się tą sprawą i przybywa złożyć swoje ofiary. Czego nie otrzymaliśmy z biletów, to wpłynęło do nas poprzez dowolne datki i ofiary.

Inaugurację kaplicy i całego zakładu odłożono ostatecznie na ósмого grudnia w uroczystość M. Bożej Niepokalanej. Na tę okazję mons. Cimatti skomponował melodię do nowego hymnu zakładowego. Słowa napisała nauczycielka O., która tyle nam dopomogła w okresie bardzo trudnym.

Orkiestra otrzymuje zaproszenie na trzy wieczory do największej hali w Tokio z półgodzinnym koncertem przed rozpoczęciem seansu kinematograficznego dla sił zbrojnych. Hala kilkupiętrowa wypełniona po brzegi. Chłopcy są karni i posłuszni dyrygentowi, gotowi na każde jego skinienie. Dla widzów wyglądają na obojętnych, którzy się niczym nie przejmują.

Obsługa japońska denerwuje się i niecierpliwi, gdy muzykanci, usadowieni na wielkiej scenie zabawiają się wesołą rozmową na kilka minut przed

rozpoczęciem koncertu. A oni beztrudnie dyskutują o pięknych kolorowych światłach na wysokich rampach sceny.

Trzydzieści sekund przed otwarciem kurtyny mały znak batutą o pulpit podrywa wszystkich. Milkną i przyjmują skupioną postawę z instrumentami w rękę. Na tablicy świetlnej czerwone numery od dziesięciu zmniejszają się co sekundę. Przy trójce batuta idzie do góry a instrumenty do ust. Gdy wyskoczyła jedynka uderzają fanfary marsza „National Emblem”, ulubionej melodii Yankesów. Sala odpowiada grzotem oklasków, ale tylko na moment. Potem w zupełnej ciszy płyną dźwięki tak dobrze znane, ale przedziwnie czyste, wykonane bezbłędnie przez małe dzieci. Jeden z księży kapelanów przedstawia zakład w kilku słowach, powołując się na artykuły z dzienników. Z kolei płynie wiązanka piosenek Foster’a, dwie uwertury i końcowy marsz „Colonel Bogey”. Obsługa i liczni sympatycy spoglądają z podziwem na młodzieńskich artystów i żegnają nas pełni uznania.

W dzień świętej Cecylii przybywają urzędnicy z Ministerstwa Finansów z inżynierami, by wymierzyć i oszacować posiadłość. Towarzystwo Rolnicze, które do ostatniej chwili stawiało i mnożyło trudności, dzisiaj nie pokazuje się na oczy. Wbito paliki i wymierzono budynek. Zmęczeni urzędnicy zjedli dobrą kolację i wysłuchali koncertu ku czci św. Cecylii. Czujemy, że mamy w nich nowych przyjaciół.

## Inauguracja zakładu i kaplicy

Tymczasem wysyłamy zaproszenia na inaugurację kaplicy i domu. Książę Takamatsu przyjął chętnie zaproszenie, za nim również ważniejsi urzędnicy niektórych ministerstw przyrzekają stawić się na tę uroczystość. Kaplica już ukończona. Gzymsy i okna ozdobne, a z braku szkła kolorowego szyby pomalowano dobrą amerykańską farbą na czerwono, żółto, zielono, błękitno. Okna wyglądają jak katedralne witraże. Zwykły komin fabryczny strzela w niebo w kształcie gotyckiej wieży, nadając zakładowi wygląd sakralny.

Od trzeciego grudnia zawieszają się lekcje a przygotowania idą pełną parą. W niedzielę zaczynamy triduum modlitw. Wśród studentów z wyższych klas zawiązuje się nowe Towarzystwo Niepokalanej. Jest ich niewielu, ale za to najlepsi. W poniedziałek wieją silne wiatry z północy. We wtorek krzyż wieńczy ukończoną wieżę, a robotnicy usuwają rusztowania. Dom cały wymalowany wygląda pięknie, świeżo. Wre praca prawie przez całą noc poprzedzającą święto. Dopiero o drugiej po północy uspokoja się wszystko, a dzieci wracają do sypialni na kilka godzin snu.

Nadszedł wreszcie pamiętny dzień, który wyrzył się złotymi literami w kronice zakładu i w sercach tych, którzy tu żyją. Gościem uroczystości jest brat Cesarza Japonii książę Takamatsu. Ze strony sił okupacyjnych bierze udział prezeska dzieł socjalnych w Tokio Miss Callow. Ze strony władz japońskich wiceminister higieny Kosai, generalny dyrektor działu młodzieży Uczira, przedstawiciele Ministerstwa Skarbu, Ministerstwa Oświaty oraz zastępca burmistrza stolicy wraz z osobistościami zarządu miasta, główny kapelan Fr. Tibesar i O. Jeppert T.J.

Warto tu wspomnieć o bardzo delikatnej sprawie. Pokój między Japonią i Ameryką jeszcze nie został podpisany, więc obecnie najwyższa władza kraju

i stolicy spoczywa w ręku gubernatora MacArthur'a oraz jego rządu okupacyjnego, który dodajmy, odnosi się do kraju i jego mieszkańców bardzo lojalnie. Przy zapraszaniu dostojnych gości podaje się pełną listę dla ustalenia pierwszeństwa. Książę Takamatsu otrzymał zaproszenie osobiste, tymczasem rząd okupacyjny jak też i ministerstwa otrzymują zaproszenie nieosobiste, kierowane jedynie do danego urzędu. Gdyby w imieniu rządu okupacyjnego przybył ktoś z wojskowych, to musiałaby być pierwsza osoba, a książę zająłby drugie miejsce. Aby księcia nie urazić, przybyła kobieta, nie mająca bezpośrednio do czynienia z armią, chociaż występuje faktycznie w imieniu rządu.

Wyskoczyła i druga kwestia: problem flagi i hymnu narodowego japońskiego. Od czasu kapitulacji Japonii nie pojawiła się ani raz publicznie flaga ani nie grano hymnu. Chcieliśmy jakoś wyjść z honorem wobec członka Rodziny Cesarskiej. W urzędach japońskich nawet wyższych nikt nie umie odpowiedzieć na moje pytanie, jak należy postąpić w tym wypadku, więc zwracam się do kompetentnych władz okupacyjnych. Odpowiedź przyszła lakoniczna: my nie zabranialiśmy śpiewania i grania hymnu japońskiego, ani też wystawiania flagi narodowej. Proszę postąpić według własnej oceny. Bez rozgłosu sprawiliśmy nowy sztandar japoński, proporcjonalny do wielkości amerykańskiego, a w programie po hymnie amerykańskim nastąpił japoński.

O szóstej trzydzięci rano odbyło się uroczyste poświęcenie kaplicy przez mons. Cimatti'ego. Mszę św. o siódmej odśpiewał ks. dyrektor. Około dziesiątej rano zaczęli nadjeżdżać zaproszeni goście, zatrzymując się w pokoju przyjęć. O jedenastej udali się wszyscy do salki teatralnej, gdzie na wyznaczonych miejscach oczekuje już orkiestra i młodzież. Pięknie przybrana scena. Na honorowym miejscu figurują dwie flagi narodowe, amerykańska i japońska, bliżej znajdują się ustawione w podkowę fotele dla dostojnych gości, reszta zajmuje miejsca wokół sceny. Cała sala jest gustownie przystrojona zielenią i chorągiewkami krajów całego świata.

Po wstępnym marszu Miss Callow przecina wstęgę i goście udają się na honorowe miejsca z przedstawicielką władz na czele. Orkiestra gra oba hymny narodowe. Na głos hymnu japońskiego dostojni goście pochylili głowy, a łzy lecą po twarzach. Pierwsze słowa podziękowania zwrócił do gości i dobrodziejów ks. inspektor mons. Cimatii, kończąc krótkie przemówienie sonatą napisaną na fortepian na tę okazję. Po nim jeden z chłopców wyraził wdzięczność w imieniu wszystkich kolegów. Z kolei ks. dyrektor złożył sprawozdanie z rozwoju zakładu od jego początku aż do chwili obecnej.

Z gości pierwsza wyraziła życzenia Miss Callow. W tej chwili dano znać o przybyciu Księcia. Po przywitaniu i wzajemnym przedstawieniu się, orkiestra zagrała jeszcze raz hymn japoński. Wszyscy stanęli z uszanowaniem, a Książę wzruszył się serdecznie: od kapitulacji po raz pierwszy ujrzał publicznie flagę z czerwonym słońcem na białym tle i posłyszał hymn wobec przedstawicieli obu narodów. Miss Callow ustąpiła mu honorowego miejsca, zajmując fotel po jego prawej stronie.

Wszystkie przemówienia aż do przedstawiciela naszej dzielnicy wyrażają życzenia i podziw dla tak owocnej realizacji dzieła i dobrego ducha wychowanków. Wiadomo, że w takiej sytuacji płyną słowa pochwały i zachęty. Ostatni przemówił Książę w prostych, ale serdecznych słowach dając do

rozumienia, że przede wszystkim on pragnie podziękować misjonarzom w imieniu Cesarza za to, co robią dla jego ludu.

Podziw gości wzrastał w miarę oglądania zakładu. Młodzież rozsypała się, jakby na zawołanie, znajdując się w komplecie w zwiedzanych kolejno częściach sierocińca: w sypialni, w klasach szkolnych, gdzie nauczyciele improwizowali wykłady, w studium na odrabianiu zadań, w kaplicy na modlitwie, na podwórzu wśród zabawy i sportu. Księżę miał w programie odjechać w południe, ale sam zdecydował, że zostanie na wspólnym obiedzie, o czym zawiadomiliśmy straż honorową, oczekującą przy bramie.

Urzeczony Księżę pozostał jeszcze na koncercie i przedstawieniu. Pierwszy skrócono do pięciu najlepszych numerów, a sztuka pióra ks. Renato przedstawiała w trzech odsłonach życie chłopców na ulicy i stacjach, spotkanie z nami tak, jak realnie się to odbywało, i kilka obrazków z zakładu. Księżę wzrusza się do łez, a z nim także inni goście. Po pierwszej części programu Księżę pożegnał się serdecznie. Chłopcy uczcili go przy wyjściu muzyką i okrzykami. Wraz z nim pożegnaliśmy i inne osobistości japońskie, bo Miss Callow wyjechała, nie zatrzymując się nawet na obiad.

Był to dzień nie tylko ogólnej radości, ale i głębokich wzruszeń. Przekonaliśmy się o tym, składając władzom podziękowanie za łaskawe przybycie. Odczuliśmy wszędzie, że są nam życzliwi bez granic. A oto dowody: spłatę długu za ziemię obniżono i to mocno. Posypały się przyrzeczenia specjalnej pomocy i zapomogi na ten cel. Każde ministerstwo pragnie okazać swoje uznanie i wsparcie. Najbardziej ujęło wszystkich przeprowadzenie całej imprezy prawdziwie po japońsku.

Poczujemy się do szczególnej wdzięczności wobec sił okupacyjnych. Im to bowiem mamy do zawdzięczenia nasze istnienie od początków Narimasu aż do obecnej chwili. Oni pierwsi nas przyjęli, odstąpili miejsca z zabudowaniami, pomagali prywatnie i urzędowo. Stąd w następną niedzielę 12 grudnia w sposób mniej urzędowy, ale za to bardzo serdeczny, przygotowujemy dzień dziękczynienia dla dobrodziejów, przyjaciół i sympatyków. Gościmy generała z najbliższej bazy i około setki oficerów wraz z szeregowcami. Wszystko odbywa się po rodzinnemu i demokratycznie. Księża kapelani wojsk amerykańskich tworzą pomost przyjaźni z resztą gości. Na program składa się ustalone z góry przemówienia, śpiewy i muzyka. Uroczyste błogosławieństwo w kaplicy i przekąska w jadalni zakończyły tę miłą imprezę.

Wieczorem odbyło się pierwsze zebranie nowo zawiązanego Towarzystwa Niepokalanej, którego prezesem został wybrany Takeshi a sekretarzem Mit-suo. Towarzystwo ma swój specyficzny cel, a mianowicie szerzenie czci Niepokalanej i apostołowanie w zakładzie dobrym przykładem.

Nowenna do Bożego Narodzenia w nowej kaplicy ma zupełnie inny charakter. Wszak to dom Boży a nie uboga stajenka z pierwszego okresu. Nadchodzą dary od Ojca Św. i licznych przyjaciół. W wieczór wigilijny zajeżdża siedem ciężarówek i zabiera wszystkich mieszkańców zakładu do pobliskiej bazy na „wieczerzę”, po dary od św. Mikołaja. Towarzyszą temu przyjemne rozrywki. Po powrocie odbywa się chrzest czterech chłopców.

Po świętach otrzymujemy hojną zapomogę od Cesarza wraz z czternastu innymi zakładami w kraju. Ks. Daniel opuszcza nas, by udać się do sierocińca

w Nakatsu. Ja otrzymuję smutną wiadomość o śmierci siostry Józki zakonnicy i przełożonej w klasztorze w Łące koło Rzeszowa. Tak mija rok łaski, rok wysłany różami, z których wystają nieodstępne ciernie.





## Niezwykłe skutki wychowawcze

Nauka religii i możliwość przyjęcia chrztu stanowią silny bodziec w wychowaniu. Kto zwiedza nasz zakład odczuwa natychmiast jakiś nowy, niespotykany w innych placówkach wychowawczych, nastrój szczerości, prostoty, radości i dziecięcej bez troski. Wychowankowie nie wyglądają na nieszczęśliwe sieroty, a tym mniej na dzieci opuszczone. To są dzieci z Salesio Gakuen, mówią wszyscy, inne od tamtych, po różnych zakładach państwowych i prywatnych. Nawet władze to zauważyły i nasz zakład stał się wzorem dla całego kraju, a salezjanie uznani za mistrzów wychowania.

Pewnego dnia zajeżdża czarna limuzyna, z której wysiadają dwie panie z małym chłopcem. Jedna przedstawia się, jako katoliczka i prosi o zwiedzenie zakładu. Z rozmowy wynika, że należą do wysoko postawionej rodziny. Składając hojną ofiarę, zapraszają ks. dyrektora do swojego pałacu, położonego w jednym z prywatnych parków w Tokio na rozmowę z tatusiem chłopca. Chodzi o sprawę delikatną. Chłopiec zaczyna kraść pieniądze i tracić je bezmyślnie z koleżkami. Katoliczka, słysząc o naszym zakładzie, poradziła siostrze, by umieścić syna u nas, bo tu na pewno się uratuje.

Ojciec stawia swoje warunki: chłopiec ma mieć własny pokój, małą styczność z sierotami, wszystkie wygody, jadać z przełożonymi - jak w domu rodzinnym. Nasz dyrektor grzecznie, ale stanowczo podał swoje warunki: zakład przyjmuje tylko sieroty wojny. Jeżeli chłopiec ma być przyjęty, to trzeba wyrobić mu papiery sieroty wojny. Zostanie wówczas przyjęty jak sierota. Nie wolno odwiedzać go w zakładzie; jeżeli tak to tylko w nadzwyczajnych wypadkach i po uprzednim zawiadomieniu. Ubranie i inne rzeczy otrzyma od nas i będzie mieszkać jak inni bez żadnych wyjątków.

Ojciec, po naradzie z rodziną, zgodził się i wkrótce opiekunka przyjechała kolejką z chłopcem, przywożąc dokumenty wydane przez Centralne Biuro Sierot Wojennych. Zabieram nowego wychowanka i polecam mu przebrać się w zakładowe ubranie. Koledzy nie domyślają się nawet, kim jest ten nowy i przyjmują go z całą szczerością do towarzystwa. Chłopiec zdolny i dobrze wychowany wdraża się w krótkim czasie do nauki, sportu i nawet prędko przenosi się ze studium do kaplicy w czasie porannego nabożeństwa. O jakiegokolwiek kradzieży mowy nie ma. Jest bardzo szczery i koleżeński wobec rówieśników.

Co więcej, zabiera się gorliwie do nauki religii. W tym czasie pojawia się ciotka z jego małą siostrzyczką, która chwali się, że w szkole u sióstr zakonnych uczy się katechizmu i wnet poprosi o chrzest św. Braciszek zaskoczony prosi ją, by zaczekała na niego, to razem przyjmą chrzest św. i na tym stanęło. Chłopiec przyznał się ciotce, że brał w domu bez pozwolenia pieniądze. Przeprasza rodziców i prosi równocześnie o pozwolenie przyjęcia chrztu św. Marzy o tym, aby rodzina przybyła na tę uroczystość. Ciocia na te słowa po-

plakała się ze wzruszenia. Wtedy wyznał jej również, że jest bardzo zadowolony z pobytu w zakładzie i pragnie tutaj ukończyć całe dziewięć lat nauk obowiązkowych.

## Wizytacje, oceny i zachwyty

W połowie lutego zapowiada się wizyta dostojnych gości z całego kraju z burmistrzem stolicy na czele. Są to dyrektorzy zakładów dla młodzieży, utrzymywanych przez kolej państwową. Nie zmieniamy rozkładu nauki ani pracy i tylko w czasie obiadu podczas picia herbatki orkiestra zabawia gości muzyką. Goście odjeżdżają zadowoleni, wszystko odbywa się sprawnie, bez krzyków i nawoływań.

Z rozpoczęciem się Wielkiego Postu ćwiczymy codziennie śpiewy z przedstawienia Męki Pańskiej. Wielka to nowość nie tylko dla zakładu, ale dla całej Japonii. Wygląda to na porwanie się z motyka na słońce, bo sprawa nabiera rozgłosu. W bieżącym roku 1949 przypada czterechsetna rocznica przybycie św. Franciszka Ksawerego do Japonii, pierwszego misjonarza Chrystusowego. Odbędą się wielkie uroczystości z udziałem licznych pielgrzymek z Europy i Ameryki.

W wiosennym okresie często witamy znaczniejszych gości: sędziów małych, radców finansowych, dyrektorów szkół, nie mówiąc już o dyrektorach zakładów dla dzieci, ponieważ ci mają już w stałym programie taką wizytę. Ostatnio zgłosili się znowu urzędnicy w podeszłym wieku. W czasie tych wizyt prowadzimy programowe zajęcia dnia. Nasi goście często powtarzają, że już wiele słyszeli o Salesio Gakuen, ale rzeczywistość przewyższa wszystko, bo teraz sami się przekonują, że chłopcy są naprawdę szczęśliwi i zadowoleni.

Pewnego razu grupa zwiedzających przyszła do szóstej klasy podstawowej, gdzie uczyłem języka japońskiego rzymskimi literami. Lekcje prowadzę dwa razy w tygodniu. W domu obowiązuje przepisywanie kaligraficzne każdej strony i przeczytanie jej przynajmniej sześć razy. Oznacza to opanowanie tekstu na pamięć. Jeden z panów prosi, by któryś z uczniów przeczytał lekcję. Wywołuje pierwszego z brzegu, odpowiada świetnie. Ale to ich nie zadowala. Ktoś z nich wskazuje na jednego z mniejszych, który jest wyjątkowo gorliwy w tym względzie. Malec odśpiewał im lekcje bezbłędnie. Kilku z gości, choć ma wyższe wykształcenie, nie potrafiłoby czegoś podobnego. Są głęboko wzruszeni pietyzmem, jaki okazujemy wobec ich języka ojczystego.

Od czasu do czasu zgłaszają się grupy akademików z różnych uniwersytetów stolicy, oferując teatr lalek, śpiewy i sport. Liczba wychowanków powoli, ale stale wzrasta. Na św. Józefa przybyło naraz pięciu. Postępuje szybko budowa trzeciego piętra nad główną sypialnią o bardzo wysokim suficie. Będzie mogła pomieścić czterdzieści łóżek. Wtedy liczba miejsc wzrośnie do stu osiemdziesięciu. Wizyty dziennikarzy japońskich i amerykańskich nie mają końca.

## Przedstawienie Męki Pańskiej

Niedziela Pasyjna (Czarna) przynosi nam długo oczekiwane i przygotowane przedstawienie Męki Pańskiej. Tekst przetłumaczyłem z języka polskiego. Zezwolenie na tłumaczenie i wystawienie tej sztuki otrzymałem od samego ks. Antoniego Chlondowskiego, autora muzyki.

Począwszy od stycznia, wykorzystujemy nawet przerwy między lekcjami, a śpiewacy po krótkim nawiedzeniu w kaplicy są już przy fortepianie, gdzie rozpoczynamy od trzeciego głosu, niezbyt melodyjnego i trudnego do zapamiętania. Chłopcy muszą śpiewać z pamięci. Grupy śpiewają bezbłędnie. W jedną z niedziel na wieczornym studium wywołuję wszystkich śpiewaków na próbę generalną. Chłopcom otwierają się oczy z podziwu. Przeprowadziłem kilka prób z orkiestrą. Składają się na nie cztery skrzypce, kilkanaście instrumentów dętych i duże harmonium z pedałami, za którym zasiada mons. Cimatti. Kostiumy wypożyczam z Pierwszego Teatru Tokio. Ubiory żydowskie zdają się jakby pachnące jeszcze mianą i świątynią Salomona.

W Niedzielę Pasyjną odbywa się wielka próba generalna w kompletnych strojach. Sala wypełniona po brzegi, przybyli przedstawiciele wszystkich domów naszych w Tokio. Główne role grają nauczyciele i starsi chłopcy. Judasza gra nauczyciel i to tak doskonale, że zwraca na siebie uwagę wszystkich. Całość robi wrażenie niezwykle. Nikt nie spodziewał się takiego sukcesu.

Niedziela Palmowa pozostanie długo w pamięci. Po południu odegraliśmy Misterium Pasyjne. Goście i wychowankowie przeżyli je bardzo głęboko. Przybyli dziennikarze pism katolickich i wojskowych. Dzienniki rozpięły się szeroko o naszej sztuce, podając zdjęcia z poszczególnych scen. Siostry zapraszają nas do Akabane ma Wielki Piątek w godzinach popołudniowych, abyśmy dali przedstawienie dla całej szkoły z rodzicami. Więcej niżeli tysiąc osób wypełniło obszerny salon. Mali artyści przewyższali siebie samych.

Na Wielkanoc sześciu chłopców przyjmuje chrzest św., a między nimi jest i synalek z bogatej rodziny. Jego siostrzyczka została również ochrzczona, ale w kaplicy szkolnej sióstr, gdzie byli obecni rodzice. Do chłopca przyjechała tylko ciocia. Oprócz chłopców przyjęła chrzest jedna nauczycielka, którą przygotowałem w ciągu roku. Czytając Pismo Św. po angielsku, postanowiła poznać bliżej wiarę katolicką. Nie znajdując innej sposobności, zgłosiła się do nas. Mimo, że byłem bardzo zajęty pracą w domu, chętnie udzielałem jej lekcji religii, które dzisiaj wydały swe owoce. Bóg zadziałał cudownie, bo postanowiła wstąpić do klasztoru, co też w krótkim czasie nastąpiło.

Na święto chłopców, piątego maja, przyszło zaproszenie na obiad od Księcia Takamatsu dla dziesięciu chłopców. Udała się tam mała orkiestra harmonijek ustnych, ostatnio pięknie rozwijająca się pod opieką jednego z nauczycieli. Zasiadli więc do książęcego stołu, a po obiedzie zabawili Księstwo muzyką nowego rodzaju. Prasa japońska zamieściła o tym obszernie artykuły z fotografiami: „Sieroty z zakładu salezjańskiego na obiedzie u Księcia”.

Pod koniec maja rozpoczynają się uroczystości ku czci św. Franciszka Ksawerego. Przybyło wiele pielgrzymek z zagranicy, a z Hiszpanii cały okręt pątniczy z wiernymi i ich pasterzami. Z Australii jako Legat Ojca Św. przyjeżdża arcybiskup Sydney Kardynał Gilroy. Roznosi się wieść o relikwii św. Fran-

ciszka, przy której będą się skupiać uroczystości: prawa dłoń z palcami oprawiona w srebrnym puzdrze z kryształowym wieczkiem będzie towarzyszyć pielgrzymce wyruszającej z Kagoshima przez ważniejsze miasta kraju aż do Hokkaido: z jednego krańca Japonii na drugi. Cała Japonia ma wziąć udział w tej imprezie. Uroczystości rozpoczęły się w Nagasaki w ostatnią niedzielę maja, a zakończą się w Tokio dwunastego czerwca, w których i my weźmiemy udział.



## Wyjście z Katakumb

Staliśmy się świadkami wielkich wydarzeń w całej historii japońsko-chrześcijańskiej. Św. Franciszek Ksawery naprawdę powrócił - pisze jeden z dziennikarzy. „Idea powrotu” po 400 latach rzeczywiście uwarżliwiła umysły i serca mówców, dziennikarzy i ludu. Pierwotny program uroczystości obejmował tylko pielgrzymkę do miejsc uświęconych stopami pierwszego misjonarza - z Kagoszimy do Kyoto. Później dopiero zrodziła się myśl sprowadzenia z Rzymu znamienitej relikwii, by w ten sposób wielki apostoł Japonii stał się rzeczywiście obecny.

Organizatorzy byli zakłopotani i obawiali się wielkiego zawodu, bo z jednej strony chodzi tu o manifestację katolicką w skali krajowej, tymczasem liczba wiernych w całej Japonii nie przekracza stu trzydziestu tysięcy. Jeszcze cztery czy pięć lat wstecz taka impreza mogła być tylko utopią. Teraz zdecydowano się zaprosić do udziału w tej uroczystości cały kraj, chrześcijan i niechrześcijan, licząc na wielkie masy. Czy jednak niekatolicy staną do współpracy? Po zakończeniu imprezy można śmiało stwierdzić, że sukces był wielki, wprost nadzwyczajny.

Dosłownie miliony Japończyków wyszły naprzeciw świętemu Franciszkowi, by go powitać, towarzyszyć mu i uczyć go. Na trasach przejazdowych pielgrzymki stały tłumy pełne uszanowania, w skupieniu, karne, z zainteresowaniem i sympatią, śledząc przebieg uroczystości. Pragnienie zobaczenia cudownie zachowanej dłoni przyciągało nieograniczone masy ludu. Trzeba dodać, że chociaż św. Franciszek miał Indie, jako bazę swych wypadów misjonarskich, to Japończycy mimo wszystko uważają go za „swojego”. „To nasz Święty”, głoszą katolicy. Dla niekatolików św. Franciszek stał się bohaterem narodowym, należącym do historii japońskiej, pierwszym, który zetknął Japonię z chrześcijańską kulturą Zachodu. Tak przedstawiają św. Franciszka wszystkie podręczniki szkolne. Istnieją nawet zbory protestanckie pod imieniem św. Franciszka Ksawerego np. w Szimonoseki nad cieśniną dzielącą Kyushu od Honshu.

W Sendai podczas uroczystości bonzowie wysłali swoich harcerzy do pomocy w utrzymaniu porządku. Tak samo zgłosiły się urzędowo delegacje protestanckie celem uczczenia relikwii, w Kyoto buddyjska delegacja powitała Legata Papieskiego. Świątynie buddyjskie, mające w posiadaniu pamiątki po chrześcijanach, chętnie wystawiały je na publiczny widok. Pomniki ku czci św. Franciszka znajdują się na stałe w parkach miejskich w Nagasaki, Sakai, Yamaguchi i w innych miejscowościach. Gdziekolwiek było to tylko możliwe, cała Japonia wyszła naprzeciw „swojemu bohaterowi”, „swojemu Świętemu”.

Jak już wyżej wspomniałem, program składał się z dwóch części. Pierwsza to „urzędowa” pielgrzymka, mająca trwać piętnaście dni. Druga mniej

oficjalna, to wędrówka relikwii po większych zbiorowiskach wiernych. O ile pielgrzymkę można nazwać triumfem zewnętrznym, do którego przyczyniły się masy Japończyków, to ta druga wędrówka miała duchowy charakter, jakby prywatnej podróży Świętego w atmosferze religijnej pobożności.

W Japonii udają się wszelkie imprezy, ale trzeba je szczegółowo przygotować. Sprawdziło się to i tym razem. To też w akcji przygotowania opinii publicznej aktywny udział wzięły wszystkie dzienniki, pisma i radio. Ogłoszono konkurs felietonów, poezji, kompozycji literackich i dramatycznych na temat św. Franciszka, męczenników japońskich i osobistości chrześcijańskich, znanych z historii kraju. Rozlepiono plakaty nawet po najdalszych wioskach. Pielgrzymka więc wszędzie była oczekiwana, a w czasie samych uroczystości wszystkie klasy społeczne współpracowały ze sobą.

Wyżsi urzędnicy jak wojewodowie, starostowie i burmistrzowie starali się witać gości osobiście. Obsługa kolejowa, bardzo grzeczna, zapewniała wszelkie ułatwienia tak w podróży jak również na stacjach, gdzie się pociąg zatrzymywał, by ceremonie religijne mogły odbyć się z całym spokojem i wygodą. Dziennikarze wielkich pism i gazet towarzyszyli stale pielgrzymce, a radio ogłaszało na cały kraj wiadomości o przebytej drodze, podając też program na najbliższe godziny. Nagrywano wszystkie ceremonie i przemówienia, by je odtworzyć na wieczornych sprawozdaniach i w dziennikach radiowych. Wszędzie pełno operatorów filmowych i reporterów z aparatami.

Wielkie Towarzystwa Teatralne z Takarazuka i Kyoto przygotowały specjalne programy o św. Franciszku, o męczennikach, o Gracji Hosokawa i Takayama Ukon. Większe miasta urządzały wystawy, mające związek z uroczystością. Było ich kilka w Tokio: np. „Sztuka chrześcijańska w Japonii od kolebki do dzisiaj”, albo „Historyczne i bibliograficzne dokumenty o św. Franciszku Ksawerym”, jak również „Relikwie po chrześcijanach” itp. W mieście Nagoya wystawiono całą serię pięknie wykonanych figurek o tematyce z życia św. Franciszka tak, że trudno byłoby wybrać najpiękniejsze.

Na specjalną uwagę zasługuje wystawa z Oita, miasta na Kyushu należącego do misji salezjańskich. Tutaj zebrano obrazy i wizerunki święte tzw. „Fumi-e”, wykute z brązu lub karmienia, którymi się posługiwano w czasie prześladowań chrześcijan. Tam, gdzie spodziewano się ukrytych wyznawców Chrystusa, corocznie mieszkańcy dzielnicy musieli deptać krzyż, albo święte obrazy. Kto odmawiał tego świętokradztwa, natychmiast szedł na męki lub śmierć. Na wystawie znalazły się oryginalne deski, na których wówczas wypisywano urzędowy zakaz przynależenia do chrześcijaństwa. Są też wykazy nazwisk chrześcijan z urzędowymi podpisami, edykty aresztowania i wyroki skazujące na męczeństwo lub śmierć. Jest wielki zbiór różnego rodzaju tajnych dewocjonaliów, często bardzo oryginalnych, jak np. statua Maryi Kannon. Kannon jest to buddyjska bogini miłosierdzia z dzieciątkiem na ręku. Bystry obserwator szybko spostrzeże, że wiązanie pereł naszyjnika ma kształt krzyża. W ten sposób wierni w czasie prześladowań ukrywali swą miłość do Matki Bożej. Można widzieć również artystycznie wykonane szkatułki, mające na wieczku rysunki pogańskie, ale za drugą przegródką krzyżyk, lusterka, grzebyki, szpilki do włosów zdobione emblematami chrześcijańskimi. Są też

zeszyty, książki i obrazy należące do seminarium i szpitala, wybudowanego przez oo. jezuitów.

Według pierwszego zamierzenia, pielgrzymka powinna przejść wszystkie miejscowości, odwiedzane przez św. Franciszka, poczynając od Kagoszimy, gdzie Święty wylądował, poprzez Hirado, Fukuoka, Yamaguchi, Oita do Kyoto. Na otwarcie wybrano jednak Nagasaki, w którym obecnie mieszka połowa wiernych z całej Japonii. Tak więc pielgrzymi zebrali się najpierw 26 maja w Tokio: J.E. Kardynał Gilroy Arcybiskup z Sydney i Legat Papieski, sufragan Nowego Yorku mons. Mc Donnell, mons. Ortiz de Tuy, delegacje z Australii, Ameryki, Hiszpanii oraz około setki przedstawicieli różnych krajów: Anglia, Irlandia, Francja, Włochy, Niemcy, India. Pociąg specjalny „The Xavier Limited” opuścił Tokio dnia 27 maja.

Chociaż program nie przewidywał żadnych powitań aż do Nagasaki, katolicy jednak, dowiedziawszy się o przyjeździe relikwii, zbierali się na stacjach, by przywitać kardynała i pielgrzymów w nadziei oglądania relikwii Świętego. Tę miano pokazywać dopiero od Nagasaki, ale ludzie tak nalegali, że sam kardynał uległ ich prośbom w tych miejscach, gdzie nie było przewidziane zatrzymywanie się. Powitania wyglądały przeuroczo. Dziewczęta w kimonach o kolorach tęczy ze zwisającymi rękawami i szeroką opaską, podobne do motyli, ofiarowały kwiaty kardynałowi i biskupom, a czasem i wszystkim państwowym. Czyniły to z jakąś gracją i serdecznością. Kardynał, uśmiechając się, mówił: „Odbierając kwiaty, obawiam się, by nie uszkodzić skrzydeł motylkom, które mi je prezentują”. Potem relikwia przechodziła powoli przed wszystkimi.

Przez dwa miesiące powtarzała się codziennie ta sama scena i za każdym razem wzruszenie chwyciło mnie za gardło - mówi naoczny świadek. Poganie usuwali się, dając pierwszeństwo katolikom. W skupieniu, pełnym czci, pochylały się odkryte głowy. A cóż mówić o katolikach. Wszyscy witali Świętego na kolanach, z oczyma pełnymi łez, zwróconymi w stronę relikwii! Oczy ich wyrażały radość, wdzięczność, prośbę, jakiś nadzwyczajny porыв entuzjazmu.

W chwili odjazdu pociągu wszyscy prosili o błogosławieństwo, rzucali przez okna kwiaty do wewnątrz, a matki podnosiły swe skarby i czyniły im znak krzyża, dziękując w ten sposób za błogosławieństwo albo za dotknięcie główki. Naoczny świadek ze swity kardynała pisał: Dnia 28 maja byliśmy w Nagasaki. Miasto przyjęło relikwie i Legata Apostolskiego w sposób naprawdę królewski. Stacja kolejowa przystrojona w różnobarwne kwiaty, girlandy i chorągwie. Potężny chór śpiewał: „Niech żyje Papież, niech żyje jego Legat!” Szpaler dzieci i młodzieży w strojach narodowych i z kwiatami w ręku, jakby odziany tysiącami barw, ciągnął się do wysokiej trybuny naprzeciw stacji. Każdy z pielgrzymów oprócz kwiatów otrzymał białą różę do przypięcia u boku. Tłumy zdyscyplinowane okazują niezwykłe wzruszenie. Kardynał wchodzi na podium. Tu witają go gubernator z burmistrzem i innymi osobistościami. Miasto zupełnie nowe, powstające z gruzów, jest podobnie przybrane jak stacja, odświeżone, pełne chorągiewek, lampionów, kwiatów, a wieczorną porą wygląda jak z bajki.

Następnego dnia jest niedziela. Uroczystą mszę św. odprawia się w parafii Urakami na ołtarzu zbudowanym z gruzów kościoła, w obecności dziesięciu tysięcy katolików. Na pagórkach obok rozłożyło się około czterdzieści tysięcy pogan. Po południu odbywa się procesja z relikwią od katedry do pagórka Tateyama, zroszonego krwią dwudziestu sześciu męczenników. Trasa wynosi cztery kilometry. Trzydzieści tysięcy wzięło udział w procesji, a dwieście tysięcy po osiem rzędów obstawiło po każdej stronie przejście. Wszyscy trwali w bezruchu mimo dość dokuczliwego deszczu. Po błogosławieństwie poświęcono pamiątkowy pomnik ku czci męczenników, a goście posadzili drzewka.

Przy odjeździe w stronę Kagosimy cała stacja faluje ludźmi po brzegi. Pozdrowienia, ukłony, uściski rąk, fotografie, podpisy. Gdy pociąg ruszył, entuzjazm doszedł do szczytu. Tłumy ludzi otaczały tor kolejowy daleko poza stacją. Najbardziej wzruszający widok na trasie przedstawiają grupki wiernych, które nie mogły przybyć do Nagasaki. Teraz stoją albo klęczą przed ozdobionymi domami, prosząc o błogosławieństwo kardynała. Podobnie wyglądają wszystkie powitania na przystankach pielgrzymki w Kagoshima, Oita, Fukuoka, Yamaguchi, Hiroszima, Kyoto, Osaka, Kobe, Nagoya, Yokohama i Tokio.

Każde miasto posiada swój własny i oryginalny program powitań, uwzględniający miejscowe zwyczaje historyczne i możliwości artystyczne. Ceremonia odbywa się zwykle w jednym z pięknych parków, zdobiących każde miasto japońskie. Urzędowa pielgrzymka zakończyła się w Tokio. Wszędzie spotykamy tę samą gorliwość, wzruszającą gościnność, radość, wdzięczność i zawsze wielką dla nas uprzejmość.

Nie mogę pominąć kilku epizodów, które zapadły mi głęboko w sercu i pamięci. W drodze z Kagoshima do Oita o pierwszej w nocy przybywamy do Miyazaki, gdzie pracują misjonarze salezjanie. Osiemset wiernych z misjonarzami oczekuje nas na stacji. Rozlega się potężny śpiew hymnu papieskiego. Relikwia przesuwa się wśród klęczących i modlących się głośno. Miłością i wiarą witają swojego św. Franciszka! O czwartej rano znowu inny przystanek poza programem. Grupa wiernych, żyjąca z dala od centrów, prosi tylko o wskazanie wagonu, w którym znajduje się relikwia i kardynał. Klękają wszyscy przed wagonem i pozostają tak aż do odjazdu pociągu. W Oita i Beppu poświęca się kamienie węgielne pod nowe świątynie z twardego materiału, co w Japonii oznacza żelbeton z racji częstych trzęsień ziemi.

Nie zapomnę nigdy starego misjonarza z Szindenbaru. Wsiadł do pociągu w Beppu i przechodzi wszystkie wagony w poszukiwaniu, z kim mógłby porozumieć się po francusku. — Mówicie po francusku? — To dobrze, musicie mi pomóc! Wszyscy moi wierni w liczbie tysiąc dwieście osób oczekują na stacji Sindenbaru. Jestem ich misjonarzem już od czterdziestu trzech lat. Moi wierni to poczciwi rolnicy i przybyli z daleka, mimo naglącej pracy w polu. Trzeba koniecznie tak zrobić, by mogli obejrzeć relikwię i kardynała też... O ile chodzi o relikwie, to ja się postaram, odpowiadam, ale z kardynałem będzie trudniej, bo jest zmęczony i wypoczywa. Ale stary misjonarz nie daje za wygraną... — To przecież jedyna okazja w życiu dla moich wiernych, aby zobaczyć kardynała, tym bardziej, że to jest przecież Legat Papieski!... Proszę to jakoś łaskawie załatwić!



Niespodzianka! Na kilka minut przed zatrzymaniem się pociągu w Szindenbaru zauważyłem, że kardynał wyszedł z pokoiku. Korzystam z tego natychmiast i przedstawia prośbę. On uśmiechnął się życzliwie: ten dobry luddek zdobył się na tyle poświęceń dla Boga, to czyż ja mógłbym odmówić im tej radości. A stacja mała, prawie przystanek jak na wiosce, wypełniona jednak ludźmi bardzo szczelnie. Misjonarz wysiadł pierwszy, a potem zszedł kardynał i posuwa się między ludem klęczącym przed relikwią z wielką pobożnością. Kardynał podawał pierścień do pocałowania i błogosławił każdego. W chwili odejścia pociągu stary misjonarz krzyknął ku mnie: — „Proszę powiedzieć kardynałowi, że przeżyłem największe szczęście w całym moim życiu. Proszę mu powiedzieć, że jestem bardzo zadowolony!” Sam kardynał usłyszał te słowa i zrozumiał je. Wychylił się przez okno, a trzymając przez chwilę misjonarza za rękę, odpowiedział mu po francusku: — „Ja również jestem zadowolony tak jak wy”.

Osaka przygotowała niezwykle uroczyste przyjęcie. Przy pięknej pogodzie pięćdziesiąt tysięcy ludzi wypełniło trybuny stadionu Niszinomiya, gdzie została odprawiona msza św. pontyfikalna. Cały stadion mienił się tęczą kolorów, którą tworzyły kwiaty, barwy strojów narodowych, ozdób i parasolek. Chór, złożony z trzystu śpiewaków zawodowych przy akompaniamencie orkiestry, liczącej stu dwudziestu pięciu muzyków, wykonał „Missa sollemnis” Bethowena. Po nabożeństwie podszedł do mikrofonu brat Cesarza Książę Takamatsu i wobec dostojnych gości przemówił w te słowa: „W historii wszystkich narodów zdarzały się wielkie błędy w pracy nad rozwojem życia narodowego. Były epoki niezdolne do zrozumienia nowych idei. Może taki był właśnie czas, w którym św. Franciszek Ksawery znalazł się pierwszy raz między nami. Wiara jednak, którą zaszczepił w Japonii, nie umarła, żyje dotąd i będzie żyć zawsze. Przykład ofiary, złożonej przez pierwszych męczenników japońskich, wskazuje dzisiejszemu pokoleniu prawdziwe wartości i budzi wielkie nadzieje na przyszłość. Dzisiaj wyrażam życzenie, aby posłannictwo tej nieśmiertelnej religii, którą on głosił, wywołało szerokie echo w naszym kraju. Pragniemy stworzyć nową erę według wskazań św. Franciszka Ksawerego”.

W Osaka poświęcono kamień węgielny pod salezjańską szkołę techniczną, w Hiroszynie manifestacja odbywa się obok „Wieży Pokoju”, wzniesionej na miejscu wybuchu bomby atomowej. W Yamaguchi, gdzie św. Franciszek odniósł największy sukces, kardynał Gilroy, Legat Papieski, dokonał odsłonięcia pomnika św. Franciszka. Wieczorem, w parku należącym swego czasu do najbardziej zaciętych prześladowców chrześcijan (miasto ofiarowało go teraz misji katolickiej) wobec kilku tysięcy obecnych poświęcono i umieszczono kamień węgielny, przywieziony przez hiszpańską pielgrzymkę z zamku należącego do rodziny Ksawerych. Na nim stanie „świątynia pokoju”, upamiętniająca atomową zagładę miasta.

W Tokio uroczystości odbyły się na wielkim stadionie Mejdzi z równie licznym udziałem wiernych i pogan jak w Osaka. Z zakładu byliśmy obecni wszyscy. Chłopcy pierwszy raz w życiu wzięli udział w tak wielkiej imprezie religijnej, co wpłynęło na nich bardzo dodatnio.

Druga część obchodów pozostawiła nie mniejsze wrażenia. Diecezja Sapporo, położona na ostatnich krańcach północnej Japonii, może liczyć około

pięć tysięcy wiernych. Na uroczyste nabożeństwo zebrało się ze wszystkich zakątków wyspy Hokkaido prawie cztery i pół tysiąca. Większość z nich spędziła w pociągu około szesnastu godzin. Przyjęcie w Niigata na zachodnich brzegach kraju przypominało trochę Nagasaki. Na trasie ze stacji do kościoła więcej niżeli pięćdziesiąt tysięcy obecnych chyliło głowy w stronę przechodzącej relikwii, w innych miastach: Morioka, Yamagata, Kanazawa, Aomori, przeciętnie dwadzieścia osób na minutę przechodziło, by uczcić relikwię.

Na wszystkich stacjach zapowiadano przez głośniki zbliżanie i odjazd pociągu z relikwiami św. Franciszka. Przeprowadzenie statkiem z Hakodate do Aomori miała w sobie coś cudownego. Kilka tysięcy wiernych czekało na nas w porcie. Przy odbiciu od brzegu na widok podniesionej relikwii wszyscy zamilkli i trwali w skupieniu, raniąc łzy ze wzruszenia. Wybuchły okrzyki: Niech żyje św. Franciszek! Już powraca, powraca... Dziękujemy! Cały port zaczął się kołysać, powiewać chorągiewkami, chusteczkami, białymi nakryciami głowy, jakich używają kobiety w kościele. Kapitan okrętu, choć poganin, prosi, by przenieść relikwię do salonu pierwszej klasy i tam ją wystawić do publicznej czci. Jednocześnie ktoś z obecnych tłumaczy pasażerom jej historię i znaczenie. Opowiadanie trwało więcej niż godzinę, a pasażerowie wysłuchali na stojąco.

W tym czasie panowała akurat pora deszczowa. Nasza podróż odbywała się często wśród ulewy. Na małej stacji Kisakata, gdzie pociąg zatrzymuje się tylko jedną minutę, jakaś pani zapukała do okna wagonu: — Jesteśmy protestantami, ale my również pragniemy uczcić relikwię Świętego. Za nią zbliżyło się około sto osób z chorągiewkami, kwiatami, defilując przed wystawioną w oknie relikwią i kłaniając się do pasa. Przy odjeździe ta pani zapłakana woła: Dziękujemy, dziękujemy... Cała grupka zaintonowała pieśń do św. Franciszka.

Podobna scena na małej stacji Nonai. Tu wbrew rozkładowi pociąg się zatrzymał, a jakaś pani puka i woła: — Księżo, jestem jedyną katoliczką w okolicy, pracuję jako dyrektorka szkoły i nie mogłam przybyć do Aomori na uroczystość. Mój brat jest zawiadowcą tej stacji, a choć poganin, jest dla mnie bardzo... dobry i on właśnie to sprawił, że pociąg zatrzyma się pięć minut, bym mogła uczcić Świętego. Wchodzi do wagonu i klęka przed relikwią, zdając się chłonąć całą sobą tę świętość. Nie zapomnę tego jej przejęcia, pełnego skupienia. Przy wyjściu szepce do siebie: — Teraz jestem spokojna... widziałam go!

Na trasie z Kanazawa do Tokio drzemimy wszyscy, jest pierwsza po północy. Wśród deszczu ktoś puka do okna pociągu. Cała rodzina, ojciec z trzema synami i matka z dzieckiem na ręku: — Ojcze, jesteśmy katolicy, ale bardzo biedni. Nie mogliśmy pozwolić sobie na podróż do Kanazawa, więc tej nocy przybyliśmy na stację. Tylko dla nich wystawiamy relikwię, a oni modlą się, pocierają o kryształ szkatułki medaliki, różańce. Scena niezapomniana.

W Osaka były minister oświaty Tanaka Kotaro dzisiaj przedstawiciel urzędu katolików japońskich, zawołał mnie na ubocze i powiedział: — Oh, gdyby ksiądz wiedział jak jestem szczęśliwy! My, wszyscy katolicy japońscy, jesteśmy szczęśliwi. Wiemy, że te tłumy, które widzieliśmy, nie nawrócą się tak łatwo. Ale dzisiaj Kościół Katolicki w Japonii wychodzi z Katakumb. Po

raz pierwszy religia katolicka w Japonii została uznana jako fakt społeczny, fakt publiczny i nieodparty. Dziękujemy razem Bogu!". A dziennik „The Japan Times” z 29 maja napisał: „Teraz, gdy Japonia stara się odrodzić, jako pożyteczny i pokojowy członek światowego społeczeństwa, potrzebuje posłannictwa, które św. Franciszek Ksawery wprowadził do tego kraju 400 lat temu”.

## **Błogosławione owoce**

Obchody te miały swoje daleko idące następstwa. Delegat Apostolski na Japonię mons. Marella, który przebywał w Japonii cały czas wojny, począwszy od „konfliktu” z Chinami, przed udaniem się do Australii został zaproszony do pałacu cesarskiego wraz z kilkoma wybranymi osobistościami, między którymi był również pierwszy minister Yoszida. Przy tej okazji sam Cesarz złożył Delegatowi podziękowanie za to, co katolicy uczynili dla złagodzenia cierpień jego ludu. Prosił, by tę jego wdzięczność przekazać Ojcu Św. Interesował się i pytał w jaki sposób św. Franciszek przysłużył się Japonii. Przyrzekł osobiście poprzeć uroczystości czterechsetlecia, by wypadły jak najlepiej.

Do dziś dnia jest pewne, że Cesarz Japonii nawet wobec obecnego systemu demokratycznego, który mu pozostawia skromny margines władzy, cieszy się wielkim wzięciem i sympatią obywateli. Jego przykład i zachęta działają tak, że władze i urzędnicy darzą Kościół wolnością kultu i rozwoju, zwracając uwagę na tę religię chrześcijańską, która jest szanowana przez ojca całej rodziny japońskiej. Przemówienia ministra Yoszidy, którego żona jest katoliczką, a córka zakonnicą, są pełne uszanowania i względów dla Kościoła. Rzadko się zdarza, by władze wojewódzkie lub powiatowe nie wzięły udziału w inauguracjach lub specjalnych uroczystościach, obchodzonych przez misje, szkoły lub zakłady katolickie.

W przeddzień uroczystości jubileuszowych wojewoda z Yamaguchi tak pisał do Stolicy Apostolskiej: „Tak, jak cztery wieki temu św. Franciszek Ksawery stał się pierwszym łącznikiem Japonii z Europą, tak dzisiaj wobec duchowej odnowy tej transformacji demokratycznej, której mamy dokonać, pragniemy wskrzesić również nieśmiertelnego ducha św. Franciszka. Aby uczestniczyć w jego autentycznych cnotach i modlitwach, zdecydowaliśmy się obchodzić tę rocznicę z możliwie jak największą okazałością”. „Oczekujemy również od wielkiego bogactwa duchowego chrystianizmu jeszcze skuteczniejszej współpracy w rozszerzaniu nauki i miłości Chrystusowej, zwłaszcza przez wysłanie do nas wychowawców dla naszej młodzieży i siostr zakonnych dla naszych dzieł społecznych, które by odnowiły wśród ludu ducha św. Franciszka Ksawerego”.

Około sto kilometrów w linii prostej na południe od Osaka na wyżynie nadmorskiej, gdzie wysoka latarnia morska, zaopatrzona w najnowsze urządzenia, daje sygnały okrętom, rozłożyło się miasteczko Midzu, liczące dzie więć tysięcy mieszkańców. Zarząd miasteczka, ofiarując misji 55 hektarów ziemi na zbudowanie kościoła i przyległych mu dzieł społecznych, wystosował do biskupa taką prośbę:

*„Nasze miasto pragnie dać początek ruchowi, który według naszego przekonania stworzy naprawdę lepszy świat. Między nami nie ma jeszcze katoli-*

*ków, ale doszliśmy do mocnego przeświadczenia, że tylko Kościół Katolicki posiada rozwiązanie odnośnie do pokoju społecznego i szczęścia. Niektórzy z nas zaobserwowali jeszcze w Chinach poświęcenie waszych misjonarzy dla starców, sierot i ubogich. My, burmistrz z radą miasta, postanowiliśmy jednomyślnie poprosić was o współpracę, aby z naszego miasteczka utworzyć ośrodek katolicki, z którego będzie promieniować prawda i szczęście na całą okolicę. My nie wiemy, w jaki sposób można wprowadzić w czyn to postanowienie, ale rozumiemy dobrze, że go posiadamy i pragniemy, trwając mocno w naszym postanowieniu, prawie zmusić was do przyjęcia naszego zaproszenia. Nie uważamy waszej odmowy za możliwą, dlatego prosimy o przystanie nam siostr do nauczania naszych dzieci. My nie pragniemy szkoły, gdzie naucza się tylko ludzkiej mądrości, ale chcemy wychowania w atmosferze miłości i uszanowania bliźniego. Może jesteśmy pierwszym miastem w Japonii, które w ten sposób zwraca się do Kościoła Katolickiego i poczytujemy to sobie za honor postępując w ten sposób, wierzymy, że stanie się tak, iż nasze miasteczko będzie nie tylko wysyłać sygnały dla okrętów, ale stanie się również centrum okazywania podróżnym właściwych dróg życia”.*

Pragnę tu wspomnieć o wypadku zupełnie niecodziennym. Rzecz dzieje się w jednej wiosce niedaleko od Kyoto Saga (nie mylić z miastem Saga na wyspie Kyushu), gdzie na trzy tysiące mieszkańców było pięciu protestantów, trzech komunistów, katolika zaś ani jednego. Pewien rolnik Sakuzi Takaszi, przedtem wójt, wysłuchał przypadkowo w Kyoto przemówienia biskupa Furuya, zwróconego do nauczycieli. Zaniepokojony niebezpieczeństwem obecnej chwili, doszedł do przekonania, że nie buddyzm, ale tylko wiara chrześcijańska może zachować kraj od fałszywych kroków. Powróciwszy do Saga, udało mu się przekonać grupę starszych wraz z bonzą i własną żoną, która należy do piątki protestantów. Chociaż dotąd nie mieli pojęcia o Chrystusie, mimo to zdecydowali się na przyjęcie katolicyzmu.

Pan Takaszi został wydelegowany przez miejscową ludność do biskupa w Osaka z zawiadomieniem, że cała wioska w komplecie postanowiła przejść na katolicyzm. Ks. biskup Taguczi wyznaczył młodego księdza Japończyka, który zaopatrzony w książki i katechizmy, udał się do Saga z kilku ochotnikami z parafii i rozpoczął naukę na szeroką skalę. Trzynastego marca tego roku udał się tam również sam biskup z całą świętą misyjną: a więc z misjonarzem, organistą, dwoma pomocnikami i sześciu chórzystami. Na ostatniej stacyjce mimo deszczu oczekiwało ich kilku dziennikarzy z trzech największych dzienników Mainici Asahi i Yomiuri. W drodze spotkali mieszkańców pod parasolami z ozdobnymi lampionami.

Wśród ukłonów weszli do domu pana Takaszi i tutaj nastąpiło urzędowe przywitanie biskupa w stylu japońskim z czołem do ziemi, jak we wschodnim kościele, w kolejności od gospodarza do sołtysa, dyrektora szkoły i radnych. Na drugi dzień już o szóstej rano zgromadzili się w wielkiej szkolnej sali przedstawiciele 570-ciu rodzin, a reszta w obrębie budynku.

W tym czasie przybył z Kyoto mons. Furuya z drugą grupką misjonarzy. Po mszy św. odprawionej przez biskupa, sołtys odczytał prośbę, w której w imieniu mieszkańców błagał, aby w Saga zaprowadzono wiarę katolicką. W podobnym tonie brzmiały inne przemówienia, również w imieniu pięciu protestantów. „Po przemówieniach przystąpiono do konkretnej umowy. Duża

sala zebrań w gminnym domu zostanie zamieniona tymczasowo na kaplicę, dopóki nie stanie kościoł. Mieszkańcy zobowiązują się do utrzymania księdza i dwóch pomocników. Na Wielkanoc otrzyma chrzest św. pierwsza grupa młodzieży, złożona z dwunastu chłopaków i 38 dziewcząt, razem pięćdziesiąt.

Od tego dnia w każdą niedzielę pokaźna grupa przyjmuje chrzest św. a na Wniebowzięcie ochrzczają się ostatni mieszkańcy wioski. Wszyscy żyją po katolicku. Na znak świętej wiary pragną postawić na najwyższym pagórku monumentalny krzyż. Projekt kościoła jest już w przygotowaniu. Zaproszono siostry do prowadzenia nowej szkoły i dzieł społecznych. Cztery okoliczne wioski proszą również o przyjęcie do Kościoła.

Jednym słowem Japonia budzi się i rozkwita do nowego życia pod ciepłymi promieniami daru łaski Bożej. Jest wiele powołań: jeden kapłan przypada na 257 i jedna zakonnica na 58 wiernych. Do tego czasu liczyliśmy nawrócenia na palcach, ale wydaje się, że nastaje nowa era.

## Sprzyjający klimat

Powróćmy jednak do naszego skromnego środowiska. Drogocenna relikwia zawitała do naszej kaplicy dnia 23 czerwca, przyjęta przy bramie i odprowadzona procesjonalnie z muzyką i śpiewami. Na jeden dzień nasza kaplica stała się ośrodkiem pielgrzymek i nabożeństw przy uroczystym wystawieniu relikwii „naszego św. Franciszka Ksawerego”. Chłopcy oglądają z bliska tę rękę, która pierwszy raz podniosła w tym kraju hostię św., zlewała wodę chrzcielną na ich przodków, odpuszczała grzechy, podawała im chleb anielski do spożycia. Trudno przychodzi dzieciakom oderwać się od tej relikwii. Pożegnanie było niemniej wzruszające od przywitania.

Na początku października powraca ks. Renato wraz z wizytatorem generalnym. Robimy im uroczyste przyjęcie. Ks. Renato jest przeznaczony do innej pracy. Ustala się perspektywę naszego rozwoju ma przyszłość: zakład będzie mógł z czasem przekształcić się w szkołę rzemieślniczą i podwoić liczbę wychowanków.

Tymczasem na niedzielę szesnastego mamy niezwykłe zaproszenie. Przybyła do Tokio na towarzyskie mecze drużyna palanta Seals z San Francisco. Będą grali z drużynami japońskimi, z jedną drużyną połączoną z najlepszych zawodników „All Stars” oraz z klubem sił zbrojnych FEAT i właśnie na ten mecz jesteśmy zaproszeni. Siedem autobusów do naszej dyspozycji, a dla orkiestry ciężarówka na przewóz instrumentów. Stadion Mejdzi wypełniony po brzegi, większość stanowi armia. Orkiestra centralnej policji zajęła miejsca za siatką a naszej wyznaczono specjalne krzeselka obok trybuny dla dostojnych gości. Środek zajmuje żona gubernatora pani MacArthur, minister finansów Toraya z całą świtą wysokich urzędników obu narodów. Orkiestra policji popisuje się muzyką jazzową dotąd mało używaną w Japonii, zaś my gramy klasyczne i ulubione piosenki i marsze amerykańskie. Mimo wielkiej różnicy w wykonaniu i artyzmie owacje tłumów i wybitnych gości są wyraźnie kierowane pod naszym adresem. Zwyciężają Seals i jeden z naszych chłopaków zanoszą kwiaty zwycięzcom przy nie kończących się wiwatach i oklaskach.

Na końcu pani gubernatorowa i minister skarbu składają nam gratulacje i podziękowanie za muzykę.

Następnego dnia wszystkie dzienniki umieściły na pierwszej stronie zdjęcia naszych muzykantów, fotografowanych ze wszystkich stron, dodając opis meczu i naszego zakładu. Nawet siły zbrojne nazywają nas w prasie swoim zakładem. Nie skończyło się jednak tylko na tym. Otrzymujemy mnóstwo telefonów, listów i zawiadomień od osób prywatnych oraz z policji, że wiele rodzin poznaje na zamieszczonych zdjęciach wśród naszych muzykantów własne dzieci. Niestety informacje bezpośrednie, konfrontacje nie potwierdziły tych nadziei. Przybywają nawet dziennikarze z jedną dziewczynką, która rozpoznała na fotografii swego braciszka, rzeczywiście podobieństwo jest wielkie, ale badania krwi wykazały pomyłkę i tym razem.

## **W Nagasaki i Hiroszynie**

Celem odprawienia rekolekcji wybieram się do najdalszych miejscowości. Czynię to dla specjalnych przyczyn. Jedyny raz mogę oddalić się z domu, więc wykorzystuję tę okazję dla własnego doksztacenia przez zwiedzanie innych zakładów wychowawczych państwowych, miejskich i prywatnych. Znajomości mam wystarczająco duże, ponieważ przynajmniej jeden raz w roku dyrektorowie tych instytucji, będąc w Tokio, zwiedzają nasz zakład. Przy tej sposobności nawiązują znajomości prawie ze wszystkimi. Gdziekolwiek się potem udaję, spotykam serdeczne przyjęcie.

Tego roku w czasie sierpniowych upałów odprawiłem rekolekcje w dalekim Miyazaki, pełnym serdecznych wspomnień. Nasze dawne seminarium uległo całkowitemu zniszczeniu. Na jego fundamentach znajduje się gimnazjum ogólne jako szkoła misyjna, przodująca poziomem nauki i wychowania. Niestety wyposażenie klas i gabinetów bardzo ubogie. Jest już w budowie ogromny „pałac” trzypiętrowy z żelbetonu, nadzieja na przyszłość. Na razie mamy tysiąc kłopotów, bo środków brak.

Po rekolekcjach ruszam bezzwłocznie w powrotną drogę via Nagasaki. Pragnę przy okazji zobaczyć to apokaliptyczne spalisko. Rzeczywiście przewyższa ono wszelkie wyobrażenia i domysły. Jedno gigantyczne morze popiołów, posępnych i beznadziejnie smutnych, całkowity brak roślinności, zaledwie gdzieś niedługo można dostrzec liche chwasty. Jestem pierwszy raz w Nagasaki, nie mam więc pojęcia jak wyglądało przed zniszczeniem. Obecnie widnieją tu jedynie mniejsze i większe pagórki, oblewane falami zatoki.

U ojców franciszkanów spotyka mnie naprawdę braterskie przyjęcie. Mam zamiar zdobyć dla zakładu figurę Matki Bożej Niepokalanej, przynajmniej tej wielkości, jaką uratowaliśmy w Osaka. Niestety nie ma gotowej. Dobry brat Roman, artysta, proponuje mi inną, bez rąk wprawdzie, bo przy wybuchu atomowym spadła z ołtarza. On jednak pięknie dorobi rączki... I stanęło na tym. W sercu czuję radość z tego, że nasi chłopcy będą się modlili przed Madonną, która „widziała i przeżyła kataklizm, chociaż wyszła zeń... okaleczona”.

Zwiedzam potem nowy sierociniec licznie zamieszkały podczas sjesty południowej. Dzieciaki chrapią spokojnie, rozłożone na czyściutkiej podłodze jak groch na przetaku. Wypytuje o wszystko i zapisuję skrzętnie program

dnia powszedniego, niedzieli, wakacji, sposoby wychowania. Chcę się w ten sposób sam dokształcić. Ale o zgrozo, spostrzegam się, że zacni ojcowie biorą mnie, ni mniej ni więcej, tylko za inspektora wysłanego z Tokio dla przeprowadzenia urzędowej kontroli zakładu. Nie wiem, czy moje protesty pomogły i zmieniły ich przeświadczenie. Jak to łatwo wbrew dobrej woli można sprawić bliźniemu niemało przykrości.

Ufam jednak, że mi wybaczą ten mimowolny nietakt. Już ostrożniejszy zatrzymuje się w Hiroszynie i udaje się do ojców jezuitów. Łatwo ich można odszukać, bowiem wzniesli pierwsze rusztowania wśród gruzów na szerokiej równinie poprzecinanej rzekami. Tyle rzek płynących w pobliżu siebie oglądam pierwszy raz w życiu.

Przyjęcie niemniej braterskie, chociaż nie ma tu rodaków. Jezuici słyną z gościnności. Ze starszym ojcem zwiedzamy nieszczęsne centrum. Na cmentarzu niektóre kamienne nagrobki są wypolerowane jak dachówka - to od żaru stopiła się powierzchnia kamienia. Tam, na schodkach, odbija się wyraźnie cień ludzkiego ciała z podwiniętą ręką, jakby dla ochrony głowy. Jedyny słup telegraficzny czy może elektryczny stoi prosto, chociaż opalony, obdarty, niemy świadek tego co wokół niego się wydarzyło. Mówią, że tu jest prawdziwe epicentrum kataklizmu... Nieliczne domy z żelbetonu spoglądają smutno i ponuro oczodołami okien i drzwi. Wszędzie pusto...

Od peryferii zbliża się życie w stronę centrum: szałas, małe drewniane domki, jeszcze nie ukończone, bez drzwi, ale już zamieszkałe,.. Jakoś to wszystko dziwnie wygląda; w środku miasta znajduje się przedmieście! W starej szkole, przeniesionej świeżo z daleka, mieści się sierociniec dla małych dzieci, prowadzany przez tubylcze siostry. Oglądam, podziwiam, wypytują się z wielkim zainteresowaniem i staram się zapamiętać szczegóły, by je wiernie utrwalić na papierze, ale na osobności.

## **Zakład wychowawczy w Osaka**

Trzeci przystanek w Osaka. Wychodzę na trzecie piętro domu towarowego Ueroku i tu wsiadam do elektrycznej kolejki lecącej w stronę Nara. Pędzę prawie pół godziny pociągiem pospiesznym. Wsiadam na stacji Kokubu, podobnej brzmieniem do naszego Kokubundzi, chociaż o krótszej wymowie.

U podnóża góry, jak okiem sięgnąć, ciągną się winnice z dojrzewającymi winogronami. Posuwam się obok rzeki w głąb parowu. Na stokach duże zabudowania i małe domki w skupieniu: to wzorowy zakład „Mikaerito” chluba metropolii Osaka. Sama nazwa zakładu już coś o nim mówi, znaczy bowiem: „wieża wspomnień”. Rzeczywiście przy wejściu stoi osobno wysmukła czworokątna wieża w podłużne wyżłobienia rurkowane aż ku okienku na szczycie z widocznym w środku dzwonem średniej wielkości.

Dyrektora bardzo młodego, może mego rówieśnika, poznałem w czasie wizyty u nas i otrzymałem od niego specjalne zaproszenie. Całość zakładu składa się z dwóch części, rozmieszczonych na przeciwnych zboczach jaru: zabudowania dla chłopców i dla dziewcząt. Na dole koło rzeki widnieją budynki szkolne, teatr, boisko sportowe, duży gmach mieszczący wspólną kuchnię, jadalnię, salę zebrań. Obok stoi wspomniana wieża.

Interesuje mnie przede wszystkim wychowanie chłopców. Postanowiłem więc zwiedzić część dla nich przeznaczoną. Całość otacza wysoka siatka metalowa na żelaznych słupkach. Osiem domów, więcej niż średniej wielkości, wznosi się na tym obszarze, jakby bezładnie. Są pięknie utrzymane, z ogródkiem na kwiaty, z zagonami jarzyn i sadzonkami drzew na pewno owocowych albo ozdobnych. Całość wychowania jest pomyślana pod kątem rodzinnym. Jedno małżeństwo ma pod opieką jeden dom gdzie mieszka od piętnastu do trzydziestu wychowanków w wieku od sześciu do piętnastu lat. O szczegółach tego wychowania trudno coś powiedzieć, ponieważ każda rodzina nieco inaczej prowadzi te dzieci.

Dom jest umeblowany w stylu japońskim, więc dzieci siedzą na matach i odrabiają lekcje przy niziutkich stoliczkach. Drugi pokój służy za salkę do zebrania całej „rodziny”. Jest również mała kuchenka, są schowki na ubrania, narzędzia do pracy czy zajęć domowych, wreszcie pokoje dla małżeństwa i ich dzieci. Ten system wychowania jest głośny w Japonii, ale dyrektor żali się, że ma on jednak swoje strony ujemne i to z wielu powodów. Całość zakładu jest obliczona na czterysta dzieci, dwieście po każdej stronie, ale na teraz jest tylko połowa. Jest duża różnica między dziećmi pod wielu względami. Stąd trudno o jedność w wychowaniu, tym bardziej, że sposób postępowania każdej rodziny jest odmienny. I to właśnie jest kulą u nogi całego systemu.

Schodząc z pochyłości zbliżamy się do piętrowego domu, ale zbudowanego nieco na osobności. Jest to więzienie dla małych przestępców, pokoiki bez mat o twardej podłodze. W oknach są ślady krat, które usunięto z polecenia władz okupacyjnych. Od tego czasu dom stracił swą wartość... tak mi tłumaczy miły przewodnik, ponieważ dzieci uciekają oknami. I dodaje: szczęśliwy wasz system, w którym nie potrzebujecie takich środków. Wzdycha przy tym i dodaje: Wy macie wiarę w Boga, której my nie mamy i nie możemy wprowadzić, ponieważ zakład jest państwowy. Próbowaliśmy zaszczerpić jakieś namiastki religii, ale nie bardzo to się udaje. Zresztą jesteście jeszcze w okresie próby, która nie wiadomo jakie wyda owoce. Ośrodkiem naszego systemu wychowania jest dzwon na wieży, który przywołuje na pamięć rodziców. Rano zaraz po wstaniu uderzam dzwonem trzy razy. Jest to wezwanie, by dzieci w skupieniu wspominały ojca, matkę i rodzeństwo. To samo robimy przed i po jedzeniu. Wprowadziłem ten zwyczaj dopiero po zwiedzeniu waszego zakładu w Tokio, gdzie widziałem, jak dzieci modlą się do Boga. W sali zebrania umieściłem gong, co uczynię wkrótce także i w jadalni, by dźwięk dzwonu na wieży zachować na ważniejsze chwile. W czasie obiadu proszę sprawdzić zachowanie się dzieci i powiedzieć mi potem swoje zdanie na temat moich pomysłów.

Rzeczywiście dzieci na dany znak skupiają się i widać na twarzyczkach wysiłek myślenia. Odnoszę jednak wrażenie raczej przykre, bo cała ta akcja wydaje mi się sztuczna mimo dobrych chęci dyrektora. Poproszono mnie o kilka słów. Mówię zainteresowanym dzieciakom, jak mają zwrócić swą myśl i serduszek do Stwórcy, który na nas patrzy i tak dobrze nam życzy jak i naszym rodzicom, dziękujemy Mu więc i spożywajmy te dary ma Jego chwałę. Dzieci grzecznie odpowiedziały chórem: Dziękujemy! Udaliśmy się na obiad do pokoju gościnnego. Dyrektorowi powiedziałem, że odpowiedź na jego pytanie na temat systemu zawarłem w swoim przemówieniu do dzieci. Dyrektor mi



tłumaczy, że sieroty opuszczające zakład udają się do wieży i dzwonią trzy razy na pożegnanie. To znak, że będą wspominać głos dzwonu w trudnych chwilach. Zachowują one również przeświadczenie, że sam dzwon, ilekroć wydaje dźwięk, zawsze o nich pamięta. Dlatego nazywamy go „dzwonem wspomnień”, a całość „wieżą wspomnień”. Takie jest wytłumaczenie nazwy zakładu. Piękna to, ale smutna historia.



## Refleksje po uroczystościach św. Fr. Ksawerego

Rozpoczynamy 1950 rok. Cztery lata temu św. Franciszek Ksawery przemierzył pieszo pół Japonii, zimową porą przebył Alpy Japońskie, pełen nadziei, że dotrze do samego cesarza i pozyska go dla Chrystusa. Powrócił jednak rozczarowany ze swoimi darami, przywiezionymi z Indii. Dziś, po mszy pontyfikalnej na stadionie w Osaka, brat cesarza książę Takamatsu przemawia o św. Franciszku. Jakie echo pozostawiły te uroczystości? Czy Japończycy, zdając sobie sprawę z entuzjazmu, z jakim ich przodkowie przyjęli chrześcijaństwo i bronili go do ostatniej kropli krwi, nie zechcą podjąć mądrych poczynań swoich ojców z równą gorliwością i lepszym skutkiem? Wiary tej bronili samuraje i kobiety, dziewczęta, chłopcy a nawet dzieci i to z dumą i odwagą prawie jedyną w historii, doskonale odpowiadającą bohaterstwu duchowi starej Japonii. Kto dziś się odważy przewidywać, że np. za ćwierć wieku Japonia stanie się chrześcijańska! Nie można tego twierdzić pochopnie, nie mniej dostrzega się wiele symptomów tego zjawiska.

Podnoszą się coraz częściej głosy, że Japonia jest gotowa do nawrócenia. Po pięciu latach od zakończenia wojny możemy sięgnąć do faktów realnych, wskazujących na to, że wybiła godzina, w której świat będzie należał do tego, kto go sobie pozyska. Bez pracy i zabiegów, poświęcenia i zrozumienia mas tubylczych całego świata, podobne sny i marzenia pozostaną w sferze iluzji. Pan Bóg nie zawojuje tego świata ogniem i mieczem, ale miłością, dobrocią, wyrozumieniem, przy współpracy całej ludzkości, która może i powinna wprowadzić swoich braci w otwarte bramy Kościoła Chrystusowego. Chociaż zainteresowanie się chrześcijaństwem jest realne i powszechne, to jednak nie upoważnia do mówienia, że Japonia znajduje się w przeddzień ochrzczenia.

Symptodem wielkiego zainteresowania się chrystianizmem jest decyzja wielkiego dziennika „Asahi” (którego nakład liczy trzy i pół miliona egzemplarzy) wysłania do Rzymu swego stałego reportera na Rok Świąty, podczas gdy przed wojną wiadomości katolickie były systematycznie ignorowane. W czasie ostatnich czterech lat po kapitulacji kraj widział taki wzrost nawróceń, jakiego nie było od kilku wieków. Wojna poczyniła wielkie spustoszenie wśród wiernych, a zwłaszcza bomba atomowa w Nagasaki, która uśmierciła dziesięć tysięcy samych tylko katolików oprócz 70 tysięcy pogan. Stąd liczba wyznawców Chrystusa spadła z 119 tysięcy do 109 tysięcy. Statystyka z 30 czerwca 1949 r. podaje już 130 388 wiernych, i 15 278 dorosłych, przygotowujących się do chrztu, podczas gdy przed wojną liczba katechumenów nie przekraczała trzech tysięcy rocznie. Tymczasem tylko w 1948 r. jest ich dziewięć tysięcy. Szczególnie w wielkich, miastach liczba katechumenów rośnie wprost geometrycznie. Jeden misjonarz ma od stu do trzystu katechumenów, co w Afryce byłoby drobiazgiem, ale w Japonii, gdzie każdy pragnie pobierać

nauki tylko od misjonarza i to po większej części osobiście, zaangażowanie jest wielkie. Katechetę uważa się tu najwyżej za kościelnego, jeśli nie za sługę. Stąd odczuwa się bardzo boleśnie brak misjonarzy. Mówi się, że w obecnych warunkach więcej niżeli dziesięć tysięcy sympatyków oczekuje na katechumenat. Nawrócenia masowe należą do bardzo rzadkich wypadków. Dzisiaj zatem odczuwamy więcej niż kiedykolwiek potrzebę modlitwy i pomocy, bo żniwo jest wielkie a pracowników mało.

## Szybki rozwój dzieła misyjnego

W okresie świątecznym, dzięki dobrodziejom, wzbogaca się nasza biblioteczka. Zaczynają wychodzić opowiadania dla młodzieży w pięknej szacie graficznej i bardzo interesujące. Japonia, która zawsze troszczyła się o wychowanie młodzieży, powraca do swoich tradycji. Nasze dzieci już przyzwyczajone do wytrwałej nauki, przepadają za lekturą, a mają nareszcie w czym wybierać: opowiadania historyczne, zwłaszcza o bohaterach ubiegłych stuleci, przyrodnicze, geograficzne, podróżnicze i krajoznawcze, fantastyczne i bardzo w kraju rozpowszechnione spirytystyczne.

Zima daje się wszystkim we znaki. Między dziećmi grasuje grypa dość poważna, a u mnie lekarz stwierdza wyczerpanie fizyczne i poleca wypoczynek. Oddaję w inne ręce orkiestrę i część lekcji, ale mimo to zmęczenie nie ustępuje. Otwierają się powoli drzwi na świat. Pierwszy korzysta nowy dyrektor ks. Archimedes i wyjeżdża do Italii. Dla nas Polaków nie ma jeszcze nadziei, bo nie wiadomo, kiedy zawita ambasada czy nawet konsulat.

Poprawiamy stare zabudowania w nadziei zaokrąglenia liczby wychowanków do trzystu. Wielką radość sprawia nam wiadomość, że drużyna palanta Seals z San Francisco nie zapomniała o nas. Część swego zarobku podzieliła między dzieła dobroczynne, z których, najbliższy nam katolicki szpital i my, otrzymamy po dwa miliony Yen (pięć i pół tysiąca dolarów). Teraz chcemy już rozpocząć budowę nowego skrzydła, bo ofiara ta wystarczy przynajmniej na fundamenta. Mówi się, że sam gubernator MacArthur podpisał czek, być może na skutek wstawiennictwa obecnej na meczu pani gubernatorowej.

W uroczystość św. Józefa gościmy naszego inspektora ks. Renato, który pozostawił w sierocińcu część swego serca. Słuchamy z zainteresowaniem wiadomości o naszych misjach. Dopiero zaczynamy myśleć o budowie, a inni już nas wyprzedzili. Prawie wszędzie szkoły i misje są już na ukończeniu: szkoły w Miyazaki i Osaka, sierociniec w Nakatsu i misje w Beppu i Oita. W dniu beatyfikacji Dominika Savio, wychowanka księdza Bosko, siedmiu chłopców otrzymuje chrzest św., a na Wielkanoc czterech. Ponieważ szkoła techniczna potrzebuje więcej miejsca, nowy studentat jest jut w budowie około dziewięć kilometrów na południe od nas, w pobliżu rzeki w miejscowości Cziofu. Zgłaszają się młodzieńcy katolicy, pragnąc poznać z bliska nasze życie, by potem wstąpić do naszego zgromadzenia. Niektórzy pozostają na stałe. Inni pracują w dotychczasowych swoich miejscach zatrudnienia.

Naukę rozpoczynamy regularnie od pierwszego września. Ks. Archimedes przysłała z Włoch maszyny stolarskie i krawieckie, a nawet instrumenty muzyczne jako ofiarę od dobrodziejów. Wreszcie i on powraca, ale po śmierci

brata, w połowie października. W centrum miasta w dzielnicy Meguro istnieje nasze oratorium, liczące ponad tysiąc młodzieży.

Wśród licznych zaproszeń do orkiestry, wykonującej już nawet trudniejsze utwory, warto wspomnieć „wieczerek wdzięczności”, urządzony w bogatym salonie chińskiego hotelu dla elity amerykańsko-japońskiej. Na przyjęcie przybył również gubernator MacArthur, któremu mamy okazję podziękować słowami i muzyką za hojną ofiarę dwu milionów Yen.

W uroczystość Chrystusa Króla odbyła się w centrum stolicy piękna procesja eucharystyczna z udziałem wszystkich wiernych, których liczba w Tokio sięga dziesięciu tysięcy. Ograniczono ruch kołowy na szerokich ulicach, a policja miejska przypilnowała porządku, zostawiając wolną drogę dla procesji, trwającej trzy godziny.

Przed Pasterką sześciu chłopców otrzymuje chrzest św. Grupa wiernych zbliża się już do setki i stanowi prawie jedną trzecią wszystkich mieszkańców zakładu. Na Sylwestra kończymy Rok Święty uroczystą Mszą św. o północy. Źle się czuję. Lekarz żąda koniecznie wypoczynku, więc pod koniec stycznia wyjeżdżam na kilkutygodniowe wywczasy na Kyushu do naszej misji w Beppu, gdzie klimat jest miłszy. Beppu nazywają japońskim Neapolem, bo jest położone nad piękną zatoką i tylko brak mu Wezuwiusza, by mogło iść w zawody ze słonecznym miastem Italii. Można go nazwać również miastem rozrywki albo cierpienia, bo obie nazwy zgadzają się z prawdą. Przybywa tu bowiem wielu gości, którzy szukają tu zapomnienia i uciech. Inni natomiast przyjeżdżają w poszukiwaniu ulgi na wszelkie dolegliwości ciała, Na całej pochyłości zatoki Opatrzność umieściła razem to wszystko, co może istnieć najlepszego pod względem bogactw termo-mineralnych. Od gorących gejzerów i wybuchów sprężonej pary na 30 m wysokości, po wrzące jeziora, dymy siarczane, błota różnego koloru i zawartości, gorące piaski i wulkaniczne studnie - kratery, ziejące ogniem i lawą... Istnienie wielu zakładów leczniczych przyciąga tysiące tubylców i nawet obcokrajowców.

W takim miejscu nie powinno brakować także misji katolickiej. Początki, jak zawsze, były trudne. Nie obeszło się nawet bez otwartej walki. Pojawiły się oszczerstwa w gazetach, w szkole, na policji, jakoby misjonarze głosili zasady przeciwne prawom i duchowi japońskiemu. Powoli jednak sprawy się wyjaśniły. Miejskowa ludność była przychylna od początku. Wydaje się, jakby sam Pan Bóg wdał się w tę sprawę, w środku miasteczka znajdował się duży piętrowy hotel pod nazwą „Kogetsu”, słynny z najlepszych kąpiel. Pewnego razu właściciel otrzymał od bogatych lokatorów dużą sumę pieniędzy do przechowania. Skusił się na pieniądze i zamykając hotel, spalił go z klientami. Gdy sprawa wyszła na jaw, miejsce to nazwano ziemią przeklętą. Misjonarz wykupił ziemię za bezcen i przyrzekł stworzyć tu ośrodek błogosławieństwa dla całego miasteczka. Doceniono odwagę misjonarza i karta się odwróciła: misjonarz zyskał sobie przychylność i poważanie całego otoczenia i samych władz.

Na wzór misji wyrosły, jak grzyby po deszczu, dzieła dobroczynne siostr różnych zgromadzeń, a przede wszystkim salezjanek i Caritas: szkoły, sanatoria, sierocińce i domy dla starców, szpitale itd. Praca misyjna po szpitalach jest bardzo ceniona i wydaje piękne owoce. Młodzież garnie się do misji, gdzie znajduje wesołą rozrywkę i dobre słowo.

Misjonarzem jest ks. Leon, mój dawny dyrektor z Kosei Gauken. Gdy powróciłem do Tokio na studia, on wyjechał do Mandżurii i pracował kilka lat w Dairen, a po wojnie powrócił tu do Beppu. Na kamieniu węgielnym poświęconym w czerwcu jubileuszowego roku św. Franciszka, stanęła piękna świątynia z żelbetonu, której konsekracja i poświęcenie odbyły się przed Bożym Narodzeniem. Dzisiaj jest ostoją i znakiem błogosławieństwa dla całego miasteczka według przyrzeczenia misjonarza. Pod kościołem znajduje się wielki salon, służący za miejsce koncertów i nauki dla życzliwych mieszkańców. Trzej misjonarze są stałe zajęci odwiedzaniem chorych, nauczaniem licznych katechumenów i obsługą klasztorów. Nawet lekarze i pielęgniarki są stałymi słuchaczami na wykładach religii.

Mogłem wybrać dowolny dom na wypoczynek, ale prędko zdecydowałem się na Beppu z racji wygody: specjalnych kuracji i kąpeli termicznych we własnym domu. Ksiądz Leon jest mi bardzo życzliwy. Przyzwyczajony do pracy wśród młodzieży wyręczam innych i wieczorami rezerwuję dla siebie tę wybraną część, głosząc nauki i pogadanki w tonie bardzo pogodnym. Oprócz dzieci już ochrzczonych, garną się chętnie poganiątka, dla których mamy dużą słabość i otwarte serca, zaś one czują się jak u siebie w domu.

W niedzielę wre ruch i praca. Na trzech mszach św. kościół jest pełny, bo przychodzą na nabożeństwo również katechumeni i dzieci wielką gromadą. Chłopcy idą w zawody w służeniu do mszy św., a katechumeni nie są gorsi od neofitów, umieją ministranturę na pamięć i odpowiadają chórem. Gorliwsi przybywają codziennie przed udaniem się do szkoły.

Miesiąc pobytu minął, jak z bicia trzasnął, zdrowie i siły powróciły na tyle, że mógłbym udać się już do pracy, ale ks. Renato poleca, by się zatrzymać jeszcze dłuższy czas. Z pobliskiego miasta Oita lub Nakatsu oraz z innych placówek misyjnych, rozsianych po dalszej okolicy, przybywają tu misjonarze na dni skupienia raz w miesiącu. Odczuwa się między nimi ducha przyjaźni, wzajemną pomoc i życzliwość jak w dobrej rodzinie.

Wielki Tydzień wytwarza nastrój jedyny w swoim rodzaju. Po misjach odprawiają się dni skupienia dla wiernych, gdzie misjonarze wzajemnie sobie pomagają zwłaszcza w przygotowaniu katechumenów do chrztu św. Wśród moich malców przygotowuje się kilku do chrztu.

Od czasu do czasu zatrzymuje się u nas na obiad młodzieniec już po maturze, udający się z naszego zakładu z Nakatsu do województwa w Oita w sprawach urzędowych, jako zastępca sekretarza. Otwarty i związany z nami, bo w dość dziwny sposób przyjął wiarę z rąk mojego starszego kolegi księdza Adino, misjonarza w Miyakonodzio. Rodzina przeniosła się z Kagoshima po zbombardowaniu miasta. Ojciec, komendant regimentu piechoty, zginął na froncie chińskim. Cała rodzina nawróciła się zaraz po wojnie: matka, starsza siostra i dwóch braci, z których jeden zmarł potem zatruty rybami. On się nazywa Masayuki, a brat, który uczy się w liceum salezjańskim w Miyazaki, Tsuyoshi.

Opowiada nam, że będąc w biedzie, chodził kraść gwoździe do misji i tam został przyłapany na gorącym uczynku przez ks. Adino. Gdy ten dowiedział się, że są przesiedleńcami i pragną własnymi siłami sklecić jakąś szopę, obdarzył go gwoździami i polecił jeszcze przyjść po nie. Tak zawiązała się przyjaźń i cała rodzina się nawróciła. Starsza siostra pracuje jako nauczycielka i po-

maga matce. On i brat mieli zamiar po skończeniu szkoły pozostać w świecie i stać się jej podporą, ale teraz jeszcze nie wiadomo, jak się wszystko potoczy. Przy tej i innych znajomościach i pracy czas prędko minął. Kończy się marzec i trzeba w kwietniu wracać do Tokio.

W sierocińcu bez większych zmian. Od nowego roku szkolnego otrzymujemy pełne prawa państwowe i specjalną zapomogę dla szkół prywatnych. Nasi stolarze oddają do użytku pięknie i mocno wykonane ławki szkolne. Studium zmienia swój wygląd aż miło wszystkim zasiadać do nauki. W następnej kolejności są szafy do sypialni. Uroczystość Wspomożycielki obchodzimy bardzo okazale. Uświetnia ją dziewięciu nowo ochrzczonych.

W Osaka odbywa się inauguracja nowej szkoły „Seiko Gakuin” - promieniująca gwiazda. Imię szkoły czy zakładu w Japonii ma duże znaczenie.

Na początku czerwca zbieramy pierwsze plony całości z wykarczowanego terenu: cztery tony jęczmienia. Tymczasem uderza w nas jak grom smutna wiadomość. Brat L., z którym jechaliśmy na Kyushu, zmarł nagle na serce. A tak pięknie grał na basie! Niech odpoczywa w pokoju!

Przeżywamy dzień bierzmowania 39 naszych i siedmiorga wiernych z okolicy. W niedzielę inauguracja nowej szkoły salezjańskiej w Tokio w dzielnicy Meguro, a w Rzymie odbywa się kanonizacja św. M. Dominiki Mazzarello, współzałożycielki sióstr salezjanek.

Rekolekcje po wakacjach odprowadzam w nowo wybudowanym studentacie. W ten sposób już wszystkie nasze dzieła wyszły z Katakumb wraz z kościołem. Zdawało się, że jest to sprawa przewyższająca nasze siły, ale przy Opatrzności Bożej i dzięki energicznej pracy misjonarzy oraz życzliwym sercom z całego świata, zrodziły się dzieła olbrzymie i to w sposób wprost cudowny: każde z nich kosztuje dziesiątki milionów. My w sierocińcu pozostaliśmy w tyle, zajęci adaptacją pustych ścian i urządzeniem całości zakładu oraz wypłatą długów za teren i zabudowania.

Niedziela dziewiątego września przynosi nam nadzwyczajne wydarzenie: USA i Japonia zawarły pokój w San Francisco. Wojna została formalnie skończona. Przewidujemy, że i dla nas kończą się czasy bohaterskie, jak się zwykle nazywa chwile przejściowe.

W uroczystość św. Michała kończę swą pracę w sierocińcu. Ks. inspektor Renato polecił mi udać się do nowej i dobrze rozwijającej się szkoły w Miyazaki, gdzie mam się troszczyć o młodych kandydatów do zgromadzenia. Drugiego października chłopcy robią pożegnanie, a trzeciego odjazd. Pożegnanie odbywa się na wesoło, bez żalów i łez.

Znalazł się jeden, co ukradkiem łyzy ociera, ale on nie sierota, lecz żołnierz z krwi i kości. Jest to miły i serdeczny sierżant z A.F. Lotnictwa, pochodzący z polskiej rodziny. Od dłuższego czasu jest naszym sympatycznym gościem i nie ma prawie niedzieli czy święta, by nie spędził go wesoło i pobożnie między nami. Polubił sieroty a one jego. Gdy się dowiedział, że opuszczam zakład, przejął się tym bardzo. W chwili pożegnania, gdy chłopcy śpiewają, grają i mówią wierszyki, sierżant ukradkiem ociera łzy. Pragnąc go rozweselić, wskazuję na chłopców: nikt z nich nie smuci się, ani nie płacze, ale on w to nie wierzy. Polecam mu więc, by zawołał chłopca, z którym porozmawiamy na ten temat. Wskazał na jednego pół urwisa i pół zabijakę. Wołam go: — Hisasi, chodź no tutaj. Wywiązał się miły dialog. — Powiedz mi, mój drogi, czy

dzisiaj jesteś naprawdę zadowolony? — Tak jest, nawet bardzo. Gdy przetłumaczyłem pytanie i odpowiedź, sierżant spojrział zdziwiony. Ale pytam dalej: — Powiedz mi, dlaczego właśnie dzisiaj jesteś szczególnie zadowolony? — Ponieważ przy pożegnaniu dostanę czekoladę, a ja bardzo lubię słodkie. — To wystarczyło poczciwemu sierżantowi, by osuszył łzy i nie brał sprawy tak tragicznie.

Dzieci dziękują mi szczególnie za dwie rzeczy, pierwsze, że nie wymierzałem kar cielesnych, a drugie: że byłem sprawiedliwy wobec wszystkich. Nie są to cnoty nadzwyczajne, ale w takiej wspólnotcie na pewno nie do pogardzenia i warto się o nie potrudzić.



## Stare śmieci

Miasto Miyazaki bardzo się zmieniło. Nowa stacja kolejowa zółci się jeszcze świeżymi kolumnami modrzewia. Dach w stylu chińskim nosi na sobie ślady japońskiej subtelności. Plac i droga są o wiele szersze a przy jej wylocie błyskają wieczorem, światła sygnałowe. Nad zakładem łśni w przestworzu seledynowy neon krzyża. W półcieniu stoi olbrzymi budynek szkoły. Przed gankiem dwie palmy falujące nieśmiało szerokimi liśćmi. Przyjmują mnie serdecznie tak przełożeni, jak i aspiranci. Na drugi dzień niedziela, uroczystość Matki Bożej Różańcowej.

Po nabożeństwie zwiedzam stare śmiecie. Na fundamentach dawnego seminarium stoi podobny budynek, mieszczący na parterze i na pierwszym piętrze pokoje lekcyjne dla niższych klas gimnazjalnych. Drugą połowę piętra zajmuje kaplica dla aspirantów. Dla nich zbudowano pawilon mieszczący studium, dwie jadalnie, kuchnię i łazienkę na parterze, a na piętrze sypialnie dla chłopców oraz pokoje dla przełożonych, wszystko według starego stylu z drzewa. RzUCA się w oczy piękny budynek z żelbetonu. Ten trzypiętrowy gmach to krzyk najnowszej techniki budowlanej. Zwrócony frontem ku stacji kolejowej, urzeka trochę swoim położeniem i samym nowoczesnym stylem. Kolumny zewnętrzne przecinają regularnie oba skrzydła, a w środku nad zamasytym wejściem wznosi się metalowa klatka ogromnych okien, sięgających czwartego piętra, gdzie mieści się wielka sala.

Osiemnaście dużych klas, podzielonych odpowiednio przegrodami na mniejsze, zapewnia rozwój szkoły w przyszłości.

Gimnazjum, jako szkoła misyjna, zdobyło sobie po wojnie, dzięki trudom pionierów, bezapelacyjne pierwszeństwo nie tylko w mieście, ale i w całym województwie. Wychowanie chrześcijańskie i wysoki poziom nauki z językiem angielskim włącznie to atuty bezkonkurencyjne. Nowy gmach jest przeznaczony dla liceum i dla innych potrzeb. Również dzieło księdza Antoniego, który mnie przyjął ongiś bardzo serdecznie, rozwija się z wielkim rozmachem. Wzięło nazwę od zgromadzenia sióstr „Caritas” i obecnie mieści kilka setek podopiecznych od małych dzieci aż do starców. Chłopcy idą pod naszą opiekę do zakładu w Nakatsu, wybudowanego po pożarze na przedmieściu u wejścia do pięknego wąwozu Yabakei. Caritas, jako bardzo żywotne zgromadzenie, ma już swoje domy w Osaka dla sierot i przesiedleńców. Ostatnio przeniosło się do stolicy.

Na terenie dawnego Kosei Gakuen buduje się domki dla profesorów naszej uczelni, która nazywa się urzędowo „Hyuga Gakuin”. Hyuga, to historyczna nazwa całej nadmorskiej niziny, a według znaków pisma japońskiego znaczy „kraj zwrócony ku słońcu”. Gakuin natomiast oznacza uczelnię raczej wyższą bez ograniczenia stopnia, wszechnicę. Wszystkie szkoły podstawowe mają prawo kierować do nas bez egzaminów trzech najlepszych uczniów bez



różnicy stanu i zamożności. Innych, oprócz egzaminów, obowiązuje tzw. kolokwium, czyli spotkanie osobiste z dyrektorem lub jego zastępcą.

## Tajfun Rut

Następna niedziela przynosi nam niespodziankę: wielki tajfun imieniem Rut. Dawniej Japończycy oznaczali tajfun numerami każdego roku od początku, ale na wzór amerykański zaczęli teraz nadawać imiona według kalendarza. Tajfuny, zwracające się na południe od równika, mają imiona męskie, a te ku północy żeńskie. Tym razem będziemy gościli panią Rut, byle tylko nie pozabierała nam nie tylko kłosów, ale i domów.

Rzeczywiście w niedzielę od północy gwałtowny wichur z ogromną masą wody rzucił się z całą siłą na cichą krainę Hyuga. W nowym budynku cały taras wypełnia się wodą, która zalewa, niczym wielka rzeka, środkowe schody. Drzwi i okna, choć dobrze zabezpieczone, zwłaszcza w zabudowaniach z drzewa, rozluźniają się. Wszystkie sale i pokoje toną w wodzie. Wichur rwie deski ze ścian i niszczy dach, zwłaszcza na narożnikach. Czuwamy w pogotowiu. Wieczorem huragan dochodzi w swym szaleństwie do szczytu. Nasi aspiranci i profesorowie z rodzinami zajęli bezpieczne miejsca w budynku z żelbetonu. Ktoś jednak musi ratować i tamte drewniane. Do niektórych budynków to nawet strach zejść, bo trzęsą się, jak człowiek w gorączce. Głośne trzaski rozlegają się w pawilonach, do których obawiamy się nawet wejść w ciemności.

Nad ranem wiatry powoli folgują. Po godzinie robi się cisza, tylko gwiazdy świecą na niebie. Wychodzimy na zalane podwórze: oba drewniane pawilony zniknęły. Jedynie nierówna masa belek wystaje z rozszarpanego dachu, rzuconego na pobliski domek sąsiada. Na szczęście cała rodzina schroniła się do nas przed tajfunem. Na drugi dzień poprawiamy, co się da w zalanych budynkach, ale pawilony trzeba rozebrać do reszty.

## Poświęcenie nowej misji

Wśród profesorów mamy kilku katolików, większość jest innego wyznania. Kilku pragnących poznać naukę ewangelii, zawiązało małe towarzystwo przyjaciół Pisma Św. Sami ułożyli program: najpierw różaniec do odmówienia w kaplicy, potem w pokoju gościnnym czytanie Pisma Św. z małą refleksją misjonarza, wreszcie wspólna dyskusja. Do towarzystwa należy dziewięciu profesorów. Zebranie odbywa się w każdy piątek od siódmej do dziesiątej wieczór. To zainteresowanie zaczyna ogarniać również innych.

Na Wszystkich Świętych mam zaproszenie na poświęcenie nowej misji w Nobeoka, około 85 km na północ od nas. Miasteczko w czasie wojny liczyło 30 tys. mieszkańców, a dzisiaj ma już więcej niżeli sto tysięcy. Otworzono tu wielkie zakłady dziewiarskie sztucznego jedwabiu (rayon japoński). Przed wojną miał tu duże wpływy protestantyzm, zwłaszcza wśród grona nauczycielskiego. Koło stacji istniał mały kościółek rzymsko-katolicki, który jednak spłonął w czasie wojny. Wypada zaznaczyć, że w Japonii między katolikami

i protestantami nie ma takiego antagonizmu jak w innych krajach, panuje duch ekumeniczny.

Młody misjonarz, mój kolega ze studentatu, opowiada mi całą historię tej misji. Pewnego dnia przybył ze swojej misji w Takanabe, oddalonej około 60 km w stronę Miyazaki. Zatrzymał się na moście, prosząc Boga o natchnienie, w którą stronę ma się udać w poszukiwaniu miejsca dla misji. Na prawym brzegu zauważył niezłe urządzonego domek jakiegoś zamożnego mieszkańca. Wchodzi tu i przedstawia się jako misjonarz katolicki, prosząc o kilka zwyczajnych informacji i opowiadając w skrócie o swojej pracy i zamiarach. Pani domu przeprasza go na chwilę i udaje się do drugiego pokoju, skąd wyprowadza na wózek gospodarza. Nie może chodzić już od kilku lat, bo ma nogi sparaliżowane. W czasie operacji wyrostka robaczkowego zastosowano mu znieczulenie do kręgosłupa i od tego czasu utracił władze w nogach. Jest zamożny, ale nieszczęśliwy. Przynręka zainteresować się sprawą placu i prosi zgłosić się za tydzień.

W wyznaczonym dniu misjonarz zastaje oprócz kaleki jeszcze dwóch panów. Gospodarz po przywitaniu się powiada. — Pomyślałem i porozumiałem się z żoną. Nie wiem, czy teren się spodoba. Jest to wysepka na rzece, ostatnio przymulona do brzegu i nawet zabezpieczona odpowiednim nasypem. Wydaje mi się, że lepszego miejsca na misję nie ma w całym mieście. Przede wszystkim tu jest centrum nowego miasta, miejsce obszerne na budynki i nawet na boisko sportowe, którego potrzeby domyśliłem się z opowiadania. Osobiście będę miał blisko do kościoła, a ja przecież nie mogę chodzić. Byłem do tego czasu protestantem, ale czytając różne książki, przekonałem się, że dla mnie jedyna droga to katolicyzm.

Misjonarz tyle razy oglądał to miejsce z mostu, ale nie zwracał na nie uwagi. Teraz sam jest święcie przekonany, że nie ma innego lepszego, ale cóż z tego: jakiś skromny plac lub stary domek może by się dało wykupić, ale ten?... Serce mu się ścisnęło. — Więc jak, czy misjonarz przyjmuje propozycje czy nie i to zaraz przy świadkach — przerwał milczenie gospodarz. — Ja bym przyjął, ale co na to przełożeni... — Przełożeni na potem. Pole ja daję, a nie oni. — Bardzo dobrze, ale ja nie mam tyle pieniędzy — Kto tu mówi o zapłacie? Jeśli się tylko podoba, to już wszystko załatwione! Proszę mi od razu wytłumaczyć, jaki dom i kościół jest potrzebny, a wy panowie słuchajcie i notujcie. Gospodarz, zwracając się do misjonarza, powiedział: — „Zawołałem inżynierów, bo spodziewałem się, że będą potrzebni, a misjonarz przyjeżdża z daleka. Proszę liczyć nie tylko na obecne potrzeby, ale przewidywać także przyszłość, by nie trzeba było potem przedłużać i powiększać”.

Dodał przy tym, że jest już starszy, bezdzietny, ale zamożny. Nadarza mu się okazja zrobienia coś dla swego miasta, teraz zwłaszcza, gdy ono jest w wielkim rozwoju. Potrzebę misji odczuwają tu wszyscy, więc on pragnie wznieść ją swoim kosztem.

Roboty rozpoczęte na wiosnę są już skończone. Kościół, zbudowany z drzewa i pięknie wykonany, może pomieścić w ławkach dwieście osób. Obok wznosi się domek dla misjonarza z pokojami dla gości i klasami dla dzieci. Małe podwórko otacza kościół i plebanie, a na nim świeżo zasadzone drzewka. Wszystko razem to wyspa spokoju i zakątek modlitwy.

Przed kościołem zebrała się blisko setka wiernych miejscowych i przybyłych z Takanabe. Biskup poświęca kościół i plebanię, a potem udziela chrztu ofiarodawcom misji, którzy, mimo że uważali się za protestantów, nie byli jeszcze ochrzczeni. Powracam do Miyazaki zamyślony o cudach Opatrzności, w którą wątpi tak wielu.

## Misja w Oita

Dziesiątego w piątek rano jedziemy na konsekrację kościoła aż do Beppu, następnej stacji za Oita. Profesorowie przyjadą dopiero nocnym pociągiem, bo w piątek mają wykłady, a podróż obejmuje przeszło dwieście kilometrów. W sobotę raniutko udajemy się tramwajem do Oita. Jest to miasto wojewódzkie i podobnie jak Miyazaki należy do naszej misji, która przeszła spod władzy administratora z Kagoshima już zmarłego pod zarząd biskupa z Fukuoka. Oita zresztą, dawne Funai, to siedziba pierwszego biskupstwa w Japonii, coś w rodzaju naszego Gniezna. Oto kilka wiadomości na ten temat. Kraina jest zwrócona jak Hyuga ku południowi, ale bardziej górzysta. Obszar wynosi 6334 km<sup>2</sup> i liczy milion 253 tys. mieszkańców. Posiada mnóstwo gorących źródeł i wygodnych portów, czego brak w Miyazaki. Słynna jest z wyrobu cementu. Oita wiąże się ściśle z historią Kościoła w Japonii. Miasto leży nad brzegiem morza. Na wzniesieniu znajdował się zamek możnego daimyo z Bungo Otomo Sorin, wielkiego przyjaciela św. Franciszka (1528—1587). Obecnie stoi tu szkoła handlowa.

Na równinie obok dzisiejszej stacji kolejowej, rozłożyła się misja z kościołem, szkołą i szpitalem. Niedaleko od portu widnieje kamień pamiątkowy, przypominający miejsce lądowania św. Franciszka. Przed wojną stała w parku piękna statua z brązu, przedstawiająca Otomo w tradycyjnym kostiumie i krzyżem w ręku, zniszczona jednak w czasie wojny. To miasto pierwsze zaczęło czerpać z kultury europejskiej. Jest ważnym ośrodkiem handlowym z portem otwartym dla okrętów zagranicznych, a dzisiaj łączącym dwie wyspy: Honshu i Shikoku. Administracyjnie dzieli się na siedem powiatów: Oita, Beppu, Hita, Saeki, Usuki i Tsukumi.

Historia misji jest bardzo interesująca. W jesieni 1551 r. przybywa tu św. Franciszek i otrzymuje od daimyo Otomo Sorin pozwolenie na głoszenie nowej wiary. Zakłada misję, która rozwija się wspaniale. Ojciec Torres wraz z braćmi zakonnymi prowadzi niestrudzenie pracę misyjną dzięki opiece daimyo, który również przyjmuje chrzest św. w ten sposób ten kwitnący ośrodek chrześcijaństwa otrzymuje pierwszego biskupa Funai. Wiara rozszerza się lotem błyskawicy po całej krainie Bungo, osiągając wkrótce dziesięć tysięcy wiernych. W miasteczku Usuki, letniej rezydencji daimyo, ojcowie jezuitów wybudowali dla siebie nowicjat. Z Funai ziarno ewangeliczne rozsiało się na północ aż do Kyoto i Sakai, a na południe do Nagasaki.

Pierwszy znany męczennik pochodzi z Funai, jest nim samuraj Hieronim Nakama. Od roku 1600 do 1660 w czasie surowych prześladowań wierni żyją w ukryciu. Błądząc po starym cmentarzu, łatwo można spotkać kamienie bez nazwiska lub przypominające niezgrabny znak krzyża, to nagrobki chrześcijan. Po powrocie misjonarzy z Paryża już w 1883 r. Oita znowu ożywia swą wiarę. W 1927 roku przybywają tu salezjanie, roztaczając powoli opiekę nad

wiernymi; w 1931 r. założono drukarnię, w 1934 przedszkole. W następnym roku wzniesiono kościółek drewniany pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego, spalony 16 lipca 1945 r. w czasie nalotów. W czerwcu 1949 r. z okazji uroczystości 400-lecia poświęcono kamień węgielny pod świątynię z żelbetonu w stylu romańskim, która właśnie dzisiaj jest konsekrowana.

Uroczystość rozpoczyna się koncertem chóru, występem solowym na organach oraz popisem naszej orkiestry. Gra również orkiestra chłopaków z Nakatsu, zabawiająca gości wesołymi marszami przed kościołem. My wykonujemy w połączeniu z poganami muzykę kościelną, fugi i sonaty. Przed konsekracją odbywa się chrzest siedemnastu dorosłych osób i bierzmowanie 175. Punktem centralnym jest konsekracja kościoła i ołtarza oraz uroczysta msza św. Wierni ze wszystkich terenowych misji zebrali się gremialnie. Takiej uroczystości, wyjąwszy ostatni jubileusz, jak w Oita jeszcze nie widziałem. Ufamy, że ta siejba wyda plon stokrotny. W niedzielę po nabożeństwie zwiedzamy Beppu i wracamy późnym wieczorem.

## **Pierwsze obrazy telewizyjne**

Nowy Rok 1952 święcimy po japońsku. W każdy wieczór aspiranci mają swoje wesołe popisy we wspólnej sali. Czwartego przy pięknej pogodzie udajemy się na wycieczkę do najpiękniejszej okolicy województwa w górny bieg naszej rzeki, noszący wymowną nazwę: „Ren z Hyuga”. Krajobraz podobny do Yabakei w Nakatsu, ale jeszcze bardziej dziewiczy, woda w rzece błękitna jak w morzu. Nieznane okazy roślin i drzew zachowały się nietknięte. Oglądamy je z podziwem. Powietrze jest miłe i spokojne. Wszystko razem podziało na każdego z nas bardzo orzeźwiająco.

Radio państwowe NHK przygotowuje kraj do odbioru telewizji. Autobusy, zaopatrzone w odpowiednie aparaty nadawcze i odbiorcze, pojawiają się nawet w mniejszych miasteczkach. U nas w Miyazaki pokaz odbywa się w salonie. Na scenie są zainstalowane aparaty nadawcze, przed którymi w małych zespołach pojedynczo występują aktorzy. Po sali przesuwa się powoli ludzie, idąc zygzakami dla dokładniejszego i dłuższego zaobserwowania sceny. W ciemnym korytarzu są umieszczone odbiorniki telewizyjne, na których oglądamy to, co dzieje się na scenie. Ośmiu chłopców z naszej orkiestry pojawiło się również przez pięć minut. Mocne reflektory jaśniej oślepiająco. Pokaz trwa cztery dni, a widzowie przybywają nawet z dalszych okolic. Wstęp jest gratisowy.

## **Wzrost poziomu nauczania**

Zdrowie poprawiło mi się, więc przyjmuję wykłady łaciny dla trzeciej licealnej, a od kwietnia zapowiadają się lekcje wychowania dla trzech oddziałów ostatniej klasy gimnazjalnej. Na lekcjach łaciny zabawiamy się autorami klasycznymi od Liwiusza do Cyncerona.

Szkoła otwiera kursy wieczorowe obcych języków: łaciny, angielskiego, hiszpańskiego, francuskiego i niemieckiego. Wiele młodzieży i starszych zgłasza się na naukę języków. Napływają prośby o otwarcie wyższej szkoły wieczorowej dla pracujących, dla tych, którzy nie mogą pobierać nauki w czasie

dnia. Na początku marca liceum wydaje świadectwa pierwszym abiturientom. Jest ich tylko trzydziestka, ponieważ rozpoczęli naukę jeszcze w starszych małych klasach.

Zebrani dyrektorzy szkół podstawowych powiadają nas, że będzie wzrastać liczba zdolnych kandydatów do naszej szkoły. Po raz pierwszy przybywa wojewoda i przemawia, wyrażając wielkie uznanie i budząc nadzieję rozwoju całej naszej uczelni. Już tym razem na egzamin wstępny oprócz prymusów zgłasza się więcej niż trzystu chłopców. Prawie połowa zdaje egzamin pomyślnie. Tylu też opuszcza szkołę średnią, więc stan liczbowy jest bez zmian. Siedmiu aspirantów odjeżdża do nowicjatu do Tokio, kandydując do zgromadzenia.

## Sygnal Opatrzności

Na początku listopada ksiądz dyrektor pragnie nagrodzić wycieczką moje zaangażowanie się w pracy. Mamy wyjechać aż do wulkanu Kiriszima na granicy województwa. Wymawiam się z powodu długiej drogi samochodem po niewygodnym gościńcu. Godzę się na zostanie w domu, by inni skorzystali z małej przejażdżki. Wyjeżdżają w niedzielę po nabożeństwie, a my z aspirantami śpiewamy wieczorne nieszpory. Późno wieczorem wraca z Fukuoka ks. prefekt, a ja spokojnie udaję się na spoczynek. Nasi wycieczkowicze mieli groźny wypadek. Na zakręcie drogi weszli w poślizg i wyrzuciło ich z trzech i pół metra wysokości na skałę, w którą uderzyli dachem wozu. Sami nie wiedzą, kiedy się pobudzili. Nadjeżdżająca ciężarówka z rybami zatrzymała się i szofer pozbiierał maruderów, odstawiając ich do miasta. Policja drogowa nie wyobraża sobie, w jaki sposób wyszli z życiem, przy mniejszych bowiem wypadkach ludzie giną. W każdym razie wszyscy mówią o podwójnym szczęściu: że samochód był amerykański, Willis combi, z mocnym dachem, oraz że skała, na którą upadli, to jedyny występ skalny, pod którym dwa metry niżej otwiera się przepaść do rzeki na kilkanaście metrów głębokości. Zmienili trasę zaraz po wyjeździe, bo zamiast w głąb kraju, udali się brzegiem morza 180 km ku południowi aż do dzikiego przylądka Toi, gdzie można oglądać nawet dzikie konie. Gdybym od początku wiedział o tamtej drodze, nie wiem, czy bym odmówił, bo morze jest naprawdę urzekające.

## Z wizytą u niewidomych

Na zakończenie roku wybieramy się rowerami na zwiedzenie zakładu dla niewidomych. W Japonii nie jedzie się nigdy z próżnymi rękoma w odwiedziny, więc chłopcy zaopatrzyli się należycie w słodczyce, bo inne rzeczy dla niewidomych są zbyt cenne: książki, zeszyty, słowniki, chociażby i wieczne pióra. Dzieci są podzielone według stopnia rozwoju i prowadzą życie wspólne. Uczą się przede wszystkim poprawnej wymowy, czytania i pisanie według systemu brajlowskiego. Uprawiają również muzykę i śpiew na szeroka skalę, zwłaszcza grę na instrumentach typowo japońskich: chłopcy na flecie siakuhaci lub mandolinie samisen, a dziewczęta ma japońskiej cytrze koto.

Ponadto prawie wszyscy uczą się masażu oraz słynnego na Wschodzie leczenia nakłuciami igielnymi czyli akupunktury. Specjalistą w tej sztuce jest sam dyrektor również niewidomy. Po zwiedzeniu całego zakładu on właśnie gości nas herbatą, podczas gdy dzieci powróciły do domu. Z dźwiękiem głosu rozpoznał, że nie jestem Japończykiem i zainteresował się krajem mego pochodzenia, naszą pracą i celem pobytu w Japonii.

Odwzajemniając się, dotknąłem prawie niechcący delikatnej kwestii mionionej wojny, pytając się, w jakich warunkach ją przeżył. Niespodziewanie posypały się grube łzy ze spokojnie jakby spoglądających przed siebie oczu. Przeprosiłem go za mój nietakt, ale on wzruszył się jeszcze więcej. Chwytał mnie za rękę, co u Japończyków spotkało mnie pierwszy raz i dziękował za dobro serce. Oświadczył, że takie serdeczne współczucie w głosie słyszy pierwszy raz w życiu, bo nie widzi, ale wyczuwa z głosu. Żali się, że czasy wojny były dla niego i innych niewidomych bardzo ciężkie, gdyż uważano ich za pasożytów...

Zmieniam potem temat rozmowy i pytam się o jego sztukę nakłuwania. Chętnie opowiada, jak poznaje się najpierw układ mięśni w całym ciele, ich działanie i wpływ na stan zdrowotny czy chorobowy. Niespodziewanie zapytuje, czy nie odczuwam jakichś dolegliwości. Dowiedziawszy się, że czasem przy zmianie pogody strzyka mnie coś pod łopatką i w szyi, zaraz dzwoni i wola, by mu przyniesiono jego igły i to te najlepsze. Poleca zdjąć koszulę, myje ręce i zabiera się do roboty. Igły są cieniutkie z metalu nierdzewnego około dziesięć centymetrów długości. Wkłada do małej rureczki i, przystawiając do ciała, uderza lekko palcem tak, że igła przebija naskórek. Potem zmienia często jej kierunek i przebija mięśnie szukając zbytnio uczulonych nerwów. Gdy się czuje mocne ukłucie, to znak, że jest właśnie chory korzonek nerwu, który trzeba pobudzić do pracy. Przeszedł kilku nakłuciami pod łopatką i nerw szyi. Na ostatku wykonał masaż. Myślałem, że mi głowę ukrepi, naginając i kręcąc z całej siły. Spociał się przy tej pracy, ale zapewnił mnie, że strzykanie tak prędko nie powróci. I rzeczywiście już nigdy się nie powtórzyło.

## **Zainteresowanie prawdą Ewangelii**

Od lat, jak wspomniałem, mam powierzone w trzech oddziałach trzeciej gimnazjalnej pogadanki o wychowaniu. Tematem lekcji nie jest katechizm ani nawet sama religia. Japończycy aż do końca wojny prowadzili w szkole lekcje wychowania narodowego, zarezerwowane zwyczajnie dyrektorowi lub najbliższemu jego pomocnikowi. Obecnie, to wszystko znikło i brak w szkołach dawnych wytycznych. W ostateczności jeszcze nie wiadomo, jak ta sprawa zostanie uregulowana. W każdym razie szkoły prywatne otrzymały nie tylko pozwolenie, ale zachętę wprowadzenia na własną rękę nauki wychowania chrześcijańskiego.

Thumaczy się więc u nas zasady życia „człowieka porządnego, czyli moralność chrześcijańską”. Rodzice cenią bardzo tę naukę, której nie mają szkoły państwowe i zdobywają się nawet na wielkie ofiary, by przysyłać dzieci do nas. Od czasu do czasu głosimy podobne pogadanki dla rodziców, którzy biorą w nich udział bardzo chętnie. Wśród uczniów obserwujemy początk-

kowo zainteresowanie, potem chęć poznania źródeł tej moralności. Tworzą się grupki, w których dyskutuje się dowolnie i porównuje różne religie i wierzenia zwłaszcza japońskie. W toku tych dyskusji wyłaniają się dopiero kandydaci do nauki religii katolickiej i zwolennicy przyjęcia tej religii za swoją. Długa jest droga, wymaga cierpliwości, ale nacechowana serdeczną przyjaźnią i wzajemnym szacunkiem daje zbawienne rezultaty. Z moich uczniów corocznie kilku zgłasza się do nauki katechizmu i już w czasie liceum dochodzą do przyjęcia wiary. Na dziewięciu ostatnio ochrzczonych, siedmiu jest z mojej grupy.

## Sielskie wakacje

Orkiestrę naszą uznano urzędowo za reprezentację orkiestr wojewódzkich. Ma to wielkie znaczenie dla jej członków. Od tego czasu wszystkie ich występy liczy się im jako godziny nauki. Należą więc do publicznych towarzystw i drużyn szkół, jako ich członkowie.

Dziesiątego czerwca 1954 r. przeżywamy kanonizację św. Dominika Savio. W sierpniu tego roku oddaliśmy się pierwszy raz z domu na wczasy. Część aspirantów powróciła na wakacje do rodziny, ale kilkunastu pozostało, więc jedziemy brzegiem morza ku południowi. Autobus posuwa się bardzo powoli po skalistej drodze prawie wykutej w kamieniu. Raz po raz zwalnia na krótkich i niebezpiecznych zakrętach, by zjechać do następnej zatoki. Po godzinie takiego wspaniałego wałęsania się nad błękitnymi falami Oceanu Spokojnego, zatrzymujemy się i wysiadamy w malutkiej zatoce skalnej, gdzie stoi samotna szkoła podstawowa, mogąca pomieścić nawet dwieście dzieci. To jest właśnie miejsce naszych wczasów.

Mamy do dyspozycji całą szkołę, ale wykorzystujemy tylko trzy klasy: jedną na kaplicę, drugą na sypialnię i trzecią na czytelnię, a w godzinach posiłków na jadalnię. Kuchnia jest dobrze zaopatrzona we wszystkie naczynia. Kucharki przychodzące z pobliskiej wioski wywiązują się z zadania wyśmienicie. Obok szkoły jest wiele miejsca wolnego do różnych zabaw. Miejsce spokojne, idealne na odpoczynek letni.

Od szkoły do drogi jest około 50 metrów, a za drogą już morze. Zatoka jest wyrzeźbiona w skale, więc fale morskie porobiły korytarze szerokie i głębokie na kilka metrów. Dla bywalców morza, jakimi są Japończycy, jest to miejsce naprawdę wspaniałe. Chłopcy wygrzewają się na głazach, łowią ryby, przeszukują rozpadliny, kąpią się do woli prawie bez najmniejszego niebezpieczeństwa dla życia, ponieważ fale rozbijają się na przycółkach skał, a w korytarzach woda zachowuje się spokojnie, no i jest bardzo czysta. Po powrocie do domu mają słodką wodę do obmycia się z soli i miejsce do przebrania. Stały zefir od morza przynosi miły chłód dniem i nocą.

Lasy ze spadzistych gór sięgają aż prawie do samych fal morskich i zapraszają do miłego cienia. Często korzystam z niego czytając książki, na które w ciągu roku nie ma czasu. Aby nie zapomnieć języka polskiego, co łatwo się może zdarzyć, zaglądam do Sienkiewicza, którego mi sprezentował mój dobry Polak — sierżant. Został on odkomenderowany do Anglii i stamtąd mi przysłał książki.

Następna zatoka na południe, gdzie rozsiadła się wioska, jest o wiele większa od naszej i ma cały brzeg piaszczysty, łagodnie obniżający się ku morzu. Plaża pierwszej jakości i bez żywej duszy, bo mieszkańcy wioski zajęci są pracą. Szeroki pas piasku jest do naszej dyspozycji. Kilometr drogi to fraszka, więc dwa razy w tygodniu zamieniamy nasze głązy na prawdziwą plażę. Sierpień słynie z pięknej pogody i ciepła. Odczuwamy to w całej pełni w tym sielskim ustroniu.

Dla urozmaicenia mamy w programie dwie wycieczki dalej na południe. W góry nie idziemy, bo cała okolica słynie z mnóstwa żmij i jadowitych węzów, dlatego wybieramy się wzdłuż bitej drogi. Po pięciu kilometrach fantastycznej panoramy napotykamy duży pagórek, pokryty dosłownie kaktusami-olbrzymami, sięgającymi dwu metrów i więcej. W kraju słyszało się, że kaktusy w doniczkach kwitną bardzo rzadko, a tutaj są wprost oblepione kwiatami. Hodowla zaczęła się w sposób sztuczny ze względu na miejsce wypoczynkowe dla turystów. Przy łagodnym klimacie park kaktusowy rozwinął się do rozmiarów nieoczekiwanych. W podobny sposób wygląda cała trasa samochodowa ozdobiona feniksami, olbrzymimi i cudownymi palmami, które rozkładają symetrycznie swe „listki” o kilku metrach długości. Takie dwie zasadziliśmy przy ganku naszej szkoły w Miyazaki. Ufamy, że z czasem wyrosną na olbrzymy.

Drugą wycieczkę robimy jeszcze dziesięć kilometrów dalej na południe, aż do wielkiej pieczary nadmorskiej Udo. Schodząc ku morzu przez piękny las charakterystycznych sosen japońskich, trzeba przejść malowany na czerwono łukowy most drewniany, koniecznie z bucikami w rękę, na bosaka albo w skarpetkach, aż prawie do poziomu morza. Tutaj otwiera się wielka grotta naturalna, mieszcząca świątynię szintoistyczną. Mówi podanie, że pierwszy Cesarz Dzimmu ukrywał się tutaj ze swoimi wojami. To, co wszystkich urzeka w tym miejscu, to właśnie morze. Wśród ogromnych głazów rozrzuconych i wypłukanych kotłują się i przelewają pieniające się fale. Tu jest chyba najpiękniejszy zakątek morza, jaki kiedykolwiek oglądałem. Niewyczerpany temat coraz to nowych natchnień dla malarzy i muzyków: fale morskie wbrew prawom natury tworzą tutaj góry i doliny. Im dłużej spogląda się na te cuda natury, tym bardziej ogarnia człowieka zachwyty nad pięknnością i rzadkością tego fenomenu. Trudno się oderwać od tych skał, od piany, ryków i szmerów goniących się, i wypoczywających słodko fal.





## Jest taka historia

Ostatniego dnia wczasów chłopcy wypoczęci, opaleni i wyćwiczeni w pływaniu postanawiają na pożegnanie z morzem przepłynąć całą zatokę przy pięknej plaży około jednego kilometra długości. Wszystko do tego zachęca: piękna pogoda, morze spokojne, dobre samopoczucie. Po gimnastyce rzucają się na oślep i spokojnie płyną po cięciwie całego łuku zatoki. Po przebyciu jednej czwartej cięciwy staje się coś nieoczekiwanego. Gdy chłopcy ruszali w morze, nie zauważyłem nadpływającego stada delfinów, które, zabawiając się, trzymały się blisko brzegu, a popłynęły w tym samym kierunku.

Już miały zamiar skręcić do zatoki, gdy czując inne stado płynące prosto, rozbijają się i wchodzą pomieszane w grupę chłopców. Zwalniają tempo i igrają swobodnie, że aż grzbiety błyskają w słońcu. Na ten widok struchlałem, ale stojący obok rybak zapewnia, że te ryby, jeśli nie są zaatakowane, zachowują się spokojnie. Z biciem serca oglądamy tę zabawę przez trzydzieści minut. Na środku cięciwy stado delfinów zawraca kołem i jeszcze raz miesza się z pływakami, podprowadzając ich prawie do następnego przylądka.

Każdy z chłopaków opowiadał potem odmienne wrażenie. Niektórzy pełni strachu, a inni bardzo rozbawieni pytali czy nie zrobiłem zdjęć pamiątkowych z tych „zawodów”. Niestety trudno mi było wtedy myśleć o fotografii.

Jednym z najlepszych pływaków jest aspirant H., który stracił całą rodzinę w Hiroszynie na stacji kolejowej. On sam już nie pamięta, dokąd jechała rodzina, ale na sygnał nalotu wszyscy opuścili pociąg i udali się do schronu. Z braku miejsca matka prawie przemocą posłała go tam jako najmłodszego, a cała rodzina pozostała obok schronu. Po wybuchu bomby a wszystko zaczęło się palić. W powietrzu duszący żar. On na moment wyjrzał ze schronu, ale został odrzucony ciałami padającymi do wewnątrz. Cała rodzina zmarła w kilku dniach, a jego zabrano do szpitala, by leczyć oparzenia na szyi i na nodze. Po miesiącu lekarze stwierdzili zupełne wyleczenie skóry, ale równocześnie zanotowano nieregularny stan krwi. Chłopiec sam zgłosił się potem do sierocińca w Nakatsu. Tam przyjął chrzest św. i przybył do nas jako aspirant na brata. Jest nadzieja, że uniknie przedwczesnej śmierci, bo był młody i rany zagoiły się dobrze. Corocznie przechodzi badania lekarskie.

Niedługo po naszym powrocie do domu zbierają się inni koledzy aspiranci. Przybywa pięciu nowych z Omura, miasteczka z okolicy Nagasaki. Najmłodszego, z samego Nagasaki, przyprowadził dziadek, o którym się mówi, że on również został porażony wybuchem od bomby A. Zaciekawiony pytam go, a on chętnie opowiada. W chwili, gdy zapaliło się na nim ubranie, rzucił się instynktownie do rowu, uwalniając się z tlejącego kimona. Mimo to został poparzony na całym ciele. Pamięta doskonale, że odczuwał ogromne pragnienie, ale nie było wody w pobliżu. Więcej niż rok przebywał między życiem a śmiercią. Próbowano na nim różnych lekarstw. Nareszcie rany się

zabliźniły, ale cierpi na chorobę atomową. Leczenie ma gratis... Należy do starych chrześcijan z Urakami. Inni prawie wszyscy zginęli. Żali mi się, że księża nie nauczają jak powinni to czynić: mówią, by wzbudzić żal za grzechy w niebezpieczeństwie życia. Według niego jest to już za późno, bo wtedy człowiek jest tak przerażony, że zapomina o wszystkim innym.

## Straszliwe tajfuny

W pierwszych dniach września 1954 r. radio zawiadamia o zbliżaniu się naraz dwóch tajfunów: jeden wielka, a drugi nadzwyczajny, mający 600 km średnicy i 60 m na sekundę tj. 216 km na godzinę. Zbliża się natomiast bardzo powoli, bo tylko 10 km na godzinę. Jeśli nadejdzie, to będzie trwał 60 godzin, a więc dwie i pół doby. Najgorsze są tajfuny te długo trwające, ponieważ obejmują wszystko i prócz huraganu powodują powódzie. Pierwszy przybywa siódmego po południu około piątej. Przerwywamy lekcje w południe, by uczniowie mogli powrócić do domu, ale niektóre pociągi już nie kursują, więc około setki eksternistów zatrzymuje się na noc. Przenosimy, co tylko się da, do wielkiego budynku z żelbetonu. W sąsiedztwie już na początku pada kilka domów, więc ludność chroni się do nas. Miasto dzwoni i prosi o przyjęcie chorych ze szpitala zakaźnego, gdyż budynek jest w niebezpieczeństwie. Przyjmujemy wszystkich na trzecie piętro. Z wielką trudnością przewożą chorych, ale w godzinę później już cały szpital z obsługą jest u nas.

Zerwane dachówki rozbijają się pod ścianami. Niebezpiecznie wychodzić, wiatr wydarł kilka okien i drzwi. Nawałnica trwa do trzeciej rano, potem wszystko cichnie. Już nie wracamy do starego domu. Zresztą tam wszystko zalane wodą. Próbuje odpocząć na ławkach szkolnych. Na drugi dzień szpital powraca do siebie. Wysyła dział dezynfekcyjny do odkażenia trzeciego piętra. Usuwamy pozostałości i wodę, naprawiamy szkody o ile to możliwe. Nauki nie ma.

Dwunastego wielki tajfun mierzy wprost na nas. W całym mieście alarm. Woda w rzece jeszcze nie opadła po poprzednim tajfunie. Teraz może grozić wylaniem albo nawet przerwaniem nasypu, co równa się zalaniu całego miasta. Wojsko pracuje nad umocnieniem wałów. Dawne koryto rzeki znajduje się za Kosei Gakuen, więc ewakuuje się całą tamtą stronę. Magistrat prosi znowu o miejsce dla szpitala. Nie można odmówić, ale tym razem dla szpitala rezerwujemy tylko jedną salę muzyczną z umywalką i ustępami, resztę zajmie ludność.

Nasz prefekt wykupuje kilka wozów chleba we wszystkich piekarniach. Najlepsze sale zajmują matki z małymi dziećmi, staruszkowie z Caritas i z miasta, a potem inni z naszego rejonu. Ponieważ w czasie tajfunu wyłącza się siłę elektryczną, nasi aspiranci zakładają we wszystkich salach i korytarzach małe lampki podłączone do baterii od zegarów elektrycznych. Wypełnia się wodą wszystkie zbiorniki. Mamy również studnię z ręczną pompą. W drewnianych zabudowaniach zabijamy deskami drzwi i okna. Do wieczora więcej niż dwa tysiące ludzi zajmuje klasy i korytarze. Aspiranci będą pełnić funkcje porządkowych. Dla niemowląt mamy ciepłe mleko i wodę grzaną gazem, bo ognia nie wolno palić. Dla obsługi chorych wyznaczono specjalną ekipę, przygotowano ciepłą wodę, mleko, ryż, herbatę itd.

Wieczorem rozpoczyna się prawdziwy huragan. Ogromna ulewa: 120 mm na godzinę. Radio miejskie pełni rolę łącznika zbiorczych punktów ludności: szkół, pałaców, żelbetonowych budynków, położonych w bezpiecznych miejscach. Nasza szkoła jest najbardziej oddalona od centrum, ale według radia, najlepiej przygotowana, bo ma zapasy żywności. Co godzinę zajeżdża ciężkie auto z centrali radiowej i nagrywa informacje o stanie szkoły. U nas wszyscy czują się spokojnie.

Trzynastego września siła huraganu wciąż rośnie. Dużo domów jest zniszczonych, a całą nizinę zalała woda. Miasto stoi jakby w jeziorze. Zamarł wszelki ruch. Nigdzie żywej duszy, tylko od czasu do czasu kryty jeep radia przesuwa się ulicami jakby pływał. Radio ogłasza niebezpieczeństwo zerwania tamy, chociaż wojsko pracuje nadal wśród ulewy. Teraz przybywają i najodważniejsi, opuszczając własne domy. W ciągu drugiej nocy nie pokazuje się nawet ciężki samochód radia. Jesteśmy odcięci, słuchamy wiadomości z innych dzielnic, znajdujących się w gorszych jeszcze warunkach od nas. Tam cierpią już głód.

Uratowanie tamy jest już prawie niemożliwe. Wojsko otrzymuje rozkaz wycofania się z nasypu. Brakuje tylko pół metra do poziomu wody. Drugiego dnia i nam trwoga zagląda w oczy: zapasy na wykończeniu. Tylko niemowlęta, dzieci i chorzy mają jeszcze regularne porcje. Trzecia noc zaczyna się strasznie, z chwili na chwilę czekamy na wiadomość zerwania tamy, jeszcze trzydzieści centymetrów w najślabszych miejscach. Deszcz jednak zaczyna się zmniejszać. Uderzenia huraganu wyraźnie tracą na sile. Żyjemy nadzieją uniknięcia powodzi.

O trzeciej nad ranem obserwujemy już tylko przelotne deszcze. Bogu dzięki, radio ogłasza przejście tajfunu, ale poleca ostrożność z racji niebezpieczeństwa ze strony rozmoczonej tamy. Rano cichnie wszystko. Ludność powoli żegna się i wychodzi.

Szpital zatrzymuje się jeszcze do południa. W mieście ogromne spustoszenie: kilku zabitych, wielu rannych i jeszcze nieokreślona liczba zaginionych. Przez radio zapraszamy naszych uczniów do pomocy: przybywa spora grupka do mycia sal i korytarzy. Trzy noce bez zmrużenia oka wyczerpały wszystkich.

Radio tymczasem wyraża pochwały dla Hyuga Gakuin za pełne poświęcenia i wzorowe zajęcie się ludnością. Zaczynają nadchodzić listy z podziękowaniami, a nawet znaczne ofiary od bliskich i dalekich. Staliśmy się przedmiotem podziwu dla okolicy. Osobno miasto, a potem województwo śle podziękowanie i ofiary. Szpital przeprowadza dezynfekcję kompletu zabudowań. Radują nas te objawy wdzięczności i uznania. Nawet burmistrz i wojewoda przyjechali złożyć osobiste podziękowanie w imieniu miasta i województwa.

Pod koniec miesiąca (25 września) radio ogłasza zbliżanie się nowego tajfunu. Przerывamy naukę i jeszcze przed południem odsyłamy uczniów do domów. Dopiero wieczorem, prawie nagle, uderza huragan z całą siłą i tak szaleje do drugiej w nocy. Nie przyniósł zbyt dużo wody, ale za to wyje niesamowicie wicher. Prędko przyleciał, prędko odleciał. Jest mały w średnicy, tylko 200 km, ale gwałtowny i bardzo szybko posuwający się naprzód, więcej niż 60 km na godzinę. Rano już przewiał całą wyspę Kyushu i wpadł Morzem

Japońskim wzdłuż całego kraju aż do Hokkaido. Okazuje się, że zrobił więcej szkody, niż tamten wielki. Zatopił kilka setek łodzi rybackich i pograżył w odmętach okręt z dziećmi, płynącymi z wielkiej wyspy Honshu na Hokkaido. Zginęło ponad tysiąc dzieci w większości dziewcząt udających się na wycieczkę. Dowiedzieliśmy się, że nasze siostry z Tokio miały wziąć udział w tej wycieczce, ale w ostatniej chwili zdecydowały się na wyjazd do Nagasaki. W ten sposób uratowały się od niechybnej śmierci.

W tym roku tajfuny dały się nam we znaki w szczególności. Mimo wszystko jesień, zwłaszcza późna jesień w Japonii należy do najpiękniejszego okresu w całym roku. Po huraganach płynie w powietrzu babie lato. Trwa to dwa miesiące, październik i listopad, a w Miyazaki można dodać śmiało jeszcze połowę grudnia, prawie do Bożego Narodzenia. Są to miesiące zawodów i pokazów sportowych.

## Publiczne procesje

Wyspa Kyushu ma stary zwyczaj urządzania co dziesięć lat wystawy rolniczo-rzemieślniczej w miastach wojewódzkich na zmianę. W tym roku wystawa odbędzie się w Miyazaki. Dla nas to okazja do ciągłych występów. Mons. Cimatti obchodzi złoty jubileusz kapłaństwa i po uroczystościach w Tokio pragnie z nami podzielić się swoją radością. Wierni z całej okolicy wspominają go z miłością i garną się licznie na wspólną uroczystość z okazji roku Maryjnego.

W pierwszą niedzielę grudnia urządzamy wieczorową procesję z pochodniami, lampionami i chorągwiami ku czci Niepokalanej. Rusza ona z misji przez centrum miasta do Caritas i Hyuga Gakuin. Ludność niechrześcijańska wyległa zaskoczona na ulice, przyglądając się pierwszy raz uroczystej ceremonii, której specjalne oświetlenie nadaje coś tajemniczego. Ten nastrój działa głęboko na duszę japońską. Pobożne odmawianie różańca św. oraz śpiewy przy akompaniamencie orkiestry zachwyciły wszystkich. Misja, nasze domy i szkoły wyglądały czarownie w świetle kolorowych lampionów. Po uroczystym błogosławieństwie odbył się koncert śpiewów i muzyki kościelnej.

W Miyazaki wychodzimy również z Katakumb. Nasza procesja nie może się równać z pochodem Dzimmu, ale robi wrażenie poważne, tchnące czymś niezwykłym. Wysłannicy z radia nagrali śpiewy, modlitwy, nawet przemówienia, by je odtworzyć w odpowiednich godzinach przez radio. Garstka wiernych publicznie wyznała swą wiarę oraz zmanifestowała swoją miłość do Najśw. Panny.

## Św. Dominik Savio prowadzi nas pomyślnie w nowy rok

Starania o zatwierdzenie wieczornych kursów uniwersyteckich, rozpoczęte w ubiegłym roku, mają wkrótce być uwieńczone powodzeniem w Ministerstwie Oświaty. Skompletowano grono profesorskie z wybitnych sił.

Teraz czekamy na ostatnie słowo, które zapadnie przed końcem roku. Województwo zapewnia nas, że sprawa zostanie załatwiona pozytywnie. Szkoły misyjne cieszą się zaufaniem władz. Okres Bożego Narodzenia ze znanymi

nam imprezami wytwarza specjalny nastrój dzięki pracy Klubu Dominika Savio. Nowy rok 1955 budzi w nas wiele nadziei. Władze zatwierdziły uniwersytet z tym, że rozpocznie swe zajęcia od kwietnia. Przygotowuje się program zajęć i egzaminy wstępne, bibliotekę i wiele innych pomocy naukowych.

Gościmy pierwszy raz naszego księdza Generała Renato Ziggotti. Nawet władze wojewódzkie i miejskie biorą chętnie udział w przyjęciu.

29 kwietnia następuje inauguracja kursów uniwersyteckich. Stu dwudziestu studentów, wszyscy pracownicy, urzędnicy z urzędów i przedsiębiorstw.

W szkole oprócz naszych aspirantów, zaczyna coraz wyraźniej wybijać się Klub Dominika Savio, liczący około pięćdziesięciu ochotników z trzech klas gimnazjum. Są to najlepsi młodzieńcy, stawiani za przykład innym. Uczniowie Hyuga, widząc aspirantów gorliwie łączących się razem, zapragnęli ich naśladować, biorąc sobie za wzór św. Dominika Savio. Choć nie są chrześcijanami, to jednak umieją docenić to, co jest wielkie, szlachetne i prowadzi ku dobremu. Tak zawiązał się „Klub Dominika” pod opieką naszego furtiana, znanego nam już brata Alojzego - Japończyka, pokornego człowieka, mającego serce księdza Bosko rozumiejącego młodzież. Klub stał się przedmiotem podziwu dla bliskich i dalekich, bo przecież jest to towarzystwo religijne, do którego należą niechrześcijanie.

Jakie są zajęcia w klubie? Spędza się przyjemnie i pogodnie wolne chwile przed odjazdem pociągu. Jest nauka śpiewu, dyskusja na różne tematy, czytanie i tłumaczenie Pisma Św., wzajemna pomoc w nauce języków obcych, wesołe zabawy itp.

Rodzice zainteresowali się tym oryginalnym klubem, gdzie nie ma zarządzeń dyscyplinarnych, a wszystko układa się na zasadzie koleżeństwa i przyjaźni. Otrzymują też raz w miesiącu zaproszenia na wspólną przechadzkę, do teatru lub na karty. Urządza się też konferencje o sprawach aktualnych np. w jaki sposób rodzice mogą pomóc szkole w wychowaniu ich dzieci itp. Jest to swego rodzaju pedagogizacja dorosłych. Wiele rodziców zapisuje się do klubu z obowiązkiem uczęszczania na zebrania raz w miesiącu. Z czasem sami proszą o wykłady z religii, która posiada tak wielkie bogactwo treści dotąd im nieznanych, a tak bardzo odpowiadających ich potrzebom. W ten sposób rodzice z dziećmi współzawodniczą w poznawaniu chrześcijaństwa i przygotowują się z całą naturalnością do jego przyjęcia. Chrzty, których udziela się w Hyuga, są po większej części owocem tej miłej i oryginalnej pracy brata Alojzego i jego awangardy — Klubu Dominika.

W klubie nie ma składek, a przecież wciąż są jakieś wydatki. Klub posiada swoich pomocników i dobrodziejów. Brat Alojzy umie ich organizować. Wyciąga rękę po dary, po jałmużnę do tych, którzy mogą dać i czynią to chętnie. Np. wojewoda czy burmistrz, raz zaproszeni na wspólne zebranie z rodzicami, zostają nie tylko pomocnikami klubu, ale jego przyjaciółmi. Brat Alojzy wypisuje listę potrzeb i wysyła. Na liście dobrodziejów pierwsze miejsce zajmuje książę Takamatsu, brat Cesarza. Podobnie jak w Tokio wspomagał Salesio Gakuen, tak w Miyazaki pamięta o Klubie Dominika. Na Nowy Rok lub na urodziny nadchodzą podarunki: przybory sportowe, szkolne, instrumenty muzyczne jak fujarki lub harmonijki ustne oraz paczki ze słodyczami.

Ostatnio księżę zawitał do Miyazaki pod koniec czerwca. Orkiestra nasza wzięła udział w uroczystym przyjęciu, ale miasto wypełniając program pobytu co do minuty, nie pozostawiło czasu dla nas. Ponieważ księżę nie mógł przybyć do nas, brat pisze piękny list do hotelu „do rąk własnych księcia”. Księżę robi wyjątek w programie i wysyła bratu urzędowe zaproszenie za pośrednictwem władz wojewódzkich i to w tym samym dniu. Zaskoczeni urzędnicy przysyłają specjalny samochód na wyznaczoną godzinę ceremonii. Brat Alojzy dziękuje księciu za życzliwość i zdaje mu sprawozdanie z działalności klubu, całej naszej uczelni oraz nowo rozpoczętych kursów uniwersyteckich. Na pożegnanie ofiaruje księciu drobną pamiątkę: medalik Matki Bożej i nowo kanonizowanego Patrona św. Dominika Savio. Władze odwożą brata wśród głębokich ukłonów.

Ostatnio brat Alojzy w porozumieniu z zarządem klubu postanawia zainteresować nim wszystkich dyrektorów i nauczycieli gimnazjów miejskich. Załącza krótką historię i wyniki pracy z młodzieżą w nowym klubie Hyuga, a jednocześnie zaprasza profesorów i młodzież, aby zechcieli zapoznać się bliżej z tą formą pracy. Rezultat był bardzo dobry. Wszystkie gimnazja wybrały najlepszych chłopaków, którzy nawiązali z nami bliski kontakt. Trzy razy w tygodniu przychodzą licznie i współpracują z naszymi wychowanymi. W ten sposób rośnie krąg przyjaciół: dyrektorzy, profesorowie, przedstawiciele przedsiębiorstw miejskich i wojewódzkich zapoznają się z pracą klubu Dominika. Naśladują nas w tym nasze szkoły z Osaka i Tokio i organizują kluby Dominika dla niechrześcijan.

## **W poszukiwaniu powołań kapłańskich i zakonnych**

Corocznie przed Wielkanocą wybieram się do Nagasaki w poszukiwaniu kandydatów do naszego aspirantatu. Okolice Nagasaki, mimo strasznego zniszczenia atomowego, pozostały nadal centrum życia chrześcijańskiego, a więc i źródłem powołań do kapłaństwa. Witają mnie serdecznie dawni wychowankowie z seminarium, dzisiaj szanowani proboszczowie. Oni to przygotowują wśród młodzieży nowy narybek dla diecezji i dla zgromadzenia.

Jeden z nich pracuje w Sasebo, słynnej bazie morskiej. Wiozę już ze sobą z Nagasaki czterech chłopców. Zatrzymujemy się u niego w Wielki Czwartek. W miłym kościółku odbywa się adoracja w ciemnicy, więc dołączamy się z chłopakami do licznej grupy miejscowych wiernych. Przy wyjściu z kościoła zatrzymuje mnie jeden pan i prosi o modlitwy. Wypytuje mnie o pochodzenie, stwierdzając, że nie jestem „tutejszy”. Odwzajemniam się pytaniami o zdrowie, rodzinę, przynależność do partii itd. Opowiada, że on również nie jest „tutejszy”, bo pochodzi z Urakami, nawiedzonego bombą atomową. Mieszka za górą, więc się uratował. W owym jednak dniu wysłał żonę z dziećmi do kościoła, bo była kolejka do spowiedzi w jego dzielnicy... I oni już więcej nie powrócili. Pozostali tam z księżmi i innymi wiernymi... Teraz zwiedza kościoły w całej okolicy. Wielka jest wiara tych dawnych chrześcijan, potomków męczenników z Nagasaki. Są to jakby inni ludzie z innego świata. Dzisiaj żyją jeszcze tak jak za czasów św. Franciszka, jak pod prześladowaniem żyli ich ojcowie, żywą wiarą, która przenosi góry... Niestety jest dla nich okazją do wzmocnienia wszystkich cnót teologicznych i moralnych.

Wracamy w Wielki Piątek po całonocnej podróży. Aspirantów mamy 54. Wszystkich studentów z akademikami włącznie 909: w gimnazjum 150, liceum 559, kursy uniwersyteckie 200. Na Wspomożycielkę 24 maja 1956 obchodzimy pierwsze dziesięciolecie nowej szkoły powojennej. Rozpoczęło się od gimnazjum w szopie, skleconej z desek, bez dobrego dachu nad głowa i ławek do siedzenia. To były lata heroiczne. Bez przyborów szkolnych, bez książek, panował jednak wielki entuzjazm w sprawie szkoły misyjnej, jak ją nazwano od początku. Potem wybudowano z trudnością małe pawilony. Dobudowano je trzy razy z drzewa. Po pięciu latach przeniesiono je, by na ich miejscu wzniesić gmach żelbetonowy, cudo sztuki budowniczej w swej prostocie.

Zacząło się od czterdziestu chłopaków, a po dziesięciu latach jest ich 909 podzielonych na trzy wielkie sektory. Budowa „pałacu” trwała trzy lata. Przeżywaliliśmy moc kłopotów i trudności. Ludność okoliczna, nie znając prawdy, kiwała głowami: „Ci misjonarze mają za dużo pieniędzy i nie wiedzą, co z nimi robić”!

W owym czasie żył jeszcze, chociaż złożony chorobą atomową, słynny katolicki doktor Nagai. Przed inauguracją uczniowie napisali do niego list z pozdrowieniem, wyrazami współczucia w chorobie oraz z wiadomościami o nowej szkole z żelbetonu, pierwszej na całe województwo, która jest chwałą Miyazaki i dzieła salezjańskiego w Japonii. Z tego listu biła duma młodych ludzi, że w ich szkole są białe cementowe ściany, wielkie schody ze sztucznego marmuru i ogromne żelazne oszklone okna. Dobry lekarz odpisał im pędzelkiem na bielutkim papierze z ryżu. Na pierwszej kartce wymalował kontury statuy Matki Bożej i skreślił kilka słów podziękowania za współczucie, pozdrowienia i wiadomości. A potem dodał: „Dzieci moje drogie i kochani rodacy... nie chwalcie się żelbetonem i wysokimi ścianami, bo wartość człowieka nie na tym polega. Cieszcie się raczej z poznania Boga i ochoty służenia Mu przez całe życie swoje aż do deski grobowej. Raduję się, że otwieracie nową szkołę w uroczystość naszej Opiekunki Maryi Niepokalanej Wspomożycielki. Jestem z wami duszą i modlitwą... Odmawiajcie zawsze różaniec, wszędzie różaniec, osobno różaniec i wspólnie różaniec...”

Do listu załączył książkę napisaną dla wszystkich dzieci, którą pozostawia. W niej między innymi zamieszcza taki testament: „Ludzkie życie, które zmierza do wielkiego ideału, jest pogodne. Ono odnawia się z dnia na dzień. Idźcie więc, kochane dzieci, przez życie jedną drogą, bez zatrzymania się i odrywania oczu od waszego ideału, który wybraliście. Jeśli wasz ideał jest nikły, to i owoce waszego życia będą znikome. Jeśli ten ideał jest nadzwyczajny, wasze życie też nie będzie marne. Ideał, który chcemy osiągnąć, musi być piękny, wielki i wzniosły. Uważajcie, by wasz ideał nie był egoistyczny. Niech to będzie ideał, co raduje wszystkich, całą ludzkość. Jeśli będzie taki, co rozpromienia cały rodzaj ludzki, to na pewno podobacie się Bogu. Ideały, które wam przyświecają, powinny być zawsze w zgodzie z myślą Bożą”...

Po uroczystej mszy św. w salonie, wysłuchanej z wielką uwagą i szacunkiem przez uczniów i ich rodziny, odbyła się druga część uroczystości dziesięciolecia: akademia na „Dzień Matki”. Najpierw oddano cześć Matce nad matkami Maryi Najśw. Z kolei młodzież złożyła podziękowanie mamusiom z odpowiednimi podarunkami i bukietami kwiatów. Na zakończenie grupka

matek wykonała na scenie piękny taniec figurowy w dobranych kimonach. Owacjom nie było końca!

Na początku czerwca otrzymuje chrzest św. prezeska kółka rodziców, ale już na łożu śmierci. Za kilka dni odbywa się jej pogrzeb w misji, z udziałem przedstawicieli grona profesorskiego i wszystkich klas, uczniów oraz ich rodziców.

## **Dziesięciolecie instytucji wychowawczej**

Liczba chrztów wzrasta do kilkudziesięciu rocznie. We wszystkie ważniejsze święta, jak Boże Narodzenie, księdza Bosko, św. Dominika, Wielkanoc, Wspomożycielki, Wszystkich Świętych i Niepokalanej udziela się kilku lub nawet kilkunastu osobom chrztu.

W marcu 1957 r. po raz pierwszy rozdajemy dyplomy ukończenia kursów uniwersyteckich. Nowy rok szkolny przynosi wzrost liczby studentów do 1022, a więc przekraczamy tysiąc słuchaczy. Województwo nastaje znowu na otwarcie kursów dziennych i dlatego projektuje się rozbudowę sześciu nowych klas jako drugie skrzydło głównego gmachu, którego jedną stronę zajął już wielki salon. Planuje się również urządzić podobne kursy dla dziewcząt pod opieką sióstr urszulanek z Nobeoka.

Dwa smutne wydarzenia uderzają w nas prawie jednocześnie: udar mózgu mons. Cimatti'ego i poważna choroba jednego ze starszych i zasłużonych tutejszych profesorów. Mons. Cimatti'ego udaje się jeszcze uratować, ale profesor O. żegna się z tym światem. Jako gorliwy katolik był przed wojną dyrektorem wielkiej szkoły żeńskiej na Formozie. Miał dwoje dzieci, które stracił w czasie wojny, syn zginął na froncie. Wysiedlony przybył do Miyazaki i tutaj spotkał mons. Cimatti'ego, który zaprosił go do pracy w zawiązującej się szkole misyjnej.

Człowiek głębokiej wiary był do końca szczerze oddany mimo ciężkich warunków życia. Przyjemny i szczerzy w obejściu pozyskał sobie serca grona nauczycielskiego i młodzieży, do której, jako profesor nauk przyrodniczych, miał dobre podejście. W urzędach miejskich i wojewódzkich cieszył się on wielkim poważaniem. Najpierw wykładał biologię w średniej i wyższej szkole, potem pełnił urząd sekretarza szkolnego. Zdobył sobie zaufanie i szacunek u wszystkich. On przeprowadził wszystkie urzędowe starania odnośnie nowo powstających kursów uniwersyteckich i rekrutacji grona profesorskiego. Dla aspirantów miał zawsze specjalne względy i darzył wszystkich swoją ojcowską przyjaźnią. Mimo poważnych i odpowiedzialnych zajęć, umiał zyskać sobie młodzież, zawsze pogodny i pełen dowcipu. To też pożegnaliśmy go wśród smutku i łez. Pozostał na zawsze w myśli i sercu każdego, jako człowiek oddany bez reszty Bogu i bliźnim. Niech spoczywa w pokoju!

W Japonii ocena wyższych szkół zależy nie od ilości uczniów, bogactwa wyposażenia w pomoce naukowe czy we wszelki sprzęt sportowy. Liczy się liczba abiturientów, którzy zdają egzaminy do kilku słynnych uniwersytetów znajdujących się w Tokio, Kyoto, a dla nas również na Północnym Kyushu. Radio i dzienniki ogłaszają liczbę tych szczęśliwców z każdej szkoły. Ich wysoki procent przynosi największą chwałę szkole. My nie dochowaliśmy się ich jeszcze wielu, ale z roku na rok liczba się powiększa.



## Osiedle biedoty

Na północy od naszej placówki, za starym korytem rzeki Oyodo, ciągnie się droga, a za nią już piaszczyste pagórki. Są one świadectwem zmian, jakich dokonała woda, niszcząc brzeg z jednej strony, a przymulając z drugiej. Dawniej były to miejsca pozostawione odłogiem, pełne ostów i zarośli, spokojne żerowiska dla zwierząt i ptaków. Po wojnie jednak krajobraz zupełnie się odmienił. Na środku rozłogów w małej dolinie powstało coś na kształt wioski, czy może miasteczka. Postronny widz wzięłby je za dzielnicę slumsów.

Jest to świeżo powstała osada biednych przesiedleńców z południowych wysp, szczególnie z wyspy zwanej Amami Oszima, leżącej w połowie drogi między Kagoszmą i Okinawą. Ludzie ci żyją z drobnego handlu w pobliskich wioskach, z pracy najemnej na roli, z drobnego rzemiosła jak wyroby z drzewa, z bambusu; zabawki, naczynia, koszyki, wreszcie utrzymują się z posługi w mieście, na kolei, z pracy niewdzięcznej liczącej się dorywczo, słabo płatnej. Zrównano całe wzgórze, podzielono i oddano na uprawę słodkich ziemniaków, orzeszków ziemnych i tataraku, bo na piachach nic lepszego nie rośnie. Władze wojewódzkie i miasto przyjęły tych bezdomnych, dopóki jakoś nie ułoży im się życie. Utrzymują się przede wszystkim z zapomogi. Tymczasem słodkie ziemniaki to wspaniałe materiały na gorzałkę, więc osiedle słynie z pędzenia bimbru.

Niezapomniane wydarzenie pozostało mi w pamięci z tego osiedla. Było to w czasie nadchodzącego tajfunu. Gdy mocne wichry rzuciły się od morza na nasz łód stały, zauważyłem dziwne zjawisko: z czterech stron świata leciały skłębione chmury w stronę osiedla. Zaskoczyło mnie to ogromnie. Nagle nad osiedlem ukazał się czarny słup, wystrzelający gdzieś wysoko aż do chmur. Słup przesunął się powoli przez osiedle, zostawiając po sobie szeroki korytarz. Zdawałem sobie sprawę, że to jest trąba powietrzna, a lecące z góry odpadki, to szczątki dachów, ścian i mebli nieszczęsnych mieszkańców. Oglądałem potem z bliska ten korytarz, ciągnący się w osiedlu na przelaj od końca do końca. Na szerokości sześćdziesięciu metrów zabudowania zniknęły kompletnie.

Siostry z dzieła ks. Antoniego Caritas otworzyły tam najpierw kuchnię dla najbiedniejszych i dla dzieci, a potem gratisową ochronkę-przedszkole, szpitalik i na końcu zbudowały kościółek z domkiem dla sióstr. Mam okazję często tam zaglądać i odprawić mszę św. dla dusz spragnionych Chrystusa.

## Kandydaci do Zgromadzenia

Aspiranci przybywają do nas z różnych stron i środowisk. Najbogatszym źródłem są gminy chrześcijańskie z dziada pradziada w okolicy Nagasaki i na pobliskich wyspach Hirado i Goto. Jest też spory napływ z naszych zakładów i szkół w Tokio, Osaka i Nakatsu oraz z misji w Beppu, Oita i Miyazaki, ostatnio zaś z Klubu Dominika. Skądkolwiek przybywają mają już za sobą odpowiednie przygotowanie do stanu, na który się zdecydowali po uprzednim rozważeniu wszystkich za i przeciw życia zakonnego.

Kandydaci z zakładów należeli już tam nie tylko do wzorowych chrześcijan i uczniów, ale wykazali swe zdolności organizacyjne, aktywność w towa-

rzystwach religijnych i koleżeńskich pod opieką przełożonych a zwłaszcza dyrektora domu. Inni, wywodzący się z misji, przeszli również czas małej próby wśród rówieśników, pozostawiając tam dobrą opinię i wzorowy przykład. Ci zaś z parafii chrześcijańskich wywodzą się z rodzin, których przodkowie męczeństwem potwierdzili wyznawaną wiarę.

Te wszystkie zalety opromienia u nas duch księdza Bosko, wychowawcy i ojca biednej, opuszczonej młodzieży. Mimo idealnych założeń, życie wewnętrzne i zewnętrzne ulega zmianie tak, że dzisiejszy aspirant różni się znacznie od dawnego z małego seminarium. Spotęgowało się poczucie wolności i możliwości pracy. Dziś tworzymy już nie zamkniętą wspólnotę, ale żywotny załazek otwierającego się kwiatu, który urzeka swym nektarem z bliska i z daleka. Kandydaci stają się ważną podporą szkoły i jej środowiska. Młodzi żyją duchem misjonarskim, stąd promieniują na otoczenie. Wzorowi w zachowaniu, pilni w nauce, usłudźni w każdej potrzebie są prawą ręką profesorów, którzy darzą ich pełnym zaufaniem w organizowaniu imprez szkolnych. Oprócz regularnych lekcji, mają osobno naukę łaciny, religii i Pisma Św. słowem są uczniami w szkole na równi z eksternistami. Są lubiani jako koledzy, szanowani jako uczniowie, poważni jako kandydaci do kapłaństwa i zakonu, sami zaś chcą być zawsze wszystkim dla wszystkich.

Piątego maja, w dzień chłopców ks. inspektor z Tokio proponuje mi funkcję zastępcy mistrza nowicjuszów, gdyż obecny magister jedzie na naszą kapitułę generalną jako przedstawiciel misji. Podobnie jak mons. Cimatti mówi, by się zastanowić, pomodlić się i dać mu odpowiedź...



## Na stanowisku mistrza nowicjatu

Nowicjat rozpoczął się w marcu, a mnie przypada objąć jego kierownictwo w czerwcu i to po księdzu Renato. Gdyby nie to, że dyrektorem domu jest mons. Cimatti, u którego boku można zawsze czuć się spokojnie, to na pewno nie miałbym odwagi podjąć się tego zadania. Pocięszam się, że to tylko chwilowe zastępstwo ks. Renato, który powróci w marcu a może i prędzej. Nowe doświadczenie zawsze przyda się w życiu.

Nowicjuszów jest dziewięciu, sześciu kleryków i trzech braci. Większość wyszła spod moich rąk z Miyazaki, więc znamy się niezłe. Uczyłem ich łaciny przez sześć lat i ćwiczyłem z nimi w orkiestrze. Program jest już z góry wytyczony, ale mimo to wiadomo, że wartość i owoce nowicjatu w dużej mierze zależą od pracy i przygotowania mistrza. Odczuwam potrzebę osobistego dokształcenia się. Wszystko planujemy razem i wspólnie realizujemy.

Nasi młodzi kandydaci do zgromadzenia mają wystarczająco dużo czasu na wypoczynek i rozrywkę, ale praca też jest programowana odpowiednio. Wymaga ona natężenia zarówno myśli jak i mięśni. Dużo czasu poświęcamy na skupienie i modlitwę.

Nie epatuję się predyspozycjami Japończyków do życia wewnętrznego. Jeśli poganizująca się Europa pozostaje pod wrażeniem takich zjawisk na Wschodzie, jak „yoga”, „dzadzen”, „dżudo” i „karate” w sporcie, to bardziej powinna się zachłysnąć chrześcijaństwem w percepcji Wschodu. Psychika Hindusa, Wietnamczyka, Chińczyka, Koreańczyka czy Japończyka przyjmuje chrześcijaństwo i przeżywa tak jak Piotr i Paweł autentycznie i całościowo. Wschód nie lubi półsłówki: być może, zależy, jeżeli itp... On traktuje Ewangelię Chrystusa dosłownie, zgodnie z Jego nakazami, tak..., tak..., nie..., nie... Co więcej: stosuje ją w swym życiu sine glossa (bez poprawki)... nie interpretując na korzyść własnej wygody.

Moje różne obawy okazały się bezpodstawne. Już od połowy maja tzn. od Wniebowstąpienia Pańskiego obejmuję nowe obowiązki: codziennie trzy wykłady, pogadanki osobiste, wspólne zabawy na boisku sportowym, przechadzki, wycieczki, posiłki i modlitwy. Mamy nawet oddzielny dom mieszkalny. Czujemy się w nim jak jedna rodzina. Cała instytucja dzieli się na trzy wspólnoty: studenci teologii, studenci filozofii i nowicjusze. Każda grupka posiada własnych odpowiedzialnych pod jednym dyrektorem mons. Cimatti'm. Tylko w kaplicy i w jadalni spotykamy się razem. Są nawet trzy boiska sportowe do dyspozycji.

Trzy nasze domy: sierociniec, szkoła i studentat tworzą jakby wielki trójkąt równoramienny, którego kąty leżą na równinie znanej od dawna z bogatej uprawy ryżu - Mussaszino. Równina ta ciągnie się aż do podnóża pasma górskiego, w którym dominuje święta góra Fudzi. Jest to okolica zdrowa i mniej

zamieszkała, dlatego wielu mieszczuchów przyjeżdża na wycieczki, pikniki i pielgrzymki do świątyń itd.

Nasze życie cechuje wielka różnorodność mimo pozornej monotonii zajęć. Młodzi mają moc okazji do wypróbowania swoich sił i zdolności organizacyjnych w przeróżnych imprezach miejscowych i poza domem. Oprócz własnej, mamy pięć kaplic do obsługi, a zaproszenia na uroczystości do różnych placówek sypią się jak z rogu obfitości. Na wysokim poziomie stoi śpiew liturgiczny, stąd często zapraszają nas do radia. Oprócz większych uroczystości kościelnych mamy nasze specyficzne, jak obłóczyny, śluby, święcenia, zawsze bogato urozmaicone występami.

Dziesięć lat miałem szczęście pracować w nowicjacie wśród młodzieńców pełnych zapału. Jeden rok tej praktyki jest wart dziesięć lat nauk ścisłych, ponieważ stanowi wielką szkołę życia. Siedemdziesięciu gorliwych apostołów Bożych przeszło przez moje ręce, wszyscy synowie Dalekiego Wschodu: Japończycy, Koreańczycy, kilku pół-Chińczyków. Nie zapomnę ich nigdy.

## **W drodze do ojczystego kraju**

Nadarza się pierwsza okazja odwiedzenia rodziny w kraju. Od wyjazdu na misje minęło dwadzieścia trzy lata, od święceń kapłańskich czternaście. Po dwóch latach pracy w nowicjacie pod koniec marca 1960 roku znowu wsiedam na okręt, ale jadę w odwrotnym kierunku z Japonii ku Europie, tym razem na francuskim okręcie „Marselliese”.

Po wypłynięciu z portu w Yokohama zostaję kapelanem okrętu. Ponieważ nie ma kaplicy okrętowej, msza św. odprawia się codziennie w salonie drugiej klasy, a w niedzielę i święta w salonie pierwszej klasy. Bierze w niej udział cała załoga z kapitanem na czele. Grono Japończyków, liczące kilkanaście osób, trzyma się razem: są dwie siostry z francuskiego zgromadzenia Nevers, do którego należała św. Bernardetta, mające szkołę w Osaka, jeden brat Marian, kilku profesorów z Osaka i młoda para z naszej okolicy, udająca się do Francji w podróż poślubną. Dni płyną przyjemnie i wesoło, mimo normalnie burzliwego morza. Wszyscy przychodzą chętnie na nabożeństwo. Niechrześcijanie słuchają z ciekawością homilii katolickich, okazując coraz to większe zainteresowanie, zwłaszcza profesorowie z uniwersytetów, ci chętnie wracają nawet w pogadankach i dyskusjach do tematu religijnego.

Krótki pobyt w Hong-Kongu nie przynosi szczególnych wrażeń. Stwierdzam tu tylko straszliwe przeludnienie. Daleki Wschód jest podobny do siebie, a przecież znamy się już niezłe. Salezjańskie szkoły i kościoły cieszą się wielkim uznaniem w tym morzu główek o skośnych oczach, ludzi o drobnych nóżkach i skromnych wymaganiach, mimo że i bogaczy też nie brakuje. Na statku prawie cała obsługa mówi dobrze po włosku, zwłaszcza marynarze z Korsyki.

W Manili na Filipinach zatrzymujemy się dwa dni, dobra okazja zwiedzenia miasta. Przede wszystkim chciałbym zobaczyć leżącą już poza miastem szkołę techniczną salezjańską w Mandaluyong. Jest to jednak wielkie ryzyko, bo Manila od czasów wojny jest wciąż niebezpieczna dla turystów, zwłaszcza z Japonii: żaden z Japończyków tu nie wysiada, bo to grozi pewną śmiercią nawet w biały dzień. Polecam się opiece Anioła Stróża i wsiedam do czer-

wonej taksówki. Kierowca, słysząc adres, okazuje zakłopotanie, że to niby daleko, ale ostatecznie ruszamy w drogę. Obliczając zakręty na skrzyżowaniach, zauważyłem, że krążymy mniej więcej w centrum miasta. Widząc, że już dwa razy zbliżamy się do tego samego kościoła, kazałem zatrzymać się ma ruchliwym skrzyżowaniu, co kierowca uczynił z widoczną niechęcią. Odpowiada mi, że nie wolno mu tam jechać. Wywiązuje się między nami sprzeczka. Tymczasem nabierało się trochę przechodniów, policjant kierujący ruchem zaczyna zerkać w naszą stronę. Dołącza się do rozmowy elegancki pan. Wsiadł z pięknej limuzyny i zainteresował się księdzem. Wy tłumaczyłem mu, jak sprawa stoi, więc zbeształ taksówkarza i chciał go odprawić z niczym, ale dałem mu kilka drobnych monet i odjechał. Mój przygodny znajomy sam podwiózł mnie do salezjanów i wręczył mi swą wizytówkę, która dotąd zachowuję: C. r. G. przedstawiciel morskiego radia. W drodze wytłumaczył mi całą sprawę i grzecznie zwrócił uwagę na brak roztropności z mej strony, gdyż takich jak ja często tu okradają. Czerwone taksówki jepp nie mogą wyjeżdżać poza obręb miasta, tylko specjalne ze śródmieścia. Tam powinien być dowieźć mnie taksówkarz z portu. Wśród pięknej zieleni, mimo że dopiero początek kwietnia, dojeżdżamy do zakładu. Dziś jest on pusty, bo uczniowie z jakiegoś powodu mają dzień wolny od nauki. Kierownik szkoły postanowił wybadać kierowcę, który samorzutnie przywiózł mnie, a teraz oczekuje spokojnie w portierni, gdzie mu podano zaledwie napiwek z Coca-Coli dla przepłukania gardła. Przełożony po otrzymaniu wizytówki aż poczerwieniał z zadziwienia i zażenowania. Okazało się bowiem, że to jest brat największej dobrodziejki zakładu, który posłyszawszy o salezjanach, pofatygował się sam z gościem. Ugoszczono go serdecznie. Przy rozstaniu poprosił mnie tylko o modlitwę w Lourdes w intencji swej rodziny.

Po raz trzeci przystajemy w Sajgonie w Wietnamie. Zatrzymujemy się tu aż trzy dni. Miałem sposobność zawiadomić tutejszych współbraci listem z Tokio. Do portu przybył jeden z księży w białej sutannie. W mieście znajduje się wielki sierociniec salezjański dla starszej młodzieży: szkoła mechaniczna. Przy wejściu zdumiewa wielkie boisko sportowe, porośnięte zieloną trawą z trochę dziwnymi zabudowaniami: duże szopy bez sufitu i okien, ustawione rzędami regularnie w jakimś dziwnym porządku. Główny domek piętrowy, niezbyt duży, z daszkiem od frontu krótko podciętym powoduje jakieś znajome reminiscencje jakbym już to gdzieś widział. Jest to stara stacja kolejowa Go Vap, którą ofiarowano salezjanom na sierociniec. Dużo było pracy z usuwaniem torów i równaniem terenu, ale oprócz dziwnych budynków nic już nie mówi o dawnym przeznaczeniu.

Jako gość otrzymałem najlepszy pokój wyłożony płytami jak w łazience. Jest to gabinet zawiadowcy stacji. W szopach czy magazynach rozmieściły się sypialnie, pracownie, klasy do nauki, kuchnia z jadalnią, no i obszerna kaplica, mogąca pomieścić czterystu chłopaków na bosaka, w rozchełstanych koszulach. Młodzież azjatycka jakże się różni od tej z Dalekiego Wschodu. Wietnamczycy to jak Hiszpanie czy Włosi naprawdę żywe srebro: otwarci, przyjaźni, serdeczni, a jako katolicy są oddani kapłanowi bez reszty. Przemawiają do gościa z największą naturalnością i pewnością, jakby on rozumiał ich dźwięczny szczebiot. Oczy i cała fizjonomia tłumaczą wystarczająco te niezrozumiałe, ciepłe dźwięki. Pod wieczór po nauce i pracy ćwicz na po-

dwórzku orkiestra dęta, ustawiona szóstkami w dziesięć rzędów - więcej niż pięćdziesięciu grających. Reszta wychowanków otacza ten hufiec żywym rejem, wywijając w takt rękami jakby w tańcu figurowym. Modlitwy wieczorne pod gołym niebem wywierają na mnie niezwykle wrażenie. Dźwięczny chór tak przykuwa uwagę, że aż ogarnia mnie żal, że nie mogę utrwalić tego na płycie. Modlitwy są krótkie, ale jakieś serdeczne i ciepłe, bo skupiona młodzież wyśpiewuje je raz prawie niedosłyszalnym szmerem, to znów wybucha jakimś wołaniem rozdzierającym głąb duszy. Zdołałem pojąć jedną tylko modlitwę, potrójne Zdrowaś z zapowiedzią przewodnika o srebrnym, donośnym i zarazem miękkim tonie: Najświętsza Mario Panno, spraw, bym zbawił duszę moją!

Następnego dnia jest Niedziela Palmowa. Po mszy św. idę zwiedzić katedrę. Jest akurat suma. Katedra szczelnie wypełniona ludźmi, tak że jest niemożliwe dostać się do wnętrza. Rezygnuję i czekamy w cieniu drzew, spoglądając na biały piasek, na białą świątynię i słuchając dochodzących przez otwarte podwoje śpiewów i modlitw. Nareszcie wysypuje się barwny ludek jak pszczoły z ula, na szeroki plac, gdzie stoi dzwonnica z jednej i grota ze statua Matki Bożej z drugiej strony. Matki z dziećmi zatrzymują się jeszcze przy grocie na modlitwę. W rękę niosą palmy, uwite w warkocz z białych listków, nie mogę jednak zorientować się, z jakiej rośliny.

Po południu mam do dyspozycji jeep z kierowcą, który radzi mi przecze-kać upały aż do czwartej. Rezygnuję z dobrej rady i jedziemy najpierw w stronę żyznej równiny Mekongu. Szosa lekko asfaltowana wiedzie wśród pól ryżowych, gdzie kobiety w czarnych ubraniach i stożkowatych kapeluszach ze słomy są jakby pogrążone w plewieniu trawy wśród wysokich i bujnych latorośli. Samochód przesuwają się wciąż przez lasy: drzew gumowych, zarosli bambusowych, wśród których widać mizerne osiedla dość regularnie rozmieszczone. Tutaj na polach nikt nie pracuje. W środku osiedla wznoszą się skromne kościółki z wieżyczkami. Co kilometr spotyka się te niby wioski, prawie identycznie zbudowane. Im dalej się posuwamy, tym większy ogarnia mnie podziw. Przy ogrodzeniu wokoło kościółka znajdują się domki licho sklecone, z dachem zaledwie zawieszonym na słupach. Przed kościołem bawi się grupka dzieci lub rozmawia w cieniu drzew. Zatrzymujemy się na jednym z placów i idziemy do kościółka, a dzieci gromadą wybiegają naprzeciw i z rączkami złożonymi wydają charakterystyczne dźwięki pozdrowienia: ciau-ciau! Otaczają księdza ze wszystkich stron i prowadzą do kościółka. Wewnątrz półciemno, a tylko czerwona lampka mruga przed ołtarzem. Podłoga to klepisko dobrze ubite z gliny. Dla ciekawości zwiedziłem kilka tych osiedli, spotykając się wszędzie z podobnym przyjęciem. W każdym kościółku było zawsze kilka osób pogrążonych w modlitwie: rzecz charakterystyczna, nikt się nie ogląda ani nie zwraca uwagi na wchodzących. Kierowca mnie objaśnia, że są to przesiedleńcy z północnego Wietnamu. Opuścili cały dobytek i przybyli tutaj z gorącą wiarą, aby się rozlokować na pustym wybrzeżu. Pochyliłem głowę przed tymi wyznawcami Chrystusa.

Nawracamy ku północy do miejscowości Thu Duc, oddalonej jeszcze około 40 km. Kierowca mi zapowiada, by nie otwierać drzwi pojazdu. Wjeżdżamy bowiem w strefę obronną. Wkrótce ujrzałem zbrojne patrole na skrzyżowaniach dróg, w laskach gumowych, na przyczółkach mostów. Przy wjeź-

dzie na most kolejowy, który służy zarazem dla ruchu kołowego, karabiny maszynowe zwracają się automatycznie w stronę każdego pojazdu, więc i naszego. W wypadku, gdyby się ten nagle zatrzymał, wypuszczają salwę, ratującą w ten sposób most od ewentualnego wysadzenia go w powietrze. Podobnie gdyby jadący samochodem otwierał drzwi w trakcie przejeżdżania przez most.

Wreszcie skręcamy w bok drogi i jesteśmy na piaszczystym, wypalonym placu z kilku zabudowaniami. To cel naszej podróży: dom dla kandydatów do kapłaństwa, aspirantów salezjańskich. Dyrektorem jest misjonarz Jugosłowianin i ma do pomocy kilku Chińczyków, bo Wietnamczyków jeszcze nie mamy. Małych seminarzystów jest pełna setka, tyle ile tylko dom z trudem może pomieścić. Największym zmartwieniem dla przełożonych to brak miejsca i środków utrzymania dla licznie zgłaszających małych kandydatów. Żali się ks. dyrektor, że prawie codziennie i to z bólem serca daje odmowną odpowiedź na prośby nadchodzące od rodzin. On sam już chorowity, ale ponieważ jedyny zna dobrze język miejscowy, więc pozostaje na posterunku.

Młodzież zdaje sobie sprawę z warunków, jakie przeżywa kraj, więc stara się za wszelką cenę nie tylko odpowiedzieć na zabiegi przełożonych, ale sama podejmuje się trudów i obowiązków prawie nad siły. Czas prędko leci, przyglądam się jeszcze ich podwieczorkowi: kosz bananów dobrej wielkości. Każdy otrzymuje jednego banana i spożywa go prawie z nabożeństwem bez uronienia nawet okruszyny.

W poniedziałek powrót na statek okrężną drogą przez centrum miasta. Oglądam jeszcze raz katedrę, tym razem i wewnątrz. Kilkudziesięciu wiernych i tutaj trwa stale na modlitwie. Ksiądz Chińczyk, który mnie odwozi, opowiada o obecnym arcybiskupie Sajgonu. W czasie prześladowań, które prawie stale nawiedzały ten gorliwy w wierze naród, cała jego rodzina również ukrywała się w dżungli. Najpierw starsze rodzeństwo zostało wyłapane i zginęło w obronie wiary. Pozostali tylko rodzice z dzieckiem na ręku. Ukryli się w polu ryżowym. Wytropiony ojciec pada od kuli, a matka, pozostawiając dziecię w kępie trawy, błaga w najbliższym z domów o garstkę mąki. Trafiła jednak na donosiciela i uwięziona poszła na stracenie. Pewna rodzina chrześcijańska przypadkiem znalazła kwilące z głodu dziecię z talizmanem na szyi, w którym był ukryty medalik i imię chrzestne chłopaka bez nazwiska. Wychowała go i oddała do seminarium pod własnym nazwiskiem... Dziś to dziecko jest arcybiskupem Sajgonu.

Odplywamy, jak przybyliśmy długim i kręconym korytarzem rzeki, znaczonego tu i ówdzie wrakami japońskich jednostek wojennych. Z Sajgonu do Singapuru tylko kilka dni żeglugi dość spokojnej, ale wśród wielkich upałów. Przewidujemy, że Wielkanoc będziemy obchodzili na równiku. W Sajgonie wsiada na okręt urzędowy kapelan Francuz, więc moje kapelanowanie prędko się skończyło.

Do Kolombo na Cejlonie zawinęliśmy w samą Wielkanoc. Z księdzem Francuzem i siostrami zamawiamy taksówkę w celu zwiedzenia miasta i słynnych ogrodów botanicznego i zoologicznego. Jeszcze w czasie pierwszej podróży, chociaż okręt zatrzymał się wówczas w porcie bez zbliżania się do mola, uderzyła mnie bujna roślinność tej wyspy. Teraz trudno mi oderwać oczu od cudów natury. Zieleń wszelkich odcieni, kwiaty wśród wiecznej wio-

sny, gra kolorów, jakiej dotąd nigdzie nie widziałem. Brak mi słów na opisanie rzeczywistości: przeżywam wzruszający zachwyty. Widok ten wprawia w stan kontemplacji. Co za piękna Wielkanoc wśród tych barw, zapachów, tych tajemniczych głosów, tego światła i odcieni.

Wieczorem żegnamy się z tą tajemniczą wyspą i przyglądamy się innemu pożegnaniu. Grupka wiernych, ubranych w biel i jasne szaliki, żegna misjonarza w białej sutannie. Pewnie tak jak my powraca do kraju po wielu latach nieobecności. Po odbiciu od lądu poznaję się z nim i o dziwo, dowiaduję się, że on również Polak. Należy do ojców białych ze Śląska. Krótka podróż do Bombaju wystarczyła, byśmy się serdecznie zaprzyjaźnili. Po wylądowaniu on zamawia taksówkę i pędzimy w stronę najbliższej dzielnicy do salezjanów. Biedota rozłożyła się przy drodze w kiepsko skleconych szałasach i nawet bez nich. Nawet „święte krowy” nie zapuszczają się w te strony. Tu pracują nasi misjonarze. Już z daleka domyślamy się, że to jest szkoła, misja, szpital i zakład dla trędowatych.

Przełożony dziwi się, że nie dzwoniłszy z portu, ale sami wynajęliśmy taksówkę. Dopiero po przedstawieniu misjonarza z Cejlonu uspokoił się nieco. Dzisiaj w szkole są egzaminy wstępne. Napływ dzieci biednych, ale schludnie ubranych, jest bardzo wielki, podobnie jak w Sajgonie. Czupryny czarne, skóra oliwkowa, oczka jak żuźle. Uśmiechamy się do siebie, kilka zdjęć amatorskich i idziemy dalej. Po obiedzie odwożą nas autobusem szkolnym, który udaje się w stronę portu z młodzieżą.

W sobotę wieczorem dobiliśmy do portu w Dżibutti, gdzie mimo całonocnej pracy i ruchu hałaśliwych „kuli” portowych, pasażerowie śpią snem sprawiedliwego, wymęczeni do ostatka. Jesteśmy w Afryce, dawnej kolonii francuskiej, u wrót Morza Czerwonego i na początku jedynej linii kolejowej, łączącej stolicę Abisynii ze światem. Mówi się, że przy budowie tej kolei zginęło więcej ludzi, niżeli jest podkładów, na których położono szyny. Wstajemy rano wśród miłego chłodu. Dzisiaj jest Niedziela Biała, pierwsza po Wielkanocy. Ks. Francuz prowadzi nas do jedynej kościoła oo. kapucynów, świeżo wybudowanego. Wierni to w większości rodziny francuskie, stąd śpiewy i modlitwy rozbrzmiewają w tym języku. Trafiamy na pierwszą komunię dzieci. Kapucyni ubrali je w białe habity z kapturkami. Chłopcy wyglądają możliwie, ale dziewczynkom nie bardzo do twarzy.

Po nabożeństwie gościnni misjonarze biorą nas na przejażdżkę jeepem przez osiedle tubylcze i na przełaj w stronę pustyni. Samo osiedle odzwierciedla dosadnie pustynię: ściany bez otworów, lepianki jakby opuszczone, bez życia i ruchu, zastygłe i zamarte, cicho i głucho wszędzie. Pustynia gra, dudni, huczy i jęczy echem jakiejś dziwnej walki o życie, o kroplę wody, o grudkę uprawnej ziemi. Trwa zażarty bój między palącym wiatrem od lądu i wdzierającymi się chwastami, korzonkami, głogami w ciało drgających wydm niezwykłego kolosa pustyni. Trudno powiedzieć, co jest bardziej dzikie, czy ta część przy morzu, czy ta druga aż hen, w głąb kraju: ale obie tętnią swoistym życiem... Liczne stada mizernych owiec ciągną za brodatym pasterzem, wypalonym jak one na szkielec, zbrojnym w duży karabin na sznurku z wypchaną torbą myśliwską i owiniętymi w szmaty nogami. Nie wiem, czy on kiedykolwiek posługuje się bronią i przeciw komu, czy nosi ją z potrzeby albo



dla przyjemności... A jeśli poluje, to na co?... Pędzimy dobrą godzinę w tym samym kierunku. Nagle napotykamy przed sobą wodę, jak okiem sięgniesz, zatrzymaną bezroślinnym brzegiem pustyni. Na uwagę, że lepiej będzie już zawrócić, miły ojciec kapucyn uśmiecha się i mówi: — To przecież wasz port, z którego wyjechaliście przed godziną. Nazajutrz wypływamy w kierunku Europy.

Po przecierpieniu upalnej nocy znajdujemy się już na Morzu Czerwonym, nie mniej dokuczliwym od pustyni. Jeszcze Kanał Sueski i nareszcie Morze Śródziemne, burzliwe ale chłodniejsze, Kreta, Sycylia, Sardynia, Korsyka, to tylko jak sen, minione wspomnienia. Marsylia przyjmuje nas dziesiątkami syren starego portu, od wysp dzielących zatokę na dwie części, do nowoczesnych moli, ukrytych za kilkukilometrowym murem. Statua Matki Bożej dniem i nocą wita i żegna żeglarzy ze szczytu świątyni Notre Dame de la Garde (162m). Za dawnych czasów była rzeczywistością dla rozbitków i dla powracających z dalekich krajów żeglarzy Gwiazdą Morza i drogą do przystani, zastępującą dzisiejsze latarnie.

Dla wysiadających odbywa się odprawa celna bardzo skrupulatna. Dla misjonarzy natomiast zupełnie wolne przejście. Zaprzyjaźniłem się na okręcie z kierownikiem obsługi pasażerów tak, że mnie zaprasza do siebie nawet na kilka dni. Korzystam z jego przyjaźni tylko na zwiedzenie miasta. Po południu przyjechał po mnie do salezjanów swoim samochodem, a późnym wieczorem odwiózł na stację kolejową i opłacił mi bilet aż do Lourdes. Przynależem mu pamięć przy Grocie o co prosił.



## Śladami róż

Od Tuluzy już się rozwidniło, więc podziwiam piękne okolice tak bardzo podobne do rodzinnych, ale ozdobione winnicami. W dali rysują się szczyty pokryte śniegiem, to są Pireneje, zbliżamy się do nich licznymi zakrętami i nareszcie niepokażna stacja kolejowa Lourdes, gdzie wysiada większość pasażerów, ale okolica nie zdradza jeszcze pobliza uroczego zakątka, wybranego przez Niepokalaną na miejsce uprzywilejowane. Ksiądz miejscowy wracający ze stacji radzi mi zamieszkać w domku dla księży emerytów z diecezji, a będzie tam spokojnie, tanio i wygodnie, tym bardziej, że blisko Bazyliki. Rzeczywiście nie mogłem trafić lepiej. Domem zarządzają Siostry, a w razie wolnych pokoi, przyjmują tylko księży. Składałem moje rzeczy i tylko z brewiarzem w rękę i kluczem od pokoju udaję się odprawić mszę św. jeszcze przed południem, bo już do niego nie daleko. Idę przez bramę szeroką aleją pięknie zakwitłych kasztanów, rozdzieloną w środku szerokim pasem klombu, budzącego się do życia kielichami kwiatów. Wysoki krzyż z cokołem w stylu grobowca otwiera panoramę ku Bazylice. Na trzech brzegach wysokiego podium stoją figury przedstawiające trzy falangi miłośników krzyża: Magdalenę, Jana i Matkę Jezusową, a dla symetrii na czwartego stoi Setnik. Na przeciwnym końcu alei stoi duża figura Niepokalanej, otoczona klombem róż, które znaczą drogę do świątyni. Na prawo szerokim pasem popod arkadami zaprasza Grota z cudowną wodą, łazienkami i srebrzystą rzeką Gawą. Stąd roztacza się widok na duży plac, wznoszące się schodami krużganki w półkole, jakby pragnące przytulić przybywających do wzniosłej potrójnej świątyni.

Krótką chwilą namysłu gdzie się najpierw udać i ruszam z grupką pątników schodami ponad arkadami. U dołu bowiem ogłoszenie w kilku językach zawiadamia, że po dziesiątej Msze św. odprawiają się tylko w krypcie wykutej w skale nad Bazyliką Królowej Różańca św. i u podnóża Bazyliki Niepokalanego Poczęcia. Zbliża się południe. Po gorącym pokłonie udaję się do zakrystii, widząc, że jeszcze przy dwóch czy trzech ołtarzach nabożeństwo się odprawia. Proszę kościelnego o możliwość odprawienia przy głównym ołtarzu dla zebranych pątników, ale on jest innego zdania i wskazuje szaty do bocznego. Ubrany czekam na znak wyjścia. Tymczasem dzwonią na Anioł Pański. Odmawiam spokojnie tę ulubioną modlitwę, ale znak na wyjście nie przychodzi. Wtem powraca kościelny i prosi, by zmienić szaty do głównego ołtarza. Biskup, który miał odprawić nie zgłosił się. Msza św. drugiego maja śpiewana o Niepokalanym Poczęciu z Gloria i z Credo, bo tutaj codziennie jest wielkie święto. Dużo jest chwil w życiu, których niepodobna opisać. Ta, zdaje mi się, pobytu w Lourdes. Trzeba to przeżywać osobiście, opowiadanie bowiem zmniejsza i zatracza to co jest najgłębsze i najdroższe. Intencje mszalne również same się wyznaczają. Moja pierwsza msza św. w Lourdes jest dziękczynną, za rodzinę, za krewnych, dobrodziejów i za tych, co polecili się moim

modlitwom. Dusza kaja się i topi przed Najwyższym i odważa się uściskać Jego stopy z największą śmiałością. Nie rozumuje się, ale się podziwia. Słowa modlitw, czytań, pozdrowień rozumie się i przeżywa. Kontemplacje buddyjskie uczą zamykać świat cały w swoim brzuchu dla własnego zadowolenia, a my zamykamy Boga w swoim sercu, aby wypełnić Jego wolę. Memento za żywych i za umarłych przeciąga się w podróży po całym świecie. Na szczęście jest to ostatnia msza św. tego dnia, więc nie jest ograniczona do trzydziestu minut jak inne. Nie przeciągnąłem zresztą ponad kilka minut. Na osobistą modlitwę będzie więcej czasu potem.

Obiad najpóźniej o pierwszej, więc dopiero po nim powracam do Groty. Lourdes ziemia ewangeliczna, ziemia Groty Massabiella, Stara Skała, tak ją nazywają swoi i obcy, a zaczyna się prawdziwie za żelaznymi podwojami. Tutaj jest centrum, z którego promienieje ten nastrój, który widziałem, którego się dotknąłem. Dopiero tu zostają zaspokojone, urzeczywistnione, wypełnione długie marzenia, nadzieje, podróże z Polski, z Ameryki czy z Japonii. Tutaj już nie szuka się wiary, ale się ją pije wraz z cudowną wodą, na modlitwie, przy choince ze świec płonących bez przerwy przy skale, przed naturalną niszą, gdzie ukazała się Bernadecie Piękna Pani, a dzisiaj stoi piękna statua wykuta z białego marmuru dłutem w rękę Polaka.

Jak łatwo tutaj odróżnić ciekawskich od wierzących. Przy Grocie wszystko się harmonizuje i zlewa w jedno serce, w jedną mowę wypływającą z dramatu człowieka, bo modlitwa jest dostępna tak dla serca pokornego, jak dla umysłu wykształconego, bo ona jest krzykiem wiary żywej i bezpośredniej, jak na drogach Galilei, Samarii, Judei: „Panie, spraw, abym chodził, abym przejrzał, uwielbiaj duszo moja Pana, Ojczy Nasz, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi”. To się powtórzy przy źródle, będzie głoszone chórem podczas procesji Eucharystycznej. To już nie są jednostki, które się modlą, ale cała ludzkość cierpiąca, a cierpienie nigdy nie kłamie. Tutaj króluje cierpienie, jest obsługiwane przez mądrych, przez bogatych, przez sługi Boże i służebnice. Tak jak w Palestynie chorzy byli ulubionymi Chrystusa, tak jest i tutaj, oni są pierwsi, wybrani, są symbolem wszystkich cierpień ludzkości, wyrażają grzech świata, potrzebę odkupienia i zbawienia. Przedstawiają nasze losy na ziemi, coś w znaczeniu sakralnym, wiecznym, które rozdziera naszą duszę i nasze ciało. Uzdrawienia na ciele są znakiem większych cudów zmartwychwstania dusz z ziemi dla nieba...

Nie wiem jak długo modliłem się przykuty do tej Skały, wpatrzony w te proste rysy Groty, zmieszany z kłęzącymi pątnikami, bladymi jak giezło chorymi na wózkach... W każdym razie aż do procesji z błogosławieństwem dla chorych. Po kolacji powracam na procesję z lampionami i melodią „po górach dolinach” we wszystkich językach świata. Nie zmuszam się i nie łudzę do opisanego wszystkiego co jest możliwe, owszem streszczam się na ile mnie stać

Trzeciego maja z blaskiem jestem w Bazylice Różańcowej, świątynia wypełniona, może nawet była taką przez całą noc. Nie mam programu na dzień dzisiejszy, jedyne pragnienie odprawienia mszy św. przy głównym ołtarzu, może zamiary nad siły, więc po uwielbieniu Boga na ołtarzu, udaję się do zakrystii i proszę kościelnego... — „Czy ksiądz jest wpisany na dzisiaj? — Jeszcze nie! — Więc na dziś nie ma mowy. — Dziękuję!” - krótko i węzłowato. Widzę,

że kościelny usługuje biskupowi przy głównym ołtarzu, więc bez słowa idę go zastąpić. Przynajmniej tyle przy głównym ołtarzu. Odprawiający ociera często łzy... widocznie przeżywa mocno tę okoliczność nie każdemu dana. Tymczasem odprawiam sobie półgodzinne rozmyślanie, książki nie potrzeba. Po odejściu jednego biskupa przychodzi drugi. Teraz rozpoczynam brewiarz, ale go odkładam. Nie można razem połączyć dwóch rzeczy tak bardzo wzniosłych. Po przemienieniu, kościelny przynosi mi stulę, by pomagać biskupowi w udzielaniu komunii. Po powrocie do ołtarza kościelny odwołuje mnie do zakrystii, by się ubierać do następnej mszy św. przy głównym ołtarzu... otworzyła się luka, nie wiem w jaki sposób. Organy zagrały, msza św. śpiewana dla dużej pielgrzymki z dobranym chórem, o Niepokalanej z Gloria i z Credo, bo w Lourdes codziennie jest wielkie święto. Dzisiaj Matki Bożej Królowej Polski, więc nie może być inaczej, ofiaruję mszę św. za Polskę i wszystkich Polaków rozproszonych po całym świecie w doli i niedoli, za rządzących, za poddanych, za duchownych, za rodziny zakonne, za nauczycieli, za rodziców, za młodzież, za dzieci, za biednych i opuszczonych, szczególnie za cierpiących, za chorych, bo w Lourdes oni mają prawo do tego i to na pierwszym miejscu.

Świątynia rozbrzmiewa na przemian głosami wyborowego chóru i wiernych, a głos celebransa gubi się gdzieś pod łukami i sklepieniem romanobizantyjskiej świątyni, mogącej pomieścić ponad pięć tysięcy pątników. Naokoło piętnaście kaplic odpowiada tajemnicom całego Różańca. Komunię św. rozdaje kilku księży przez dłuższy czas.

Aby odprawić dziękczynienie udaje się do Groty, gdzie widząc brak księży, wybieram się z puszką na plac między chorych i rozdaję im Ciało Boże, aż do wypróżnienia wielkiej puszki, może przez godzinę i dłużej. Śniadanie o dziewiątej i czas na rozwiązanie problemu wielkiej nadziei i tajemnicy.

Wybierając się w podróż do Kraju na francuskim okręcie płynącym do Marsylii, wyprosiłem u przełożonych pozwolenie na pielgrzymkę do Lourdes. Na statku znalazły się dwie siostry Japonki ze Zgromadzenia Nevers, tego od Św. Bernadety. Starsza siostra, która wykształciła się we Francji, ma swoją koleżankę tutaj w Lourdes, przełożona sierocińca i imienniczkę świętej. Na moją prośbę wysłała jeszcze z Saigona w Wietnamie list lotniczy do koleżanki o wyproszenie dla mnie możliwości odprawienia mszy św. przy Grocie na początku maja. Dzisiaj więc idę w poszukiwanie matki Bernadety. Siostry przyjmują mnie grzecznie, ale porozumienie idzie słabo. Na wszystkie zapytania o Merę Bernadettę, wszystkie jak jedna wskazują mi w ogrodzie piękną statuetę św. Bernadety, albo jeszcze inne przed zakładem albo w kaplicy. Nawet ich kapelan, który wyszedł cało z niemieckiego obozu i rozumie kilka słów po niemiecku, nie zdaje się zrozumieć o kogo mi chodzi i Mutter Bernadette jest tylko ta w posągu. Nigdy nie spotkałem podobnego nieporozumienia. Wszyscy są w dobrej wierze i z całą uprzejmością cieszą się, że interesuję się nie tylko Matką Boską, ale także ich świętą.

Decyduję się niezwłocznie udać do generalnego zarządu pielgrzymkami, znajdującego się obok górnej Bazyliki. Dowiaduję się, że jest obecna salezjańska pielgrzymka z domu emerytów w Pio Sasco we Włoszech. Odpisuje numer telefonu hotelu gdzie się zatrzymała, ale nadziei na odprawienie mszy

św. w Grocie nie ma. Młody i serdeczny ks. prałat włada dobrze językiem włoskim, więc bez trudności możemy się porozumieć. Do połowy maja u Groty wszystkie godziny zajęte, bo są biskupi z pielgrzymkami, a oni mają pierwszeństwo. Po dłuższej rozmowie stanęło na tym, że monsignore zapisze nazwisko, ale nadzieja jest bez nadziei... Podaje mu wizytówkę, a on czytając kręci głową i przegląda księgę i dodaje: „To nazwisko jest zapisane na piątego maja o siódmej godzinie rano. Jeśli to księdza chodzi, to proszę bilecik z datą i pieczętką, wieszuję i sprawa załatwiona. Proszę się stawić na czas we czwartek piątego maja o siódmej rano. To nazwisko przedstawiła nam Mere Bernadette z sierocińca”.

Więc jednak Siostra na okręcie dotrzymała słowa i nadzieje się spełniły, trzeba będzie podziękować. Wstępuję do górnej Bazyliki tuż obok urzędu i dziękuję Bogu za łaskę, polecając Jego miłosierdziu zacne dobrodziejki.

Bazylika Różańcowa jest obszerniejsza i dostępnejsza dla pielgrzymek, ale i ta górna ma swą oryginalną piękność bogatego gotyku o jednej nawie, ale również z piętnastu kapliczkami. Witraże Bazyliki przedstawiają tajemnice Niepokalanego Poczęcia, któremu jest poświęcona, a liczne witraże kaplic pobocznych opowiadają historie objawienia w Lourdes św. Bernadecie od pierwszego aż do uroczystej koronacji. Cały ołtarz jest pięknie wyrzeźbiony z białego marmuru i zdobi go duża statua Niepokalanej. Jeśli dolną Bazylikę nazwiemy księżęcą, to górnej należy się imię królewskiej, tak urzeka człowieka swą lekkością i wspaniałością. Mniej jest tutaj pielgrzymów, więc panuje jakiś spokój, tajemniczy i jakby wniebowzięty... więc jutro zapukam tu z rana, zrezygnowany i zdany na wole Matki Bożej, nad której Grotą stoi prezbiterium świątyni,

Przyciskam do serca bilecik i wracam do cudownej wody i do Groty. Msze św. już się skończyły, ale modlących zdrowych i chorych jest wielu i zawsze w jednakowej pozycji, pochyleni, z rękami rozłożonymi, wpatrzeni w statuuę Matki Bożej, albo zatopieni w Bogu bez zdawania sobie sprawy z tego co się wokoło dzieje. Nareszcie odmawiam poranną część brewiarza, tuląc głowę do zimnej Skały. Życie się z tym „uroczyskiem” Matki Bożej, staje się moim chlebem powszednim.

Po Anioł Pański wracam na obiad, pierwszy raz wspólnie z księżmi starszankami, bardzo miłymi i serdecznymi. Wypytyują się o wrażenia z dnia, o pochodzenie, o pracę, a dowiedziawszy się o Japonii, jeszcze więcej interesują się misjami. Tak łatwo mi przychodzi porozumieć się z nimi, a gdy wspomnę o Mere Bernadette to pierwszy raz robi mi się wesoło na myśl o tym co się wydarzyło. Takiego figla mogła spłatać tylko św. Bernadetka, bo do tego stopnia zawojowała serca swoich kochanych.

Po procesji z lampionami, coraz trudniej przychodzi oderwać się od Groty, nawet przy miłym chłodzie odlatuje sen, a godziny robią się o podwójnych cyfrach i wracają do pojedynczych.

Świt zastaje mnie w Bazylice Niepokalanego Poczęcia, tam u góry. Mszę św. celebrytuje starszy biskup, odpowiada kościelny, asystuje kilkanaście osób dostojnych, może jakieś państwo z okolicy, modlą się po francusku. Wyjęczam kościelnego co go nieco zdziwiło, ale dziękuje i odchodzi. Druga i trzecia msza św. też starsi biskupi, może mieszkający w pobliskim pałacu bisku-

pim. Następnego celebransa nie widać, więc zwracam się do kościelnego z prośbą o miejsce przy głównym ołtarzu, na co on chętnie się godzi, bo któryś z biskupów nie stawiał się na czas. Cicha msza św. z Gloria i z Credo o Niepokalanym Poczęciu, bo w Lourdes codziennie jest wielkie święto. Ofiaruję mszę św. za zmarłych z rodziny, za przełożonych, dobrodziejów, kolegów, wychowanków, za duszyczki w czyścicu cierpiące, wszystkie jakie się tam znajdują, aby je Niepokalana jak najprędzej wyprowadziła z ciemności do światłości i radości Bożej... Po mszy św. dziękczynienie u Groty między „moimi” chorymi, aż ręce opadają i usta wysychają od aktów strzelistych, rozdając Ciało Boże aż do spodu z jeszcze większej puszki niżeli wczoraj.

Przed obiadem czynię zakupy drobnych pamiątek i zaopatruję się w kilka litrów cudownej wody, bo tym można się najbardziej obładować. Spotykam tu młodego księdza Bretończyka i zaraz zawiązuje się przyjaźń. On też jest sam i nie wie gdzie mógłby się zatrzymać, więc prowadzę go do naszych starsuszków, których rozwesela i bawi swoją prostotą i dobrocią, za co go polubili.

Po obiedzie idziemy odprawić razem Drogę Krzyżową, chodząc po pagórkach od stacji do stacji. Wrażenia głęboko wryte w sercu i pamięci, pozostaną na dzisiaj i na potem.

W środę odprawia się procesja z większą okazałością eucharystyczna i z lampionami. Liczba uczestników wzrosła przynajmniej w dwójnasób, robi się wielkie przygotowania i wózki z chorymi również są liczniejsze, a uroczyste śpiewy i modlitwy błagalne robią się wzruszające: Jezusie, Synu Dawida, zmiłuj się nade mną, Panie, ten, którego miłujesz, choruje, Panie, powiedz tylko słowo, a będę uleczony, a na wieczorowej procesji Bazyliki błyszczą od iluminacji i śpiewy potężnieją. Po procesji spotykam naszą pielgrzymkę z Włoch, w której biorą udział Siostry salezjanki z grupą chorych, jest nawet jeden kleryk. Zawiadamiam ich o mojej mszy św. w Grocie. Cieszą się i przyrzekają stawić się na czas. Po mszy św. pójdziemy razem podziękować matce Bernadecie, przełożonej sierocińca, a ks. Bretończyk nas zaprowadzi i najlepiej wytłumaczy.

O brzasku jesteśmy na nogach, tym razem przy Grocie, gdzie od wczesnego ranka odprawiają się Msze św. Odmawiam spokojnie brewiarz i przed siódmą oddaję bilet, otrzymując w zamian szaty liturgiczne. Stawiła się cała rodzina salezjańska, kleryk ubrał komżę i punktualnie wychodzimy do ołtarza. O siódmej już cały plac przed Grotą jest wypełniony pątnikami z wyjątkiem chorych na wózkach, których później przywożą. Mimo to do komunii była spora grupka. A intencja mszy św.? Czas jest ograniczony do pół godziny, więc intencje trzeba sobie przygotować pierwej, napisać i złożyć na ołtarzu więc za cały Kościół cierpiący i walczący, za wszystkie narody, szczególnie za misje, za Hierarchie, za zakony z wyróżnieniem rodziny salezjańskiej, o liczne powołania zakonne i misyjne, za umierających, za błądzących, za czcicieli Najśw. Sakramentu i Matki Bożej, za opuszczonych, prześladowanych, więzionych, za polecających się moim modlitwom i za potrzebujących naszych modlitw, o pokój i wytrwanie w dobrem... W Lourdes każdy czuje na swych barkach ciężar całego świata, potrzeby dusz i całego rodzaju ludzkiego. Tu nie ma prywaty, mojego i twojego, ale wszystko jest nasze, tu jeden ofiaruje się za wszystkich, a wszyscy za jednego, bo tu jest ziemia ewangeliczna, miejsce łaski, dom nawiedzenia.

Około ósmej wszystkie głośniki w kilku językach poszukują misjonarza z Japonii o moim nazwisku, trochę dziwnie wymawianym: zgłosić się natychmiast do sekretariatu Bazylik i św. Groty. Spieszymy więc z ks. Bretończykiem do znanego mi już monsignora, który zakłopotany wymawia się, i przeprasza, że jeśli dotąd nie odprawiłem nabożeństwa w Grocie, by go odprawić po godzinie dziesiątej, albo jutro o jakiegokolwiek, bo Mere Bernadette uzaliła się do biskupa, że misjonarz z Japonii, dla którego na dzisiaj zamówiła mszę w Grocie, dotąd się nie pokazał. Uspokoiłszy monsignora, że mszę już odprawiłem i właśnie teraz udajemy się do przełożonej z podziękowaniem, prosząc, by do niej przedzwonił.

Spotkanie wypogodziło cały firmament, dotąd zachmurzony. Po przywitaniu, opowiedziałem całą historię, a że przełożona świetnie włada językiem włoskim, uciechy było nad miarę. Siostry opowiadają ile się naszukały misjonarza po całym obejściu i placu, nawet po sklepach w mieście i hotelach, a on służył do mszy św. biskupom i komunikował chorych. Przełożona zaprosiła księży na śniadanie i ofiarowała pomoc w zwiedzaniu pamiątek po św. Bernadecie. Najpierw prowadzili nas do muzeum w zakładzie, gdzie mieszkała święta, pokazując i podając do ręki książki, zeszyty, przybory szkolne, różaniec, obrazki, medaliki. Trzeba się wszystkiego dotknąć, aby pozostała trwała pamiątka. Potem jedna z Sióstr siada za kierownicą i obwozi jeepem po mieście do „więzienia”, gdzie mieszkała z rodziną, do „młyna”, gdzie się urodziła, a nawet była gotowa zawieźć do zamku na górze, ale z tego już zrezygnowaliśmy by nadażyć na uroczystą mszę św., która będzie odprawiona w podziemnej Bazylice u św. Piusa X. Po mszy św. powracamy jeszcze do Sióstr na obiad, dziękując serdecznie za wszystko. Jeszcze dwie procesje i po kolacji dłuższy czas u Groty. Poczciwy ks. Bretończyk odprowadza mnie jeszcze na stację kolejową i tam się żegnamy, on pozostaje, a mój pociąg stacza się ku dolinom do Marsylii. W zakładzie zatrzymuję się dwa dni. Znajomy pan z okrętu dzwonił kilka razy, pytając o mnie i popłynął ku Japonii. Zakład w Marsylii został założony jeszcze przez ks. Bosko. Pozostała po nim statua Matki Bożej, umieszczona w kaplicy. Niedzielę spędziłem wśród internistów, takich, jak na całym świecie: otwartych na sprawę wzniosłe i wielkie, pełnych entuzjazmu. Przed odjazdem wykupuję miesięczny bilet kolejowy po Włoszech, możliwy do zdobycia tylko zagranicą, ale nie dla turysty, raczej z obowiązku zwiedzenia domów formacyjnych i nowicjatów.

Zaczynam więc od Turynu, kolebki zgromadzenia, a potem dom rodzinny ks. Bosko Becchi, seminarium w Chieri, Mondonio, które wydało św. Dominika Savio, godnego ucznia takiego wychowawcy i... dalej w świat do Rzymu, oraz aż po „ostrogę włoskiego buta”, by powrócić znowu ku północy, ale tamtą stroną adriatycką do szerokiej równiny Lombardii. W Rzymie jestem pierwszy raz, a zwiedzanie Wiecznego Miasta i audiencja u Ojca Św. to punkty kulminacyjne o niezatartych wspomnieniach, przecież to Jan XXIII. Zatrzymuję się przy Bazylice Serca P.J., zaraz obok stacji Termini, a potem przy świątyni Ks. Bosko w Cinecittà. Poluję cały czas na świątynie i zabytki, nie zapominając o kościółku św. Stanisława, drogiemu sercu każdego Polaka. Na opis wszystkich wrażeń trzeba by było grubej książki jestem o tym przekonany. Zaraz na początku podpadłem nie mało wsiadając do taksówki: za krótki

dystans przepłaciłem słono, przynajmniej potrójnie, ale to mi posłużyło za naukę, z której postanowiłem skorzystać na przyszłość, a okazji chyba nie zabraknie. Oprócz obowiązkowych wizyt liczę na pośrednie przystanki cenione i wymarzone. Jednym z nich ma być pielgrzymka do Monte Gargano, słynnej świątyni św. Michała Archanioła mojego patrona. On został również wybrany na szczególnego opiekuna misji na Dalekim Wschodzie, dlatego ta pielgrzymka ma tym większe znaczenie. Drugim jest San Giovanni Rotondo, słynne już z obecności stygmatyka Ojca Pio kapucyna, więc i ten postój należy do programu, tym bardziej, że znajduje się po drodze do tamtego. Jadąc z Rzymu przesiadam się przed Neapolem w stronę Foggia. Wiemy, że Włosi należą do narodu bardzo towarzyskiego, więc każda podróż z nimi ma nowe wrażenia, bo każdego uważają za swojego, czy jest to rolnik, robotnik, wojskowy, czy nawet ksiądz, wszyscy to „nasi chłopacy”. Tak się i mnie dostaje. Zaraz po przesiadce, wśród osób w przedziale jedzie mamusia z córeczką i przedstawia się jako swojemu, że były u krewnych i wracają do Bari, rodzinnego miasta. Są wierzące, ale nie w każdą niedzielę mogą iść do kościoła na nabożeństwo i z tym mają wielki kłopot, ponieważ ich proboszcz „polacco” zmusza wszystkich wiernych do uczęszczania i nie uznaje byle jakich powodów do zwolnienia z tego obowiązku, a one przecież potrzebują wyjechać w niedzielę dla przyjemności gdzieś w odwiedzinę, a kto wówczas myśli o kościele... Staram się im wytłumaczyć, że mogą np. i u znajomych to uczynić i chwałę gorliwość proboszcza dla ich dobra, choćby to był nawet „polacco”. Ale nie, nie dają tego sobie wyperswadować, są gotowe nawet udać się do biskupa z prośbą, by im dał Włocha, a nie Polaka, „wołałybyśmy raczej takiego jak ksiądz, z którym można podyskutować”. Pytam się o imię proboszcza i to mnie jeszcze bardziej ubawiło. Nazywa się don Giovanni Merta. To mój starszy kolega z Małego Seminarium Duchownego w Daszawie, a teraz wysłużony kapelan 12 Pułku Ułanów Podolskich i II Korpusu generała Andersa, spod Ankony, Bolonii i Monte Cassino, który dysponował na śmierć majora Sucharskiego, bohatera z Westerplatte, a obecnie jest wiernym kustoszem cmentarza Polaków w Bari. Już miałem powiedzieć, że ja również jestem „polacco”, ale by nie psuć humoru biorę w obronę zacnego proboszcza, że jestem tego samego zdania co don Giovanni i na pewno byłbym u nich tak samo, albo i więcej wymagającym, ale nic z tego. Paniusie uparły się jeszcze bardziej, może dla dalszej możliwości przekomarzania się niżeli z wewnętrznych przekonań. Wysiadam w Foggia wśród zaproszeń do Bari.

Na stacji pusto, zaledwie dwa autobusy i kilka taksówek.. Jeden autobus do Manfredonii a drugi do San Giovanni Rotondo, więc ten drugi to mój. Tymczasem zbliża się jakiś dostojny pan i zapytuje czy nie do Ojca Pio, a na pozytywną odpowiedź, usilnie ofiaruje miejsce w pięknej czarnej limuzynie za taką samą opłatą co autobus. Oczywiście rzecz nie do pomyślenia, a cóż dopiero mówić, do przyjęcia: dwadzieścia kilometrów taksówką, to by mnie dopiero nabrał... Więc grzecznie, ale stanowczo odmawiam i udaję się w stronę autobusu, a on do ostatniej chwili zaklina się, że cena będzie taka sama, ani jednej liry więcej... Mimo wszystko wsiadam do autobusu dokąd większość się udaje i jedziemy.

Piękna jest trasa prowadząca wśród malowniczych pagórków Puglia, zresztą całe Włochy cieszą się wyjątkowo pięknymi okolicami naturalnie,



swego rodzaju. W drodze mija nas czarna limuzyna dobrze obładowana, widocznie znaleźli się inni ochotnicy. Wspominając, mimo wszystko, kierowcy patrzyło dobrze z oczu, gdy mówił, że jest biedny i ma dużą rodzinę do utrzymania, ale oni wszyscy tak mówią, a limuzyna nie świadczy bardzo o tej biedzie, zresztą stało się, kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha, mówi przysłowie. Ostatni odcinek podróży to wspinaczka na okrągłą górę jak kopa siana i wreszcie zaspany autobus zatrzymuje się na nie dużym placu przed kościołem.

Wysiadam i zaraz zbliża się młody facet z zapytaniem czy do ojca Pio i nie czekając odpowiedzi bierze za walizkę, której nie puszczam z ręki i prowadzi mnie do kościoła. Zaraz będzie błogosławieństwo, mówi po drodze, pójdziemy do zakrystii to zobaczymy ojca Pio, owszem, on przechodząc kładzie ręce na głowach kłęczących, więc uklękniemy w przejściu. On opowiada jakby mówił do siebie samego. Nic nie odpowiadam, więc może domyśla się obcokrajowca, ale idziemy dalej. Rzeczywiście kościół jest wypełniony a niektórzy mężczyźni udają się do zakrystii a my z nimi i z walizką kłękamy. Po kilku minutach przychodzi ojciec Pio, myje ręce i wyciera chusteczką, którą mu mój facet podaje i opiera się na głowach, bo widocznie jakoś mu ciężko iść naprzód. Czuję mocny zapach bardzo przyjemny, ale czego? Przechodzi i opiera się mocno i na mojej głowie, a twarz mojego przewodnika kłęczącego po drugiej stronie, jest jakby wniebowzięta, tak to przeżywa, więc tutaj podobnie jak w Lourdes, ludzie inaczej myślą, inaczej czują, i inaczej żyją, świat wydaje się odmienny. Na świecie człowiek człowiekowi bywa wilkiem, byle go obedrzeć, wykorzystać, a tu jakoż odmiennie się sprawy toczą.

Wychodzimy przed ołtarz. Ojciec Pio zapatrzony w Hostię i poza nią zdaje się niczego nie widzieć. Nie wygląda na chudego, ale ruchy są powolne i cierpiące. Na dłoniach ma rękawiczki bez palców. Wchodząc na stopnie ołtarza korzysta z podtrzymujących go braci, twarz pogodna, zamyślona. Słowa jego modlitwy są krótkie i gorące, błogosławieństwo monstrancją szerokie i wysokie.

Po wyjściu a kościoła, przeglądamy rozkład dnia ojca Pio. O piątej msza św. od ósmej do dziesiątej spowiedź dla kobiet w kaplicy, potem spowiedź dla mężczyzn aż do południa, w zakrystii. Od drugiej do czwartej ponownie dla kobiet, o piątej błogosławieństwo. Kobiet do spowiedzi jest dużo, więc zgłaszające się pozostawiają swój adres i pocztą otrzymują zawiadomienie dnia ich kolejki. Wyjątki są dla przybyłych z zagranicy. Mężczyzn jest mniej, więc wystarczająca jest codzienna kolejka przed południem. Postanowiłem skorzystać. Młody przyjaciel zaprasza mnie na stancję do siebie. Matka starszka wskazuje pokój na piętrze, skąd jest piękny widok na okolicę, opłata niewielka.

Synalek budzi mnie o czwartej, by zdążyć na mszę św. Idziemy, kościół już pełny. On prowadzi przed ołtarz i usuwa się, znika. Bliższe miejsca są zarezerwowane, albo zajęte po same schodki ołtarza, więc tylko trzeba stać za plecami z daleka. Będąc jak zawsze w sutannie, zdobywam się na odwagę i wyjątek. Z brewiarzem w ręku zachodzę ołtarz od lewej strony, idę po schodkach do góry i kłękam dotykając czołem ołtarza, po stronie ewangelii. Asystującym nie przeszkadzam. Nie idę nawet do zakrystii. Punktualnie o piątej rozpoczyna się cicha msza św. Oczywiście, tak jak cała postawa stygmatyka są

zdecydowane, wstępne modlitwy odmawia dobitnie i nawet dość prędko, ale bez pośpiechu. Co uderza to jest zatrzymanie się od czasu do czasu po niektórych czynnościach, czy modlitwach, jakby porwany w zaświaty, wyzuty z siebie. Tak np. po pocałowaniu ołtarza patrzy uporczywie na krzyż przez kilka minut. To powtarza się na ofiarowanie, a po Przemienieniu nawet kilka razy, prawie po każdej z modlitw wyrecytowanych jakby w uniesieniu, teraz ze wzrokiem utkwionym w Hostii albo w kielichu. Kilka razy spotykałem się z jego wzrokiem, ale to mu widocznie nie było powodem do roztargnienia, zwłaszcza przy Kanonie czy przy Pater Noster. Msza św. trwała godzinę i dziesięć minut, dzięki właśnie tym chwilom zachwytu, w których traci się rachubę czasu. Są to przeżycia tak samo nie do opisania, jak w Lourdes, chociaż trochę innego rodzaju, ale zawsze tajemnicze, jakim jest sam Bóg.

Pozostaję tu cztery dni w podobnym nastawieniu. Nasłuchałem się o Ojcu Pio od innych, rozmawiałem z nim kilka razy i byłem u spowiedzi, mam wolny wstęp do klasztoru, na chór pod krucyfiks, gdzie on otrzymał stygmaty i tak wszystko minęło, ale to wszystko pozostawiło na mojej duszy głębokie ślady. Zapach stygmatów czuję za każdym wejściem do kościoła i podczas rozmowy z nim i w jego towarzystwie z dostojnikami. Udzielił mi specjalnego błogosławieństwa dla ojczyzny, dla misji, dla rodziny i dla parafii, a na pożegnanie wyraził się tymi słowami: „Najlepiej wykorzystane życie człowieka jest to, które się ofiaruje dla uświęcenia bliźnich”. Na drzwiach jego celi wyczytałem napisane te słowa z Naśladowania: „Krzyż przeto zawsze gotowy stoi i wszędzie cię czeka” (II.12-4). Widziałem jego stygmaty krwawe i krwawiące, zwiedziłem wielki szpital, wybudowany z ofiar przez niego wyproszonych, słyszałem o nawróceniach z pewnością cudownych i to wśród ludzi przedtem walczących z Bogiem a potem zmarłych w opinii świętości, ale o tem piszą również liczne książki.

Pozostaje jeszcze druga impreza, podróż i msza św. u św. Michała na górze Gargano. Wystarcza porozmawiać z moim zacnym przewodnikiem. Stało na tem, że on zamówi taksówkę a mnie pozostawił znalezienie ochotników na pielgrzymkę. Zauważyłem studenta przejętego nabożeństwem i na propozycję chętnie się zgodził, przypadkowo również zauważyłem pielgrzymkę z kościoła salezjańskiego z Turynu. Trzy panie przyjęły zaproszenie z radością, więc moje zadanie spełniłem. Wyjazd zostaje ułożony na jutro po mszy św. u Ojca Pio. Wszystko udało się składnie i to z dużą niespodzianką. Taksówka to jest piękna czarna limuzyna i znany mi już kierowca. Udajemy, że się nie znamy, ale lody prędko się wyłamują. Zaczyna się od modlitwy, którą prowadzi nasz kierowca, miłośnik Ojca Pio, jak się dowiemy. Gadu-gadu, głos zabiera on i opowiada o świętości Ojca Pio i o nawróceniach jakie działa.

Wśród nich słynną już się stała jedna bojowniczką bezbożnictwa z komórki komunistycznej w Mediolanie. Jej grób oglądniemy w powrotnej drodze. Namówiona przez równe sobie towarzystwo, przyjechała do S. Giovanni Rotondo, by wyśmiać publicznie Ojca Pio. Tak więc weszła do kościoła i gdy inni ukłękli, ona pozostała stojąca. Ojciec Pio wychodząc z zakrystii do spowiadania kobiet zauważył ją stojącą wyzywająco. Zatrzymał się i kilkakrotnie zaprosił ją do konfesjonau. Opierała się dłuższy czas, ale ostatecznie poszła dla żartu. Zaprosił ją by ukłękła i wyjawiał jej wszystkie grzechy od młodości do obecnej chwili... Płacząc rzewnie odeszła od konfesjonau i nie powróciła

więcej do rodzinnego miasta. Pozostała tu w skromnym mieszkaniu i jako pokutnica zatrzymywała się u drzwi kościoła, prosząc wchodzących o modlitwę. Po kilku latach zmarła z wycieńczenia i jej grób jest zawsze pełen kwiatów. Tymczasem kręcimy i odkręcamy wznosząc się ku góróm.

Po prawej pokazuje się na dole błękitne morze, które nam towarzyszy prawie do końca drogi. Tam na dole rozłożyły się miasteczka Siponto i Manfredonia. Wreszcie jesteśmy u celu prawie w chmurach, które spieszą się przed nami jakby gonione ciepłymi promieniami słońca. Kierowca zamyka samochód, on również przyjdzie na mszę św. Przy portalu świątyni jest kościelny, który sprzedaje pamiątki. Po pozdrowieniu, bez ogródek proszę go o pozwolenie odprawienia mszy św. przy ołtarzu Anioła, przedstawiając się jako misjonarz z Japonii wraz z pielgrzymami z Turynu. On mierzy nas oczami, a potem spokojnie: „Proszę iść do zakrystii i zawiadomić tam obecnych, że ja rozporządzam, by oni raczej zaczekali, a niechaj ojciec odprawia”. Dziękuje mu i wchodzimy do wewnątrz. Za wysokim portalem sklepienie nagle się obniża i wędrujemy do pieczary z żywego kamienia, wilgotnej i bardzo obszernej. Woda kapie z sufitu i ze zwisających u niego lampek elektrycznych. Posadzka też nierówno ułożona i obślizgła. Prawie nikt nie klęczy, wszyscy stoją z konieczności, by nie pobrudzić ubrania.

Udaję się do zakrystii, a tam już stoi jeden monsignor w szatach liturgicznych gotowy do wyjścia, a inni dwaj również w kolorowych sutannach czekają na kolejkę. Mimo wszystko, przedstawiam się półgłosem i mówię, co mi polecił sprzedający w kramiku. Musiałem jeszcze raz głośniej powtórzyć zawiadomienie, a Kanonicy, bo to są oni: — Jeśli Rektor tak mówi to niech będzie - i pierwszy zdejmuje szaty. Połapałem się dopiero teraz, że przy wejściu spotkałem Rektora świątyni a jego zawiadomienie jest dla nich rozkazem. Wymawiam się więc i przepraszam w gotowości zaczekania, ale w tej chwili wchodzi sam Rektor i pomaga mi w ubraniu alby i pięknego ornatu. Poleca mi, by nie uklęknąć aż dopiero przy ołtarzu Anioła, chronionym od wilgoci nieprzemakalnym sufitem. Tłumaczy mi jeszcze jedną nowość, że ołtarz jest z głazu bez relikwii męczenników, bo został konsekrowany objawieniem się Anioła. Msza św. o św. Michale Archaniele z Gloria i z Credo jak w Lourdes. Intencja tym razem jest za Japonię i za misje katolickie w świecie, bo wszyscy potrzebujemy opieki Aniołów. Po mszy św. i dziękczynieniu ks. Rektor oprowadza nas po krążgankach pieczary, skąd zabieramy łupane kamyczki, zakupujemy pamiąteczki i dziękując ks. Rektorowi powracamy do samochodu.. Powracając skręcamy ku cmentarzowi, gdzie jest kilka grobów z kwiatami zawsze świeżymi. Jest też krypta rodziców Ojca Pio, a grób znanej już pokutnicy jest cały w liljach...

Kierowca staje się jeszcze bardziej rozmownym. Czuje potrzebę wyrażenia szczególnej wdzięczności Ojcu Pio, ponieważ dzięki niemu, może zarobić na życie licznej rodziny. Więc opowiada, że jeszcze nie tak dawno klepał biedę większą od innych, bo woził gości małym i kiepskim samochodem. Nie wiedząc jak sobie zaradzić, prosi Ojca Pio, by mu poświęcił ten samochód, bo nikt nie chce wsiadać, szukając okazalszych taksówek. Ojciec Pio odpowiada mu dobrodusznie: „Wiesz co, ja ci tego grata nie będę poświęcił, bo to już lipa. Przyprowadź tu inny duży to ci go poświęcę.” — Ojciec chyba żartuje. Wie, że jestem biedny i nowego samochodu nie kupię, więc proszę mi oszczędzić

upokorzenia... „Nie mówię ci wcale, byś kupował samochód, ale byś go tu przyprowadził, a jeśli nie wiesz jak to zrobić, to ja ci powiem. Jedź na tym gracie do Foggia na stację, zaparkuj i czekaj. Zwróć się do człowieka, który zaparkuje obok i poproś go, by ci sprzedał swój samochód”. Zrobił nade mną znak krzyża i wyjechałem próżnym wozem z myślami zgryzoty ale i wiary. Po kilku minutach nadjeżdża czarna Lancia i elegancki młody pan udaje się na stację. Po powrocie zwracam się nieśmiało do niego ze słowami jakie mi polecił ojciec Pio. Ten zmierzył mnie oczami od stóp do głowy i widząc mojego malucha uśmiechnął się mówiąc: „A co panu przyszło do głowy? Wie pan ile to kosztuje?” — Wiem, ale tak polecił mi zrobić Ojciec Pio. On zastanowił się na chwilę i powiedział: „Więc jedź pan za mną”. Ruszyła Lancia a ja za nią moim Fiacikiem aż do jednego pałacu w mieście. Zaczekałem w przedpokoju i ten pan po chwili przynosi mi papiery darowizny tego, na którym jedziemy. Swoim oczom nie dowierzam, a on do mnie: „Sprzedaj pan swojego Fiata na chleb dla dzieci a ten sobie zabieraj i pozdrów ode mnie Ojca Pio”. Oto widzicie państwo, już trzy lata jeżdżę tym wozem i nigdy mi nie brakło pracy i zarobku, chociaż nie zdzieram z nikogo, nawet mniej biorę niżeli inni. Dzieci wychowuję po bożemu i dobrze nam się żyje pod błogosławioną ręką naszego Ojca Pio.

Ojciec Pio jest znany jeszcze z gorliwości o dzień święty. Kto nie przyrzeka przy spowiedzi, że będzie się usilnie starał o zachowanie tego przykazania, nie otrzyma rozgrzeszenia, a kto tego nie otrzyma jest na drodze do potępienia.

Nadeszła chwila pożegnania. Nawet małe dary Boże są dla nas wielkimi. Tak dobry Bóg urabia nasze dusze, byśmy byli godnym narzędziem w Jego ręku. Na podziękowanie za wszystko, Ojciec Pio odpowiada błogosławieństwem. — Ojczy, udaję się jeszcze do kraju i wrócę na misje. — „Dobrze, niech ci Bóg będzie ochroną, przewodnikiem i podporą!” (19 maja 1960 r.)

Z Foggia do Ankony wzdłuż Adriatyku jest kilka godzin pociągiem, około 300 km. Zdecydowałem się celowo na ten przystanek w mojej drodze powrotnej przez Mediolan do Turynu, ponieważ 40 km w bok od Ankony znajduje się miścina Loreto, niepokazna na mapie i wśród pagórków, na których się rozłożyła, ale ważna z pamiętki, którą kryje: Domek Nazaretański. Salezjanie mają tu sierociniec obok Bazyliki, więc miska ciepłej stawy jest zapewniona jak i kącik do przenocowania. Więc autobusem do Loreto. Po drodze nie wiele brakuje do tego, by nie zawrócić. Kto ma pecha do taksówek, ten może mieć i do autobusów. W jednym z miasteczek, przez które przejeżdżamy trwa na rynku rebelia czy strajk, nie wiemy kogo przeciw komu. W każdym razie, wszystkie pojazdy są zatrzymywane i pasażerowie zmuszani do opuszczenia wozów. Kilka autobusów już stoi próżnych i toczy się zażarta walka na języki, a w gorliwości tu i tam, widać zawijanie rękawów, tośmy dopiero trafili, ale nie ma rady, trzeba będzie zdać rację, ale nie wiemy z czego. Kierowca nie otwiera drzwi, ale tylko przez uchylone okienko objaśnia, że pospieszny autobus z Ankony do Rzymu nie wiezie miejscowych pasażerów, naciska klakson i dodaje gazu do motoru, który gra jak syrena na próżnych obrotach. Demonstranci przyskakują do okien wywijając pięściami wykrzykując niezrozumiale. Nareszcie ustępują z drogi i wśród pogródek przepuszczają, na co kierowca nie daje sobie dwa razy powtarzać i wyrzuca pojazd jak z procy z na-

ciśniętym klaksonem, a tłum rozlatuje się na boki jak fala przed motorówką na wodzie, tak pozostawiamy hałasujących daleko za sobą.

W Loreto jesteśmy około dziewiątej rano. Już nie udaje się do zakładu, ale wprost do Bazyliki, wyglądającej jak obronny zamek wśród małych domków, drzewek oliwnych i winnic. Wchodząc na plac otoczony gigantycznymi arkadami piętrowych portyków, zdaje się być w Rzymie, albo w jakimś mieście o starożytnej kulturze, tak tu wszystko tchnie gotykiem i odrodzeniem z absydami monumentalnej wysokości z jednej, a pałacem dorównującym swym ogromem samej Bazylice z drugiej strony. Jeśli Domek Nazaretański został przeniesiony powietrzem, to w jaki sposób przeniesiono tutaj te niezmierne kolosy i skąd tak do serca uprawnej ziemi?

Sam Domek w środku Bazyliki jest karzełkiem, ale przybranym rzeźbami z marmuru jak cacko. Ilu tu mistrzów poszło w zawody, bo nie pozostawili wolnego miejsca na szpilkę, ale za to wnętrze jest oryginalne, ułożone z dużych cegieł bez fundamentów, bo ostatnie przenosiny umieściły go na drodze.

Widać liczne pielgrzymki, podobnie jak w Lourdes z chorymi na wózkach i na krzeselkach. Ołtarz w Domku jak i statua Matki Bożej są z hebanu. Dużo świeczek, a lud rozmodlony zdaje się poruszać wargami w milczeniu jak chybotać świec.

Po modlitwie przy Domku udaje się do zakrystii, jak zwyczajnie z ochotą wyproszenia mszy św. w Domku. Kościelny, miły ale stanowczy, braciszek kapucyn z długą czarną brodą, uśmiecha się pod wąsem, ale nie daje nadziei. — Dzisiaj nie można, są pielgrzymki z chorymi a przewodzą biskupi. I tym razem mój zawód odbije sobie modlitwą. Pcham się do Domku i tak jak jestem klękam w tłumie na oba kolana, do rozmyślenia i modlitwy nie potrzebuję oglądać nikogo. Obok stoi młody biskup i depcze po mojej sutannie, bo inaczej nie można w tłoku, chociaż widać dobre chęci trzymania się na uboczu. Nie wiem kiedy się oddalił i sam wchodzę do szerokiej nawy, by innym zostawić miejsce. Klęcząc przed Domkiem, odmawiam brewiarz, a ten sam biskup jest niedaleko przy klęczniku. Po chwili zwraca się do mnie półgłosem:

— A ksiądz to skąd jest? Z Japonii. — Jak to z Japonii? — Misjonarz. — Z jakiego zakonu? — Salezjanin. — To ksiądz zna monsignora Cimatti'ego? — Owszem, to mój przełożony. — Chodźmy do zakrystii! Tu dowiedziałem się, że gdy mons. Cimatti był na kapitule we Włoszech, w swoim rodzinnym miasteczku Faenza miał konferencję w Seminarium dla kleryków, których rektorem był właśnie on. On sam miał zamiar jechać na misje, ale zrobiono go biskupem i pozostał na miejscu. Mimo wszystko nie zapomniał mons. Cimatti i teraz zapytuje, co by mógł uczynić dla mnie z wdzięczności dla mons. Cimatti'ego. Znowu miłe zaskoczenie i prędką odpowiedź: prosiłem o odprawienie mszy św. w Domku, ale próżne były zabiegi. — To dobrze, ksiądz odprawi mszę św. w Domku dla moich chorych, a ja przyjdę tylko do pomocy przy komunikowaniu. Mieszkam niedaleko, więc corocznie tu odprawiam, a dla księdza może to być jedyny raz w życiu, więc proszę przyjąć tę zamianę ofiarowaną z serca ku pamięci mons. Cimatti'ego.

Z wdzięczną radością i w skupieniu ducha wychodzę do ołtarza pełen wspomnień co dopiero przeżytych nabożeństw u Ojca Pio, prosząc Boga i Najśw. Pannę o łaskę chociażby małego naśladowania tego mistyka bole-

ści. W tej chwili poczułem bardzo mocny zapach stygmatów Ojca Pio, trwających bez przerwy aż do końca mszy św. Czy przeżyłem szczytę tego wzoru nie wiem, w każdym razie to mi wiele dopomogło do skupienia i przeżycia Najśw. Ofiary. Słyszałem z opowiadań, że kto szczerze wspomina Ojca Pio, ten otrzymuje w nagrodę poczucie zapachu jego stygmatów, gdziekolwiek by się znajdował. Tym razem przekonałem się o tym osobiście. Po powrocie do zakrystii dziwi się braciszek, dlaczego to nie biskup był celebransem. Wzruszył się poczciwy brodacz na wiadomość, że jestem Polakiem, bo i on z Polski pochodzi, a dalsze zwiedzenie Bazyliki już odbyło się pod jego opieką. Na końcu on mnie obdarzył pamiątkami ze świątyni.

Ostatnia pielgrzymka to przystanek w Padwie u św. Antoniego, do którego mam od dawna nabożeństwo, jeszcze z czasów rzeszowskich u oo. bernardyńców. W samo południe po Anioł Pański wychodzę do ołtarza, tym razem bez żadnych trudności, bo o tej godzinie już nie wielu jest pielgrzymów. Organista przegrywa i śpiewa pięknym głosem. A potem jeszcze jeden skok do salezjanów w Wenecji na wyspę św. Jerzego, skąd zwiedzam kościoły i ważniejsze pamiątki tego pływającego miasta. Przedostatniego maja żegnam Włochy, następnego dnia pozdrawiam salezjanów w Wiedniu i po trzech nocach w pociągu, przez Zebrzydowice, Katowice i Kraków, już drugiego czerwca mogę uściskać swoich w rodzinnej wiosce.

Dwadzieścia trzy lata rozłąki. W tym czasie mamusia i Józia przeniosły się do wieczności, więc odwiedzam ich groby, a potem krewnych i znajomych wśród wielu zaskoczeń i zawodów. Zachowałem żywo w pamięci warunki sprzed dwudziestu laty, mój kalendarz i zegar znajomości zatrzymały się na roku 1937, więc zawrotne zmiany wyłączyły prąd łączący przeszłość z teraźniejszością, która wydaje się obłupana z tamtych ideałów sielskich i anielskich, oraz rzucona na pastwę jednego pokolenia krwawych wojen i zamieszek, z których wyszła jakby ze skóry obdarta. Czas - chronos, płata figle nie tylko dzieciom, ale i starszym, którzy zachowują dziecinne wspomnienia.

Na Zielone Świątki odbywają się „prymicje” w rodzinnym kościółku po czternastu latach kapłaństwa. Cała parafia bierze w nich udział, bo jakby mogło być inaczej. Powrócił ten skromnie pożegnany i zapomniany rodak, kolega dawnych dziecięcych swawoli... Im dłużej się żyje i więcej poznaje, tym bardziej kraj rodzinny bierze za serce. Tyle szczegółów dawniej przeoczonych, nie zauważonych, dzisiaj zaczyna odgrywać zasadniczą rolę. Mój Boże, te zwyczajne pola, malowane zbożem rozmaitem, wyłącane pszenicą, posrebrzane żytem, wszak to są cuda Boże, pierwszej wagi i wartości...

Czy uczulenie pod tym względem jest naprawdę znakiem starzenia się, albo raczej pełniejszego zrozumienia rzeczywistości ukrytej za firankami przyzwyczajenia? Na Trójcę Świętą powtórzyły się „prymicje” w Czudcu, dawnej parafii w wielki odpust święta patronalnego. Tutaj jest mniej znajomych, ale dobroć ludu prostego wszystko wynagrodzi. Podgórski rodzinny klimat wpłynął bardzo dodatnio na zdrowie i samopoczucie tak, że odnowiony na duchu i na ciele, już po zniwach wybieram się z powrotem, ale drogą okrężną przez Stany Zjednoczone, by odwiedzić krewnych i dobrodziejów. U nich to spędzam jeszcze Święta Bożego Narodzenia. Tak cała podróż w części żmudna i męcząca, ale w całości przyjemna i pożyteczna kończy się szczęśli-

wie. Odwiedzenie kraju i rodziny, jak również szczegółowe przewertowanie odrodzonego ducha misyjnego w świecie, podbudowały znacząco skromne przygotowanie do nowego obowiązku i pracy do której zabieram się z entuzjazmem.

Choćby Tobą Chryste Panie  
Pogardzały wszystkie ludy,  
To na polskim zawsze łanie  
Chłop Ci skłoni się jak wprzód.

Chłop postawi Bożą Mękę  
U wrót wioski, na rozstaju,  
Byś wyciągnął, Jezu, rękę  
I włodarzył w naszym kraju!

(Napis na Krzyżu Misyjnym na Puszczy św. Jana z Dukli)

## Wzrost daje Pan

Pismo japońskie należy do trudnych i rzadkich pism ideograficznych. Język i pismo mają niezaprzeczony wpływ na kształtowanie się typu mieszkańców, podobnie jak środowisko, klimat i wychowanie. Japońskie pismo zostało zapożyczane od przyjaciół z zachodu tj. od Chin, już w formie rozwiniętej i ustalonej. Jest to pismo obrazkowe, polegające na przedstawieniu idei za pomocą jakby obrazka czy fotografii. Każde słowo posiada własny odrębny obrazek, niekoniecznie odpowiadający wyglądowi przedmiotu, który określa, chociaż prawdopodobnie od niego się wywodzi, przynajmniej jako część z całości. Japończycy niechętnie godzą się na zastąpienie ich pisma naszymi rzymskimi literami, oni bowiem nie tylko słyszą znaczenie wyrazów, ale je widzą, czego my ludzie z zachodu prawie nie pojmujemy. Na nic więc polecenia MacArthur'a, który w czasie okupacji, w imieniu Stanów Zjednoczonych wyraził zarządzenie reformy tego pisma. Skończyło się na zredukowaniu liczby kresek w niektórych ideogramach i na lekkiej przeróbce dwóch alfabetów.

To jest tylko mały przykład niezrozumienia potrzeb życiowych i zapatrywań głęboko zakorzenionych, oraz przekonań wyssanych z mlekiem i krwią przypieczętowanych. Wymagać usunięcia ideogramów równa się sprowadzeniu nauki do prymitywu czasu epoki kamiennej. Dosłownie, byłoby to zubożeniem języka do połowy swej wartości, a może nawet „bez może” do jednej trzeciej. Większość wyrazów posiada bowiem kilka odmiennych znaczeń o tej samej wymowie, a wielka z nich liczba po kilkanaście i więcej (dla małego przykładu mogą służyć nasze wyrazy: Bóg, Bug i buk). Tylko pismo daje poznać ich różnicę tak, że nierzadko w czasie rozmowy trzeba się wytłumaczyć sposobem pisania. Charakterystycznym jest dla Japończyka pisać palcem po dłoni, by się upewnić, że się jest zrozumianym.

Taka lekcja o piśmie wydawałaby się na pierwszy rzut oka niemająca żadnej styczności z nowicjatem, o którym wypadaloby coś napisać, przecież to jest w takim kraju. Tymczasem świadczy nam niezaprzeczenie o wielkiej różnicy naszego sposobu pojmowania o całe niebo odmiennego od narodów

Wschodu. To co my uważamy jako białe, u nich nie koniecznie jest dość czyste. Prowadzenie i urabianie dusz napotyka jeszcze więcej różnic i niespodzianek, stąd wymaga otwartych oczu i serca, stałej nauki i zmysłu intuicyjnego, tego czego rozum i uczucie nie pojmują. Mówi się, że sprawy proste są najbardziej skomplikowane. To są trudności, ale radości jest więcej. Pierwszy rocznik nowicjatu liczył dziewięciu, drugi dwunastu, znowu dziesiątka rwąca się do modlitwy, nauki i pracy. Każdy rocznik ma swoją twarz, nawet konferencje i studia trzeba odmieniać i dostosować do środowiska, więc nie ma czasu na nudy i na wypoczynki.

Obok nowicjatu działają jeszcze dwie wspólnoty: słuchacze filozofii i teologii, liczniejsze i nie mniej żywotne. To my raczej jesteśmy dodatkiem do nich, a nie oni do nas. Całość nazywamy studentatem, albo seminarium. Tak więc w studentacie, oprócz przełożonych i studentów, mieszka kilka osób, które są oddane raczej ukrytej pracy, aby uprzystępnąć całej wspólnotcie i ułatwić zadanie poważnych studiów i pracy wychowawczej. Tak więc w osobnym domku mieszkają Siostry salezjanki, które w ukryciu wykonują ogromną pracę w kuchni, pralni i szatni. Przy małym gospodarstwie działa brat, mój towarzysz z podróży na misje. Przy większych potrzebach w ogrodzie czy na roli, cała wspólnota udaje się gromadnie do pomocy, np. przy sadzeniu czy kopaniu ziemniaków, plewieniu trawiska, zbieraniu jarzyn itp., ale braciszek sam od rana do nocy jest przykuty do niezbyt urodzajnej gleby. Jest inny pomocnik przy bramie, prawie na łaskawym chlebie, ale przecież bardzo pomocny, chociaż fizycznie trochę niepełnosprawny.

## Kamień i błoto

Wreszcie w kąciку ogrodu mieszka staruszek, który na pierwszy rzut oka zrobił na mnie dziwne wrażenie, bo pracownik nie lada, który z motyczką w rękę, utrzymuje w ładzie mały park, człowiek dziwny w zachowaniu. Kłania się w pas z całą uniżonością, ale nie wygląda wcale na sługę, co więcej, nosi na szyi nawet latem opaskę podtrzymująca czysty bandażyk na gardle i zachowuje milczenie. Zainteresował mnie ten miły staruszek, więc po konferencji w nowicjacie podchodzę do niego i życzę mu dobrego dnia. On powstaje z kucek od trawy i kłania się głęboko, oraz odpowiada głosem, wchodzącym jakby z podziemi i to bez poruszania wargami. Speszyło mnie to trochę, ale mu się przedstawiam, na co on się odwzajemnia, czego jednak nie zrozumiałem. Tak rozpoczęła się nasza pierwsza znajomość. Dowiaduję się więcej od przełożonego.

To jest nasz miły dziadzio, pracuje u nas, ale za skarby świata nie weźmie żadnego wynagrodzenia, chociażby najmniejszego. Tłumaczy się tym, że znalazł u nas to, czego szukał na próżno przez całe swoje długie życie, więc on raczej ma być nam wdzięcznym. — Czego więc szukał, pytam. — Prawdziwego ubóstwa. Tym razem zadawałam się taką niejasną wiadomością, ale niedługo powracam do ataku i to u znawcy całej historii.

Dziadzio urodził się na wyspie Kyushu, tam ukończył jak na owe czasy wyższą szkołę, a potem ożenił się w dość bogatej rodzinie. Duch niespokojny, czytał zawsze dużo i to książki raczej trudne o filozofii europejskiej, indyjskiej, o buddyźmie, braminiźmie i o innych filozofiach Wschodu, łącznie z japoń-



skim filozofem Kotaro Nishida, który stworzył własną filozofię, szkołę i system filozoficzny, dzisiaj znany na całym świecie. Po śmierci żony pozostawia dzieci na opiece dziadków, a sam wybiera się w świat bez grosza w kieszeni. Tak idzie od świątyni do świątyni, od sekty do sekty, od religii do religii. Wszystkie poznał, wszystkie wypróbował, ale pozostał nienasycony. Tymczasem mijają dziesiątki lat. Wreszcie przybywa do Tokio i po wielu zmianach, zamieszkuje w dzielnicy zwanej Chofu, przy wyższej szkole technicznej, dzisiejszym Uniwersytecie Elektrotechnicznym. Człowiek pracowity, zdobywa prędko poważanie u profesorów, ale cieszy się szczególnym wzięciem wśród studentów, bo też jest za co. On biedny, za gorliwą pracą bez wytchnienia, otrzymuje podwójne wynagrodzenie, ale rozdaje wszystko między biednych i najwięcej potrzebujących akademików. Tych, których wysłał własnym kosztem na specjalne kursy do różnych sekt i wspólnot religijnych, liczy się na dziesiątki, jednym słowem, gdzie się tylko ruszy, tam staje się dla potrzebujących prawdziwym duchem opiekuńczym. Upodobał sobie co miejsce i postanowił spędzić przy uniwersytecie i swoich studentach resztę życia. Tymczasem niespodzianka, lekarze stwierdzili i orzekli u niego raka gardła, polecając bezzwłoczną operację, której poddaje się z całą naturalnością i stoicyzmem. Wycięto narząd głosowy, pozostawiają otwór w krtani, zasłonięty kawałkiem bandaża, przez który oddycha i wydaje głos, ale po długim ćwiczeniu brzuchomóstwa.

Wraca jeszcze do uniwersytetu, ale ogranicza się do pracy w kuchni i jadalni dla stołujących się profesorów i studentów. Jeden z jego wnuków po córce dostaje się do naszego aspirantatu w Miyazaki, więc on również zaczyna się interesować chrześcijaństwem, dotąd niespotykanym na swej drodze, ale czyni to raczej z ciekawości. Wtedy decyduje się przyjść do nas, gdzie znajduje serdeczne przyjęcie. Mimo trudności w porozumieniu się, jako dziadek naszego aspiranta, ujmuje wszystkich swoim zachowaniem. Wszystkim się interesuje, sam czytany i znający świat, spostrzega coś nowego, dotąd niespotykanego, zatrzymuje się w kaplicy i przegląda książeczki do modlitwy i podręczniki do rozmyślenia. Natrafił na rozmyślanie o temacie ubóstwa zakonnego i czyta kilka rozdziałów. Został tym zaskoczony i urzeczony. Wszystko jest jak on marzył w swoim życiu a nawet dokładniej i lepiej niż dotąd sam praktykował. On przecież pozostawił bogactwo i żyje z pracy rąk, starał się wyrwać z samolubstwa, pogoni za bogactwem, usiłował raczej dawać aniżeli brać, kilka razy w miesiącu odprawia całodzienną głodówkę, a od dłuższego czasu jego kolacja składała się z odpadków pozostawionych w jadalni przez studentów. Zapytany przez kogoś co studiuje, odpowiedział, że człowieka, głosi wszystkim wyrozumienie dla innych a twarde sądy dla siebie, sam stara się zostać „ludzkim” człowiekiem i tak dla ludzi wychować żyjących bez walki, bez zawiści, altruistycznie, nawet dla zwierząt, umrzeć samemu sobie, aby zachować prawdziwą równość i miłość bliźniego. On to dzisiaj znajduje w starej książce, przetłumaczonej z obcego języka i wydaje mu się, że świat się odmienił w jednej chwili. Wychodzi z kaplicy jak pijany swoim odkryciem i spogląda na świat z jakimś nieopisanym żalem, sam nie wie do kogo i dlaczego. Powraca następnego dnia i prosi o pozwolenie czytania tej nadzwyczajnej książki i opowiada swoje wczorajsze wrażenia.

Powraca jeszcze kilka razy i na zakończenie ofiaruje swoje usługi w ogrodzie, uważając to za wielką łaskę, bo pożegnał się dzisiaj z długoletnią pracą przy uniwersytecie. Tak więc pozostaje z nami grzeczny nad wyraz, dla wszystkich usłużny, pracowity i szczęśliwy... tam w budce przy ogrodzie. Polubiliśmy go wszyscy i staraliśmy się mu odwdziaczyć, ale on niczego nie potrzebuje, czyta książki i pisma katolickie, a w rozmowie interesuje się i pyta jak uczeń swego nauczyciela, nawet nowicjuszy, a co dopiero mówić studentów filozofii, teologii albo księży profesorów. Po roku prosi o nauczyciela katechizmu, choćby nowicjusza, ale otrzymuje profesora teologii i czuje się już jakby w swojej rodzinie, szanowany i serdeczny dziadek. Na Wielkanoc wraz z pierwszymi ślubami nowicjuszy otrzyma chrzest św. z rąk co dopiero przybyłego z Rzymu wizytatora, wicegenerała naszego zgromadzenia. Gotuje się wciąż nie tylko nauką, ale i modlitwą w kaplicy przy ostatniej ławce w kąciku. Jako imię chrzestne wybrał sobie z kalendarza św. Izydora rolnika i to ze specjalnych powodów. Oprócz niezwyklej pozycji świętego oddanego pracy i modlitwie, wybór padł także z innego powodu, dzięki znaczeniu, które posiada to imię przypadkowo w języku japońskim. Iszi-doro. Składa się z dwóch wyrazów japońskich iszi i doro. Iszi oznacza kamień, a doro oznacza błoto. Tak tłumaczy nam ten wybór: dotąd moje serce było twarde jak kamień, ale pod promieniami łaski Bożej, stanie się miękkie jak błoto aż do końca mego życia.

Rzeczywiście od chrztu stał się jeszcze grzeczniejszym i serdecznym, już nie z przyzwyczajenia, ale z wiary. Słowo kapłana lub zakonnika jest dla niego świętym. W górach, w czasie wywczasów jest naszym kuchaczem, wszędzie nam towarzyszy z wyjątkiem przejażdżki łódką po jeziorze, boi się, bo ma otwór w tchawicy. Tylko jedyny raz dał się namówić na wycieczkę stateczkiem do wyspy Sado, oddalonej od brzegu zaledwie niecałe czterdzieści kilometrów, słynnej z dawnej kopalni złota. W czasie drogi rozpułała się burza. Biedny Izidor zeszedł pod pokład na samo dno okręci i tam czekał na śmierć, która mimo przewidywania samego kapitana, oszczędziła tym razem nieopatrznych wycieczkowiczów. Od tego czasu nie ruszyłby wodą za żadne skarby świata. Po kilku latach jednak choroba powróciła i przerzuciła się na płuca. Przeleżał jeszcze dwa lata w katolickim szpitalu, ogromnie wdzięczny za najmniejszy znak pamięci a zwłaszcza za odwiedziny. Po Bożym Narodzeniu przeniósł się do wieczności, a jeden z wnuków zebrał jego zapiski i wydał pod tytułem: „W oczach śmierci”, co nie odnosi się tyle do śmierci ciała, ile do umierania samemu sobie. Są to piękne rozmyślenia filozoficzno-religijne o wartości i potrzebie umartwienia. Dwa traktaty o miłości, napisane dla swoich studentów, odkrywające przed nimi głęboki sens życia, a tym bardziej interesujące, ponieważ zawierają myśli dla nich zrozumiałe, wzięte przede wszystkim z nauk pogańskich wierzeń, szczerze i mądrze przedstawionych. Jest kilka słów o celibacie, bardzo oryginalnie przedstawionym i wreszcie długi list pożegnalny, pełny dobroci, troski o ich przyszłość i uwag bardzo na miejscu, zachęcających do równowagi i wzajemnego poszanowania, mający za temat starą japońską poezję: „Wśród wielu ludzi nie ma człowieka, ty bracie, bądź człowiekiem i wychowuj na człowieka”.



## Feniks odradzający się z własnych popiołów

Olimpiada w Tokio została postanowiona. Ząb wojny zaciera się coraz bardziej i już rzadkie są widoki pogiętego „żelaziwa” albo zmasakrowanego zaułka. Zniknęły również bezpowrotnie próżne place z samotnymi magazynami i ogniotrwałymi kasami. W miejsce bezrobocia, zapotrzebowanie do pracy stało się nerwowe, prawie wyzywające, a z nim wyludnienie wiosek, zwłaszcza młodych sił jest wszędzie notowane. Organizacja ruszyła z miejsca w przyspieszonym tempie i to na szeroką skalę, aż podziw bierze: nie ma w kraju wolnego przejazdu i wykończonej drogi. Dniem i nocą ulice są obstawione zaporami, które jak śluzy przepuszczają na zmianę mrówczy lud ze wschodu na zachód, a z północy na południe i odwrotnie. Praca idzie składnie, wykonuje się solidnie, jednym słowem praca wre. Wszystkim udziela się współodpowiedzialność, zaradczość i pośpiech, nadzieja czegoś nadzwyczajnego. Takiego zaangażowania nie widzieliśmy od czasu bombardowań, smutnej pamięci.

Kraj zmienił się drugi raz w kretowisko, ale czego dokazano w stolicy przechodzi wszelkie domysły i oczekiwania. Nie tylko odważne, ale na kraj podany trzęsieniom ziemi, wprost hazardowe pociągnięcia sztuki budowlanej, wydają dotąd jeszcze niespotykane pawilony i trybuny, kilkupiętrowe i kilku-poziomowe stacje kolejowe i autostrady, kolejki jednoszynowe, a zwłaszcza sławny nad-ekspres „Hikari” (błysk), łączący Tokio z Osaka, ponad pięćset kilometrów w trzech godzinach. Wszystko to wyrasta z kretowiska, prawie w jednym czasie.

Przed Olimpiadą, włoska linia lotnicza ma zamiar wprowadzić regularną obsługę, a na lot inauguracyjny ofiaruje trzy bilety gratisowe do Rzymu z prośbą o jakąś historyczną rocznicę. Rzeczywiście w tym roku przypada 380 rocznica od podróży synów lenników chrześcijańskich z Kyushu do Ojca Św. Powtórzy się delegacja złożona z dwóch młodzieńców. Jeden z nich należy nawet do potomków jednego z tamtych bohaterów, drugi jest przedstawicielem stolicy. Powiozą w darze albumy zawierające zdjęcia obecnych misji katolickich i drogocenne naczynie wykonane przez złotników japońskich. Ojciec Św. Jan XXIII, przyjmuje ich na specjalnej audyencji i obdarza błogosławieństwem, oraz pamiątkami i cennymi medalami z jego pontyfikatu.

W Tokio tymczasem wznosi się z żelbetonu piękny kościół katedralny projektowany przez znanego w świecie japońskiego architekta Tange. On też skreślił plany na piękne pawilony Olimpiady w Tokio. Katedra również pod względem artystycznym ma dorównać wymogom największej stolicy świata a wydatki pokryje bratnia diecezja z Kolonii w RFN.

## Biedny kto Ciebie nie zna od powicia

W tym czasie wyłania się jeszcze jedna impreza związana z salezjanami. Na św. górze Fudzi, oddalonej od Tokio około sto kilometrów została wybudowana autostrada, prowadząca na górę aż po granice śniegów do wysokości 2600 m przy pełnej wysokości góry 3 776 m. Siostry salezjanki, mające u podnóża góry zakład i dom rekolekcyjny, pierwsze podały ideę umieszczenia na górze Fudzi statuy Maryi Wspomożycielki. Myśl ta bardzo się wszystkim spodobała, ale wprowadzenie jej w czyn nie należy do rzeczy łatwych, jeśli weźmiemy pod uwagę, że góra Fudzi jest symbolem Japonii i jedno z ośmiu milionów bóstw szintoistycznych, stawiane na pierwszym miejscu. Stąd wypada zapoznać się bliżej, czym jest ta góra dla Japończyków. Starożytni odnosili się do niej ze święta obawą, bo z jej krateru wydobywały się od czasu do czasu ognie, ryki i zniszczenia, więc uważano ją za drzwi piekielne, gdzie żaden ze śmiertelników nie odważał się postawić nogi, a cóż dopiero mówić o chęci zdobycia jej szczytu. Uchodziła za wulkan zagniewanego bożka, przynoszącego nieszczęście. Ostatnie oznaki gniewu okazała w roku 1707, grzebiąc Edo (Tokio) w popiele na wzór Pompei. Nazwano górę nowym przydomkiem, bożkiem strachu. Od owego czasu uspokoiła się i zamilkła na zawsze, zmieniając się na bożka łaski i radości.

Lud zakochany w przyrodzie nie mógł nie zachwycić się wspaniałym widokiem doskonałego stożka, niezmiennie uwieńczonego srebrnym czepkiem śniegu. Imię jej stało się jeszcze prawie symbolem nieśmiertelności. Oglądać górę Fudzi równa się otrzymaniu błogosławieństwa bogów.

Japończyk powinien przynajmniej raz w życiu wyjść na szczyt, ale dwa razy byłoby tego za wiele. Stąd, zaledwie skończy się pora deszczowa, rozpoczyna się nieprzerwana rzeka wstępujących po zboczach dniem i nocą różnego wieku i zawodu, dochodząca na końcu względnie krótkiej pory do kilkuset tysięcy pątników. U podnóża przy świątyniach odbywają się ceremonie oczyszczenia w lustrzanej wodzie, a pobożni pątnicy ubierają białe szaty i biorąc do ręki odpowiednie laski, udają się w drogę, śpiewając i odmawiając swoje modlitwy. Dobrowolne stowarzyszenia szintoistyczne strzegą zazdrośnie czystości trasy i ochrony przyrody.

Wiele zmieniło się od czasu zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i na Nagasaki. Szintoizm nie jest już religią państwową, ale mimo to góra Fudzi jest uważana za świętą i nietykalną.

Urzędowo Fudzi należy do stolicy, jednak fizycznie znajduje się w innym województwie, któremu jedynie powierzono zadanie troszczenia się o tę górę. Znając to i tyle jeszcze innych tutaj nie wspomnianych rzeczywistości, komu mogła przyjść do głowy idea umieszczenia figury Matki Bożej na tej górze? Rzeczywiście tylko osobie nieznającej tutejszych warunków, a nią jest nadzwyczajna wizytatorka Sióstr salezjanek z Turynu. Wiemy dobrze, że gdy Opatrzność działa, posługuje się ludźmi, więc kto tego nie próbował, nie może polegać wyłącznie na osobistym zdaniu, chociażby najbardziej zrównoważonym. Mówi też przysłowie, że odważnych Pan Bóg wspiera.

Zaczęło się więc jak zwyczajnie, od ożywionej dyskusji między nami, za i przeciw. Nierzadko zmieniają się pozycje broniących z atakującymi. optymizm i pesymizm mają to w sobie, że przy starciu wytwarza się trzeci plan

wzbogacony, jak dwa bieguny w elektronice, wytwarzające siłę, światło i ciepło, a w naszym wypadku wielki entuzjazm. Setne powody słuszności tej sprawy: ćwierćwiecze naszej pracy na misjach w Japonii, bliskość Olimpiady z licznymi gośćmi z zagranicy, przyjazne nastawienie się Japończyków do Matki Chrystusa przez ulubione oglądanie Jej artystycznych obrazów, nadzieje większego wpływu chrześcijaństwa na masy itp. Jeszcze jedno wydarzenie prawie przypadkowe, ale bardzo ważne, dorzuciło paliwa do ognia. Nasz przełożony, który z wizytą przybył z Włoch, słysząc dyskusje, wyraził się bardzo rzeczowo. „Jeśli wystarcie się o pozwolenie, ja wam dostawię piękną i dużą statuetkę Maryi Wspomożycielki z białego marmuru”. Teraz praca rusza z miejsca, i to jednomyślnie, kto modlitwą, kto dobrą radą czy zachętą, wszyscy starają się współpracować. Szuka się poparcia u osób mądrych i wpływowych, ale nikt nie daje nadziei, owszem sprawy zaczynają się plątać, chodzi bowiem o wysunięcie korzyści moralnych i materialnych, bez których nikt palcem nie ruszy, ale jako nowość zaczyna się podobać. Matka Chrystusowa jest znana w Japonii, a uznanie dla Niej przed gośćmi, którzy przybędą na Olimpiadę, bardzo dużo znaczy, ale jaka siła przeważy szalę szacunku i nietykalności dla świętej góry? Warto posłuchać niektórych wywodów za i przeciw. Największym zarzutem jest duch japoński tak sformułowany: na świętej górze nie ma żadnej świątyni, ani żadnego bożka, więc umieszczenie statuy nie zgadza się z zasadą ducha japońskiego. Odpowiedź jest prosta i trzyma się na poziomie pytania. - Matka Chrystusa nie jest bogiem, więc to nie obraża wcale tej zasady. Ona natomiast jest godną tego, by spoglądała z miłością i okryła swym płaszczem Japonię tak, jak okrywa liczne kraje świata, a z dobrze myślących nikt nie odrzuca matczynego serca, którego Ona jest symbolem...

Dla Japończyka również ideał dobra, szczęścia rodzinnego, poświęcenia się dla kraju, oraz synowskiej miłości to atuty wielkowartościowe, które nie utraciły na wadze, mimo ostatniego kataklizmu przegranej wojny, owszem zyskały więcej zaufania po doświadczeniu ruiny z pokładania nadziei w broni, sile, nienawiści i zachłanności cudzego dobra.

Miasto Tokio poparło naszą prośbę, a to znaczy tyle, co delikatny rozkaz. Województwo po kilku debatach dyskusyjnych, zgodziło się, powierzając to zadanie burmistrzowi pobliskiego miasteczka. Gdy rzecz stała się publiczną, kilka pism wyraziło swoje niezadowolenie, ktoś odważył się nawet telefonicznie grozić odwetem, ale sprawa urzędowo postanowiona, nie ma się czego obawiać, zresztą w tych samych pismach wydano sprostowania i powody, które przypadły do serca publiczności.

Do wybrania miejsca został zaproszony przez burmistrza przedstawiciel Ojca Św. Delegat Apostolski na Japonię. Sprężyną wszystkich starań jest nasz ks. Józef Z.E., mój dawny wychowanek. Wyznaczono miejsce na dwóch tysiącach metrów nad poziomem morza, przy dużym placu do parkowania z pięknym widokiem na jeziora i na miasteczka, może najlepszym z całej trasy autostrady. Powyżej tego placu, na zboczach, około 50 m, w głąb lasu stanęła na wysokim cokole piękna statua Madonny z Dzieciątkiem na ręku, z koroną na głowie i berłem w dłoni, wysoka na trzy metry. Zaplecze ściany z żelbetonu chroni od śniegu i wiatrów.

Poświęcenie odbyło się ósmego października po uroczystości M.B. Różańcowej, co stało się odłożone na prośbę burmistrza przeddzień zajętego innym obowiązkiem. On przeciął wstęgi a dwoje dzieci, ubranych w polne kwiaty, odsłoniło jedwabną zasłonę. Pogoda jednak nie dopisała. Góra Fudzi zakryła swą twarz grubymi chmurami, z których zaczęła płakać obficie. Przyjęcie odbyło się w obszernym salonie jednego z hoteli: śpiewy, życzenia, przemówienia i muzyka. Większość przemówień wygłosili miejscowi prelegenci nie chrześcijanie, wyrażając w gorących słowach własne wzruszenia przy tej dla nich nadzwyczajnej ceremonii.

Burmistrz zagaił w te słowa: „Nie jestem człowiekiem religijnym, ale tam wobec waszej Madonny doświadczyłem dziwnego uczucia dotąd mi obcego, czuję się dzisiaj odmienionym”, a potem odczytał swoje przemówienie: „Od niepamiętnych czasów góra Fudzi uchodzi za świętość u Japończyków. Pielgrzymi ubrani w białe szaty wchodzą odmawiając modlitwy oczyszczenia, a to dlatego, że aby wyjść na tę górę, trzeba być czystym na duszy i na ciele. Jestem przekonany, że tym bardziej teraz, aby się zbliżyć do Matki Chrystusa, trzeba zadbać o to oczyszczenie, bo inaczej nie otrzymamy od Niej tego, czego przychodzimy tu szukać...” na zakończenie dodał: „Jestem zadowolony, że Madonna przysłała między nas. Będzie naszą obroną i obdarzy nas pokojem, którego tak bardzo potrzebujemy.”

Tak dokonały się rzeczy nie do uwierzenia. Na świętej dla Japończyków górze Fudzi zamieszkała Matka Boża, błogosławiąc Japonii i zapraszając wszystkich, aby się do Niej uciekali. Ósmego grudnia tego samego roku, została konsekrowana nowa świątynia katedralna, pod tytułem Niepokalanego Poczęcie N.M.P. godna stolicy Japonii i siedziby pierwszego kardynała.

Każde Boże Narodzenie w nowicjacie przeżywamy w szczególnie miły sposób. Miejscowy proboszcz ks. Sadao z całą pieczołowitością cały rok przygotowuje liczną grupkę katechumenów i oddaje do ochrzczenia mistrzowi nowicjatu, tego roku więcej niż dwudziestkę. Wielka to radość dla całego studentatu, ale szczególnie dla nowicjatu.

Przygotowania do Olimpiady również bez zarzutu. Wszystkie drogi zostały odnowione albo raczej odbudowane. Po kretowisku nie ma ani śladu a piękne i zamaszyste kilkupoziomowe autostrady ubrały miasto białymi wstęgami, pozwalającymi przenosić się we wszystkich kierunkach szybko i wygodnie w ułamkach godzin. Japonia doszła do zenitu rozwoju. Nie ma jednak nic trwałego na świecie, „a krzyż jest zawsze gotowy i wszędzie na nas czeka” jak czytałem na drzwiach celi Ojca Pio. Jest nim odejście Ojca Św. Jana XXIII, a niedługo potem naszego wielkiego misjonarza Mons. Cimatti, co pograżyło nas w ciężkiej żałobie. U boku tego ostatniego przeżyłem dalszych sześć lat, korzystając z jego kierownictwa i przykładu. Są to chwile niepowtarzalne o wielkim ciężarze specyficznym, podobnie jak nawrócenia, uzdrowienia i taka właśnie przyjaźń. Udając się do Ojca Pio, napotkałem tam prawie identycznego człowieka. Poczuję się do obowiązku dziękowania Bogu do końca życia za ten dar, święcie przekonany, że obaj pójdą na ołtarze.

Z Kraju tymczasem nadchodzą radosne wiadomości o zbliżającej się ku końcowi Wielkiej Nowenny Tysiąclecia. Staramy się łączyć duchowo w przygotowaniu się dobrze do tego jubileuszu bez precedensu. Przy planowaniu

budowy nowej kaplicy gdzie w podziemiu umieścimy zwłoki naszego Ojca, ogłaszam współbraciom nasze Tysiąclecie. Moja praca w nowicjacie zbliża się ku końcowi. Osiem lat mija więc: Finis coronat opus - dobry koniec będzie ukoronowaniem dzieła. Na wiosnę otrzymuję kamień z rodzinnych stron, na którym po oszlifowaniu, zostaje wykuta gałązka oliwna z napisem: POLONIA SEMPER FIDELIS, - 1966. Polska zawsze wiarna. Trzeciego maja 1966 roku cały klasztor w komplecie udaje się do Matki Bożej na górze Fudzi. Pogoda wspaniała. Tam celebruję uroczystą mszę św. o Królowej Polski z kazaniem o Tysiącleciu. Gremialna komunika i modlitwy za Polskę wraz ze złożeniem pamiątkowego kamienia z Polski do wmurowania obok, zakończyły naszą uroczystość z ogólnym zadowoleniem.

Szóstego października został poświęcony kamień węgielny pod budowę naszej kaplicy, która dla nas będzie również kaplicą Tysiąclecia. Rzuty cementu omijają szczęśliwie trzęsienia ziemi mogące w jednej chwili zniszczyć nie dość stwardniałą mieszaninę. Wszystko rośnie w oczach.

## Przechowanie tajemnic

W nowicjacie oprócz nauki i regularnego rozkładu dnia, mamy wiele tradycyjnych już zwyczajów i uroczystości. Jednym z nich jest spontaniczne opowiadanie kolegom swojego powołania. Są to chwile szczególnie drogie i miłe przeżywane ku wzajemnemu zbudowaniu. Przez tą szczerość koleżeńską zacieśnia się mocno duch rodzinny i każdemu jest dane przeżywać jeszcze raz głos Boży zwrócony do siebie i do słuchających. Każde zwierzenie ma w sobie coś tajemniczego, jakiś dar niedający się wytłumaczyć ludzkim tylko rozumem. Nasłuchałem się tych zwierzeń siedemdziesiąt i więcej i łącząc je razem, można by otrzymać interesujące i budujące dzieło. Za pozwoleniem autora, streszczam się do jednego, oraz oddaję mu głos.

„Moja rodzina ze strony mamusi należy do starych rodów, utworzonych u zarania stanu rycerskiego w epoce Kamakura, gdy władze wzięła w swoje ręce rodzina Minamoto (1333). Wtedy moi przodkowie uzyskali szlachectwo i związali się z panującymi aż do epoki Mejdzi (1868). Z biegiem historii zmieniali miejsce służby i zamieszkania, począwszy od środkowej części wyspy Honsiu (dziś woj. Nagano) potem podzieleni na klany, południowy rozmieszczony na wyspach Shikoku i Kyushu, skąd cześć udała się na nowo odkryte wyspy na Oceanie Spokojnym, dając im własne imię, oraz klan północny, osiadły od strony Morza Japońskiego (dziś woj. Iwata). Rycerskie wychowanie tzw. „busido”, oraz hodowla koni łączyły się w jedno dla potrzeb klanu, z którego wywodzi się mój dziadek. Klan babci jest również rycerski i sąsiedował na północy z klanem dziadka (dziś woj. Yamagata, bogate w pola ryżowe).

W epoce Edo (1616), gdy Tokugawa Ieyasu stworzył silny rząd wasali i rycerzy, rodzinie dziadka przypadł urząd karo (prawa ręka wasala). Szlachta na równi z dworem uprawiała oprócz sztuki żołnierskiej również sztukę wychowania towarzyskiego, słynnej etykiety japońskiej. Aż do odnowy Mejdzi (1868), życie szlachty było łatwe i wygodne. Potem tak władza jako też i ziemie zostały upaństwowione w sposób dość ciekawy: wszystko zostało „dobrowolnie” zwrócone cesarzowi. Zatrzymano tytuł szlachecki, ale pozostało również dużo niezadowolenia. Rząd tymczasem załagodził to w inny sposób.

Wydzielił im szerokie ziemie na małą zamieszkałą wyspę Hokkaido, dla jednej rodziny kwadrat o boku jednej mili (mila japońska 4 km). W ten sposób zabezpieczał również wyspę od nieukrywanych zakusów rosyjskich z pobliskiego Sachalinu. Rycerze nie byli przyzwyczajeni do uprawy roli ani też do rybołówstwa, więc nie zmieniając wygodnego sposobu życia, utrzymywali się z częściowej sprzedaży ziemi.

Mój dziadek mógł mieć wtedy dwa lub trzy latka. Posiadłość babki znajdowała się w samym Sapporo. Opowiadała mi, że mając trzy latka, na rozległych posiadłościach młodzież zabawiała się puszczaniem ogromnych latawców. Przy mocnych wiatrach zmuszono ją do uczepienia się żeberka latawca, o rozpięciu cztery na dwa metry i tak poleciała w powietrzu, co jej się bardzo podobało.

Innym wspomnieniem to podróże z braciszkiem do jedynej misji katolickiej w osiedlu oddalonym około trzy kilometry. Misjonarz urządzał dla dzieci opowiadania z obrazków bardzo interesujące w każdą niedzielę, uczęszczała tam, bo dla najpilniejszych dostawały się małe obrazki pięknie namalowane w innych strojach niżeli japońskie. Nauczyła się wtedy modlić się do Boga bez roztargnień. Stale odmawiało się: Ojcze Nasz, który jesteś w niebie... A gdy wyrosła, pozostało jej w pamięci tylko to pierwsze zdanie i powtarzała je często w ciągu dnia, przed i po jedzeniu.

Istniała wprawdzie świątynia buddyjska z sekty Zen, mająca wielką władzę, ale dzieci chętniej szły do misji chociażby ukradkiem, bo tam czuły się lubiane jak w domu. Gdy babcia wyrosła już na pannę, umiała doskonale szyć ręcznie i wyszywać. Wtedy wyszła za chłopca z sąsiedniej roli. Jego rodzina trudniła się dalej hodowlą koni. Po zawiązaniu rodziny, babcia otworzyła wielki zakład krawiecki, może największy w całym Sapporo. W tym czasie, została otwarta misyjna szkoła żeńska pod nazwą Fudzi, jedyna szkoła żeńska na wyspie. Pierwsze i drugie dziecko to były dziewczynki, ale bardzo wątłe i chorobliwe. Gdy starsza ukończyła szkołę podstawową, babcia postanowiła oddać ją do szkoły misyjnej. Chociaż sama pozostawała jak dziadek wierną buddyzmowi, to jednak pragnęła w duchu, by starsza córka przyjęła chrześcijaństwo. Znając trochę jego wartość i wielką przyszłość, podczas gdy buddyzm wydawał się jej przestarzałym. Stąd z podziwem otoczenia zapisała mamusię w nadziei, że zdobędzie głęboką wiarę. Rzeczywiście ona od początku zainteresowała się Pismem św. i w krótkim czasie zdecydowała się przyjąć chrzest św. Ostatnie przygotowanie polegało na codziennym uczęszczaniu na mszę św., która była odprawiana rano o godzinie szóstej. Dlatego babcia wstając na czas, przygotowywała zawiniątko ze śniadaniem dla córki i odprowadzała ją do kościoła. Oczekiwany dzień chrztu św. stał się wielką radością dla całego domu, ale szczególnie dla mamy. Ona już odmawiała całe Ojcze Nasz, ale babcia bez zmiany pozostała przy swoim pierwszym: Ojcze Nasz, który jesteś w niebie...

Tatusi był protestantem, ale przed ślubem przeszedł na katolicyzm. Urodziłem się w nowym domu obok kościoła i tu rozpocząłem szkołę podstawową. Lubiłem ogromnie chodzić do kościoła, ale pamiętam, że misjonarz był bardzo wymagający i dla nas chłopaków surowy, dlatego wspominał go z wielką nostalgią. Gdy miałem siedem lat, rodzina przeniosła się do Tokio, sam nie wiem z jakiego powodu. Mamusia otworzyła zakład kra-



wiecki w Chofu, skąd do seminarium salezjańskiego było około 20 minut piechotą. Wiem, że prawie przez przypadek księży z seminarium dopomogli dużo moim rodzicom w ułożeniu życia w tej pięknej dzielnicy. Niestety do parafii było daleko i dojeżdżaliśmy tam autobusem w każdą niedzielę i święta. Seminarium świeżo rozpoczęte, nie miało do dyspozycji większej kaplicy, ale tylko prowizoryczne pomieszczenie i nie przyjmowano ludzi z zewnątrz. W owym czasie pofabryczne ogrodzenie seminarium wydawało mi się bardzo wysokie, a brama była zawsze zamknięta, ale stamtąd dochodziły wesołe śmiechy i okrzyki kleryków na boisku sportowym i ciągnęło mnie tam bardzo z ciekawości. Pewnego razu rodzice uradzili sobie, by prosić o miejsce w kaplicy przynajmniej dla tatusia i dla mnie jako mężczyzn, a mamusia z trzema córkami będą dalej dojeżdżać autobusem. Zapukaliśmy z tatusiem do furty i przyjął nas misjonarz z brodą, bardzo uprzejmie i grzecznie, zapraszając na nabożeństwo. Ostatnia ławka została zarezerwowana dla nas. Gdy po jakimś czasie ks. Cimatti, bo to on był z brodą, dowiedział się, że mamusia z siostrami dojeżdżają do dalekiego kościoła, ofiarował chętnie miejsce dla całej rodziny, więc od tego czasu już należeliśmy do seminarium, zresztą nowa kaplica była już obszerniejszą. Mimo to trzymaliśmy się razem w ostatnim kąciku, a według opowiadania rodziców, najtrudniej było wyjść do komunii św. wśród samych kleryków, ale potem się przyzwyczaili.

Mimo wszystko, całe środowisko przypadło do gustu, ale każdemu trochę w inny sposób. Mamusia dziwiła się bardzo, że tutejsi klerycy uprawiają nawet lekką muzykę, śpiewy, sport, podobnie jak w szkołach świeckich. To co widziała dawniej w innych okolicznościach, to takie rzeczy nie były nawet do pomyslenia.

W tym czasie zapoczątkowało się tzw. oratorium, coś w rodzaju szkoły świątecznej dla ubogiej młodzieży. Po mszy św. pozostawałem więc na cały dzień, a niedziela była z tego powodu dla mnie bardzo oczekiwana. Przyjemnie, beztrudnie i pożytecznie mijały chwile sportu, różnych klubów i nauki. Patrząc wstecz, owe chwile wydawały mi się tak drogie jakby we własnym domu. Poznałem z bliska życie salezjańskie, o jakim nie miałem dotąd zielonego pojęcia. Było to jeszcze na początku: powracając do domu po całodziennym rozrywce, pozdrowiłem ks. Cimatti a on serdecznie mi odpowiedział. To mnie bardzo zaskoczyło i uradowało tak, że z uniesieniem opowiadałem o tem w domu. Patrząc z bliska na pracowite życie kleryków, zawsze w ruchu, bez zmęczenia i narzekania, byle nam było dobrze, pierwszy raz zauważyłem, że życie poświęcone Bogu, musi być bardzo przyjemne i to mi się bardzo spodobało. Wielu z nich pozostało głęboko wrytych w moim sercu. Nie było trudności, której bym nie rozwiązał z ich pomocą. Byłem już w drugiej gimnazjalnej, gdy jeden z nich zaproponował mi zapisanie się do liceum salezjańskiego w Miyazaki, gdzie wychowują się również kandydaci do tego zgromadzenia. Zaskoczony nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, dodając, że porozumiem się z mamusią. - Na taką podróż aż na Kyushu dla ciebie jeszcze za wcześnie - tak mi odpowiedziała. Ja również byłem z tego zadowolony, bo mówiąc prawdę, obawiałem się życia pełnego zaangażowania, zresztą miałem już w głowie inne ideały, chociaż i tego było mi szkoda. To, co najbardziej uderzyło mnie u salezjanów, to było niedzielne nabożeństwo. Rodzice i siostry chwaliły sobie to bardzo a ja byłem nim wprost po-

rwany. Piękne śpiewy gregoriańskie, a w większe święta polifoniczne, były wykonane na mój sąd, z wielkim arcyzmem, którego dotąd do tego stopnia nie odczuwałem. Również zwyczajne pieśni po japońsku też mi szły do serca, sam śpiewałem z przejęciem i radością, zazdroszcząc trochę pieśni po łacinie. Częste deklamacje, teatr, muzyka, akademie wiązały mi ducha a kilka dni spędzonych corocznie latem w górach koło jeziora, zawładnęły mną zupełnie i to prawdopodobnie przechyliło szalę mojego ostatecznego zdecydowania.

W szkole zbierałem laury a wśród kolegów miałem wielkie wzięcie i wpływ. Nie miałem jednak szczęścia do nauczycieli i wychowawców szkolnych, stąd nie przyszło mi do głowy, by kiedyś wybrać zawód nauczyciela. Postanowiłem iść w ślady tatusia jako inżynier budowlany. Babcia tymczasem zmarła na Hokkaido i dziadzio, sprzedając tam resztę posiadłości, przeniósł się do Tokio i tu założył fabrykę, którą sam nadzorował. Lubił mnie bardzo, więc pobyt u niego był zawsze dla mnie powodem wielkiej radości.

Pod koniec gimnazjum zwróciłem uwagę na pozycję moich kolegów w szkole, mających wiele problemów trudnych do rozwiązania, a pozostawionych własnemu losowi i niedoświadczeniu. Szkoda mi ich było, bo ja takie problemy rozwiązywałem z łatwością w każdą niedzielę, widząc entuzjazm i poświęcenie się dla nas młodych kleryków. Zapraǳiałem sam zdobyć w jakiś sposób ich zapatrywania na życie, by przyjść z pomocą moim kolegom albo kiedyś młodszym ode mnie wychowankom. W takiej rozterce ducha, gdy już byłem w trzeciej licealnej, na zapytanie jednego z misjonarzy, czy nie miałbym zamiaru włączyć się do współpracy salezjańskiej, już nie odpowiedziałem przecząco, ale bardzo chętnie i z całym sercem. Miałem już wtedy siedemnasty rok życia ukończony.

Przypominam sobie, że moi rodzice zostali głęboko zaskoczeni tą moją decyzją. Mama tak mi powiedziała: „Prosiłam Boga, gdy jeszcze byłeś mały, by cię wybrał na swoje dziecko, mimo że rozłąka będzie mnie wiele kosztować, ale byłam przekonana, że to przyczyni się do wielkiego szczęścia twojego i całej rodziny”. Jednak największy problem był mi jeszcze nieznany, a to był problem dziadka. On nie miał syna, ale tylko dwie córki, z których druga umarła jeszcze w młodym wieku. On według starego zwyczaju dbał bardzo o swój ród i o nazwisko, które niestety miało się zakończyć na nim. Jedyne ratunek widział w przybraniu na spadkobiercę nazwiska i rodu syna swej córki. Dlatego też dziadzio w chwili ślubu mamusi wymówił sobie jej syna na spadkobiercę rodu w chwili, gdy ten dojdzie do dojrzałości. Ja tymczasem wstępując na drogę służby Bożej chociażbym przyjął jego nazwisko, nie będę mógł pozostawić mu potomka i długotrwałości rodu. Dlatego najpierw ukrywałem przed nim moje postanowienie, on jednak na wiadomość o moim zapisaniu się do salezjańskiej szkoły, zaczął się czegoś domyślać. - „Co się stało, dlaczego ta nagła zmiana?” Pewnego razu zdobyłem się na odwagę i wyjawilem dziadkowi całą prawdę. Dla niego było to powodem wielkiej przykrości i zawodu tak, że pogniewał się na nas, bo przecież przyrzeczenie mamusi było jasne.

Po namyśle, dziadzio rzucił ostatnie kości, aby mnie zdobyć dla siebie, przekonać i odmienić moje postanowienie. Z mej strony przestawiłem mu racje mojego powołania, wolność stanowienia o sobie i wszystkie wartości jemu dotąd nieznanne w służbie Bogu i ludzkości zamiast jednemu tylko ro-

dowi, który przecież nic na tym nie straci. To było dla niego nieszczęściem a ja modliłem się do Boga o dar wytrwałości dla mnie i o światło z nieba dla niego. Dziadzio powoli zaczął się uspokajać, rezygnować ze swoich nadziei. Przyczyniło się do tego kilkukrotne osłabienie serca a nogi również odmówiły posłuszeństwa tak, że tylko na wózku mógł się przemieszczać z miejsca na miejsce i to go przekonało o zbliżaniu się do końca ziemskiej pielgrzymki. Ja tymczasem wzmocniony ufnością w Bogu, jeszcze bardziej straciłem pociąg do zaszczytów związanych z nazwiskiem a należących już do dalekiej przeszłości. Pragnąłem jak najprędzej o tym zapomnieć...

Przerywając na chwilę opowiadanie wnuka, pozwałam sobie na przedstawienie tego, co się dzieje w tym czasie za kulisami. Jasio, bo tak mu na imię, wstąpił do nowicjatu w marcu 1965 roku pod nowym nazwiskiem przyjętym po dziadku według przyrzeczenia mamusi i dostał się pod moją opiekę. Aby mu nie przeszkadzała w krótkiej, ale mocno zaangażowanej pracy osobistej, na prośbę rodziny, zainteresowanie się dziadkiem potoczyło się osobną drogą. Poleciłem go trosze już wyżej wspomnianego proboszcza ks. Sadao, prowadzącego pracę misyjną w okolicy. On sam niepełnosprawny, bo przeszedł gruźlicze zapalenie biodra i opuszczony już przez lekarzy został cudownie uzdrowiony na pielgrzymce do Lourdes, a mając do dyspozycji samochód inwalidzki podjeżdża wieczorami do dziadka, któremu przypadł do serca. Zaczęło się od zapytania ze strony tamtego: „Wiem, że Jasio dobra głowa i nie łatwo daje się kierować uczuciami. Otóż proszę mi wytłumaczyć, jakie wartości znajduje on w waszym zawodzie, dla którego poświęca honor kilkuwiekowego rodu oraz okazały spadek majątkowy. W tym musi być ukryta jakaś wielka tajemnica”. I dziadzio nie pomylił się w swoich domysłach. Ks. Sadao rozpoczął z nim regularną naukę o Bogu i już po kilku pogadankach, zrozumiał staruszek wartość wiary dającej rozwiązanie problemów celu człowieka, powodu jego istnienia na ziemi i o jego powołaniu rozciągającym się na całą wieczność. - „Oto jest to, czego na próżno szukałem przez całe moje życie” - wykrzykiwał od czasu do czasu poczciwy słuchacz. „Teraz nareszcie jestem zadowolony i będę naprawdę szczęśliwy, jeśli zdobędę dla siebie miejsce w miłości Bożej, a mój Jasio dopełni tego, czego ja już nie jestem w stanie zrobić i to w imieniu moim i całego rodu. Pragnę poznać i przyjąć całym sercem wiarę w Jezusa Chrystusa tak jak On nauczał”.

W ten sposób ks. Sadao prowadził nadal pogadanki jak mógł najczęściej tak, że po roku czasu dziadzio był przygotowany do Chrztu Św. i Pierwszej Komunii Św. Oddaje więc znowu głos wnukowi, który nie wie o tym:

*„Nareszcie nadszedł dzień moich ślubów zakonnych. Dziadzio przyjechał z całą moją rodziną uczesnym rankiem i powiedział mi, że jest zadowolony ze mnie i że on sam dzisiaj weźmie czynny udział w mojej uroczystości przez Chrzest i Komunię. To mnie zaskoczyło i ogromnie ucieszyło, dla mnie to był prawdziwy cud. Pamiętam jakby dzisiaj, chociaż już minęło od tamtej chwili całe dziesięć lat, jak dziadzio na wózku, otoczony przez całą rodzinę, tam w kaplicy misyjnej otrzymał chrzest z rąk ks. Sadao. Moja radość była pełna, ale i dziadzio okazał się szczęśliwy. Potem przystąpiliśmy razem do komunii św., cała rodzina była bardzo wzruszona. Potem jeszcze wiele razy słyszałem z jego ust jak powtarzał z wielkim żalem i przekonaniem, że tak późno po-*

znał Chrystusa w swoim życiu. Czynił często z wielkim namaszczeniem znak Krzyża, ale innych modlitw już nie nauczył się na pamięć, tylko jedną powtarzał zawsze ze łzami w oczach tą, którą słyszał tyle razy z ust babci: „Ojcze Nasz, który jesteś w niebie...”, bez możliwości dodania dalszych słów, ale ze świadomością, do Kogo się modli. Niedługo potem asystowany przez misjonarza pożegnał się z tym światem zdany na Wolę Bożą.

Na całość tego co opowiedziałem złożyło się wiele dziwnych i nieprzewidywanych okoliczności. Dziadzio przed śmiercią powtarzał mi wiele razy: „Ja już zakończę mój długotrwały ród i bardzo mi tego żal, ale jeśli ty zostaniesz godnym kapłanem, nad to nie ma większych rzeczy.” a dalej, jako człowiek dawnych zapastrywań, jeszcze dodał: „Zatrzymaj to nazwisko i szanuj go, a jedno ci tylko polecam i proszę, byś go nigdy nie splamił niegodnym postępowaniem.” Zdobywając wiarę, zachował dawną prostotę i dobroć uświęcone nowymi darami z nieba. Pocieszałem go, że jako ostatni przedstawiciel jego rodu nie będzie miał potomków według ciała, ale mam nadzieję przysporzyć mu wielu synów duchownych w Chrystusie. Obecnie zbliżam się do świeceń kapłańskich a w Zgromadzeniu przeżyłem więcej niż dziesięć lat i nigdy nie żałowałem mojej decyzji. Owszem w całej mojej historii czuję niewidzialną tajemniczą siłę, która prowadzi wszystko nieodmiennie. Często o tym rozmawiam z rodzicami: Opatrzność Boża czuwa nad nami i dziwne są Jej drogi. Takich wyznań dotąd nikomu nie uczyniłem i robię wyjątek dla mojego mistrza nowicjatu prosząc o dyskrecję w wyjawieniu mojego nazwiska.

Okres praktyki wychowawczej trwającej trzy lata, spędziłem w znanej szkole w Miyazaki. Tam miałem okazję wprowadzić w czyn moje dawne pragnienia i nadzieje u boku młodzieży szukającej braterskiego słowa i serca. Pracowałem wśród nie chrześcijan a kilkunastu z moich uczniów zdecydowało się na przyjęcie wiary, do której ich poprowadziłem od początku. To co jeszcze więcej mnie pociesza jest to, że czterech z nich postanowiło iść w moje ślady drogą kapłaństwa. Oni przy moim boku poznali Chrystusa i zostali urzeczeni wzniosłym zadaniem Jego Apostołów. Sam Bóg posługuje się nami wybierając na swe narzędzie, za co czuję wielką wdzięczność i przeżywam głęboko moją odpowiedzialność.

(24 stycznia 1976)”.



## Stare kąty

Osiem lat nowego zadania i cennego doświadczenia minęło jak we śnie. Siedemdziesięciu zapaleńców Bożych zostało pokierowanych na nowe koleje życia, oddanych bez reszty sprawie Bożej, ale podległych jeszcze dalszemu rozwojowi i rzuconych na pierwsze linie zapasów Bożych. Ilu z nich wytrwa do końca, aż do zdobycia palmy zwycięstwa? - jeden Bóg wie, ale to są losy ludzi związanych z wyższymi siłami. Kto bez stawiania warunków zaufa Bogu, ten wytrwa.

Ks. Sadao, jak można było przewidzieć, obejmuje obowiązek mistrza nowicjatu a ja powracam w stare kąty, ni mniej ni więcej po szesnastu latach rozłąki, do sierocińca, ale już bez wielkich odpowiedzialności, z otwartą drogą i pracą, według chęci i możliwości osobistych. Miłe są stare kąty, chociaż nie wiele z nich pozostało. Budynki są powiększone według nowoczesnych wymagań, szkoła i życie zakładowe bardzo na poziomie, a tylko młodzież pozostała taka sama, zawsze potrzebująca opieki, pomocy, więc serdeczna, żywa, czasem lekkomyślna jak przed ćwierćwieczem.

Mimo wszystko wygody są większe, bo dawniej wszystkiego brakowało, a teraz jest prawie wszystko czego potrzeba. Jest dostatecznie miejsca dla dwustu sierot, sypialnie słoneczne, przewiewne i wygodne. Łóżeczka na sprężynach z materacami o czym dawniej nie śnili nawet przełożeni, szafy i rzeczy osobiste dla każdego bez zarzutu. Studia do odrabiania lekcji i klasy do nauki, bo szkoła pozostała wewnętrzna, są wyposażone w wygodny sprzęt naukowy, sportowy, muzyczny, rozrywkowy i czego dusza zapagnie z wyjątkiem jednego najważniejszego: rodziców, a zwłaszcza matki, której nawet anioł nie zastąpi. Na zajęcie długo nie czekam, bo po kilku słowach zgłosiła się spora grupka starszych z prośbą o nauczanie katechizmu i o przygotowanie do chrztu św. Sami wyznaczili czas dany do dyspozycji na oglądanie telewizji, więc myślę, że dobry znak, ale potem przekonałem się, że większość rezygnuje z telewizji także dla nauki, jesteśmy przecież w Japonii.

Druga prośba pochodzi od najmłodszych miłośników muzyki, a na moje wymówki nie ustępują aż do przyjęcia obowiązku wtajemniczenia ich w sztukę instrumentów dętych. Wielką orkiestrę prowadzi mój dawny wychowanek, a młodzi opowiadają, że czekali na mnie.

Posypały się jeszcze, inne prośby, ale już spoza ogrodzenia od misji i klasztorów, co programując w tygodniu, można wielu zadowolić. Ale na tym nie koniec. Miłośnicy fauny nie dają za wygraną tak, że nie można im odmówić. Zapraszają do swego kółka i to koniecznie, bo każdy klub ma swego przewodnika, a oni pozostali na lodzie. Wprawdzie poza hodowlą koni, bydła i drobiu na małym gospodarstwie nie mam innego doświadczenia, ale od czego są książki w bibliotece, a dla malców to przecież wspaniałe hobby. Według poleceń ks. Bosko: szanujcie to co cenią młodzi, a oni będą szanować to co wy

cenicie, więc i to jest cennym środkiem wychowawczym. Znalazł się więc czas i na to, a w Japonii, kraju zaliczanym do ciepłych, możliwości hodowania ptaków i zwierząt są duże. Od znanych nam przepiórek, kuropatw i bażantów, do papug i papużek wszelkiej wielkości i barwy, łatwo zdobycznych z południowych wysp, a drobnego ptactwa to już jest bez liku. Potem małpy, kilka rodzajów wiewiórek, cenne bażanty złociste i srebrzyste, nawet nasze pantarki. O kruka sami chłopcy się postarali zabierając z gniazda młode i tak „mały ogród zoologiczny” stał się wielką atrakcją najpierw wewnętrzną a potem dla okolicy. Liczba okazów przekroczyła setkę z imionami dokładnie wykazanymi, nie tylko dla zabawy, ale i dla nauki. Przy tym uprawa słoneczników, orzeszków ziemnych i innych roślin, stała się lekcją autarkii.

Wypytując się o dawnych przyjaciół, dowiedziałem się, że pierwszy nauczyciel z „heroicznych” czasów, poważnie niedomaga. Rzeczywiście przekonałem się o tym naocznie i po kilku odwiedzinach ochrzciłem go z imieniem Piotra, już dawniej przez niego wybranego. Niedługo potem przeniósł się do wieczności, a jego żona staruszka zgłosiła się do zakładu z pomocą w portierni. Ona również prosi o naukę katechizmu, więc załączam i te lekcje do mojego programu.

Zbliży się Boże Narodzenie, a że ks. katecheta jest nieobecny, wraz z klerikiem z Meksyku, wyręczamy go w przygotowaniu szopki. Mamy do dyspozycji całą klasę szkolną, położoną przy salce prowadzącej do kaplicy, więc w odpowiednim miejscu. Trzy tygodnie wieczorów do późnych godzin intensywnej pracy, przyniosły rezultaty ponad oczekiwania. Krajobraz betlejemski z okolicą w szczegółach z szopką na pierwszym planie, a kilkupoziomowy układ z zastosowaniem zwierciadeł i niespodzianek, wynagrodził hojnie wszystkie trudy, gdyż przez cały okres świąteczny modlitwy wieczorne całego zakładu odbywały się obok, po usunięciu oszklonych ścian dzielących klasę szkolną od salki i kaplicy. Dzieci powracają tu również w czasie dnia do oglądania i do modlitwy, zapraszając rówieśników z sąsiedztwa i tłumacząc im znaczenie całej imprezy. Z wielką radością udzielam chrztu św. czwórce moich chłopaków, a grupka katechumenów wzrasta.

Chłopcy jakoś z trudnością mogą oderwać się od żłóbka. Nie wypływa to chyba z nowości przedstawienia, ale z ważności całej tajemnicy. Na Pasterkę przybyło około pół setki byłych wychowanków. Przystąpili wszyscy do spowiedzi i komunii św. Są to pociechy z życia misjonarza świadome tylko tym, którzy je przeżywają. Miły, rodzinny nastrój świąteczny trwa połączony z japońskim Nowym Rokiem, który jest największą uroczystością kraju. Z kraju dochodzi smutna wiadomość o śmierci najstarszej siostry Marysi, nieuniknione krzyżyki i ciernie wśród róż.

Teraz życie płynie już ustalonym trybem, koło młyńskie, któremu chwilowo zastawiono wodę, obraca się już w takim przekonaniu, że serce i dusza człowieka nie są samą materią, a wszystkie dążenia człowieka, jego smutki i radości dnia codziennego są zawsze nowe i bogate w zadowolenie ze spełniania woli Bożej.

W marcu na imieniny ks. dyrektora są cztery chrzty, na Wielkanoc pięć, a na Wspomożycielkę osiem, wśród których znajduje się również nasza pomocniczka z portierni. Wybrała sobie imię Elżbiety, by być blisko męża, który otrzymał imię Piotra.

## Jak w krótkim czasie przeżyć wiele lat

Wśród wielu innych przeżyć podniosłych, wesołych i smutnych, jedno zasługuje na szczególną wzmiankę, do czego też się ograniczę, pomijając znaną już na całym świecie Międzynarodową Wystawę z 1970 roku, podczas której Japonia doszła do szczytu bogactwa i sławy, przewyższyła samą siebie.

Z długiego doświadczenia w pracy dla sierot można by między innymi wyciągnąć i ten wniosek, że im wcześniej wychowanek przybędzie do zakładu, tym łatwiej i prędzej dostosuje się do środowiska i samo wychowanie dużo na tym zyskuje. W tym wypadku i odwrotna strona medalu wydaje się prawdziwą: starsi znajdują więcej trudności i przeszkód w „aklimatyzacji” i stąd wychowanie nastęrcza większe trudności, proporcjonalnie do wieku. Czy mogą być wyjątki? - Raczej nie, jeżeli dzieci były opuszczone, lub w złym środowisku, ale „tak”, jeśli były pod opieką osób biorących na serio troskę o nich.

Ponieważ ta ostatnia możliwość jest raczej enigmatyczną, stąd w wyniku utrzymuje się, że przy przyjmowaniu podrosłych, czujność i oględność muszą być większe, chociażby zachowanie się kandydata inaczej się zapowiadało. Z tego też i jeszcze z innych powodów, dopuszczenie do chrztu zostało ograniczone najpóźniej do drugiej gimnazjalnej (podstawówka trwa 6 lat).

Gra w szachy ma to do siebie, że obok asystujący spostrzegają często lepsze ruchy od samych graczy, a podpowiadanie nie należy do grzeczności, ani nie jest godne pochwały. W wychowaniu można by zastosować podobne uwagi. Kto ma szczyptę doświadczenia, spostrzega takie delikatne pociągnięcia, dla innych mniej ważne.

Rok szkolny rozpoczyna się w kwietniu a w czerwcu został przyjęty jako sierota żywy i zdolny chłopak, zapisany do drugiej gimnazjalnej. Prędko włączył się do środowiska i od początku zainteresował się naszą religią, okazując dla niej szczerze uczucia. Po wakacjach letnich zwrócił się z prośbą do przełożonych o naukę i o chrzest, bo czas nagli, a on jest zdecydowany na to bez zastrzeżeń. Wy tłumaczono mu, że regularnie nauka i przygotowanie powinny trwać dwa lata, a potem już życie chrześcijańskie przynajmniej rok w zakładzie, a dla niego to wszystko już za późno. Niechaj uczy się i przygotowuje, ale o chrzest niech stara się w pobliskiej misji swego zamieszkania. On zasnucony, ale nie zrozpaczony zwraca się do mnie i usilnie błaga o pomoc, bo on nie wie co go spotka po wyjściu z zakładu i jaką będzie miał możliwość osiągnięcia tego ideału.

Na pierwszy rzut oka wydaje mi się chłopak zrównoważony i szczerzy, może trochę wrażliwy. Poprosiłem go o czas do namysłu. Od nauczycieli dowiedziałem się, że jest wzorowy i dobrze wychowany przez babkę a potem u wujka. Po kolacji, Fumio jest przy mnie w kaplicy a po wyjściu chwyta się mnie jak tonący deski. Uradzamy więc naukę w tempie przyspieszonym i równocześnie z życiem chrześcijańskim, ale bez Sakramentów. On angażuje się do codziennego wysłuchania mszy św., do modlitw i nawiedzeń kaplicy, co wykonuje z radością i wzorowo nawet dla katolików. Przerabiamy katechizm regularnie z odpowiednimi dodatkami, ponieważ interesuje się wszystkim i zadaje mądre pytania.

Chłopak jest zdolny i wybija się w szkole na celującego, dobry kolega w towarzystwie, przodownik w ping-pongu gdzie już zbiera laury, ocena u

nauczycieli nie ma równego, a naszymi lekcjami katechizmu żyje z dnia na dzień, kończy piętnasty rok życia. Ma wielu przyjaciół, chętnie pomaga wszystkim, od kolegów otrzymał przydomek „profesor”, jednym słowem wzorowy i pochwały sypią się jak z rękawa obfитоści, z jedyną tylko uwagą, że smutek przebija z całego jego zachowania, czuje się nieswojo w całym otoczeniu i nie ma serdeczności do nikogo z kolegów ani przełożonych... Jest to charakterystyka dzieci zdolnych ale wyobcowanych z rodzinnego gniazda. Nawet w czasie wakacji według możliwości prowadzimy nadal pogadanki a w wolnych chwilach on „pożera” Żywoty Świętych.

W połowie września kończymy wykłady coś w rodzaju egzaminu, który wypadł zadowolająco. - Teraz, mój drogi, powiedziałem mu, na jego prośbę o wstawienie się u przełożonych za nim - masz wóz i przewóz w twoich rękach, a ja ci przyrzekam wsparcie, ale najważniejsze są twoje starania. Pomyśl jeszcze raz i zdecydуй tak, aby tego nie uważano za chwilową zachciankę, więc będzie lepiej, jeżeli napiszesz list do ks. dyrektora tak jak czujesz w twym sercu, a wyniki polećmy Bogu w modlitwie.

Z radością przyjął to polecenie i prośba jego jako wielki wyjątek została uwzględniona. Chłopak nie posiada się z radości. Wybrał sobie na patrona św. Alojzego, którego postanowił naśladować przez całe życie, a chrzest otrzymał w uroczystość św. Michała, dzień moich imienin dla wspólnej radości. Na ojca chrzestnego wybrał sobie jednego ze starszych kolegów.

W krótkim czasie Lojzek zmienił się nie do poznania. Otworzył się jak kwiat pod ciepłymi promieniami słońca, poczuł się w swoim żywiole. Dając upust szczeremu nabożeństwu, korzysta ze wszystkich okazji usłużenia kolegom rówieśnikom i młodszym, dla których staje się prawdziwym misjonarzem, umiając pocieszyć, zaprosić do wspólnej modlitwy, obdarować, wspomagać.

Osobiście nie miałem sposobności czytania jego listu do przełożonego, ale w miesiąc po chrzcie wyszedł drukiem w Tygodniu Katolickim, więc go podaję w całości, wraz z krótkim objaśnieniem i tytułem: „List pewnego ucznia z prośbą o chrzest św.” Jest to list ucznia trzeciej klasy gimnazjalnej imieniem Naito Fumio, zwrócony do dyrektora Salezjańskiego Sierocińca w Tokio. Zamieszczamy go jako przykład szczerego pragnienia chrztu św. Sierociniec liczy 200 sierot od pierwszej klasy podstawowej do trzeciej gimnazjalnej. Zakład jest katolicki i uczy się w nim religii, ale tylko tych, którzy tego pragną z dowolnym również uczestnictwem w nabożeństwach. Chrztu św. udziela się tylko do drugiej gimnazjalnej, po porozumieniu się z krewnymi. Uczeń Naito jest już w trzeciej klasie, więc prosi o wyjątek i daje tego powody. Pozwoliłem sobie na podanie nazwiska z racji, że już zostało w tygodniku ogłoszone.

*Czcigodny Księżu Dyrektorze!*

*Po ukończeniu nauki katechizmu, postaram się podać powody, dla których pragnę przyjąć wiarę katolicką Do zakładu zostałem przyjęty w czerwcu ubiegłego roku. W chwili przybycia niewiele wiedziałem o chrześcijaństwie i jeszcze mniej o katolicyzmie. Po pierwsze już to, że znalazłem się w tym zakładzie, gdzie wiara katolicka rozwija się bogato, uważam za wielką łaskę Bożą. To*



właśnie stało się dla mnie wielkim zyskiem w co sam święcie wierzę. Przedtem byłem jednym z tych, którzy nie znają prawdziwej wiary a moje życie było pełne grzechów. Teraz mogę wyznać szczerze, że zmniejszyła się ich liczba, nawet gdy jestem sam a przychodzą na mnie pokusy, przypominam sobie, że Bóg mnie widzi, a nawet staram się wynagrodzić za dawne przewinienia, przez jakiś dobry uczynek. W ten sposób wprawdzie powoli, ale zaczynam żyć według wiary. Ponadto dzięki nauce religii, uczestniczeniu we mszy św., przez dobre uczynki i pomoc Bożą, coraz wyraźniej zdaję sobie sprawę co to znaczy wierzyć i przekonuję się coraz więcej, że wiara dla mnie jest szczególnie potrzebna. W ten sposób zacząłem wierzyć w Boga i przy nauce prawd Bożych doszedłem do końcowych rezolucji.

Według wiary, po śmierci człowieka dusza oddala się z tej ziemi i udaje się do nieba, czyścica lub piekła. Każdy wierny naturalnie pragnie dostać się do nieba. Gdy się zastanawiam nad tym, że w pogaństwie mógłbym łatwo umrzeć po popełnieniu grzechu ciężkiego, to aż ciarki mnie przechodzą na myśl gdzie bym się dostał. Natomiast żyjąc porządnie jako katolik, można mieć nadzieję dostania się do nieba i tam pozostać przez całą wieczność. Dla takiego jak ja, co pragnie chrztu, wydaje mi się, że to są sprawy najważniejsze, ażeby się zbawić. Chrzest jest konieczny, o czym mi mówi całe moje otoczenie. W tym zakładzie liczącym wielu wiernych, którzy codziennie biorą udział we mszy św., odmawiają modlitwy poranne i wieczorne oraz Różaniec, oni to właśnie zapraszali mnie do modlitwy i do kaplicy. W ten sposób ja również modląc się razem z nimi, zacząłem wierzyć w Boga, a codzienna msza św., modlitwy i Różaniec wydają mi się bardzo skuteczne do zachowania czystego serca. Tak to niezliczone rzeczy stały się powodem poruszenia mego serca ku przyjęciu wiary. Są jednak jeszcze dwa wielkie powody mojego zdecydowania.

Po pierwsze, dla mnie który odkryłem wiarę katolicką, obecna okazja wydaje mi się wprost idealną do przyjęcia chrztu św. Po drugie jestem przekonany, że wśród wielu religii wiara katolicka jest prawdziwa. W moim domu wyznaje się buddyzm, ale z niewielką gorliwością. Sam brałem udział kilka razy w ceremoniach buddyjskich, ale nic mi z tego nie pozostało, bo i cóż mogłoby pozostać? Tymczasem chrześcijaństwo jest zupełnie inne, ponieważ już teraz wypełniło moje serce pewnością zbawienia, co wydaje mi się, że zrozumiałem dobrze. Zresztą czyż wiara nie jest wyraźnie potrzebną człowiekowi? Wiem, że ja również jako człowiek podlegam słabościom i upadkom, ale uciekając się po pomoc do Boga stanę się lepszym, a moim wielkim pragnieniem jest żyć stale z Bogiem. Na końcu dodaję, że moje pragnienie chrztu św. jest całkowicie z mojej wolnej woli. Tu w zakładzie, będąc już w ostatniej klasie, wiem, że jest za późno, ale polecam się i błagam o pozwolenie Księdza Dyrektora i wszystkich Przełożonych.

*uczeń Naito Fumio*

Ostatnie miesiące w zakładzie są dla Lojzka palestrą cnót, szczególnie okres Bożego Narodzenia. Pogodził się ze swym losem sieroty przed ludźmi, gdy się stał wybranym przez Chrystusa. Teraz już we dwójkę z Nim przeżywa swoje prawdziwe szczęście. Młodzi koledzy na wyrwyki pragną, go mieć za ojca chrzestnego a on nie odmawia nikomu.

Wreszcie zbliżają się końcowe egzaminy i dziesiątego marca uroczyste przekazanie świadectw i pożegnanie. Lojzek już zdał egzamin wstępny do naszego liceum w Kawasaki, w miasteczku sąsiadującym z Tokio, jest zadowolony, bo pozostaje z nami. W zakładzie też nadzwyczajna uroczystość: srebrny jubileusz zakładu i szkoły, więc zaproszenia są liczniejsze i wyżej sięgające. Zaszczycił nas swoją obecnością jeden z sekretarzy Ministra Oświaty, przedstawiciel Prezydenta Stolicy i sama śmietanka urzędników, przyjaciół i dobrodziejów z krewnymi naszych absolwentów, których tego roku jest mało, tylko dziewiętnastu razem z Loizkiem, a katolików dwunastu. Ten celujący w nauce, zebrał najlepsze odznaczenia z zachowania, pracowitości i klubów.

Na słowa pożegnania od pozostających kolegów, odpowiedział Lojzek w imieniu odchodzących, dziękując w rzewnych słowach kolegom za przyjaźń a przełożonym i nauczycielom za naukę za wychowanie i za wiarę. Nie jednemu stanęła łza w oczach a wszyscy byli wzruszeni. Po życzeniach znacznych gości, a ze strony krewnych po ciepłych słowach wujka Lojzka, wstał przedstawiciel Ministra i zamiast odczytać z góry przygotowane przemówienie urzędowe, które złożył zwinięte na stole, sam schodzi do mikrofonu na brzeg sceny i przedstawił się jako stary pracownik w Ministerstwie. Był na wielu pożegnaniach szkolnych, ale na takim jak dzisiaj pierwszy raz, więc pozwala sobie na osobiste wynurzenia. Słyszał już wprawdzie o zakładzie salezjańskim, ale to co widzi, przechodzi jego o nim dawne pojęcie. Nigdy nie wyobrażał sobie, by serdeczność wzajemna i duch rodzinny między wychowanekami i przełożonymi mógł dojść do takiego stopnia. Wie, że jest to system polegający na wzajemnym zaufaniu i na bogactwach ducha, udoskonalonych wiarą katolicką. Potrzeba nam takich zakładów więcej i przyrzekam specjalne wspomnienie o tym w moim urzędowym sprawozdaniu.

Lojzek tymczasem odszedł z innymi, ale o nas nie zapomina przy okazji świąt i wakacji. Tam przy liceum zamieszkał w internacie opłacanym przez wujka. Nie wybił się na prymusa, bo wśród zdolniejszych niżeli tutaj, ale wysiłkiem a szczególnie dobrocią zjednał sobie wielu przyjaciół. Na wakacje udał się ze swoim dawnym asystentem klerykiem aż na wyspę Kyushu do pomocy przy organizowaniu kempingu dla naszych aspirantów. To go związało jeszcze bardziej z naszą pracą misyjną. Po drugiej licealnej powtórzył to poświęcenie spokojnych wakacji, ale po raz ostatni.

Dziesiątego października w rocznicę Olimpiady, cały kraj obchodzi dzień sportu. Całe liceum wybrało się nocą na długodystantowy marsz. Lojzek słaby w marszu, zaopiekował się pomocą doraźną dla kolegów, podjeżdżając rowerem między szeregami. Na zakręcie drogi najechał go samochód. Został natychmiast przewieziony do szpitala, ale bez odzyskania przytomności, opuścił ten padół płaczu, aby iść na stałe do tego Boga, do którego z taką decyzją dążył od chwili Jego poznania. Cześć jego pamięci! Jego krótkie życie na ziemi, stało się wielką epopeją dla nieba.

## Szare i uroczyste

Szare i uroczyste dni w zakładzie zmieniają się wśród miłej zawsze pracy i ciągłego zajęcia aż do ostatniej chwili dnia. We wspomnieniach trudno jest

zejść do szczegółów. To nie zaspany ani zanudzony ogród zoologiczny czy więzienny, tutaj załatwiają się sprawy nie mniej ważne od międzynarodowych, bo jedna dusza to wielkie miasto, kraj szeroki, trzeba go tylko dostrzec, zrozumieć i docenić. Zwyczajną rzeczą stały się wizyty dygnitarzy i osób wysoko postawionych a nawet spowszedniały ich podziwy, prawdziwe, ale ludzkie. Cena istot rzuconych na margines społeczeństwa, jest o wiele większa i nie daje się zmierzyć wagą ani metrem, a takich istot jest aż tak wiele.

Mija rok za rokiem, znowu osiem lat i nadarza się okazja odwiedzenia swoich w kraju. Czy zdrowi, jak pracują, jak im się powodzi. Tylko kilkanaście godzin lotu pod słońce i mogę ich uściskać a zwłaszcza brata Janka, który poważnie choruje. Gdy się przekroczy pięćdziesiątkę, to nawet dni robią się krótsze niżeli dawniej a wśród krewnych i znajomych znalazłem też miejsca puste. Minęły prędko złote chwile przeplatane srebrnymi niemi podeszłego wieku. Wielka nowość! Pięciu kleryków zgłasza się na misje do Japonii: Jurek, Paweł, Jaś i dwóch Jędrusiów. Taki duży narybek po bez mała czterdziestu latach długiej przerwy, co za radość! Powracam więc pełen nadziei, która wkrótce staje się rzeczywistością. Jeszcze jeden rok w nowicjacie i przyjmuje zapaleńców Bożych. Przy młodych misjonarzach w studentacie jakoś jaśniej świeci słońeczko nadziei na przyszłość. Opatrzność zażartowała z nas już na początku. Otrzymujemy zaproszenie od linii lotniczych z wolnymi biletami do dalekiego miasteczka Nagasaki, dla otwarcia tam nowego lotniska. Nasze Siostry salezjanki mają tam swojego wychowanka, który ofiaruje im pięćdziesiąt przelotów, a one odstępują nam dziesięć. Nagasaki jest przecież „stolicą chrześcijaństwa” w Japonii i wypada, by nowe lotnisko pobłogosławił kapłan, a nie bonza, więc najpierw w Tokio na lotnisku odebranie zaproszenia i kwiatów, przelot pierwszą klasą i na miejscu błogosławieństwo i przecięcie wstęgi. Wieczorem telewizja ucieszyła obywateli niezwykłym widokiem otwarcia nowej linii i lotniska przez duchownych z misjonarzami na czele. Po zwiedzeniu miasta zatrzymaliśmy się u oo. franciszkanów, by oglądać „drogocenne” ubogie pamiątki po Ojcu Kolbe.

W czasie wakacji letnich młodzi misjonarze udali się na pierwszy ogień do naszych zakładów, a ja w góry, nad jeziorowo, by pozbierać myśli i wspomnienia do pamiętnika. Aby poszerzyć moje wiadomości wyprosiłem pozwolenie do zwiedzenia naszych misji rozłożonych po całym kraju.

W przyszłym roku przypada stuletnia rocznica misji salezjańskich na świecie i pięćdziesięcioletnia tutaj w Japonii. Stąd wypada zrobić rachunek sumienia z darów Bożych i podsumować wyniki. Z ośmiu pierwszych misjonarzy liczymy dzisiaj 138 salezjanów, z których połowę tworzą Japończycy. Za nimi przybyły Siostry salezjanki, dzisiaj liczące 273. Dalej powstało trzecie zgromadzenie tubylcze Caritas, założone przez ks. Antoniego, dziś 263 Siostry. Razem prowadzimy 28 szkół, w tym trzy wyższe, 10 liceów, 11 gimnazjów, 13 sierocińców, cztery domy dla starców, 38 przedszkoli. Zatrudniamy 922 profesorów i nauczycieli z zewnątrz, misji mamy 19, a tam w ubiegłym roku ochrzczono 161 dorosłych a jest 215 katechumenów. To są suche liczby na papierze, ale w rzeczywistości są ożywione duchem i to Chrystusowym. Nasz rok jubileuszowy stanie się również pamiętnym przez sprowadzenie na misje do Japonii Sióstr od Opatrzności Bożej, oddanych od przeszło stu dwudziestu lat pracy wychowawczej dla najbardziej potrzebujących pomocy i opieki.



## Na miarę epilogu

W mojej podróży po naszych misjach zachwyciłem się każdą placówką, mającą swój charakterystyczny wgląd i zadanie. Nie mogę jednak przemilczeć i pominąć specjalnej akcji, która wprawdzie toczyła się przez blisko dwa dziesięciolecia, ale pozostawiła po sobie coś niezwykłego i trwa dalej, chociaż już pod innymi auspicjami. Chodzi tu o miasto wojewódzkie Oita, dawne Funai, dzisiaj centrum naszych misji na wyspie Kyushu. W latach pięćdziesiątych podobnie jak cała Japonia podnosiło się z ruin, albo raczej z popiołów. Misja salezjańska też poszła z dymem, dwaj misjonarze ocalili ze skromnym dobytkiem ukrytym w podziemnym schronie.

Poszczęściło się miastu, bo otrzymało gospodarnego burmistrza. Wiemy, że wielkie rzeczy zależą od nadzwyczajnych ludzi. Tak było i w Oita. Burmistrz o szerokich poglądach, który umie iść za postępem czasów, nie gubi się w drobiazgach ani uprzedzeniach, ale dąży przebojem i pociąga za sobą tych, którzy pragnęliby żyć tylko własnym podwórkiem. Ma wiele oryginalnych pomysłów i umie je w czyn wprowadzić. Nazwano go myślicielem i działaczem, burmistrzem nowych idei i nowych imprez.

Najpierw zapełnił małpami bezużyteczną górę, pełną niedostępnych zarośli i zakamarków, dzielącą Oita od pobliskiego miasta kąpielowego Beppu, położonego nad wspaniałą zatoką. Żarty nie żarty, ale jemu nie o małpy chodziło, ale o urządzenie atrakcji dla turystów i wczasowiczów, którzy nie wiedzą, co mają zrobić z forszą.

W spalonym mieście wytyczenie ulic poszło według zupełnie nowego planu z myślą o dalekiej przyszłości. Przez plac spalonej misji została wyznaczona szeroka ulica a na misje oddano do wyboru najlepsze miejsce w nowym planie. Burmistrz zaprasza często misjonarzy na herbatkę i interesuje się zagranicą zasięgając wiadomości i rady. Dziwi się, że poprzednicy nie wykorzystali bardzo sprzyjających rozwojowi miasta wydarzeń historycznych.

Zaczęło się więc od czterechsetnej rocznicy przybycia do Japonii św. Franciszka Ksawerego. Program uroczystości ułożono w Tokio, a licząc na to, by nie męczyć nazbyt gości, mimo pobytu św. Franciszka w Funai, wyłączono Oita z programu i pielgrzymka miała je ominąć. Ubodło to bardzo burmistrza. Wysłał misjonarza do biskupia, a sam udaje się do Tokio i postawił na swoim. Pociąg z pielgrzymką zatrzymał się w Oita, a goście byli bardzo zadowoleni, jak już widzieliśmy, a nawet podziwiali wielki chór miejski śpiewający bez zarzutu pod batutą nauczycielki protestantki.

On przemyślał, wypytywał się, studiował historię, radził się a potem decyduje pewny siebie i wbrew krakaniom pesymistów wprowadza w czyn rzeczy raz postanowione.

Tak powraca do historii miasta, stawiając jasno fakty i konkluzje. Najpierw została odbudowana misja: piękny kościół z żelbetonu w stylu romańskim.

W Oita, mawiał do swoich, otworzono pierwszy szpital, pierwszy sierociniec, pierwsze seminarium, pierwszą szkołę muzyki i obcych języków, pierwszy teatr, a zrobili to misjonarze przy pomocy katolickiego dajmyo (wasala), a więc trzeba wszystkim wystawić pomniki, niech świat wie, że Oita stanęło na czele kultury.

Tak zaczęło się od pomnika dla katolickiego daimyo Otomo Sorin, zwróconego ku morzu na wysokim cokole z zawieszonym krzyżem na szyi, jakby oczekującego na przybycie św. Franciszka. Z biegiem lat stanęły inne pomniki przy głównych drogach obok pałacu województwa: zaraz na rogu św. Franciszek głoszący Słowo Boże na tle wielkiej mapy, na której jest zaznaczona jego podróż z Hiszpanii do Japonii. Trzecim z rzędu jest piękny park poświęcony Męczennikom z Funai z wielką płaskorzeźbą ich męczeństwa. Przed samym pałacem stoi pomnik misjonarza w sutannie grającego na skrzypcach i uczącego śpiewu troje dzieci. W alei znowu inny pomnik misjonarza zajmującego się leczeniem chorych. Jeszcze inny pomnik przedstawia troskę o porzucone dzieci, karmione mlekiem od krowy, dotąd nie używanym. Inna płaskorzeźba mówi o sędzie Salomona, jako pamiątka pierwszego teatru, wreszcie w październiku tego roku odkryto pomnik Ito Mansio, młodzieńca, na koniu, udającego się w podróż do Ojca Św. do Rzymu. Burmistrz mówi dalej: wielka liczba chrześcijan dochowała wierności swej religii aż do męczeństwa. To są nasi bohaterowie narodowi, więc pamięć o nich powinna być zachowana w tych imponujących pomnikach. Jeden z bogatych bonzów ofiarował w tym celu mały park za miastem i u wejścia stanął wielki krzyż z napisem a płaskorzeźba w centrum parku. Do misjonarza natomiast powtarza podobne zachęty: To miasto w porównaniu z innymi było w przeszłości szczególnie błogosławione, więc jest naszym obowiązkiem zachować te tradycje za wszelką cenę.

Piękne seminarium stanęło za troską biskupa a burmistrz przygotował miejsce pod szpital katolicki i szkołę, ale już starość nie pozwoliła mu ich uskutecznić, pozostawia więc tę imprezę swemu następcy. On to otworzył fabrykę różańców z bambusu, znanych prawie na całym świecie katolickim, udał się nawet do Ojca Św. po błogosławieństwo i otrzymał pierwszą ofiarę na ten cel.

Ostatnią jego imprezą dla miasta jest akwarium, uruchomione w czasie Międzynarodowej Wystawy w Osaka. W nim obok ryb pływają także nurkowie.

Oprócz tych i innych imprez istnieje jeszcze druga strona medalu, to jest jego życie prywatne. Zaczął pobierać naukę religii od misjonarza w latach sześćdziesiątych, a potem zaprosił biskupa i uroczyście przyjął chrzest św. z całą rodziną. W czasie pobytu w Rzymie udał się w odwiedziny do matki misjonarza i podziękował jej za syna. Gdy po kilku latach misjonarz otrzymał wiadomość o jej śmierci, zaprosił wiernych, by kto może wzięli udział we mszy św. w jej intencji. W dniu powszednim zebrali się wszyscy wierni, Siostry z pobliskich klasztorów, burmistrz z całą swoją świtą i wojewoda z kilku radnymi. Po ceremonii pierwszy przemówił wojewoda chociaż nie katolik. Po nim przemówił burmistrz składając kondolencje w imieniu całego miasta. Gdy zaś zmarła potem córka burmistrza, wieńce z kwiatów wypełniły

nie tylko prezbiterium i cały katafalk, ale wprost cały plac przed kościołem zmienił się w jeden wielki klomb kwiatów. W czasie wyborów on nie robił nigdy propagandy, bo wszyscy na niego głosowali, ale po siedemdziesiątce sam zrezygnował i podziękował, zostawiając miasto odnowione pod każdym względem i ludność zgraną jak nigdzie.

Jeszcze jedną imprezą już osobistą ma być wydanie historii miasta Funai - Oita ze szczególnym uwzględnieniem pamiątek chrześcijaństwa od św. Franciszka Ksawerego do obecnej chwili. Osobiście uważa się za szczęśliwego, iż mógł ożywić historię godną wszelkiej pochwały i naśladowania. Od Ojca Św. otrzymał odznakę: *Pro Fide et Ecclesia* - (Za wiarę i za Kościół).

## Przez życie przebojem

W ubiegłym tygodniu otrzymałem list z Watykanu z Sekretariatu dla Niechrześcijan (kontynuacja relacji ze str. 260). Jest to przychylna odpowiedź na moją prośbę do Japończyka ks. Jana salezjanina, by się zgodził na zamieszczenie w moim pamiętniku kilka słów o nim i o jego rodzinie, zresztą serdecznie związanej z nami. Poznaliśmy się jeszcze w latach pięćdziesiątych, gdy on był sekretarzem sierocińca w Nakatsu, a ja na wypoczynku w Beppu. Z jego młodszym braciszkiem Antosiem żyliśmy potem w serdecznej łączności. Dobry ks. Jan oprócz serdecznych pozdrowień i zgody na moja prośbę, załączył dla mnie własne opowiadanie, więc z radością oddaję mu głos w cudzysłowie:

„Dla wprowadzenia powiem wam, że trzydzieści lat temu cała moja rodzina, mamusia, siostrzyczka, braciszek wznosiliśmy każdego poranka wspólnie rytualne modlitwy do Buddy, jako wyraz naszego gorącego nabożeństwa. Odbywało się to w mizernym pomieszczeniu dorywczego mieszkania. Wspomniałem o mizernym pomieszczeniu, pomijając natomiast wzmiankę o tatusiu. Otóż do takich rozpaczliwych warunków doprowadziły nas burzliwe losy wojny. Tatuś jako komendant regimentu piechoty zginął na froncie chińskim jeszcze w 1937 roku. Dom nasz jak tyle innych został zrównany z ziemią w czasie ostatnich amerykańskich bombardowań w Kagosima. W czasie wojny przez dłuższy czas śledząc wypadki z niecierpliwością marzyłem o tym, aby zając miejsce tatusia z równą walecznością, ale z większym szczęściem. Teraz jednak po ucieczce do górskiego miasteczka Mijakonodzio, położonego w województwie Miyazaki, wśród ciężkich warunków, jakie przeżywa rodzina, a z drugiej strony przez załamanie się cesarstwa japońskiego, rozwiały się jak mgła wszystkie moje nadzieje.

Po utracie najlepszego przyjaciela, który zginął od bomby atomowej w Hirosimie, straciłem ostatecznie moje ideały. Najważniejszą sprawą okazała się potrzeba odbudowy życia, chociażby w o wiele skromniejszych warunkach. Wypadało więc rozpocząć od domu mieszkalnego. Budulca w Japonii nie brakuje, więc zadanie mogłoby się wydać dość proste... niestety brakowało gwoździ. Sprytny kolega uratował mnie z tych tarapatów. Poradził mi zaopatrzenie się w składzie obok budującej się katolickiej misji z pomocą amerykańskich sił zbrojnych. Kradzież jakoś nie szła mi do serca, ale rozmyślając nad bezwarunkową potrzebą gwoździ, zwłaszcza, że w owych czasach zabierać znieprawionym obcokrajowcom, szczególnie katolikom, o których słyszałem, że zabijają dzieci i piją ich krew, zdawało mi się uczynkiem bardzo chwalebnym.

Stąd około południa, gdy robotnicy usunęli się do spożycia skromnego obiadu, wykorzystałem okazję. Wszystko poszło bardzo składnie. Wypchałem się gwoździami różnej wielkości od koszuli do marynarki i już zacząłem ostrożny zwrot ku wyjściu, gdy w zawiadackiej fantazji zabłysła mi myśl, dlaczego nie miałbym zaglądnąć do środka? Ciekawość zwyciężyła nad strachem i wdrapałem się po ścianie, aby zaglądnąć przez okno. To co zobaczyłem ścięło mi krew w żyłach. Klęczący misjonarz o złocistych włosach, widocznie zaskoczony moim dobywaniem się do okna odwrócił głowę od książki też złoczonej i patrzył na mnie uparcie. Piorun z jasnego nieba nie byłby więcej niespodziewanym w skutkach. Sam nie pamiętam jak się to stało, że w jednej chwili byłem już w drodze ku domowi ile tylko sił starczyło. Niestety, misjonarz też w mgnieniu oka był tuż za mną i przekonałem się prędko, że moje krótkie nogi nie mogły iść w zawody z nogami europejczyka, tym bardziej, że byłem obładowany gwoździami. W kilka jeszcze chwil zostałem zatrzymany przez wielkie ręce, trzęsący się jak osika na wietrze. Jest coś strasznego znaleźć się w rękach białego i to misjonarza po tak nieczym uczynku.

Już widziałem się związanym i zamkniętym w ciemnej komorze, by potem stać się ofiarą, z której żłopie się tryskającą krew. Przypomniała mi się mamusia, która dając mi imię Masajuki, co oznacza człowiek sprawiedliwy, starała się wpoić we mnie przede wszystkim tę cnotę. Co to będzie, gdy ona się dowie o mojej kradzieży, przez którą zawiodłem ją ogromnie w nadziei i ufności, jakie zawsze mi okazywała. Tak więc gdy on mnie prowadził ku kościołowi, wbrew nadziei błagałem go ze łzami w oczach: panie nauczycielu, zrób ze mną co ci się podoba, jestem gotowy, ale o jedno tylko cię proszę, byś nie wyjawiał mojej matce to na czym mnie przyłapałeś. On tymczasem już przy misji zwolnił moja rękę i zapytał o mamusię i rodzeństwo. Opowiedziałem mu wszystko jednym tchem w nadziei, że mnie wypuści, zresztą byłem gotowy wskazać przeciwną stronę miasta, ale o to się nie zapytał. On wtenczas zdjął mi czapkę z głowy, wypełnił ją aż po brzegi nowymi gwoździami i rzekł spokojnie: pozdrów wszystkich w domu a jak zapotrzebujecie znowu gwoździ to przyjdź po nie. Uśmiechnął się pobłaźliwie i oddał mi czapkę z gwoździami.

Wracałem powoli bez słowa podziękii i ukłonu. Zdało mi się, że to wszystko dzieje się we śnie. Zaniósłem pozdrowienia od misjonarza i zaproszenie po gwoździe, czemu mamusia ogromnie się zdziwiła, bo przemilczałem o kradzieży i o tym, co się stało. Wieczorem nie mogłem zmrużyć oka.

Dlaczego ten dziwny człowiek daje, gdy my wszyscy nie myślimy jak tylko o braniu sprawiedliwie czy nie. Wróciłem prędko i po kilku dniach byliśmy już naprawdę przyjaciółmi. Zaproszony przyszedł nas odwiedzić, by oglądnać jak postępuje praca z odbudowa i ile gwoździ nam potrzeba. Prawie równocześnie odbyło się wykończenie kościółka i naszego domu, ale przyjaźń też zaczęła wydawać owoce. Powiedziałem mu, że rezygnuję raz na zawsze z mojego ideału by zostać pułkownikiem w armii cesarskiej a pragnę zostać takim jak on, chociaż jeszcze nie wiem co mam z sobą zrobić. Rozpoczęliśmy regularną naukę katechizmu, najpierw ja a potem cała rodzina. Ja pierwszy otrzymałem chrzest św. w uroczystość św. Jana Bosko, biorąc go za patrona, później mamusia z siostrą Łucją i braciszkiem Antosiem. Wszyscy ucze-

czaliśmy gorliwie do kościoła i odmawialiśmy nasze codzienne modlitwy poranne i wieczorne”.

Opowiadanie osobiste Jasia urywa się do czasu, a prowadzi się je dalej w trzeciej osobie. Najpierw zwierzenia misjonarza do Jasia, co utwierdziło go w postanowieniu. – „Wiesz co Masajuki? My musimy podać sobie dłoń i pracować wspólnie dla Japonii. Ja również tak jak wy pragnę stać się japońską glebą urodzajną, tutaj pragnę się spalić w miłości Chrystusowej.”

Łucja poszła do wyższych szkół, Masajuki również, a Antoś do szkoły salezjańskiej w Miyazaki. Mamusia została sama, ale szczęśliwa zadowoleniem dzieci. W tym czasie ks. Adino, bo tak mu było na imię, został przeniesiony na prefekta do naszej szkoły technicznej w Tokio.

Mniej więcej w tym samym czasie ja również z sierocińca w Tokio powracam do Miyazaki i zapoznając się z Antosiem i całą rodziną. Tymczasem w połowie lutego nadlatuje smutna wiadomość do nas ze szkoły technicznej z Tokio. Spaliła się szkoła, ks. Adino i jeden brat Japończyk zginęli w ogniu. Ks. dyrektor wyskakując z piętra złamał nogę a inni przełożeni niektórzy mocno poparzeni. Ks. Adino był już na podwórzu, ale zauważywszy nieobecność brata znanego z twardego snu powrócił go ratować i w popiele znaleziono ich już blisko drzwi, zwęglonych. Tak spalił się z miłości Chrystusa jak mówił do Masajuki i stał się japońska gleba urodzajną. Wśród ogólnego smutku i konsternacji dla rodziny Masajuki był to cios nie do opisania. Wszyscy udali się na pogrzeb i po ochłonięciu uradzili, że trzeba koniecznie zastąpić naszego dobrodzieja, więc troje dzieci jednomyślnie postanowiło udać na służbę Bożą. Łucja dokończyła jeszcze obowiązek nauczycielki do końca marca, a potem udała się jako kandydatka do Sióstr salezjanek. Masajuki wstąpił do naszego nowicjatu, a Antoś poszedł w jego ślady po ukończeniu liceum. Masajuki po filozofii został wysłany na wyższe studia do Rzymu, skąd powrócił po dwunastu latach jako ksiądz i doktor teologii, filozofii i buddyzmu. Kilka lat zajmował katedrę w diecezjalnym seminarium w Tokio, wykonując równocześnie obowiązek dyrektora w naszym studentacie. Przed kilku laty został odwołany do Watykanu.

Siostra Łucja po wyższych studiach w Rzymie pracowała kilka lat w domu inspektorialnym zgromadzenia, a obecnie jest profesorką w jednej z wyższych szkół misyjnych. Antoś wyświęcony na księdza jest dyrektorem dużego internatu.

Powracamy więc ponownie do listu ks. dra Jana-Masajuki z Rzymu: „Potwarzam jeszcze raz, że powołanie chrześcijańskie nie jest czym innym, jak tylko złożeniem swego życia bez zastrzeżeń Bogu, który jest miłością, aby naśladować Chrystusa i o Nim świadczyć. Publikańin o nazwisku Lewi, pozostawiając wszystko, wstał i poszedł za Nim”.

## **Serce za serce. . . szaleństwo za szaleństwo**

Od kilku zaledwie lat stała się „modną” w Tokio pielgrzymka do zapomnianego przez wieki grobu męczenniczki Julii, na jednej z wysp tak licznie towarzyszących Japonii. Po ostatniej wojnie półwysep Idzu (najbliższy stolicy) jest smutnej pamięci dla Tokio i pobliskich miast, ponieważ służył za wytyczną w nalotach na stolicę. Jest on również z towarzyszącymi mu siedmiu



wyspami, jednym z centrów trzęsień ziemi większego kalibru. Jedna z tych wysp mająca 18 km<sup>2</sup> powierzchni, zwie się Kōzushima (wyspa bogów) i jest oddalona od Tokio około 170 km a ze szczytu najwyższego pagórka „Tenjoyama” (174 m) roztacza się przepiękna panorama na pobliskie wyspy i na daleki brzeg zatoki, półwyspy Japonii z górą Fudzi o pięknym zapleczu łańcuchów i pasm górskich. Obecnie wyspy te znajdują się dość blisko dla turystów i wywczasowiczów, ale w historii były dość odległe, aby mogły służyć za miejsce kary i wygnania. Powróćmy więc do historii. Ona to w oryginalny sposób charakteryzuje swoich trzech generałów a potem bezkompromisowych władców, którzy uwolnili kraj od zamieszek i walk wewnętrznych między wasalami, centralizując absolutną władzę w jednej ręce.

Są to czasy św. Franciszka Ksawerego, a potem nadzwyczajnego rozwoju chrześcijaństwa, jak również początku krwawych prześladowań. O pierwszym generale Oda Nobunaga tak się wyraża poezja: „Słowiczku, jeśli nie zaśpiewasz to cię uduszę”. O drugim, Toyotomi Hideyoshi: „Słowiczku, jeśli nie zaśpiewasz to cię zmuszę do śpiewania”. A o trzecim, Tokugawa Ieyasu: „Słowiczku, jeśli nie zaśpiewasz, to zaczekam na śpiewanie”.

Nobunaga nienawidząc bonzów, którzy po większej części byli powodem zamieszek politycznych, opiekował się do śmierci chrześcijaństwem, które mając wolność i poparcie władzy, rozwijało się w sposób nadzwyczaj pomysłny wśród rycerstwa, wśród ludu, a nawet wśród wasali. Hideyoshi po kilku latach panowania, zmienia nagle kierunek wytyczony przez poprzednika i w roku 1587 wydaje dekret wygnania misjonarzy i wasali chrześcijan, mających w swoich feudach już i po dwadzieścia tysięcy nawróconych za ich staraniem. Dekret wydany w gniewie, jeszcze przez kilka lat pozostaje bez echa, tym bardziej, że Hideyoshi przedsięwziął wielką imprezę zawojowania Korei w 1592 roku, a spora liczba najlepszych generałów to chrześcijanie z Augustynem Konishi Yukinaga na czele. Gdy nie udaje się zdobycie stolicy Pionyan, Augustyn z wojskiem powraca do południowego miasta Pusan, zabierając ze sobą wielu zakładników, między którymi księżniczkę Otaa, oraz w 1593 r. powraca do Japonii. Księżniczka zamieszkała na dworze Augustyna, oddana do fraucymeru córki Marii, gdzie zachwyca się chrześcijaństwem i otrzymuje na chrzcie św. imię Julia. W tym czasie Hideyoshi już pod koniec życia wprowadza w czyn dekret i dnia piątego lutego 1597 r. wydaje rozkaz ukrzyżowania dwudziestu sześciu męczenników, wybranych wśród księży, braci i wiernych. Wkrótce jednak umiera i władze bierze Tokugawa Ieyasu, zwany także małpą dla brzydkiego wyglądu. Zaczynając swe rządy despotycznie, przychodzi do wielkiej bitwy pod Sekigahara gdzie Augustyn Yukinaga jest po przeciwnej stronie z chrześcijanami. Po całkowitym zwycięstwie Ieyasu w 1600, Yukinaga ginie, a księżniczka Julia przechodzi na dwór przyjaciela Hibino Ryoeki, też katolika zamieszkałego w Sakai. Tymczasem Ieyasu po upewnieniu swego panowania, wznawia prześladowanie w całym kraju do przeprowadzenia z wielkim natężeniem i dokładnością. Księżniczka Julia przechodzi na dwór buddysty Kasahara Siudzen, bliskiego poddanego Ieyasu, włączona do liczby nałożnic władcy. Jako chrześcijanka odmówiła posłuszeństwa i została wywieziona wpraw na wyspę Idzu-Osima, potem dalej na Niudzima, a ponieważ wytrwała w swoim postanowieniu, aż na wyspę prawie odludną Kōzushima. Tu znalazła rodzinę spokrewnioną z Augustynem

Yukinaga i chociaż nie chrześcijanie, potajemnie wzięli ją pod swoją opiekę. Tak więc od roku 1612 Julia stała się misjonarką i aniołem pocieszenia dla tej ludności. Rodzina Isida Mitsunae opiekowała się nią aż do śmierci.

Bez kościoła, bez kapłana, spędza czas na modlitwie, na umartwieniu i na głoszeniu Chrystusa, świadcząc o swej wierze dobrymi uczynkami wśród biednych i opuszczonych przez z górą czterdzieści lat. Po jej świętobliwej śmierci, ludność miejscowa wybudowała jej piękny pomnik z kamienia w stylu japońskim w postaci latarni z wrytym krzyżem i jej imieniem.

Ostatnio napływ turystów stał się powodem odkrycia i rozpoznania tego cennego grobu, zachowanego w bardzo dobrym stanie przez 320 lat. Nabożeństwo do tej mało znanej bohaterki Koreanki, wzrasta i rozpowszechnia się z każdym rokiem.

W ubiegłym roku w maju pielgrzymka złożona z ośmiuset pątników z arcybiskupem Tokio na czele dała się już szósty raz na trzydniowy pobyt, nabożeństwo, modlitwy i rozmyślanie. Specjalna delegacja z wyspy i z Japonii udała się do Ojca Św. z prośbą o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego Julii męczenniczki.

## Głosimy Bogu chwałę

Rok Jubileuszowy Pięćdziesięciolecia rozpoczynamy pod auspicjami dziękczynienia. W święto narodowe jedenastego lutego zbierają się w studentacie w Tokio przedstawiciele naszych domów i misji prawie wszyscy współbracia na dzień modlitw i adoracji. Jest to dzień salezjański bez innych wspólnot. Zgromadzeni w koncelebrze wokoło przedstawiciela Ojca Św. Delegata Apostolskiego na Japonię, przeżywamy dzień dziękczynienia. Delegat Apostolski w gorących słowach zaprasza wszystkich do wdzięczności Bogu, do zdrowego rachunku i do zaangażowania się na nowe pięćdziesięciolecie. W cichości i skupieniu, przeżywamy ten dzień chwały Bożej i wspólnej radości, bo Bóg uczynił nam wielkie rzeczy.

Druga część więcej okazała odbyła się w ostatnia niedzielę maja w wielkiej katedrze tokijskiej dla całej rodziny salezjańskiej, złożonej jeszcze z Sióstr salezjanek, Caritas, misji, zakładów i szkół, którzy wypełnili całą świątynię. Wybrany chór pod batutą zdolnego organisty, na przemian z ludem, z uczuciem śpiewa piękne melodie wdzięczności i chwały Bogu, a przy ołtarzu otoczony wielkim gronem młodych lewitów Japończyków i weteranów misjonarzy, prezyduje wielki przyjaciel ojciec i opiekun rodziny salezjańskiej ks. Arcybiskup Piotr Sirayanagi Seiici. On w swym przemówieniu zwrócił uwagę na ducha ks. Bosko, zawsze pokornego i usłużnego, ale też pełnego świętej odwagi i entuzjazmu w sprawie Kościoła, oraz dusz mu powierzonych. Cała rodzina złączyła się u Stołu Pańskiego w komunii świętej. Na końcu dwie pary małych dzieci ofiarowało kwiaty księdzu Leonowi, jedynemu weteranowi z pierwszej wyprawy i księdzu Marcinowi, pierwszemu kapłanowi Japończykowi z rodziny salezjańskiej. Końcowe spotkanie odbyło się w parku przed katedrą, uprzyjemnione wolnym koncertem orkiestry naszych sierot z Salesio Gakuen. Prosimy Boga o dary i łaski na drugie pięćdziesięciolecie.  
*Deo gratias et Mariae!*



---

## Dodatek

### Zarys historii i kultury w skrócie

#### Okres prehistoryczny (660 a.C. - 587 p.C.)

Historia Japonii zaczyna się urzędowo około 2660 lat temu, licząc wstecz od 2000 r. Pierwszy okres jednak jest otoczony legendą, która mówi, że potomek Bogini Słońca Dzimmu, miałby za jej rozkazem zejść z nieba na wyspę Kyushu i stamtąd ruszyć na podbicie całego kraju na wielką wyspę Honsiu dla założenia tam cesarstwa. Ten fakt tłumaczy wierzenia ludu o boskich początkach rodu cesarskiego, mającego wielki wpływ na dzieje kraju aż do dzisiaj.

#### Okres wpływów z Chin (587 p.C. - IX w.)

Pierwsze wiadomości historyczne biorą początek od zawiązania kontaktów przede wszystkim kulturalnych między Chinami i Japonią. Wprowadzenie kultury chińskiej nie odbyło się bez drastycznych pociągnięć. Mimo to niektóre prądy przychylne sprawiły, że w roku 587 w naszej erze wtargnął Buddyzm do Japonii, a z nim myśl i pojęcia chińskie. W roku 607 ambasada japońska prowadzi do Chin grupę zdolnej młodzieży, która powinna poznać i przyswoić sobie elementy chińskiej cywilizacji: literatury, filozofii, historii, teologii i liturgii buddystycznej, malarstwa, poezji, muzyki itd. Po powrocie do kraju, ci młodzi wysłańcy stają się nauczycielami na polu specjalizacji zdobytej w zagranicy. Zaraz od początku kiełkuje myśl i ambicja założenia cesarstwa i stąd wpływ chiński staje się widocznym w sposobie rządzenia, podziału ziemi, w podatkach itp. Długotrwały wpływ zachował się na polu kulturalnym i umysłowym. Pismo chińskie, pojęcia religijne, zdolności artystyczne, sposoby literackie, które z czasem rozwinęły się w rodzime formy.

#### Rozwój uniezależniony. Okres feudalny (IX w.)

Z jednej strony upadek potęgi chińskiej, a z drugiej postęp kultury japońskiej doprowadziły do zerwania zależności od tamtej. Japonia dojrzewała do stworzenia własnej kultury. Formuje się alfabet japoński, który ostatecznie powoduje podział językowy. Malarstwo, rzeźba i architektura nabierają własnych elementów. System polityczny jak i instytucje społeczne oddalają się od wzorców chińskich. Tam rząd uformował się na tle „mędrców” pochodzących z uniwersytetu Ciang-an, tymczasem w Japonii wyszły na światło dzienne rodziny arystokracji, dziedziczące władze z ojca na syna. Rodziny szlacheckie zdobywają wielkie posiadłości ziemskie, wolne od podatków, na korzyść władzy centralnej. Ta władza sama w podobny sposób utrzymuje się ze swoich posiadłości. Dom cesarski znajduje się pod opieką i kontrolą

najbogatszej rodziny arystokratycznej Fudziwara, która praktycznie dyktuje prawa samemu cesarzowi i wiąże się z jego rodziną przez małżeństwo córki z następcą tronu. Ten dziwny system będzie trwał przez dziewięć stuleci, zachowując na zewnątrz wielki szacunek dla władzy bez przywłaszczania sobie tytułów czy honorów.

Tak wchodzi się w okres feudalny. Słabnie władza centralna, a rośnie wpływ poszczególnych dzielnic. Wpływają na powierzchnię działań „samuraje – rycerze”, żyjący na usługach i z usług „władców dzielnicowych”. Charakterystyką samurajów jest cnota „wierności”, kult miecza i siły wojskowej. Ten duch zostanie głęboko wryty w sercu i umyśle każdego Japończyka aż do dzisiaj. Samuraj staje się głównym środkiem w walce o panowanie rodzin szlacheckich. Rodziny te zmieniają się z czasem, ale żadna nie niszczy przeciwnika, wciela go w swoje szeregi. W ten sposób miasto Kioto, Kamakura, Tokio stają się stolicami zwycięzców.

W wieku XIII spotykamy młodziutkiego cesarza, który jest „lalką” w ręku innego cesarza już na emeryturze. Władzę sprawuje „generał zwycięzca” - shogun, który jest na usługach „zarządcy”, postawionego przez wyżej wspomnianą rodzinę Fudziwara.

W wiekach XIV i XV obejmuje władze rodzina Asikaga. Zasłynęła wkrótce jako wybór uczonych i artystów, szczególnie bonzów z sekty Zen, która jedyna pozostała w kontakcie ze stałym lądem. W tym okresie rozwija się teatr NO, sztuka kwiatków, ogródków, ceremonia herbaty, które przejdą do obyczajów narodowych. Jest to okres pierwszych spotkań z Zachodem. Portugalczycy w roku 1542 przybijają do Japonii i przywożą broń palną, handel z nimi się otwiera. Niedługo potem zawita św. Franciszek Ksawery (15 sierpnia 1549) - chrześcijaństwo zaczyna rozwijać się urzekająco: 300 tys. wiernych w XVII w. Synowie trzech wasali (dajmio) udają się do Ojca Św.

Wreszcie pod koniec 1500 r. wychodzą na scenę trzej generałowie z rodziny Tokugawa, którzy jeden po drugim swoimi zabiegami dochodzą do połączenia całego kraju pod rządami mocnej władzy centralnej. W obawie przed najazdem z zewnątrz, są wydaleni wszyscy obcokrajowcy, a dla wiary katolickiej nadchodzi okres wielkich prześladowań aż do wybuchu powstania w Simabara, gdzie ginie 37 tys. chrześcijan. Od roku 1640 Japonia zostaje zamknięta dla zagranicy. Rodzina Tokugawa buduje zamek cesarski w Edo (Tokio), skąd trzyma kraj w korbach za pomocą tajnej policji. Społeczeństwo jest podzielone na cztery klasy: samuraje, rolnicy, rzemieślnicy i handlarze. Jest zabronione przejście z jednej klasy do innej, jak też zmiana zajęcia. Nauka Konfucjusza jest polecana i wprowadzana w życie, jakkolwiek odmiana jest karalna. Liczba obywateli jest ograniczona do trzydziestu milionów. Ten naród, który w 1592 r. odważył się zawojować Koreę, staje się posłusznym i wykonuje wszelkie rozkazy bez znaku sprzeciwu. W tym duchu wyrosły całe pokolenia, zachowując tysiące przepisów.

## **Restauracja Mejdzi - Kierunek imperialistyczny (1868 - 1912)**

Restauracja Mejdzi przybrała lepsze widoki z nową reformą. Na początku XIX wieku wiele krajów zaczęło się interesować Japonią z powodu jej pozycji strategicznej na świecie i zwróciło się do niej o otwarcie portów dla ich

okrętów (USA, Rosja, Anglia, Holandia i inne). Na razie odpowiedź była negatywna. Dopiero gdy w 1853 okręty floty marynarki amerykańskiej zagroziły bombardowaniem, przysłała do porozumienia, mimo oporu ze strony samurajów. Reforma Mejdzi może uchodzić za rodzaj przewrotu czy zamachu stanu przez usunięcie systemu szogunatu i oddanie cesarzowi należącego mu miejsca jako głowy narodu. Piętnastoletni cesarz przy wsparciu młodych samurajów, przeciwników rodziny Tokugawa, powraca do władzy. Naród przyzwyczajony do posłuszeństwa idei cesarza, przyjmuje zamianę ze spokojem. Na miejsce starych lennictw powstają województwa (1871), a daimio są zastąpieni przez wojewodów. Służba wojskowa jest obowiązkowa (1872) zniesiony jest stan samurajów (1876). Zadaniem zmiany było również postawienie kraju na poziomie potęg zachodnich. Stąd już pod koniec panowania rodu Tokugawa, wysłano zdolnych ludzi do państw zachodnich dla przestudiowania wszystkich ważniejszych zdobyczy politycznych, naukowych i gospodarczych. Tak z Anglii zaczerpnęli wiadomości o marynarce wojskowej i handlowej, z Niemiec sztukę wojskową i lekarską, z Francji prawo, ze Stanów Zjednoczonych handel. Świat stał się dla Japonii szkołą. W 1889 ogłoszono nową Konstytucję a następnego roku odbyły się pierwsze wybory do Sejmu i Senatu. Prawo głosu mieli mężczyźni powyżej 25 lat, płacący podatek roczny powyżej 15 YEN (1% mieszkańców: 460 tysięcy). W krótkim czasie nauka idzie w czyn: dobrze działający zarząd, uległe obywatelstwo, technicznie przygotowana marynarka i wojsko, wydatna produkcja, żywy handel, postawiły kraj na poziomie narodów najbardziej cywilizowanych. Już w 1874 zatarg z Chinami przynosi objęcie archipelagu Riukiu. W dwa lata później wprowadza się do Korei, a wojną z Chinami 1894 zdobywa wyspę Formozę, wyspy Pescadores i kontrolę nad całą Koreą i południową częścią Mandżurii. W 1904 r. prowadzi zwycięską wojnę z Rosją, zdobywając połowę wyspy Sachalin. Korea i Formoza stają się źródłem zasobów materialnych dla kraju. Na konferencji międzynarodowej w Versailles w 1919 r. Japonia jest uznana za partnerkę największych krajów świata.

### **Kierunek demokratyczny (1912-1930)**

Rząd, będąc w ręku możnowładców, stroni od przykładów państw demokratycznych. Liczy na siły wojska i na centralizację władzy. Z czasem jednak przesiąka duch Zachodu i w tej materii: wolność stronnictw uznana w 1912 r., już w 1918 przynosi pierwszy Gabinet, przekształcony w 1924/5 w system parlamentarny. Polityka kolonializmu i militarizmu przekształca się w politykę rozwoju przemysłu i handlu. Większe miasta odbudowują się w stylu zagranicznym z twardego materiału, co w kraju poddanym trzęsieniom ziemi oznacza cement i żelazo.

### **Dalsze przemiany prowadzące do drugiej wielkiej wojny (1930 – 1941)**

Powiew demokracji nie doczekał się swoich owoców. Wioski i małe miasteczka zachowały dawnego ducha nacjonalizmu i sił zbrojnych. Skorzystały z tego władze wojskowe. Idea kolonializmu powróciła pod płaszczykiem „miejsca dla życia”. Postać cesarza została przedstawiona jako siła oży-

wiająca prawdziwego ducha japońskiego (znana ludowi w aureoli potomka nieba). Sam cesarz nie był tego samego zdania, ale wszystko mogło się dziać wbrew jego zdaniu i osobistych poglądom. Rzeczywistą władzę objęli generałowie. Zaczęło się od kontroli nad środkami masowego przekazu, nad młodzieżą uniwersytecką, nad Sejmem. Usunięto stronnictwa (1940), podżegano naród przeciw wszystkim obcokrajowcom, wreszcie po dymisji Gabinetu, władze obejmuje generał Todzio, jako pierwszy minister i zarazem marszałek sił zbrojnych. Rozpoczęło się od napadu na flotę marynarki amerykańskiej zgromadzoną na Hawajach i to bez wypowiedzenia wojny, dnia ósmego grudnia 1941. Junta wojskowa przeliczyła się. Liczono przede wszystkim na „ducha japońskiego” pogardzając dziecinnością, lub lepiej zniewieściałym wojskiem przeciwnika. Amerykanie nie będą bić się długo, bo nie są przyzwyczajeni do dyscypliny wojskowej... Podobną pomyłkę popełnili odnośnie do krajów azjatyckich: jeśli oni staną na czele z hasłem „Azja dla Azjatów”, to wszystkie ludy Azji bez oporu, owszem ochotnie pójdą pod ich chorągwie. Pierwsze napady na nieprzygotowanych były zaskakujące, ale potem i ludy Azji otrzeźwiały i odpłacały się pięknym za nadobne i stąd odwrót był tak prędko jak nieszczęśliwy. Bomby atomowe dopełniły reszty.

Tymczasem o dziwo! Jak historia historią nie zdarzyło się na świecie, by naród kulturalny zdobył się na myśl naprawy od wewnątrz przypuszczalnych błędów innego narodu kulturalnego. Nigdy dotąd władza okupacyjna nie wyszła z takim zadowoleniem, a kraj okupowany z taką rezygnacją, jak się zdarzyło właśnie w Japonii. Z jednej strony była to lojalność względem pokonanego, dążąca nie do odwetu czy odszkodowania, ale do rozumnej reformy. Sednem tych reform stał się Gen. Douglas MacArthur, poważany, czczony, a na końcu pokochany przez naród podbity, bo jego mocne, ale rozumne wymagania zapoczątkowały stan rzeczywistej odnowy i wydostania się z gruzów na piedestał honoru i dobrobytu, straconych przez inicjatorów wojny. Wystarczyło siedem lat tak, że już 28 marca 1952 podpisano Traktat Pokoju. Czy ktoś może zarzucić w tym Japonii niewystarczalność odpowiedzialności, nauk i urzędzeń bytu społecznego w zgodzie z dobrem powszechnym, czyli nauk socjologicznych? Tym razem chyba nauka nie poszła w las.

## Okres przełomu

Każdy okres historii części świata i pojedynczych krajów poświęca wiele czasu i miejsca problemom młodego wieku, jako nadziei na przyszłość, która uformuje właśnie młode pokolenie. Nie inaczej zainteresowanie się tą częścią wybraną i na Dalekim Wschodzie, może być wielce pomocnym argumentem w poznaniu i zrozumieniu tego dziwnego dla nas kraju, jakim okazała się Japonia w ostatnim stuleciu, a szczególnie w fazie po drugiej wojnie światowej. Dzisiaj wiele się mówi i pisze o tym kraju, który jakby na wzór legendarnego ptaka z mitologii Feniksa, miałby się odrodzić z własnych popiołów. Porównanie mogłoby być o tyle prawdziwe o ile zaskakujące.

Każda zmiana opiera się zawsze na czymś więcej niżeli na samej okazji nadarzającej się mniej więcej szczęśliwie lub niespodzianie. Sam przypadek nie mówi jeszcze wystarczająco o uszlachetnieniu obyczajów, o rozwoju i ukształceniu umysłu czy ducha, ale prawdziwych powodów trzeba szukać

w czymś głębiej zakorzenionym, w rodzimej cywilizacji i kulturze. Gdy takowe znajdują się już na wysokim stopniu rozwoju, można wtedy mówić otwarcie o zwrocie lub przełomie, prowadzących do śmiałych wyników i nadzwyczajnych osiągnięć. Zdumiewający rozwój techniczny i gospodarczy tego kraju nie został wyssany z palca, ani też znaleziony jak przysłowiowy skarb na pustyni. Ma on swoje racje i powody głęboko ukryte w duchu narodu, zresztą od dawna podziwianego, ale jeszcze mało znanego.

W tym skromnym sprawozdaniu zastanowimy się choćby pobieżnie nad niektórymi czynnikami, które wpłynęły najwięcej na uformowanie się nowego nastawienia na starych fundamentach. Z konieczności wypadałoby podać najpierw zarys historyczny i polityczny kraju, co jednak dla zwięzłości umieściłem w skrócie. Zresztą są to problemy chyba najwięcej znane i roztrząsane na poziomie wszelkich środków masowego przekazu. To samo można by było powiedzieć o samym rozwoju gospodarczym i o technice, znanych dość dobrze nie tylko z opisu, ale i z doświadczenia każdego kraju na świecie. Takie streszczenie bardzo ważnych aspektów tego kraju, pozwoli nam raczej zatrzymać się dłużej i dokładniej nad strukturą wewnętrzną, mniej znaną na rynku świata, ale zajmującą ośrodek i sedno sprawy, o którą nam chodzi, czyli jak przedstawia się fundament, na którym opiera się cała budowla ducha, cywilizacji i kultury, albo innymi słowami, jak wygląda w tym kraju filozofia życia, czyli zwyczaje i obyczaje na co dzień. Co stanowi i jak wygląda siła lub oś, dokoła której obracają się wszystkie sprawy i wydarzenia bliskie i dalekie. Jest to tradycyjna kultura, nad którą zatrzymamy się nieco więcej i dłużej.

## Poczucie hierarchiczne

We wszystkich naukach ścisłych zaczynamy od wytłumaczenia wyrazów, jaką wartość i znaczenie im dajemy. Prawie każdy język europejski można oddać identycznie w tłumaczeniu dosłownym na inny język europejski, bo one razem się wyciosały i jakby wychowały. Języki wschodnie pisane znakami obrazkowymi posiadają inny wymiar i w tłumaczeniu na języki zachodnie potrzebują dodatkowych objaśnień, bo inaczej łatwo wymijają się z rzeczywistością, którą mają przekazać. Zaczniemy więc od najważniejszych pojęć regulowanych hierarchicznie:

**ON 恩** dobrodziejstwo, usługa. Jest to wyraz, słowo, uchodzące za fundament całego systemu kultury japońskiej. Dobrodziejstwo tworzy obowiązek, jest jakby ciężarem przyjętym biernie za otrzymana usługę. To dobrodziejstwo podlega stopniowaniu zależnie od osoby, od której pochodzi hierarchicznie

**KO ON 皇恩** dobrodziejstwo pochodzące od cesarza.

**OJA ON 親恩** dobrodziejstwo pochodzące od rodziców

**NUSI ON 主恩** dobrodziejstwo pochodzące od pracodawcy.

**SI ON 師恩** dobrodziejstwo pochodzące od nauczyciela.

**ONDZIN ON 恩人** dobrodziejstwo pochodzące od dobrodzieja. Każdy dawca jest dobrodziejem innego stopnia.

Odpowiedź na dobrodziejstwo polega na zwróceniu usługi swemu dobrodziejowi. Również w tej odpowiedzi istnieje porządek hierarchiczny z góry ustalony.

**GIMU 義務** obowiązek. Jest to powinność, dług, niemożliwy do pełnego spłacenia nawet najwyższą ofiarą, jak tylko częściowo i to bez ograniczenia sposobu i czasu. Ten obowiązek dzieli się jeszcze hierarchicznie na:

**CIU 忠** wierność, zawierająca obowiązki względem cesarza, prawa i kraju,

**KŌ KŌ 孝行** miłość synowska, obejmująca cześć dla rodziców, dla przodków i dla potomstwa,

**NINMU 任務** zadanie zawodowe. Obejmuje wierność swej pracy i pracodawcy

**GIRI 義理** powinność. Jest to obowiązek możliwy do uiszczenia z dokładnością matematyczną, dlatego też w ograniczonym czasie jako sprawiedliwość. Ta powinność ma również stopniowanie:

względem świata - do pracodawcy, do krewnych drugiego stopnia, do osób drugich, od których otrzymało się jakąś usługę, podarunek, ofiarę, pomoc w pracy itp.; obowiązki wobec dalszych krewnych.

Istnieje jeszcze GIRI względem własnego dobrego imienia, co przynosi obowiązek chronienia się i obrony przed oszczerstwami, pogardą, włącznie z obowiązkiem odwetu. Obowiązek uwagi, by nie popełniać błędów w pracy i odpowiedzialność wraz z doskonaleniem swojego zawodu. Obowiązek zachowania cnót dobrego Japończyka: nienaganne zachowanie, unikanie życia nad miarę swego stanu i panowanie nad nieumiarkowanymi wyskokami natury.

Możemy śmiało zaznaczyć, że w tym skromnym obrazie są wymienione wszystkie cnoty moralne i socjalne, które regulowały życie Japończyków od dawnych czasów feudalnych. Nawet ostatnie sto lat odnowy kraju niewiele zmieniły. Japończyk jest dłużnikiem tak w chwili obecnej jak w przeszłości i to względem wszystkich. Poczucie zobowiązania i długu wypływa z dobrodziejstw, które każdy otrzymuje od urodzenia aż do śmierci. Każdy powinien przyjąć na siebie ten ciężar długu i starać się go spłacić w sposób jak najlepszy. Widzieliśmy już, że jest niemożliwe wypłacić się bez reszty względem cesarza, rodziców i nauczycieli jak tylko w bardzo małej części. Mimo to ten ciężar nie uchodzi za przygniatający nie do wytrzymania, ponieważ to należy do ustalonej zależności hierarchicznej i odwzajemnia się własną usługą. Tymczasem inaczej wygląda dobrodziejstwo otrzymane od osób trzecich, poza wyżej wspomnianym kołem. Japończyk jest ostrożny, by się nie wiązać dobrodziejstwem, o które nie prosił i sam również trzyma się z dala



od takich pociągnięć. Obcokrajowcy nie znających tych praw, z łatwością postrzegają Japończyków o brak miłości bliźniego, podczas gdy oni wstrzymując się od nadskakiwania, jak sami myślą, zdejmują ciężar „wdzięczności” z ramion bliźniego. Stąd łatwo można zauważyć to przy wypadkach drogowych, lub w czasie pożaru, gdy wielu gapi się, ale nie pomaga. Stosunek jaki istnieje między dobrodziejem i obdarzonym jest zawsze położony na poziomie: kredyt - dług i tak tylko się pojmuje. Miłość, grzeczność i szczodrość, uważane przez nas jako oznakę nie obowiązującej przyjaźni, w Japonii są związane sprawiedliwym zwrotem. Oni mówią, że do przyjęcia usługi od człowieka, potrzeba wrodzonej wspaniałomyślności.

Dobrodziejstwo znajduje właściwe miejsce jedynie w porządku hierarchicznym od wyższego i kto go przyjmuje, uznaje tym samym swoją niższość, zależność. Dla niewtajemniczonych, niektóre pociągnięcia ludu są wprost niezrozumiałe, np. gdy w szkole uczeń wraca do domu z oceną niedostateczną, ktoś z rodziny, albo wprost matka przynosi lub posyła gospodarzowi klasy podarunek z owoców, słodczy, lub części ubrania itp. Gdy np. nauczyciel okaże specjalne zainteresowanie się chociażby tylko jednorazowe dla ucznia poza klasą, może być pewny podarunku lub osobnego listu z podziękowaniem. To nie są wyrazy wdzięczności, ale uwolnienie się od zobowiązania właśnie od wdzięczności. Misjonarz czyni wiele kłopotów rodzinie nawet przez osobiste zainteresowanie się dziećmi, chorymi, lub potrzebującymi, bo to wszystko trzeba wyrównać na poziomie sprawiedliwości, by nie uchodzić za niższych, zobowiązanych. Ale to również jest najlepszym sposobem w naszej pracy misyjnej. Znamy wypadki doraźnej pomocy na ulicy w czasie ulewy przez wypożyczenie parasola, mała pomoc w naprawie obuwia czy odprowadzenie dziecka - a to wszystko jako znak miłości chrześcijańskiej, która wiąże więcej niżeli tego można by się spodziewać, bo oni inaczej myślą i są gotowi podziwiać a w końcu naśladować to wyłamanie się z dotychczasowego sposobu życia, związanego podobnie jak ludność żydowska za czasów Pana Jezusa, niezliczonymi przepisami Prawa. Możemy tu wspomnieć wypadek w Hong-Kongu (patrz str. 51), wtedy jeszcze z niezrozumiałym zachowaniem ludności, albo jak chłopak kradnie gwoździe, ks. Cimatti naprawia sznurek sandała, naprawa zegarka dla chłopaka z Youth Center, odnalezienie rzeczy zgubionych i inne... Do tego jeszcze powrócimy mówiąc osobno o poczuciu honoru i obowiązku GIRI *ex justitia*.

Japończyk, pierwsze dobrodziejstwo otrzymuje od cesarza, owszem od niego otrzymuje wszystko, co ma i co posiada. Cesarz to osoba święta i takie są wszystkie jego postanowienia. Stąd wierność dla niego CIU nie ma granic, bo on jest symbolem jedności i długowieczności Japonii; nawet więcej jemu się należy jako najwyższemu władcy, (hierarchicznie), niżeli potomkowi bogów. Trzeba jeszcze zwrócić uwagę na to, że w Japonii istnieje jedna i jedyna dynastia, podczas gdy w Chinach było ich 36. Wierność podwładnego dokonuje się bezpośrednio, chociaż cesarz rządzi przez swoich przedstawicieli. Ten sentyment został wykorzystany nawet w ostatniej wojnie: synowie szli na wojnę z woli cesarza i wojna została zakończona jednym przemówieniem cesarza przez radio, jego rozkazem.

Drugim niezawodnym obowiązkiem Japończyka jest **KŌKŌ** 孝行 czyli cześć dla rodziców. W Chinach wymagano od rodziców i przełożonych cnoty

ZEN, dobroci, życzliwości, bo jej brak zwalniał dzieci i podwładnych od KŌ, należytnej czci. W Japonii ZEN, jest cnotą dowolną i możliwą nawet u złych przełożonych. Tymczasem cześć dla rodziców nie posiada żadnych warunków i nie może być zastąpiona żadną inną cnotą. Jedynie CIU dla cesarza jest ponad KŌ rodziców. Problemy rodzące się między tymi dwoma obowiązkami są dotąd opiewane w romansach i filmach; kończą się zwyczajnie tragicznie. Praktycznie synowa znosi zrezygnowana wszystko, co ją spotyka od teściowej, nawet wydalenie z domu. Może dopiero kiedyś odbije to sobie na własnej synowej. Tak ze strony dzieci jako też ze strony rodziców nie bierze się pod uwagę miłości rodzicielskiej albo synowskiej, ale tylko GIMU czyli obowiązek, który nie liczy się z uczuciami. Poczucie zależności w Japonii to stara historia. Nie ma tu mowy o własnej woli czy zdaniu. Nie ma kast jak w Indiach, ale istnieje coś podobnego w każdej rodzinie i środowisku. To system patriarchalny, w którym ojciec rodziny jest głową a po nim nastąpi najstarszy syn. On zostanie w domu, a wszyscy inni będą szukać szczęścia na świecie. Podobny system został zaprowadzony i przyjęty w urządzeniach ekonomicznych i religijnych. Całe wychowanie polityczne i towarzyskie jest przesiąknięte tym duchem. Grzeczność japońska, o której się tyle pisze i mówi, to kodeks karny bez uczucia i bez serca, teatr dla naiwnych,

### **Poczucie honoru i obowiązku GIRI**

Zadanie zawodowe NIMMU nie potrzebuje dalszego wytłumaczenia, podczas gdy powinność GIRI dla wielkiej różnorodności nie może być zrozumianą w pełni bez podania przynajmniej najważniejszych jej aspektów, bo jeśli chodzi o szczegóły, to nawet dobry Japończyk nie zna wszystkich. Jest to obowiązek, którego nie można zlekceważyć bez stracenia honoru. Jest to specjalność japońska nieznaną nawet w Chinach. Musi być wykonany, by nie stracić „twarzy”. Dla jasności podzielimy go na dwa rodzaje: obowiązek względem świata i własnego imienia. Pierwszy uwydatnia się np. w stosunku zięcia do teściowej. Syn opuszczając dom własny, jeśli czyni coś dla rodziców, to zapisuje mu się jako cześć KŌ, z rodziną żony natomiast jest związany przez GIRI, by go nie uważano za gbura. Istnieje jeszcze jeden wypadek nieszczęsnego GIRI, gdy zięć zostaje adoptowany za syna: traci swoje nazwisko, oraz staje się odpowiedzialny za całą rodzinę. Mówi przysłowie: dopóki masz własnego trzy garści ryżu, nie decyduj się na zięcia adoptowanego... Historia jest pełna opowiadań tragicznych na tle GIRI względem swego pana. Samuraj obrażony przez swego pana staje się wolny od obowiązku wierności i nabywa prawo do odwetu, do zemsty. Jest zobowiązany pokazać światu troskę o swój honor, inaczej świat straciłby równowagę. Tu już jest sfera poza dobrodziejstwem ON, od którego został uwolniony przez zniwagę, więc tylko dla obrony swego imienia, albo dla dostosowania się do opinii świata.

Jeszcze inna strona tego obowiązku to zachowanie swego stanu - świadomie przyjętego swego zobowiązania. Na przykład zaciąganie długu niemożliwego do spłacenia w wyznaczonym terminie a niebezpieczeństwem popełnienia samobójstwa (w nowym roku). Tak postąpi dyrektor szkoły, któremu nie udało się uratować z pożaru fotografii cesarza, albo który pomylił się w odczytywaniu cesarskiego edyktu. Ten obowiązek względem własnego

honoru jest bezapelacyjny. Nie uznaje pomyłek czy braków, chociażby rzeczywiście się znajdowały. Uznać swój błąd jest hańbą. Zawód i honor stają się jedno. W szkołach japońskich istnieją stopnie niedostateczne, ale bez powtórki klasy. Natomiast egzaminy wstępne są bardzo trudne.

Dla uniknięcia zatargów i spudłowań Japończyk posługuje się chętnie pośrednikiem. Wszystkie ważniejsze sprawy są załatwiane przez osoby zaufane. Nasze „plecy” to tylko mała część japońskiej etykiety. Zniewagi nie zapomina się do śmierci, ale to nie z uczucia, raczej z obowiązku. Dla nich jest niezrozumiałe, gdy obcokrajowcy sprzecają się na gorąco i niedługo potem powracają do dawnej zażyłości.

Szczytem wyczynu dla zachowania honoru jest samobójstwo. Śmierć może być karą, ale jej sposób przez „harakiri” jest niezaprzeczalnie wykazaniem zwycięstwa. To nie zniszczenie, ale wywyższenie. Za wszelką cenę trzeba ratować „twarz”, nawet za cenę życia i śmierci z własnej ręki. W chwilach zupełnej przegranej oprócz samobójstwa istnieje jeszcze druga strona medalu: przerzucić się z całą odwagą i energią do odnowy dotychczasowego postępowania - dostosować się do nowych warunków z całym realizmem i wykorzystać do spodu. Odnowa Mejdzi i okres drugiej wojny światowej świadczą jak najbardziej o takim podejściu do nowych warunków, w których kraj wychodzi na nowe drogi i to z wielkim sukcesem. Najwięksi przeciwnicy stają się najgorliwsi współpracownikami.

## Autodyscyplina

Kontrola uczuć, nerwów, jak zwyczajnie się mówi, nie należy do rzeczy łatwych, ponieważ człowiek nie jest złożony czy ulepiony z gliny, ale każda komórka jest żywa i wrażliwa na otoczenie. Panowanie nad sobą rozumie się po naszymu jako regulowanie wszystkich sił człowieka zdążającego ku wyznaczonemu celowi. U Japończyków jest to technika sama w sobie, niezależna od innych celów. Przede wszystkim całkowita władza nad ciałem, gdy tego wymaga GIMU albo GIRI. Poświęcenie siebie nie uchodzi za ofiarę, ale za kontrakt uznany za dobry i pożądany, nawet bez szczególnej nagrody czy uznania. Skutkiem jest stoickie nastawienie do życia; w cierpieniu nie płacze się ani nie spazmuje. Często słyszane słowo, to nie boli! W nieszczęściach nie ma strachu ani gonienia z miejsca na miejsce (w razie pożaru, powodzi lub trzęsienia ziemi czy tajfunu). Jako wychowanie, moralność, dla młodzieży uważa się właśnie kontrolę siebie samego. Od małego Japończyk uczy się „sztuki smakowania życia: przez ćwiczenie się w autokontroli, bo takie ćwiczenie „usuwa rdzę z ciała i czyni go jakby czyściutką szablą, zawsze gotową do spełniania swego zadania”. W inny sposób trudno by było wytłumaczyć „ludzkie torpedy” z wojny rosyjsko-japońskiej i „kamikaze” z wojny przeciw Ameryce (boski wiatr-tajfun, który dwa razy zniszczył mongolską flotę u wrót kraju w XIII w.). To zwycięstwo ducha nad materią: kiepskie uzbrojenie, brak prowiantu, gorsze pozycje. Nawet śmierć zadana własną ręką była wybierana raczej niżeli oddanie się w niewolę. W Birnie na 17000 żołnierzy tylko 142 się poddało, bo byli ranni albo odurzeni.

Jeszcze trudniejszą dla nas do zrozumienia stroną autodyscypliny jest tzw. **MUGA 無我** - zagubienie siebie, nieświadomość, wykonywana przede wszyst-

kim w buddyjskiej sekcie ZEN. W takim stanie nie ma już żadnego zgrzytu między wolą i działaniem, nawet na „cieniutki” włos. Ten dualizm zniknęła i nie ma już osoby i jej czynności, ale tylko działanie dobrowolne według myśli osoby. Ta idea przyszła z Indii i zawierała konieczność poskromienia zmysłów i wszelkiego zadowolenia aż do zatopienia się w Nirwana. W Japonii staje się czymś bardzo odmiennym; uznano zadowolenie zmysłów a zaprzeczono istnienia transmigracji ducha i Nirwany. Przyjęto małżeństwo i moc zadowoleń naturalnych, a nieświadomość czy poryw nie rujnuje zmysłów, owszem, czyni je wrażliwymi. Człowiek przyzwyczaja się do działania w różnych sytuacjach z większą dokładnością i z mniejszym zużyciem energii. Była to ulubiona sekta wojowników, samurajów i mężów stanu, którzy przez mistycyzm ZEN zdobywali swoje ludzkie ideały.

Ten mistycyzm ZEN nie jest darem bogów, jak twierdzili inni, ale owocem własnego wysiłku. Sekta ZEN szuka tego światła, które człowiek może znaleźć jedynie w sobie. Ona nie cierpi żadnej przeszkody, wszystkie zwycięża albo niszczy. Nie ma nic do czynienia z czytaniem Sutry, nauką Buddy, Piśma Św. czy Teologii. To „oświecenie” zdobywa się tylko przez zupełną nieczynność. Wszelkie ćwiczenia fizyczne jak kąpiel zimowa pod wodospadem, zapewniają tylko opanowanie wrażeń z zewnątrz. W stanie MUGA traci się świadomość wszystkiego, co może rodzić sprzeciw. Na najwyższym stopniu oświecenia żyje się jakby poza tym światem bez strachu, wszystko staje się jasne i możliwe. Gdy się pomyśli, że w przeszłości była to sekta klasy wykształconej i samurajów, dzisiaj nie można zaprzeczyć, że wpłynęła bardzo na formację kultury narodowej. Teraz również należy do sekt najwięcej wpływowych.

## **Element uczuciowy i moralny**

Na zakończenie tego pobieżnego zastanowienia się nad kulturą tego kraju, zatrzymamy się jeszcze chwilę nad dwoma problemami, które nie tylko dopełniają całości, ale są równoważne, albo i większego znaczenia, dla wpływu jaki mają na życie. Uczucie z jednej strony to „koń trojański” całego Wschodu, a moralność to zagadka, przy rozwiązaniu której obcokrajowiec gubi się w swoim zapatrywaniu. Z powyższych można by wnioskować, że twarde obowiązków różnego rodzaju nie pozostawia ani czasu ani innych możliwości w rozwoju uczuć piękna czy sztuki. Buddyzm przecież należy do filozofii zaparcia siebie i rygoru. Sekta ZEN wyłamała się, jak już widzieliśmy, z tych założeń. Ceremonia podania herbatki jest jakby rytmem duchownym o głębokiej estetyce pełnej powabu i prostoty: kilka starodawnych naczyń z porcelany, ruchy spokojne i wymierzone, stanowią tło do zasmakowania piękna, spokoju i oderwania od wszystkiego co mogłoby zakłócić równowagę życia. To samo można powiedzieć o sztuce układania kwiatów.

Przejęcie się pięknem natury objawiającej się w podziwianiu tej sztuki w niekończących się odmianach kwiatów i ich formy przedstawiającej powiązania ze stanem ducha, nie ma przykładów na Zachodzie. Gorące kąpiele zażywane codziennie i przedłużane bardzo, są źródłem nie małych zadowoleń, oraz swego rodzaju przyjemnością

W dni wolne od pracy pozostają chętnie w pościeli, a pokarmy chociaż są skromne, lubują się w nich i przedłużają czas jedzenia. Miłostki i romantyzm poza rodziną nie przedstawiają większych ograniczeń. W dni rocznic domowych czy uroczystości pozwalają sobie na picie w towarzystwie aż do upicia. Objawy edonizmu i kąpiele w lodowatej wodzie, śpiocharstwo i całe noce strawione na nauce czy pracy, wszystko może być przyjęte bez zastrzeżeń, jak jedzenie bez miary i wielkie posty, wszystko zależy od warunków. Ich zapamiętania są różne od naszych o całe niebo. W człowieku nie istnieje walka ducha z ciałem. W świecie nie ma wojny między dobrem i złem, między zadowoleniem zmysłowym a grzechem, który nie ma miejsca w sferze ducha. W całej historii łatwo się dopatrzeć jakiejś nieświadomości, albo trudności w rozróżnieniu dobra od zła i stąd ten problem jest podejmowany z niemałym sprzeciwem czy niezadowoleniem. To wszystko w końcu zależy od CIU, KO i GIRI.

Stąd nie można mówić o narodzie rozpustnym, bez wędzideł czy hamulca, ponieważ zadowolenie mieści się w granicach swoich obowiązków. Inaczej, to stałoby się potwornością.

Poczucie moralności ogranicza się do znanych już określeń: CIU, KO, GIRI, DZIN oraz **KANDZIO** 感情 sentyment, z których każde ma swoje osobne prawa, ale i te są podległe zmianom według różnych okoliczności.

Z tego wynika, że należą do różnych sfer od siebie oddalonych. Posądzając kogoś o niesprawiedliwość, trzeba zaraz wyszczególnić w jakiej sferze ją popełniono. Gdy my mówimy o „charakterze”, od którego zależy całe życie człowieka, niepodlegającemu zmianom, chyba tylko przez utworzenie „nowego charakteru”, dla nich jest to rzeczą nieznaną. Nie ma u nich jakiegoś „imperativum catheticum” lub jakiejś „złotej reguły”. Łatwo mogą przejść z jednej sfery do innej bez żadnego przymusu psychicznego. Życie ich wydaje się pełne sprzeczności, jak dla nich nasze zbyt jednostajne. Według nich nie istnieją dobro i zło. Dramatem życia są różne siły, które trzeba równoważyć. Zło to jakby rdza, która rzeczywiście nie niszczy miecza (symbol ducha), ale wystarczy oczyścić go od czasu do czasu i zachowa się zawsze błyszcząco.

Prawdziwe zło polega na skłonieniu się ku niższej sferze z zaniedbaniem wyższej. W ostateczności można zawsze powrócić do równowagi przez samobójstwo, które jest wychwalane jako cena najwyższego wynagrodzenia.

W historii konflikt istniał między różnymi obowiązkami, dzisiaj zeszedł do zatargu między obowiązkiem i uczuciem. W starciu się tych dwóch ostatnich właściwy punkt oparcia nie znajduje się w zwalczaniu własnych pragnień czy uczuć, ale w dostosowaniu się do obowiązku, w czym miałyby się okazać siła charakteru. Przed ostatnią wojną i w czasie wojny cały system moralności opierał się na CIU, wierności względem cesarza. „Magna charta” tej wierności znajdowała się w dwu rozporządzeniach cesarskich z roku 1820 dla wojska i z 1890 r. edyktu o wychowaniu (patrz str. 117). Tak żołnierze jak młodzież uczyli się ich na pamięć, a pierwsi rozmyślali o tym codziennie przez dziesięć minut.

Nowoczesna Japonia starała się znaleźć jakiś wzór czy prawo wyższe ponad wszystkie starodawne stopnie czy sfery i ujęła to jako cnotę **MAKOTO** 誠 sinceritas - PRAWDA - uczciwość. Założyciel Uniwersytetu Waseda w Tokio, hrabia Okuma tak się o tym wyraża: uczciwość jest przykaza-

niem nad przykazaniami i fundamentem nauk moralnych. Nasz stary słownik nie posiada innych słów odnoszących się do etyki poza tym jednym MAKOTO = uczciwość. Cesarski edykt dla wojska najpierw wymienia pięć przykazań dobrego żołnierza tj. wierność, dobre zachowanie, waleczność, umiarkowanie w prywatnych relacjach i skromność w jedzeniu i piciu. Potem dodaje: te pięć przykazań stanowią wielką drogę nieba i ziemi, oraz powszechne prawo ludzkości; one są duchem naszego wojska i marynarki. Duszą natomiast tych pięciu przykazań jest uczciwość. Jeżeli serce nie jest uczciwe, to tak słowa jak i uczynki, choćby były dobre, nie mogą być jak tylko szkodliwym udawaniem. Jeżeli zaś serce będzie uczciwe, wszystko się dobrze ułoży, a te pięć przykazań będą zachowane i z łatwością w czyn wprowadzone. Nawiasem mówiąc, nasze polskie słowo „uczciwość” jest bliższym tłumaczeniem MAKOTO niżeli w innych językach, np. sinceritas - otwartość, ale mimo to słabo oddają znaczenie jakim jest, bo tu nie chodzi o związek między myślą, uczuciem i słowem i nie odnosi się do prawdziwości czy dobrowolności. Przecież nierozmyślnie wyjawienie swych uczuć jest sprawą godną potępienia. Jeszcze, uczciwość jako dusza pięciu przykazań, nie znaczy, że żołnierz powinien mówić i postępować według swoich uczuć. Według znaczenia jakie jej dają Japończycy, uczciwość jest czymś dodanym do GIRI, powinności, obowiązku. Powinność uczciwa to wzór obowiązku, bo uczciwość dodaje trwałości temu wszystkiemu co przedstawia moralność japońska. Uczciwość jest cnotą tego, kto nie szuka siebie i swego zysku, człowieka opanowanego i tylko uczciwy może dobrze rządzić w swym kraju.

By nie przesadzić w tłumaczeniu, warto jeszcze dodać, że w naszym pojęciu „uczciwość” znaczy więcej niżeli MAKOTO, które jest jakby wzmocnieniem innych cnót i entuzjazmem lub gorliwością, która im towarzyszy. Bo etyka japońska w rzeczywistości pozostaje czymś ułamkowym, w którym nie gra wielkiej roli ani nie jest doceniana dobra chęć wewnętrzna czy też sumienie.

Wreszcie poczucie honoru o którym mówiliśmy na początku, ma jeszcze trochę inną stronę do omówienia. Można go nazwać roztropnością, albo przebiegłością. Nie ma bowiem w sobie konieczności zgodnego postępowania z jakimś prawem czy założeniem, ale tylko unikanie nieprzyjemności, krytyki, oraz zachowanie zewnętrznej etykiety. Wchodzi tu w działanie przebiegłość, by się nie narazić i nie ponieść szkody. To jest wschodnia „twarz”, która nie dba o sprawiedliwość, ale o zachowanie pozorów. Etyka japońska nie zakłada się na fundamencie winy ale wstydu. Gdzie podstawą jest wina, tam ma miejsce norma moralności absolutna, roztrząsana przez sumienie i wobec Istoty, która ją sankcjonuje. W takiej postawie winny może powstać z winy przez uznanie grzechu i pokutę, wraz z zadośćuczynieniem.

Gdzie natomiast fundamentem jest wstyd, nie można mówić o rozwiązaniu sprawy, a wyznanie jakiegokolwiek rodzaju, chociażby było względem Boga, w Japonii zdaje się być nieznaną. Podczas gdy wina może pozostać w ukryciu, sens wstydu wymaga poznania i ogłoszenia na zewnątrz. Stąd uczucie wstydu zastępuje do pewnego stopnia sumienie, stając się równocześnie karą. W takim znaczeniu nie można myśleć o karze czy pokucie w życiu pozagrobowym. W rzeczywistości Japończycy ogólnie nie wierzą w reinkarnację ani w istnienie nieba czy piekła w sensie nagrody czy kary. Oni ra-

czej obawiają się złego osądu ze strony społeczności, a jeżeli znajdują uznanie, pracują z entuzjazmem. Nawet mieszkający za granicą, liczą się więcej z oceną swego kraju, niżeli z opinią miejscową. Stąd ich „aklimatyzacja” w obcym środowisku jest trudniejsza, niżeli u innych narodów Wschodu, jak Chińczyków, Koreańczyków czy innych. Gdy jednak raz przewyciężą te zakosy narodowościowe, nie powrócą więcej do tradycji.

Na zakończenie możemy dodać kilka spostrzeżeń ogólnych. Japończycy niechętnie stawiają sobie problemy dobra, zła lub sumienia. Oni dopuszczają istnienie jakby dwóch dusz: jedna delikatna, a druga gruboskórna, obie dobre na różne potrzeby bez przesądzania żadnej po nagrodę do nieba ani po karę do piekła. Oni wśród swoich bożków mają dobrych i złych, ale wszystkim oddają cześć jednakową. Zdaje się, że zawsze byli gotowi przeczyć, że cnota polega na walce dobra ze złem. Nawet dawni nauczyciele i filozofowie na to nalegali. Wielki szynotoista z XVIII w. Motoori tak to tłumaczy: „Chińczycy zakładali swoją moralność na „życzliwości” DZIN, oraz potrzebowali zbioru praw moralnych, ponieważ ich natura niższego poziomu, potrzebowała takich sztucznych środków jako hamulca. W Japonii natomiast natura ludzka jest dobra i trzeba jej ufać. Wystarczy dostosować się do różnych okoliczności.” Buddyzm uznaje takie pojęcie przez identyfikację każdego wiernego z Buddą, uznając za dobre wszystko to co posiada, cokolwiek by to mogło być. W ostateczności kulturze japońskiej brak pojęcia osobowości. Stąd wyrażenia tak bardzo bliskie ludom zachodnim jak: wolność i niewolnictwo, dobro i zło, szczęście i nieszczęście, demokracja i totalitaryzm, nie mają odpowiednika w tym kraju. Trzeba więc przyjąć i zrozumieć nie tylko wielką odległość geograficzną, ale i psychospołeczną. Tu też z łatwością gubi się zrozumienie bezkrytyczne ludzkiej natury w podobnym ułożeniu zasad.

Ktoś pokusił się na przedstawienie charakteru Japończyka w skrócie: duma, poczucie honoru, posuniętego do ostatnich granic samobójstwa; szacunek dla hierarchii, opanowanie siebie i sens obowiązku. Centrum zawsze pozostanie wierność całej drabinie władz, od ojca do cesarza. Na drugim miejscu stoi duma w należnym stopniowaniu: z kraju, z obywatelstwa, z siebie samego. Życie to nie walka dobra ze złem, ale wykonanie swego zadania, pomimo jakichkolwiek trudności spotykanych na drodze.

## **Struktura społeczna po wojnie**

Słowa stereotypowe, których używa się zwyczajnie w wypadkach odnowy czy odmiany jak np. dostosowanie, nawrót, odnowa itd. byłyby niewystarczające na oznaczenie sytuacji, jaka zaistniała w Japonii po drugiej wielkiej wojnie światowej. Mówiąc „przewrót” czy „rewolucja”, które zwyczajnie przychodzą od wewnątrz, nie dałyby prawdziwego obrazu rzeczywistości raczej spokojnej i do spodu zaangażowanej. Po całkowitej przegranej i bezwarunkowej kapitulacji, kraj znalazł się na rozdrożu. To co było rozwiało się jak bańka mydlana, a nadzieja na przyszłość utonęła w ciemności. Okupant, świadomy siły ukrywającej się w prężnym narodzie, zamiast ją zniszczyć lub ujarzmić siłą, postanowił wykorzystać i wprowadzić na nowe drogi, które przecież zdały egzamin dojrzałości na innej glebie, na drogi prawdziwej demokracji.

Stary duch japoński odżył, ale już w innej formie. Cały kraj zbudził się z chwilowego letargu i rozumiejąc braterską rękę podana mu ku powstaniu, zaczyna się odradzać z popiołów jak legendarny Feniks. Wystarczyło siedem wieszczych lat, aby na starych gruzach powstał zupełnie nowy ustrój, żywotny i dobrze zorganizowany. Na widok nowych sukcesów prędko został odżalowany stary system, który przeszedł do historii, a zmiany nie były małe. Wystarczy wspomnieć ważniejsze, by sobie zdać sprawę z tego, co zaszło. Japonia wyrzeka się wojska; cesarz już nie jest więcej „symbolem kraju”, a władza przechodzi w ręce ludu; religia państwowa przestaje istnieć; przedsiębiorstwa państwowe rozplývają się między naród wraz z ziemią oddaną w ręce rolników; ogłoszono równość płci, młodzi mają wolność w wyborze żony czy małżonka; wielkie zmiany w szkolnictwie i organizacjach w stylu demokratycznym; wolność religii i jej propagandy.

Wraz z ogłoszeniem Nowej Konstytucji 3 maja 1947 r. odwołano wszelkie stare przepisy z nią niezgodne (tzn. dekret cesarski o wychowaniu z 30 października 1890 r.), dano wolność myśli, sumienia i religii; wolność w nauce i prawo każdego obywatela do wykształcenia według jego zdolności. Porównanie przedstawione w tabeli 1 wyjaśni zaistniałe różnice.

**Tab. 1:** Porównanie zapisów Edyktu cesarskiego z 1890 r. oraz Prawa wychowania z 1947 r.

Edykt cesarski z 1890 r.	Prawo wychowania z 1947 r.
<b>Natura społeczności</b>	
Społeczność opiera się na pojęciu konfucjańskim o stosunku hierarchicznym.	Społeczność opiera się na wzajemnym szacunku i współpracy.
<b>Natura kraju jako Państwa</b>	
Boskie cesarstwo jest utworzone przez przodków Cesarza.	Państwo demokratyczne utworzone przez naród.
<b>Stosunek obywateli do Państwa</b>	
Obywatele mają obowiązek rozwoju swych zdolności umysłowych i moralnych, zachowania prawa, oraz poświęcenia się odważnie w obronie Państwa i pomyślności cesarskiego tronu.	Obywatele mają prawo i jednakową możliwość zdobywania wykształcenia proporcjonalnego do swoich zdolności, prawo do wolności od jakiegokolwiek dyskryminacji rasy, wyznania, płci, pozycji społecznej, ekonomicznej, czy pochodzenia rodzinnego, prawo do opieki w razie potrzeby, do wolności słowa i pióra; odpowiedzialność do utworzenia społeczności i kraju pokojowego.
<b>Cel wychowania</b>	
Rozwijać wierność dla cesarza i cześć dla rodziców w celu osiągnięcia jedności narodu pod ojcowską opieką Cesarza.	Rozwijać osobowość obywatela, szanować wartości indywidualne, zachować ducha niezależności.



Taka nowość zamiast zaskoczenia przyniosła zdecydowaną jedność i gorliwą współpracę. Sami nauczyciele wyrażali się bardzo pozytywnie i nie potrzebowali wprowadzać tych zmian z jakimkolwiek przymusem. Oni sami byli przekonani o potrzebie reformy już starego i przeżytego systemu. Nieco później jednak pokazała się opozycja i przez jakiś czas sytuacja była nader delikatna.

Oprócz wyżej wspomnianych zmian, były i inne, które dotyczyły w sposób szczególny uczącej się młodzieży. Ze szkoły usunięto naukę moralności jako przesiąkniętą szowinizmem wojskowym. Równocześnie zaprzestano nauki klasyków chińskich, która miała podobną wartość jak u nas łacina i greka. Tam miała swoje źródło cywilizacja narodowa, tam ćwiczył się umysł, a serce znajdowało swoje oparcie i ozdobę. Nie trzeba było czekać długo na rezultaty: przestępczość młodych wzrosła a rodzice uderzyli na alarm. Siłą rzeczy zainteresowało się tym wielkim problemem Ministerstwo Oświaty. Trzeba było przywrócić lekcje moralności, historii i geografii, ale w duchu demokracji dotąd nieznannej. Zwłaszcza nauka moralności utknęła na martwym punkcie. Po usunięciu czci prawie boskiej dla cesarza i co za nią idzie, fanatycznej czci dla rodziców, gmach moralności stracił fundament istnienia. Bez uznania wyższej Istoty lub wyższego prawa, pozostaje tylko odkrycie osobiste, ważności osobowości bliźniego i potrzeby stania się „człowiekiem” i godnym obywatelem świata. Wszystkie te racje niejasne i niezrozumiałe. Resztę pozostawiono do uzupełnienia nauczycielstwu.

Z powodu niewystarczającej liczby szkół i nauczycieli, poszczególne klasy z konieczności przekraczają wyznaczoną liczbę uczniów: 50 osób. Mimo dobrych chęci i usilnych zabiegów nie udało się zrównać wszystkich uniwersytetów i według starego zwyczaju niektóre z nich zachowały duże różnice, tak że konkurencja wytworzyła nowe problemy wyboru i zdobycia za wszelką cenę zapisów do nich. Stąd przysłowiowym piekłem dla studentów stały się egzaminy. Połowa absolwentów z niższych uniwersytetów nie znajduje pracy, młodzież dla nauki robi nadzwyczajne wysiłki ze szkodą dla zdrowia, a samobójstwa mnożą się coraz to bardziej. Ogólne niezadowolenie młodzieży rośnie. Nowy system polityczny również ma swoje niewiadome. Cesarz sam publicznie, 1 stycznia 1946 ogłosił się zwyczajnym śmiertelnikiem i praktycznie został pozbawiony jakiegokolwiek władzy na rzecz ludu, wyrażającego się przez Sejm i Senat. Wyrzeczenie się wojska i w ogóle sił zbrojnych w powietrzu, na lądzie i na morzu, pozostawia tylko skromny margines na tzw. oddział obrony narodowej. Zostały również rozwiązane stare monopole podtrzymujące wojsko i rządzące całym systemem ekonomii krajowej. Brak podstawowych materiałów zmusza do handlu zagranicznego, jako jedyne go środka i sposobu wyjścia z trudnej sytuacji. Drobne rzemiosło staje się ostatnią deską ratunku. Przy nich powstają powoli duże przedsiębiorstwa pochłaniające większą liczbę pracowników a przyjmujące do zarządu elitę i młodzież wykształconą. Robotnicy od samego początku łączą się w związki zawodowe i współpracują z zarządem przedsiębiorstw, z czym rośnie konkurencja, rozwój i ulepszenie wyrobów w pogoni za wynalazkami. Pierwszymi produktami na eksport stają się instrumenty optyczne (aparaty fotograficzne), maszyny dziewiarskie, do szycia i zabawki blaszane, na które wykorzystuje się

cały materiał z puszek od konserw i napojów sprowadzonych ze Stanów Zjednoczonych dla wojska okupacyjnego.

Na horyzoncie międzynarodowym jawią się nowe zmiany powiększające rozbięcie na dwa obozy. Powoli i na Dalekim Wschodzie zaczyna się odczuwać ten wpływ mniej więcej zdecydowanie, ale Japonia stara się jak najdłużej pozostać neutralną więcej z powodów ekonomicznych niżeli politycznych. Stąd dąży do pokoju, ale i do uwolnienia się od okupacji, mimo że na niej więcej zarabia niżeli traci. Wojsko okupacyjne jest więcej solą w oku dla honoru i wspomnień o przegranej niżeli dla kieszeni.

Ostatni problem, który nie wiele wpłynął na ogólny stan rzeczy to sprawy religijne czyli wierzeń. Wprawdzie szyntoizm jako religia państwowa przestał istnieć, ale pozostał we krwi narodu i to głębiej niżeli jakakolwiek inna religia czy sekta. To wcale, nie przeszkadza, by pozostały świątynie, by były celem pielgrzymek jak dawniej w większe święta państwowe, jak Nowy Rok, święta ludowe dzieci, młodzieży, dorosłych, matek, starców, ojców itd., a ponad to po błogosławieństwo dla osób politycznych, na rozpoczęcie prac, budowy nowych obiektów tak państwowych jak prywatnych.

Wolność religii została uznana w całym tego słowa znaczeniu jako rzecz prywatna każdej osoby; zwolnienie od podatków i opłat odnoszących się do kultu, świątyń, domów zakonnych i przedmiotów nawet sprowadzanych z zagranicy. Trzeba jednak dodać, że szyntoizm pozostał jak był formalnością zewnętrzną, bez większej wartości religijnej (patrz str. 88). Buddyzm natomiast ogranicza się do czci dla umarłych, ślubów i pogrzebów (patrz str. 91). Znamienne jest to, że po wojnie statystyka wykazała 35 milionów wierzących więcej ponad ogólna liczbę mieszkańców. To każe się domyślić, że wielu jest zapisanych do świątyń tak szyntoistycznych jak buddyjskich i w rzeczywistości mieszkańcy korzystają z takiej lub innej świątyni według upodobania (o chrześcijaństwie patrz str. 92-105).

Na zakończenie zatrzymamy się nieco nad organizacją i ruchami młodzieży. Dla zrozumienia problemów, z którymi spotkała się młodzież w czasie ostatniej przemiany czy odnowy wypadało najpierw poznać środowisko i warunki, w jakich znajdowała się dotąd, chociażby to stało się w skrócie i dosyć ogólnie. Na takim tle będą więcej zrozumiane pociągnięcia, trudności i nadzieje wyrażone na żywo w ANKIECIE. Zrzeszenia młodzieży istniały w Japonii nawet jeszcze w czasach feudalnych, po wioskach rybackich i rolniczych, a miały za zadanie uświetnić uroczystości przy świątyni czy w wiosce, albo być pomocą dla potrzebujących w razie nieszczęść żywiołów trzęsienia ziemi czy tajfunów. Z odnową Mejdzi zniknęły z horyzontu a w ich miejsce powstały inne pod opieką nauczycieli tak dla dzieci jak i dla młodzieży, po większej części dla sportu lub dokształcenia.

Po pierwszej wojnie światowej pierwszy raz pojawiają się stowarzyszenia wśród studentów wyższych szkół i uniwersytetów o naświetleniu społeczno-politycznym pod płaszczykiem pomocy i obrony praw studenckich. Rząd uderzył na alarm, a w latach trzydziestych zaprowadził stowarzyszenia na tle nacjonalistycznym.

Po wojnie młodzież znalazła się w dość krytycznym położeniu, zresztą podobnie jak cały kraj. Zaczyna się pogoń za wstępem do lepszych uniwersytetów, które bez miłosierdzia palą na egzaminach wstępnych. Kandydatów na

jedno miejsce bywa dwudziestu i więcej. Nie mniejsze trudności przedstawia dla absolwentów zdobycie dobrej pracy. Do 40% pozostaje bez dobrego zajęcia. Jak zwykle bywa i tutaj znajdują się ci, co łowią w mętnej wodzie. Tworzą się zrzeszenia w stylu rewolucyjnym. Rząd rozwiązuje stowarzyszenia i nawet jeden uniwersytet, który uchodził za ognisko ruchu. Zrzeszenia zeszyły do podziemia. Prędko jednak przychodzi przesyt najpierw w opinii publicznej, a potem i wśród młodzieży, która rzeczywiście liczy na zdobycie wiedzy i wychowania. Jaki ojciec, taki syn, mówi stare przysłowie. Z absolwentów tego rodzaju tworzą się grupy nauczycieli o zabarwieniu lewicowym. Tymczasem wypływa na czołowe miejsce odbudowa i odnowa kraju po chwili przejściowej okupacji. Wszystko nabiera prężności, rozwija się przemysł, cichną zamieszania, reguluje się dostęp do nowych fabryk, produkcja rośnie i znajduje zbyt nie tylko w kraju ale i za granicą. Przebiegłość japońska triumfuje, potrzeba było z góra trzydziestu lat, aby kraj odrodził się z popiołów.

## **Ankieta „Młodzież japońska na przełomie”**

Ankieta przeprowadzona wśród młodzieży, której wyniki zostaną poniżej przedstawione, przypada na czas przejściowy, kiedy cały naród zмага się, by wybrnąć z impasu i okazać jeszcze raz do czego jest zdolny. Są to lata sześćdziesiąte. Ministerstwo Oświaty wypracowuje program wychowania na moralności i zwraca się o pomoc bez ogródek do przedstawicieli moralności chrześcijańskiej. Szkoły misyjne nabierają większego poważania i zaufania. Szuka się wyjścia, możliwie jak najlepszego i najpewniejszego. Mówiąc nawiasem, jeżeli kraj osiągnął dzisiaj to co posiada, nie małą cząstkę zdobył dzięki współpracy tych, co beztendencyjnie umieli skorzystać z prawd i doświadczenia historii chrześcijaństwa. Stąd nawet przeprowadzenie ankiety przez misjonarza, znalazło gorące poparcie u osób wysoko postawionych. Zainteresowało się Biuro Badań Wychowawczych z samego Ministerstwa Oświaty, które wystosowało polecenie do szkół publicznych z prośbą o ułatwienie przeprowadzenia ankiety. Jest to typowy sposób japoński, urzędowy. Jeśli chodzi o szkoły prywatne katolickie, nie było większych problemów. Po kilku próbach między swoimi, zdecydowano wybór młodzieży wyższych szkół: liceum - uniwersytet; a temat ankiety otwarty, może trudniejszy i mniej praktykowany w Japonii, ale dający możliwość poznania stanu ducha i osobistego zaangażowania się w podane problemy, a nie tylko odpowiedź na pytanie. W Japonii można liczyć u młodzieży na szczerłość i współpracę, bo zaufanie osobiste jest mile przyjęte.

Ankieta została przeprowadzona w trzynastu szkołach publicznych, rozsianych po całej Japonii od Hokkaido do Kyushu. Z tych w jedenastu liceach (dwa męskie i 9 mieszanych), w dwu uniwersytetach (jeden męski i jeden mieszany). Z każdej szkoły przeciętnie 70 osób, dwie klasy w wieku od 16 do 20 lat. W szkołach publicznych większość stanowią chłopcy a w prywatnych dziewczęta. W Japonii są lubiane i poważane szkoły męskie lub żeńskie, mniej mieszane. Tokio, Osaka i Kioto uchodzą za miejsca wybitnych nauk. Szkoły prywatne przyjęły ankietę z przychylnością, razem 15 (8 liceów, 5 małych uniwersytetów i dwie zawodowe). W komplecie 28 szkół, publiczne w okolicy Tokio, prywatne w innych miastach. Pochodzenie młodzieży śred-

niego stanu: urzędnik, robotnik fabryczny, handlarz... w szkołach prywatnych (droższych), dobrze się mający. Razem 1800 osób.

Zanim wejdziemy w sedno sprawy warto zwrócić uwagę chociażby tylko pobieżnie na nastawienie się młodzieży do samej ankiety. Otóż 40% stanowi grupa chętnie współpracująca, 22% ma trudności albo zastrzeżenia, 30% żali się z niemożności dania odpowiedzi dość wyczerpujących mimo dobrej woli, wreszcie 10% nie rozumiało dobrze lub dało odpowiedzi wymijające. Ogólnie biorąc, 90% zaangażowało się szczerze i z odpowiedzialnością.

Oto kilka przykładów z każdej grupy:

- 1) Na pytanie, czy twoja odpowiedź była szczerą? Tak, czuję sympatię do obcokrajowców; tak, odpowiedziałem, co czuję i myślę; trochę obrażeni, jeżeli nam nie ufa, to po co strata czasu, nie chcę oszukiwać nikogo; my w szkole nie mamy okazji wyrazić swego zdania z całą otwartością; dotąd nigdy nie wyraziłem swego zdania z taką otwartością.
- 2) Tłumaczą się brakiem czasu, trudnością pytań, albo odpowiedzialnością za tak ważne wypowiedzi; część była zaskoczona sytuacjami i problemami, których sobie dotąd jeszcze jasno nie stawiała.
- 3) Pytania są zbyt oderwane i chociaż odpowiedziałem szczerze, miałem dużo trudności; brakło czasu na przemyślenie. Dziewczeta piszą o całej szczeroci, większej nizeli do własnej matki, bo odpowiedzi są anonimowe i ufaja w odpowiedzialność zachowania sekretu...

Ogólnie mówiac najwięcej utyskiwania znajduje się u starszej młodzieży jako lepiej rozumującej i pragnącej współpracować z odpowiedzialnością, szczególnie wśród dziewcząt. Szkoły publiczne przyjęły sprawę więcej na serio nizeli prywatne. Miło czytać wynurzenia osiemnasto-dwudziestolatek i to nie tylko wśród dziewcząt. Wielu ostrzega i prosi, by nie poprzestawać na spostrzeżeniach zewnętrznych, ale spoglądać w duszę japońską.

Nie zapominając o tytule ankiety: „Młodzież japońska na przełomie”, zajmujemy się więc młodzieżą, która ma za sobą spuściznę kilkuwiekową i stoi na progu niezaprzeczalnej odmiany, chyba dotąd nigdy nie spotykanej i w takich warunkach odbywa się dojrzewanie psychologiczne i społeczne tej najlepszej części narodu. Czy obecna młodzież podążać będzie jako ciąg dalszy poprzednich generacji, czy też wejdzie na nowe tory i stanie się komórką nowego pokolenia? Oto pytanie, o którego rozwiązanie miałyby się pokusić ta właśnie skromna ankieta.

Człowiek jest całością nie do podzielenia na części, ale dla łatwiejszego zrozumienia działania natury ludzkiej, pewien podział może być przyjęty i lepiej wykorzystany. Stąd centrum będą stanowić trzy zagadnienia: wartości osobiste, wartości społeczne i wartości religijne. Żadne z nich nie będą wyczerpujące, ale połączone razem mogą dać w przybliżeniu oczekiwaną odpowiedź. Pytania ankiety, chociaż dość zróżnicowane, mają prowadzić do jednego celu i w tym znaczeniu odczytywane. Oto ich treść - początek jak zwyczajnie, zawiera pytania stereotypowe: Ile masz lat, płeć, rodzice żyjący, rodzina, zawód rodziców, stan materialny, rodzaj szkoły, ewentualny stopień nauki, przynależność do stowarzyszeń pozaszkolnych - jakich, od kiedy, czy rodzice są z tego zadowoleni?

- 1) Jakie książki czytasz? (Odpowiedź nie wykorzystana, ale jako wejście...)

- 2) Jak myślisz, co to jest życie człowieka?
- 3) Co do życia ludzkiego masz pojęcie optymistyczne czy pesymistyczne? Jaki masz zamiar wykorzystać swoje życie? W jaki sposób?
- 4) Aby życie miało swój sens, jaki istnieje najważniejszy problem do rozwiązania?
- 5) W Twoim życiu jakie sprawy najwięcej Cię zajmują i niepokoją?
- 6) Według Twego zdania jakim powinien być młody człowiek, by stać się „ideałem”? Czy myślisz, że obecna młodzież japońska posiada takie przymioty?
- 7) Gdybyś mógł wybrać dowolnie Twoją przyszłość, jaki wybrałbyś zawód? Dlaczego właśnie taki a nie inny?
- 8) Czy myślisz, że ustrój społeczny w jakim żyjesz jest dobry, albo powinien być ulepszony od spodu? Dlaczego? Jakby to można było zrobić?
- 9) Według Ciebie jaki jest największy problem społeczny w dzisiejszej Japonii?
- 10) Co myślisz o Międzynarodowej Federacji? Z jakich powodów?
- 11) Zajmujesz się problemami robotniczymi i polityką? Dlaczego?
- 12) Gdybyś miał odpowiednią sumę pieniężną do własnej dyspozycji, w jakim porządku wybrał byś następujące imprezy: a) Podróż zagraniczna; b) Fundacja dzieła społecznego; c) Budowa szkoły; d) Konstrukcja fabryczna; e) Organizacja i pomoc dobroczynna?
- 13) Jakie znaczenie ma dla Ciebie religia?
- 14) Twoje odpowiedzi podałeś jak myślisz, szczerze i z łatwością?
- 15) Chciałbyś jeszcze dodać coś osobistego?

Razem z ankietą był załączony list polecający z prośbą o współpracę, zapewnienie tajemnicy i anonimowości, oraz szczerą w wyrażeniu myśli. Nauczyciel, zwyczajnie gospodarz klasy zebrał odpowiedzi w zaklejonych kopertach i przesłał na podany adres. Czas do dyspozycji był ograniczony do dwóch godzin, niewielu mogło zabrać do domu na jeden wieczór. Przejdźmy więc do tematu, który nas frapuje, do odpowiedzi żywych.

## Ocena wartości formacji osobistej

Odpowiedź młodzieży o znaczeniu życia. Pytanie jedno z najtrudniejszych. Jeżeli ci co mają swoją religię znajdują niemałą trudność w odpowiedzi na to pierwsze pytanie, tym bardziej można się domyślić, na ile są zaskoczeni niewierzący.

Co to jest życie? 17% wstrzymało się od odpowiedzi. „Nie myślałem o tym nigdy i dzisiaj przychodzi mi na myśl niepewność i żal do życia tak smutnego.” „Czuję się zawstydzona, że dotąd nie interesowałam się takimi problemami, które w naszym wielu powinny być przemyślane.” „Staram się nie myśleć o tym, by nie wpaść w smutek.” „Gdyby można było określić życie w krótkich słowach, nie byłoby tyle samobójstw i filozofia nie byłaby potrzebna.”

Żeby się nie powtarzać zrobimy krótkie podsumowanie bez uzurpowania sobie terminologii technicznej. Tak więc dzielimy odpowiedzi na (zobacz rys. 2):

- pozytywno-dowolne (dodatnie 45%)  
„Życie to nadzieja bez końca, to rzeźbienie osobowości, wysiłek stworze-

nia pięknej rzeczy. Polega na poszanowaniu siebie i bliźniego, na naśladowaniu ideału i nadziei.”

- pozytywno-solidarne  
„Polega na współpracy dla społeczności. Dążenie do utworzenia lepszej społeczności.”
- pozytywno-religijne  
„Życie to misja powierzona każdemu przez Boga do spełnienia. To coś bardzo pięknego. To środek do zdobycia życia wiecznego. To przygotowanie się do wiecznej szczęśliwości.”
- pozytywno-hedonistyczne  
„Życie to rzecz, którą każdy ma prawo się cieszyć. Polega na odaleniu cierpienia dla swoich następców, na zdobyciu największego szczęścia za pomocą własnego zawodu.”
- negatywno-egzystencjalne (ujemne 17%)  
„Życie to rzecz bezsensowna, której nie można sprawdzić, to nicość, rzecz bez smaku, ponieważ nie znam jego powodu. Czyż życiem nie będzie również i śmierć? To kupa sprzeczności.”
  - negatywno-sentymentalne  
„To ciąg nieprzerwany egzaminów, cierpienie bez końca. To jakby odwaga oglądania do końca filmu, który się uprzykrzył. To rzecz na to stworzona, by zakosztować cierpienia, na to by cierpieć i płakać.”
- wykrętne-wymijające (obojętne 38%)  
„Im więcej myślę tym mniej rozumiem. To taka rzecz, która mi dolega...”
  - ambiwalentne  
„Życie to wymiana cierpień i radości, to powtarzanie się sukcesów i strat...”
  - tautologiczne  
„Życie jest tym co mija między urodzeniem i śmiercią. Życie jest życiem...”
  - opisowe  
„To jest coś podobnego do podróży, to droga, którą trzeba przebyć...”

Przy powyższej statystyce istnieją jednostki myślące głębiej, tak w szkołach publicznych, jako też i w prywatnych (zobacz rys. 2).

- optymiści 56%  
„Jestem optymistą, ale zawsze w naprężeniu... Do dwudziestu lat myślałem, że lepiej było się nie urodzić, ale teraz zmieniłem zdanie. Od czasu gdy przyjąłem chrzest zaczęłam rozwiązywać problemy bez pesymizmu.”  
Warto zauważyć, że grupy w szkołach publicznych zwłaszcza chłopcy mają więcej optymizmu od szkół prywatnych. Sens może być w tym, że mają większy przystęp do uniwersytetów wyżej postawionych. Dziewczeta ogólnie przewyższają w optymizmie chłopców.
- pesymiści 25%  
„Jak można być optymistą gdy się cierpi? Jestem pesymistą, ponieważ

rzeczywistość jest daleka od ideału. Chciałbym być optymistą, ale tylko udaję. Czasem smucę się bez powodu i tracę smak życia.”

- niezdecydowani 11%

„Nie jestem pesymistą, ale ani optymistą, to może oznacza, że nie wiem co to jest życie.”

- ambiwalentni 8%

„W szkole jestem optymistą, ale w domu pesymistą; na zewnątrz optymistą, ale wewnątrz pesymistą. Gdy nie myślę o samej sobie jestem optymistką, ale gdy patrzę w siebie jestem pesymistką.”

Zmieniają pozycje według okoliczności. Wśród dziewcząt jest więcej takich niżeli wśród chłopców.

Podsumowując można dodać, że charakterystycznym jest dotąd brak dojrzałości i wielkie zamieszanie. Kultura japońska obecnie nie posiada jasnego pojęcia życia, ponieważ zarzuciła wartości starożytne a nie zastąpiła ich nowymi.

## Postawa wobec życia

Z pierwszych dwóch pytań można było zasięgnąć informacji, w jakich warunkach znajduje się młodzież dzisiaj. Teraz zapytamy o zdecydowanie się wejścia w przyszłość: w jaki sposób masz zamiar wykorzystać życie?

Dzielimy to znowu na zgrupowania postaw zestawionych poniżej. W ostatnich dwóch grupach, chociaż dosyć nielicznych, dopatrujemy się tradycyjnego sentymentu GIRI, zależności i zobowiązania, które ciążą przez całe życie.

Na podsumowanie trzeba dodać, że z postępem lat zmniejsza się nastawienie hedonistyczne na korzyść zaangażowania odpowiedzialnego. Notuje się również dosyć wydatnie „przełom” kultury tradycyjnej na nowe drogi uczciwości, osobistego włączenia się w sprawy społeczne i niezależności, wyrażonej w sposób szczególny przez dziewczęta (zobacz rys. 2).

- idealizm dowolny, społeczny 51%

„Mam zamiar oddać się całkowicie dla dobra społecznego w duchu sprawiedliwości i uczciwości. Roztrząsając często moje wnętrze, czy zgadza się z ideałem, bez udawania. Bez uczciwości nie mogę żyć, muszę unikać złego i czynić dobro”...

Ta grupa pragnie się zaangażować do pracy społecznej całym sercem. Chcą budować społeczeństwo, które nie zna zła. Jako pierwszy cel, uszczęśliwić moją matkę... Tutaj przodują szkoły prywatne i dziewczęta. „Pragnę prowadzić życie zbliżone do ideału, bez grzechu, aby odwdziżyć się Bogu za to, że mnie stworzył... Jestem katolikiem i dlatego pragnę tak żyć, by nie wstydzić się nigdy przed Bogiem... Na tym świecie często sprawiedliwi są wyszydzani, mimo to pragnę żyć uczciwie w nadziei życia przysłego.”

Najbardziej uwydatnia się chęć zaangażowania osobistego w życie pełnym, odpowiedzialnym, uczciwym. Uczciwość przede wszystkim wybija się na pierwsze miejsce: po japońsku ma ona raczej zabarwienie prawdy, szczerości, otwartości. To pragnienie uczciwości ma swoje powody, oto-

czenie bowiem nie jest takie, ale o tym potem. Młodzi znają zawsze wielkie ideały dopóki nie spotkają zawodu.

- hedonizm uczuciowy 33%

„Pragnę żyć z dala i spokojnie chociażby w górach... wesoło i przyjemnie, bo życie się nie powtarza.”

Żyć spokojnie, bez trudności i kłopotów, nawet z dala od towarzystwa i społeczności. Grupa dosyć liczna, stanowiąca jedną trzecią.

„Nie chcę myśleć o religii, bo ona zbyt wiąże i nie pozwala żyć według własnego widzi-mi-się... Pragnę pozostawić po sobie dobre wrażenia i nawet jakieś dzieło pożyteczne.”

Nie ograniczają się jednak do samego egoizmu, ale liczą i na szacunek od otoczenia, co zobowiązuje wzajemność. Tak młodzież męska w większości szkół publicznych.

- indywidualizm niezależny 9%

„Pragnę żyć według własnego zdania oceniając rzeczowo wydarzenia i osoby... Dołożyć starań, by nie kierować się warunkami nałożonymi z zewnątrz... Myślę, że kobieta powinna zajmować się rodziną, ale jako prawdziwa gospodyni domu, mieć swoje wykształcenie i zawód, by nie zależeć we wszystkim od otoczenia...”

Jest to wyłamanie się ze starych zwyczajów

- obrona przed pomyłką życia 4%

„Pragnę tak żyć, by nie żałować niczego... Pozostawić po sobie dobre wspomnienia, nie odchodzić z wyrzutami sumienia...”

Jest to tradycyjna odpowiedzialność przed Bogiem, przed przodkami i przed potomnością.

- obrona przed odpowiedzialnością społeczną 3%

„Pragnę żyć tak, by innym nie wchodzić w drogę, ale zarazem wolny od wpływów zewnętrznych. Nie przejmować się nikim i nie należeć do nikogo.”

Jest to postawa podobna do poprzedniej, ale nieco słabszego kalibru.

## **Najważniejszy problem do rozwiązania - tak, by życie miało swój sens**

Trudne pytanie i dlatego 24% nie dało odpowiedzi. „Jeżeli nie wiem, co to jest życie, nie wiem jednakowo jak się odnosić do niego... w życiu jest wiele problemów nie do rozwiązania, tak jak ten dla mnie.” Odpowiedzi zostały ocenione procentowo po wyłączeniu tych, co nie odpowiedzieli. Więc znowu grupy konwencjonalne, przedstawione poniżej (zobacz rys. 2).

- ideał formacyjny 31,2%

„Mieć jasne pojęcie o sobie, mieć stałość w sercu, upewnić się o wartości życia, wiedzieć dlaczego się przyszło na świat i postępować z tym zgodnie, unikać kompromisów ze samym sobą, stać się osobowością.”

- solidarność 15,9%

„Żyć w poufałości z innymi jakby w rodzinie, stać się pożytecznym dla społeczeństwa, postępować zawsze w duchu współpracy i zgody.”

- moralność osobista i społeczna 14%

„Uzdrowić obecne społeczeństwo splamione, mieć tzw. sens moralności, doskonalić każdego człowieka, opanować wewnętrzny pociąg do złego,



zmniejszyć instytucje rozrywkowe a zwłaszcza usunąć miejsca rozpusty i karać surowo przestępców.”

- zapewnienie ekonomiczne 13,7%  
„Zapewnić życie ekonomiczne stałe, udzielić pomocy żyjącym w nędzy, by wszyscy mogli żyć jak się należy, nie zapominając o problemie nadmiaru ludności.”
- system polityczny i społeczny 10,6%  
„Potrzebna wielka rewolucja społeczna, poprawa rządu japońskiego, powierzyć władzę ludziom dobrym i odpowiednim, ulepszyć środowisko międzynarodowe i rządy wewnętrzne, usunąć w świecie zatargi.”
- religia 5,7%  
„Czy Bóg istnieje? Rozwiązać ten problem a wszystko będzie rozwiązane. Zdobyć religię, wiarę i dobro, problem religijny, by wszyscy ludzie poznali prawdziwą wiarę.”
- sukces zawodowy 4,5%  
„Zdobyć pewne zatrudnienie bez przeszkód ze strony innych, osiągnąć zawód, którego się pragnie.”
- problem naukowo-wychowawczy 4,4%  
„Uwolnić młodzież od „piekła egzaminów”, by wszyscy mogli mieć zapewnione pewne wykształcenie. Więcej wyrozumienia u dorosłych dla studentów. To wielki problem młodzieży, wykształcenie dla życia.”

W podsumowaniu można by zwrócić uwagę na dwa aspekty szczególnie wpadające w oczy: wartości osobiste i wartości społeczne. Łącząc powyżej wymienione mamy 46% młodzieży, która myśli poważnie o formacji duchowej a dodając jeszcze religię, przekracza 50%. Znowu widać większość szkół prywatnych i dziewcząt, co mówi o większym rozgłosie formacyjnym.

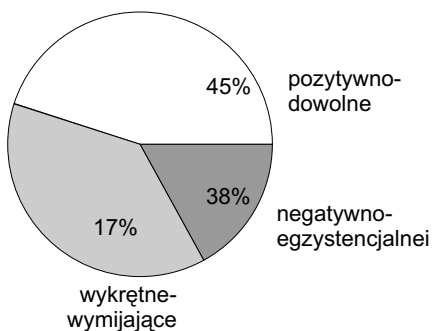
Nawoływania trwają i zachęcają do wytrwania: „Niechaj każda z nas wpa-  
truje się w swój cel jaki ma do spełnienia. W dzisiejszej Japonii wielu żyje bezmyślnie, co wydaje się być wygodne, ale takie życie nie ma sensu. Stąd problemy duchowe na pierwszym miejscu, a potem inne. Sama nauka ma tyle wartości, ile jest pomocną w pracy nad sobą. Niestety, mimo dobrej woli zajęcia się sobą, prawdziwe sukcesy zależą od egzaminów, więc nie ma spokoju, dopóki się ich nie przejdzie z wynikami pozytywnymi.”

Problemy społeczne to druga strona medalu. Młodzież męska w większości zajmuje się tym problemem, chociaż i dziewczęta biorą żywy udział zwłaszcza, gdy chodzi o nadużycia i brak sprawiedliwości. Wchodzi tu w grę solidarność poczynań o lepszy świat. Sprawa filmów, nałogów, korupcji, samobójstw itd. Krytykuje się postępowanie władz nie dość czujnych i zaniedbujących wychowanie do moralności. W miejsce starego systemu wzajemnej zależności „GIRI” młodzież oczekuje osobistej moralności i odpowiedzialności, więc jednym słowem uczciwości.

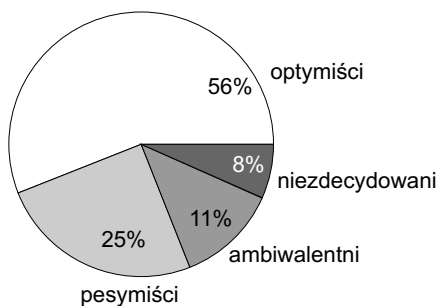
## **Teraźniejsze problemy naszej młodzieży**

Jesteśmy w centrum naszego tematu. Po stwierdzeniu ogólnej postawy względem życia, zagłębimy się w rzeczywistość, która obejmuje problemy bardzo zróżnicowane (zobacz rys. 3). Dla trudności, albo może przez niechęć wyjawienia swoich wewnętrznych zapatrywań, 12% nie dało odpowie-

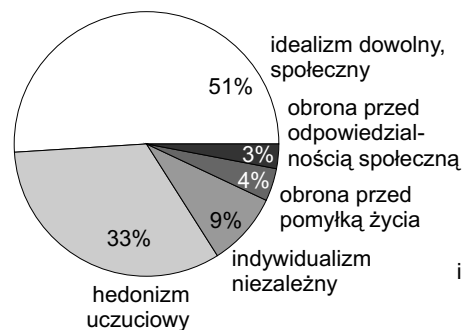
Co to jest życie?



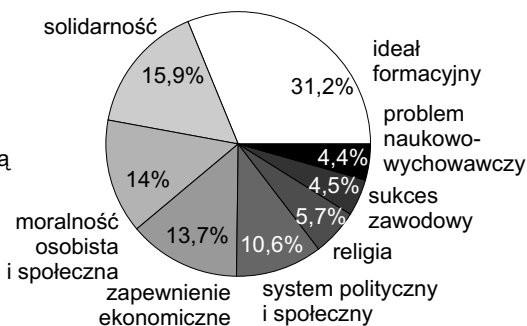
Nastawienie do życia



W jaki sposób masz zamiar wykorzystać życie?



Najważniejszy problem do rozwiązania - tak, by życie miało swój sens



**Rys. 2:** Procentowy udział poszczególnych kategorii odpowiedzi na pytania: o życie (pytanie 2), nastawienie do życia (pytanie 3), problemy związane z sensem życia (pytanie 4).

dzi. „Nie mam problemów, może oprócz egzaminów do uniwersytetu, nic innego poza troska o dobre wyniki z egzaminów. Tego nie mogę powiedzieć nikomu, może jeden, że nie mam przyjaciół.” W większej części to chłopcy ze szkół publicznych, dziewczęta mają mniej problemów. Udzielone odpowiedzi:

- niepewność do przyszłości i zawodu 23,8%  
„Czy potrafię żyć jak człowiek? Czy zdam do uniwersytetu, czy świat będzie dla mnie surowy? Być dorosłą to dla mnie wielka obawa.”
- sukces naukowy 20,7%  
„Na pierwszym planie nauka.. . potem towarzystwo. Już dwa lata nie zdałem do szkoły publicznej. Najpierw egzaminy a potem problem życia.”
- problemy osobiste 15,4%  
„Mój brak zdolności, trudności w poprawie mojej natury łękliwej, nie mam ani chwili dla siebie, moje zdrowie w obawie gruźlicy, mój wzrost tak niski, brak pewności w sobie, mój kompleks niższości.”

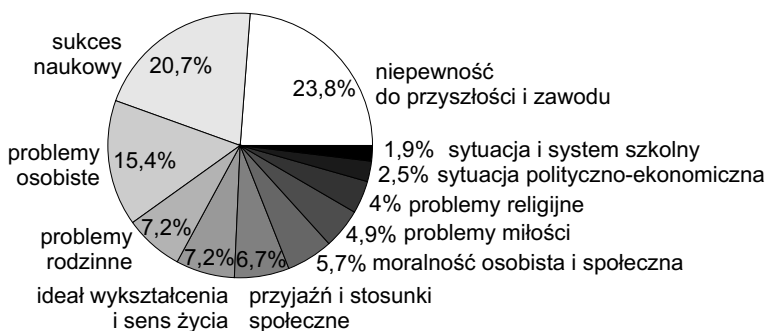
- problemy rodzinne 7,2%  
„Liczna rodzina w niedostatku. Brak miłości i zaufania wzajemnego. Niezrozumienie ze strony rodziców. Nie mogę wierzyć w miłość matki i ojca. Jako dziewczyna czuję wielką odpowiedzialność za rodzinę. Jestem ofiarą w rodzinie starego systemu feudalnego.”
- ideał wykształcenia i sens życia 7,2%  
„Co to jest życie, ideologia i sposób życia, gdy się nie ma ideałów, nie wiedząc dlaczego człowiek żyje, w jaki sposób wzbudzić w sobie ducha poszukiwania prawdy, jaką postawę wziąć wobec życia, w jaki sposób odróżnić jasno dobro od zła?”
- przyjaźń i stosunki społeczne 6,7%  
„Rzeczywistość małej liczby przyjaciół, brak zaufanych, brak powiernika, co to jest miłość, przyjaźń, brak zaufania, różnice wśród ludzi, w jaki sposób można obcować z bliźnimi bez czynienia sobie nieprzyjemności?”
- moralność osobista i społeczna 5,7%  
„Pospolitość i podłość ludzka, dorośli są za dużo kapryśni, zło społeczne wygląda jakby system, dlatego postawić silną opozycję wobec zła dorosłych i młodzieży, wszak to jest zarzucenie pięknych zwyczajów tradycyjnych, bo ludzie są egoistami i bez odpowiedzialności.”
- problem miłości 4,9%  
„Może nie potrafię kochać nikogo. Jak trudno zapamiętać kogo się miłuje? W czasie liceum nie uznaje się formalnych relacji chłopców z dziewczętami.”
- problemy religijne 4%  
„W jakim celu stworzył Bóg człowieka? Moja rodzina nie jest katolicką, do dzisiaj nie wierzy w istnienie Boga. Jestem w wątpliwości, czy mam wiarę, czy jest Bóg czy Go nie ma.”
- sytuacja polityczno-ekonomiczna 2,5%  
„Niebezpieczeństwo wojny atomowej, która by zniszczyła świat, kontrast Ameryka – Rosja.”
- sytuacja i system szkolny 1,9%  
„Fakt, że 80% mojego znaczenia zależy od egzaminów, stąd wielka potrzeba szkoły więcej sprawiedliwej i uregulowanej.”

Zbieramy powyższy podział do wspólnego mianownika, złożonego tylko z czterech rodzajów: problemy zawodowe, osobiste, relatywne i polityczno-społeczne. Problemy zawodowe czyli powołaniowe są najliczniejsze, 44,5%. Niepewność wieku młodzieńczego nawet już w wybranym zawodzie. Można je podzielić na trzy części: niepewność przyszłości, czyli co przygotowuje się przy wejściu do społeczeństwa 13%; niepewność sukcesu naukowego, w szczególności wstępu do wyśniewonej uczelni 20%; niepewność wydajności przyszłego zawodu 10%.

## Przymioty młodzieńca idealnego

Na pytanie, jakim powinien być młody człowiek, by stać się ideałem, czy obecna młodzież japońska posiada takie przymioty? Na to 11% nie dało odpowiedzi wystarczającej. „Dobro i zło zależy od ludzi, stąd nie ma młodzieży idealnej. O młodzieńcu idealnym nawet mi się nie śniło.” Jest to raczej re-

### Teraźniejsze problemy naszej młodzieży



**Rys. 3:** Procentowy udział poszczególnych kategorii odpowiedzi na pytanie o teraźniejsze problemy młodzieży (pytanie 5).

zygnacja na widok rzeczywistości. Dlatego podobnie jak dotąd podzielimy odpowiedzi według wartości moralnych, do których zaliczono: uczciwość, pokorę, sprawiedliwość, schludność. Stąd osoba idealna jest dobrze wychowana, skromna, o mocnych przekonaniach, jest dobrym obywatelem o szerokich poglądach, jest godna zaufania i poważnie myśląca (zobacz rys. 4). W przeciwieństwie do wychowania tradycyjnego wybija się na pierwsze miejsce wartość osobista, niezależna od przeszłości. Trzeba jeszcze przypomnieć, że w Japonii, w przeciwieństwie do Zachodu, gdzie członek stowarzyszenia znajduje obronę i wyrozumienie wśród członków, nawet gdy się załamuje, tutaj odstępują go wszyscy i staje się pogardą.

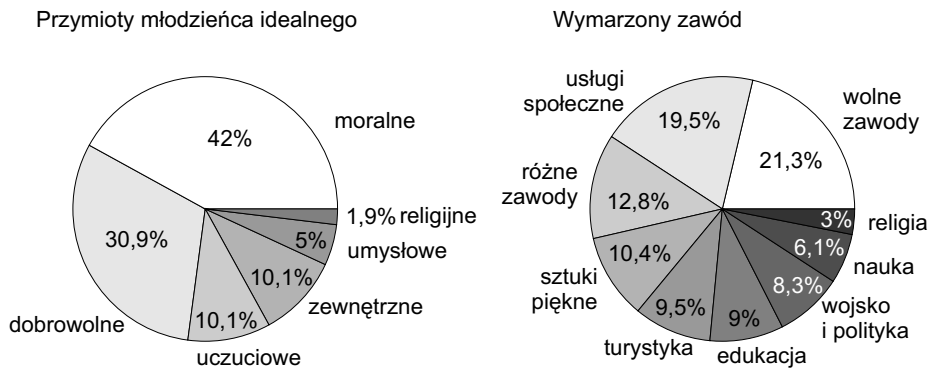
- moralne 42%
- dobrowolne 30,9%
 

„Stałość i odwaga w zwyciężaniu przeciwności i dążeniu do celu. Duch współpracy, owszem przodowanie na wybranej drodze.”
- uczuciowe 10,1%
 

Są to raczej wartości społeczne w rodzinie, w towarzystwie, w swoim środowisku. Więc pomoc bliskim i dalekim, grzeczność dla innej płci, dobre wychowanie, wesołość, miłość Ojczyzny, optymizm, koleżeństwo, szerokie serce dla innych ras i krajów.
- zewnętrzne 10,1%
 

Zdrowy duch w zdrowym ciele. Sportowiec o miłym głosie, wysoki, materialnie zasobny. Widzimy w tym naturalny odruch przeciw licznym zachorzeniom młodzieży, powodowanym często wysiłkiem naukowym i skromnością materialną.
- umysłowe 5%
 

Przy wielkiej pogoni za szkołą jak najwyższego kalibru, dziwnym by się wydał procent młodzieńca idealnego w tym względzie. Trzeba więc wziąć pod uwagę system szkolny o którym już była mowa. Ideałem jest młodzieniec, który nie ślęczy stale nad książką, ale umie dobrze podzielić czas na naukę i na rozrywkę, za którą młodzież tęskni w obecnych warunkach.



**Rys. 4:** Procentowy rozkład odpowiedzi na pytanie o przymioty młodzieńca idealnego oraz wymarzony zawód.

- religijne 1,9%

Taki niski procent pochodzi od nielicznych szkół prywatnych, przy większości publicznych, gdzie nie mówi się prawie wcale o religii. Dziewczęta zwłaszcza żałują, że wśród chłopców jest tak mało myślących o wartościach religijnych.

Prawie mimochodem wypadałoby zahaczyć o drugie pytanie o obecnej młodzieży japońskiej, co jednak dla nas ma pierwszorzędne znaczenie. Prawie całość jest ustosunkowana pesymistycznie. Zawłaszcza dziewczęta wzdychają do charakterów uformowanych w przeszłości, czyli do tradycji. Zauważa się więc tutaj trudności na przełomie między starym a nowym. Młodzież męska również jest nastawiona dość krytycznie, ale do innych, a nie do siebie. W kraju, gdzie wszystko było postawione na narodowości i na rasie, gdy runął ten domek z kart, młodzież pozostała zbałamuciona i jakby na lodzie. Wyływa jednak na wierzch potrzeba niezależności i wartości osobistych więcej niż zbiorowych. Tutaj zaczyna się odrodzenie indywidualne, a po żalach po przeszłości kiełkują nowe ideały, więcej duchowe niżeli rasowe i materialne. Kraj wzbogacił się nauką i pracą, ale od początku szuka tego co bardziej zadowoli ducha niżeli żołądek.

## Wymarzony zawód i droga do niego

Gdybyś mógł wybrać dowolnie swoją przyszłość, jaki wybrałbyś zawód, dlaczego właśnie taki a nie inny? Pytanie o łatwym i szerokim wachlarzu, ale mimo to 10% albo nie odpowiedziało, albo wyraziło niepewność. Mówi się, że na Zachodzie, szczególnie w Niemczech, już dzieci wybierają swój zawód. Na Wschodzie decyduje ostatnia chwila i nierzadko przypadek. Niektórzy wyrazili zawód nieosiągalny, np.: któryś z nich chciałby być bogiem, jeżeli to również jest zawodem. Szkoły publiczne są więcej niezdecydowane, szczególnie chłopcy. Brak decyzji tkwi w tym, że praktycznie nie mogą marzyć o wyborze, albo, że każdy zawód przynosi trud i zobowiązanie. W każdym razie wybór jest bardzo zróżnicowany i powierzchowny: prawie czterdzieści grup, które sprowadzamy do dziewięciu (zobacz rys. 4):

- sztuki wolne 21,3%  
To jest rzemiosło. Większość chłopców ze szkół publicznych.
- usługi społeczne 19,5%  
Lekarze, infirmerki, nauczycielki w przedszkolu, wychowawcy w zakładach młodzieżowych czy sanitarnych. Większość wśród dziewcząt szkół prywatnych (z wydziałem dla pielęgniarek czy nauczycielek przedszkoli).
- różne zawody 12,8%  
Jakiegokolwiek zajęcie, byle zapewniające życie. Liczba względnie wysoka.
- sztuki piękne 10,4%  
Większość dziewcząt szkół prywatnych: modelki, malarki itd., pragnące dorównać zajęciom dziewcząt zagranicznych, nowoczesnych.
- turystyka 9,5%  
Liczące przede wszystkim na zagranicę: turysta, dziennikarz, pilot, marynarz, kelnerka, tłumacz, podróżnik itp.
- edukacja 9%  
Liczni ze szkół prywatnych i wśród dziewcząt.
- wojskowość i polityka 8,3%  
Chłopcy ze szkół publicznych. Na zawodowych w wojsku zgłasza się liczba prawie nic nie znacząca. Dziesiątki tylko zgłaszają się do dyplomacji, niewielu do policji.
- nauka 6,1%  
Ma również wielu ochotników.
- religia 3,1%  
Mały procent, znajdujemy się wśród pogan. Na zawód bonzów liczy tylko dwóch chłopaków, na księży dwudziestu, a na katechetkę 34. Ostatnia grupa pochodzi ze szkół chrześcijańskich.

Godne uwagi są odpowiedzi na drugie pytanie, czyli jaki powód skłania Cię do takiego wyboru, oto ich głos:

- Dobro i postęp społeczeństwa 27,9%  
Prawie w każdym z powyższych zawodów znajduje się echo altruizmu i troski o ulepszenie obecnego stanu rzeczy. Ufność i entuzjazm we własne możliwości przebija na każdym kroku, tak w zapadłych wioskach jak i na świeczniku techniki, nauki czy sztuki.
- Zadowolenie z własnego zawodu 25,9%  
Miłość do przyrody, do spokoju i rodziny u dziewcząt, szczególnie świadomość równości obojga płci.
- Interes osobisty i sukces w życiu 18,6%  
Podjęcie odpowiedzialności i wykazanie swoich sił. Przebija tu jeszcze stare uczucie hierarchiczne ale na szczycie piramidy.
- Poglądy tradycyjne 0,9%  
Jako naśladowanie rodziców czy starszych. Reszta procentów gubi się między innymi.

Podsumowując można dodać, że młodzież idealna będzie ta licząca na własne siły, ale równocześnie współpracująca dla osiągnięcia jak najlepszych rezultatów: „viribus unitis”. Dążenie do emancypacji przebija z każdego słowa, ale bez rewolucji, owszem z zachowaniem swojego posterunku aż do poświęcenia osobistych zysków.

## Pogląd na wartości społeczne i polityczne

Z dotychczasowych badań wynika, że zainteresowania się młodzieży w sprawy społeczne są równoważne z docenianiem wartości osobistych. Pytania: 8, 9, 10, 11 i 12 pozwolą nam poznać dogłębniej te problemy. Względnie duży procent, 11%, powstrzymało się od odpowiedzi. Dla niektórych są to pytania najtrudniejsze z całej ankiety, ponieważ nie czują się przygotowani do oceniania tych spraw.

Odpowiadając na pytanie: Czy myślisz, że ustrój społeczny w jakim żyjesz jest dobry, albo powinien być ulepszony od spodu? Dlaczego? Jak by to można było zrobić? Większość, 92,9%, stanęła za reformą, ale w różny sposób. Połowa nie dała wytłumaczenia ostatecznego powodu i były to głównie dziewczęta. Przedstawione racje tak wyglądają:

- zepsucie moralno-społeczne 32,3%  
W środkach masowego przekazu, przestępstwa niedorosłych, prostytucja, przekupstwo, zniszczenie sensu człowieczeństwa, ograniczenie urodzeń itp. Większość bardzo szeroko rozwodzi się wyrażając żal, rozgoryczenie i niesmak.
- nierówność społeczna 20,3%  
Odległość zbyt wielka między bogatymi i proletariatem. Trudności, na jakie napotyka większość młodzieży w wyższych uczelniach.
- niepewność ekonomiczna 18,5%  
Pogoń za zarobkiem, bezrobocie, drogi słabo utrzymane, pożary, kataklizmy jak tajfuny i powodzie.
- zepsucie na tle politycznym 10,5%  
Przekupstwo i marnowanie dóbr społecznych.
- braki w systemie wychowawczym 5,8%  
Stanowiska są rozdzielane według stopnia słynnych uczelni, do których dostęp jest ograniczony dla uprzywilejowanych, a nie dla zdolnych.
- sytuacja międzynarodowa 2,8% oraz zagęszczenie ludności 2,7%  
To ostatnie problemy do rozwiązania.

Podsumowując zauważmy, że młodzież japońska zdaje sobie sprawę ze wszystkich bolączek, na które cierpi cały kraj i oczekuje odnowy czy poprawy, do której sama pragnie się zaangażować, co zobaczymy w następnym rozdziale. Trzeba dodać, że 19% nie podaje powodów konieczności odnowy, a 28,9% pomija rady i sposoby tej naprawy. Widocznie labirynt się powiększa. „Gdyby istniały odpowiednie sposoby, byłyby już zastosowane” – podaje jeden z nich. Odpowiedzi nawiązujących do powyższych braków, chociaż porządek wartości nie jest ten sam:

- pewność ekonomiczna 17,6%  
Wychodzi na pierwsze miejsce. W zdrowym ciele zdrowy duch. Bez tej podstawy nie można mówić o odnowie duchowej czy socjalnej.
- powaga i uczciwość władzy 15,5%  
Chociaż oddzielnie pierwsze miejsce oddano pewności ekonomicznej, to jednak w połączeniu najważniejszym problemem tak osobistym jak społecznym jest formacja moralności na każdym szczeblu, zaczynając od władzy.

- moralność osobista 12,3%  
Jako równość obywatelska i obojga płci obejmuje 13,4%. O reformie osobistej rozwodzą się szeroko: Uwolnić się od przywiązania do wygod i bogactwa, mieć jasne pojęcie swego zadania, usunąć egoizm i pracować ufając sobie wzajemnie...
- wychowanie młodzieży 11,8%
- formacja polityczno-społeczna 8,8%
- formacja obywatelska 8,3%
- zakłady opieki 5,9%
- wprowadzenie prawdziwego socjalizmu 4,1%
- uregulowanie stosunków z zagranicą 2,4%
- inne 13,3%  
Niewielka część wątpi w możliwość takiej reformy 3,9%, albo żąda dla władzy odpowiedniej wolności 2,1%.

W powyższych odpowiedziach został praktycznie rozwiązany problem następnego pytania: Według Ciebie jaki jest największy problem społeczny w dzisiejszej Japonii? Odpowiedzi te bowiem się zahaczają i pokrywają. Większe zainteresowanie wzbudza problem robotniczy, chociaż mniejszy niżby można było się spodziewać. Jeszcze mniej interesująca okazuje się być polityka. Bieżące kłopoty studenckie nie pozostawiają miejsca na zajmowanie się tym, co być może będzie skutkowało w przyszłości.

Ponad połowa ankietowanych stwierdziła, że międzynarodowa fereracja byłaby dobrym rozwiązaniem na bolączki polityczne, ale z jej utworzeniem i utrzymaniem wiąże się niemało trudności. Dziesiąta część uważa za niemożliwe jej utworzenie, nieco mniej jest nawet przeciwna takim inicjatywom. Tylko co dwudziesty ankietowany widzi ją jako konieczność, która kiedyś się ziści. Nacjonalizm czy szowinizm z którego kraj wybrnął nie tak dawno, jak widać z tych zapatrywań, stracił wiele na wzięciu. Japonia rzeczywiście otwiera się na świat. Trzeba jednak dodać, że 42,1% powstrzymało się od odpowiedzi, zwłaszcza szkoły prywatne, co świadczy o niewielkim zainteresowaniu się tą „utopią”.

## **Zdania o wartościach religijnych**

I tak dobrnęliśmy do ostatniego pytania, które nas powinno interesować nie mniej od innych: Jakie znaczenie ma dla Ciebie religia? 9% chłopców, w większości ze szkół publicznych, oraz 5% dziewcząt nie dało odpowiedzi. Wynik ten jest bardzo znaczący w kontekście zrozumienia czym są i jaka jest rola tzw. szkół misyjnych, tj. szkół utrzymywanych przez misjonarzy. W szkołach publicznych nie ma nauki religii, podczas gdy w prywatnych korzysta się z wolności nauczania i religia jest prowadzona z wielką starannością, chociaż w formie tylko religii naturalnej. Stąd odpowiedzi młodzieży ze szkół prywatnych tak bardzo różnią się od odpowiedzi młodzieży ze szkół publicznych. W szkołach prywatnych odpowiedzi są rzeczowe i pozytywne, podczas gdy w szkołach publicznych są rozbite i niejasne. Dziewczeta są wyraźnie więcej zaangażowane od chłopców. Oto zestawienie odpowiedzi:

- droga i siła do dobrego i dla formacji duchowej 20,7%
- ulga w niepokoju i spokoju serca 18,3%



- rzecz bez znaczenia 12,7%
- to mnie nie interesuje 10,3%
- rzecz ważna i potrzebna 8,5%
- nie wiem dlaczego o tym nie myślę 6,4%
- pomoc w sprawach beznadziejnych, potrzeba dla słabych 5,2%
- sprawa zależna od zdania 5,1%
- obowiązek względem Boga, droga do wiecznej szczęśliwości 3,7%
- rzecz dobra i pożyteczna 3,6%
- formalność bez znaczenia 1,9%
- rzecz fałszywa i szkodliwa 1,4%
- rzecz, której nie uznaję 1%
- zwyczaj tradycyjny: cześć dla umarłych i dla przodków 0,9%.

Z powyższego wykresu można łatwo zauważyć trzy zasadnicze stanowiska: pozytywne 60%, obojętne 22, 7%, oraz negatywne 17%. Religia u szyn- toistów czy buddystów ma znaczenie przy ślubach i pogrzebach, stąd taka wielka niezrozumiałość. Pocięszające natomiast jest stanowisko większości, chociaż z powodów nie zawsze dogłębnych. Szkoły katolickie dają wyraźne znaczenie duchowne, chociaż liczba ochrzczonych nie jest zbyt wysoka. Wszędzie jest łączona religia z moralnością. Potrzeba moralności sama przez siebie woła o religię, pozycja obojętnych jest tłumaczona nieznaną- ością religii a w przeciwnych w pewnym znaczeniu kompleksem niższości. Kończy się zwyczajnie na powtarzaniu zasłyszanych skądinąd oszczerstw, jak świat światem podobnych do siebie: brak wolności, przesady, zajmowanie się polityką itd.

Wielka różnica w charakterze odpowiedzi świadczy o małym zainteresowaniu i, co z tym się wiąże, o niejasności pojęć spowodowana trudnością zdobycia odpowiedniej informacji. Według buddyzmu religia jest raczej pociechą w trudnościach i zawodach, czyli więcej zadowoleniem uczuć niżeli nauką spekulacyjną, co uwydatnia się w odpowiedziach. Mimo wszystko przebija wśród młodzieży zainteresowanie i chęć zdobycia jaśniejszych pojęć o wartościach religijnych. Dziewczęta naturalnie w tym przodują. Podsumowując należy stwierdzić, że młodzież okazuje więcej zainteresowania religią niż starsze pokolenie. Postawa negatywna odnosi się więcej do wierzeń tradycyjnych, niżeli względem nowych np. chrześcijańskich. Ucieczka do pomocy bogów w ciężkich chwilach wojny zawiodła i dlatego młodzież czuje się zagubiona. W pojęciu ogółu japońskiego, religia ma charakter jedynie przyziemski, pozbawiona duchowości i łączności z wiecznością. Stąd rodzi się większa sympatia dla chrześcijaństwa, zakładającego większe wartości w duchu i w życiu pozagrobowym. Optymizm chrześcijański to coś dotąd nieuchwytnego, do czego dąży każdy duch nie zawsze świadomie. Religie miejscowe nie uchodziły nigdy za „prawdziwą siłę życia”, ale jako mały dodatek, więc podziw dla katolicyzmu jest wielki i rozwija się coraz bardziej.

## Podsumowanie

Po pierwszej wojnie światowej społeczeństwo japońskie przedstawiało się młodzieży jako nosiciel dobrobytu, wolności, kultury, jako kraj „raju mło-

dzieży”. W takich warunkach młodzież odbywała swój rozwój w prostocie i ufności. Po drugiej wojnie światowej natomiast to samo społeczeństwo ofiaruje ślady i wstyd przegranej, gdzie anarchizm jest uważany za wolność, egoizm za rozwój samego siebie, a zepsucie za postęp. W takich warunkach młodzież albo się zbuntuje, albo straci swoją prostotę, poniesiona na falach rzeczywistości. Tym bardziej, że z braku potrzebnego rozdziału i spokoju, przebywa w środowisku starszych i raz oszukana przez wychowawców przeszłości niełatwo zawierzy nauczycielom swego czasu. Stąd krytyczne nastawienie młodzieży prawie do wszystkich instytucji społecznych: do rodziny, do szkoły, do władz, do ustrojów w ogólności. Nie było czasu na przygotowanie i dojrzewanie do podobnych warunków, stąd zdarzają się objawy przestępstw wśród małoletnich i wzrost samobójstw. To również można zaliczyć do objawów czasów na przełomie. Powstrzymanie się od odpowiedzi na pytania tak ważne jakie przedstawiają np. znaczenie wolności, moralności, religii, albo sposobu wyjścia naprzeciw potrzebom obecnej chwili w naprawie zaistniałych problemów itp. dają naprawdę do myślenia. Takie zamieszanie prowadzi łatwo do pesymizmu i do wzajemnej nieufności.

Z drugiej jednak strony zauważamy pocieszający fenomen i ruch wśród naszej młodzieży. W zamian załamania i rozpacz, rodzi się potrzeba kształtowania osobowości i zaangażowania się całym sercem i siłami, biorąc odpowiedzialność za to, co ma się ukształtować i wydobyć z tego chaosu. To są już nowe wartości młodzieży formującej się już nie na materializmie ani na przestarzałej kastowości, ale na formacji duchowej, dającej nowe siły i wskazującej nowe horyzonty. Więc odpowiedzialność osobista, osobowość wysokiej jakości, ideały uczciwości i współpracy mają tworzyć „nowe plemię” jak kraj długi i szeroki.

Minęło równe 50 lat, tj. dokładnie dwa pokolenia, od przeprowadzenia naszej ankiety. Tylko w krótkich słowach, jakby „głosem zza morza” pragniemy skonstatować, jak ta nasza młodzież na przełomie nie tylko przebrnęła czasy apokaliptyczne, ale postawiła na miejsce starego systemu nowe fakty, które zdobyła wytrwałym dążeniem ku nowym ideałom i zadaniom, i wychowała trzecie pokolenie godne tych nadziei i osiągnięć.



---

## Epilog

Z postępowaniem wieku wspomnienia nic nie tracą na sile ani na ostrości. Owszem pogłębiają się i umacniają. Dużo spraw „wychodzi na jaw”, to zwyczajne powiedzonko ma nawet większy zasięg. Gdy w młodzięcym wieku Janek Bosko był obdarzony wielu objawieniami co do jego przyszłości, na końcu: „w swoim czasie to wszystko zrozumiesz”, taka była odpowiedź na jego pytania i rozumiał.

W podeszłym wieku wiele spraw jaśniej się rozumie i głębiej przeżywa. Stąd i te wspomnienia, nazwane na początku „odblaskami” dalekich gwiazd kształtujących firmament życia, sprawdzają się z bliska.

Syn polskiej ziemi, pielgrzym od młodych lat do sanktuariów na podorożdziu, korzysta okazynie z darów Bożych według możliwości nieprzewidzianych ani niezaplanowanych i przeżywa je dogłębnie. Pan Bóg wszędzie się objawia, ale są jednak miejsca uprzywilejowane, szczególnie uświęcone Jego obecnością.

Atutem człowieka jest wychowanie. Rodzina, szkoła, kościół, środowisko mają w tym zasadniczą pozycję. Powiedz mi z kim chodzisz, a powiem ci kim jesteś. Tak się kształtowało i moje życie. Koroną tych śmiałych początków stało się Małe Seminarium w Daszawie. Środowisko na wysokim poziomie ducha ks. Bosko. Przełożeni to kwiat pionierów wychowanych w słonecznej Italii na Valdocco. To samo serce było tętniące w każdym zakątku. Wśród młodych rozwijały się bogato Towarzystwa Religijne. Nowicjat potem utwierdził to i przypieczętował na wieczne czasy.

Podobne środowisko znalazłem w Japonii. Ubóstwo i entuzjazm wycisnęły nowe piętno w bardzo trudnych, ale gorących latach kataklizmu wojennego.

Piękne nadzieje zapaleńców Bożych o skośnych oczkach i złotych serduszkach ginęły jak bańki mydlane, a wojna pochłonęła prawie wszystkich. Nie odrodził się żaden z popiołów jak Feniks. Trzeba było rozpocząć od początku. Obrazków prymicyjnych też nie wystarczyło. Po japońsku napisałem: „Podnieś rączkę, Boże Dziecię i błogosław Japonię i młodzież mi powierzoną (21 grudnia)”. To było zdecydowanie całego życia na pole pracy otwierające się po wojnie na oścież. Dwie dekady przeżyłem w sierocińcach, dwie dekady w szkołach, jedną w nowicjacie i jedną dekadę przy posłudze w wielkim dziele Sióstr Salezjanek w Tokio. Każde środowisko tchnęło duchem obrazka prymicyjnego.

Listy świąteczne do Kraju głosiły o tym ideale, a kilka podróży do Kraju były wypełnione tym duchem tak w domach formacyjnych Zgromadzenia, jak również w świątyniach bliskich i dalekich.

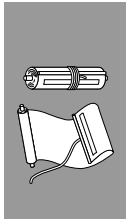
Usilne starania o nowych misjonarzy dały pocieszające owoce młodych salezjanów i Sióstr ze Zgromadzenia Opatrzności Bożej, gdzie moja siostra

była generalną. Dwie nawet udało się wysłać na wyższe studia do Sióstr Felicjanek, które je przyjęły *gratis et amore Dei* w Ameryce.

Gdy nadeszła radosna wiadomość, że w Rzeszowie salezjanie otwierają nowe dzieło dla młodzieży, wtedy zwróciłem się, do byłych wychowanków, by okazali wdzięczność dla ks. Bosko i zawiozłem pokaźną ofiarę na pokrycie świątyni.

Byłoby jeszcze kilka spostrzeżeń zakulisowych. Przed zakończeniem wojny mówi się o wydaniu przez siły zbrojne wyroku śmierci na wszystkich obcokrajowców łącznie z misjonarzami w chwili, gdy wojska amerykańskie rozpoczną zbrojne lądowanie w jakiegokolwiek części kraju. Tymczasem rzuty bomb atomowych na Hirosimę i na Nagasaki skłoniły samego cesarza do ogłoszenia bezwarunkowej kapitulacji i tak bomby atomowe uratowały nam życie.

Wreszcie ostatnie wyróżnienie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, stało się dla nas wielką radością i wdzięcznością Bogu, Kościołowi, Ojczyźnie, Zgromadzeniu i Misjom. Wszystko na chwałę Bożą!



---

## Bibliografia

D.C, Simoncelli-Gioventù. *Giapponese in Transizione*. Tesi di laurea. Roma, maszynopis 1960.

Ruth Benedict. *The Chrysanthemum and the Sword*, Boston, 1946.

Jean Stoetzel. *Jeunesse sans Crysantheme in Sabre*, Plon -UNESCO 1954.

Edwing O.Reischauer. *Japan past and present*. Tokyo 1954.

*Japan, Three Epochs of Modern Education*, Washington, 1959.

*The Japan of to day*. Tokyo 1959.

*Le Japon face au Christ-Rithme du Monde*, Paris 1959, nn.3-4.

i inne...

*A History of Japan*. J. Murdoch and I. Yamagata. Kobe 1903.

*A History of Modern Japan*. r. Storry. Great Britain, C. Nicholls. Co. 1967.

Centes. *Rivista della Lega Missionaria, Studenti*, Roma, Maggio 1949. Febbraio 1950.

*Enciclopedia Italiana*. I.G.T. Milano - Roma 1929.

*Encyclopedia Britannica, Inc.* Frinted in USA 1970.

*Histoire de l'Eglise au Japon*. J. Crasset. Paris 1689.

*Histoire de la Religion chrétienne au Japon*. L. Pages. Paris 1869-1870.

*Onshu no kanata ni (pojednanie)*. Hideki Kikuchi. Tokio 1970.

*Otaa Julia*. Hirata M. Tamura J. Tokio 1975.

*Powiat Rzeszowski z cyklu: „Wędrowki po kraju”*. Emil Hołowskiwicz. Lwów 1875. *Przewodnik Naukowo-Literacki* str. 256–532. *Historia Parafii Św. Trójcy w Czudcu*. Według tablicy w przedsionku kościoła.

*Przewodnik*. St. Kłos. Wyd. Sport i Turystyka. Warszawa 1969.

*Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego...* Nakładem Filipa Sulierskiego i Wł. Walewskiego. Druk „Wieku”, Nowy Świat Nr 59, Warszawa 1880.

*Storia della Chiesa in Giappone*. J. Monsterleet. Roma 1959.

*We Japanase*. By F. de Garis and H.S.K.Yamaguchi. Japan 1937. Vol. I—III.

*Nell'Impero del Sol Levante*. V. Cimatti. Edizioni A.M.S. Torino 1953.



**Fot. 2:** Zaborów – poczciwi luddek w trudnym czasie wybudował Bogu świątynię.



**Fot. 3:** Młodzi misjonarze z ks. Inspektorem.



**Fot. 4:** Młodzi misjonarze w drodze ku misjom.



**Fot. 5:** Pierwsi polscy misjonarze salezjańscy w Japonii: ks. Michał Moskwa (z prawej), autor wspomnień i ks. Nikodem Pisarski. Wyjechali na misje w 1937 r.



**Fot. 6:** Nojiriko - miejsce aresztu domowego w górach.





Pomieszczenia sierocińca.

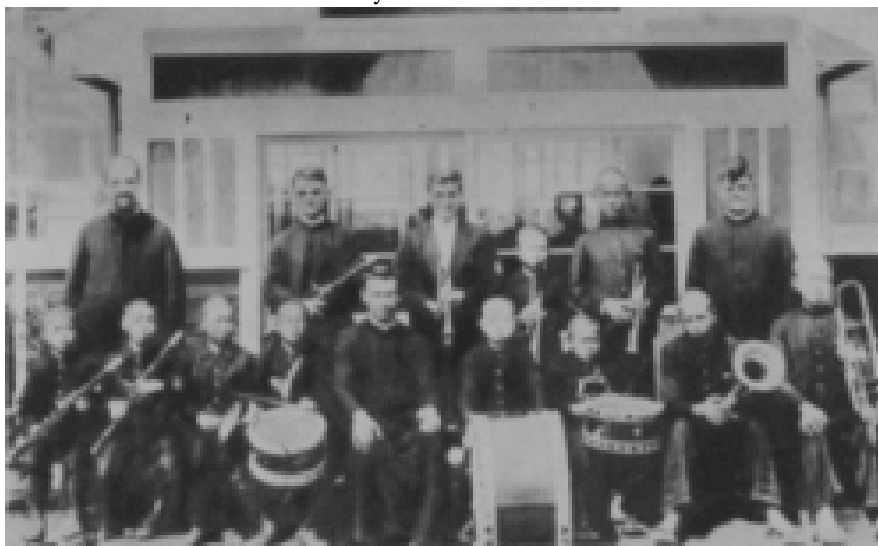


Dzieci z sierocińca.

**Fot. 7:** Sierociniec Caritas w Miyazaki prowadzony przez siostry zakonne - 1940 r.



Sieroty w Kosei Gakuen.

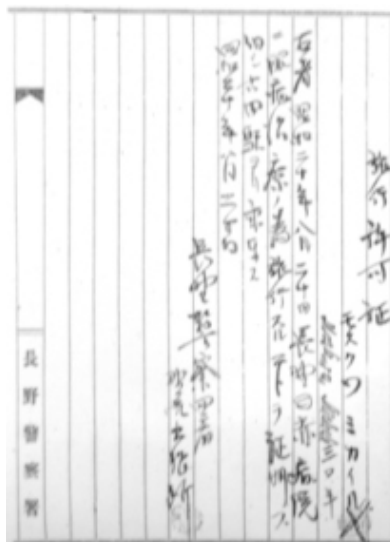


Mała kapela złożona z sierot.

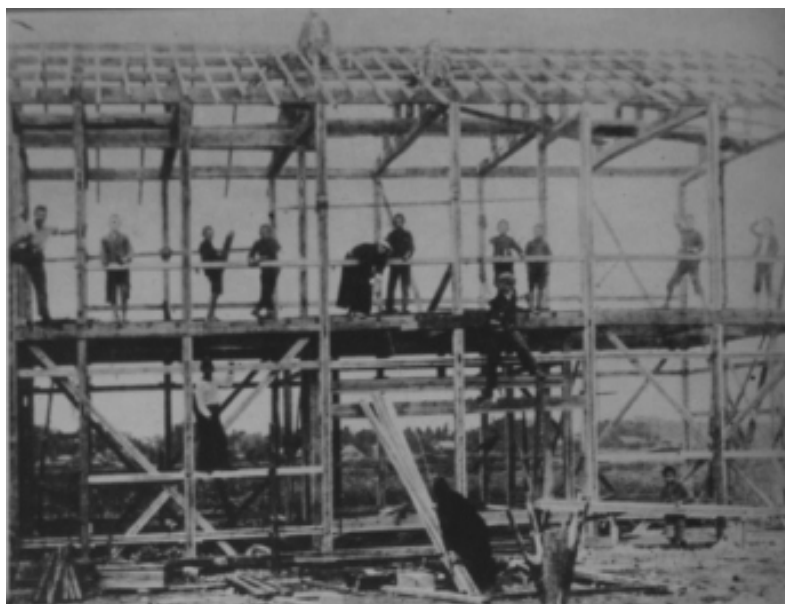
**Fot. 8:** Kosei Gakuen - Miyazaki 1940 r.



**Fot. 9:** Wychowankowie Małego Seminarium w Miyazaki - 1941 r.



**Fot. 10:** Rzadki okaz pozwolenia policji na opuszczenie obozu, wykupienie biletu na pociąg i udanie się do szpitala.



Budowa gmachu sierocińca systemem gospodarczym - 1941 r.



Ten sam gmach po bombardowaniach i przejściu tajfunów - 1944 r.

**Fot. 11:** Sierociniec Kosei Gakuen.



**Fot. 12:** Odbudowany sierociniec w Nakatsu w 1945 r. padł jesienią tegoż roku ofiarą pożaru, w którym zginęli chłopcy: Yosida, Iesato, Yuki.



**Fot. 13:** Wizyta Cesarza Japonii w Zakładzie Sióstr Salezjanek po wojnie w Beppu na Kyushu.



**Fot. 14:** Salezianie wśród sierot domu w Narimasu - Wielkanoc 1947 r.



**Fot. 15:** Nowe miejsce pod budowę sierocińca w Kokubundzi - 1947 r.



**Fot. 16:** Prowizoryczna kapliczka w sierocińcu w Tokio, przed ołtarzem autor wspomnień - 1947 r.



**Fot. 17:** Księżę Takamatsu ogląda popisy teatralne sierot w dniu inauguracji ich nowego domu 8 grudnia 1948 r.



**Fot. 18:** Chłopcy uczą się nowego zawodu przy maszynach.



**Fot. 19:** Wychowankowie z sierocińca w Kokobundzi przy zbiorach z własnego pola - 1949 r.





**Fot. 20:** Dzieci z sierocińca w Tokio na wycieczce - 1948 r.



**Fot. 21:** Orkiestra złożona z sierot rośnie w liczbę. Ich dyrygent i autor wspomnień widoczny po lewej stronie u góry.



**Fot. 22:** Ks. Michał Moskwa wśród grupy sierot świeżo ochrzczonych - sierotciniec w Kokubundzi - 1949 r.



**Fot. 23:** Mieszkańcy sierocińca w 1950 r.



**Fot. 24:** Największa radość misjonarza: chrzest małego poganina.



**Fot. 25:** Wychowankowie sierocińca przy skromnym posiłku.



**Fot. 26:** Zwycięska drużyna palanta, złożona z wychowanków sierocińca w Tokio - 1950 r.



**Fot. 27:** Ks. Michał Moskwa w otoczeniu swych drogich dzieci na wycieczce w górach.



**Fot. 28:** Nauka w nowych klasach.



**Fot. 29:** Orkiestra złożona z młodych salezjanów, studentów teologii, filozofii i nowicjuszków.



**Fot. 30:** Parafianie misji salesjańskiej w Mikawashima - Tokio 1950 r.



**Fot. 31:** Ks. Michał Moskwa, jako mistrz nowicjatu, w otoczeniu nowicjuszków - Japończyków - 1963 r.



**Fot. 32:** Tak wyglądało Tokio po działaniach wojennych w 1945 r.



**Fot. 33:** To samo Tokio po odbudowie w 1965 r.



**Fot. 34:** Studenci Salezjańskiego Seminarium w Tokio złożyli u stóp M. Bożej na górze Fudzi w dniu 3 maja 1966 r. pamiątkowy kamień przywieziony z Polski z okazji Tysiąclecia Chrztu Polski.



**Fot. 35:** Kamień tysiąclecia z Polski w rękach nowicjusza.





**Fot. 36:** Na podwórku wśród bloków.



**Fot. 37:** Sprzedaż narzędzi rolniczych i domowych własnego wyrobu.



**Fot. 38:** Stragan z bożkami szczęścia.



**Fot. 39:** Sklep rybny w dzielnicy Chofu.



**Fot. 40:** Święto lalek-dziewcząt - „Hina matsuri” - 3 marca.



**Fot. 41:** Święto chłopców - „Koinobori” - 5 maja.



**Fot. 42:** Święto „Sziczi-go-san” (siedem-pięć-trzy) tych dzieci, które szczęśliwie skończyły krytyczne lata: sześć, cztery, dwa - 13 listopada.



**Fot. 43:** Święto sportu - 10 października.



**Fot. 44:** Ao-Domon - tunel wykopany przez legendarnego bonzę w dolinie Yabakei - Nakatsu.



**Fot. 45:** Rodzina Cesarska.



**Fot. 46:** Podwójny most przed pałacem cesarskim w Tokio.



**Fot. 47:** Sługa Boży Mons. Wincenty Cimatti, założyciel misji salezjańskich w Japonii.



**Fot. 48:** Mons. Cimatti (w środku), ks. Sadao (po lewej) i autor (po prawej).



**Fot. 49:** Szkoła w Miyazaki: gimnazjum, liceum, handlowka - stan z 1955 r.



**Fot. 50:** Seminarium Salezjańskie w Tokio.





Mijamae, Hokkaido



Isahaja, woj. Nagasaki



woj. Fukuoka



Icikawa, woj. Ciba



Konan, woj. Aici



Mitsugamine, woj. Tocigi



woj. Kumamoto



Wyspa Okinawa

**Fot. 51:** Kościoły w Japonii.



**Fot. 52:** Simoigusa, Tokio, Świątynia jako wotum za ocalenie w czasie wojny.



**Fot. 53:** Pielgrzymi u stóp Maryi Wspomożycielki na świętej górze Fudzi.



**Fot. 54:** Wielkie Dzieło Sióstr Salezjanek w Tokio, Akabane. Od przedszkola do uniwersytetu i sierocińca.



**Fot. 55:** Na dziesięciolecie posługi w tym Dziele.



Nasz miły dziadek p. Izydor.



Nagrobek księżniczki Julii Otaa, Koreanki, na wyspie Kōzushima.

**Fot. 56:** Postacie z opowiadań.



**Fot. 57:** Kościół salezjański w Tokio (Himonya).



**Fot. 58:** Gracja Hosokawa, księżniczka bohaterka (po lewej) i Justyn Takayama Ukon, wasal chrześcijański (po prawej).



**Fot. 59:** Grota-kaplica, tu wierni ukrywali księdza w czasie prześladowań, miejscowość Taketa.



**Fot. 60:** Koncert bębnów Taiko.



**Fot. 61:** Zabytkowe Kitsuki.



**Fot. 62:** Wnętrze tradycyjnego domu japońskiego.



**Fot. 63:** Zamek w Nagoja.



**Fot. 64:** Umiłowanie tradycji: parada w historycznych strojach w miejscowości Taketa (z lewej) oraz pęczek rosnącego ryżu (z prawej).





**Fot. 65:** Górskie widoki w okolicach Ookayama.



**Fot. 66:** Kwitnące miyamakirishima na zboczach Yufudake.



**Fot. 67:** Krater wulkanu Aso, największego aktywnego wulkanu w Japonii.



**Fot. 68:** Dymiące zbocza masywu Kuju (ostatnia erupcja w 1995 r.)



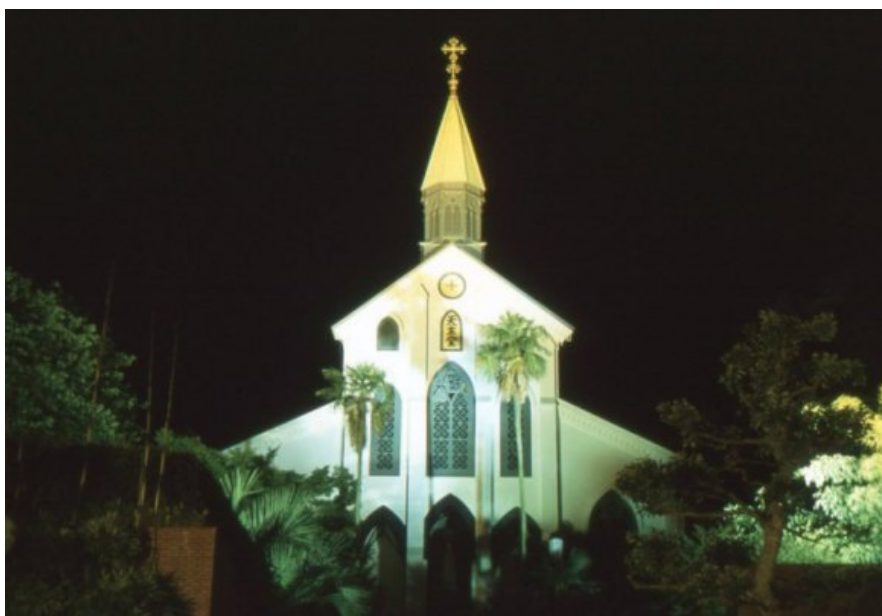
**Fot. 69:** Wiosna w Kioto.



**Fot. 70:** Maiko-cian w Kioto.



**Fot. 71:** Budynek dawnego seminarium w Nagasaki.



**Fot. 72:** Kościół Oura w Nagasaki, zbudowany w 1864 r.



**Fot. 73:** Wnętrze katedry w Nagasaki.



**Fot. 74:** Epicentrum wybuchu bomby atomowej w Nagasaki.



**Fot. 75:** Kościół salezjanów w Tokio.



**Fot. 76:** Świątynia szynotoistyczna.



**Fot. 77:** Procesja majowa w Notsu.



Początek roku szkolnego.



Wejście do szkoły.

**Fot. 78:** Szkoła salezjańska w Yokohama.





**Fot. 79:** Najwyższy budynek w Yokohama i całej Japonii - „Landmark Tower” o wys. 296 m - 2010 r. Niedaleko, w tokijskiej dzielnicy Sumida, jest budowana wieża „Tokyo sky tree”, jej wysokość docelowo ma wynosić 634 m.



**Fot. 80:** Najdłuższy wiszący most Akashi Kaikyō, 3 910 m.



**Fot. 81:** Napowietrze instalacje elektryczne w Oita (częsty widok w całej Japonii).



**Fot. 82:** Tokio widziane z rzeki Sumida.



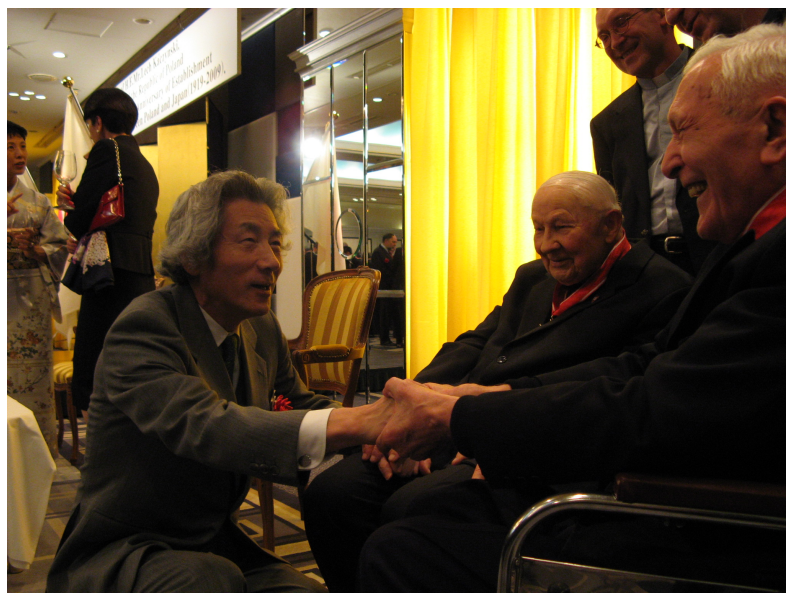
**Fot. 83:** Nowy rok w Saiki, ks. Jan Bury z Hanią Kubik - 2002 r.



**Fot. 84:** Ks. Moskwa i ks. Bury - 2010 r.



**Fot. 85:** Uehonorowanie polskich misjonarzy: ks. Jubilat Pisarski (z lewej) oraz Legitymacja ks. Moskwy do Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski (z prawej) - 3 grudnia 2009.



**Fot. 86:** Ks. Moskwa i ks. Pisarski przyjmują gratulacje byłego premiera Japonii, Junichiro Koizumi - 3 grudnia 2009.



**Fot. 87:** Ks. Moskwa, przedstawicielki Japonii i księżniczka z dworu cesarskiego, P. Ambasador J. Rodowicz, ks. Pisarski, ks. Solich, P. Prezydentowa M. Kaczyńska, ks. Nosal - 3 grudnia 2009.



**Fot. 88:** Ks. Moskwa, ks. Pisarski, ks. Solich, ks. Nosal, ks. Bury i P. Prezydent RP L. Kaczyński - 3 grudnia 2009.

**Ks. Michał Moskwa** urodził się 22 sierpnia 1915 r. w Zaborowie, na Podkarpaciu, jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa. Jego rodzice, Wojciech i Wiktoria Janaś, zanim złączyli się węzłem małżeńskim, oboje przedwcześnie utracili swoich współmałżonków. Po drugim, szczęśliwym ślubie, ciężką pracą starali się zapewnić godne życie rodzinie. Ojciec, szukając środków do życia, wyjechał ze swoimi braćmi za granicę. Z odłożonym zarobkiem wracał do kraju, aby dokupować kolejne kawałki ziemi. Swoją pracą zyskał szacunek, tak że został ogłoszony kmieciem, a potem wybrany wójtem, naczelnikiem gminy. Rodzice uczyli swe dzieci poszanowania człowieka, miłości do ojczyzny i miłości do Boga. Stąd też nie dziwi fakt, że trzy starsze siostry Michała wybrały życie zakonne. Podobnie uczynić chciał i on sam. Nosił się z tym zamiarem już od chłopięcych lat. I spełniło się to jego marzenie.



Po skończeniu nauki w zakładzie księży salezjanów w Daszawie, Michał rozpoczął salezjański nowicjat w Czerwińsku nad Wisłą. W sierpniu 1937 roku złożył pierwsze śluby zakonne, 14 października otrzymał krzyż misyjny w Turynie, a już 22 listopada przybył do portu Yokohama w Japonii. Młody misjonarz od razu zabrał się za naukę języka japońskiego oraz kontynuację studiów seminaryjnych. Czynnikiem też uczestniczył w dziele misyjnym. A były to czasy niespokojne. Widmo wojny, potem jej koszmar i trudy nie złamały w Michale misyjnego ducha. Mimo możliwości powrotu do kraju, jaka pojawiła się wraz z zakończeniem wojny, zdecydował się pozostać na placówce. Pokochał ludzi, z którymi tyle przeżył, dla których pracował, którym głosił Ewangelię.

Kleryk Michał, a od 1946 już kapłan, pracował jako asystent w niższym seminarium, potem był wychowawcą chłopców w sierocińcu, profesorem w salezjańskim instytucie filozoficznym i teologicznym, kapelanem sióstr, spowiednikiem młodzieży. Od 1958 r. przez dziesięć lat dzielił się swoim doświadczeniem z przyszłymi salezjanami, pełniąc obowiązki mistrza nowicjatu. W 1960 r. ks. Michał, po raz pierwszy od wyjazdu do Japonii, odwiedził Polskę. Potem powrócił do dalekiego kraju, gdzie pełnił posługę ponad 70 lat. Poświęcenie ks. Michała zostało uhonorowane przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, który dnia 3-go grudnia 2009 r. osobiście wręczył mu Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Wraz z ks. Michałem wyróżnienie to otrzymał ks. Nikodem Pisarski. Obaj księża to pionierzy, którzy jako pierwsi polscy salezjanie rozpoczęli pracę misyjną w kraju kwitnącej wiśni.

*„...Każdy rodzaj literatury ma swoje obowiązki i prawa, a wybieranie jednego spośród wielu nakłada na autora pewne więzy oraz daje mu zielone światło na inne drogi zamknięte dla pozostałych. Wybrałem rodzaj pamiętnika, ponieważ opowiadanie zgadza się z prawdą w każdej jego części. Owszem, moc materiału z niezliczonych przeżyć w czasach szczególnie zróżnicowanych stała się powodem konieczności wyboru i eliminacji wielu nie mniej interesujących wydarzeń i aspektów codziennego życia. Czytelnik łaskawie mi wybacz ten wybór. W ogóle posłużyłem się kroniką skrzętnie notowaną w każdej placówce, skąd chronologia i fabuła mogą być uważane za prawdziwe, a naświetlenie faktów z własnego punktu widzenia, zdaje mi się nie tylko dozwolone, ale wprost wskazane, aby wspomnienia można było zaliczyć do własnych...*

*....Mam pełną świadomość, że mimo bardzo pilnie utrwalanych obserwacji życia i obyczajów Japończyków, o wielu sprawach w ogóle nie wspominam, a inne naświetlam zaledwie częściowo. Stało się to przede wszystkim dlatego, że jako obcy przybysz i urzędowy przedstawiciel religii katolickiej (katolicy i protestanci razem stanowią zaledwie 1 procent mieszkańców Japonii) miałem ograniczone możliwości kontaktu z całokształtem życia tego dziwnego kraju.*

*Luki mojej relacji starałem się uzupełnić częściowo ogólnymi wiadomościami o historii i religiach Japonii. Niemniej zdaję sobie sprawę, że moja opowieść jest bardzo niepełna. Istotną przyczyną tego jest fakt, że obcokrajowiec odkrywa Japonię przez całe życie i rozstaje się z nią w poczuciu, że jest to wciąż dla niego „ziemia nieznaną”. Żyję tu już ponad siedemdziesiąt lat, a przecież nieustannie mam wrażenie, że nie wnikałem dotąd w tutejsze środowisko rodzime i nie jestem w stanie zasymilować się w nim...”*

Autor  
Yokohama, 2011

ISBN 978-83-930823-0-8

